# BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1518 W. DIVISION STREET

## WAŻNA UWAGA:

### 10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

**DYREKCJA.**

347

S. A. ICIEK

# SAMOCHODEM PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE

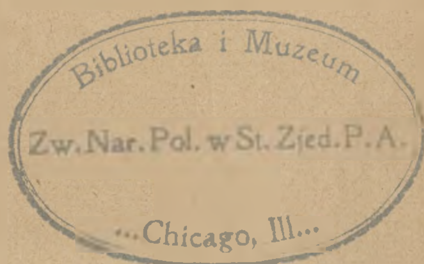
TOM I.

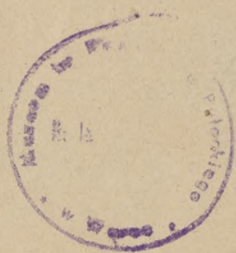


MIEJSCE PIASTOWE — 1934

NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA

SAMOCHODEM PRZEZ
STANY ZJEDNOCZONE





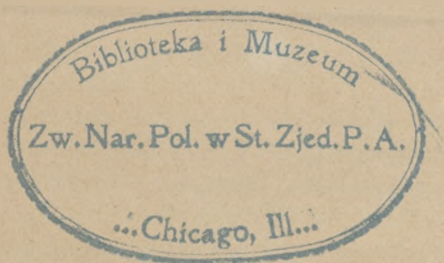
S. A. ICIEK



# SAMOCHODEM
## PRZEZ
# STANY ZJEDNOCZONE

TOM I.






MIEJSCE PIASTOWE — 1934

NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA

»See America First« — Wprzód Zobacz Amerykę.

Miłośnikom turystyki i przyjaciołom Ameryki niniejszą pracę poświęcam.





DRUKARNIA TOW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W MIEJSCU PIASTOWEM.

## *SŁOWO WSTĘPNE.*

*Jak zwykle w sezonie letnim, podczas wakacyj, zwiedzając stany Nowej Anglji, wpadłem przypadkowo do Norwich, w którem na małym indjańskim cmentarzyku, spoczywa Uncas — bohater powieści „Ostatni Mohikanie". Ponieważ od lat już wielu, proboszczem tutejszej ludnej polskiej osady, jest mój dawny znajomy, powszechnie znany ze swej pracy duszpasterskiej, narodowej i dziennikarskiej, Ks. Stanisław Iciek, postanowiłem go odwiedzić.*

*Bez wielkiego trudu trafiłem w śródmieściu na obszerną posiadłość parafji św. Józefa. Schludny kościółek, murowana nowiuteńka o siedmnastu klasach szkoła, z polskim orłem u szczytu, klasztor murowany sióstr nauczycielek i w stylu francuskim zbudowana obszerna plebanja, są terenem pracy powszechnie znanego i szanowanego kapłana. Naokoło zabudowań kościelnych panuje wzorowy porządek. Przy drodze szpaler wysokich drzew, kwiecistych krzewów i przecudnych kwiatów, groty, stawy, pokryte różnych kolorów liljami, a w wodzie pluskają się złote rybki — oto co przedewszystkiem uderzyło moją wyobraźnię. Widać też z tego, że proboszcz lubuje się w przyrodzie i wszystko pod jego troskliwem okiem rozwija się i bujnie wyrasta.*

*Pierwsze moje miłe wrażenia jeszcze bardziej się spotęgowały, gdym wszedł do starej, ale z komfortem urządzonej plebanji. W „parlorze" i pracowni pasterza parafji, ujrzałem na ścianach arcydzieła pierwszorzędnych polskich malarzy jak Męciny-Krzesza, Stroynowskiego, Kossaka, Malinowskiego i innych. Takiej kolekcji arcydzieł tutaj nie spodziewałem się ujrzeć. W bibljotece oprócz ksiąg teologicznych, znajduję bogatą kolekcję dzieł kaznodziejskich w języku francuskim, podręczniki niemieckie, książki angielskie. Co mnie jednak zaciekawiło, to bogaty zbiór książek polskich. Już nie wspominam naszych kla-*

*syków, ale uderzyły mnie, jako profesora literatury polskiej, dzieła naszych nowoczesnych pisarzy jak: Kornel Makuszyński, Kossak-Szczucka, Zygmunt Nowakowski, Boy-Żeleński, Helena Mniszek, Wołoszynowski, Wasylewski, jednem słowem cały szereg dzieł, zbyt długi aby go tu wyszczególniać. Trzebaby całą literacką litanję wyrecytować.*

*Zdaje mi się zbytecznem wspominać, że w tym domu parafjalnym, jeszcze panuje staropolska gościnność. Powiedziałbym również, że ks. proboszcz Iciek, to także rzadki typ i, że tak powiem, jeden z tych ostatnich polskich Mohikanów, twardo stojących przy staropolskich tradycjach i zwyczajach.*

*O wieloletniej, a bardzo wydatnej pracy tego działacza na niwie kościelnej i narodowej, nawet wspominać nie będę. Chociaż jest on rodowitym „Amerykaninem“, na pierwszy zew Ojczyzny-Matki, wstąpił w szeregi Armji Polskiej i pierwszy, po zawieszeniu broni, przedarł się do Polski w styczniu 1919-go roku. Na licznych wiecach, szczególnie w Małopolsce, agitował usilnie i skutecznie na rzecz pierwszej polskiej pożyczki narodowej.*

*Że o Ameryce nie zapomniał i z wielkiem wytężeniem dla niej pracował, świadczą o tem listy od ludzi tej miary co prezydent Hoover, Ministerjum Skarbu, rządy poszczególnych stanów, wreszcie prasa i liczne organizacje społeczne, które złożyły mu należny hołd za jego wybitną pracę w okresie wojny.*

*Nader uprzejmy gospodarz, pokazał mi swe „obejście“ parafjalne, sale, klasy, kręgielnie, zabrał mnie do kilku pasiek i do swego „Zacisza“, gdzie poza pracownią pod lasem zbudowaną, posiada kompletnie urządzoną stolarnię, już nawet nie wspominając o aparatach fotograficznych, któremi się sam nietylko bardzo interesuje, ale wykazuje w tym kierunku wyjątkowe zdolności.*

*Ks. Iciek, z którego osobą i polem pracy chciałbym czytelników bliżej zapoznać, a dla wielu — tylko przypomnieć i przedstawić jako gorliwego kapłana i dzielnego Polaka, zaczął mi opowiadać nadzwyczaj ciekawe przygody ze swej czteromiesięcznej podróży autem po Stanach Zjednoczonych Ameryki, a co jeszcze ważniejsze, doręczył mi pliki całe przygotowanej do druku dwu tomowej książki o tej krajoznawczej turze.*

*Wczytałem się z największą uwagą w te dziwne, a bardzo zajmujące opisy, niby w jakiś bardzo fascynujący romans nowoczesny.*

*Autem przeorał on Amerykę od oceanu do oceanu. Zwiedził i opisał trzydzieści kilka stanów. W swój ciekawy oryginalny sposób, podaje on rysy historyczne, zasoby naturalne, bogactwa, epizody. Często krasi to wspomnieniami z życia, jak mówi „wesołemi kawałami", w których przebija pewna amerykańska swoboda, a niekiedy i typowa rubaszność. Czytając, niekiedy parskasz ze śmiechu, a nieraz w swych wspomnieniach chwyci cię za serce, gdyż widzisz w nim serce tkliwe, polskie, a głęboko religijne.*

*Z każdej stronicy przebija się indywidualność autora, tchnąca duchem religijnym, humanitaryzmem, wielkiem zamiłowaniem do natury, krajobrazów, lasów i zwierząt. Przez całe dwu tomowe dzieło, niby złotą przędzę, wyczuwa się głęboko nurtującą miłość i życzliwość dla Polski.*

*Na poparcie powyższych spostrzeżeń i charakterystyki autora, podam z jego dzieła chociażby maluteńkie urywki.*

*Pisząc naprzykład o parku lodowców, takie znajduję zdanie: „Jeżeli nie uczyłeś się katechizmu — idż w góry! Tam dużemi literami możesz czytać pierwszą stronnicę o Bogu i stworzeniu świata!..."*

*Indjanie jako rasa pognębiona, wymordowana, a w dodatku przez kolonistów w historji spotwarzona, znajdują w tem sercu polskiem, czującem co to jest niewola i krzywda narodowa, jak najszczerszego przyjaciela. Często o nich wspomina. „Gdybym był Rafaelem, lub Michałem Aniołem, pisze autor, Indjan malowałbym w ich „happy hunting grounds"... Unieśmiertelniłbym ich na rączych konikach, polujących złotemi strzałami na tłuste stepowe bawoły. Przedstawiłbym ich naszej młodzieży, nie jako krwiożerczych zbrodniarzy, ale na kajakach z kory brzozowej robionych, lekkich jak piórko, szybkich jak jaskółka, łowiących jedwabnemi wędkami duże minnesockie okonie... Wszędzie ich mordowano! Wszędzie ich krzywdzono, okradano i maltretowano!"*

*W najsłynniejszym amerykańskim parku gejzerów i malowniczych kanjonów, zawiera bliższą znajomość z niedźwiedziami, których wyżej ceni od niby to cywilizowanych ludzi, chełpią-*

*cych się tem, że są „kubek w kubek podobni do Boga," którzy jednak do nogi wyniszczyli tabuny bizonów, saren, niedźwiedzi, jednem słowem bez pardonu mordowali faunę kraju.*

*Co może polskiego czytelnika najsilniej uderza w tem dziele turystyczno-krajoznawczem, to zakończenie tej nader ciekawej, a dla Polski bardzo cennej i pożytecznej książki. Widać, że autor jest już Amerykaninem, dumny on jest z tego i z pewnem zadowoleniem pokazuje nam i piórem i na kliszy, dobytek narodowy tej przybranej przez rodziców Ojczyzny. A jednak po przedstawieniu nam bogactw, olbrzymiego rozmachu, tężyzny, i żywotności narodu, wreszcie rzeczywistej piękności Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, wypowiada takie zdanie: „To, czego dokonała Polska w ostatnich kilkunastu latach, daleko przewyższa wszystko, czego dokonała Ameryka, a względnie Stany Zjednoczone w swej półtora wiekowej historji".*

*Nie wróży ksiądz Iciek sprawie polskiej zbyt pomyślnej przyszłości, dopatruje się bowiem wynarodowienia, amerykanizacji i kompletnego zaniku ducha polskiego. Ale on i wielu innych mu podobnych, stać będą na posterunku i — „nie dadzą pogrześć mowy".*

*Co dotyczy samej książki, to treść jej mówi sama za siebie. Jest to bowiem praca niepospolita. Wartość jej jest wprost bezcenna, autor bowiem i uczy i bawi jednocześnie. Co dotyczy treści, autor omawia nie tylko wszelkie wiadomości odnośne do historji, geografji, stanu gospodarczego, ale ponadto porusza najważniejsze zagadnienia i problematy polityczno-religijne.*

*Czyni to za pomocą licznych refleksij w artystycznie ujętych dygresjach. Co dotyczy formy pisania, to przyznać należy czcigodnemu autorowi wyjątkowy dar gawędziarza. Styl jest nadzwyczaj lekki, żywy, barwny, pełen lapidarnych wyrażeń, niekiedy nawet rubasznych, a mimo to, zawsze miłych dla ucha czytelnika.*

*Korzyści z przestudjowania tej książki, są wprost olbrzymie i co zarówno w stosunku do młodzieży jak i do osób starszych. Poznajemy z niej prawdziwą Amerykę, często fałszywie pojmowaną w Europie, a odmalowaną po mistrzowsku przez kochającego Polskę kapłana-Amerykanina.*

*Niżej podpisany gorąco polecać ją będzie swoim studentom, oraz rodakom tak w Europie jak i w Ameryce, jako źródło najprawdziwszych informacyj o Ameryce, ujętych w pełne dowcipu i zdrowego humoru opowiadania i gawędy, skreślone ręką wytrawnego pisarza-patryjoty i gorliwego kapłana. Autorowi wyrażam na tem miejscu publicznie moją głęboką „cześć" za wzbogacenie naszej literatury wychodźczej dziełem o wyjątkowych walorach pisarsakich, za syzyfową pracę, wytrwałość, ofiary i poświęcenia, nadewszystko zaś za ten żywy i gorący patrjotyzm, jaki przebija niemal z każdego wiersza i słowa w Jego krajoznawczej monografji.*

RUDOLF TARCZYŃSKI,
*Prof. Literatury Polskiej.*

*Orchard Lake, Michigan.*

## DO CZYTELNIKA.

Jeżeli, miły czytelniku, w szarudze życia zdarzył ci się przykry wypadek, że z własnej nieostrożności czy wrodzonego zaciekawienia do lektury, do rąk twych wpadła niniejsza książka, to na samym wstępie, przyjmij moje autorskie współczucie za wyrządzoną ci krzywdę. Widzę jak przeglądasz obrazki, tu i ówdzie cię coś ciekawi, jakaś przygoda, wspomnienie, opowieść i tak niechcąco — wpadłeś... Zabierzesz to do domu, może tylko pożyczysz, i szybko wczytywać się będziesz w te moje opowiadania i przygody — amerykańskie.

Szczerze się przyznam, że nigdy nie przypuszczałem, aby do życia urozmaiconego pracą duszpasterską, narodową, wojenną, na wspólne nasze nieszczęście, dołączyło się autorstwo i to w dodatku, dwutomowej książki turystycznej. Ale mogłoby być gorzej. Zamiast dwa, mogłyby, na ten przykład, być aż trzy tomy. Więc przynajmniej jakąś mamy ulgę i pociechę.

Na ten jednak karygodny uczynek mam wymówkę, rodzaj — „alibi", jak ten, co w piątek zażądał porcji wieloryba. Gdy tego nie było na jadłospisie, domagał się kawałka rekina, a gdy i tego mu nie dostarczono, już ze spokojnem sumieniem kazał sobie podać kotlet cielęcy. Przecież chciał rybę, ale gdy nie było, więc cóż robić?!

Ze mną to samo. Chciałem być tylko szoferem i ciceronem w tej podróży. Komu innemu miałem na kark wpakować autorstwo. Niestety, sztuka się nie udała. Ogólny kryzys, a jak każdemu wiadomo, pisarze i poeci zawsze biedują, więc też żaden ze zaproszonych przeze mnie literatów polskich nie mógł mi w tej podróży towarzyszyć. Dlatego też „proszę mnie mieć za wymówionego".

Jedynie bezinteresowna chęć podzielenia się z szerszem gronem czytelników w kraju i w Ameryce wrażeniami podróży, zniewoliła mnie do tej dla mnie trudnej i bardzo mozolnej pracy. Na

wstępie nie przypuszczałem nawet, że to się „rozwałkuje“ aż na dwa tomy. Ale tyle się nazbierało ciekawych spostrzeżeń, tyle się oglądało cudów natury, o jakich się ludziom nawet nie śniło, tyle zabytków historycznych, wspomnień z własnego bardzo urozmaiconego życia, że poprostu nie było innego wyjścia, jak tylko, pisać i pisać...

Trudności dla mnie były tem większe, że nie jestem ani pisarzem ani literatem.



Moje rodzinne gniazdo — auto przed domem.

Na życie pracuję blisko od trzydziestu lat w zawodzie duszpasterskim. Autorstwo przeważnie ograniczałem do ogłoszeń niedzielnych, do niezbędnych korespodencyj i stałego podpisywania i wypisywania czeków bankowych. Ten ostatni dział w życiu religijnem Ameryki jest bardzo ważny. Większość duchownych tutejszych, tak katolickich, jak i protestanckich, dużo czasu poświęca sprawom czekowo-finansowym. Po śmierci, w spuściźnie swym następcom, zostawiają stosy całe wypłaconych czeków bankowych i kilka książek finansowo-statystycznycznych.

Przyznam się, i to pod sekretem, że przez kilka lat, po wojnie, zasiadałem na stołku redaktorskim. Wywijałem piórem, niby

ınaczugą zbójecką. Kruszyłem kopje z całą plejadą przeciwników politycznych i religijnych. Stałem się poniekąd uosobieniem „Kościoła wojującego". Dobrego serca i bardzo litościwy wydawca, w obawie by mi się coś gorszego nie przytrafiło, ze swej nadzwyczajnej życzliwości, wypuścił mnie z tej redaktorskiej niewoli i znów wróciłem do pracy duszpasterskiej. Nie przypuszczałem nawet, że jeszcze kiedykolwiek chwycę za pióro. Ale, „dziwnie się jakoś plecie, na tym Bożym świecie"...



**Moje „zacisze" pod lasem — stolarnia, gdzie dużo miłych chwil spędzam.**

Z mego stosunkowo krótkiego pobytu w Polsce, zaraz po zawieszeniu broni w wojnie światowej, na licznych wiecach w Małopolsce, na rzecz pierwszej narodowej pożyczki, przekonałem się, że tam ogromnie Ameryką się interesowano i tutejszą Polonją. Godzinami, w przepełnionych do niemożliwości salach, słuchano z żywem zainteresowaniem moich opowiadań o Ameryce, jej udziale w wojnie i żywiołowej pracy wychodźtwa. Wiele się od tych miłych chwil zmieniło i to Bogu dzięki na lepsze. To właśnie zniewoliło mię do opisania, i to dosyć obszernego, mej tury samochodowej przez Stany Zjednoczone. Dorzucam tę cegiełkę do bogatej i wciąż rozwijającej się książkowości polskiej.



Proszę uwzględnić braki i usterki językowe i stylistyczne. Na szkolnej ławie brałem się za bary z gramatyką polską, ale gdy dojechałem do anatomji głosek płynnych, twardych, gardłowych, nosowych, syczących, kwiczących, i t. d., rzucałem gramatykę pod ławę, a ukradkiem wyciągałem Sienkiewicza, gdyż to było bardziej zajmujące. Tu w dodatku, trzeba operować dwoma językami, więc też na polu stylistycznem będą pewne niedomagania. Brak słów przy opisie ciekawych krajobrazów i wyrażeń technicznych dał mi się porządnie we znaki. Nieraz mi szło jak z kamienia, ale jakoś przebrnąłem.

Od lat marzyłem o turze samochodowej przez Stany Zjednoczone — od oceanu do oceanu. Dopiero teraz udało mi się spełnić te życzenia i marzenia. Nie chciałem się jednak zbytnio spieszyć. Oczywiście, pragnąłem jak najwięcej zwiedzić, po dłuższych skokach nieco wypocząć, z ciekawszemi zjawiskami bliżej się zapoznać. Podróż trwała okrągłe cztery miesiące. Spiesząc się, możnaby tę samą drogę przebyć w miesiącu, ale byłaby to średnia przyjemność. Niektóre widoki były tak piękne, tak zachwycające, że człowiek poprostu nie mógł się od nich oderwać. Wciąż mi stoją przed oczyma i zawsze tęsknię za niemi.

Starałem się jak najlepiej do tej podróży przygotować począwszy od samochodu, aparatów fotograficznych, przyrządów rybackich, skończywszy na kuchni, ubraniu, mapach, jednem słowem, zaopatrzyłem się we wszystko, co mogło być pożyteczne i potrzebne. Ponadto dłuższy czas studjowałem historję kraju, jego początki, szybki i niebywały wprost rozwój. Książek turystycznych w języku angielskim mamy dużo, jak również opisów przyrody tutejszej. Przed wyjazdem chciałem materjał przetrawić, aby tem lepiej podróż dla siebie i czytelników wykorzystać.

W opisach wychodzę z tej zasady, że czytelnik jest moim towarzyszem podróży. Poprostu zabieram go ze sobą do auta (dlatego często posługuję się liczbą mnogą) i pokazuję mu to, co jest warte widzenia. Przy każdym stanie, przez który jedziemy podaję jego obszar, ludność i ciekawsze szczegóły historyczne lub też jego bogactwa rolnicze, mineralne i wyjątkowe cuda natury. Jednakowoż nie chcę czytelnika zbytnio szczegółami i cyframi obarczać. Podaję tylko o tyle, o ile one mogą posłużyć do wytworzenia lepszego pojęcia o ludziach, kraju, jego zasobach, bogactwa ich rozwoju.

Jak każdy przewodnik, częstokroć dorzucam własne przygody i wspomnienia z lat dziecinnych, szkolnych i z życia duszpasterskiego. Wybieram „weselsze kawały“, aby książkę uczynić poczytniejszą. Może nieraz posługuję się wyrażeniami zbyt doraźnemi, czasem to i trochę przesady, a nawet rubaszności dosypuję. Może to nie zawsze licuje ze starokrajskiem pojęciem o godności sukienki kapłańskiej. Ten i ów gotów sobie wyrobić fałszywe pojęcie, nie tylko o samym autorze, ale i o duchowieństwie polskiem w Ameryce. Byłoby to nie tylko krzywdą dla tutejszego kleru, ale i dla mnie. Nawiasem mówiąc, w blisko trzydziestoletniej pracy kapłańskiej, nigdy nie miałem najmniejszych zatargów czyto z władzą duchowną czy też z parafjanami, o co w Ameryce nietrudno.

Możliwe, że tu i ówdzie o pewnych sprawach kościelnych i o osobach czy w Ameryce czy w Polsce, wydaję sąd przesiąknięty ironją, satyrą, a nawet żalem. Trzeba jednak pamiętać, że patrzało się w życiu na tragedje, na krzyczącą niesprawiedliwość, na krzywdy ze strony tych, od których należało się nam spodziewać pomocy, pociechy i chociażby — sprawiedliwości!... Nawet najwierniejszy pies, gdy cierpi, na swego pana kły wyszczerza, a rękę, która może rany chce zagoić — kąsa! Tu i ówdzie, niejeden z Czytelników domyśli się tych krzywd, tych tragedyj, tych zawodów, jakie nas w Ameryce, szczególnie na tle religijnem, spotkały.

Jestem szczery i otwarty. Nie imponują mi godności, ordery i honory. Zawsze atoli wysoko cenię pracę czyto u zwykłego robotnika, czy u inteligenta, czy też u dostojnika Kościoła lub państwa. Nie chcę tu zbytnio ukrywać spostrzeżeń. Pragnę podzielić się z czytelnikiem tem wszystkiem, co jest piękne i miłe, ale także nie wypada milczeniem pominąć tego, co jest przykre, gorzkie i bolesne...

Od czasu gdy rozpocząłem turę i do chwili ukazania się książki, dużo zaszło zmian. Czas na nikogo nie czeka! Jednakowoż niektóre wypadki podaję tak, jak przedstawiały się w czasie mej podróży. Do takich należy n. p. często wspominana — nasza amerykańska prohibicja, która po trzynastu latach bytowania, w łeb wzięła. Ale chciałem przedstawić sytuację — podczas trwania prohibicji. To samo dałoby się powiedzieć o naszem położeniu ekonomicznem, które rok temu, przedstawiało się

w bardzo ciemnych kolorach. Twierdzono, że dojdziemy do kompletnego bankructwa, a może nawet rewolucji. Z nastaniem nowej administracji sytuacja się cośkolwiek poprawia. Piszę w czerwcu, rok po rozpoczęciu tury. W takich sprawach najwyżej depesze i dzienniki mogą być na czasie. Nikt nie może powiedzieć, co jutro przyniesie.

Ukazało się kilka książek polskich o Ameryce, o Stanach Zjednoczonych, a szczególnie w ostatnich latach. Każda ma swoje zalety i braki. Za jedną z najlepszych uważam „Nową Kolchidę", napisaną przez p. Gąsiorowskiego. Przez dłuższy czas autor „Pani Walewskiej" przebywał w Ameryce i pracował wśród wychodźctwa, na stanowisku rektora kolegjum Związkowego w Cambridge Springs, następnie w redakcjach pism tutejszych. Podczas wojny jeden z pierwszych rzucił zew do organizowania armji polskiej. Spotkaliśmy się później w Bordeaux, gdy przyjechał po nasz transport żołnierzy. Może w niektórych sprawach jest zbyt surowy, ale powiedziałbym, że zna stosunki i dobrze się orjentuje w sytuacji.

Inne książki także podają dużo ciekawych szczegółów o naszem życiu i pracy. Jednakowoż autorowie, ludzie fachowi, jako dziennikarze czy profesorzy i literaci byli tu zbyt krótko, aby się z nami gruntownie zaznajomić. Dlatego nieraz wynosili fałszywe o sprawach pojęcia.

Nadmienić wypada, że o Polsce, w języku angielskim, ukazało się także kilka bardzo ciekawych, a nawet, powiedziałbym, pochlebnych książek. Poważne czasopisma, miesięczniki, często zamieszczają o nas artykuły przychylne i bogato ilustrowane. Nie wspominam tu książek przez Polaków pisanych i na język angielski przetłumaczonych. Niektóre z nich jak n. p. Ossendowskiego i Bolesławskiego, zyskały sobie czytność, a pisarzom przyniosły nie tylko renomę, ale i finansową nagrodę. Nie przypuszczam, abym ja do tej klasy się dostał.

Po skończonej turze, poza materjałem zebranym, że tak powiem, na miejscu, zwróciłem się listownie do wszystkich Izb Handlowych w tych stanach i miastach, ktore zwiedziłem. Otrzymałem ogromną ilość katalogów, broszurek, biuletynów, fotografij, oraz bogato oprawnych, starannie przygotowanych i pięknie ilustrowanych prospektów reklamowych. Przez pewien czas poczta przynosiła mi stosy całe druków z najodleglejszych zakątków

kraju. Nie omieszkałem z nich korzystać i chcę na tem miejscu Izbom Handlowym za ich współpracę podziękować.

Dlatego też w tych dwu tomach znajdziecie dużo ciekawych szczegółów i statystyki, jakiej nie podają nawet bardzo obszerne historje. Uderzyło mnie to, że naprawdę „każda liszka swój ogon chwali". Każdy stan i miasto, posiada „najlepszy klimat, najpiękniejsze okolice, szkoły, drogi, koleje, jeziora, rzeki, góry"... Jednem słowem, wszystko się to wychwala, byle tylko przyciągnąć do siebie turystę lub osadnika czy fabrykanta. To bym podkreślił jako charakterystyczną cechę przedsiębiorczości i ruchliwości amerykańskiej, ten „go and get it spirit", idź dostań go, nie czekaj, aż tu zabłądzi, ale go przyciągnij! W ten sposób, ściągają turystów, osadników, przemysłowców, a każdy, w większej lub mniejszej ilości, wydaje — dolary, o które się wszystkim rozchodzi.

Mam nadzieję, że ten mój skromny wysiłek dopomoże do lepszego poznania i zrozumienia naszej nowej Ojczyzny. Może niejeden, a szczególnie ci z zamożniejszych, przyjadą tu kiedyś i podobną turę samochodową sobie urządzą. Przy końcu pierwszego tomu podaję więcej szczegółów w tej sprawie.

Po tych wstępnych uwagach, nic mi innego nie wypada uczynić, jak tylko miłych czytelników zaprosić, aby wsiedli do mego ośmio-cylindrowego Graham Coupe, szczelnie wypakowanego bagażami i w tak miłem towarzystwie ruszymy w podróż — samochodem po Stanach Zjednoczonych. Cieszyć się będę, jeżeli z czytania tych opisów odniesiecie chociażby część tych wrażeń, jakie odniosłem, a unikniecie trudów, jakie mi w udziale przypadły.

Pragnę jeszcze spełnić tu miły obowiązek i szczerze podziękować Wiel. Konfratrom za cenne uwagi, zachętę w tej mozolnej pracy i za straranne przejrzenie manuskryptu. Na tem miejscu również pragnę wyrazić mą wdzięczność p. Howard G. Dine z Hartford, jednemu z najlepszych fotografów i powiedziałbym — artystów w tym fachu za cenne wskazówki i bezinteresowne wywoływanie klisz z podróży mu nadesłanych. Tak samo chcę tu podziękować profesorowi Rudolfowi Tarczyńskiemu, znanemu działaczowi na niwie amerykańskiej, za te słowa może niezasłużonej pochwały, jakie wypowiedział o mnie i tym skromnym wysiłku na wstępie książki. Jestem wdzięczny tym wszystkim w Ame-

ryce i w Polsce, którzy się w jakikolwiek sposób przyczynili do wydania tej dwutomowej pracy o turze samochodowej przez Stany Zjednoczone.

*Autor.*

Rozdział I.

## CONNECTICUT.

Podróż zaczynam w czerwcu, od sąsiedniego miasta New London, Conn., nad ujściem rzeki Tamizy (Thames) do oceanu Atlantyckiego.



Dolina rzeki Connecticut.

Łatwo się domyślić, że założycielami miasta i pierwszymi osadnikami tej okolicy byli purytanie pochodzenia angielskiego. Dlatego nazwy miast i rzek przypominają podobnie brzmiące miejscowości w Anglji.

Przed stu laty, Nowy Londyn i z nim na północ sąsiadujący mój Norwich, słynęły jako porty morskie. Stąd na wszystkie morza i oceany odpływały szybkie żaglowce zwane „clipper ships“, ogromnie handlem wzbogacając właścicieli i nadmorskie kolonje. Z nastaniem parowców, żaglowce zniknęły, a z niemi intratny handel. Zabrały go miasta inne, jak Nowy York, Boston i Baltimore.

W New London, na uwagę turysty zasługuje kilka historycznych zabytków. Najważniejszy to — Fort Groton, zbudowany w pierwszych latach walki o niepodległość. We wrześniu r. 1781 Gen. Benedykt Arnold, jeden z naszych wielkich bohaterów, a równocześnie zdrajców — rodem z Norwich — naprowadził na miasto Anglików, którzy fort szturmem zdobyli, a załogę wynoszącą parę set ludzi, niemal w pień wycięli.

W Polsce, na upamiętnienie ważnych wypadków, wznoszą kopce, u nas budują pomniki w formie obelisków. Poległym w New London taki pomnik zbudowano.

Zaraz obok, znajduje się małe muzeum broni, mebli z czasów kolonjalnych, Zaciekawił mnie tam dosyć niezdarny witraż pamiątkowy, przedstawiający pijanego angielskiego żołnierza z butelką wina przy boku, któremu młody chłopak zabiera karabin. Pod witrażem umieszczono napis: „Attention World“.

Pytam się zarządczyni muzeum, starej „Jankuski“, co to ma wszystko znaczyć?!

Otóż, według jej objaśnień, bohaterem, upamiętnionym na kiepskim witrażu, był chłopiec z sąsiedztwa. Słysząc strzały, przycwałował na starej szkapie do New London. Było to już widocznie po zdobyciu fortu. Żołnierze angielscy po mozolnej, jednogodzinnej pracy nad zdobywaniem twierdzy, „rozweselali dusze“. Na takiego „rozweselonego“ grenadjera, trafił ów „bohater“, przed którym „cały świat miał stać na baczność“. Cichaczem skradł się do śpiącego, zabrał mu „jewer” i zaraportował swe odkrycie wojskom kontynentalnym. Zabrano pijanego wojaka do ciupy. Szybko się atoli jego niewola i więzienie skończyły. Wytrzeźwiawszy, wylazł oknem z niewygodnej kwatery i poszedł do swoich. Chłopak jednak stał się wielkim bohaterem!

Dla mnie, naocznego świadka bohaterskich walk i obrony Lwowa przez jego dzieci — prawdziwe orlęta — „bohaterskie“ czyny Jankusa, pusty śmiech wzbudzają. Gdyby to był lwowski

cwaniak, pomacałby spitego bolszewika bagnetem po żebrach lub wpakowawszy mu kulę w łeb, przeszedłby nad całą aferą do porządku dziennego. Ten zaś, uważał się za wielkiego bohatera i wszystkim o swym „nieśmiertelnym“ czynie przez całe życie opowiadał.

W New London pieczołowitą troską otaczają starą szkołę, w której uczył Nathan Hale, stracony przez Anglików za szpiegostwo. Idąc na śmierć, powiedział te pamiętne słowa: „Żałuję mocno, iż mam tylko jedno życie do oddania za Ojczyznę“.

Na rzece Tamizie odbywają się rok rocznie wyścigi na łodziach między studentami uniwersytetu Yale z New Haven, a słuchaczami uniwersytetu Harvard z Bostonu. Cała elita amerykańska zjeżdża na te zapasy. Port jest dosłownie zawalony motorówkami i wspaniałemi jachtami miljonerów amerykańskich. Po skończonych wyścigach, rzeka i jej brzegi są pokryte próżnemi butelkami od wódki.

Nadmienić wypada, że New London jest portem wojennym. Tu są stacjonowane submaryny[1]) i szybkie kontrtorpedowce, pilnujące regularnego dostawu wódki i wszelkich towarów butelkowanych do gaszenia — pragnienia naszych obywateli.

Nie będzie od rzeczy wspomnieć, że coraz więcej marynarzy i żołnierzy amerykańskich dostaje się w sidła naszych nadobnych Polek z Norwich i New London. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby Polska tym sposobem weszła w posiadanie przynajmniej kilku nurów amerykańskich. Przydałyby się na Szwabów. Jakby to ładnie brzmiało: „Dar polskich dziewcząt dla Ojczyzny“. Umiłowany przez nie dostarczyłby łatwym sposobem okrętów, obsługi i... potomstwa.

Poza miastem, nad Tamizą, znajduje się baza submaryn. Na przeciwnym brzegu, kosztem kilku miljonów dolarów, rząd zbudował olbrzymią szkołę dla oficerów marynarki.

Na konferencjach rozbrojeniowych silnie popieramy ograniczenie zbrojeń dla państw europejskich i azjatyckich. My zaś pod tym względem, stanowić mamy wyjątek. Bieda z tem, że inne mocarstwa na taką propozycję zgodzić się nie chcą. Tamci mają wrogów o miedzę, my zaś o trzy tysiące mil, hen za oceanem.

Drogi z New London do Norwich, prowadzą po obu stronach rzeki. Na brzegu wschodnim, parę mil od miasta, napotyka-

---

[1]) Tak autor nazywa łodzie podwodne.

my niemal małe miasteczko budynków murowanych. To szpital rządowy dla umysłowo chorych. Stale przebywa tu przeszło dwa tysiące pacjentów i z każdym rokiem liczba ich wzrasta. Jeżeli zważymy, że Connecticut jest małym stanem, a posiada dwa olbrzymie zakłady dla obłąkanych, któż może zaprzeczyć, że prohibicja i kultura nie postępuje naprzód?!...

Trzeba przytem pamiętać, że beznadziejnych idjotów, nie zawsze odsyłamy do domów dla obłąkanych. Dla nich mamy specjalne dwa bardzo drogie lokale w Waszyngtonie. Nazywają się senat i kongres Stanów Zjednoczonych. Po przeprowadzeniu wyborów niekiedy tam ich odsyłamy, aby krajem rządzili. Czy to praktyczne?...

Na przeciwległym brzegu rzeki, na małem wzgórzu, zbudowano o licznych pawilonach, szpital suchotniczy.

Norwich jest nietylko siedzibą autora niniejszych opisów, ale w nim również, od stu lat, spoczywa na małym indyjskim cmentarzyku — Uncas, bohater powieści Coopera — „Ostatni Mohikanin". O zmarłych zawsze trzeba dobrze mówić. Uncas, jako wódz czyli „Sachem" Mohikanów, dał się porządnie we znaki sąsiadom plemienia Narragansett. W bitwie z czerwonoskórymi rywalami, tuż w granicach miasta, używając podstępu, strasznie ich zmasakrował, a wodza Montonomah, własnoręcznie uśmiercił.

Miasto nasze zowią „Różą Nowej Anglji" a należy do najstarszych osiedli w Connecticut. Norwich dawniej zamieszkiwały arystokratyczne rodziny angielskie, teraz są tu Polacy, Włosi, niby po naszemu „Taljany", Kanadyjczycy i nie brakuje także naszych „arcyprzyjaciół" Irlandczyków, czyli „Ajryszów". (Spolszczenie angielskiego wyrazu).

Posiadamy kilka fabryk sukiennych, butelkowni i innych miejsc pracy. Nie wiem jednak, czy ze starości czy też od urodzenia. Norwich nigdy nie posiadało wielkiego przemysłu i handlu. Polska kolonja liczy około ośmset rodzin, pochodzących przeważnie z okolic Grodna i Wilna.

Zanim ruszymy w dalszą drogę, chciałbym tu dać mały wykład z matematyki. Przyznam się, że matematyka i greka zawsze ogromny wstręt we mnie wzbudzały. Algebra szła jak z kamienia, a trygonometrja była poprostu „terra ignota". Z greki, Bogu dzięki, zapomniałem wszystko, nawet alfabet. Z rachunków umiem jeszcze liczyć do stu i tabliczkę mnożenia do siódemek

włącznie. Mimo tych wielkich mankamentów, muszę na tem miejscu poświęcić kilka .uwag rachunkowości, a to z następujących powodów:

W Europie używają miary metrycznej, my zaś używamy miary... zależy co kto mierzy, ot na ten przykład samogonkę czyli „munsiajn“ — galonami, a odległość — milami. Galon zawiera trzy i pół litra. Morga wynosi mniej więcej jeden i ćwierć — akra. Ponieważ jedziemy z czytelnikiem po Ameryce, więc odległość mierzymy milami.

Gdybyście zaś chcieli tutejsze mile podać w kilometrach, trzeba przeprowadzić następującą kalkulację: pomnożyć ilość podanych mil przez ośm, a potem podzielić przez pięć, gdyż kilometr jest pięć ósmych mili. Dla lepszego wyświetlenia podaję przykład.

Z Norwich do Hartford, stołecznego miasta stanu Connecticut, jest czterdzieści mil. Pomnożywszy mile przez ośm, mamy trzysta dwadzieścia. Gdy podzielimy tę sumę przez pięć, wypadnie nam sześćdziesiąt cztery, czyli według miary europejskiej, z Norwich do Hartford mamy sześćdziesiąt cztery kilometry. Na tem się kończą moje matematyczne wiadomości i lekcja rachunków.

Teraz jeszcze o naszych nazwach chciałbym kilka słów nadmienić. Wszystkim wiadomo, że Amerykanie mają bardzo trudną wymowę. Obcemi językami władają, niby zdechłe cielę ogonem. Polskich nazwisk wymawiać nie potrafią. Gdy Moskale zdobyli Przemyśl, Amerykanie dęba stawali, nie mogąc tego porządnego, „galicyjskiego“ miasteczka — w którem mnie, swego czasu, strasznie pluskwy zmaltretowały — nijak wymówić. Niektórzy sobie na tem zęby połamali. Gdy zaś w dodatku na widownię publiczną wyszedł Przasnysz, to już dostawali obłędu i kołowacizny. Kilku dla samej okropności tych pięknych polskich nazw, popełniło samobójstwo. Więc też oddając pięknem za nadobne, poczęstujemy was naszemi nazwami.

Stan Connecticut wymawia się, — kon-nek-ty-kot, oznacza w narzeczu indjańskiem długą rzekę. Jest to stan mały, ale, że tak powiem — jary.

Naprożno szukalibyście na jego całym obszarze, wynoszącym zaledwie pięć tysięcy mil kwadratowych, łanów pszenicy i żyta. Lodowce poprzerzynały go licznemi dolinami, a pola za-

siały kamieniem i skałą. Rolnictwo ogranicza się do niewielkich farm, hodowli bydła i drobiu.

Jedynie dolina rzeki Connecticut, od której stan swą nazwę wywodzi, znajduje się w wysokim stopniu uprawy. Znajdziesz tam obszerne pola tytoniu. Dla wyhodowania delikatnych i szerokich liści t. zw. „sumatra", całe pola są pokryte płótnem, rozpiętem na wysokich słupach. Jest to kosztowny sposób hodowli tytoniu, ale za to na rynku przynosi wyższe ceny. W Suffield jest polska osada, produkująca pierwszorzędny tytoń.

Liczne rzeki, przerzynające cały stan, służą za obfite źródło siły wodnej. W New London, przeszło dwieście lat temu, gubernator Winthrop zbudował młyn wodny, do mielenia kukurydzy i zboża. Bogactwo siły wodnej i porty morskie dały wielki impet do rozwoju przemysłu i handlu. Connecticut zaliczamy do najgęściej zaludnionych i najbardziej uprzemysłowionych stanów Ameryki. Posiadamy tu bardzo liczne fabryki płótna i sukna, fabryki maszyn i sprzętów żelaznych, broni i amunicji, zamków, zegarów, zegarków, maszyn do pisania i t. d. Byłaby to zbyt długa litanja, aby wyszczególnić całość przemysłu tego małego stanu.

Hartford, przy rzece Connecticut, jedno z najstarszych miast w Nowej Anglji, jest stolicą. Liczy blisko dwieście tysięcy mieszkańców i znane jest w całym kraju jako „Miasto Ubezpieczeń" — Insurance City. Kilkadziesiąt olbrzymich stowarzyszeń assekuracyjnych ma tu swoje siedziby. Kapitał ulokowany w tych organizacjach wynosi setki miljonów dolarów.

W pobliżu miasta znajduje się olbrzymia fabryka motorów aeroplanowych Pratt Whitney. Tu również ma swą kwaterę słynna na cały świat fabryka broni — Colt Firearms. Jej najlepiej znanym produktem są rewolwery policyjne i automatyczne wojskowe. Zdaje się, że nawet Polska swego czasu dała im bardzo poważne zamówienie dla swej armji. Obecnie interes ten idzie bardzo kulawo. Zamiast rewolwerów i karabinów maszynowych, wyrabiają w tych zakładach najrozmaitsze sprzęty domowe.

Na Farmington avenue, niegdyś rezydencjalnej ulicy miasta, zachowują murowany dom Marka Twaina, a właściwie Samuela Clemensa. Opowiadają, że gdy budował dom, przyjaciele jego dziwowali, się, czemu kuchnię, a nie salon stawia od frontu. On im na to: „Nie chcę, aby kucharka wciąż mi przez bawialnię bie-

gała do okna patrzeć na ulicę, kto tam jedzie lub idzie. To jej zaoszczędzi dużo czasu, a mnie ambarasu".

Zdaje się, że robiono mu wymówki, że w swych, zresztą dobrze znanych dziełach, zapomina o interpunkcji: nie stawia przecinków, kropek i innych znaków pisarskich. Wziął się na sposób. Przy końcu książki umieścił kilka stron z samemi przecinkami, kropkami, domyślnikami, wykrzyknikami, słowem umieścił wszystkie znaki pisarskie, w dodatku było tam trochę liter i notatka, że jeżeli komu zabraknie przecinka, kropki lub wykrzyknika, może go znaleźć przy końcu książki. Niech czerpie z nich tyle, ile mu potrzeba — „just help yourself".

Może i ja powinienem tak się urządzić w mych opisach? Nie będę się wiele rozwodził o Hartford. Nadmienię, że jest to miasto piękne, czyste i postępowe. Kapitol w uroczym parku, zbudowany jest w stylu mauro-hiszpańskim.

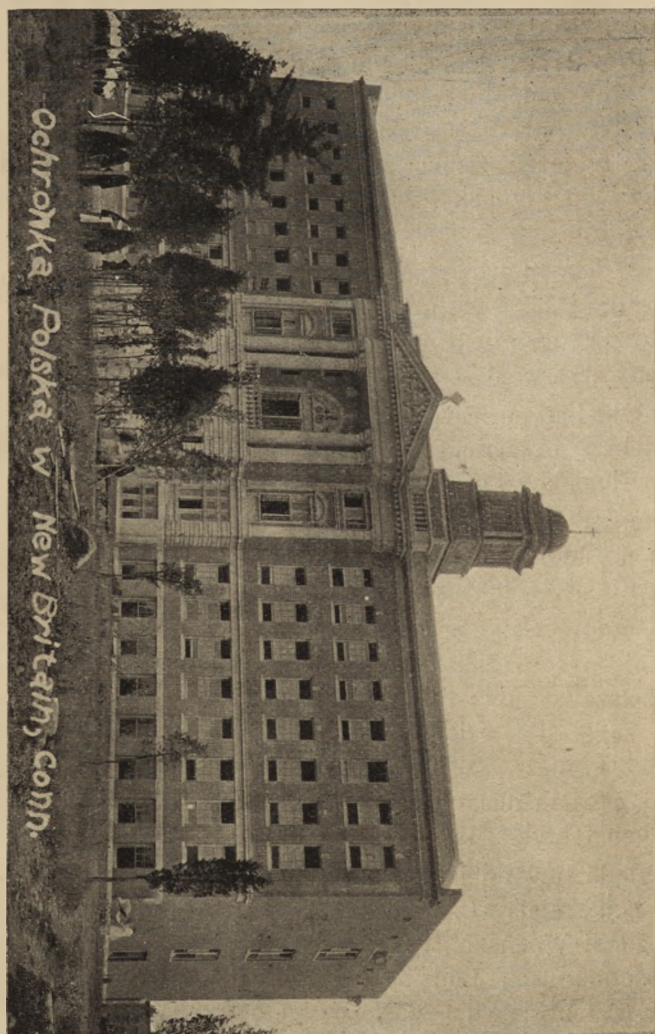
Ordynarjuszem diecezji hartfordzkiej jest J. E. Ks. Biskup Józef Nilan. Na przedmieściu zbudował niedawno wspaniałe małe seminarjum kosztem przeszło dwu miljonow dolarów.

Zamieszkuje tu także dosyć liczna osada polska, skupiająca się przy polskiej parafji. Na wzmiankę zasługuje bardzo piękny, powiedziałbym — luksusowy polski dom narodowy.

Po drodze wstąpimy do New Britain, słynnego na całą Amerykę z przemysłu żelaznego. Nosi przydomek „Hardware City" — miasto żelaza — gdyż tu powstały olbrzymie fabryki zamków, zawias, narzędzi stolarskich, żelastwa używanego przy budowie domów, jak również wszelkiego gatunku sprzętów domowych. Jest to jedno z wielu miast fabrycznych, pełne kominów dymiących, kolosalnych fabryk z kamienia i cegły.

Zaglądniemy do New Britain tylko dlatego, że zamieszkuje w niem najliczniejsza kolonja polska w Nowej Anglji. Nasi ziomkowie z ziemi Wileńskiej i Grodzieńskiej, a nawet nasi Kurpie tu się zagospodarowali. Lud bardzo dobry i dla spraw narodowych życzliwy. Założycielem i wodzem tej osady, liczącej jakie dwadzieścia tysięcy dusz polskich, jest ks. Łucjan Bójnowski. Człowiek energiczny, pracowity, twardy, wiele tu zdziałał. Wspaniały kościół, dwie szkoły, ochronka, dom starców, drukarnia, klasztor i rozmaite organizacje świadczą o jego niezmordowanej pracy. Nie dawno powstała tu druga parafja i także prosperuje.

W parku miejskim warto zobaczyć imponujący pomnik na cześć żołnierzy poległych w wojnie światowej. Na wysokiej, granitowej kolumnie wyciosany olbrzymi orzeł, a parapet otaczający




kolumnę, jest wyłożony bronzowemi tablicami, na których widnieją nazwiska poległych żołnierzy z New Britain. Znalazłem wśród nich bardzo liczny zastęp Polaków, poległych w armji Stanów Zjednoczonych, a kilku w armji gen. Hallera.

Piętnaście mil za New Britain, drugie stare miasto — Meriden, zwane „Silver City". Olbrzymie fabryki wyrobów srebrnych pod marką ochronną „Rogers 47", to produkt International Silver Co. W Meriden jest także stara i liczna kolonja polska. Piękny kościół i szkoła, to owoc wieloletniej pracy na polu religijno-narodowem. Od przeszło dwudziestu pięciu lat, proboszczem i budowniczym tej parafji, jest ks. Jan Ceppa, rodem ze Śląska.

Jakie dwadzieścia mil od Meriden znów przedzieramy się przez duże miasto, Waterbury, zwane „Brass City" — miasto miedzi. Tu są największe fabryki wyrobów miedzianych i bronzowych na świecie. Większość obywateli jest wyznania Rzymsko-katolickiego, ludnościowo przeważają Irlandczycy.

W centrum miasta, przy małym skwerze, zbudowali bogaty kościół, powiedziałbym, bazylikę. „Gorliwy" proboszcz zapewne chciał się upamiętnić, ale po ukończeniu wspaniałej świątyni, umarł. Teraz następca kłopoce się o to, skądby wziąć pieniądze na pokrycie procentów. Dług wynosi okrągły miljon dolarów. Parafjanie modląc się w kościele za każdą „Zdrowaśką" sięgają do kieszeni po „nikla lub kwodra" — pięć lub dwadzieścia pięć centów — na kościół. Nawiasem mówiąc, widziałem daleko więcej prawdziwej gorliwości i pobożności, gdym przed laty odprawiał mszę św. w lasach, pod drzewem, aniżeli w tych wspaniałych bazylikach i katedrach. Naogół, zbyt wiele poświęcamy pieniędzy i trudów na kosztowne gmachy, a za mało dbamy o stronę moralną i duchową ludu.

Po zwiedzeniu coprawda wspaniałej, ale bardzo zadłużonej bazyliki, ruszam w dalszą drogę ku Danbury — „miasta kapeluszy". Okolica jest pagórkowata i malownicza. Za czasów walki o niepodległość, Danbury było kwaterą aprowizacyjną dla armji gen. Waszyngtona.

Parę mil za miastem wjeżdżam do stanu nowojorskiego, najludniejszego w kraju. Wciska się on wąskim pasem, niby korytarzem wzdłuż rzeki Hudson do oceanu, a kończy się tą drugą największą metropolją na kuli ziemskiej, miastem Nowym Jorkiem. Jedziemy tu wzdłuż uroczych jezior, otoczonych zielenią lasów, tworzących część olbrzymich zbiorników wody do zaspkojenia potrzeb kolosalnego miasta. Z drugiej strony rzeki Hudson, jakie sto mil na północ, znajduje się olbrzymi, kilkadziesiąt mil cią-

gnący się rezerwuar Ashokan, z którego wodę sprowadzają do Nowego Jorku wykutym w skale tunelem pod rzekę Hudson. Jest to zdaje się, największy sztuczny rezerwuar na świecie.

Od miasteczka Peekshill, tuż nad Hudsonem, prowadzi nas piękna w skale wykuta droga do mostu „Góry Niedźwiedziej“ -- Bear Mountain Bridge. To jest jedno z krótszych połączeń między stanami Nowej Anglji, a dalszym Zachodem. Unikam przez to olbrzymiego ruchu tej „Nowej Jerozolimy“. Nie będę opisywał wiszącego mostu, wspaniałego arcydzieła sztuki inżynierskiej, ile ton materjału zużyto, ile miljonów na budowę wydano, gdyż pojedziemy jeszcze większemi. Wystarczy nadmienić, że jest to jeden z wielu „mostów wiszących“, których pierwszym prototypem był Most Brookliński.

Po opłaceniu dolara podatku mostowego, wjeżdżam do parku. Ponieważ to niedziela a dzień przytem bardzo słoneczny i gorący, więc też ludzi tysiące. Przy doku dymią dwa olbrzymie okręty wycieczkowe, czekające na tysięce pasażerów, aby ich z powrotem zabrać w rozpalone niebotyczne mury miasta o czterdzieści mil na południe położonego. Wszędzie widać niezliczoną moc samochodów, długiemi rzędami ustawionych. Park i ścieżki leśne przepełnione ludźmi. Co krok napotkasz twarz izraelską, zagiętonosą, z ustami karmazynowo pomalowanemi. Wszystko się cieszy, zjada olbrzymią ilość „ice creamów“ — lodów, wypija beczki „sody“, zmiata stosy całe „sandwichów“ czyli kanapek. Młode zakochane pary prowadzą się pod ramię, inne tańczą w kasynach. Wielu nie mogąc już dłużej na wodzy utrzymać miłosnych zapędów, całuje się na zabój. Co się tam w lasach dzieje... na to, jak Sienkiewicz mówił — „spuścimy czarną zasłonę“.

Czas nagli, więc też nie będę go tracił z nadobnemi, wymalowanemi karmazynowo żydóweczkami, tylko jadę dalej. Zaraz za granicą parku wkraczam do Stanu New Jersey, sąsiadującego przez rzekę ze stanem i miastem Nowym Jorkiem i Pensylwanją, coś w rodzaju „Drei Kaizer Ecke“ na Śląsku.

Na pierwszą noc w podróży zakwaterowałem się w miasteczku Stroudsburg, w pobliżu malowniczej cieśniny na rzece Deleware, t. zw. „Deleware Water Gap“. Od pierwszej po południu, do ósmej godziny wieczorem, zrobiłem dwieście dwadzieścia mil.

---

Rozdział II.

## PENSYLWANJA.

Rano zwiedziłem malowniczy wąwóz i czemprędzej ruszam w dalszą drogę — do Pensylwanji, która tu graniczy ze stanem New Jersey.

Stan swą nazwę wywodzi od jednego z wybitnych pionierów tej okolicy, kwakra Wiljama Penna. Pierwszymi osadnikami byli Szwedzi. Opanowali ich Holendrzy, nareszcie przyszli Anglicy pod wodzą William Penna. Popłynął on w górę rzeki Delaware w roku 1682 i zawarł traktaty z białymi osadnikami oraz zamieszkałymi tu Indjanami.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje fakt, że William Penn, w przeciwieństwie do innych kolonistów, skrupulatnie zachowywał wszelkie umowy zawarte z Indjanami. Dlatego osadnicy przez długie lata żyli w przykładnej zgodzie z czerwonoskórymi tubylcami.

Ponieważ cały kraj był pokryty dziewiczemi lasami, przepełnionemi zwierzyną, więc też skombinowano łacińską nazwę lasu — „silva", z nazwiskiem tego religijnego pioniera, Penna i nazwano ten bogaty stan — Pensylwanją.

Obejmuje on przeszło czterdzieści pięć tysięcy mil kwadratowych. Według ostatniego spisu, zamieszkuje tu blisko dziesięć miljonów ludzi. Nazywają go „Keystone" i słynie jako stan węgla i stali. Znajdują się w nim olbrzymie pokłady twardego i miękkiego węgla.

W Pensylwanji żyje paręset tysięcy Polaków. Podzieleni są na trzy olbrzymie grupy. Kilkadziesiąt tysięcy osiedliło się we Filadelfji i okolicznych miastach, może ze sto lub więcej tysięcy pracuje w zagłębiu węglowem Scrantonu, a reszta jest w okolicy Pittsburga i w sąsiednich miastach oddanych przemysłowi stalowemu.

Niecałe pięćdziesiąt mil od rzeki Delaware, tworzącej wschodnią granicę Stanu, rozpoczyna się zagłębie twardego węgla. Dolina ciągnie się dwudziesto milowym pasem od Wilkes Barre do Scranton. Tu kopią węgiel twardy używany do ogrzewania mieszkań, gdyż nie djay elte sadzy, co węgiel miękki i dlatego jest też znacznie droższy.

Do Wilkes Barre prowadzi wspaniała droga t. zw. „Sullivan Trail". Tędy właśnie, podczas wojny o niepodległość, jeden z generałów Waszynktona, z kilkoma tysiącami żołnierzy, prowadził wyprawę przeciwko wojowniczym plemionom Indjan. Ci bowiem wraz z Anglikami mordowali kolonistów i zagrażali tyłom wojsk amerykańskich. Przy drodze, tu i ówdzie, widać kamienne pomniki z bronzowemi tablicami, przypominające trudy i ostateczne zwycięstwo ekspedycji.

Generał Sullivan w tej wyprawie karnej przeciw „pięciu nacjom indyjskim", noszącym ogólną nazwę Iroquois, ludność całą zmasakrował, włączając w to kobiety i dzieci. Czterdzieści wiosek indjańskich spalił. Paręset tysięcy korcy zboża i owoców skonfiskował i raz na zawsze złamał ich potęgę, i przyczynił się wielce do ostatecznego zwycięstwa nad Anglikami i ich sojusznikami.

Walki odbyły się w środkowo-południowej części stanu Nowego Jorku, w okolicy miasta Elmiry. Gdy przyszło do walnej rozprawy, z jednej strony stanęli do boju w pióra ubrani, na czerwono glinką pomalowani Indjanie, uzbrojeni w toporki i łuki. Z drugiej strony, z lasów wysunęła się piechota, zbrojna w karabiny i armaty. Gdy dali salwę z armat, naładowawych kartaczami, Indjanie na takie „dictum acerbum", zwiali, niby kamfora bez pieprzu. Zwycięzcy obładowani łupem wrócili do obozu koło Filadelfji.

Zbytnio odbiegłem od tematu podróży. Wracam na tę wspaniałą drogę z betonu. Spuszczam się długą serpentyną wdół, ku miastu Wilkes Barre. Oczom przedstawia się miły widok. Na zboczach wzgórz ścielą się liczne domki i małe osady górnicze, „patche" zwane. Wśród nich sterczą szyby i zabudowania kopalń. Olbrzymie nasypy czarnego węgla świadczą o mrówczej pracy naszych polskich górników. Tu i ówdzie strzelają ku niebu wieże kościelne z pozłacanemi krzyżami. Widać, że to lud nietylko pracowity, ale bogobojny. Przy drodze zauważyłem płowe łby i twarze polskie. Na sklepach nazwy i napisy polskie a nawet na-

potkałem afisz, głoszący kandydaturę Polaka na urząd „szeryfa" czyli konstabla powiatowego.

W Zagłębiu Scranton Polacy tworzą bardzo poważną siłę polityczną, z którą inni się liczą.

Docieram do stolicy zagłębia węglowego — Scrantonu. Właściwie wciąż jadę przez szereg wiosek górniczych. Domki małe, sklepiki skromne, szkoły i kościoły schludne; polskie twarze, polskie dzieci i rodzinna mowa rozbrzmiewa na każdej ulicy. Z powodu bezrobocia na ulicach wałęsa się dużo młodzieży i ludzi w sile wieku. Czekają „aż się czasy poprawią", i będą znów z ziemi wydobywali czarny, twardy węgiel.

W muzeum miejskiem w Wilkes Barre, jako drogocenną relikwję, przechowują „rusta" mały piecyk, w którym pewien miejscowy lekarz po raz pierwszy palił twardym węglem.

Scranton nazywają „stolicą" Zagłębia. Jako duże miasto przemysłowe, nie ma nic ciekawego dla turysty. Chyba tylko to, że tu mieści się główna kwatera niezależnego kościoła z „biskupem" Hodurem na czele. Nie tak dawno, niezależnicy obchodzili dwudziestopięciolecie swego założenia. Jak na polską sektę, to i tak dużo.

Na powstanie niezależnictwa w Ameryce złożyło się kilka czynników. Wykolejeni księża i ex studenci, szukający łatwego kawałka chleba, to jedyni Świeccy „mędrale" i niedowarzone półgłówki, — dawniej przeważnie „saluniści - karczmarze", którym się porządki kościelne nie podobały, to drugi. Trzecim czynnikiem — to biskupi katoliccy, którzy, potrzeb wychodźctwa i psychiki polskiej nie znali lub znać nie chcieli! Gdziekolwiek zachodziły nieporozumienia w katolickich parafjach, tam zakładano niezależne parafje. To się wielce przyczyniło do osłabienia wpływów i znaczenia wychodźctwa polskiego. Nieraz najprzód powstawały parafje niezależne, a potem dopiero ajryscy biskupi, raczyli się zgodzić na zakładanie polskich rzymsko-katolickich kościołów. Ponieważ jest to temat bardzo drażliwy, więc też zostawiam sprawę innym do gruntowego zbadania i szczegółowego opisu.

Droga ze Scrantonu do Towanda i Waverly, w kierunku północno-zachodnim, jest jedną z najpiękniejszych, jakie dotychczas spotkałem. Prowadzi szczytem wzgórz Alleghany, jakie dwa tysiące stóp ponad poziom morza. Po lewej stronie wije się

srebrzystym pasem rzeka Susquehanna. Dolina rzeki wszędzie poszachowana uprawnemi polami i rozrzuconemi po nich zabudowaniami farmerskiemi. Tu i ówdzie mijam piękne miasteczka o nazwach indjańskich jak Tunkhannock, Meshoppen, Wayalusing.

Na jednem z prześlicznych wzgórz, podziwiając cudny krajobraz, zauważyłem pomnik z bronzową tablicą. Dowiaduję się, że w dolinie rzeki Susquehanna, w tem miejscu, założyły osadę arystokratyczne rodziny francuskie, uchodząc przed pożogą rewolucji. Znajdowało się w niej sześćdziesiąt domów, młyn do mielenia mąki, browar — to bardzo ważne — kaplica i sklep. Koloniści przypuszczali, że im się uda sprowadzić tu królowę Marję Antoninę i uratować ją przed gilotyną. W późniejszych czasach książę orleański, Ludwik Filip, ostatni król francuski, zwiedził te miejscowość, po której dziś nie pozostało ani śladu. Tak rewolucja francuska swe znamię pozostawiła nawet w dziewiczych lasach Pensylwanji.

W Waverly znów przekraczam granicę i wjeżdżam z powrotem do stanu Nowego Jorku, który co tylko wczoraj opuściłem. Jest to bardzo malownicza i historycznie ciekawa część stanu, zwana „Finger Lake Region". Lodowce zostawiły w niej niezatarte ślady w sześciu głębokich i jak kryształ czystych jeziorach. Nazwy tych uroczych tafli wodnych po polsku wymawiają się jak następuje: Kananigła, Kiuka, Seneka, Kajuga, Ołasko, Skaneateles. Są to nazwy szczepów indjańskich, kiedyś w tych okolicach zamieszkujących. Tworzyli potężną ligę indjańską, pod nazwą Iroquois. Posiadali oni wyższą kulturę od innych szczepów. Mieszkali w domach z drzewa budowanych, przytem zajmowali się uprawą roli i hodowlą owoców. Politycznie byli sprzymierzeńcami Anglików, chociaż prawdę mówiąc, „bladych twarzy" nienawidzili.

Te dzikie plemiona przysporzyły Kościołowi „pierwszych amerykańskich męczenników". Jezuici francuscy, na sto lat przed wojną o niepodległość, pracowali wśród tych plemion. Kilku z nich, po okrutnych męczarniach, w tych uroczych okolicach, krew swą za Wiarę przelało. Na każdym kroku napotykać będziemy pamiątki i historyczne wspomnienia o pionierach francuskich, chociaż teraz panoszą się w tych miejscach — Ajrysze.

Największe ze sześciu jezior jest Cayuga — Kajuga. Czterdzieści mil długie, półtorej mili szerokie i czterysta trzydzieści

stóp głębokie. Najgłębsze z nich jest Seneka sześćset ośmnaście stóp, a tylko trzydzieści sześć mil długie. Mógłbym podać dokładną statystykę ile i jakie gatunki ryb każde ze sześciu jezior zawiera, ale cóż to pomoże, jeżeli czytelnicy ich łowić nie myślą.

Okolica prześliczna. Rolnictwo, przedewszystkiem hodowla bydła i owoców jest tu bardzo wysoko rozwinięta. Nad rzekami i przy drogach kwitną rzędy wspaniałych akacyj, przyjemną wonią napełniając okolicę. W powietrzu słychać nie tylko śpiew ptactwa, ale brzęk pszczół, które słodki i wonny nektar zbierają do uli, aby cudownym sposobem przeistoczyć go w najdelikatniejsze miody.

Uroczą doliną wjeżdżam do pięknego miasteczka Ithaca, położonego na końcu jeziora Cayuga. Na wzgórzu ciągną się bogate zabudowania uniwersytetu Cornell. Przy zachodzącem słońcu cudny tworzą widok te artystyczne świątynie wiedzy, gdy promienie słoneczne załamują się w potężnych wieżach, łukach i gotyckich dachach pokrytych patyną.

Znajduje się w tem mieście słynna fabryka broni, której specjalnością są kunsztowne strzelby. Właściwością takiej „dwururki“, noszącej miano „Ithaca Gun“, jest to, że jeżeli z niej „wygarniesz“ do zająca, śrut będzie za nim gonił tak długo, aż go ewentualnie „chyci“ i uśmierci. Ma się rozumieć, że „mądry i przebiegły“ zając nigdy właścicielowi takiej dubeltówki przed ślepie nie wyłazi. Jeżeli mu się to przytrafi, to tylko raz w życiu, gdyż lekkomyślność zwykle śmiercią przepłaci, chyba że jest bardzo przemyślny i szczwany. Taki, to po wystrzale momentalnie zmienia kierunek biegu, com na własne oczy zauważył, jak to sprytne zające podczas polowania czyniły. Nasz kochany Kornel Makuszyński nawet bez takiej dubeltówki, ale tylko przypadkowo jednego upolował, gdy w dzikim zawrocie „walnął łbem o drzewo, aż go zamroczyło“.

Za miastem, na wzgórzu, z przepięknym widokiem na jezioro, zbudowano imponujący, w stylu gotyckim, przytułek dla starców, pod dyrekcją organizacji protestanckiej — Indpendent Order of Foresters. Zakwaterowałem się na tem wzgórzu, w małych przydrożnych kabinach, bawiąc oko cudnym zachodem słońca. Nocuję w miejscu, gdzie kiedyś dymiły ognie obozowe czerwonoskórych. Zostały po nich tylko nazwy i wspomnienia...

Okolica słynie nie tylko z głębokich i jak kryształ czystych jezior ale ma także liczne wodospady. Zaraz u samych wrót miasta Ithaca, główną atrakcję małego parku stanowi wodospad „maślankowy" — Buttermilk Falls. Szkoda tylko, że rzeczka niez-



Wodospad rzeki Jellonstone.

byt wielka, przytem w sezonie letnim bardzo chudziutka, więc mi zbytnio nie imponuje, ale zawsze ma swój urok. W basenie, u stóp wodospadu, kąpią się dzieci.

Kilka mil za miastem jest głęboki jar ze ślicznym wodospadem, Taughannock Falls, 215 stóp wysokości, a więc wyż-

szym od Niagary, tylko ma się rozumieć, co do wody, daleko mniejszy. Po zwiedzeniu jaru i wodospadu, ruszam w kierunku północno-zachodnim, do brzegów sąsiedniego jeziora Seneca. Przez czterdzieści mil sunę blisko jeziora, z obu stron otoczonego sadami i wspaniałemi zabudowaniami farmerskiemi. Tuż przy drodze napotykam trzeci z rzędu piękny wodospad „Hector Falls". Dosyć duża rzeczka, licznemi a niezbyt wielkiemi tarasami i kaskadami spada w głęboki jar i łaczy się z jeziorem. Załączona fotografja najlepiej ten wodospad opisze.

Główną atrakcję okolicy stanowi głęboki, półtorej mili długi parów, zwany Watkins Glen. Znajduje się przy miasteczku tejże nazwy. Stan wydał dużo pieniędzy, aby to miejsce upiększyć i oddać do użytku, a właściwie dla przyjemności obywateli i turystów, którzy ze wszystkich stron licznie tu przybywają. Wygodne ścieżki, wiszące mosty, w skale wykute tunele prowadzą turystę wśród jaru nad brzegiem małego strumyka. Mówią, że kropla wody skałę wydrąży. Podziwiam to, czego mały strumyk dokonał, niezmordowanie pracując przez wieki całe. Małe wodospady, kaskady, zatory, złomy skały wypolityrowanej wodą o ścianach prostopadłych, dwieście stóp wysokości, wzbudzają zachwyt turysty. Watkins Glen jest minjaturą Grand Canjonu rzeki Colorado, który wkrótce zwiedzimy.

Ruszam w dalszą drogę do miasta Erie, położonego nad jeziorem tejże nazwy. Po godzinnej jeździe wracam do Pensylwanji na drogę Nr. 6, zwaną „Roosevelt Highway". Nie jest ona tak malownicza, jak jej część ze Scranton do Waverly, ale zawsze drzewem pokryte wzgórza, szumiące potoki, a nawet dosyć szerokie rzeczki mają swój urok. Jest to właściwie rezerwacja leśna. Potężne sosny już dawno padły pod ciosami drwali; zostały tylko zarośla, ale może i z tych wyrosną lasy. Droga elegancka, prawie cała z betonu. Miasteczka i wioski nieliczne, zabudowania tubylców biedne. Przypuszczam, że ci ludzie nie wiedzą, co to jest farba, bo budynki gołe i odrapane.

W północno-zachodniej części stanu, jakie sto mil od jeziora Erie, napotykam studnie ropy. W tych okolicach, w miasteczku Titusville, inżynier Drake w roku 1872?, wywiercił studnię i dał nam pierwszą ropę w Ameryce. W stanach zachodnich jak Wyoming, Oklahoma, Texas, mamy t. zw. „gushers", gdzie nafta częstokroć bije w górę jak potężna fontanna; tu maszynami

pompują ropę niby wodę. Produkcja takiego „pompera“ wynosi od kilku do kilkunastu, a rzadko kilkudziesięciu beczek dziennie. Zato jeżeli wydajność co do ilości jest mniejsza, to gatunek jest najlepszy, dający pierwszorzędną gazolinę i smary. Około Warren natrafiłem na małą rafinerję i dosyć liczne zbiorniki ropy.

Po przebyciu dwustu dwudziestu mil, stanąłem obozem w górach. Chociaż to początki czerwca i gorączka dała się kilkakrotnie we znaki, jednak na wysokości przeszło dwu tysięcy stóp ponad poziom morza, jest chłodno. Miejscowi farmerzy starannie na noc pookrywali nieliczne sadzonki pomidorów i jarzyn, chroniąc je przed przymrozkiem. W kwaterze wypoczywałem przy miłem cieple pieca, opalonego gazem ziemnym.

Rano ruszam w dalszą drogę do Erie, o sto mil odległego. Jest ono jak na Amerykę, stare miasto, gdyż przeszło sto kilkadziesiąt lat liczące. Położone nad brzegiem jeziora Erie, a wywodzi swą nazwę od szczepu Indjan — Eries.

Miasto liczy około sto tysięcy mieszkańców, w tem dosyć liczna, stara kolonja polska, z ks. prałatem Ignasiakiem na czele. Poza miastem księża Misjonarze św. Wincentego à Paulo zbudowali ładne kolegjum św. Jana Kantego. Wychowują tu zastępy młodzieży w duchu katolickim i polskim. Obecnym rektorem jest bardzo sympatyczny i gorliwy kapłan, a mój osobisty przyjaciel, ks. Józef Studziński. Poza pracą w kolegjum, do którego uczęszcza stu kilkudziesięciu uczni, księża Misjonarze wydają miesięcznik „Skarb Rodziny“ i poświęcają się pracy misyjnej.

Erie, położone na głównym traktacie handlowym między Nowym Jorkiem, Buffallo, Cleveland, Chicago i dalszym Zachodem, robi wrażenie bardzo dodatnie. Ulice czyste, sklepy wzorowe, a dzielnice tak zamożniejszych, jak i biedniejszych obywateli, są schludne. Domki i bogate mieszkania otoczone drzewkami, okolone krzewem i kwiatem.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje park stanowy, na wydmie piaszczystej, podobnej do kilkumilowego palca, wepchniętego w głąb jeziora. Francuzi nazwali go Presque Isle — niemal wyspa.

W małej zatoce tego parku zwiedziłem pierwszy na świecie stalowy okręt wojenny. Płyty okrętu zrobiono w Pittsburgu; tu je sprowadzono i cały okręt niemi okuto. Ten stary weteran, zamiast śruby, ma po bokach olbrzymie koła. Typ ten dawniej

powszechnie używany, teraz się tylko spotyka na rzece Missi-ssippi. Na żadnej wojnie nie był, bitwy z nikim nie stoczył. To tylko jeden z tysięcy okrętów, budowanych przez wszystkie mocarstwa za drogie pieniądze. Po kilkunastu latach wychodzi z mody, sprzedadzą go na szmelc lub użyją na tarcze dla now-szych i silniejszych okrętów wojennych.

Na samym cyplu przylądka jest pomnik ku czci Commo-dora Perry'ego, bohatera bitwy, którą stoczył w roku 1813 z okrę-tami angielskiemi, w pobliżu miasta Sandusky. W tej wojnie z An-glją dostaliśmy porządnie po skórze. Zwycięstwo Perry'ego było jedną z niewielu jaśniejszych kartek po mazgajsku prowadzonej wojny. W Erie Commodore Perry zbudował swe okręty wojenne. Proch i kule sprowadzono wozami zaprzężonemi we woły aż z Wilmington Delaware.

---

Rozdział III.

## OHIO.

Pierwszorzędną drogą, wzdłuż jeziora Erie, opuszczam Presfue Isle, i jadę do stanu Ohio i miasta Cleveland, na pierwszy kilkudniowy postój.

Zanim ruszę w dalszą drogę, nie zawadzi powtórzyć sobie krótką lekcję z geografji. Czynię to tem chętniej, że w tym przedmiocie w szkole byłem zawsze „silny". Otóż półkula zachodnia — dzieli się na dwa kontynenty, północny i południowy. O południowym, podobnym do olbrzymiej marchwi, nawet wspominać nie będę. Zato poświęcę trochę czasu północnemu. Sam środek od oceanu do oceanu, niby przekrój jakiejś ogromne szynki, zajmują Stany Zjednoczone. Część północna zimna, bezludna, została w ręku angielskiej monarchji. Południowa zaś górzysta, gorąca jeszcze „chwilowo" jest własnością Meksykańczyków. Nasze finansowe polipy już dawno swe macki głęboko zanurzyły w ich kopalniach srebra, złota, miedzi, a przedewszystkiem oleju, i trudnoby było je stamtąd wyciągnąć. Najlepszą część tego kontynentu, w strefie umiarkowanej, — tu mówię o klimacie a nie o piciu, bo pod tym względem, mimo prohibicji jesteśmy zawsze w strefie nieumiarkowanej — zajmuje Rzeczpospolita Stanów Zjednoczonych.

Stanów, z których się nasza Rzeczpospolita składa, większych i mniejszych, bogatszych i uboższych, ludnych i bezludnych, suchych i mokrych, mamy czterdzieści ośm. Dlatego sztandar amerykański ma czterdzieści ośm gwiazd; jedną na każdy stan, a trzynaście pasków, jeden na każdą kolonję objętą walką o niepodległość. Zresztą nie historję, ale geografję chcę tu objaśnić. Mówię o sztandarze jedynie jako „powtórkę" tego, com o tym temacie mówił na licznych wiecach w Krakowie, i jego

okolicy w styczniu 1919 roku, zazaz po wojnie. Widziałem wtenczas takie „amerykańskie flagi“ o jakich się nawet Amerykanom nie śniło.

Przestrzeń — od oceanu do oceanu, wynosi przeszło trzy tysiące mil. Polska ongiś sięgała od morza do morza, — my tutaj już na większą mierzymy skalę — od oceanu do oceanu. Pomnóżcie długość przez ośm i podzielcie przez pięć, a będziecie mieli około pięciu tysięcy kilometrów. Od granicy kanadyjskiej, do zatoki meksykańskiej jest jakie tysiąc sześćset mil. Wymiar podaję tylko w przybliżeniu, gdyż nam tu o parę set mil czy w jedną czy w drugą stronę nie chodzi. Mamy „gruntu“ dosyć. Tylko z tem bieda, że rolnicy, co po „polsku“ się pisze „farmerzy“ na tem wszystkiem bankrutują i nie mają sobie za co kupić gazoliny do samochodów i „traktotów“ — ciągów.

Wzdłuż brzegu atlantyckiego, w równoległej linji do oceanu ciągnie się szeroki pas gór o przeciętnej wysokości dwu tysięcy stóp ponad poziom morza. Poszczególne odcinki tego pasa mają swe nazwy. W stanie nowo jorskim nazywają się Adirondaks, najstarsze na tym kontynencie. Tak przynajmniej twierdzą geologowie, chociaż ich metryki nikt jeszcze nie oglądał. Następnie idzie przez Pensylwanję pas węglonośny i olejodajny gór Alleghańskich, potem Cumberland z rozmaitemi odcinkami, dodatkami i nazwami. W szczegóły się tu nie bawię.

Poza tym murem obronnym ciągnie się szeroka dolina rzek: Ohio, Mississippi i Missouri. Ten urodzajny i bogaty pod każdym względem szmat ziemi, obejmuje kilkanaście stanów i powiedziałbym tworzy sedno państwa. Na zachodniej stronie olbrzymich stepów, około tysiąc pięćset mil szerokich, mamy od północy ku południowi ciągnący się pas gór Skalistych i z niemi sąsiadujących, śniegiem krytych Sierras.

Poza niemi znów stoki zachodnie, olbrzymiemi lasami pokryte, tworzą cudny pas dolin stanów Washingtonu, Oregonu i Kalifornji. Tam z jednej strony góry panują odwieczne śniegi, a z drugiej dojrzewają pomarańcze i tropikalne owoce. Na tem kończę chwilowo lekcję geografji i wracam do naszej tury samochodowej.

Kilkanaście mil na zachód od Erie jest granica, oddzielająca Pensylwanję od Ohio, którego nazwa w narzeczu indjańskiem oznacza: piękną rzekę.

Topografja się zmienia.

Opuszczam góry Alleghany, a wkraczam w wielką, urodzajną i malowniczą dolinę rzeki Ohio, jednej z wielkich dopływów rzeki Mississippi zwanej „ojcem wód". Rzeka Ohio jest spławna aż do miasta Pittsburga i tą drogą wdzierali się pierwsi koloniści francuscy i angielscy. Gdzie okiem rzucisz, wszędzie przed tobą ścielą się zamożne gospodarstwa. Mijam zielone łąki i równiutkie pola koniczyny, łany bujnej, dojrzewającej pszenicy. To przecież czas sianokosu. Dlatego drażni nozdrza miodosytna woń koniczyny i lucerny.

Mijam szybko większe miasta, Connaught, tuż na granicy dwu stanów położone, następnie Ashtabulę, z dogodnym portem dla ogromnych okrętów, naładowanych rudą żelazną z północnej Minnesoty, Michigan i Wisconsin. Te dwa portowe miasta dostarczają rudy stalowniom w Pittsburgu i okolicy.

Trzymając się brzegu po parugodzinnej podróży, przebiegłszy liczne miasteczka, wjeżdżam do Cleveland, jednego z najbardziej przemysłowych miast Ameryki. Zdaje się, że co do ludności, stoi na szóstem miejscu. Na pierwszem oczywiście jest i zapewne zawsze będzie, „Nowa Jerozolima", a właściwie chciałem powiedzieć — Nowy Jork.

Magnesem, który mnie tu często od lat przyciąga, jest bardzo sympatyczna, serdeczna, gościnna i szczeropolska rodzina Kocińskich. Tu jeszcze za czasów wojennych stawałem kwaterą, doznając już dziś poniekąd wyjątkowej staropolskiej gościnności. Jak po inne lata, wstąpiłem w gościnne progi, odnawiając dawne znajomości i przyjaźnie.

Trzeba wiedzieć, że Cleveland ma starą i liczną kolonję polską, przeszło sto trzydzieści tysięcy dusz. Jedenaście parafij daje im obsługę religijną, szkoły wciąż jeszcze utrzymują ducha i język polski u dorastającej młodzieży. Za największą nie tylko w Cleveland, ale zdaje się w całej Ameryce, uznają parafję św. Stanisława. Do szkoły uczęszcza przeszło trzy tysiące dzieci. OO. Reformaci z ks. Kałamają na czele, prowadzą tu zbożną pracę.

Miasto wywodzi swą nazwę od inżyniera Clevelanda, który w tej okolicy, sto lat temu, przeprowadził wymiary terenów dla Connecticut Land Co. Wtenczas płacono tu za akier ziemi — morga wynosi jeden i ćwierć akra — czterdzieści centów. Przy

ujściu stosunkowo niewielkiej rzeki, Cuyahoga, wymawia się „Kajoga„ założył pierwszą osadę.

Cleveland znalazło się przypadkowo na głównej linji handlu, między wschodem i zachodem. Prócz tego, przecina je potężna linja transportu żelaza ze stanów północnych i węgla ze stanów na południe i wschód położonych. Dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi wypadków, rozrosło się na jedno z naszych największych miast przemysłowo-handlowych.

Dolina tej rzeczki o indjańskiej nazwie, przerzynająca miasto na dwie połowy, dymi, niby jakaś czeluść piekielna, kominami olbrzymich stalowni i fabryk wszelkiego rodzaju.

Słynny John D. Rockefeller chodził tu do szkoły, która jeszcze teraz służy młodzieży. W Cleveland założył na cały świat znany trust Standara Oil Co. Okolica jest zapełniona licznemi rafinerjami i zbiornikami nafty.

Cleveland liczy przeszło miljon mieszkańców. Polacy w tem miljonowem mieście posiadają liczne, chociaż niewielkie sklepy spożywcze, składy z ubraniem, meblami i wszelkiemi potrzebami domowemi. Mają również cały zastęp lekarzy, adwokatów, a nawet jednego sędziego. Dwa dzienniki czuwają nad sprawami polskiemi. „Monitor" jest niby prawicowy w swych poglądach politycznych, a „Wiadomości Codzienne" służą lewicowcom i jak ich tu nazywają „bebesom".

Na uwagę zasługuje olbrzymia stacja kolejowa z wieżą przeszło siedemset stóp wysoką. Siedm linij kolejowych ma tu główną kwaterę i administrację. Pozatem wspaniale urządzone restauracje, poczekalnie i wszystko co należy do nowoczesnego ruchu kolejowego w podziw wprawia gościa. Ma to być „dernier mot" jako środowisko ruchu kolejowego. „Cleveland Union Station", tak się bowiem ta wspaniała grupa gmachów nazywa, tworzy swego rodzaju ognisko, około którego w pewnym porządku grupują się nowoczesne hotele, banki, biura, sklepy i inne handlowe instytucje.

Na skwarze, w śródmieściu jest godzien uwagi piękny pomnik na cześć żołnierzy z wojny Domowej. Olbrzymie bronzowe figury heroicznych rozmiarów przedstawiają fragmenty bitew z tej krwawej, bratobójczej walki.

W innej części miasta, niby w olbrzymim parku, Euclid Avenue, zbudowano w klasycznym stylu muzea, akademje, uni-

wersytet, szpitale, konserwatorja, teatry, opery, audytorja i inne przepyszne gmachy do użytku publiczności. Wiele z nich wystawiono sumptem tutejszych miljonerów.

W jednym ze szpitali, niedawno, zdarzył się tragiczny wypadek, przypominający sceny z ostatniej wojny. Mały pożar zniszczył skład filmów, używanych do zdjęć promieniami Roentgena. Trujące gazy momentalnie objęły korytarze i sale szpitalne, powodując natychmiastową niemal śmierć stu kilkudziesięciu osób.

W parku, obok muzeum sztuk pięknych, znajduje się pomnik Tadeusza Kościuszki, z bronzu odlany. Naszego bohatera wyjątkowo upamiętnili w stroju narodowym, z krakuską na głowie i z szablą w górę wzniesioną. Jest to dar od Polonji Cleveandzkiej, która pod kierownictwem Ks. Kołaszewskiego pomnik ten swemi ofiarami postawiła.

Lubię zwiedzać galerję sztuk pięknych. Nawet posiadam kilka arcydzieł pędzla znanych polskich malarzy. Nie omieszkałem więc zajrzeć do tutejszego wspaniałego muzeum o linjach klasycznych. Obejrzałem arcydzieła starych mistrzów włoskich, flamandzkich i innych. Były tam kopje niektórych z lepiej znanych rzeźb greckich i nowoczesnych. Przed samem muzeum jest reprodukcja słynnego „Myśliciela“ Rhodina, takąż później spotkałem w Detroit.

Wszedłem do sali z napisem: „Obrazy nowoczesnych artystów amerykańskich“ Obstupui! Zdumiałem, że takie paskudztwa, skończone świństwa i najgorszego gatunku bohomazy paradują, jako sztuka i wiszą, już nie mówię w tej samej sali, ale w bliskiem sąsiedztwie, pod jednym dachem z mistrzami świata. Widziałem tam figury, przeważnie nagie, uda wypukłe nogi koszlawe, piersi potworne, nosy dziobate — hakowate, mordy do których nawet najpotworniejszy bolszewikby się nie przyznał. Dobór kolorów, to poprostu jakaś pijana chlapanina czerwonych, zielonych, niebieskich farb.

Że z zasady kląć nie lubię. Czynię to tylko w nagłej potrzebie, gdy n. p. chciałem w Krakowie pociąg zatrzymać, a w Poznaniu, w Banku Związku czek zmienić, pozatem — tylko pro bono publico. Gdym jednak ujrzał takie paskudztwa, to, jak pewien penitent powiedział: „zakląłem ciężkim grzechem“,

na taki zwyrodniały, powiedziałbym, sparszywiały smak i gust dyrektorów muzeum.

Gdyby to malował, a właściwie nabazgrał, chłopak z trzeciej klasy, w mej szkole, sprałbym mu „sempiternę", że nie usiadłby na niej przez tydzień. W Detroit, gdym na takie same świństwa natrafił, jeden ze stróżów mi powiedział, że to bardzo piękne i szczególnie polecał jedno z tych straszydeł. Opowiadał ów stróż, że „artysta" twórca tego obrazu, był kiedyś kowalem, zamiataczem ulic, majtkiem na okręcie, później malował stodoły, nareszcie, nie mogąc widocznie uczciwie na kawałek chleba zapracować, farbował płótno i został wielkim malarzem-artystą. W tych obrazach, mówił ów wielbiciel od zamiatania podłogi, można wszystkie poprzednie fachy artysty odgadnąć. Myślę sobie, może być, ale potrzebaby mieszkańca z domu obłąkanych, by w tem znalazł jakiś ład, porządek i zdołał taki zachlapany rebus rozwiązać.

Cleveland szczyci się olbrzymiem polem lotniczem, obejmującem ponad tysiąc akrów. Otóż, zeszłego roku, odbyły się tam międzynarodowe popisy. Zebrała się spora gromada tego ludzkiego ptactwa. Nie brakowało nawet bardzo zdolnego polskiego przedstawiciela. W białym samolocie, niby prawdziwy polski orzeł, z zadziwiającą szybkością wzbijał się w powietrze, by potem, jak kula, spuszczać się na lotnisko i w szalonych zawrotach znów ginąć gdzieś poza horyzontem. Clevelandzka Polonja licznie wystąpiła na tych popisach i biła oklaski rodakowi.

Mimo próśb mych serdecznych przyjaciół ks. Józefa i doktora Henryka Kocińskich, chcących za wszelką cenę mnie tu dłużej zatrzymać, musiałem puścić się w dalszą drogę. Opuszczając Cleveland, mam pojęcie z jakiemi to pokusami walczył Ulisses, gdy go swym śpiewem i muzyką wabiły nadobne syreny.

Dałem gruntownie zmontować i przepatrzeć samochód, więc też poprostu, niby dobrze wypoczęty wyścigowiec, spieszy się i niemal wyrywa z pod ręki. Żegnając gościnne progi Clevelandu i rodzinę Kocińskich, wyjeżdżam z miasta drogą Nr. 6, która tu chwilowo przybiera całkiem słusznie miano „Lakeside Bulevard". Po obu stronach ślicznego bulewaru stoją wspaniałe rezydencje bogatych obywateli miasta, otoczone kwieciem i drzewami.

Nad brzegiem jeziora spieszę ku miastu Lorain położonego o jakie dwadzieścia mil na zachód od Cleveland. W porcie widać olbrzymie kadłuby okrętów, wyładowujących czerwoną rudę żelazną. W dali dymią kominy stalowni. Wiem, że tu jest dosyć liczna osada polska i ładna parafijka, jednak z braku czasu, nie zatrzymuję się.

Omijam miasto i doskonałą cementową drogą spieszę do Sandusky, leżące około trzydzieści pięć mil na zachód od Lorain.

Commodore Perry, w roku 1813, wziął się tu za bary z flotą angielską w pobliżu małej wysepki i dał im porządne lanie. Kilka statków zatopił, resztę rozproszył lub zabrał do niewoli. Nie przyszło mu to łatwo, gdyż stacił własny flagowiec i podczas bitwy dnia 10-go września 1813, przeniósł się na inny okręt i dopóty walczył, aż odniósł kompletne zwycięstwo. Po rozgromieniu przeciwnika, wysłał do rządu tę pamiętną depeszę: „We met the enemy and they are ours“ — Spotkaliśmy nieprzyjaciela — jest nasz.

Na wyspie South Bass Island, w zatoce Put in Bay, gdzie się odbyła ta dla nas pamiętna bitwa, ku czci dzielnego kommodora zbudowano okazały pomnik.

Miasto Sandusky, podobno założył Polak, Sadowski czy Sandowski, który się w te strony przed dwustu laty zabłąkał. Droga prowadzi przez środek miasta. W oczy wpadła mi piękna fontanna, przy niej bawiła się gromada dzieci. Starzy obywatele, w cieniu wspaniałych drzew, rozmawiali o panującej depresji. Dzień gorący, a słońce dopieka.

Dalsza droga wiedzie ku miasteczku Fremont, a stamtąd do Perrysburg i Maumee. Wszędzie widać urodzajne farmy. Ponieważ są to niziny, obfitujące w paszę dla bydła, rolnicy oddają się przeważnie hodowli bydła, produkcji mleka, masła i sera.

Dosyć często mijam bogate winnice. Dobrze się tu rodzą czarne winogrona t. zw. „Concord grapes“. Od czasu nastania prohibicji, obszary poświęcone uprawie winogron, tu i w Kalifornji, kilkakrotnie się powiększyły, aby dostarczyć soczystych gron do wyrobu wszelkiego rodzajn napojów. Najpopularniejszem jest wino czerwone zwane „dago red”, gdyż przeważnie Włosi je wyrabiają. Włochów tu nazywają „dejgusami“.

Perrysburg, miłe powiatowe miasteczko, nad rzeką Maumee sąsiaduje z miastem tejże nazwy na przeciwnym brzegu. Kiedyś były tu kresy zachodnie Ameryki. W roku 1680 Francuzi zbudowali w tej okolicy fort Maumee. Służył on jako jedno z ogniw, łączących posiadłości francuskie od Nowego Orleanu, wzdłuż rzeki Mississippi i Ohio, aż do Pittsburga.

Anglicy zabrali tę ziemię Francuzom, po zajęciu miasta Quebec, i byli jej panami od roku 1760 do 1796. Od tego czasu zostaje pod panowaniem Stanów Zjednoczonych. W tych stronach toczyły się walki między Anglikami i Amerykanami, a później między Amerykanami i Indjanami. Tu pułkownik Dudley dostał się w zasadzkę i sześćset żołnierzy zginęło z ręki czerwonoskórnych.

Kilkanaście mil od tych miasteczek, przy ujściu rzeki, leży duże miasto przemysłowe, Toledo. Wyrabiają tu samochody, świeczki i części do samochodów, wagi, rozpylacze, szkło, butelki. Znajdują się tu także duże młyny do mielenia mąki i paszy dla bydła. Wartość wyrobów tutejszych fabryk przekracza miljon dolarów dziennie.

Toledo ma starą kolonję polską, liczącą około dwadzieścia tysięcy dusz. Skupieni są w czterech dużych parafjach. Na wzmiankę zasługuje ogromne polskie przedsiębiorstwo drukarskie — Ameryka Echo. Właścicielem drukarni jest p. A. A. Paryski. Jeden z tutejszych proboszczów ks. Wachowski, znany jest ze swej pracy literackiej. Bardzo pięknie przetłumaczył na język angielski kilka polskich arcydzieł. John Willys, do niedawna ambasador amerykański w Polsce, ma tu ogromną fabrykę samochodów marki „Willys Knight". Ponieważ ten interes w ostatnich czasach nie bardzo prosperuje, zrezygnował ze swego stanowiska, zakasał rękawy i zabrał się do ratowania nadszarpanej fortuny.

Do miasta nie wstępuję, tylko je zdaleka omiłam, aby uniknąć szalonego ruchu samochodowego, jaki się we wszystkich środowiskach przemysłu napotyka. Byłem tu wiele razy podczas mej pracy narodowej i akcji ratunkowej po wojnie. Zdaleka nawet widać wysokie kominy fabryk, tu i ówdzie na horyzoncie majaczy ogromne cielsko murowanego kolosa fabrycznego. W Sylvania Siostry Franciszkanki mają klasztor.

Na noc zatrzymuję się w połowie drogi między Toledo i Detroit. W oczy się tu rzuca potężny ruch samochodowy. Co parę minut przejeżdżają z turkotem specjalnej konstrukcji samochody używane do trasportu automobilów. Za siedzeniem szofera są umocowane dwie szerokie szyny, a na tych mieszczą się trzy lub cztery samochody i to wszystko wali gdzieś na złamanie karku. Jedne nowiuteńkie jadą z Detroit w stronę Toledo, a inne znów, tylko odmiennej marki, wiozą do Detroit. Widać z tego, że nawet takie wielkie centrum samochodowe, jak Detroit, nie potrafi wszystkim gustom i guścikom dogodzić.

---

## Rozdział IV.

# DETROIT.

Rano czem prędzej pakuję manatki i ruszam w dalszą podróż do Detroit, słynnego na cały świat z fabryk samochodów. Nazwę dali mu Francuzi od położenia nad cieśniną — D'Etroit. Na kilkadziesiąt mil wzdłuż rzeki Detroit, mijam długi szereg fabryk Forda t. zw. Riwer [illegible] Plant. To stalownie, gdzie przetapiają rudę żelazną, wyrabiają tu także traktory i części składowe samochodów.

W Dearbon, Henry Ford, założył muzeum starożytności amerykańskich, które po całym kraju troskliwie zbiera i tu przynosi. Ford jest synem biednego farmera i były takie czasy, kiedy nie miał za co jedzenia kupić. Teraz dzięki swym „turlejkom", których już zbudował przeszło dwadzieścia miljonów, jest jednym z najbogatszych ludzi na kuli ziemskiej. Zadowoliłbym się jednym dolarem komisowego od każdego — forda.

Detroit od blisko czterdziestu lat jest w mojem pojęciu do góry nogami wywrócone. Gdym w roku 1894, jako jedenastoletni student, przybył do Seminarjum Polskiego, nie omieszkałem czem prędzej mego ojca zawiadomić, że „w Detroit słońce wschodzi na zachodzie" i wciąż mi się zdaje, że tak jest.

Quantum mutatus ab illo! Jak się tu wszystko zmieniło! Tam gdzieśmy jako studenci, po farmach, jabłka jesienną porą zbierali i pełnemi nogawicami znosili do kufrów, teraz jak okiem sięgnąć, rozbudowało się ogromne miasto, oddane produkcji wszelkiego gatunku samochodów.

Rozłożyło się olbrzymiem półkolem nad rzeką Detroit. Z Kanadą łączy je wspaniały most wiszący, zwany „Mostem Ambasadorów". Pod rzeką zaś prowadzi tunel dla komunikacji samochodowej i kolejowej. Dlatego też Detroitczanie nie odczuwają

zbytnio strasznych skutków prohibicji, mając pod bokiem „mokrego“ sąsiada.

Z samochodów tu wyrabianych najlepiej znane są następujące: Ford Packard, Dodge, Studebaker, ma także fabrykę w South Bend, Cadillac, Graham, Hudson i wiele innych pomniejszych gatunków. Z powodu panującej depresji bieda tu aż piszczy. Fachowy robotnik kiedyś dobrze płatny, hulał i bawił się, teraz bieduje i skwierczy. To zresztą do pewnego stopnia, odnosi się do całego kraju.

Podczas wojny i kilka lat po jej chwilowem zaprzestaniu, zwykli robotnicy zarabiali od pięciu do dziesięciu dolarów dziennie. Panienki chodziły do fabryk płóciennych w jedwabnych sukienkach i drogich futrach. Każdy miał własny samochód, zamożniejszy dwa, trzy i więcej. Dziś jeszcze mają samochody, ale nie mają za co gazoliny kupić. Panienki już się przyzwyczaiły do bawełnianych sukienek i pończoszek.

Jadę ulicą Woodward Avenue, jedną z wielkich arteryj miasta, niby szpicą olbrzymiego półkoliska. Jak się ona zmieniła od tej skromnej ulicy, którąśmy kiedyś, jako studenci, chodzili na przechadzkę! W śródmieściu zbudowano przy niej olbrzymie sklepy, hotele i wysokie gmachy biurowe. Opodal napotykam wspaniałe muzeum, a w niem, wśród arcydzieł sztuki, znów oglądam amerykańskie bohomazy, o czem już poprzednio wspominałem.

Znów przejeżdżam mimo drugiej kolosalnej fabryki Forda — Highland Plant. Za moich młodych lat, były tu tylko farmy.

Bardziej na przedmieściu mijam obszerny cmentarz, ogrodzony potężnym murem i żelaznemi sztachetami. Widocznie obawiają się, żeby jaki bogaty nieboszczyk stąd nie uciekł. Wspaniałe tu mają miejsce. Istny park, z tą małą różnicą, że zamiast w bogatych rezydencjach, zamieszkują w przepysznych mauzoleach. Zresztą niema obawy. Tamci „co byli“ nie uciekną, a żywym się do nich nie spieszy...

Celem mej wycieczki na przedmieście jest zwiedzenie kaplicy, zbudowanej ku czci św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Twórcą tego arcydzieła, które po ukończeniu ma kosztować siedmset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jest młody i „gorliwy“ kapłan Ks. Caughlin. Co niedzielę wygłasza on przez radio kazania „Urbi et Orbi“. Mówią, że ma kilka miljonów słuchaczy. Cieszy się wiel-

kiem powodzeniem, czego najlepszym dowodem jest to, że zebrał blisko trzysta tysięcy dolarów od słuchaczy. Za te pieniądze zbudował wspaniałą wieżę i przedsionek kaplicy z ciosu.

W przedsionku służącym tymczasowo za kaplicę jest piękny ołtarz z kararyjskiego marmuru, a w nim artystyczna statua biednej Karmelitanki. Na innem miejscu, pod szkłem, oglądam kamień wapienny, sprowadzony z góry Kalwarji. W szklanej



Kaplica w Detroit — fragment.

szafie obok są wywieszone szaty kościelne złotą nicią tkane z szesnastego wieku. Według przypiętej notatki, te starożytne zabytki szacują na sto tysięcy dolarów. W ścianie blisko ołtarza mieści się skarbonka na Ofiary. Ponieważ jej bronzowy otwór jest już porządnie porysowany, można wnioskować, że niejeden „kwoderek" i dolarek złożyli tam turyści i pątnicy — na dobre cele...

Nie tak dawno temu, kardynał O'Connell z Bostonu, publicznie „zjechał“ owego „loud speakera“ diecezji detroickiej. Ten atoli również publicznie oświadczył, że wszystkie Jego kazania są wygłaszane za aprobatą miejscowego biskupa J. E. Michała Galleghera, więc wszystko w porządeczku. „Wolno Tomku w swoim domku“. Nadmienić wypada, że biskup detroicki Gallagher czyta po polsku i jest Polakom dosyć przychylny i życzliwy, czegoby nie można powiedzieć o innych dostojnikach Kościoła.

Wracając z tego pięknego, jeżeli nie cudownego miejsca, zbaczam w stronę ulicy Forest i róg St. Aubin Ave.

Ileż to przyjemnych chwil spędziliśmy tu na szkolnej ławie?!... Ile miłych wspomnień ciśnie się do serca!... Kiedyś rozbrzmiewały tu głosy kształcącej się młodzieży. Na tem miejscu braliśmy się za bary z greką, łaciną, algebrą, trygonometrją, — której, nie mogłem nijak pojąć.

Gmach ze zwykłej czerwonej cegły, proste ławy sosnowe, wikt skromny i niezbyt obfity, a jednak duch wielki, potężny i polski ogarniał tę młodzież! Tutaj, chociaż na amerykańskiej zrodzeni ziemi, nabywaliśmy ducha polskiego. Na polskich ćwiczyliśmy się wzorach. Polskich czytaliśmy autorów!

Ileż to razy, do późnej nocy o naftowej lampie czytaliśmy Trylogję i Quo Vadis Sienkiewicza?!... Tu nam tłumaczono piękno i ducha poezji polskich wieszczów, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych. Tu słuchaliśmy i gościliśmy pipisarzy i patrjotów polskich, Tomasza Jeża i innych, poznawaliśmy historję narodu polskiego.

Pilnie studjowałem początek i przyczyny walk o niepodległość, od Baru i Kościuszki, do Langiewicza i Miechowa. Każdy z namaszczeniem czytał „Kosynierów“. Dokładnie znałem każde zwycięstwo oręża polskiego. Pomijałem klęski, gdyż to raniło młodzieńcze serce. Wierzyliśmy niezłomnie wszyscy, że, „Ta co nie zginęła“, jakimś dziwnym, a dla nas nie zrozumiałym sposobem, zerwie kiedyś kajdany niewoli. Nie zawiedliśmy się!...

Na najwyższem piętrze gmachu, na poddaszu Seminarjum polskiego, była mała sala i scena. Kilka razy do roku Towarzystwo Literackie Św. Kazimierza, do którego także należałem, urządzało obchody narodowe i przedstawienia amatorskie. Jak często grywano tam „Kościuszkę pod Racławicami“, „Kilińskiego“,

„Karpackich Górali", i inne sztuki narodowe!... Sam przecież byłem „tym Wojtkiem, co miał piki w gołębniku".

Wyobraźcie sobie, mili czytelnicy, jakie mną radosne miotały uczucia, gdy w mundurze kapelana armji gen. Hallera przybyłem do oswobodzonego Poznania. Tam, w Małym Teatrze, grano tego samego „Kilińskiego"?!... Serce me poprostu wyło z radości... Dziś, gdy to piszę, oczy łzami zachodzą...

Jak mówię, nie mieliśmy tu rozkoszy. Nieraz ś. p. ks. Józef Dąbrowski, powstaniec z 63-go roku, założyciel i rektor Seminarjum polskiego, przychodził wieczorem, do przygotowawczej sali, i prosił, abyśmy pisali do rodziców po pieniądze, „bo nie było za co chleba kupić".

Takie to były czasy!... Tacy to byli kochani, a dzielni ludzie — bohaterzy — patrjoci!... Za psie pieniądze młodzież kształcono. Sto pięćdziesiąt dolarów na rok wynosiło utrzymanie i wykształcenie chłopaka. A wielu i tej skromnej sumy płacić nie mogło. Jedni tylko sto płacili, inni pięćdziesiąt, a inni za darmo.

Byli tam malcy, smarkacze, a przy nich na jednej ławie zasiadali ludzie trzydziestoletni. Taki musiał naprzód iść do kopalni węgla lub fabryki, aby sobie na naukę zarobić. Pod wąsem niejeden przybył, tylko je zaraz na drugi dzień zgolił. Nieraz, malec w krótkich spodniach, uczył łaciny dryblasa, który mógłby być jego ojcem.

Byłem najmłodszym w klasie, bo miałem lat jedenaście i kilka miesięcy. Najstarszym był Karol Serocki, lat trzydzieści pięć. Ten sprzedał interes rzeźniczy, aby się uczyć na księdza. Tępo mu szło, ale celu dopiął. Od lat wielu jest gorliwym i wzorowym kapłanem, aż hen nad oceanem Spokojnym. Poważaliśmy go bardzo, gdyż osobiście znał jednego z największych bohaterów-bandytów Amerykańskich, Jessie Jamsa, (wymawia się — Dziesy Dziejmsa). Świetnie przytem jeździł na koniu, w niczem nie ustępował „cowboyom" z którymi żył w przyjaźni w okolicach miasta St. Joe, Missouri.

Zwykle o czwartej po południu dla nas malców wystawiano kosz z odrzynkami suchego chleba. Jak to smakowało! Miałem wtenczas jedną ambicję, aby kiedyś zebrać dosyć pieniędzy i codziennie kupować „cream pufsy" — są to ciastka nadziewane śmietaną. Tylko raz takie ciastko jadłem. Rzadko się zdarzało, abym sobie mógł zafundować z sąsiedniego sklepu p. Detlaffa,

za pięć centów bułek i kiełbasy. Zwykle dwóch składało się po „niklu“, aby sobie taki syty bankiet zafundować.

Nieboszczka mama wpadała w cielęcy zachwyt nad moją sztuką krawiecką. „Portki“ zawsze na kolanach miały dziury, łatałem je na „obręb“, bo to już nie puściło. Zamiast guzików, używało się do tychże portek — gwoździ, bo to także trzymało fest. Ubranie kupowano mi na „wyrost“. Do roku wszystko było za krótkie. Rosłem jak tyczka.

Nie mogę pominąć mego pierwszego publicznego występu. Byłem już wtenczas uczniem drugiej klasy. Znałem się osobiście z Neposem i kilku Grekami w Helladzie i Sparcie zamieszkującymi. Swoją drogą, Spartanie więcej mi od tamtych imponowali, bo to byli w swym rodzaju sportowcy i pyskotłuki, dla których każdy amerykański chłopak ma szacunek i uwielbienie.

Otóż, jako członek Tow. Literateckiego św. Kazimierza miałem na miesięcznem posiedzeniu wyrecytować wiersz „Tęsknota za Ojczyzną“. Niedługi to był wierszyk. Nauczyłem się go na pamięć. W niedzielę ubrałem się odświętnie i z wielkim niepokojem oczekiwałem popołudniowej godziny, w której się odbywały miesięczne zebrania.

W oznaczonym czasie, według porządku, przewodniczący mówi: „Następnym numerem w programie jest deklamacja“, „Tęsknota za Ojczyzną“, przez „Stanisława Iciek“. Wydostałem się z długiej, sosnowej ławy, czerwony jak stara panna, gdy się jej przypadkiem ktoś o rękę oświadczy. Wystąpiłem na środek klasy, skłoniłem się „licznej publiczności“, — było tego z jakie ośmnaście sztuk, włączając przewodniczącego. Wyrecytowałem z drżeniem pierwsze cztery wiersze i przez nieostrożność, spojrzałem na te czarne ławy i gromadkę studentów. Zdębiałem! Momentalnie, serce bić przestało. Wszystkie nerwy klapnęły na Amen! Pamięć, niby przestraszone ptaszę, odleciała gdzieś w zaświaty. Zaczęło mi się robić gorąco, potem chwytała mnie febra, trzęsła ograżka, bo przecież nikt inny mną nie trząsł, a wiem, że mi kolana dygotały, niby potępieńcom na sądzie ostatecznym!...

Na twarzy zaś, kiejby w jakimś kalejdoskopie, występowały wszystkie barwy tęczy, — najbardziej, to czerwona i blada. Gdyby mnie litościwi chłopacy hucznemi oklaskami z tej opresji nie wydarli, byłbym się „spocił“, ażby przez podłogę „ciekło“. Tego pierwszego występu nigdy chyba nie zapomnę, a wam, mili czy-

telnicy, tylko w największej tajemnicy opowiadam i jak najusilniej proszę, abyście się z tem nikomu nie wygadali.

Ej, były to złote czasy!... Wtedy student jechał z dwoma ubraniami i dwiema parami trzewików, ale za to miał pół kufra książek. Teraz uczeń zajeżdża do kolegjum samochodem. Ma kilkanaście ubrań, do tenisa, golfa, piłki nożnej, na występy towarzyskie, gry sportowe, ale za to gdzieś w kieszeni od kamizelki ma jedną małą książeczkę i to przeważnie do wypisywania czeków lub notatek podczas dancigu...

O tempora! O mores! Kiedyś brzmiała pieśń polska, narodowa, a najwyżej „Gaudemus igitur, juvenes dum sumus". Dziś na psiej fujarce wygrywają jakieś głupie, angielskie, sensacyjne miłostki. Kiedyś hartowano ducha w zakładach finansowo biednych, ale bogatych w ideały. Teraz wszędzie budują za miljony dolarów wspaniałe akademje z granitu, bronzu i marmuru. Wychowują w nich umysłowych karłów i skończonych bęcwałów.

Wybaczcie, żem się w tych miłych wspomnieniach dalekiej przeszłości zagubił... To nie ja, to serce me woła i błaga. Pisz! Pisz o tych błogich chwilach, o tych przemarzonych snach, o tych złotych ludziach, co już dawno odeszli do zapomnianych mogił!... A jednak wielcy oni i bogaci w pracę szlachetną i dla społeczeństwa pożyteczną.

Cóżto za wspaniała postać takiego ks. Józefa Dąbrowskiego!... Jeszcze go widzę w tej sutannie od starości zzieleniałej. To żołnierz-powstaniec! To kapłan-patrjota! To misjonarz i wychowawca kilku pokoleń wychodźtwa polskiego w Ameryce!!! Jeżeli komu, to jemu Polska powinna zbudować pomnik. Jemu nadać ten największy order i najwyższy stopień — Polski Odrodzonej! On ją tu swym czynem i poświęceniem wskrzesił, tu ją utrzymał do godziny Jej Zmartwychwstania!...

Z rzędu, przed oczyma staje drugi rektor i człowiek wybitnych zasług, ks. Witołd Bochaczkowski „Moje dziecko, smarkaczu jeden i błaźnie" — rym w pysk! Dziś byśmy ze łzami całowali te ręce jego, dawno skostniałe... Niejeden, na którego piersi błyszczą oficerskie i komandorskie krzyże Polski Odrodzonej lub lśnią prałatowskie purpury, z dumą opowiada — nie wyłączając skromnego autora — jak to kiedyś „Buhaczek dał mu po pysku" za jakieś studenckie sprawki. Jemu tylko zawdzięczamy to wspaniałe Seminarjum Polskie w Orchard Lake.

Taki profesor Romuald Piątkowski, już zgrzybiały od starości, biedak ale bogacz wielki, gdyż całe zastępy młodzieży naszej wychował i spolszczył. Mógłbym tu wyliczyć poczet cały ludzi dzielnych, prawych, świątobliwych, gorliwych, głębokiej wiedzy i niezłomnej wiary jak księża Godrycz, Cwiąkała, Kiślewicz, prof. Machnikowski i wielu innych.

Wszystko odeszło w zaświaty...

Z tych malców, z tych „smarkaczów“, i „błaznów“, powstały potężne szeregi pracowników gorliwych, ideowych, pełnych poświęcenia dla sprawy narodowej i kościelnej! Dziś nas wiek przygniata, a niegdyś płowe czupryny studenckie pokrywa siwizna... Cześć szlachetnej pracy! Temu zasłużonemu, a dawno zgasłemu gronu profesorów i rektorów seminarjum Polskiego! W imieniu tego, co we mnie i kolegach jest dobre, wzniosłe i szlachetne, jako dar wdzięczności rzucam na ich groby tę małą wiązanką słów rzewnych...

Dla nas Detroit było synonimem Seminarjum Polskiego. Wróciłem, aby raz jeszcze, może ostatni... popatrzeć na miejsce, gdzieśmy tyle lat błogich spędzili. Niestety, z gmachu nie pozostało ani śladu... Zaledwo mały kawałek chodnika przypomina, gdzie było wejście do zakładu, a gdzie do kaplicy. Na pustem polu, tu i ówdzie, o szerokiem liściu wyrosły opiony...

Na rzece jest piękna wyspa, może cztery mile długa i około pół mili szeroka. Koloniści francuscy nazwali ją Belle Isle i jeszcze po dziś dzień to miano nosi. Częstośmy tu, a szczególnie zimą, wyjeżdżali na ślizgawkę. Wyspa poprzerzynana licznemi kanałami, przypomina Wenecję. Piękne mosty, rosochate wierzby dodają jej większego uroku. Zbudowano tu piękny ogród zoologiczny. Bażanty chińskie łażą po bulwarach i drogach nieprzymierzając jak kury w zagrodzie farmerskiej. W lesie słychać śpiew ptaków i ćwierkanie czarnych wiewiórek. Nic dziwnego, że Detroitczanie tysiącami tu przyjeżdżają, aby zjadać w domu przygotowane „lunche“ (przekąski), zażywać kąpieli i wywczasów po ciężkiej pracy.

Nie mógłbym dokładnie powiedzieć ile tu zamieszkuje Polaków. Jest to jedna z najstarszych a zarazem największych osad polskich w Ameryce, może jakie sto kilkadziesiąt tysięcy dusz.

Hamtramock jest niemal całe polskie liczy bowiem, blisko sto tysięcy mieszkańców. Jest to miasto w mieście. Ze wszyst-

kich stron otoczone miastem Detroit, ale zachowuje własną, zdaje mi się kiepską, polską administrację. Burmistrzem był Polak. Jeżeli się nie mylę, dostał się podobno do kozy za jakieś malwersacje. W okręgu, gdzie kiedyś stało Seminarjum Polskie, tylko sami Polacy zamieszkiwali. Świadczą o tem wspaniałe kościoły Św. Wojciecha, Marji Panny, Jozefata i Stanisława.

Niestety, wdziera się tam teraz rasa murzyńska. Zamiast naszych pięknych twarzy polskich, na ulicach pełno czarnych. Zalewają poprostu tę starą polską osadę.

Parafja Najśw. Panny szczyci się jednym z najpiękniejszych kościołów gotyckich w Michigan. Proboszczem jest ks. biskup Plagens, sufragan diecezji detroickiej. Może mu się uda wstrzymać lub przynajmniej nawrócić ten zalew murzyński. Przecież jeden z papieży ocalił Rzym przed hordą Atylli. Czemużby ów następca apostołów w swej gorliwości nie potrafił daleko łatwiejszego dzieła dokonać? — ocalić polską dzielnicę przed murzynami?!...

Po kilkudniowym pobycie opuszczam olbrzymie miasto samochodów, w którem tyle lat na ławie szkolnej spędziłem. Jadąc w kierunku zachodnim, mijam uroczy, zielony, Ann Arbor. Uniwersytet stanowy ma tu swą siedzibę. Podobno wysoko ceniony jest kurs prawa i ściąga na ten wydział studentów z całej Ameryki. Tutaj również była katedra języka Polskiego, — czy jeszcze istnieje, tego napewno powiedzieć nie mogę.

---

Rozdział V.

## MICHIGAN.

Michigan, po którem już od paru dni się tłukę, tworzy olbrzymi półwysep, z trzech stron otoczony wodami jezior Huron i Michigan. Z północnym półwyspem obejmuje blisko 58 tysięcy mil kwadratowych i posiada niemal pięć miljonów mieszkańców. Moto tego stanu po łacinie brzmi: „Si quaeris peninsulam, circumspice". Jeżeli szukasz pięknego półwyspu, rozejrzyj się.

Pierwszymi kolonistami i pionierami stanu, jak zwykle, byli Francuzi. W północnej części, przy cieśninie łączącej jeziora Superior, Michigan i Huron, zwanej obecnie Sault St. Marie, Jezuici Raymbault i Jogues założyli małą misję dla Indjan. Tu pracował jeden z naszych najsłynniejszych misjonarzy i tam też jest pochowany, ks. Ignacy Marquette. W tych okolicach, nad rzeką Św. Józefa, Lasalle zbudował fort Cadillac. Uważają go za założyciela miasta Detroit. Jeden z lepszych samochodów, robiony w Detroit, nosi miano tego słynnego odkrywcy.

Pierwsi francuscy koloniści byli właściwie „coureurs des bois". Trudnili się polowaniem, prowadzili handel i wymianę towarów z tubylcami. Stosunek Francuzów do Indjan był zawsze dosyć przyjazny. Nie zabierali Indjanom ziemi, tylko zadawalniali się kupnem drogocennych skór, przedewszystkiem z bobrów i lisów. Był to dla białych bardzo pomyślny interes. Najcenniejszy artykuł wymiany, stanowiła oczywiście strzelba. Robiono je z bardzo długiemi lufami „le long fusil". Indjanin chcąc nabyć taką strzelbę, sześć stóp długą, musiał dostarczyć kupę futer, na wysokość strzelby. Strzelba warta była dwadzieścia dolarów, a futra — tysiąc lub więcej. Nic dziwnego, że „coureurs des bois" robili na tem szalony interes.

Stan wywodzi swą nazwę od indjańskich wyrazów „michi" — wielka, „guma" — woda. Odziedziczył to miano od szczepu Algonquin, zamieszkującego nad wodami jeziora Michigan, w okolicach obecnego miasta Chicago.

Pierwsi francuscy osadnicy przybyli w te strony z końcem, siedmnastego wieku — 1668 roku do Sault Sainte Marie, w północnej części stanu. Cadillac założył miasto D'Etroit w roku 1701.

Wszechpotężnym szczepem, w tych okolicach zamieszkującym, byli wówczas Ottawas. Najwybitniejszym wodzem i wielkim indjańskim patrjotą był Pontiac. W pobliżu Detroit i niedaleko Polskiego Seminarjum w Orchard Lake, była jego główna kwatera. Miasto Pontiac nosi jego nazwisko. Wódz przekonawszy się, że Anglicy i koloniści purytanie, dążą do zawładnięcia jego ziemią, wydał im krwawą wojnę.

Sprzymierzył potajemnie wszystkie szczepy indjańskie przeciwko Anglikom, chcąc znienacka i równocześnie napaść na wszystkie angielskie osady i wymordować ludność w nich zamieszkującą. W ten sposób zajął osadę angielską nad cieśniną Machilimackinack. Nie udało mu się atoli zdobycie fortu, broniącego Detroit. Indjanka, służąca u komendanta posterunku, zdradziła spiskowców. Wojownicy upiłowali lufy strzelb, aby ich żony mogły je zabrać do fortu niespostrzeżenie pod kocami. Oni zaś mieli wejść napozór bez broni. Dostawszy się do wnętrza sztachet i fortu, ująwszy za ukrytą broń, chcieli wymordować wojsko. Gdy się jednak fortel nie udał, oblegli twierdzę. Wymordowali okoliczną ludność, ale po kilku miesiącach ustąpili.

Pontiac, uważany za jednego z najzdolniejszych i najpostępowszych wodzów, zginął później z ręki własnego poddanego. On pierwszy wydał pieniądze indjańskie. Były to kwity pisane na korze brzozowej, z jego godłem, płatne były w oznaczonym czasie towarem, przeważnie futrami i skórą dzikich zwierząt.

Od czasu do czasu podaję te małe szczegóły z życia Indjan i pierwszych tutejszych osadników, gdyż sądzę, że to może czytelnika interesować.

Purytanie przedstawiali ich jako ludzi dzikich i krwiożerczych. Każdy jest dziki i krwiożerczy, gdy broni swej ziemi i chaty rodzinnej, bez względu na to, czy to jest wigwam indjański, czy chata chłopska, czy pałac magnata.

Gdybym był Rafaelem lub Michałem Aniołem, który nawet kardynała w piekle umieścił, ulokowałbym tam całą kolonję „chrześcijańskich“, nietolerancyjnych, fałszywych, a okrutnych kolonistów. Indjan zaś malowałbym w ich „happy hunting grounds“ — na wesołych polach do polowania. Unieśmiertelniłbym ich na rączych konikach, polujączych złotemi strzałami, na tłuste stepowe bawoły. Przedstawiłbym ich naszej młodzieży, nie jako krwiożerczych zbrodniarzy, ale łowiących jedwabnemi wędkami duże minnesockie okonie na łodziach z kory brzozowej robionych, lekkich jak piórko,szybkich jak jaskółka.

Przyznać trzeba, że od czasu do czasu prowadzili wojny z sąsiedniemi szczepami. Któż ich nie prowadzi? Napewno pod Verdunem, nie licząc tysięcy innych pól bitew, legło więcej żołnierzy, niż we wszystkich wojnach szczepów indjańskich od początku świata, aż do ich ostatecznego wymordowania i zdeprawowania „wodą ognistą“ przez ludzi białych.

Wszędzie ich mordowano! Wszędzie ich krzywdzono, okradano i maltretowano! nawet nasz rząd amerykański, do którego mieli zaufanie, a prezydenta nazywali „Wielkim Ojcem“, najgorszych się wobec nich dopuszczał sprzeniewierzeń. Gdy zaś zbrojną ręką domagali się dotrzymania umów i traktatów, wysyłał wojsko i bez pardonu mordował. Czyż można się dziwić temu, że tu i ówdzie jakiegoś białego intruza zamordowali?

Im więcej poznaję ludzi, tem więcej kocham dzikie zwierzęta. Im więcej badam historję kulturalnych i rzekomo cywilizowanych narodów, tem więcej podziwiam uczciwość Indjan, ich religję, polegającą na kulcie przodków, na czci bohaterów i na wielbieniu słońca, tego dla nich i dla nas wszystkich życiodajnego źródła, ciepła, urodzaju i życia!

Ale co się tu nad tem wszystkiem rozwodzić. Ażeby to należycie poznać i ocenić, trzebaby tu całą historję drukować. Ta zaś dałaby nam jednostki wśród czerwonoskórych tak szlachetne, tak wspaniałomyślne w porównaniu do białych kolonistów, o jakie trudno nawet u najbardziej kulturalnych narodów.

Od Ann Arbor na zachód okolica jest pagórkowata, ziemia może niezbyt urodzajna, ale za to starannie uprawiona. Tu i ówdzie grunta piaszczyste. Po zabudowaniach farmerskich poznać, że rolnicy nie obfitują w dostatki.

Gdziekolwiek się okiem rzuci na zabudowania farmerskie, można odrazu ocenić wartość gruntu. Tam gdzie ziemia dobra, urodzajna, widać wspaniałe stodoły, piękne domy rolników, liczne zabudowania gospodarcze, nowoczesne maszyny rolnicze. Wszystkie budynki malowane, stodoły niemal zawsze na czerwono z białemi opaskami na drzwiach i wrotach. W Deutchlandzie, byłoby to „streng verboten", bo to przypominało polskie barwy, których się Niemcy obawiali.

Jackson jest ładnem miastem powiatowem i fabrycznem, ale w niem się nie zatrzymuję, choć zamieszkuje tu dosyć duża osada polska, posiadająca ładną parafję.

Stanąłem w Battle Creek by zobaczyć ogromną fabrykę artykułów spożywczych Kelloga. Oprowadzają turystów po wzorowo urządzonej i czyściutko utrzymanej fabryce, wyrabiającej znane na cały świat „Kellog's Corn Flakes" — płatki kukurydzane.

Przeróbka kukurydzy na płatki czyli „flakes" jest dosyć ciekawa. Po wycięciu bogatego w olej zarodka białej kukurydzy, twarde szkliste ziarno moczą w słodzie, dodają soli i syropu. Następnie olbrzymiemi wałami gniotą na cieniutkie płatki, wysypują do wielkich stalowych, powoli obracających się bębnów. Tam przy wolnym ogniu pieką się i nabierają brunatnej barwy. Potem na pasach sprowadzają do ogromnych kadzi skąd automatycznemi maszynami wkładają je do paczek.

Po skończonej turze inspekcyjnej zapraszają gości na lody posypane płatkami ryżowemi i dają w podarunku pakę swych rozmaitych wyrobów.

Dla robotników, a jest ich tu przeszło dwa tysiące, mają wszelkie wygody. Na miejscu jest szpital, klinika dentystyczna, żłóbek dla niemowląt, których matki tu pracują. Wszystko jest pod opieką lekarzy i dyplomowanych sanitarjuszek. Prócz tego, wspaniała sala do tańca i teatrów amatorskich, oraz ze wszelkiemi wygodami urządzone pole atletyczne dla młodzieży. Rzadko kiedy można spotkać fabrykę z takiemi wygodami dla robotników. Prócz „corn flakes", robią tu płatki ryżowe, bułki przeniczne i kawę oczyszczaną z kofeiny t. zw. „Cafe Hage". Produkta Kelloga i obok sąsiadającej fabryki Posta rozchodzą się całemi wagonami po wszystkich zakątkach Ameryki i świata. W Battle Creek znajduje się także słynne na całą Amerykę Sanatorjum dla nerwowo chorych.

Parę mil za miastem, przejeżdżam mimo Camp Custer. Tu podczas wojny światowej był jeden z licznych obozów dla wyszkolenia wojskowego. Tymczasowe szałasy, które jak grzyby po deszczu powstawały, przedstawiają jedną zapadającą się ruderę. Tu także zbudowano bardzo wielki, murowany szpital wojskowy „Veterans Hospital Nr. 100“. Numeru już dokładnie nie pamiętam. Ale w każdym razie mamy ich setki. Każdy, dla specjalnych chorób, na jakie cierpią weterani. Mają w szpitalach pierwszorzędny dogląd i wszystkie najnowsze urządzenia lecznicze.

Za nasz współudział w wojnie mamy przeszło sto szpitali wojskowych i to ogromnych. Mamy tysiące wdów i sierot. Pełno inwalidów, ale za to niemal w każdem mieście, na jakimś skwerze lub w parku, stoi kolubryna niemiecka lufą do góry. Za zwycięstwo, oczyszczając pola bitew, zabraliśmy jako „spolia“, całą masę starych, zardzewiałych, porozbijanych armat niemieckich — „only this and nothing more“ — tylko to a nic więcej. Za pieniądze, któreśmy na wojnę wydali, możnaby te armaty ulać z czystego złota.

Com ja się tu rozgadał? Co chwila zjeżdżam z drogi na jakieś manowce historyczno-polityczne. Więc też zamykam usta na kłódkę i jadę dalej. Nawet nie wspomnę, że w Camp Custer, pod lasem, widać całe pole zasłane namiotami, w których do nowej wojny ćwiczy się młodzież. Chcą się koniecznie dowiedzieć, jak to smakuje. Może im Japończycy dadzą kiedy lekcję, której na długo nie zapomną, gdyż na to się zanosi. Mamy już przynajmniej dla nich gotowe szpitale. Poco mają stać próżne, gdy tamci wymrą?!...

Kalamazoo jest miastem fabrycznem. Wyrabiają tu papier i piece kuchenne. Nic tu ciekawego nie zauważyłem. W moczarach, nad brzegami rzeki Kalamazoo, odwielu lat w intensywny sposób hodują bardzo smaczne selery i cebulę. W Polsce, na stacjach kolejowych, pasażerom sprzedają piwo i przekąski, o herbacie nawet nie wspominam. Tu zaś chłopacy przebiegają wagony pasażerskie i sprzedają pęki wonnych selerów.

Zjeżdżam tu z drogi Nr. 12, i skręcam na północ. Piękna, szeroka i prosta droga z cementu prowadzi w stronę miasta Grand Rapids. Dzień piękny, jasny, słoneczny i niezbyt gorący, więc też podróż jest miła tembardziej, że jestem zaledwo czterdzieści mil od mych stron rodzinnych.

W miasteczku Wayland skręcam w bok i za kilkanaście minut stęsknionemu podróżnikowi ukazuje się malownicza okolica rolnicza. Widać że tu lud pracowity i bogobojny. Już przeszło pięćdziesiąt lat istnieje tu polski kościół i szkoła, pod kierownictwem Sióstr Zakonnych. Pierwsze od nich pobierałem nauki i... baty. Bo wtenczas nie szczędzono rózgi. Uważano ją za nieodzowny środek do dobrego wychowania przyszłych obywateli kraju. Teraz stosunki się zmieniły, każdy dzieciak to rzecz nietykalna — Noli me tangere,

---

Rozdział VI.

## PRO DOMO SUA.

Rodzina Icieków ród swój wywodzi z poznańskiego, ze Samostrzela, blisko Nakła. Zapewne od wieków tam żyła i pracowała w dobrach hrabiów Bnińskich.

Podczas mego parodniowego pobytu pod dachem rodzicielskim, prosiłem ojca, aby mi przysłał chociażby krótkie notatki o rodzinie i przodkach. Po powrocie otrzymałem od niego kilka własnoręcznie zapisanych kartek, które niemal bez jakichkolwiek zmian umieszczam.

Czynię to nie tyle dla jakiejś chwalby, ale raczej jako dopisek do starych kronik i zmagań narodu polskiego pod zaborem pruskim. Obrazują one ducha, jaki już wtenczas panował wśród lepiej uświadomionych mas ludu polskiego w Poznańskiem. Przy każdej sposobności zrywał się on do nierównej walki, aby targać pęta niewoli.

Z opowiadań ojca wiem tylko, że mój pra-pra-dziadek, Jan Iciek, żyjący przed wojnami napoleońskiemi, miał dwóch synów: Bartłomieja i Macieja. Maciej, służył dwanaście lat w wojsku i brał udział w wojnach napoleońskich. Najprzód służył we wojsku pruskiem, a po przegranej Prusaków wstąpił do wojsk polskich. Miał iść na Moskwę, jednak oczy od prochu nadwyrężone nie pozwoliły na tę wyprawę. Został borowym, w majątku hrabiów Bnińskich, posiadających piękne dobra w Samostrzelu, niedaleko Nakła. Resztę podaję z nadesłanych zapisków ojca.

*Rok 1848*

*„Opowiadanie twego dziadka, a mego ojca“.*

„Służyłem u Niemca, niegdyś Polaka, we wsi Lubaszcz pod Nakłem, jako kołodziej „Sztelmacher“.

— „Miało wtenczas wybuchnąć powstanie w całem Księstwie Poznańskiem. Wszyscy mieli chwycić za broń przeciw Niemcom i wybić się na wolność. Nie wszyscy jednak wystąpili, mieli rznąć wszystko do nogi. W niektórych miejscowościach jednak uderzyli. Koło Kcyni, — miasto na Paukach, — chłopi polscy pędzili tak zwanych „Freikurów" — straże żołnierskie — kijami. Nieboraki Niemcy uciekali, co kto siły miał.

„Magnaci Niemcy, zlatywali się do Lubaszcza i mówili, że się nie opłaci pracować, bo to wszystko Polacy zabiorą. (Zabrali, tylko znacznie poźniej, — przypisek wnuka — autora).

„Niemiec, u którego dziadek twój służył, pyta go: „No stelmacher, czy to opłaci się robić — pracować — czy nie?"

— „Nato dziadek: — Rób ale i tak z tego nic nie będzie." Tak się też stało. Wszystko się uspokoiło, bo księża wystąpili przeciw ruchawce. Miała to być niby rzeź, a to na Polaków nie przestało. Pora była do zemsty, gdyż Niemcy byli we wojnie z Danją".

„Pradziadek — pisze dalej ojciec — był wtenczas stróżem w Smielinie w dobrach hrabiego Bnińskiego — i nie tylko widział jak chłopcy ćwiczyli się w robieniu bronią, ale przecież, jako weteran wojen napoleońskich, sam ich uczył. Zato zapozwano go do sądu i osadzono w więzieniu, że widział, jak się chłopcy polscy na Niemca szykowali.

— Nim jednak poszedł do więzienia, dziadek twój — pisze ojciec — mówi: „Tatyńku, tam was wezmą do przysięgi, nie bójcie się przysięgać, to sprawa święta bronić Ojczyzny"!

— Chłopcze — mówi pradziadek, — nie kłopocz się o mnie. Ja Niemców znam lepiej niż ty. Ja się już tam z nimi obejdę po polsku.

Wziął z sobą worek z żywnością i tytoniem, gdyż miarkował, że to będzie jego całe pożywienie. Tak też było. Trzy dni na tej strawie przeżył. Tak niby wygłodzonego Niemcy wzięli na przesłuchy. Pytali, czy widział, jak się chłopcy ćwiczyli? Sam ich przecież uczył jak bronią robić. „Ależ gdzie ja co widział!" — wypierał się pradziad — Nic nie widziałem, chociaż całą noc chodziłem po lesie.

— Wyście może co widzieli?

— Prześwietny sądzie, żebym ja co widział, tobym i powiedział.

— Moglibyście przysięgać, żeście nic nie widzieli?

— A czemużby nie, choć i ze sto razy.

No i przysiągł, a wtedy już Niemczyska byli pewni, że tak było. Chociaż pod nosem przebąkiwali: — „Tyś mądry bracie, może wiesz, ale nie powiesz."

— „Wrócił do domu, a żona zarządcy majątku, p. Rychlińska powiada: „Gdyby Polska miała więcej takich Maciejów, toby tak nisko nie upadła".

A teraz zkolei przechodzę do notatek o roku 1863-im. Z tych kilku stron zapisków i wspomnień ojca, który wtenczas był młodym kilkuletnim chłopcem, widać, że walka za kordonem bardzo silnem echem odezwała się w Poznańskiem. Przypuszczam, że to uświadomienie narodowe promieniało z pałacu hrabiów Bnińskich.

Gdym był w Polsce, wkrótce po zawieszeniu broni, Noteć wtenczas stanowiła chwilową granicę i linję bojową. Z tamtej strony, a więc w posiadłościach brabiów Bnińskich, byli Niemcy. Dopiero w dwa lata później zwiedziłem rodzinne strony i byłem bardzo gościnnie podejmowany przez hrabinę Marjannę Bnińską, już wtenczas staruszkę, która jednak żywo zajmowała się sprawami polskiemi i pamiętała moją rodzinę. Widać, że ten stary dom hrabiowski, sięgający czternastego wieku, był zawsze środowiskiem najszlachetniejszych uczuć narodowych.

Gdy oglądałem olejne portrety przodków rodziny Bnińskich, niektóre w średniowiecznych zbrojach, zdziwiło mnie, że kilku miało oczy wykłute. Pytałem się hrabiny co to miało znaczyć? „To francuscy oficerowie porobili, — objaśnia hrabina — gdy podczas wojen napoleońskich kwaterowali w naszym pałacu. Rozochociwszy się zbytnio, z pistoletów strzelali do obrazów". Przypuszczam, że musieli to być znakomici strzelcy, gdyż niemal każda kula trafiła w samą źrenicę.

Ale wróćmy do zapisków, z których chcę tu chociażby niektóre ciekawsze ustępy przytoczyć.

„Śp. hrabia Ignacy Bniński sprzedał piękny kawał dziewiczego lasu Żydom (nazywali ten las Dąbrowa) za czterdzieści pięć tysięcy talarów. Znawcy szacowali go co najmniej na sto tysięcy. Ludek a najbardziej Samostrzelanie pocieszali się tem, że może Żyd nie wywiezie tego lasu na czas oznaczony. Ale Żyd dał pogłębić rów, którym płynęła woda z wielkiego źródła, zrobił stawidła, podniósł wodę do góry i tak spławił wodą wszystkie kloce do rzeki Noteci.

Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży lasu zakupiono rozmaitej broni, jak karabiny, pałasze, pistolety, siodła i t. d. Nie zawiele jednak tej broni dostało się za granicę, gdyż wszędzie było szpiegostwo, wszędzie zdrada.

Tego wieczora, gdy się chłopcy umawiali na wymarsz do Czeszewa, jako też i wyszli, był tam też p. N. (nazwiska nie podaję, gdyż syn tego człowieka wśród Wychodźtwa piastował wysokie urzędy, a nawet za swą pracę był przez rząd polski udekorowany orderem Polonia Restituta). Kiedy jedni szli przez pola i lasy, aby nie napotkać jakiej zdrady, ten wierny sługa Niemców szedł do Wyrzyska z wiadomością, jaką zasięgnął w karczmie o wymarszu chłopaków do powstania. Między ochotnikami był także brat mej babki, mówiliśmy mu „wuju“, nawet nie przypuszczałem, że to powstaniec, nigdy o tem nie wspominał. Gdy się dzień robił, nasi chłopcy zdążyli już do Czeszewa, do dziedzica Libelta (patrjota a nawet i pisarz — dopisek ojca). Ciekaw jestem czy to nie przypadkiem nasz słynny Karol Libelt? Tam ich wojsko pruskie zdybało i rozpędziło“.

A teraz inny obraz ze wspomnień ojca.

„Pamiętam jak raz matka moja, a twoja babka, pojechała gdzieś i nie wróciła aż na drugi dzień. Za czem ona jeździła? Za płótnem. Zbierała płótno na „szarpie“. Zwłóczyła do domu i wtedy z kobietami ze wsi drapały to płótno na szarpie, robiły niby watę do przykładania na rany żołnierzom.

Jest to ciężko pracować dla Ojczyzny, gdy się człowiek musi zawsze za się oglądać. Kobiety wciąż pytały: Na co to? Do czego to? Dla kogo to? W Samostrzelu niby nasza rodzinna wioska to już nie potrzeba było tłumaczyć, ale po innych wsiach trzeba się było wykręcać“.

Znów inny mały a tak wiele mówiący obrazek ze wspomnień mego ojca w notatkach mi przysłanych.

„Pamiętam, jak matka przyjechała do domu i opowiadała ojcu, że „Pani wcale nie żałuje Stasia“. Staś miał taki śliczny pogrzeb, umarł u Szarytek“. Nie wiedziałem kto to była ta „Pani“. Dopiero w Ameryce dowiedziałem się, że to była pani Rychlińska, ekonomowa, u której moja matka od maleństwa się wychowywała aż do zamąż pójścia. Staś był jej synem. Ciężko rannego w powstaniu przewieziono do Poznania i tam umarł. Chlubę miała z tego, że syna Ojczyźnie ofiarowała.

Ojciec mój, a twój dziadek, był w powstaniu komisarzem i miał pod swą kontrolą broń. Stał pod rozkazami Dra Bojanowskiego z Nakła. Nie cieszył się jednak długo tym urzędem, bo Niemcy otrzymawszy ostrzeżenie, śledzili za bronią i za tymi, co ją mieli pod swoją mocą. Broń przeznaczona dla powstańców została ukryta po lasach, aby się w ręce niemieckie nie dostała".

Stryjeczny brat dziadka, Franciszek Iciek, były artylerzysta pruski, brał udział w powstaniu, a po jego upadku, wieści o nim zaginęły. Zdaje się, że przedostał się do Małopolski i tam się osiedlił.

Tyle czerpię z pamiętników ojca.

Ojciec mój Jan, jako młody chłopak, przybył do Ameryki w 1873 roku, mając jakie lat dwanaście. Po krótkim pobycie w Chicago, osiedlił się w Dorr, Michigan.

Domek z bierwion sosnowych, przez dziadka zbudowany służył pierwszym pionierom za kościół i szkołę. Tu od czasu do czasu Msza św. się odprawiała. W tej „loksowej chacie" ujrzałem światło dzienne w 1882 roku. Matka zacna i pracowita kobieta, także ze Samostrzela pochodziła.

Dziś już tak wytrwałych, pracowitych i pełnych poświęcenia kobiet nie znajdziesz. Dziadek i ojciec byli ode mnie zdolniejsi, nie mieli jednak sposobności się kształcić. Ojciec dobrze włada trzema językami: polskim, niemieckim i angielskim. Po polsku pisze kaligraficznie i niemal bez błędu, chociaż ciężko całe życie pracował na kawałek chleba i na wyszkolenie dzieci. Był moim pierwszym nauczycielem muzyki. Uczył także czytania i pisania dzieci innych emigrantów.

W sprawach religijnych był zawsze gorliwym katolikiem. Co niedzielę byliśmy wszyscy w kościele na Mszy św. Ostatni do kościoła przyjeżdżaliśmy, a była nas cała fura, zato też ostatni odjeżdżaliśmy, bo ojciec z wszystkimi gospodarzami musiał pomówić. W domu zawsze rozpoczynał dzień modlitwą, chociaż niekiedy zakończył klątwą, gdy zauważył bydło w szkodzie, dlatego że zapomnieliśmy wrota pozamykać. Nieraz dostałem od niego baty.

Mojem zdaniem, ojciec pozyskałby na Olimpjadzie wszystkie rekordy w bieganiu. Trzeba tylko było mu dać bat do ręki, a mnie puścić jakie pięćdziesiąt kroków naprzód. Smarowałem nieraz przez pola kukurydzy, tak że zające ustępowały mi drogi,

a on za mną... Zawsze mnie dogonił i skórę wygarbował. Niech mu dobry Bóg za to niebem kiedyś wynagrodzi. W takiej ciężkiej opresji zawsze dziadek i babka spieszyli mi na ratunek. Nadzwyczaj mnie kochali i byłem poniekąd ich wychowankiem. Raz tylko od babki za jakieś „skusy" dostałem frycówkę kopyścią od masła. Zdaje się, że to ją więcej bolało niż mnie, bom krzyczał w niebogłosy.

Dziadek Tomasz był moim pierwszym nauczycielem polskiego. Opowiadał stare dzieje z historji, o powstaniach, wojnach i klęskach. Z wielkiem zaciekawieniem wsłuchiwałem się w te opowieści. Z jego to ust czerpałem miłość dla Ojczyzny, której ani nie widziałem, ani nie znałem.

Latem gdy pędził bydło do lasu, zawsze przynosił małemu Stasiowi gałązki czerwonych malin. Nigdy w życiu nie jadłem tak słodkich, tak czerwonych malin, jak te, co mi dziadek przynosił. Miałem wtenczas ze cztery lata. Z wielkiem zainteresowaniem czytywał gazety. Zajmował się polityką i był pod tym względem au courant, we wszystkich sprawach polskich. Cieszył się ogromnie, gdy Niemcy lub Moskale w jakimkolwiek konflikcie politycznym brali w skórę.

Babka znów kochała się w kwiatach. Zawsze na oknie były rzędy pelargonij, fuksyj, mirtów i innych staroświeckich kwiatów. Niekiedy wyjeżdżała na kilkudniową gościnę do krewnych. Po jej powrocie czasami było w domu małe nieporozumienie. Dziadek całemi dniami, w spokoju, czytał wtenczas gazety i książki, a o biednych kwiatach zapominał. Te zaś, widocznie z tęsknoty za babką, pousychały. Dostawał tedy od babki kapitułę, ale sobie tego nigdy do serca nie brał. Po takiem kazaniu przychodził do ojca i pytał: „Dzian", co tam w angielskiej gazecie piszą o Niemcach lub Moskalach". Długo razem na ten temat dyskutowali, w czem i ja czasem udział brałem. Cieszył się ogromnie, że Japończycy dali Moskalom w skórę.

W roku 1915, gdy przyjechałem na pogrzeb babki, dziewięćdziesięcio letniej staruszki, dziadek po przywitaniu, w te odzywa się słowa: „Nareszcie doczekałem się wojny światowej. Mój ojciec się jej nie doczekał, mój dziadek jej nie doczekał, a ja doczekałem. Ale pewnie wolnej Polski się nie doczekam". Umarł w roku 1917-tym. Ja zaś, jego wnuk, w mundurze kapelana armji gen.

Hallera, byłem pierwszym, który z Ameryki, tu urodzony i wychowany, dotarł do wolnej Polski.

Przekroczyłem wtenczas granicę polską w Boguminie. Przybyłem do Krakowa razem z posłem Zamorskim d. 10 stycznia 1919 roku.

Wracając, zabrałem z sobą kilka garści ziemi z dawnych trzech zaborów. Jedną z grobu poległego obrońcy Poznania, jeżeli się nie mylę z cmentarza św. Łazarza. Drugą ze stoków Cytadeli Warszawskiej, z Kopca Kościuszki w Krakowie i z mogiły poległego żołnierza w Przemyślu. Posypałem ją na grobach mej matki i dziadka, tych prawych Polaków, skromnych szermierzy i patrjotów Polskich. Wiem, że się ich dusze radowały, gdym tę ziemię polską posypał na ich grobach, gdzie śpią snem wiecznym. Jak tam miło i cicho na tym wiejskim cmentarzu, gdzie do snu nad ich grobami szumi im płacząca brzoza... Chciałbym i ja tam kiedyś przy nich spocząć...

Tak, zmieniły się czasy, zmienili się ludzie!... Ten dobry lud polski, który do Ameryki wyemigrował, szukając chleba i wolności, beznadziejnie ginie. Młodzież zarzuca polską mowę i poniekąd polską wiarę. Nie trzyma się więcej starych tradycyj i zwyczajów. Wojna wszystkim w głowach przewróciła, nawet polskiej młodzieży. Jak owe tłumy rzymskie wołają „panem et circenses“. Szukają zabaw i przyjemności.

A przecież „nie samym chlebem żyje człowiek“. Nie same zabawy, uciechy światowe stanowią o potędze i sile narodu! Trzeba hartu do pracy i trwałego dobrobytu. Konieczne są cnoty obywatelskie, bez których nawet najpotężniejsze państwo upada.

Ameryka jest pod wielu względami potężniejsza od starego Rzymu. Otrzymała najlepsze siły żywotne z krajów europejskich. Ci pionerzy stawali tu do walki z naturą. Karczowali lasy, wyciągali pnie, budowali siedziby i przy nich kościoły. Był to lud wytrzymały na trudy i znoje.

Teraźniejsza młodzież temu nie podoła. Zarzuca wszystko, co było stare, chociaż piękne i wzniosłe!... Tworzy sobie nowego boga, a tym jest — dolar. Za kilka lub kilkanaście lat, wszystko zniknie, jak to zachodzące słońce... Nastanie mrok duszy, upadek ideałów! Pozostaną po nas puste kościoły, próżne szkoły. Polskie napisy, polskie orły, katolickie krzyże tylko świad-

czyć będą potomstwu, że to polski lud tu kiedyś żył, pracował i we własnym języku Boga chwalił!

Hilliards, gdziem bezgrzeszne lata spędził, to stara osada. Ma kościół, szkołę, siostry nauczycielki i stałego proboszcza. Okolica piękna, gospodarstwa dostatnie, lud pracowity. Ile tu miłych wspomnień ciśnie się do serca, ale to już minęło! Starzy znajomi wymarli lub rozproszyli się po świecie, młodzi są mi obcy. Już tylko ojciec i cmentarz mnie tu ciągnie!...

W pobliżu jest miasto Grand Rapids, na cały świat słynne z wyrobu mebli. Fabryki tutejsze, w których i nasi Polacy znajdują zatrudnienie, dostarczają mebli na kulę ziemską. W niejednym pałacu cesarskim, nawet w dalekich Chinach, wyroby grand-rapidskie mają wzięcie.

W trzech dużych parafjach skupia się tutejsza stara kolonja polska.

Na przedmieściach, kiedyś błotnistych, zagnieździli się Holendrzy. Owe błota osuszyli i mozolną pracą zamienili w istne ogródki warzywne. Szczególnie hodują tu selery i cebulę. Miasto Grand Rapids jest właściwie kolonją holenderską.

Nie będę się rozpisywał o mieście, gdyż nic tu nadzwyczajnego niemasz. Jadę więc w kierunku południowo-zachodnim, ku jednemu z największych jezior w Ameryce, Lake Michigan. Miasteczka Holand i Zeeland świadczą, że tu Holendrzy założyli swe osady. Wszędzie można zauważyć tę przysłowiową czystość i staranność Holendrów. Domy niewielkie, ale schludne. Pola i ogrody skrzętnie uprawiane. Tu bawią oko równiutkie, czarne zagony cebuli i selerów. Tam zaś widzimy długie szpalery malin, truskawek i wszelkiego rodzaju jagód. Opodal rosną młode sady jabłoni, grusz i innych owoców. Widać, że ziemia i klimat są tu do hodowli warzyw i owoców odpowiednie. Wzdłuż jeziora ciągnie się „pas owocowy“ Michiganu, gdzie hodują olbrzymią ilość jagód i owoców. Ponieważ to jest wybrzeże jeziora, więc ziemia jest przeważnie lekka, a nawet piaszczysta.

Cały Michigan był kiedyś zalany wodą. Droga z cementu prowadzi wśród nadbrzeżnych wydm. Od czasu do czasu, przez młode sosnowe lasy ukazuje się spokojna ciemno zielona tafla jeziora Michigan. Jest ono tu jakie ośmdziesiąt mil szerokie. Po kilkugodzinnej podróży z Grand Rapids przekraczam granicę

i wjeżdżam do stanu Indiana. Pierwszym krótkim postojem jest South Bend.

O samym stanie Indjana napiszę obszerniej w drodze powrotnej. Teraz tylko mały kąt tegoż przekraczam.

South Bend leży na głównym trakcie handlowym, łączącym Chicago, Cleveland, Buffalo i Nowy Jork. Niby pulsująca arterja prowadzi tędy czterotorowa linja kolei New York Central. Co chwila pędzą pospieszne pociągi pasażerskie i frachtowe. Najsłynniejszym jest „Twentieth Century", który w dwudziestu godzinach robi blisko tysiąc mil między Chicago i Nowym Jorkiem.

South Bend słynęło niegdyś z wyrobu wozów. Założycielem był stary niemiecki kowal, nazwiskiem Studebaker. Teraz wozy w Ameryce należą do starożytności i ta sama firma wyrabia obecnie samochody. Prócz tego są tu fabryki pługów Oliver, maszyn do szycia Singera, koszul i części samochodowych.

W South Bend zamieszkuje liczna i stara kolonja polska. Grupuje się w czterech polskich parafjach. Trzy z nich są pod kierownictwem księży zakonnych. Proboszczem parafji św. Kazimierza jest mój dawny współpracownik i przyjaciel z mroźnej Minnesoty, ks. prałat Jan Osadnik. Wstąpiłem na parę godzin w jego gościnne progi. Spędziłem tu kilka chwil na pogadance o dawnych starych czasach, z nim i z księżmi, którzy się tu zatrzymali w drodze na rekolekcje. Z ks. Osadnikiem pracowaliśmy wspólnie po osadach polskich w północnej Minnesocie przez kilka lat, ale klimat był dla niego za ostry, więc też przeniósł się do ciepłej Indjany i dobrze mu się powodzi.

Niemal zapomniałem nadmienić, że w pobliżu znajduje się słynny uniwersytet katolicki Notre Dame, pod dyrekcją księży ze Zgromadzenia Św. Krzyża, czyli „Krzyżaków". Zawiadują oni także trzema polskiemi parafjami w South Bend. Nazwa ich nie ma pokrewieństwa z Krzyżakami, co kiedyś z Polską o miedzę graniczyli. Kto jest rektorem i jakie tam na uniwersytecie wykładają przedmioty, powiedzieć nie mogę. W ostatnich latach uniwersytet słynął nie tyle z nauk, ile z swych triumfów atletycznych, a szczególnie z piłki nożnej. Na całą Amerykę znanym dyrektorem tej branży był konwertyta, Szwed, Knute Rockney. Gdy tragiczną śmiercią zginął w wypadku aeroplanowym, cały

kraj okrył się żałobą. Powstało takie oburzenie, że rząd wdrożył śledztwo i ma teraz surową kontrolę nad samolotami.

Wyćwiczyć gromadę chłopaków, zdolnych nie tylko inne zespoły atletyczne pokonać, ale rozwalać wprost mury, niby potężnym taranem, uchodzi w Ameryce za wielką, zazdrości godną sztukę.

Po kilkugodzinnym pobycie opuszczam gościnne progi ks. Prałata, a zarazem miasto, i wjeżdżam na elegancką betonową drogę U. S. 30.

Za kilkanaście mil mijam La Porte, gdzie wyrabiają młocarnie i traktory. Za pół godziny mijam Valparaiso, siedzibę jednego ze znanych uniwersytetów amerykańskich.

Celem podróży oczywiście jest słynne Chicago, a właściwie jego przedmieście La Grange. Tam od wielu lat zamieszkuje dobrze mi znana, a bardzo sympatyczna i gościnna rodzina Wleklińskich. Pan Jan, urzędnik stanowy, przybył z Poznańskiego jako mały chłopiec, a nader miła pani Wanda, chociaż tu rodzona, ale „zabita“ Polka. Jej rodzice tagże ze Samostrzela, więc to już niemal pokrewieństwo.

Zdaleka więc omijam Chicago, niby wilk owczarnię, aby się przez czas dłuższy zatrzymać w La Grange. Stąd robić będę wypady do tej drugiej z rzędu największej metropolji amerykańskiej. Samo La Grange jest miłem przedmieściem Chicago, zamieszkałem przez lepszą klasę urzędniczą. Rezydencje piękne, chociaż może niezbyt bogate, ulice czyściutkie i wysadzone szpalerami pięknych drzew, przeważnie klonów.

Bawiąc tu cały tydzień, skorzystałem ze zaproszenia na wycieczkę i kontest gry w golfa, urządzony przez Tow. Imienia Jezus. Cóż to była za frajda. Nie jestem wielkim graczem w golfa, chociaż to w Ameryce uchodzi za przymiot prawie konieczny. Można być skończonym hebesem co do znajomości historji, języków, literatury, ale jeżeli się gra w golfa, wszystko Amerykanie przebaczą. Na wszelką ewentualność zabrałem ze sobą przyrządy do tej gry niezbędne, jak rozmaite kije i pałki ale także odpowiednie ubranie, trzewiki o podeszwach nabijanych gwoździami, przytem krótkie spodnie, pończochy, białą koszulę i czapkę. Mając to wszystko pod ręką, wyglądałem niby skończony golfista. Główną atoli atrakcją całego kontestu, oczywiście było to, że dla graczy, aby im otuchy dodać, a w razie prze-

granej pocieszyć, była beczka piwa i to prawdziwego przedwojennego, z kilkoma procentami alkoholu, czyli „z kikiem“. Wobec takiej zachęty, nie trzeba mnie było długo prosić, aby stanąć do zawodów.

Cóż to dla nas Amerykanów za rozczulający obraz — beczka prawdziwego piwa! To chyba sen, aby tyle piwa i to takiego z alkoholem, można było wtenczas gdzieś na kontynencie zachodnim znaleźć. Nie pominąłem żadnej kolejki. Zaspokoiłem pragnienie, o jakiem wielbłąd na Saharze, od roku mieszkający, nie ma nawet najmniejszego pojęcia.

Wystąpiłem do gry w świetnym humorze i „mocno pokrzepiony na duchu“. Chociaż tych golfiarskich „instrumentów“ nie miałem od czterech lat w garści, grałem jak najsłynniejszy ekspert. Waliłem piłeczkę to w prawo to w lewo, z jakąś djabelską wprost zaciętością. Nie żałowałem uderzeń. Biedna gumowa piłka wytrzeszczyła z przerażeniem na mnie blade, białe oko, niby szukając litości i żebrząc miłosierdzia, a ja z furją, przez kilka godzin, nad nią się pastwiłem.

Gdy mnie już w tym krwawym boju siły opuszczały, niby pies z wywalonym jęzorem, biegłem do beczki z piwem. Po wychyleniu kilkunastu kufli, nabrawszy nowej energji, zapalczywości i hartu, stawałem do dalszej walki. Takem się rozochocił tą grą, takiegom nabrał kurażu, że nieraz mi się te piłki czy kulki golfowe, dwoiły i troiły, alem się ich nie przestraszył. Zawsze waliłem pierwszą z rzędu, czy tam była, czy nie była. Koniec końców, wyszedłem z tego kontestu z wielkim triumfem.

Wieczorem odbył się wspaniały bankiet. Humory wszystkich graczy, dzięki tej beczce, już niestety próżnej, były świetne. Po bankiecie palnąłem pełną dowcipów mówką i otrzymałem przepiękny puhar za zwycięstwo, nad kim, to już sam nie wiem, chyba nad próżną beczką. Zresztą mniejsza o to. Fakt faktem, że pierwszy raz w życiu otrzymałem nagrodę, na którą wcale nie zasłużyłem. Tych, na które zasłużyłem, także nie otrzymałem. Powiedziałem współuczestnikom biesiady, że jeżeli wszystkie towarzystwa Imienia Jezus składają się z tak uczciwych i wstrzemięźliwych „tavariszów“, to ja nagwałt chcę się do nich zapisać.

Katolików w La Grange jest stosunkowo mało. Jakie dwieście rodzin, wliczając w to „mieszańców“ t. j. takich, gdzie

tylko żona lub mąż jest katolikiem. Kościół, szkoła i plebanja zato są wspaniałe. Szkoła zbudowana z cegły na ciemno czerwono wypalanej. Kościół i z nim połączona plebanja o dwudziestu czterech pokojach, są z ciosanego piaskowca Indiana Bedford. Wchodzę do tej pięknej świątyni Pańskiej, w stylu renesansowym zbudowanej, i starym zwyczajem szukam kropielniczki lub naczynia ze święconą wodą, ale go nigdzie u wejścia znaleźć nie mogę.

Dowiaduję się od mych miłych gospodarzy, państwa Wleklińskich, że proboszcz, Ajrysz, nie życzy sobie, aby tu były kropielnice ze święconą wodą, bo to nie jest bardzo higjeniczne. Myślę sobie: dawniej to się ludzie djabła bali, a teraz święconej wody...

Nie zauważyłem także lichtarzy, na świeczki wotywne. Jak wiadomo, niejeden lubi czasem zapalić Bogu świeczkę i djabłu ogarek. To także skasowano, bo kościółby się zabrudził, Pan Jezus ma tu zawsze czyściutko i dym ze świeczki, przez jakąś kobiecinę zapalonej nie będzie Go irytował i dusił. Czy to wszystko nie piękne i poprostu wzruszające? Nadmienić wypada i to nawiasem, że długi na parafji ciążące, wynoszą „tylko“ czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów i to na niecałe dwieście rodzin?! Religja, jeżeli tak dalej pójdzie, stanie się czemś bardzo kosztownem, wprost luksusowem.

---

Rozdział VII.

## CHICAGO.

O Chicago możnaby pisać bardzo dużo, tomy całe — i jeszczeby tematu nie wyczerpano. Słynie na cały świat z fabrykatów. W południowej części czyli South Chicago, znajdują się ogromne stalownie i fabryki żelaza. Na jednem z przedmieści wyrabiają żniwiarki McCormicka, wagony pulmanowskie, gdzie indziej znów wszelkiego rodzaju maszny i przyrządy elektryczne przez firmę Western Electric.

Wszystkim znane są olbrzymie rzezalnie Armoura, Swifta, i innych baronów mięsnych. Ten jeden tylko przemysł obejmuje kilka mil kwatratowych. Jeżeli masz dobry, a nawet powiedziałbym taki sobie przeciętny węch, łatwo tam trafisz. Nad olbrzymiemi zagrodami dla bydła, powinni umieścić Dantejski napis: „Lasciate ogni speranza voi che y entrate". Co na polskie w dowolnem tłumaczeniu znaczyłoby — wszystkie woły, barany, wieprze, pożegnajcie się ze światem, bo tu z wami będzie „schluss".

Nie chcę tu wchodzić w detaliczny opis całego procederu rzeźniczego, gdyż to wykracza poza obręb książki zasadniczo turystycznej. Ograniczę się tylko do kilku ciekawszych szczegółów.

Początek tego wielkiego przemysłu dał, zdaje się. Armour, urządzeniem nie tylko nowoczesnej rzeźni, ale budową specjalnych wagonów ochładzanych lodem t. zw. „refrigerator cars". Tym sposobem „świeże" mięso można było przewozić na daleką odległość i nie ulegało zepsuciu. Wszystko tu jest urządzone bardzo „modernie". Każdy rodzaj zwierząt używanych na mięso, ma swój oddział. Jego wyprawa na tamten świat, oczywiście zwierzęcy, odbywa się według pewnej rutyny.

Wieprze naganiają do niezbyt wielkiego ogrodzenia. Wchodzi do nich taki sobie „łapiczkarz" i każdemu przestraszonemu

i w niebogłosy kwiczącemu wieprzakowi zakłada na tylną nogę haczyk. Ten zaś jest łańcuszkiem przymocowany do dużego, miarowo obracającego się koła. Powoli, ale bez apelu, „skazaniec“ wy-




Crater Lake.

jeżdża w powietrze i dostaje się na żelazną kolejkę. Tak te biedaki wiszą, jeden przy drugim, łbem na dół, niby jakieś duże wory pszenicy. Kat w gumowych butach i fartuchu, z niemal

automatyczną precyzją pakuje każdemu długi nóż do serca i dalej posuwa wieprza. Ma się rozumieć, „cieżko ranny“ może sobie jeszcze dowolnie kwiczeć i to na cały głos. Z tego przywileju wszystkie prosiaki korzystają. Trwa to jednak .bardzo krótko, bo wpadają do kadzi z wrzącą wodą i płyną w niej, niby jakieś afrykańskie nosorożce. Pomagają im w tej gorącej kąpieli dwaj jegomoście, popychając je naprzód długiemi łopatami. Po tej kąpieli zabierają je żelazne pręty umocowane na dużym walcu, i wrzucają do maszyny, z której po chwili wyskakują wygolone, niby kawaler do ślubu. Kilku świńskich balwierzy wykończa fryzurę koło uszu i nóg. Tak wygalantowani jadą dalej, gdzie je stopniowo prują, czyszczą. Rządowi inspektorzy dokonują „post mortem“, przykładają stempel, jeżeli nie cierpiały na jakąś zarazę. Potem to już poćwartowanego nieboraka zamykają do wielkich chłodni i tam czeka, aż gdzieś żarłokom, których pospolicie ludźmi nazywamy, wyślą na pożarcie.

Bydło do tego samego celu dążące idzie cośkolwiek inną drogą. Napędzają po kilka wołów do małego zagrodzenia. Nad niemi stoi ludzki anioł śmierci i potężnym młotem wali między ślepie. Jedno uderzenie młota powala na ziemię najtęższego wołu. Podrzynają mu gardło, za nogi wciągają na kolejkę, ze skóry obdzierają, rozbierają i jedzie sobie taki nieboszczyk do chłodni, gdzie czeka, aż go ktoś małemi kawałkami, ale za drogie pieniądze, nie wykupi.

Owce na miejsce stracenia wprowadza wytresowany „baran zdrajca“. Onemu darują życie, a te biedaczki giną pod nożem oprawcy spokojnie, zaledwo tu i ówdzie jedna zabeczy, gdy się jej przypomną młode lata.

Takich „baranów zdrajców” znajdziemy także między ludźmi, którzy prowadzą innych na stratę finansową lub moralną. Dawniej twierdzili, że w tych rzezalniach wszystko jest zużyte, prócz kwiku. Teraz to i ten iest wykorzystany przez niby to artystów na rekordach gramofonowych, a najbardziej na radjo. Gdy takiego wyjącego artystę słyszę, zaraz mi się przypominają te biedaki w „sztok jardach“.

Ponieważ może jeszcze nie znacie dostatecznie polskiego języka, więc chcę tu objaśnić, że „sztok“, jest spolszczone słowo oznaczające bydło, a „jardy“ to przecież nic innego jak ogro-

dzenie w tym wypadku dla bydła. Tu zaś ten wyraz, obejmuje cały kompleks rzezalni.

Była tu kiedyś mała rzeczka czy kanał, do którego spływały wszystkie ścieki z rzezalni. Starzy Grecy w mitologji już ją opisywali i nazwali Styksem, przez który Charon, za opłatą jednego obola, przewoził dusze zmarłych. Wątpię jednak, aby ów mitologiczny Styks mógł w swej brzydocie i okropności równać się z ową stęchłą, tłuszczem i wszelkiemi odpadkami bulgocącą strugą. Skasowano tę cuchnącą rzeczkę, w porównaniu z którą kanalizacja miejska przypomina fabrykę cudownych, francuskich perfum. Wszystkie odpadki i do nieba o pomstę wołające smrody przerabiają teraz na nawozy, wonne, damskie mydełka toaletowe i najdelikatniejsze perfumy. Tak mi przynajmniej mówiono.

Następnego dnia zaproponował pan Jan — tu się mówi „Dzian", wycieczkę do Chicago, przedewszystkiem do Mundelein, miejscowości noszącej miano arcypasterza tej ogromnej archidiecezji. Tu za ludzkie pieniądze zbudowano wspaniałe seminarjum.

Droga do Mundelein prowadzi przez przedmieście Cicero. Gdy mój gościnny szofer p. Wlekliński oświadczył, że jedziemy przez słynne przedmieście, noszące miano rzymskiego mówcy — zbladłem. Przecież to stolica chicagowskich baronów piwnych, a po polsku „butlegerami" zwanych. Nie od rzeczy będzie objaśnić pochodzenie i znaczenie tego popularnego i wszystkim w Ameryce znanego wyrazu. Otóż dawnemi czasy, gdy tutejsi obywatele „Jankusi" biedę klepali, żony szyły im koszule i ma się rozumieć spodnie, gdyż bez tych tu jeszcze chodzić nie było wolno. — Obecnie nawet i kobiety w nich paradują. Kieszeni tam nie wszywano, gdyż nikt niczego wartościowego nie miał, więc kieszenie były zbyteczne.

Zamiast trzewików, noszono w owych czasach, t. j. w okresie wojny domowej 1860—1865, buty z cholewami, jak to jeszcze czyni, a przynajmniej czyniło do niedawna duchowieństwo w Poznańskiem. Taka cholewa od buta, zastępowała kieszeń. Jedyną rzeczą, jaką obywatel ówczesny ze sobą nosił, nie była ani chustka, — bo ucierał nos rękawem — ani sakiewka lecz płaska butelka wódki. Przy pługu czy przy kosie, miał tam strychulec lub klucz w jednej cholewie, a butelkę w drugiej. Po angielsku taka cholewa, wyraźnie mówię cholewa, a nie cholera, bo mowa o butach, a nie Jankusach, nazywała się — boot leg. (but leg). Teraz

znaczenie wyrazu przeniesiono na wszystkich „uczciwych“ ludzi, którzy trudnią się, a jest ich miljony, potajemnym wyrobem i handlem trunkami zakazanemi.

Nawiasem mówiąc, uważam, że Akademja Jagiellońska, powinna mi jakiś doktorat przysłać za informacje w opisie podróży podawane, o nowych wyrazach polskich, których w Polsce nie znają.

Otóż Cicero, pod innemi względami zwykłe sobie miasteczko, jest właśnie stolicą takich „butlegierów“. Ponieważ są to ludzie bardzo „uczciwi“ i nie dowierzają przekupionym i zdeprawowanym sędziom, sami osobiste rachunki doraźnym sądem załatwiają. Gdy przychodzi do wykonania zaocznego wyroku na niewygodnym rywalu, zabierają jeden lub kilka samochodów zbrojnych w karabiny maszynowe i... wio. Wtenczas nietylko antagonistę podziurawią, jak rzeszoto, ale zupełnie niewinnym przechodniom dostaje się bardzo niemiły poczęstunek.

Czy możecie się więc dziwić, że mocno się przestraszyłem? Czując się nieco winnym z powodu turnieju golfowego, zacząłem czem prędzej powtarzać akt żalu, a potem bardzo gorliwie odmawiałem „Pod Twoją Obronę“. Chciałem jeszcze, sposobem Longina Podbipięty, zmówić Litanję, ale z wielkiego strachu połowę zapomniałem.

Zdaje się, że tego dnia było zawieszenie broni, czy też wojowniczy butlegierzy wyjechali na wakacje, więc strzelaniny i osobistych porachunków nie było. Szczęśliwie dotarliśmy do Mundelein.

Jakiż był nasz zawód, gdyśmy na wjazdowej bramie zauważyli napis, że gościom wstęp wzbroniony, bo księża są na rekolekcjach. Zabrałem się z dwoma aparatami fotograficznemi, aby to wszystko jak należy sfotografować, gdyż trudnoby opisać liczne wspaniałości tego zakładu.

Niema dwu zdań, Seminarjum w Mundelein jest najpiękniejsze i najbogatsze Seminarjum na kuli ziemskiej, poświęcone kształceniu i przygotowywaniu przyszłych kapłanów.

Kilka lat temu było tu solenne zakończenie Kongresu Eucharystycznego wspaniałą procesją. Widocznie nieba bardzo się na ten imponujący widok rozczuliły i tak się gwałtowną ulewą rozpłakały, że wszystkie ścieżki, ulice i drogi zarumieniły się kolorem purpury i fioletu z bogatych strojów dygnitarzy kościelnych.

Ks. Prałat Józef Kłos, redaktor Przewodnika Katolickiego w Poznaniu i naoczny świadek i uczestnik tych uroczystości, to wszystko bardzo pięknie i szczegółowo opisał w książce p. t. „Z drugiej półkuli".

Po dłuższych prośbach przekonaliśmy stróża, że to jest bardzo ważne, abym wzrok nasycił tem przepięknem miejscem. Wskazał nam boczną drogę za elektrownią dostarczającą prądu, a zimą pary do ogrzewania dwudziestu mniejszych i większych za budowań, niezbędnych do odpowiedniego przygotowania i wy-



Pole kukurydzy.

kształcenia gorliwych i bogobojnych kapłanów chicagowskiej archidiecezji.

Najprzód z bojaźnią, zdaleka, niby wilk owczarnię, okrążaliśmy te piękne, z czerwonej cegły budynki. Później ośmieleni tem, że nas nikt nie zaczepiał i wszędzie było cicho i pusto, swobodnie wjechaliśmy w samo centrum tego imponującego zakładu.

Na niewielkiem wzgórzu, u stóp uroczego jeziorka, wznosi się kaplica, kopjowana z kościoła protestanckiego w Farmington, Conn. Przed kaplicą jest wysoka kolumna z figurą Matki Boskiej, a u stóp piedestału bronzowe statuy apostołów.

Na kilkadziesiąt metrów z jednej i z drugiej strony kaplicy, zbudowano dwie duże rezydencje czyli hale, jedna dla filozofów, a druga dla teologów. Dalej sale wykładowe, sala atletyczna i wiele mniejszych i większych zabudowań.

Do brzegu jeziora prowadzą cudne tarasy, zdobne w kolumny, balustrady, pokryte bluszczem, krzewami kwitnącemi i niezliczoną masą drzewek iglastych. Mają tu i cieplarnię oraz fachowego ogrodnika, który się oddaje tylko hodowli kwiatów i krzewów. Wszystkie drogi, a właściwie bulwary są bogato obsadzone kwiatami i drzewkami. Parę mostów przez jezioro rzuconych lekkiemi łukami dodaje całej instytucji jakiegoś starorzymskiego uroku. Architektura jest w stylu „Colonial".

Vis a vis seminarjum, na przeciwnym brzegu jeziora, na małem wzgórzu, zamieszkuje J. E. Kardynał Jerzy Mundelein.

Szerokie schody prowadzą do Jego rezydencji, a może powinienem powiedzieć — pałacu. Stylem przypomina bardzo dom prezydenta Waszyngtona w Mt. Vernon.

Każdy student ma dwie stancje z własną kąpielą i wszystkiem potrzebnem do załatwienia spraw natury osobistej. Czy to dopomaga do wyrobienia ducha apostolskiego, do umartwienia i tego poświęcenia się, jakiego praca misyjna i apostolska od młodych lewitów wymaga, nie wiem, ale wątpię. Dla rozrywki „ciężko pracujących" kleryków jest tennis, golf i inne gry atletyczne. Dla ich wygody jest „swimming pool", pływalnia z wodą oczyszczaną promieniami, zabijającemi wszelkie bakcyle, a może nawet i... grzechy. Ciekaw jestem, jakby się taki młody wychowanek tego seminarjum czuł, gdyby go ukłuły minnesockie pluskwy i pokąsały komary w jakiejś budzie, zamieszkałej przez drwali. To się autorowi książki dosyć często w młodych latach kapłaństwa przytrafiło.

Polskie parafje, a jest ich w Chicago daleko więcej, aniżeli w jakiemkolwiek innem mieście na kuli ziemskiej, także swój grosz tu dały. Jeżeli się nie mylę, to każda parafja była na ten cel opodatkowana i to dosyć słono. Mówili mi księża, starzy znajomi, których tu na rekolekcjach spotkałem, że za to „polskiego języka uczą, jakie dobre pół godziny na tydzień". Ma się to ograniczać do czytania ustępów z polskich autorów, no i zapewne jakieś przygotowanie do głoszenia Słowa Bożego. Czy tu się coś robi, aby w tych przyszłych przywódcach ludu zachować i roz-

winąć ducha polskiego, bardzo wątpię. Zresztą, duch ten i tak bardzo szybko gaśnie wśród dorastającej i szkolnej młodzieży. Nie uratują go nawet najgorliwsi księża-patrjoci. Więc na co ma się o niego kłopotać arcypasterz?

Jeżeli się weźmie pod uwagę fakt, że sto trzydzieści lat temu Chicago było bardzo małą wioską, skupiającą się przy forcie Dearborn, to w stosunkowo krótkim czasie wyrosło na międzynarodowego kolosa, liczącego kilka miljonów ludności. Podziwiać trzeba jego nadzwyczajny postęp.

Kościół w swym rozwoju nie ustępował ogólnemu postępowi miasta. Pierwsza kaplica była tu zbudowana około sto dwadzieścia lat temu. Gromadziło się tam zaledwo sto kilkadziesiąt dusz pod opieką misjonarzy francuskich. Teraz samych katolików w archidiecezji chicagowskiej jest ponad miljon. Ileż tu wspaniałych kościołów, ile szpitali, ochronek, kolegjów i wszelkiego rodzaju instytucyj dobroczynnych?!

Przedstawia to wartość setek miljonów dolarów. Wszystko zbudowane z ofiar ludu katolickiego i przezeń jest utrzymywane. Niedawno kardynał Mundelein wystawił wspaniały, kilkunastopiętrowy gmach, nad brzegiem jeziora Michigan, jako wyższą szkołę dla dziewcząt. Napewno miljon dolarów nie wystarczył na tę budowę. Ostatniem jego arcydziełem ma być szkoła techniczna, gdzie młodzież będzie się kształcić na lotników. Co to jednak ma do czynienia z religją, pojąć nie mogę. Chyba że po śmierci ułatwi podróż do nieba.

We Fehonville jest wielki zakład wychowczy dla dziewcząt. W Techny zgromadzenie Werbistów posiada ogromny zakład, a przy nim obszerne szkółki drzew i kwiatów. Samych piwonij jest tam kilka miljonów. Z tego przynajmniej częściowo mają utrzymanie i prowadzą zbożną pracę. Trudnoby tu wszystko wyliczyć, ale z tego co widzieliśmy, można sobie wyrobić chociażby małe pojęcie, przynajmniej o materjalnym rozwoju kościoła katolickiego w Chicago.

Może nie wszystkim wiadomo, że po Warszawie, największa ilość Polaków na świecie mieszka w Chicago. Liczą nas na jakie czterysta tysięcy dusz. Rozrzuceni po całem mieście, stanowią ponad dziesięć procent ludności. Strona północna, jak tu mówią na „nortsajcie“ i dzielnica na zachód miasta czyli na „westsajcie“ tworzą najstarsze osiedla. Pełno ich przytem w oko-

licy rzezalń czyli na „sztok jardach" i w South Chicago. W ostatnich dwudziestu latach powstały liczne kolonje na przedmieściach Chicago. Ciężką i oszczędną pracą niejedni dorobili się znacznego majątku. Rodacy nasi mieszkają w pięknych murowanych, kilkupiętrowych kamienicach.



Quebec w Kanadzie.

Poszczególne dzielnice, grupujące się przy wspaniałych i bogatych kościołach, przyjęły nazwy kościołów. Więc też ten mieszka „na Wojciechowie", inny na „Trójcowie", „Młodziankowie", „Kazimierzowie" i t. d. Największą parafją polską do niedawna było „Stanisławowo", przy Noble ulicy. Posiadało także największą parafjalną szkołę w Ameryce. Uczęszczało do niej około cztery tysiące dzieci. Teraz parafja cośkolwiek zmalała, gdyż dużo zamożniejszych obywateli wynosi się poza obręb miasta, aby użyć trochę powietrza i spokoju.

W polskich dzielnicach czujesz się jak w domu. Wszędzie się słyszy „polską mowę", tylko może dla nas niezrozumiałą.

Milwakee Ave. Division i Noble ulice to drugie „Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat". Na sklepach, aptekach i wszelkiego rodzaju składach widzisz tylko polskie napisy. Ma się rozumieć nie byłyby to polskie, gdyby tu brakowało naszych zamerykanizowanych Mojżeszów, Abrahamów i innych, wszystkim dobrze znanych semickich. Przecież Polacy bez Żydów obejść się nie mogą. Cóżby nasze gosposie robiły, gdyby w żydowskim sklepie nie mogły się potargować? — Zwiedzamy tu nowocześnie urządzoną Polską mleczarnię Boydy, — jedną z największych w Chicago — siedmdziesiąt samochodów i wozów rozwozi mleko po mieście.

W tej dzielnicy od wielu lat mieściła się największa polska instytucja bankowa „North Western Trust". Na jej czele przez lata całe stał wybitny działacz polski, podczas wojny, prezes Wydziału Narodowego, Jan Smulski. Parę lat temu, cierpiąc na raka, targnął się na własne życie i zginął śmiercią samobójcy.

Niektórzy twierdzą, że kłopoty finansowe banku z powodu złych inwestycyj w gruntach Florydy, doprowadziły go do samobójstwa. Bank poniósł na tem dotkliwe straty. Ludność polska straciła w tym krachu kilkadziesiąt miljonów dolarów. Za nim poszły inne polskie banki. Pękały jak bańki mydlane. Lud nasz, „popierający swoje instytucje" poniósł wprost nieobliczalne straty. Podczas mego krótkiego pobytu w mieście kilka banków w polskich dzielnicach zamknięto, a depozytarjusze, przeważnie polscy robotnicy, stracili wszystkie oszczędności. Dlatego Polonja w Chicago znajduje się teraz w bardzo opłakanych stosunkach finansowych.

Podczas wojny lud nasz grubo zarabiał. Wielu sobie ładną sumkę uciułało na szarą godzinę. Od tego czasu wychodźtwo w Chicago straciło wprost kolosalne sumy.

To samo, tylko może na nieco mniejszą skalę, możnaby powiedzieć o całem wychodźtwie. Daliśmy hojne ofiary na sprawę polską. Nie szczędziliśmy danin na ratunek polskich ofiar wojny. Wysłaliśmy przecież cały okręt „Westward Ho" z żywnością i odzieżą do kraju. Przyszła pożyczka, złożyliśmy kilkanaście miljonów w tej krytycznej chwili, gdy Moskale byli pod Warszawą.

Potem zwaliła się cała plejada rozmaitych promotorów z Polski i tutejszego chowu. Przez nich budowaliśmy „Ogród Warszawę", stawialiśmy fabryki przez „Polskich Mochaników", organizowaliśmy linje autobusowe w Polsce.

Jechało to wszystko do nas, pasło się naszym dorobkiem, niby jakaś straszliwa, jadowita szarańcza. Nie pominęli nas wszyscy liderzy rozpolitykowanego partyjnictwa. Ssali z nas dobytek, niby pijawki. Teraz, gdy przyszło wysłać jednego z pisarzy, aby mi w podróży towarzyszył i potrzeba było tysiąc dolarów na napisanie już nie życia i pracy wychodźtwa, ale jego — nekrologu, nie znalazło się nawet jednego tysiąca dolarów w Polsce, by



Krajobrazy kanadyjskie.

przynajmniej częściowo pokryć koszta podróży. Ale na ten temat będę pisał obszerniej, gdy się zbliżymy ku końcowi podróży.

Weszliśmy na przekąskę do polskiej restauracji Lenarta w śródmieściu. Lokal obszerny, czyściutki, z gustem urządzony. Na ścianach wiszą obrazy polskich bohaterów. Wszędzie się słyszy polską mowę, podają polskie potrawy. Gdyby tu jeszcze była wódeczka i przekąski, myślałbyś, żeś w Polsce u Hawełki lub gdzieś na Nowym Świecie. Spotkałem tu cały zastęp naszych redaktorów, urzędników polskich organizacyj, kupców i przemysłowców. Czułem się jak u siebie w domu, między swymi!...

Nie chce mi się opisywać tego wielkiego miasta. Objeżdżamy wspaniałe parki i bulwary. Tu swym dobrotliwym wzrokiem spogląda Lincoln — dłuta słynnego rzeźbiarza St. Gaudensa. W Humboldt Parku nad Polonją czuwa Kościuszko. Tu na wszystkie narodowe uroczystości zbierają się Polacy, aby pod okiem tego wielkiego bohatera dwóch światów krzesać ducha i pracować dla idei polskiej. Podczas wojny płomieniste słowa głosił tu nasz



**Krajobrazy z Kanady nad rzeką św. Wawrzyńca.**

wielki hetman, ideowiec i najdzielniejszy z synów Ojczyzny, Ignacy Jan Paderewski. Jego mowa p. t. „Boście Polacy“ tu wygłoszona — w niczem nie ustępowała Skardze i Cyceronowi. Takich nam tu było potrzeba, ale nie Woźnickich i wszelkiego gatunku rozpolitykowanych szubrawców.

Michigan Avenue Bulevard jest miejscem okazowem w Chicago. Na kilka mil wzdłuż brzegu jeziora ciągnie się śliczny park. Z jednej strony wspaniały rząd sklepów, hoteli i gmachów urzędowych. Z drugiej strony jest obszerny plac, zdobny w klomby,

bijące fontanny, bronzowe statuy bohaterów amerykańskich, a opodal na cały świat słynne muzeum Fielda.

Naprzeciw muzeum, tuż nad wodą, zbudowano nie tak dawno jedno z najcudowniejszych akwarjów na kuli ziemskiej. Znajdziesz w niem wszystko, co w wodzie żyje, od ludożerczego rekina do najpiękniejszej, tropikalnej rybki, która mogłaby iść w zawody z najbarwniejszemi kwiatami. To nie rybki, to jakaś przecudna nie dająca się określić biżuterja wodna.

Chicago przygotowuje się do nowej wystawy światowej, „Century of Progress" — Wiek Postępu. Nad brzegiem jeziora tuż przy bulwarze powstają nowe gmachy w bardzo modernistycznym stylu zbudowane. Na uwagę zasługuje odbudowa pierwszego fortu, Dearborn, zbudowanego na tem miejscu sto trzydzieści lat temu. Wnętrzne jest urządzone według ówczesnego systemu budowy „block housów".

Zabudowania są otoczone ostrokołem. Na dwóch przeciwnych kątach małe wieże, z umieszczonemi w nich armatkami. W razie napadu przez Indjan, miejscowa ludność zawsze szukała schronienia w tych twierdzach i czuła się bezpieczną przed strzałami i tomahawkami czerwonoskórych. Obok fortu jest obszerna hala, duplikat budynku, w którym Abraham Lincoln był nominowany na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Były to dla Ameryki krytyczne chwile. Przygotowywano się już wtenczas do wojny domowej, która trwała przeszło cztery lata i pochłonęła ponad miljon żołnierzy. Lincolna, syna biednego pioniera, uważamy za jednego z wielkich prezydentów Rzeczypospolitej.

Polacy znani są z tego, że się czubią i kłócą, ale Bogu dzięki, przez wszystkie dzieje naszego narodu nie zginęło tylu ludzi w bratobójczych wojnach i niesnaskach, ilu zginęło w Ameryce, chociażby w jednej z mniejszych bitew.

Wedle starego zwyczaju, odwiedziłem miłego kolegę szkolnego i najwybitniejszego działacza na niwie narodowej w Chicago ks. komandora Ludwika Grudzińskiego. Jest on od wielu lat proboszczem ludnej parafji na południowej stronie miasta, pod wezwaniem św. Jana Bożego. Zbudował tu piękny kościół z ciosu, kosztem jakich trzystu tysięcy dol. Prócz tego od lat wielu z paru sąsiednimi księżmi prowadzi ochronkę i klinikę lekarską. Jest to jeszcze jeden z niewielu żyjących szermierzy sprawy polskiej.

Obszernie mówiliśmy o sytuacji narodowej w Ameryce. Przyśliśmy do przekonania, że się to wszystko zawala i beznadziejnie ginie w morzu Amerykańskiem. Sam ks. Komandor powiada, że w nim ta walka o ideały polskie i narodowe „wszysko wypaliła i zostały się tylko popioły“.

Czas szybko płynął na miłej pogawędce o studenckich przygodach. Opowiadał mi ks. Grudziński swą przeprawę ze ś. p. ks. rektorem Buhaczkowskim, którą tu powtarzam.

Wiadomo, że każdemu amerykańskiemu chłopakowi daleko więcej imponuje porządny „pyskotłuk“ a jak my tu mówimy „prize fighter“, aniżeli wszyscy Święci w niebie. Otóż „in illo tempore“ odbyła się właśnie taka walka na pięści o szampionat świata między dwoma ajryskimi pyskotłukami, Corbettem i Sullivanem. „Loui“, jakeśmy komandora nazywali, chciał sobie to wszystko dokumentnie przeczytać, bo to przecież było daleko ważniejsze od łaciny i greki. Jeden z kolegów, obecny rzecznik Związku Narodowego Polskiego, Leopold Kościński — mówiliśmy mu „Kostka“ — przeszwarcował mu tę bardzo sensacyjną gazetę, w której prócz aktorek — pół nagich — byli także umieszczani bohaterowie pięści. Taka batalja była z wszelkiemi szczegółami opisana. Otóż „Loui“ posiadając ten drogocenny dokument, jakim była „Police Gazette“, zabrał go do klasy. Drzwi zabarykadował dla wszelkiego bezpieczeństwa, wyłożył grecką gramatykę na ławkę, poczem zaczął czytać, kolejka za kolejką, ową słynną bitwę dwóch pyskotłuków.

Nieszczęście chciało, że nadszedł ks. Buhaczkowski. Drzwi przemocą otworzył i zapytał się: — „Moje dziecko, co ty tu robisz?“

— Uczę się greki, proszę księdza!

— Moje dziecko, pokażno co ty tam masz za koszulą? Wyciąga ową straszliwą gazetę, którą już od dłuższego czasu z wielką zaciekłością trapił.

— Moje dziecko, gdzieś ty to dostał?

— W koszu przy „bojlerze“ — (piec do ogrzewania) — proszę księdza!

— Moje dziecko, kto ci to dał?

Rektor chciał się koniecznie dowiedzieć, kto mu to przeszwarcował. Ale się trzymał „bojlera“, niby tonący brzytwy, bo

przecież kolegę wydać, byłoby grzechem wołającym o pomstę do nieba.

— Moje dziecko, smarkaczu i błaźnie jeden — rym w „pysk“. Zaraz mi pakuj kuferek i szoruj do domu. My tu takich chicagoskich „bumów“ nie potrzebujemy.

Biedny Ludwik poszedł, spakował kufer i o szóstej idzie do rektora po pieniądze na podróż. Znów nowa scena.

— Moje dziecko, czego ty tu chcesz?

— Przyszedłem po pieniądze, bo mi ks. rektor kazał zapakować kufer i jechać do domu.

— Moje dziecko, smarkaczu, pójdziesz ty mi zaraz do góry, błaźnie jeden! Zaraz mi do kaplicy szoruj i tam się będziesz modlił sześć godzin!!

Przypuszczam, że gorliwa była to modlitwa. Takim sposobem dla sprawy polskiej został uratowany ks. komandor Ludwik Grudziński. Gdy po wielu latach ś. p. ks. rektor Buhaczkowski przybył do Chicago, bardzo go serdecznie i gościnnie podejmował i o tem przejściu opowiadał.

Polonję w Chicago możnaby przyrównać do olbrzymiej bryły, która się jeszcze długi czas opierać będzie zakusom amerykanizacyjnym. Owszem, gdyby Polacy w Chicago trzymali sie razem, gdyby się wciąż nie dzielili na partje i partyjki, a szczególnie w sprawach politycznych szli gromadą, mogliby całem miastem rządzić. Mają co prawda kilku wybitniejszych urzędników, kilku sędziów, ale to drobnostka na te setki tysięcy, jakie powinny stanąć do urny wyborczej. Niechby taką siłę posiadali Ajrysze lub Żydzi, dopieroby pokazali innym mniejszościom lub grupom narodowościowym, co oni znaczą. Chociaż tutejsza Polonja przywłaszcza sobie dyrektywę w sprawach polskich, we własnem mieście jednak nie wykazała dotychczas żadnych nadzwyczajnych sukcesów.

Nasamprzód kler polski nie jest jak należy zorganizowany. Powstały tu poniekąd dwie przeciwne orjentacje. Jedni stoją po stronie Kardynała i popierają jego poglądy. Inni zaś tworzą opozycję, która jednak słabnie i to zdaje się dla dość zrozumiałych powodów. Niektórzy chcą poprostu zachować kawałek chleba, dawany im nie przez kogo innego tylko przez Polaków, inni zaś starają się o pozyskanie względów i objęcia tym sposobem wygodnych stanowisk. Ci, co walczyli o sprawy narodowe,



Miasto Portland — na horyzoncie góra Hood — 50 mil odległa.

ustąpili z pola bitwy, złamani na duchu i przycichli, uważając dalszą walkę za bezcelową. Czasem tylko, ten nurt, obrażonych uczuć narodowych lub jakiejś wyrządzonej krzywdy, odezwie się na szpaltach niektórych czasopism, ale i to wkrótce przycicha i ginie...

Słyszałem dosyć dużo relacyj na ten temat. Nie chcę się w to mieszać, gdyż to nie prowadzi do celu. Dopóki Polacy, czy to jest w Chicago czy w jakiejkolwiek innej osadzie polskiej się nie połączą, nie staną murem, pod hasłem — „jeden za wszystkich i wszyscy za jednego“, nic z naszych wysiłków nie będzie! Owszem, jeżeli ten lub ów świecki czy duchowny działacz zabierze się do pracy polityczno-narodowej, znajdą się zawsze takie „lizajki“, które o tem doniosą naszym przeciwnikom. Widać, że w Chicago takich ludzi nie brakuje. Tego nie czynią Ajrysze, a na pewno nie robią tego Żydzi.

Powiedziałbym, że brak nam wodzów, a jak tu mówią — „liderów“, ludzi, cieszących się zaufaniem mas wychodźtwa. Wszystko, co teraz widnieje na horyzoncie politycznym czy też organizacyjnym, to miernoty.

Obecnie Chicago posiada trzy i to dosyć poważne polskie czasopisma codzienne: Dziennik Chicagoski, zdaje się ze wszystkich dzienników najstarszy. czytywaliśmy go jeszcze na szkolnej ławie. Następnie jest Dziennik Związkowy i Dziennik Zjednoczenia — organa urzędowe naszych dwu największych organizazyj asekuracyjnych i przez nie finansowo wspierane. Prócz tego, jest tu kilka pomniejszych pism tygodniowych, z których pracą i kierunkiem nie jestem dostatecznie obeznany, abym mógł obszerniej pisać. Naogół powiedziałbym, że pisma polskie w Ameryce, są dobrze redagowane. Wszystkie jednakowoż walczą z niedostatkiem i poprostu cierpią na suchoty finansowe.

W Ameryce, a nawet przypuszczam, że w innych krajach jest to samo, gazeta się opłaca nie z prenumeraty, ale z ogłoszeń. Sklepy znajdują się przeważnie w rękach żydowskich. Ci wydają miljony dolarów na ogłoszenia w czasopismach angielskich, a niemal ani centa w czasopismach polskich, gdyż wiedzą, że Polacy i bez ogłoszeń u nich kupują.

Polscy biznesiści z małemi wyjątkami prowadzą małe narożne sklepiki żywnościowe i uważają ogłoszenia za niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy. Chociaż zawsze mogą liczyć na poparcie polskiej prasy, ale sami jej nie popierają. Jedynym wypadkiem

gdy w polskich gazetach umieszczano całostronicowe ogłoszenia, to był okres powojenny, gdy co chwila powstawały „polskie korporacje", wyłudzające grosz od naszych ludzi.




Zbieranie pomarańczy.

Sprawę utrzymania i rozwoju prasy naszej w Ameryce uważam za jedną z najważniejszych. Jeżeli przez naszą obojętność stracimy polskie czasopisma, będziemy podobni do armji, która straciła swą artylerję. Jesteśmy wtenczas skazani na zagładę. W takiem Chicago w ostatnich kilku latach parę poważnych dzienników upadło. Na „prowincji" nie lepiej.

Ważną rolę w życiu, nie tylko chicagoskiej, ale całej Polonji odgrywają wielkie polskie organizacje, jak Związek Zjednoczenie, Związek Polek, Macierz i wiele innych. Te cztery mają swe kwatery w Chicago. Kilkupiętrowe budynki są zapełnione biurami, organizacje te dysponują już miljonami dolarów.

Każda z nich ma za sobą lata całe, a niektóre przeszło półwiekową pracę na polu narodowem, społecznem i religijnem. Wypłaciły miljonowe sumy „pośmiertnego" rodzinom zmarłych członków, dały grube sumy na cele oświatowe i narodowe, zakładały bibljoteczki ludowe, dopomagają kształcącej się młodzieży. Jest to naogół praca dobra i poparcia godna.

Jednakowoż i na tem polu napotykają nasze organizacje czyto narodowe, czy też narodowo-katolickie, na trudności i opozycję. Młodzież częstokroć garnie się do stowarzyszeń obcojęzycznych, czyto katolickich czy bezwyznaniowych, protestanckich, a nawet masońskich. Jest to bardzo bolesna strata dla sprawy polskiej.

Organizacje jednak zdają sobie z tego sprawę i starają się temu, o ile możności, przeciwdziałać. W czasopismach prowadzą dział sportowy w języku angielskim dla młodzieży. Organizują w poszczególnych grupach i osadach kluby do gry w piłkę ręczną (base ball), piłkę nożną, koszykową, powstają polskie ligi kręglarzy, a teraz pracują nad polską organizacją harcerzy.

Jedynie organizacje polskie mogłyby rozwinąć wśród szerszych mas wychodźtwa pracę narodową. Niestety, są ograniczone w funduszach, a powtóre nie posiadają odpowiednio wykwalifikowanych ludzi. Księża oczywiście w tej pracy cośkolwiek pomagają, ale ci „gorliwsi" są ograniczeni, a gdyby zbyt wiele czasu i energji sprawom narodowościowym poświęcali, mogłaby władza duchowna ich zbytnią gorliwość ukrócić. Więc tylko ludzie świeccy mogą nieść przed ludem „oświaty kaganiec".

Tu właśnie mógłby rząd polski oddać sprawie narodowej olbrzymie usługi i jeszcze na długo utrzymać ducha polskiego.

Jeszcze nadmienić wypada, że nasze zakony żeńskie swą pracą nauczycielską w szkołach parafjalnych wielce się przyczyniają do utrzymania ducha polskiego wśród dziatwy szkolnej. Ta praca jednak napotyka na coraz to większe trudności nietylko ze strony dzieci ale także rodziców.

Poza pracą szkolną nasze zakonnice oddają się pracy dobroczynnej. Prowadzą liczne ochronki i sierocińce. Siostry Najśw. Rodziny mają tu szkołę wyższą i duży, z wszelkiemi nowoczesnemi urządzeniami szpital.

---

Rozdział VIII.

## WISCONSIN.

Nie będę dłużej popasał w Chicago, tem bardziej, że moja samochodowa awangarda dojechała już do Yellowstone Parku, o tysiąc mil na zachód, a bagaże pisarskie jeszcze pokutują w mieście wiatrów — „Windy City“ w Chicago, więc też opuszczam gościnne progi naszych przyjaciół i rychło rano, bocznemi drogami kieruję się na północ i zachód w stronę stanu Wisconsin i miasta Milwaukee.

Wisconsin wywodzi swą nazwę, jak wiele innych stanów, od Indjan. Znaczenie dokładne tego słowa jest nieznane.

Pierwszymi odkrywcami byli misjonarze francuscy — Jezuici. Ks. Marquette przybył do zatoki Green Bay wraz z kupcem francuskim, Jean Nicollet w r. 1665. Pouczał tam zamieszkałych Indjan i dowiedział się, że bardziej na zachód jest jakaś „wielka woda“. Ciekawe i straszne rzeczy opowiadali Indjanie o dzikich plemionach, wodospadach i wodnych potworach. To jednak nie zrażało dzielnych pionierów, bardzo gościnnie podejmowanych przez Indjan, od dalszej podróży. Nicollet przypuszczając, że tam już jest ocean Spokojny i Chińczycy, przyodział się w ubiór chiński i z dwoma pistoletami wyszedł na spotkanie tych nieznanych ludów. Okazało się, że skośnookich i żółtoskórych synów Buddy nie znaleźli, tylko czerwono-skórych Indjan.

Po zawarciu z nimi znajomości i przyjaźni, po bankiecie „na którym podano aż sto dwadzieścia bobrów“, ruszyli wdół rzeki Wisconsin ku słynnej Mississippi. Pierwsze osady białych powstały w okolicy obecnego miasta Green Bay. (Arcypasterzem tej diecezji jest wszystkim dobrze znany rodak, J. E. ks. biskup Paweł Rhode).

Nie obeszło się tu bez wojen, gdy koloniści, szukając urodzajnych pól nad rzekami Fox i Winsconsin, coraz bardziej wypychali z nich tubylców. Jak zawsze, skończyło się przegraną Indjan, którzy musieli opuścić prastare siedziby i cofnąć się dalej na zachód.

Od czasu, gdy Nicolas Perrot prowadził handel wymienny z Indjanami w „La Baye Verte“, dzisiejszym Green Bay, w roku 1665 — 66, dużo się tu zmieniło.

Indjanie przenieśli się do wieczności — do swych „happy huntig grounds“, krain wiecznych łowów. Niebo w ich pojęciu — to miejsce przyjemnego polowania.

Lasy wytrzebiono, a na ich miejscu powstały piękne farmy, liczne wioski, miasteczka i miasta.

A teraz wyrecytuję małą litanję rozwoju tego uroczego skrawka ziemi.

Wisconsin — Wis-kon-syn — dzierży prym w produkcji sera. Wytwarza się tu sześćdziesiąt pięć procent krajowej produkcji tegoż, czyli przeszło trzysta miljonów funtów. Jest on pierwszy — w produkcji kondensowanego mleka w puszkach — siedmset dwadzieścia pięć miljonów funtów. Pierwszy — w produkcji mleka — ponad sto miljonów centnarów. Pierwszy — w produkcji groszku zaprawianego w puszkach — wartość ponad sześć i ćwierć miljona dolarów. Pierwszy — co do ilości krów dojnych — dwa miljony sto dwadzieścia pięć tysięcy sztuk. Pierwszy — w przerobie produktów mlecznych, — wartości około trzystu miljonów dolarów. Tu znajdziesz najwięcej „beczek“ do kiszenia kukurydzy dla bydła — „silos” — około sto dwadzieścia tysięcy.

To jest tylko jedna gałąź przemysłu rolnego. W produkcji koniczyny, siana, ogórków, kapusty i wszelkich ziemiopłodów, stoi albo na pierwszem miejscu albo wśród największych producentów w kraju.

Pod względem fabrycznym tak samo poczesne zajmuje stanowisko. Na pierwszem miejscu w produkcji maszyn do mieszania cementu, tartaków, motorów spalinowych, kopaczek parowych, maszyn do wyrobu butelek i wielu innych fabrykatów, zbyt licznych, aby je tu recytować. Po odrzuceniu prohibicji prawdopodobnie znów stanie na pierwszem miejscu w wyrobie piwa. Produkty Wisconsinu rozchodzą się po całej kuli ziemskiej,

włączając w to oba bieguny, północny i południowy, gdyż tam odkrywców zaprowadziły motory i sanie wisconsyńskie.

Pierwszą drogę w Wisconsinie zbudowano w roku 1824 z Green Bay do Kankauna. Teraz, niby gęstą siecią, cały stan jest pokryty pierwszorzędnemi drogami. Gdyby je wyciągnąć w jedną prostą linję, możnaby nią opasać kulę ziemską trzy razy i jeszczeby został mały skrawek sięgający od Paryża do Moskwy.

Wisconsin obejmuje przeszło pięćdziesiąt sześć tysięcy mil kwadratowych i posiada blisko trzy miljony ludności. Jest to stan przeważnie rolniczy. Można powiedzieć, że to nie tylko kraj mlekiem i miodem płynący, ale serem i masłem grubo posmarowany. Nad jeziorem Michigan jest kilka większych miast przemysłowych, jak Racine, Kenosha. Tu w roku 1867 — Sholes zbudował pierwszą maszynę do pisania.

Gdy dotarłem do słynnego „grodu śmietankowego“ — miasta Milwaukee, gdzie dawnemi czasy człowiek czuł się jak w Berlinie, nieomal zapłakałem. Co też ta przeklęta prohibicja narobiła tu szkody.

Za studenckich czasów miałem tu dużo kolegów, z którymi żyłem w bardzo przyjaznych stosunkach. Była fantazja, a latem zawsze nas trapiło pragnienie. Ponieważ u studentów „forsa“ jest zawsze mała, a zapotrzebowania wielkie, więc też braliśmy się na sposób. Milwaukee jest słynne z browarów.

Jest tu na cały świat znany Pabst, Schlitz „Beer that made Milwaukee famous” — „Piwo, które przyniosło sławę miastu Milwaukee“: Były tu inne, a nawet polskie browary. Dziś w największem z tych źródeł piwa wyrabiają — ser! Czyż można to sobie wyobrazić — ser?! Zamiast słynnego Pabsta „Bluel Ribbon“. Otóż codziennie wybieraliśmy się gromadą na zwiedzenie jednego z kolei browaru. Wkrótce tak dokładnie znaliśmy procedurę wyrobu piwa, że mogliśmy z tej gałęzi przemysłu złożyć maturę. Coprawda, nie interesowały nas olbrzymie kadzie i maszyny, ale ta ostatnia ciupa, w której goście mogli się do sytu raczyć tym, dziś przez wszystkich pożądanym trunkiem — gratisowo. Bardzośmy z tego przywileju korzystali.

Była tu wtenczas słynna restauracja — Schlitzes „Palm Garden“. W pięknej sali, zdobnej w olbrzymie tropikalne palmy, podawano — piwo. Nie pytano co będziesz pił, tylko krótko —

„dunkles oder helles". Wszystko djabli wzięli, a właściwie zniszczyła prohibicja. (To pisałem za panowania prohibicji). Teraz to każdy gotuje sobie jakiś domorodny żur, od którego się kiszki kręcą jak struny. Czyż możecie się dziwić, mili czytelnicy, że tylko bokiem przejeżdżam owe słynne miasto browarów?! Żółćby mi pękła, gdybym wstąpił „na jednego", a zamiast piwa i przekąski z szynki i żytniego chleba podaliby nam — sera!

Dlatego też tu się nie zatrzymujemy, ale walimy dalej w stronę Fond du Lac i Oshkosh. Nie wabią polskie parafje, piękne, bogate i liczne. Nie zatrzymuję się u księży, dobrych kolegów, gorliwych kapłanów i dzielnych patrjotów. Ze swej pracy społecznej, narodowej i duszpasterskiej znani są księża: Bronisław Celichowski, ks. prałat Bolesław Góral, ks. prałat Wenta, ks. Wacław Kruszka, ks. M. Domachowski, ks. Rudolf Kiełpiński i wielu innych.

Ale o czembyśmy gadali, jeżeli nie o tych dawnych, wesołych, a bezgrzesznych latach?!... Jest tu Polaków moc. Kaszubi byli pierwszymi osadnikami. Niejedni dorobili się majątków, inni wybili się w polityce. Prócz zasobnych parafij, posiadają tu Polacy wspaniałą salę „Kościuszko". Zbudowali mu także pomnik, mają dwa dzienniki „Nowiny Polskie" i „Kuryer Milwaucki", który często z Kościołem i klerem walkę prowadził. Brat wydawcy „Kuryera" ks. Wacław Kruszka, przez długie lata czynił zabiegi w Rzymie o polskich biskupów. Wszystko napróżno. Nec Hercules contra plures. Nie tylko, że nie otrzymaliśmy naszych diecezyj narodowościowych, ale teraz nawet parafje narodowościowe idą w odstawkę. Ks. Kruszka napisał kilkutomową „Historję Wychodźtwa Polskiego" z której dużo ciekawych szczegółów można się dowiedzieć.

Droga prowadzi w kierunku północno-zachodnim przez bardzo malownicze okolice farmerskie. Wszędzie widać dostatek i dobrobyt. Zabudowania piękne, stodoły wspaniałe, na łąkach pasą się stada bydła rasy holsztyńskiej. Od czasu do czasu mijam małe wioski i miasteczka. Na wzgórzach, zdala błyszczą wieże kościołów katolickich, chociaż i luterańskich nie brak. Ludność przeważnie pochodzenia niemieckiego, jednakowoż jest tu kilka osad czysto polskich. Ziemia urodzajna, starannie uprawiana, pola ogrodzone płotami drucianemi — wszystko wygląda, niby malownicze ogrody. Widać dostatek i rozumną gospodarkę.

Nad wieczorem mijam piękne miasteczko Fond du Lac, położone nad uroczem jeziorem. Zatrzymuję się na noc na przedmieściu miasteczka Oshkosh, kiedyś wielkiego centrum przemysłu drzewnego. Zniknęły dziewicze lasy dębowe, a na ich miejscu powstały farmy.

Rano przed kabiną, w której kwaterowałem, złożył mi swój „bilet wizytowy“, piękny pies rasy „police“. Ponieważ bardzo sympatycznie na mnie spoglądał przy składaniu psiego biletu, a w dodatku był starannie wymanikiurowany, zainteresował mnie ogromnie. Co do psów — w zupełności podzielam zdanie Szopenhauera: „Im więcej widzę ludzi, tem lepiej lubię psy“. Był to, jak się dowiedziałem, nie tylko arystokrata psiej rasy, ale nawet aktor z samego Hollywood.

Wartość, jaką mi jego właściciel podał, oraz cały rodowód, wskazywały na wysokie szlachectwo psiej rasy. Był zaasekurowany na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Miał przytem bardzo piękną i sympatyczną towarzyszkę życia. Wogóle wszyscy aktorzy i aktorki z Hollywood, pod względem życia rodzinnego, skłaniają się bardzo ku Mahometanom. „Rex“, tak się bowiem ów psi arystokrata nazywał, nie był tego dnia w zbyt dobrym humorze i swą towarzyszkę, kilka razy, psim językiem zbeształ. Widać było, że ona jeszcze piękna i młoda, pragnęła miłostek i uciech, on zaś, jako sześcioletni obywatel, w psie figle się tam nie wdawał. Ładnie pozowały do fotografji i wkrótce ze swymi panami odjechały. Czasem to psu lepiej niż człowiekowi.

Skręcam bardziej na zachód ku Stevens Point, jednej z najstarszych osad polskich w Ameryce. Na przedmieściu, w małym parku, piękny pomnik Pułaskiego, ofiarowany miastu przez tamtejszą Polonję.

Dwie są parafje polskie w Stevens Point. W parafji św. Piotra, jest proboszczem bardzo energiczny i pracowity kolega szkolny ks. Juljusz Chyliński. Co tylko ukończył budowę pięknej szkoły, z którą jest połączona sala teatralna, kąpiele natryskowe, kuchnia dla dzieci, i wszelkie ubikacje potrzebne nie tylko dla nauki dzieci, ale także dla przyjemności i rozrywki młodzieży i starszych. W sąsiedniej parafji drugi kolega i klasista ks. konsultor, Franciszek Nowak, zbudował ładny kościół, szkołę, plebanję, jednem słowem, całe zabudowanie kościelne i siedzi sobie, jak pączek w maśle.

Po krótkiej wizycie odwiedziliśmy drugą najstarszą osadę polską w Ameryce nazwiskiem Polonja. Od blisko siedmdziesięciu lat zamieszkują tu polscy farmerzy. Kościół wspaniały, chociaż stare ławki i zbyt podła cegła ujmują uroku tej pięknej świątyni. Wpadliśmy po drodze do starego kolegi ks. Kłosowskiego i sko-



Polska szkoła w Stevens Point Vis.

sztowaliśmy starych miodów, jakiemi nawetby Zagłoba nie wzgardził. Grunta w tych okolicach są lekkie, piaszczyste, a nasi gospodarze rozwinęli na wielką skalę hodowlę kartofli, które się tu dobrze obradzają. W tych stronach rozpoczął swą pracę misyjną późniejszy założyciel i pierwszy rektor Seminarjum polskiego ś. p. Józef Dąbrowski.

Mimo próśb kolegów, ruszam w dalszą podróż. Drogi świetne, więc można pospieszać. Miernik wskazuje pięćdziesiąt i więcej mil na godzinę. Zatrzymuję się na kolację w Marshfield, słynącego ze serów i masła. Po krótkim postoju jadę dalej. Mijam polską osadę w Thorp, Wis. Z drogi widać duży murowany kościół i dostatnie zabudowania parafjalne. Na noc staję w pobliżu miasta Chippewa Falls, nad brzegiem jeziora Wissota. Miasto znane z fabryk mebli, obuwia i młynów zbożowych. Chip-

pewa, to plemię Indjan kiedyś tu zamieszkujących. Już dwa dni jadę przez Wisconsin, bogatą okolicą rolniczą; ziemia bardzo żyzna i znajduje się w wysokim stanie uprawy. Wisconsin, jak Minnesota są pokratowane farmami przeciętnej wielkości od 160 do 240 akrów.



Kościół polski w Polonja Wisconsin, w jednej z najstarszych osad polskich w Ameryce, ks. Józef Dombrowski był tu proboszczem.

Rychło rano opuszczam uroczą kwaterę. Ruszam w dalszą drogę, kierując się ku zachodowi i północy. W miasteczku Hudson przekraczam rzekę St. Croix, stanowiącą granicę między Wisconsinem a Minnesotą. Chociaż tu niemasz żadnych „Zol Beamten", płacę jednak dwadzieścia centów haraczu, co należy do wyjątków, gdyż dotąd tylko raz płaciłem za przejazd i to przez rzekę Hudson.

Dawnemi laty rzeką St. Croix spławiano masy drzewa do tartaków, nad rzeką Mississippi zbudowanych. Teraz zaledwo tu i ówdzie zauważysz jakąś kłodę. Wszystko wycięte i porznięte



Kościół ś. p. Ks. Guzdka.

na deski. Tam, gdzie przed pięćdziesięciu laty były dziewicze lasy, teraz spotykasz urodzajne pola pszenicy, kukurydzy i koniczyny.

---

## Rozdział IX.

## MINNESOTA.

Jest to stan piękny i bogaty. Z łatwością mógłby obszarem przykryć niejedno czupurne państewko europejskie. Nazwę swą wywodzi od Indjan. „Minne“ — w narzeczu Siouxów (wymawia się — „su“) — oznacza wodę, „sota“ zaś ma oznaczać, zabłoconą. W każdym razie jest to stan jezior. Nie braknie ich także w północnym Wiskonsinie. Nie licząc małych jeziorek, Minnesota ogłasza się jako kraina „dziesięciu tysięcy jezior“. Jest to raj dla rybaków i myśliwych. Jedenasty z rzędu co do wielkości, obejmuje przeszło ośmdziesiąt cztery tysiące mil kwadratowych. Ludność przekracza dwa i pół miljona, przeważnie z krajów skandynawskich, dużo także Niemców.

Opowiadają, że pewien Szwed po śmierci chciał się dostać do nieba. Zapukał więc do bram niebieskich. — Tam go zapytano, jak się nazywa. — Ten mówi: Ole Oleson.

Przejrzano spis kandydatów i nie znaleziono go na liście. — Polecają mu, aby poszedł — do piekła! Więc Szwedzisko mocno strapione wali do piekła i puka... — Jakiś djabeł wyłazi i pyta, czego chce i jak się nazywa?! Ten znów odpowiada, że się nazywa Ole Oleson, rodem z Minnesoty i chce iść do piekła!

Po dokładnem zbadaniu listy kandydatów, a był to dosyć długi spis, nazwiska jego nie znaleziono, więc każą mu się czemprędzej wynosić!

Biedak nie mogąc się dostać ani do nieba ani do piekła, powiada: — „Tu mnie nie chcą i tam mnie nie chcą, więc wrócę z powrotem do Minnesoty“. Dlatego się ich tu tylu namnożyło.

Jak w wielu innych stanach, pierwszymi białymi osadnikami, a właściwie eksploatorami, byli Francuzi. Radisson i Grosseliers spędzili czas dłuższy wśród Indjan nad brzegami jeziora

Mille Lacs. Firma Hudson Bay Co. w różnych częściach tego terytorjum założyła placówki handlowe. Sieur Du Luth jest uważany za jednego z pierwszych pionierów, który brzybył w te strony jeziorem Superior. Miasto Duluth nosi jego nazwę. Ks. Hennepin, Jezuita, głosił Słowo Boże do Indjan w okolicy Mill Lacs i przy wodospadzie św. Antoniego, na rzece Mississippi. Dziś ten wodospad tworzy centrum półmiljonowego miasta Minneapolis, słynnego na cały świat z młynów zbożowych, stąd pochodzi mąka: „Gold Medal", „Cressota", „Occident" i inne gatunki.

Po wykupieniu całej doliny rzeki Mississippi od Napoleona, prezydent Jefferson wysłał tu ekspedycję wojskową pod komendą pułkownika Zebulon Pike, aby te obszary zbadał.

Kupiliśmy poniekąd kota w worku, gdyż ani Francuzi an Amerykanie żadnego nie mieli pojęcia o tych obszarach. Pułkownik Pike dotarł rzeką Mississippi do wodospadu św. Antoniego, a po dłuższych próbach wdarł się bardziej na północ do obecnego miasteczka Little Falls.

Pierwsi osadnicy, jak i w innych stanach, stoczyli krwawe walki z Indjanami plemienia Sioux. W roku 1862-im wybuchła wojna z czerwonoskórymi. W przeciągu dziesięciu dni zginęło jakie ośmset ludzi, wliczając w to mężczyzn, kobiety i dzieci. Przyszło wojsko i jak zawsze „zrobiło porządek". W zapalczywości 38 Indjan powieszono, a resztę wypchnięto dalej na zachód. Od tego czasu coraz liczniej przybywali emigranci w te strony jako koloniści.

Cóż to za cudny kraj!

Były tu kiedyś dziewicze lasy. Potężne sosny białe, niby wspaniałe kolumny, pokrywały ten obszerny, a urodzajny szmat ziemi. Chodziłeś w lesie po grubej warstwie igliny, niby po najcudowniejszym dywanie. Wszędzie rozlegał się śpiew ptactwa, szczebiot wiewiórek... Tam lazł sobie czarny niedźwiedź, mknął rączy jeleń lub łoś, „musem" zwany, albo dużemi oczyma patrzała na ciebie wystraszona sarna. Oprawne w zieleń lasów, zdobne cudnemi wysepkami jeziora, roiły się od ryb wszelkiego gatunku. Pamiętam jeszcze takie malownicze skrawki tej „Gwiazdy Północy". Taki bowiem tytuł przybrała Minnesota na pieczęci stanowej „L'Etoile du Nord".

Lasy dawno padły pod siekierą pierwszych osadników lub drwali, to zaś, co się ostało, zniszczyły pożary panujące tu dość

często, szczególnie podczas letniej posuchy. Nieraz jedziesz dziesiątki mil i nie zobaczysz jednego drzewa tam, gdzie do niedawna rosły dziewicze lasy.

Południowa i zachodnia część stanu jest bardzo urodzajna. Wszędzie napotykasz bogate łany pszenicy, kukurydzy i zielone pola kartofli. W produkcji masła i sera po Wisconsinie Minnesota w Stanach Zjednoczonych zajmuje drugie miejsce.



**Kopalnia rudy żelaznej.**

Północna część stanu niebardzo nadaje się pod uprawę roli, ale zato posiada bogate kopalnie. Wydaje 75 procent rudy żelaznej w Stanach Zjednoczonych, a przeszło 40 procent w całym świecie. Kiedyś dniem i nocą pracowały tu olbrzymie tartaki, może największe na kuli ziemskiej, ale to należy już dziś do dalekiej przeszłości, więc nawet wspominać o tem nie będę.

Pierwsze osady powstały u dopływu rzeki Minnesota i Mississippi. W roku 1821-ym zbudowano Fort Snelling. Pozostała

z niego tylko okrągła murowana wieża, grubo porośnięta bluszczem. Rząd jednakowoż ma tu koszary wojskowe i ogromny szpital dla inwalidów z wojny światowej.

Miasto stołeczne St. Paul i tuż obok sąsiadujące Minneapolis liczą trzy ćwierci miljona mieszkańców.

Pamiętam, jako student, tych starych pionierów, księży francuskich, którzy w tych stronach pracowali, gdy St. Paul liczyło zaledwie pięćdziesiąt rodzin białych, reszta — to Indjanie.

Narazie nie zatrzymuję się w tych pięknych środkowo-zachodnich miastach, gdzie tyle miłych dni spędziłem, gdyż jeszcze wrócimy popatrzeć na stare, a miłe kąty.

Przejeżdżam więc szybko przez St. Paul i Minneapolis i wzdłuż rzeki Mississippi sunę w kierunku północnym przez Anokę do St. Cloud.

Już zdaleka widać granitowe mury więzienia stanowego. Miasto słynie z bogatych kamieniołomów, a stan zajmuje drugie miejsce po Vermont w produkcji granitu i szlachetnego kamienia budulcowego.

O dwanaście mil od St. Cloud jest miasteczko Foley. Tu będzie mój następny dłuższy przystanek i wypoczynek.

Od lat wielu znam tu bardzo sympatyczną i gościnną rodzinę Musiałów. To jeszcze starzy pionierzy. Już pół wieku w tych stronach pracują: karczowali pieńki, wycinali lasy i uprawiali rolę w pocie czoła. Wychowali liczną rodzinę w dawnych staropolskim i katolickim rygorze.

Okolica bardzo piękna. Równiny pocięte na urodzajne pola złocą się od dojrzewającej pszenicy. Tu i owdzie widać już żniwiarki na polu, a gęste kopy ściętego zboża świadczą, że urodzaje tego roku są bardzo obfite. Stogi siana, wysokie, a ciemnozielone kiście kukurydzy zapewniają obfitą paszę dla bydła. Zabudowania piękne. Ogromne z łamanemi dachami stodoły, a przy nich olbrzymie beczki (silo) do kiszenia zielonej kukurydzy na paszę, świadczą, że hodowla bydła ważną tu rolę odgrywa i przysparza rolnikom majątku. Ziemie w tej stronie są urodzajne. Jest to czarnoziem, jaki się w Polsce spotyka tylko na Podolu.

Po kilkudniowym wypoczynku odwiedzam sąsiednie miasteczka i starych znajomych kolegów, księży, po licznych, chociaż niewielkich, parafjach rozrzuconych. Jednym z pierwszych był ks.

Jan Guzdek, od lat wielu proboszcz polskiej parafji w Browerville, Minn.

W rok po mym pobycie umarł ten dzielny kapłan i patrjota polski. Jako wspomnienie pośmiertne te kilka słów mu poświęcam. Nie spodziewałem się, że tak prędko odejdzie.

Ten miły kolega należał do tak wyjątkowych typów, że go milczeniem pominąć nie można. Strategji w cesarsko-królewskiej armji, uczył się pod generałem Steinmetzem, i Austrjacy mieli generała o nazwisku znanego pruskiego bohatera z pod Gravelotte. Opuścił wojsko w randze rotmistrza kawalerji. Opowiadał mi, że komendant, zadając pytania studentom, miał zwyczaj głaskać długą brodę. Gdy student dobrze na pytanie odpowiadał, głaskał brodę z góry na dół, gdy źle, to w przeciwną stronę. Zdaje się, że gdy kadet Guzdek odpowiadał, komendant zawsze ją głaskał z góry na dół. Że ks. Guzdek był pierwszorzędnym strategikiem i może byłby nieboszczkę Austrję uratował od haniebnej śmierci, nie ma dwóch zdań. Wystarczy na dowód następujący przykład.

Polacy w Browerville to przeważnie Ślązacy; lud dobry, ar, twardy i uparty, jak kozioł, gdy się na coś uweźmie. Otóż potrzebny tam był kościół. Ksiądz robił wszelkie starania, aby kościół zbudować, gdyż stary się walił. Ludzie jednak nie chcieli. Proboszcz więc opuścił parafję, a na jego miejsce przybył młody ks. Jan Guzdek.

Pierwszą niedzielę lud się gromadnie zebrał, gdyż myśla że tu zaraz o nowym kościele będzie mowa, a tu nic! Zdziwiło ich to mocno, ale już myśleli, że w następną niedzielę napewno na ten temat wjedzie. Też nic. Zaintrygowało ich to bardzo, a poniekąd i oburzyło, aby ksiądz o kościele nie pomyślał. Nie wiedzieli, że mieli do czynienia z wielkim strategikiem i sprycia-rzem ze szkoły cesarsko-królewskiej.

Za kilka niedziel rozpoczął ks. Guzdek symulowany atak przeciwko budowie kościoła. Zgóry zapowiedział, że żadnego kościoła budować nie będzie. Prawda, że stary się już walił. Możnaby przez dziurawy dach wszystkie gwiazdy policzyć, ale dach łatwo pokryć płótnem, używanem do przykrywania żniwiarek. Zresztą — nie w każdą niedzielę deszcz pada, przytem, naco mają ludzie parasole?! Że ten i ów „Święty“ się trochę na bakier kiwa i może komuś na łeb rymnąć, jeszcze nie stanowiło po-

wodu do budowy kościoła. Przecież takiego świętego da się postronkiem do ściany przywiązać; ci zaś, co się w jego sąsiedztwie modlić będą, mogą sobie wypisać jakąś assekurację od nagłych i nieprzewidzianych wypadków. Zresztą modlimy się w suplikacjach — „Od nagłej i niespodziewanej śmierci — wybaw nas Panie", więc może nieszczęścia nie będzie. Jemu dobrze na plebanji, przytem lubi rybołóstwo i polowanie, więc na budowę nie ma czasu!....



Doki do ładowania rudy żelaznej w Duluth.

Wszystkie Ślązockie „pierony" zgłupiały!

Cóż to ma znaczyć, aby ksiądz kościoła nie budował, kiedy kościół był potrzebny!... Coraz głośniej zaczęli się nowego kościoła domagać, nalegać i wprost grozić, że go z parafji wyrzucą, jeżeli kościoła budować nie będzie!

Poprzednika wyrzucili dlatego, że chciał kościół budować

Nasz strategik widząc, że fortel się udał, kazał architektowi zrobić plan na nową świątynię. Zwołał zebranie parafjan, co się

u nas „mityngiem“ zowie. Miał swych ludzi zaufanych, którzy jeszcze więcej parafjan podbechtali, że kościół musi być nowy i basta! Na takie ultimatum, jakkolwiek do ostatka się temu „opierał“, niby kozioł kapuście, chociaż plany miał za pazuchą, powiada, że jeżeli chcą kościoła, chociaż on się temu sprzeciwia, to jest gotów im dopomóc i wyciąga plan na bardzo piękny kościół.



**Widok na miasto a właściwie zatoka w Duluth.**
**Tu byłem proboszczem 11 lat, do wojny.**

Ślązacy zgłupieli, ale co było robić. Ot co to znaczy austrjacka strategja!

Niedawno spaliła się stara szkoła.

Znów im opowiada, że według największych powag z dziedziny lekarskiej, cegły, a szczególnie takie sobie dobrze przepalone, mają tę własność, że ze systemu ludzkiego wyciągają reumatyzmy i wszelkie ludzkie dolegliwości. Zebrała się gromada

na tę „kurację“ i spaloną szkołę rozebrali, a na jej miejsce postawili nową.

Przy plebanji zastałem go w koszuli, z zakasanemi rękawami, z młotem do rozbijania kamieni. Buduje tam różności z kamieni polnych. Znajdziesz w ogrodzie strumyki, fontanny, rzeczki, wodospady, laski świerkowe, nawet prawdziwe polskie grzyby. Wszystko budował z cementu i kamienia. Powiadał mi, że to mu przypominało jego stare, a wciąż miłe Podkarpacie. Takich księżowskich typów znaleźćby można tu całą gromadę.

Parę dni spędziłem pod gościnnym dachem tego kolegi. Potem znów zacząłem kluczyć po Minnesocie, niby zając, gnany przez charty.

Znam ją jak własną kieszeń, gdyż kopę lat w tych stronach jako student i ksiądz spędziłem. Wpadłem do ks. Gołkowskiego, który mi pokazywał sztukę różdżkarstwa, jak odkryć zapomocą wierzbowej gałązki podziemne strumienie wody. Na to trzeba mieć jakieś nadzwyczajne siły. Próbowałem, ale mi to jakoś nie szło.

Muszę kiedyś spróbować, czy mi się uda odkryć beczkę z piwem, gdyż wody mamy wszędzie poddostatkiem.

Zaproszono mnie także na konsekrację kościoła w Opolu, gdzie znakomitą pracę wykonuje młody, ale gorliwy ks. Lamuzga. Była tam spora gromada starych znajomych i przyjaciół, którzy na tę wyjątkową uroczystość dosyć licznie przybyli. Cóż to za mili, szczerzy, serdeczni koledzy. Przylgnąłem do nich sercem...

W Little Falls ks. Musiał od lat wielu gorliwie pracuje i w niewielkiej parafji zbudował piękny, o dwóch wieżach kościół. W sąsiedniej maluteńkiej parafijce liczącej jakie 50 rodzin, jest mały postacią, ale czupurny, pracowity, a gorliwy ks. Kuich. W seminarjum sąsiadowaliśmy przez korytarz.

Po kilkudniowym pobycie w okolicach St. Cloudu, puszczam się mimo jeziora Mille Lacs na północ, w okolicę kopalń rudy żelaznej t. zw. „Iron Range“. Są tu trzy wielkie, odmienne złoża rudy żelaznej.

W okolicy miasta Crosby i Aitkem, (w którem przy stacji gazolinowej, zauważyłem niedźwiedzia wypróżniającego butelkę „sody“), znajdują się pokłady rudy zawierającej mangan t. zw. „manganese ores“. Dalej na północ ciągnie się duży pas rudy żelaznej zw. Messaba Range. A jeszcze dalej na północ w oko-

licy miasteczek Ely i Tower są kopalnie twardego żelaza t. zw. „Hematite Ore“. Jest to ruda ciemna, twarda z bardzo wielkim procentem żelaza.

Największym pasem, jakie sześćdziesiąt mil długim, jest Messaba. Rozpoczyna się za miasteczkiem Grand Rapids, a kończy się w Eveleth i Biwabic. Stolicą tego żelaznego rejonu jest miasto Hibbing, zwane „najbogatszą wioską na świecie“. Chociaż liczy jakie piętnaście tysięcy mieszkańców, ale jeszcze się uważa za wioskę. Tu znajdują się największe, dotychczas odkryte, pokłady rudy żelaznej na kuli ziemskiej. W jednych kopią i wydobywają rudę szybami, w innych zaś nabierają olbrzymiemi kopaczkami parowemi. To są kopalnie „otwarte“ czyli „open pit mines“.

Tuż przy mieście ciągnie się ogromny parów rudy, łączący kilka potężnych kopalń w jeden głęboki jar. Złoża pokryte były na jakie sto stóp ziemią. To wszystko zebrano i zaczęto wybierać czerwoną rudę. Ten olbrzymi pas żelaza jest dwie i pół mili długi, od pół do półtorej mili szeroki, a czterysta stóp głęboki. W jednej kopalni z tego rzędu wydobywają rocznie około ośmiu miljonów ton rudy.

W tej czeluści zauważyłem olbrzymią kopaczkę, którą tu po polsku nazywają „sztymszuflą“. Młody chłopak, pochodzenia jugosłowiańskiego, a nazywa się teraz po angielsku „Burke“, był dla mnie drogocennem źródłem informacyj. Otóż owa parowa kopaczka, według jego objaśnienia, jest sto stóp wysoka, dźwignia dziewięćdziesiąt sześć stóp długa, waży trzysta siedmdziesiąt pięć ton i nabiera do olbrzymiego kubła na jeden raz szesnaście ton rudy. — Ileż to ludzi taka jedna kolubryna wyrzuciła z pracy!...

Od Grand Rapids — położonego nad rzeką Mississippi i w pobliżu cudnego jeziora Pokegama, śliczna betonowa droga, niby olbrzymia wstęga, łączy i wiąże całą gromadę pięknych wiosek i miasteczek górniczych.

Hibbing jest największe. Wirginja zato najpiękniejsza.

Szerokie czyściutkie ulice, bogate oświetlenia elektryczne, ładne sklepy, przepyszne szkoły i gmachy miejskie, oraz schludne domki górników zwracają na to miasteczko oko turysty. Dla mnie ma tem większy powab, gdyż tu po wojnie spędziłem kilka miesięcy na parafji polskiej pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela.

Wstępuję więc w gościnne progi obecnego proboszcza ks. S. Cieślewicza, który już od kilku lat bardzo dobrą robotę tu prowadzi. Zbudowano nowy murowany kościół. Pod kościołem jest hala parafjalna i wszelkie urządzenia do zabaw i zebrań parafjan. Ponieważ to niedziela, więc też przemówiłem do ludu po angielsku, a po sumie po polsku. Wszyscy się garnęli, aby ze starym proboszczem dawne znajomości odnowić. Miłe to były chwile i wspomnienia...

Ks. Cieślewicz pokazuje mi list od młodego kolegi ks. Libolta z zaproszeniem do Buyku — wymiawia się Bajku — osady polskiej, w lasach położonej hen na północ, tuż nad granicą kanadyjską. Dwadzieścia trzy lata temu dojeżdżałem tam i Mszę św. odprawiałem naszym osadnikom. Jak można odmówić?!...

Więc też po południu, po złożeniu krótkiej wizyty sąsiedniemu ajryskiemu proboszczowi ks. Walsh, a także koledze szkolnemu ks. Patt, pięknym samochodem p. Marcińczaka, miejscowego hotelisty, jedziemy do Buyku.

Jak się tu wszystko zmieniło!

Za mych czasów, były tu jeszcze dziewicze sosnowe lasy. Teraz zbudowano szerokie drogi, po których pędzą samochody. Lasy zniknęły. Tu i ówdzie sterczą spalone głyże drzew lub też pokryły spaleniznę i poczerniałe pnie małe brzózki i osina. Niekiedy napotykamy małe rzeczki lub niebieskie tafle jezior! Po godzinnej, szybkiej jeździe wygodnem autem, docieramy do jednego z najpiękniejszych jezior nie tylko w Minnesocie, ale w całej Ameryce. Jest niem — Lake Vermillion.

Jeżeli Pan Jezus i św. Piotr lubili jezioro Genezareth, to jedynie dlatego, że Vermillion było trochę za daleko od Palestyny.

Wyobraźcie sobie taflę wody trzydzieści sześć mil długą, od jednej do dziesięciu mil szeroką, na której znajduje się trzysta kilkadziesiąt wysp! Brzegi jeziora opasane zielonym lasem. Co za cudne wyspy!... Tu widzisz domek rybaka, tam zaś całe zagospodarowanie farmerskie. Na innej tylko skałę i kilka sosen. Każda inna, a zdaje się, że jedna od drugiej piękniejsza! Co tu za rybołóstwo!...

Wiem, że gdyby tu ks. Biskup Adamski, ten ze Śląska, był ze mną, zarazby do biskupiego pastorału wędkę przywiązał i powiedział: „Zatrzymajcie się tu na chwilkę, gdyż pójdę kilka „pajków ułowić“. Był tu ze mną jakie dwanaście lat temu. Nie trzeba

było „zarzucać sieci na głębię“, gdyż u brzegu nałowił więcej, aniżeli mogliśmy zużyć.

Jestem pewien, że jeżeli się kiedyś bliżej zapoznam ze św. Piotrem, to go tu na ryby wyciągnę, a może sam Pan Jezus da się skusić i z nami tu na szczupaki, pajki i okonie wyjedzie. Gdyby zaś zerwała się jakaś burza, to ją uciszy, abyśmy sobie spokojnie i do syta ryb nałowili. Ze wszystkich jezior jakie znam, najbardziej lubię Vermillion. Dziś niema czasu, aby co najmniej kilka szczupaków i „pajków“ ułowić, chociaż to nigdy żadnej trudności nie sprawiało.

Na rybołóstwo nie było czasu, więc też po zrobieniu kilku zdjęć fotograficznych jedziemy dajej. W północnej części jeziora, wypływa piękna rzeka Vermillion, wzdłuż której jedziemy na północ. Za mych czasów była tu kiepska leśna droga, którą trzeba było jechać kilka godzin koniem, zanim się dotarło do polskich osadników. Teraz to ani pół godziny nie wzięło, aby stanąć u celu podróży.

W lasach, nad brzegiem rzeki, napotykamy schludny kościółek polski. Kiedyś odprawiałem Mszę św. w „loksowych“ chatach tych naszych pionierów. Zjedliśmy sutą kolację u pp. Sokołowskich, których „homestead“ leży w uroczej dolinie rzeki. Tylko trzeba było zrobić kilka kroków, aby wsiąść do łodzi i chwytać duże szczupaki, zwane „northern pike“.

Przedstawia mi się młody dwudziestotrzech letni kawaler i powiada, że ja go chrzciłem, a teraz to już chłop do ożenku. Rodzina Błochów odnawia stare znajomości. Tam odprawiałem Mszę św. Jako pionierzy, karczowali lasy, sadzili kartofle i warzywa, wychowali gromadę dzieci i dobrze się im powodzi. Dawniej zaledwo ten i ów miał konia. Teraz do kościoła wszystko zajeżdża samochodami, niczem Samostrzelscy hrabiowie.

Wieczorem były nieszpory. Podczas nabożeństwa kościółek był wypełniony po brzegi. Wygłosiłem kazanie, a po błogosławieństwie, wśród nocy, wracamy znów siedemdziesiąt pięć mil do Wirginji. Jak na starego podróżnika, była to dosyć ciężka praca, gdyż było już daleko po północy zanim się dostałem do łóżka, ale kiedyś to było na porządku — niedzielnym.

Rano wraz z ks. Liboltem wyjeżdżamy do mej długoletniej siedziby Duluth. W kierowaniu samochodem wyręczył mnie mój młody następca. Z Wirginji do Duluth jest jakie sześćdziesiąt pięć

mil. Droga z betonu. Wszędzie rozpanoszyła się brzózka i osina. Lasy kompletnie wycięto. Zaledwie tu i tam widać jakieś biedne osiedla „homesteaderów".

Trzeba tu znów objaśnić miłych czytelników, co to znaczy „homestead". Otóż rząd wydawał ziemie osadnikom „za darmo". Taki osadnik, według rządowej umowy, miał co roku wykarczować i uprawić kilka morgów roli, zbudować mały domek, szopę dla bydła i studnię. Po pięciu latach i po zapłaceniu kilkunastu dolarów za registrację, otrzymywał sto sześćdziesiąt akrów ziemi za darmo.

Opowiadają, że przybył w te strony nowy osadnik i pytał się takiego starego „homesteadera" co to właściwie znaczy homestead? Otóż ów jegomość powiada, że to jest rodzaj zakładu między rządem, a owym pionierem. Rząd stawia sto sześćdziesiąt akrów ziemi, a ów kandydat na osadnika czyli homesteadera kładzie piętnaście dolarów. Jeżeli przez pięć lat z głodu nie umrze, to otrzymuje ziemię na własność. Jeżeli zaś z biedy i z głodu zemrze, to rząd zabiera ziemię z powrotem.

Trudne mieli przejścia ci pierwsi pionierzy. Wszystko musieli nosić na plecach, gdyż dróg nie było. Szedł więc taki osadnik z siekierą, strzelbą i workiem z żywnością na plecach. Wyszukiwał odpowiedni kawałek ziemi, składał swój zapis „claim" i brał się do roboty.

Ścinał drzewa, budował sobie z bierwion czyli „loksów" — okrągłych kłód — domek i zakładał własne ognisko domowe. Dobrze było, jeżeli go nie zamordowali Indjanie i nie oskalpowali czyli czupryny z włosami z głowy nie zdarli. Tak powstały nasze wszystkie okolice rolnicze. Tak można powiedzieć zaludniła się Ameryka. Każda farma i miasteczko — to pomnik wytrwałości, nadzwyczajnych trudów i mozołów pierwszych pionierów. Energja, walka o byt, poświęcenie się dla rodziny cudów tu dokonały...

Duluth, ciągnie się wzdłuż wysokiego brzegu jeziora Superior. Naturalna, z piasku usypana tama, tworzy duże molo, za którem znajduje się jeden z największych i najpiękniejszych portów amerykańskich. Na przeciwnej stronie przystani, szeroko, kępami rozrzucone jest miasto Superior.

Duluth, jest „dwadzieścia mil długie, milę szerokie i pół mili wysokie". Na wzgórzu wzdłuż całego miasta ciągnie się wspa-

niały bulwar, z którego oczom widza przedstawia się piękny widok na ogromne jezioro Superior, na ruchliwe miasto, port pełen doków, elewatorów i składów węgla, oraz na horyzoncie, już w stanie Wisconsin, szeroko rozrzucone miasto Superior. Należy pamiętać, że jezioro Superior jest największem na świecie. Obejmuje ponad tysiąc mil kwadratowych. Temperatura wody zmienia się zaledwo kilka stopni w przeciągu całego roku.

W roku 1872-im, kongresmani ze stanu Minnesota czynili zabiegi w Waszyngtonie o zapomogę rządową, do przeprowadzenia kolei ze St. Paul do Duluth. Gdy sprawa przyszła pod obrady w senacie czy też kongresie, wystąpił z mową senator Procter Knott z Kentucky. W bardzo ironicznej mowie, od której słuchacze boki zrywali, opisywał Duluth, jako miejsce „które Herodot przez całe życie szukał“, a nie znalazłszy, z rozpaczy się powiesił czy też coś podobnego uczynił.

W uniesieniu opisywał stada bawołów, które Indjanie tam będą spędzali i ładowali na okręty. Nie pominął bogatych kopalń, z których na saniach rudę górnicy zwozić będą. Jednem słowem — „zjechał“, wydrwił, wykpił ten projekt tak, że na nim suchej nitki nie pozostawił.

Chamber of Commerce z Duluth rozdaje tę mowę gratisowo.

Ostatnim „coup de grace“ było to, że Duluth leży na linji między Paryżem i Wenecją, a więc ma idealny klimat. Gotów więc był głosować za projektem rządowego sfinansowania kolei, gdyby nie fakt, że w Duluth panują tak straszne mrozy, że „kominy poumarzałyby na lokomotywach“. Ma się rozumieć — projekt chwilowo przepadł. Ale mowa narobiła miastu tyle reklamy, że ewentualnie zbudowano kolej.

W kilka lat po tej słynnej mowie zaproszono senatora Proctera Knott do Duluth i zaofiarowano mu wspaniały kawał ziemi, którego nie przyjął. Jedno z przedmieść nazwano na jego cześć — Procter Knott.

Dziwna rzecz — wszystko, co ten jegomość mówił z ironją, spełniło się do joty. Port dulucki co do tonażu jest jednym z największych w Ameryce; zdaje się, że stoi na drugiem miejscu. Tu rok rocznie wysyłają około pięćdziesiąt miljonów ton rudy żelaznej, tędy transportują masę drzewa, a zboże idzie w miljony buszli. Jest to także główna składnica węgla na cały zachód. Zamiast jednej kolei, jest ich tam obecnie siedm, pro-

wadzących we wszystkie strony kraju i do Kanady. Może w żadnym innym wypadku ironja nie stała się rzeczywistością do tego stopnia, jak w Duluth, który obecnie liczy około sto tysięcy mieszkańców, a kiedyś stanie się portem morskim.

Pierwsi osadnicy polscy przybyli tu około roku 1870-go. Z początku należeli do ajryskiej parafji Najsł. Serca Jezusowego, która później została katedrą diecezji Duluth. Gdy się ich zebrała już spora gromadka, postanowili założyć własną parafję, pod wezwaniem Marji Panny, Gwiazdy Morza. Zanim mogli przystąpić do budowy własnego kościoła, zmuszono ich do zapłacenia czterechset dolarów katedrze za ten przywilej! To się zapewne żadnej innej parafji nie zdarzyło, aby ludzie, chcąc zbudować własny kościół, musieli się tak drogo „wykupić".

Jeszcze tu się zdarzył jeden znamienny wypadek, który w kilkanaście la później wielce się przyczynił do powstania niezależności parafji.

Biskup ś. p. James McGolrick w mieście miał cmentarz, na którym i Polacy kupili miejsca na groby. Gdy miasto cmentarz skasowało, biskup kupił inne miejsce, hen za miastem. Polacy żądali, aby wzamian za miejsca, które na tamtym kupili, dał im „loty" na nowym cmentarzu. Gdy biskup tego odmówił, chcieli swój własny, polski cmentarz założyć. Biskup się temu sprzeciwił. Polacy jednak cmentarz kupili i tam się od pięćdziesięciu lat „na niepoświęconym cmentarzu chowają". Księżom nie było wolno iść z ciałem na cmentarz, chociaż to byli ich najlepsi parafjanie. Bolesne to, ale prawdziwe. W South Dearfield i Adams, Massachusetts, Polacy mają własne cmentarze, ale Ajrysze wolą się chować na miejskich, protestanckich cmentarzach, aniżeli na polskich — katolickich.

Teraz po wielu latach, poszedłem po raz pierwszy na ten cmentarz, aby odwiedzić i może pożegnać starych przyjaciół i parafjan...

Na pięknem wzgórzu, rząd za rzędem, leżą ci pionierzy, niby snopy dojrzałego zboża. Czytam napisy na pomnikach... Toć to wszyscy swoi, — wszyscy znajomi, — wszyscy dobrzy parafjanie, gorliwi katolicy i dzielni Polacy!... Zdawało mi się, że każdy się uśmiecha do mnie, swego wieloletniego proboszcza i duszpasterza!... Każdy swą kościstą dłoń do mnie wyciąga, a spróchniałemi szczękami zdaje się chce jakieś słowa powitania

wypowiedzieć!... Wróciłem tu do swoich dawnych parafjan... Jakiś dziwny ból mnie za gardło chwyta, gdyż czuję krzywdę, jaka się im stała! Trudno, już późno złe naprawić. Ich miejsce spoczynku może nie poświęcone ręką biskupa, jest święte ich pracą, ich wiarą, ich czynami!...

Byłem tu jedenaście lat proboszczem. Czas ten minął, niby jakiś sen dziwny, a przyjemny...

Pamiętam, 2-go sierpnia, 1914-go roku była niedziela. Dzień jasny i ciepły... Po sumie poszedłem do miasta popatrzeć na biuletyny wojenne. Dużemi literami ogłoszono, że Anglja i Rosja wypowiedziały wojnę Niemcom i Austrji.

Wróciłem do domu bardzo zadowolony, gdyż wiedziałem, że z tej krwawej pożogi wojennej powstanie wolna Polska! Nie przypuszczałem nawet, że będę pierwszym Polakiem, w Ameryce urodzonym i wychowanym, który w mundurze armji polskiej wstąpi w gościnne progi niepodległej i zjednoczonej Ojczyzny.

Chcę tu względem Polonji Duluckiej, liczącej jakie sześćset rodzin, spełnić wdzięczny obowiązek. Otóż po wybuchu wojny, bez względu na zapatrywania i osobiste poglądy, założyliśmy Komitet Ratowniczy. Urządzono „Dzień Polski" i zaraz na samym wstępie wysłaliśmy na ręce ś. p. Henryka Sienkiewicza, zamieszkującego w Szwajcarji, trzy tysiące trzysta dolarów. Przez cały przeciąg wojny lud dawał na cele narodowe hojne ofiary. Do Wydziału Narodowego i innych patrjotycznych organizacyj wysłano przeszło dwadzieścia pięć tysięcy dolarów!

Gdy rozpoczęto zbiór ochotników do Armji Polskiej, biuro rekrutacyjne w Duluth wysłało do obozu w Niagara on the Lake, w Kanadzie, sześćset sześćdziesięciu rekrutów. Ze wszystkich stron, z kopalń, fabryk i lasów, słysząc zew Ojczyzny, nasi dzielni Polacy rzucili pracę, chwycili karabin w twardą dłoń, aby spieszyć z pomocą Ojczyźnie.

Ponieważ wtenczas grasowała straszna zaraza influenzy, pozamykano kościoły i szkoły. Ostatnią Mszę św. odprawiłem na piazzie plebanji, poczem zapakowałem walizki, wdziałem mundur, poszedłem razem z drugimi do obozu... Gdym wrócił, inny ksiądz się „poświęcił" i parafję zabrał. Poszedłem jak to mówią „z torbami". Ale tego nie żałuję. Czyn szlachetny, bezinteresowny, nawet bez tego zwykłego „Bóg zapłać", od Polski jest sam

w sobie najwyższą nagrodą. Innej nie potrzebuję ani jej nie żądam!

W kilka miesięcy po wojnie, gdym wrócił w te strony i dostałem gazetę angielską do ręki — obstupui — Zdumiałem!...

Dużemi literami, całostronicowe ogłoszenie oświadczało, że Żydzi urządzają masowe zebranie przeciwko „pogromom w Polsce"! Głównym mówcą miał być, nie kto inny, tylko miejscowy katolicki J. E. John T. McNicholas!

Gdym mu atoli sprawę całą przedstawił, gdym wykazał, że to tylko propaganda żydowsko-masońsko-niemiecka przeciwko powstającemu narodowi katolickiemu, natychmiast z tego programu zrezygnował.

Tej samej niedzieli, w największej hali miejskiej, urządziłem odczyt po angielsku, zbijając oszczerstwa naszych wrogów. Ponieważ było to zaledwie tydzień po ciężkiej operacji na gardło, porządnie to później odchorowałem. Byłem wtenczas żołnierzem i obrońcą sprawy polskiej i chciałem tylko mój obowiązek spełnić! Murzyn swe spełnił... Murzyn może odejść...

Z lat mego pobytu i duszpasterstwa w Duluth mógłbym przytoczyć dużo ciekawych, a nieraz wesołych krotochwil. Ograniczę się tylko do paru, bo przecież jestem przewodnikiem po Ameryce, a takie kawały urozmaicają naszą wędrówkę.

Jakie dwanaście mil od Duluth jest stara polska osada — Gniezno. Już przeszło siedmdziesiąt lat żyją w niej polscy farmerzy. Zbudowali schludny, drewniany kościółek i tu od czasu do czasu przyjeżdżałem odprawiać Mszę św. i głosić Słowo Boże.

Zapomnieli jednak o wystawieniu małego lokalu, do którego nawet królowie „chodzą na piechotę". Kilka razy wspomniałem o tem „trustysom" czyli urzędnikom kościelnym. Ci się jednak do tej stosunkowo niewielkiej budowy nie kwapili.

Zagroziłem im, że z miasta przyszlę cieślę i „ustęp", pobuduje. Wtenczas dopiero zabrali się do dzieła i zbudowali „gmach wspaniały", służący do bardzo prywatnego użytku. W międzyczasie słyszałem, że parafjanie się burzą dlatego, iż kazałem na „święconem miejscu", gdyż przy kościele jest cmentarz, zbudować tak nieprzyzwoity lokal.

Zapłonąłem jowiszowskim gniewem.

Wypadało mi tam jechać na jakieś święto. Było to w porze jesiennej, padał deszczyk i dokuczało zimno, a tu trzeba było

w konia, po kiepskiej drodze, wlec się kilka godzin naczczo. Więc też z każdą milą stawałem się coraz gwałtowniejszy. Niczem Jowisz!

Przyjechałem do kościoła, zrobiłem inspekcję nowiuteńkiego lokalu i wio do ołtarza. Zaraz po Ewangelji z furją rozpocząłem atak, bo Niemcy mówią, że „Die beste Deckung is ein Hieb". Powiadam bez wszelkich ogródek i doboru słów: „Kazałem wybudować ustęp! Jest zbudowany, zapłacony i w porządku!... Przypuszczałem, że mam tu z ludźmi, a nie z aniołami do czynienia! Za stodołę chodzić nie można, bo tu stodoły w pobliżu niema! A znów, żeby chodzić za krzaki z zającami, też nie wypada!! Jeżeli zaś miejscowi parafjanie mają anielską naturę, o czem nie wiedziałem, i takich lokali nie potrzebują, to tobrze. Ale jeżeli „natura" kogoś do tego gwałtem zniewoli, wtenczas mogą ów nowy lokal spalić, dynamitem w powietrze wysadzić, lub do lasu końmi wyciągnąć, a sprawy natury osobistej załatwiać na łopacie lub do chustki i przy sposobności wytrząsnąć na pole! Tym zaś co tak przeciwko temu oponują, powiem tylko tyle: że w Rzymie, już nie na święconem miejscu, ale w samej katedrze Św. Piotra, jest taki lokal i nie zwykły śmiertelnik, ale prałat go otwiera i zamyka.

Co do tego prałata, tom zapewne przesadził. W każdym razie, atak się udał. Szyki nieprzyjacielskie zmiażdżyłem i wszystko odtąd w porządku.

Byłem teraz w Gnieźnie, gdzie dużo ulepszeń porobił mój następca, ks. Libold, ale lokal jak stał, tak stoi i... jest w użyciu. Nieraz nawet nie tylko minister w Polsce musi o takie rzeczy prowadzić walkę, ale bardzo spokojny, potulny i skromny ksiądz w Ameryce, jak nieprzymierzając autor, napsuje sobie dużo krwi zanim rzecz do użytku publicznego zbuduje.

Jeszcze tu jedno opowiem zdarzenie, którego sama myśl zgrozą mnie przejmuje.

„Zelus Domus Dei comedit me", czyli, że lubię, aby w kościele i przy kościele było wszystko ładne i w stosunku do kieszeni parafjan odpowiednie. W tem samem Gnieźnie sprawiłem do kościoła św. Józefa nowe ornaty, kielich, chorągwie, a jeszcze zgłaszali się dobrzy ludzie z ofiarami na kościół. Przecież odmówić ofiar na kościół nie można! Zaproponowałem im „Mękę Pańską" na cmentarz. „Pięknieby to wyglądało, mówię, gdybyśmy

mieli na cmentarzu Pana Jezusa na krzyżu". Chętnie się na to zgodzili. Jeden ofiarował drzewo na krzyż, inny zaś kilkadziesiąt dolarów na kupno figury Pana Jezusa.

Zamówiłem ów „korpus" z cementu odlany i w oznaczonym czasie, frachtem przysłano ogromną, ciężką skrzynię, zawierającą, statuę. Kazałem ją firmie transportowej zabrać ze stacji, a na drugi dzień wraz z końmi przysłać do plebanji, gdyż chciałem to ze sobą zabrać do Gniezna, gdzie z tej okazji urządziłem nabożeństwo.

Z biura, a właściwie ze stajni do mej plebanji była nie cała mila. Rano czekam na konia, telefonuję. Odpowiadają, że już dawno „kuczera" wraz z końmi, bryczką i owem pudłem wysłali, więc powinien tam być. Czekam kwadrans, niema! Czekam pół godziny, niema! Telefonuję znów do stajni — co się stało?! Ci nie wiedzą. Przecież chyba nie zabłądził? Czekam godzinę!! Nareszcie proszę o najszybszego wyścigowca, aby zdążyć na nabożeństwo. Przysyłają drugiego konia i jadę, zły jak sto piorunów. Gdzie się podziała statua i konie?! Odprawiłem Mszę św., a gdy się od ołtarza odwracam na — „Ite Missa est", przed wrota zajeżdża bryczka, w dwa czarne konie zaprzężona, a z tyłu moja duża skrzynia z Panem Jezusem ulanym z cementu, bo tylko na tyle nas stać było.

Wpadłem z pyskiem na woźnicę, tu się po polsku mówi na „drajwera", ten się zaś tłumaczy, że on nie winien, a tego, co wyjechał z moim transportem, już odprawiono... i to słusznie! Wyobraźcie sobie, co ta szelma zrobiła?!...

Otóż ów bęcfał, mając dwa czarne konie, a na bryczce jakieś duże pudło podobne do trumny, z wielkiej „mankolji" nad „nieboszczykiem", wstąpił do „salunu" — karczmy — na jednego, a potem na drugiego. A że przypadkowo takich miejsc do gaszenia pragnienia było kilka, biedaczysko sobie dobrze „podkropił".

Zapomniał, gdzie miał z tym Panem Jezusem pojechać. Zresztą nawet nie wiedział, kogo wiózł. Pamiętał tylko, że to szło gdzieś na cmentarz!... Ale na który?!... Mniejsza o to. Więc też pojechał na protestancki cmentarz i kazał grabarzowi grób kopać! Ten wziął miarę, zabrał się do kopania i zapytał go o „permit", gdyż w Ameryce bez pozwolenia nawet ci umrzeć nie wolno, a cóż dopiero myśleć o pochowku. Woźnica tłumaczy, że mu „permitu" czyli pozwolenia nie dano. Kazano tylko nie-

boszczyka zawieźć na cmentarz. Grabarz więc telefonował do biura o pozwolenie, i tam dopiero dowiedzieli się, że pijany woźnica zawiózł Pana Jezusa na protestancki cmentarz. Tam chciał Go bez księdza, bez nabożeństwa, bez wszystkiego pochować!!...

Widzicie do czego to, do jakiego to bluźnierstwa mogło pijaństwo doprowadzić?! No, ale los nad nami czuwał i do tej strasznej katastrofy nie doszło. Po Mszy św. poświęciliśmy figurę i krzyż — i wszystko w porządku.

Nie będę Was dłużej trudził memi przygodami, gdyż to właściwie do rzeczy nie należy. Krótko bawię w Duluth, ponieważ, mimo wielu lat tu spędzonych, czuję się już wśród obcych... Dlatego po załatwieniu niezbędnych spraw, ruszam w dalszą podróż. Jadę z powrotem do St. Paul, ale nową, piękną, betonową drogą. Dzień bardzo gorący, jeden z najgorętszych. Opuszczając miasto, jeszcze raz rzucam okiem na port i rzekę St. Louis, która tu tworzy kilka pięknych zatok i wysp. Przed stu laty, Astor, pradziad słynnej rodziny amerykańskiej Astorów w Fond du Lac, założył t. zw. „trading post“, gdzie Indjanie wymieniali futra i skóry za broń i przybory myśliwskie. Na tym handlu Astor zrobił ogromną fortunę.

Po dwugodzinnej podróży mijam Carleton, Moose Lake i Sturgeon Lake, gdzie była moja pierwsza parafja. Stary kościół i plebanja spłonęły, zbudowano nowy. Cztery mile na południe jest Willow River, zboczyłem na chwilkę, aby jeszcze raz popatrzeć na kościół, przy którego budowie pomagał mi protestancki minister. Przed kościołem widzę odlany pomnik z cementu ku czci Kazimierza Pułaskiego, bohatera „Dwóch Światów“.

Pospieszam, gdyż dzień bardzo gorący. Po południu, o trzeciej przyjechałem do Minneapolis, aby odwiedzić mego dawnego sąsiada i kolegę ks. Józefa Ciemińskiego, przez konfratrów „Józkiem“ zwanego, a obecnego proboszcza parafji św. Krzyża. W młodszych latach wspólnieśmy chodzili na ryby, grzyby i polowanie. Ile to miłych wspomnień mógłbym tu przytoczyć... Ks. Ciemiński teraz z ogromnem zamiłowaniem hoduje kwiaty, a własność kościelna — to miniaturowy park. Niech Bóg broni, aby mu kto niebacznie jakiś kwiatek uszkodził!

W towarzystwie dawnego sąsiada i miłego przyjaciela, pięknemi bulwarami objeżdżamy Minneapolis. Może żadne miasto

w Ameryce nie posiada tylu pięknych jezior w swych granicach i sąsiedztwie, co Minneapolis. Łączy się to wszystko wspaniałemi drogami, niby jakąś ogromną, długą a piękną taśmą, przy kórej zbudowano tysiące wspaniałych rezydencyj.

Na uwagę zasługuje bazylika Najw. Marji Panny, zdaje się, że to jest jeden z niewielu kościołów w Stanach Zjednoczonych, którym nadano tytuł „bazyliki". Tuż obok na małym skwerze, znajduje się bronzowy pomnik ks. Hennepin, Jezuity, który pierwszy w tych stronach głosił Słowo Boże Indjanom, plemienia Chippewas. Niewielki wodospad na rzece Mississippi nazwał wodospadem św. Antoniego. Około tego wodospadu rozbudowało się miasto i powstały tu największe młyny na świecie. W tem miejscu kończy się spławność rzeki. Jeszcze do niedawna specjalnej konstrukcji okręty dochodziły do St. Paul i transportowały znaczną ilość towarów. Przed stu laty była to jedyna linja komunikacyjna. Dlatego może powstały te dwa olbrzymie miasta, przez rzekę ze sobą sąsiadujące, St. Paul i Minneapolis. Z małych osad wyrosły na olbrzymie osiedla, liczące blisko trzy ćwierci miljona ludności.

Minneapolis liczy 480.000 mieszkańców, a St. Paul ponad 300.000. Są to potężne środowiska przemysłu i handlu na cały zachód. Gęsta sieć kolejowa łączy je z dalekim zachodem, jak również z miastem Chicago i miastami położonemi na wschód.

Nie można tu milczeniem pominąć przynajmniej dwóch ludzi, którzy w historji nie tylko Minnesoty, ale całego zachodu zajmują dominujące stanowisko.

James J. Hill zw. „Empire Builder" — budowniczy cesarstwa — chłopcem będąc, przybył tu jako młody robotnik i przez pewien czas pracował przy wyładowywaniu okrętów. Z kilku przyjaciółmi przystąpił do organizowania pierwszej kolei. Po kilkunastu latach stał się jednym z potężnych magnatów kolejowych Ameryki.

Dzięki jego zdolnościom, sprężystości i energji powstała cała sieć kolei, nie tylko przez żyzną zachodnią i południową część Minnesoty, ale przez Północną i Południową Dakotę. Liczne rozgałęzienia kolejowe, rzucone przez dzikie pola, znacznie przyśpieszyły osiedlenie przez kolonistów tych ogromnych, równych, urodzajnych obszarów.

Nie zatrzymał go potężny pas gór Skalistych. Albo je tunelami przewiercił, albo też licznemi serpentynami przez wąwozy

przekroczył ich szczyty i połączył północny zachód z oceanem Spokojnym.

Za koleją szli drwale. Zapuszczali się w głębokie, dziewicze lasy, spławiali olbrzymie kłody sosny rzekami do tartaków, zbudowanych przy torach kolejowych. Tam przerabiano obfity surowiec na materjał budulcowy.

Tym samym torem kolejowym szli górnicy z kilofem, karabinem i workiem na żywność. Jak psy gończe, oglądali skały i góry... węszyli za drogocennemi kruszcami. Niejeden taki „prospector" zginął z głodu i nędzy. Inny zaś trafił na żyłę złota, miedzi lub srebra i zebrał fortunę. Tak powstały ogromne kopalnie złota, srebra, ołowiu i miedzi w Montanie, Dakocie i w wielu innych stanach zachodnich.

Nie wspominam już bogatych kopalń rudy żelaznej w północnej części Minnesoty. Hill umarł w roku 1916, już w bardzo podeszłym wieku i miał sposobność podziwiać to wielkie cesarstwo przemysłu i handlu, do którego rozwoju tak wielce się przyczynił.

Inżynierzy, pionierzy i pierwsi współpracownicy mieli zawsze do niego dostęp. Taki ani nie pukał, ani nie dzwonił, ani się nawet nie umył, tylko brudny, zachlapany, nieogolony, cuchnący dziczyzną, właził do wspaniałych biur magnata kolejowego, nogi na stół wyłożył, hawańskie cygaro zapalił i swym „bosem" o ważnych sprawach gadał. Były to typy twarde, dziś już przechodzą w „pionierów-bohaterów".

Najpiękniejszy pociąg kolei Great Northern, łączący Chicago z oceanem Spokojnym, nazywa się „The Empire Builder", na cześć tego robotnika linji okrętowej, który został magnatem kolejowym i największym dobrodziejem dzikiego kiedyś zachodu.

Hill nie był katolikiem, ale zato jego żona, katoliczka, dużo czyniła dla zakładów katolickich. Seminarjum św. Pawła, w którem kończyłem studja filozoficzne i teologję, było przez niego zbudowane i poważnemi funduszami wsparte. Szpitale i kolegja często doznawały poparcia ze szczodrobliwej ręki rodziny Hillów.

Mimochodem można tu powiedzieć, że Kościół katolicki zrobił w tych stronach kolosalne postępy i dobrze prosperuje. Już sama nazwa stołecznego miasta St. Paul dowodzi, że pionierami byli katolicy i to jacy katolicy!

Znałem niektórych pierwszych pionierów, jak ks. prałata Ravoux, dziewięćdziesięcioletniego staruszka. Pracował wśród tutejszych Indjan, gdy miasteczko St. Paul i okolica nie posiadały nawet pięćdziesięciu białych osadników. Widziałem na własne oczy druciany pas, znaleziony pod koszulą pierwszego świątobliwego biskupa, Cretin. Służyłem jako subdjakon do Mszy św. ks. Guaffon. Ten jadąc na misję, został zasypany przez zawieję śnieżną. Gdy go odnaleziono na pół umarłego, obie nogi po kolana miał tak zmarznięte, że musiano je odjąć. Chodził na drewnianych kulach własnego wyrobu.

Opowiadał, mi o nim biskup Corbett, którego chrzcił ks. Guaffon, tę bardzo ciekawą historję. Wyżej wspomniany wypadek zdarzył się w drodze do Winnepeg, obecnie dużego miasta w Kanadzie na północ od Minnesoty.

Nogi mu amputowano w szpitalu. Przewieziono go do małej plebanijki, gdzie ze zbyt obfitego pokarmu, jakim go odżywiano, rany zaczęły krwawić i zdawało się, że niedługo będzie koniec. Czyniono już przygotowania do pogrzebu. Było to zimą, podczas trzaskających mrozów. W piecu kuchennym kazano dwom Indjankom przetapiać łój na świece, bo przecież nie wypadało bez świec sprawiać pogrzeb takiemu męczennikowi.

Przez nieostrożność od łoju zapaliła się kuchnia i z dymem pożarów poszła plebanja. Chorego z trudnością wyniesiono z płonącego budynku i tymczasowo ułożono na śniegu, aż sobie spokojnie zemrze. Ten jednakowoż wyzdrowiał i żył długie lata. Znałem go jako 70 letniego starca.

Czem Jim Hill był dla kolei, tem dla Kościoła był J. E. ks. arcybiskup Jan Ireland. Syn irladzkiego emigranta, dzięki księżom francuskim, otrzymał staranne wykształcenie w Maximieux we Francji. Mówił po francusku doskonale i zawsze był wielkim przyjacielem Francuzów. Z episkopatu amerykańskiego znali Fracuzi tylko jednego dostojnika „Monsignieur Ireland“, dla którego mieli największy szacunek.

Gdym był na jego pogrzebie, na piersi zauważyłem order Legji Honorowej. Podczas wojny domowej służył jako kapelan w pierwszym pułku Minnesoty.

Jako stosunkowo młody kapłan, został wyniesiony do godności biskupiej, a później arcybiskupiej. Głośno mówiono o jego kandydaturze na kardynała, ale w Rzymie nie cieszył się tą po-

pularnością, jakiej zażywał w Ameryce. Pod jego dyrektywą Kościół, dzięki ogromnemu napływowi emigrantów z krajów katolickich, szybko się rozwijał. Założono nowe diecezje w Minnesocie i w Dakocie Północnej i południowej. W miastach i licznych osadach farmerskich, gdzie się osiedlili Polacy, Czesi, Niemcy, przeważnie katolicy, powstały liczne zamożne parafje.

Do Seminarjum zjeżdżali studenci z całego niemal kraju. Tuż obok jest kolegjum św. Tomasza, na model wojskowy prowadzone i uchodzi za jedno z najlepszych w Ameryce.

Niedawno zbudowano kosztem blisko miljona dolarów wspaniałe seminarjum przygotowawcze zw. „Nazareth Hall", nad jeziorem Johanna. Oprowadził mnie po tym nowoczesnym zakładzie w stylu północno-lombardzkim młody i dzielny profesor ks. Śledź. Piękną kaplicę wyłożono czerwonym, afrykańskim marmurem, a potężne ciemno-białe kolumny są z włoskiego marmuru, sprowadzone z Brescji. Młodzież ma tu wszelkie potrzebne urządzenia do należytego przygotowania się do stanu kapłańskiego.

Katedrę w St. Paul, arcydzieło słynnego architekta Masquerai, zaliczają do najwspanialszych gmachów kościelnych w Ameryce. Budową przypomina cośkolwiek kościół św. Piotra w Rzymie. Gmach o symetrycznej i pięknej kopule, jest z granitu, wnętrze jeszcze nie całkowicie wykończone, wykładane drogocennemi marmurami. W projekcie jest, aby każda narodowość wykończyła jedną kaplicę w stylu i w marmurach kraju, z którego pochodzi. Dotychczas zaledwie kilka kaplic skompletowano. Reszta czeka na lepsze czasy. Katedrę i na przeciwległym pagórku kapitol, zaliczają do najwspanialszych gmachów nie tylko w Minnesocie, ale w całej Ameryce.

Nie mogłem pominąć sposobności, by odwiedzić mą drugą Alma Mater — Seminarjum św. Pawła, zbudowane nad uroczemi brzegami rzeki Mississippi.

Miało się ku wieczorowi... Słońce, niby najtkliwszy kochanek, pieściło się każdą cegiełką, kamieniem, rzeźbą i gzymsem gmachów. Zawisło długim uśmiechem i ostatnim pocałunkiem na konarach starych drzew... Wszędzie jakaś cisza i nieprzerwany spokój... Wtem daje się słyszeć srebrny głos dzwonka, zwołujący studentów na Anioł Pański...

Długo patrzyłem na te proste, ale solidne gmachy zakładu, na tę z piaskowca zbudowaną kaplicę, gdzie przed dwudziestu

ośmiu laty klęcząc na kamiennej posadzce sanctuarjum, otrzymałem z rąk J. E. Arcybiskupa Irelanda święcenia kapłańskie. Zdaje się, że to wczoraj wszystko było...

Nic się tu nie zmieniło... Te same gmachy, te same drzewa, te same chodniki i ścieżki, któremi chodziliśmy na przechadzki. A przecież z górą ćwierć wieku minęło... Kartę Europy zmieniła wojna! Profesorzy, z małemi wyjątkami, poumierali. Koledzy po świecie się rozsypali... Jedni już w grobach posnęli, inni godności biskupie i arcybiskupie na swych barkach dźwigają!...

Była nas tu spora gromada Polaków. Trzymaliśmy się i każdy miał ambicję, aby imieniowi polskiemu wstydu nie przynieść...

Długom stał i patrzał na te mury. Widziałem znów mych profesorów... kolegów... te błogie, a dziś tak mile wspominane lata z ławy szkolnej... Jak się to wszystko zmieniło, gdzieś po świecie rozbiegło!... Szczęśliwy ten, kto młode lata na szkolnej ławie spędził z dobrymi kolegami i może od czasu do czasu wrócić w te stare kąty i przeżywać wspomnieniem beztroskie, a pełne szczęścia i pracy dni młodości!...

Z żalem, może po raz ostatni, żegnałem te miłe a pełne wspomnień gmachy zakładu...

Wzdłuż rzeki ruszam z mym przewodnikiem do starego fortu Snelling, broniącego kiedyś, nowych osadników przed napadami Indjan. Tylko gęstym powojem porośnięta wieża obronna pozostała, jako zabytek starożytności. Przecież już [illegible] cały dźwiga na swym grzbiecie, co w Ameryce, a szczególnie na młodym zachodzie, jest bardzo długim okresem czasu. Na gruntach rządowych zbudowano ogromny szpital dla inwalidów wojennych.

Wracając, mijam mały wodospad, upamiętniony przez naszego wielkiego poetę Longfellowa. Wodospad nazywa się „Minnehaha“, czyli śmiejąca się woda. W poezji bardzo piękny, ale w rzeczywistości jest bardzo skromniutki wodospadzik.

Po kilkudniowym pobycie w St. Paul i Minneapolis, spędzonym na miłej pogawędce ze starym sąsiadem X. Ciemińskim, wyjeżdżam do St. Cloud, znanego ze swych granitów i kamieniołomów.

Siostry Benedyktynki zbudowały tu kosztem dwu miljonów dolarów ogromny szpital, z wszelkiemi nowoczesnemi urządzeniami. Miałem sposobność bliżej się z nim zapoznać, gdyż trudy podróży, a szczególnie ta nasza staropolska gościnność tak moją

spokojną i stateczną „cukrzycę“ rozbestwiły, że musiałem kilka dni się „stołować“ w szpitalu, aż z tem przyszedłem do jakiego takiego porządku, bo przecież czekała mnie trudna a bardzo ciekawa podróż.

---

Rozdział X.

## VADO PISCARI.

„Idę na ryby“ — powiedział św. Piotr i basta! Nikt mu w tem miłem zajęciu nie śmiał przeszkadzać — nawet własna żona. Prawdopodobnie i Pan Jezus z pewną pobłażliwością i dobrocią patrzał na starego apostoła, gdy ten do garnka zbierał glisty i opatrywał wędki, zanim szedł na ryby.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że Pan Jezus często z apostołami na ryby chodził. Nieraz im te najlepsze miejsca wyszukiwał i w tej sympatycznej pracy pomagał. Nie możecie się więc dziwić, jeżeli samochód wepchnę do garażu lub pod cieniste drzewo, z kufrów i skrzynek wyciągnę przybory rybackie i kilka dni temu apostolskiemu zawodowi poświęcę. Jeżeli już ryby łowić, to chyba w Minnesocie, — Stanie „dziesięciu tysięcy jezior“.

Gwoli odpoczynku i przyjemności zajeżdżam do jeziora Mille Lacs, obszarem obejmującego 115 mil kwadratowych. To już jedno z większych jezior Minnesoty, chociaż są inne daleko większe. Tu były stare siedziby Indjan Chippewas i jeszcze się ich tu przy wodzie spotyka. Trudnią się rolnictwem, polowaniem, a Indjanki, poza pracą domową, wyrabiają koszyki, łódki i inne małe przedmioty z kory brzozowej. Turyści chętnie kupują te pamiątki sztuki indjańskiej.

Ponieważ uchodzę zawsze za lojalnego i prawo obserwującego obywatela Stanów Zjednoczonych — z wyjątkiem prohibicji — dlatego kupiłem pozwolenie czyli licencję na łowienie ryb. Taki „zettel“ kosztuje trzy bite, dla nietutejszych, a tylko 50 centów dla obywateli Minnesoty.

Ryby jednakowoż na takie formalności nie zwracają najmniejszej uwagi. Przyjdzie chłopek ze starą wędką i haczykiem,

a za tyczkę służy kawał gałęzi, po godzinie wlecze do domu cały sznur ryb. Przyjeżdża natomiast „dżentelman“ z Connecticut, elegancką „turlejką“, z najnowszego systemu składaną tyczką, z jedwabnemi wędkami, ze skakającemi haczykami, z „licencją“ w ręce, a ryby najmniejszej na niego nie zwracają uwagi.



**Pierwszy od lewej — autor — przy rannej toalecie w kanadyjskich lasach. Złowiłem jednego pstrąga, ale napiłem się wódki i piwa — podczas prohibicji.**

Żaden badacz i uczony w piśmie św. nie ma najmniejszego pojęcia o tem, jak się Apostołowie czuli, gdy po całonocnej pracy na jeziorze wrócili z próżnemi rękami. Pan Jezus zapewne wiedział, że im kiepsko poszło, ale z uśmiechem zapytał — „Chłopcy, gdzie ryby?“ Ci się dopiero zaczęli wymawiać, że nie brały, że wiatr był za silny, że pogoda nie odpowiednia. Ot, jak wszyscy rybacy, co z wielką ambicją się wybierają na połów a z próżnym koszykiem i próżną butelką wracają.

Uważam za sportowski obowiązek od czasu do czasu „zapuścić” nie sieci, bo tego tu nie wolno, ale wędkę na połów naszych minnesockich „pajków“. Przed laty można było tyle zabrać, ile się ich złowiło. Teraz prawa obostrzono. Wolno ci zabrać tylko ośm ryb i to przynajmniej szesnaście cali długości, około dwu funtów wagi każda.

Ponieważ latem porządne ryby, nie chcąc aby im nieproszeni turyści wodę haczykami mącili, wypływają na „głębię“, trzeba było nająć motorówkę i wyjechać kilka mil ku środkowi jeziora. Podczas połowu motorówka wciąż krąży, więc też do wędki przyczepia się doskonały kawałek ołowiu, aby to wszystko sięgnęło spodu jeziora, w tem miejscu mającego od dwudziestu do trzydziestu stóp głębokości. Jako gościowi i staremu znajomemu ryby okazały szczególniejsze względy, gdyż w przeciągu godziny chwyciłem ośm porządnych ryb, razem blisko 20 funtów wagi. Ambicja i krew sportowska są zadowolone!

Rybaków w Ameryce jest ogromna liczba. Jedni chwytają pstrągi, drudzy „pajki“ i karasie, inni zaś tylko w ciepłych wowodach łowią kilkasetfuntowe tuny i inne potwory i ryby morskie. Rządy federalny i stanowe otaczają rybołóstwo troskliwą opieką. W każdym stanie urządzono olbrzymie wylęgarnie i przedsiębiorstwa rybne. Młode rybki, a szczególnie pstrągi, karasie, łososie i inne są rozmnażane i zapuszczane do rzek i jezior. Chciałbym tu zaznaczyć, że szczupaki, a o karpiach to nawet nie wspominam, uważają w Ameryce za rybę podlejszą.

Rybołóstwo z zamiłowaniem uprawiam od dzieciństwa. Ojciec zakupił kawał ziemi, zaraz przez drogę od domu, płynie tam dosyć wartka i rybna rzeczka. Pamiętam pierwszy dwudziestostopowy klon, któregośmy z bratem w lesie ścięli i przywlekli do domu. Miała to być tyczka, której nawet największa ryba nie potrafiłaby złamać, my zaś z biedą mogliśmy ją unieść.

Jeszcze mi się tu jedna ciekawa nasuwa historja, prawdziwe zdarzenie z młodych lat. Było to w maju... którego roku już nie pamiętam, ale byłem mężczyzną w dziewiątym lub dziesiątym roku życia. Wróciłem prędzej ze szkoły, a ponieważ dzień był parny, więc też ryby „będą się dobrze brały“. Nakopałem robaków, wędkę w garść i wio przez drogę na ryby. Wszystko w porządku. Chwyciłem już trzy czy cztery płotki i inne tej wielkości rybki i ekspedycja zapowiadała się jak najlepiej. Na-

raz, z podwórka słyszę głos ojca, tak piorunujący, że go jeszcze dotychczas nie zapomniałem! Dosłownie go nawet powtarzam: „Stachu, psiakrew, gdzieżeś jest!!“ Oczywiście na takie „delikatne“ zaproszenie, jakżeż można było dalej ryby łowić? Zabrałem czemprędzej blaszankę z glistami, wędkę do garści, a ryby do kieszeni i wiałem do domu, aż się kurzyło. W tym rozgardjaszu, unikając jowiszowskiego gniewu ojca, który nas w staropolskim rygorze wychowywał, zapomniałem o rybach w kieszeni...

Rano, jak zwykle, poszedłem do szkoły. Za parę dni w klasie zaczął się rozchodzić nadzwyczajny fetor. Nic tak chyba nie śmierdzi, jak zgniła ryba. Było to wprost nie do wytrzymania. Pootwierano okna. Zakonnica-nauczycielka tego i owego z daleka obwąchiwała, czy mu się tam czasem coś nieprzyjemnego nie przytrafiło, ale nic. Najgorzej było koło mojej ławki, a właściwie koło mnie samego. Poprostu zdychałem od tego straszliwego smrodu.

Miałem coprawda kieszenie w marynace, ale chłopak na farmie wychowany, nie ma nic do włożenia do kieszeni, nawet chusteczki do nosa. Tę czynność zwykle załatwialiśmi, jak to zresztą robili wszyscy wielcy mężowie stanu, w swych młodych latach — rękawem. Więc też przez kilka dni ręki w kieszeni nie miałem. Gdym w tej udręce przypadkowo wsunął ją do kieszeni, zdębiałem! Natrafiłem na jakąś kleistą, miękką masę, która swą wonią wołała o pomstę do Boga! Zdaje się, że nawet wtedy, gdy tchórza wyciągałem z jamy za nogę, tak nie śmierdziałem, jak z temi rybami...

Po kilkudniowym wypoczynku, w wygodnej kabinie, nad brzegami uroczego jeziora, zabieram się do dalszej podróży na zachód. Jeszcze wpadłem do Little Falle, rodzinnego miasta naszego najsławniejszego awjatora Lindbergha, pożegnać znajomych i przyjaciół.

Rząd, przed kilku laty, założył tu ogromny obóz wojskowy. Po dłuższych ceregielach otrzymałem pozwolenie na zwiedzenie obozu i zrobienie kilku zdjęć fotograficznych, potrzebnych do mych opisów. Moim „cicerone“ był żołnierz „amerykański“ rodem z Trothjem w Szwecji. W pogadance z tym sześciostopowym kolosem wpadliśmy w cielęcy zachwyt nad szweckiemi sztokfiszami i owsianym chlebem.

Mówią, że „coming events cast their shapows before them“ więc i ten olbrzymi obóz, dla wszelakiej branży wojskowej, także ma swój cel. W razie wojny z Japonją, która nas nie minie, jest tu bardzo dogodne miejsce do koncentracji i ekspedycji sił zbrojnych. Olbrzymie rzędy namiotów, kuchni polowych, stada koni, imponujące robią wrażenie. Tu widzisz długi rząd traktorów-czołgów, tam zaś sterczą szerokie ryje tanków, pokryte płótnem, pod lasem duże koszary dla artylerji polnej i ciężkich haubic. Mimowoli pytasz się, naco i poco? Przecież Ameryka tak strasznie krytykuje państwa europejskie za ich wydatki na armje i siły zbrojne. Można tu zastosować stare przysłowie: „Przygania kocioł garnkowi, a sam smoli“.

Na państwo otoczone morzami i słabymi sąsiadami, jak my jesteśmy, wydatki na cele wojenne są wprost kolosalne. Nie zdradzam chyba żadnych tajemnic wojskowych, gdy nadmienię, że nasze najpotężniejsze okręty wojenne, nury, torpedowce, jak również najcięższe armaty i fortyfikacje znajdują się nad oceanem Spokojnym. Rozchodzi się o Filipiny i handel na Dalekim Wschodzie. Będzie to bardzo trudna i kosztowna wojna do wygrania. Może dostaniemy od Japończyków w skórę, jak kiedyś dostali moskale. Prawdę powiedziawszy, nam Filipiny tak są potrzebne, jak psu piąta noga.

---

Rozdział XI.

## DAKOTA.

W Minneapolis biuro turystyczne udzieliło mi wszelkich informacyj i map co do dalszej podróży na zachód. Na każdy stan doręczono osobną mapę, nakreślono najlepsze drogi i udzielono wszelkich wskazówek co do hoteli, kabin turystycznych, garaży, jednem słowem — wszystkiego co może interesować turystę. Zaopatrzony we wszystko, opuszczam główną kwaterę w Foley, Minn. Wstępuję po drodze na „ostatnie śniadanie" do szpitala, a otrzymawszy „przepustkę", że moja cukrzyca w porządku, śmiało walę na zachód.

Ruszam w kierunku południowo-zachodnim ku Litchfield. Drogi odtąd będą przeważnie żwirem lub mielonym kamieniem wysypane. Jeżeli jeszcze taka szeroka, twarda i równa droga jest dobrze zlana olejem, można nią pędzić na złamanie karku. Niektóre nie są jeszcze zupełnie wykończone, przedewszystkiem niepolane olejem, dlatego godzinami całemi jadę w strasznym kurzu.

Dalej na zachód, w Dakocie i Wyoming, gdzie są olbrzymie równiny, już na kilkanaście mil można obserwować zbliżający się samochód. Podobny jest do jakiejś ziemskiej komety z dużym ogonem. Widać, jak się takie komety do siebie szybkiem tempem zbliżają, za chwilę znów oddalają i jedne drugim wieją długim, szarym, tumanem kurzu. Po całodziennej podróży, turysta wygląda, jak gdyby, tak on, jak i jego samochód tarzali się w kupie miałkiej, szarawej mąki. Jeżeli droga jest równa, prosta, można sobie z pyłem jekoś dać radę. Rozchodzi się głównie o to, aby te obszerne równiny jak najprędzej przejechać.

Cała zachodnia Minnesota jest krajem rolniczym. Ziemia bardzo urodzajna i lekko falująca. Zapewne kiedyś ten olbrzymi skrawek lądu stanowiący dolinę rzeki Mississippi z jej dopły-

wami, był pokryty morzem. Po obu stronach drogi złocą się pola pszenicy. Jest to czas żniw. Wszędzie wiązarki zaprzężone w cztery konie uwijają się po żółto-złotych zagonach dojrzałego zboża.

Od Wilmar, bardziej na zachód ku Montevideo i Dawson, prócz pszenicy i owsa ciągną się zielone pola kukurydzy. W tych bogatych okolicach prócz pszenicy, hodują także dużo bydła i wysyłają do większych miast mleko, masło i inne produkty mleczne.

Od czasu do czasu przecinam małe miasteczka farmerskie. Przy torach kolejowych, w każdem z nich zauważysz dwa, a nieraz trzy ogromne spichrze na zboże. Farmerzy po sprzątnięciu zbiorów, odwożą pszenicę do spichrzów tuż przy kolei, i w dowolnym czasie, po możliwie najlepszej cenie, sprzedają i ładują do wagonów.

Jadę w strasznym upale. Termometr wskazuje 106 stopni Fahrenheita. Nieznośny gorący wiatr utrudnia oddech. Zatrzymałem się w miasteczku Dawson, w małym parku, oddanym do użytku turystów. Zbudowano tu kuchnię, czyste ustępy i stodoły dla przejezdnych, gdzie mogą sobie gotować lub też w cieniu sosen, po mozolnej podróży, wypocząć.

Po zjedzeniu smacznej przekąski i półgodzinnym wypoczynku, ruszam w dalszą drogę. Kilka mil za miastem, napotykam tablicę z napisem, że wkraczam do Południowej Dakoty. Pejzaż ten sam, grunt ten sam, droga ta sama, zabudowania farmerskie te same, gorączka ta sama, a może jeszcze większa, wiatr taki sobie pustynny „sirocco", jak wiał, tak wieje. Gdyby nie tablica, nie przypuszczałbym nawet, że opuszczam kochaną Minnesotę, a wjeżdżam do sąsiedniej Dakoty. Jeżeli popatrzysz na mapę Stanów Zjednoczonych, znajdziesz aż dwie Dakoty, Północną i Południową, jedna nad drugą położone, niby dwie ogromne cegły.

Obie Dakoty wywodzą swą nazwę od szczepu Indjan, którzy tu mieli odwieczne siedziby. Jest to kraj równy, ziemia urodzajna i dosyć łatwa do uprawy. Znajdujemy się teraz na naszych olbrzymich stepach czyli „prerjach".

Pewna Amerykanka czytając o tem, że na zachodzie są takie ogromne stepy, powiedziała: „Jak to dobrze, żeśmy odgrodzeni od reszty świata stepami, tam już nikt nie pójdzie i tak

będziemy sobie żyli blisko jeden drugiego". Jej pobożne życzenia spełzły na niczem.

Pięćdziesiąt i więcej lat wstecz przybyli tu pierwsi „setlerzy" czyli osadnicy. Przeważnie wybierali się z licznym taborem. Mieli duże wozy, a na nich ogromne pałąki z żelaza lub drzewa, pokryte płótnem. Taki wóz — „Corvered Wagon" — służył za mieszkanie i schronienie rodzinie pioniera. Wieźli ze sobą narzędzia rolnicze, zapasy żywności, bydło i broń przed czerwonoskórymi obywatelami i do polowania, przeważnie na bawoły.

Taki transport, ze wszystkich stron zabezpieczony uzbrojonymi jeźdźcami, wlókł się miesiące całe, szukając żyznej i urodzajnej ziemi. Gdy wyszukano odpowiednią połać, rozpoczynano natychmiast uprawę roli i budowę jakiegoś schroniska.

Ponieważ w tych stronach lasów nie było, dlatego pierwsze domy były właściwie — ziemianki, pokryte darniną. Zamiast drzewa, zbierano na opał po stepie suchy gnój bawoli, który się dobrze palił: nazywano to „bawole płatki" burfalo chips. O mięso nie było trudno. Pasły się olbrzymie stada bawołów — bizonów — było więc mięso, tłuszcz, skóra na obuwie i mieszkanie. Zboże wydawała nadzwyczaj urodzajna, czarna ziemia stepowa.

Opowiadali mi starzy polscy koloniści, że przez wiele lat nikt nawet nie marzył o nawozach. Zorał, zasiał, a na lato zbierał dobre plony, o ile susza, grad lub szarańcza dorobku nie zniszczyła. Jedno pół wieku zmieniło te dzikie pola na urodzajne i bogate osady farmerskie. Jak wspomniałem, lasów tu niema, ani ich nie było. Dlatego przy zabudowaniach tutejsi gospodarze sadzą topole i rodzaj osiny, „box elder" zwanej, która bardzo szybko rośnie. To im daje cośkolwiek chłodu podczas upałów, oraz zimą zabezpieczenie przed szalonemi zawieruchami śnieżnemi. Tutejszy osadnik posiada nieraz kilka sekcyj roli, (sekcja wynosi 640 akrów) od kilkuset do kilku tysięty akrów, a więc jest sobie gospodarzem całą gębą.

Było to z początku dosyć łatwe gospodarzenie. Zorał, zasiał i zebrał wszysto w przeciągu kilku miesięcy. Bydła wiele nie trzymał: trochę dla swej potrzeby. Gdy po żniwach, pszenicę sprzedał za dobre pieniądze, miał na pół roku wakacje. Na wiosnę końmi, a ostatniemi czasy, traktorami znów orał, siał i zbierał.

Dla skrócenia i uproszczenia całego procederu, używają w niektórych okolicach specjalnych maszyn „combines". Jest to maszyna do sieczenia pszenicy, a właściwie ścina tylko kłosy, młóci i czyste ziarno wsypuje do worków. Gdy przejeżdżasz takie pole, zamiast snopków i stogów zboża, widzisz rzędy worków nasypanych świeżo zżętą i wymłóconą pszenicą. Do takiego żniwowania potrzeba trzech lub czterech ludzi. Do maszyn zaprzęgają po szesnaście koni lub też traktory (ciągi) typu czołgów „caterpilar tractors". W jednym dniu taka „kombinacja" zetnie i wy-




Okolica w Południowej Dakocie.

młóci ogromny szmat pola. Rżysko zaorują, a dawniej palili stogi słomy i rżysko, poczem znów orali. Teraz jednakowoż zaczynają rotacyjne czyli płodozmienne rolnictwo, gdyż nawet najbogatszy czarnoziem rabunkowej gospodarki na długo nie wytrzyma. Mówiono, że wydajność tych pól pszenicy wynosi od piętnastu do dwudziestu i więcej buszli na akier. (Buszel pszenicy równa się trzydziestu kilo — 60 funtów).

Prócz pszenicy, szczególnie we wschodniej części Dakoty, napotkałem także olbrzymie pola kukurydzy. Prócz zboża, hodują obecnie także znaczną ilość bydła.

Zatrzymałem się na chwilkę w miasteczku Watertown, aby sobie gardło odwilżyć lurą amerykańską zwaną „near beer", co niby na polskie ma znaczyć „bliskie do piwa". Na ucho dodaję, że odległość między tą berbeluchą, a prawdziwem piwem jest większa, aniżeli ziemi od słońca. Nie tylko to, ale każą ci płacić za butelkę takiej szumiącej zupy więcej, niż dawniej płaciłeś za butelkę porządnego piwa. Oj, dolega tam ta prohibicja i żołądkom, i kieszeniom. Ale na głupotę i upór jeszcze nikt lekarstwa nie wymyślił...

Osad polskich w obu Dakotach jest niewiele. W Północnej Dakocie jest spora kolonja polska w pobliżu Minot. Kilkadziesiąt lat temu zbudowali sobie nasi w „Warszawie" — tak się ich osada zowie — wspaniały kościół, szkołę i inne zabudowania potrzebne do życia religijnego i społecznego. Miała to być najbogatsza polska osada rolnicza w Ameryce. Niektórzy z osadników posiadają przeszło tysiąc akrów najpiękniejszego czarnoziemu i zbierali znakomite plony pszenicy, od kilku do tysięcy kilkunastu buszli. Jeden dobry plon stawiał takiego farmera na nogi.

Na południe od Watertown, blisko Waubay i Webster, jest także stara polska osada. Ponieważ to przeważnie nasi dobrzy, poczciwi Kaszubi się tu osiedlili, nazwali ten polski kącik — Puckiem.

Przez wiele lat pracował tam gorliwie ś. p. ks. prałat Jakób Wojtowicz. Po przeszło ćwierćwiekowej pracy spoczął wśród tych pionierów, zdala od swych Wadowic i podkarpacia, które tyle razy wspominał. Był to mój dobry „sąsiad", z którym często się spotykałem na odpustach i nabożeństwach. Wtenczas sto, dwieście mil, uważaliśmy za bliskie sąsiedztwo, od trzech do pięciuset, to już trochę dalsze.

Z Watertown, po krótkim wypoczynku, kieruję się bardziej na południe, a potem na zachód. Wszędzie drogi szerokie, równe i proste. Widać, że tu wszystko wymierzone, jak na olbrzymiej szachownicy. Ani góry ani rzeki nie przeszkadzały inżynierom w wymiarach, więc też linją sekcyj (640 akrów) i powiatów zbudowano proste, eleganckie drogi. Szkoda tylko, że ich nie stać było na olej, ale i bez tego, mimo gorączki, zrobiłem do wieczora trzysta trzydzieści mil; na pacjenta, co tylko wypuszczonego ze szpitala powinno wystarczyć. Zakwaterowałem się w małem miasteczku, St. Laurence, o sto mil od stolicy stanu, miasta Pierre.

Rano ruszam w dalszą drogę. Zaledwo jednak wyjechałem na główną ulicę, czuję że coś nie „rychtyk“ z kołem. Stary gwóźdź zupełnie niepotrzebnie wpakował się po uszy do nowiuteńkiej gumy. Na szczęście było to w miasteczku. „Można tu znaleźć miasta bez domów, bez składów, bez urzędników i niewiem jeszcze bez czego, jakie ongiś ów grecki filozof napotykał, ale — garaż zawsze znajdziesz". Więc też zawołałem fachowca od naprawy gum, który zaledwo kilka kroków od miejsca wypadku mieszkał. Za pół godziny wszystko było gotowe do dalszej drogi. Przy tej sposobności dałem nasmarować samochód i zmienić olej, aby biedakowi łatwiej było: „biec za zającem co po stepie skacze“. A była tych zajęcy moc wielka. Co chwila napotykam zmiażdżone szczątki stepowego mieszkańca, zwanego — „jack rabbit“. Taki szarak waży od szesnastu do dwudziestu funtów i jest znacznie większy od zajęcy belgijskich. Często napotykałem stada chińskich bażantów i stepowych kur zw. „sage hens“.

Im dalej pędzę na zachód, tem więcej zmienia się krajobraz. Coraz mniej napotykam pól pszenicy i zabudowań farmerskich; osady i miasteczka więcej się jedne od drugich oddalają. Zabudowania małe, biedne, przy nich jakieś szopy i ogrodzenia dla bydła. Stopniowo wdzieram się w rejon hodowli bydła i koni t. zw. „cattle country“. Coraz częściej widzisz ludzi na koniach. Nawet taki mały ośmioletni szczuder nie idzie, tylko jedzie konno. Puste pola, porosłe małym zielonym krzewem, podobnym nieco do piołunu, zwanym „sage brush“. Jest to rodzaj bylicy — „artemisia tridentata“ Mówią, że dzikie zwierzęta karmią się tem zimą, latem nikt tego nie rusza.

Te olbrzymie stepy w jednym momencie zamieniłyby się w bujne zielone pola trawy, pszenicy i owoców; potrzebne im jest tylko jedno magiczne słowo, które tu w mgnieniu oka cudów dokona: — Woda.

Ile to miljonów akrów urodzajnej roli z pragnieniem oczekuje tej rosy niebieskiej[1]) — „Rorate Coeli desuper“... Rząd federalny i stanowy, gdzie to jest możliwe, wykorzystuje stoki gór i rzeki aby zapomocą tam i rowów irygacyjnych nawodnić i oddać do użytku ludzi olbrzymie przestrzenie tej urodzajnej, ale suchej ziemi.

[1]) Spuśćcie niebiosa rosę...

W miejscach, gdzie się grunt nie nadaje pod uprawę, założono olbrzymie pastwiska dla bydła. Przeważnie hodują bydło przeznaczone na mięso — Herefords.

Napotykam stada całe, a wszystko zdrowe, silne i tłuste. Powiadają, że taki bydlak rodzi się na stepie, o weterynarzu nie słyszy, w oborze nigdy nie był, w jakiejś brudnej kałuży się poi, zawsze pod gołem niebem, na słońcu, w upale, w deszczu, śniegu i wichurze. Nic mu to nie szkodzi, zdrowy jak rydz. Ginie przeważnie gwałtowną śmiercią w chicagoskich „sztok jardach", a za jego mięso płacą dobre ceny.

Ponieważ jeden osadnik od drugiego jest oddalony o kilka, a nieraz o kilkanaście mil, ludzie żyją tu spokojnie. Ci, z którymi wdałem się w rozmowę, powiadają, że za żadne pieniądze nie poszliby do miasta. Im tu swobodnie, cicho, zdrowo i dobrze... Lekarza trudno znaleźć, a o szpitalach nawet nie słyszeli. Zdaje się, że to jest dla tych „cowboyów" zupełnie niepotrzebny luksus. Widać, że tu lud spokojny, silny, zwinny i zdrowy. To ich nagroda za pobyt na pustym, dzikim stepie...

W pobliżu stołecznego masta Pierre, tuż przy drodze, napotykam kolumnę w formie niewielkiego obelisku. Dowiaduję się z napisu, że ten punkt tworzy geograficzny środek północnego kontynentu. Mnie się właściwie zdawało, że tu nie środek, ale szary koniec kontynentu. Za parę minut wjeżdżam do „stołecznego miasta" Pierre, położonego nad bardzo mętną rzeką Missouri. Nie bardzo mi ta stolica Południowej Dakoty imponuje. Główną atrakcję, ma się rozumieć, stanowi dosyć gustowny i niezbyt wielki gmach rządowy. Obok jeszcze jakiś sąd, poczta, hotel, parę restauracyj, garażów, stacyj gazolinowych, teatrzyk i trochę domów. Nic szczególnego niema do zanotowania o tem małem miasteczku, więc też po spożyciu obiadu, w dosyć uczciwej restauracyjce, jadę dalej w kierunku południowo-zachodnim.

Metą, do której dążę, jest sam południowo-zachodni kąt Dakoty, zwany „Black Hills". Od celu dzieli mnie jeszcze sto pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt mil — bagatela. Zaopatrzyłem się w gazolinę, wodę i olej, gdyż miasteczka tu są o jakie pięćdziesiąt mil jedno od drugiego, więc też trzeba się dobrze we wszystko zaopatrywać, aby na pustym, bezludnym stepie nie stawać. Jadę z przeciętną szybkością czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu mil na godzinę.

Po przekroczeniu rzeki Missouri wjeżdżam teraz w okolice górzyste. Droga prowadzi krętemi wąwozami. Tu i owdzie sączy się mała rzeczułka, a brzegi zielenią się od trawy i drzew. Za górami, w dolinach i przy wodzie znajdują się „ranche" czyli zabudowania hodowców bydła.

Miejscami kurczenie się ziemi powyrzucało dosyć wysokie wzgórza, zdobne pasami różnokolorowych pokładów kamienia wapiennego i piaskowców. Jest to wszystko malownicze, szczególnie gdy te skały promienieją barwami tęczy zachodzącego słońca. Nazywają tę połać „Bad lands" — złe ziemie — gdyż nic tu nie rośnie — to kawał pustyni. Potem znów napotykam ziemie lepsze, urodzajniejsze, a nawet pola pszeniczne.

Nad wieczorem dobijam do celu podróży, miasteczka Rapid City, położonego u podnóża ciemnym lasem pokrytych wzgórz, zwanych Black Hills. W dwóch dniach, w strasznym upale i kurzu przejechałem ogromną połać kraju, około sześćset mil. Pierwsi osadnicy nie dojechaliby tu w dwu miesiącach. Dobre drogi, szybkie samochody, jeszcze szybsze aeroplany ogromnie skróciły przestrzenie i do siebie zbliżyły ludzi i państwa.

Zatrzymuję się na noc w tem schludnem, o szerokich ulicach mieście. Główny przemysł — to turyści, którzy w te malownicze okolice dosyć licznie przybywają.

---

Rozdział XII.

## CZARNE GÓRY.

„Paha Sapa" — Czarne Góry — nazwali Indjanie ten malowniczy i romantyczny kąt Dakoty.

Po dwudniowej podróży przez ogromne stepy, widok wspaniałych, ciemnym lasem krytych gór, robi na turyście jak najlepsze wrażenie. Ileż to ciekawych szczegółów możnaby napisać o tym napozór małym zakątku kraju! Obszarem łatwoby pokrył którykolwiek z mniejszych stanów na wschodzie, jak Delaware lub New Jersey.

„Black Hills" są niewyczerpanem źródłem „bohaterów" dla naszych popularno sensacyjnych powieści. Każdy amerykański chłopiec czytał kilka książek, w których walki z Indjanami, pojedynki na rewolwery, napady na pasażerskie bryki, zwane „stage coaches", (stejdz kocies) były na porządku dziennym. Miasto Deadwood, ze złotodajnemi wzgórzami, jego Deadwood Gulch, „Calamity Jane", „Wild Bill Hickok", „Preacher Smith", „Poker Alice" są tak dobrze znani chłopakom amerykańskim, jak nam bohaterzy trylogji Sienkiewicza.

Indjanie plemienia Sioux, mieli tu odwieczną siedzibę i twierdzę. Lasy przepełnione zwierzyną, strumyki i jeziora dostarczały ryb, a w górach, źródła mineralne leczyły wszelkie bóle i dolegliwości.

W roku 1876 przyszli w te okolice pierwsi biali osadnicy. Tak długo węszyli po lasach, górach i strumykach, aż znaleźli złoto. Ten magnes sprowadził tysiące awanturników, szwindlerów, oszustów, zawadjaków, bandytów, górników, a nawet duchownych rozmaitych wyznań, którzy z djabłami w ludzkiem ciele rozpoczęli trudną walkę. Tędy w roku 1876 szła ekspedycja wojskowa, pod wodzą

generała Custer'a przeciwko Indjanom, z której żywa noga nie wróciła.

Miasteczko Rapid City, położone u zbiegu kilku dolin, ciągnących się w rozmaitych kierunkach, liczy jakie dwanaście tysięcy mieszkańców. Szerokie ulice, ładne sklepy, wygodne hotele, miłe robią wrażenie na zmęczonym i zakurzonym turyście. W dobrym sezonie przejeżdża tu kilka tysięcy turystów dziennie. Tego roku ogólna depresja bardzo się turystyce dała we znaki. Hotele, zajazdy i turystyczne kabiny świecą pustkami. Tam, gdzie kiedyś były setki i tysiące turystów, teraz jest ich zaledwie mała garstka.

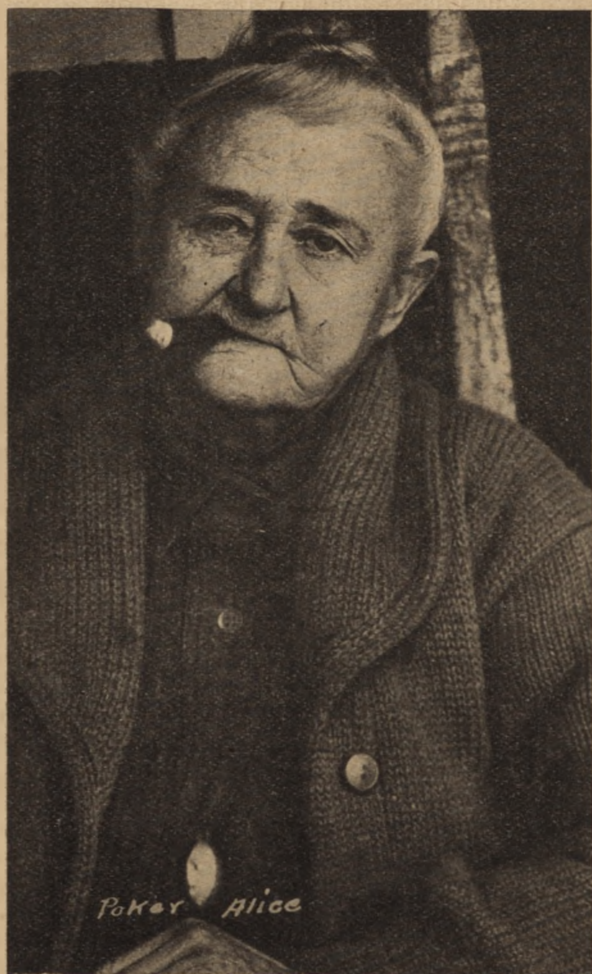



Czarne Góry.

Dla mnie jest tem lepiej, gdyż wszędzie znajduję wygodne kwatery, a na wąskich i krętych drogach górskich nieczęsto spotykam samochody, któreby mi zagrażały. Im nas mniej, tem lepiej. Po naprawieniu baterji, którą widocznie stłukł kamień przez koło rzucony, ruszam w dalszą drogę oglądać te pierwsze góry napotkane od czasu, gdym opuścił Pensylwanję.

Ruszam ku górze Rushmore. Na jej granitowym szczycie, słynny artysta Cutzon Borglum, którego dziełem jest pomnik pre-

zydenta Wilsona w Poznaniu, rzeźbi tu heroicznych rozmiarów twarze trzech prezydentów Stanów Zjednoczonych — Waszyng-




Poker Alice.

tona, Jeffersona i Linkolna. Ma to być pomnik wieczny, idący w zawody ze sfinksem i piramidami. Może za tysiące lat, inna rasa tu osiędzie, i będzie podziwiać podobizny ludzi zupełnie im nieznanych.

Pracę rozpoczęto już kilka lat temu. Twarz Waszyngtona jest na ukończeniu; na większą odległość, dobrze się przedstawia. Inne są dopiero zozpoczęte. Być może, iż jeszcze inni przywódcy amerykańscy „In perpetuam rei memoriam" zostaną w tej granitowej skale wykuci i na wieki upamiętnieni. Przypuszczam, że z czasem, gdy miną chwilowe antagonizmy, umie-




„Needles Highway" — Czarne Góry.

szczą wśród tej dostojnej trójki prezydenta Wilsona, jako jednego, nie tylko z największych prezydentów, ale idealistów i myślicieli. Ale na to trzeba czasu i pieniędzy. Po obejrzeniu tego monumentalnego dzieła, na które zapewne setki pokoleń ludzkich patrzeć będą, ruszam w dalszą drogę przez stromą górę, zwaną Iron Mountain.

Wśród pięknych lasów szpilkowych, wjeżdżam w ogromny rezerwat dla dzikich zwierząt. Niemal we wszystkich stanach rząd wyznacza ogromne połacie lasów, w których polować nie wolno, aby zachować i rozmnażać zwierzynę i dzikie ptactwo. W tem idealnem i spokojnem miejscu, prezydent Coolidge spę-

dził wakacje. Na pamiątkę jego pobytu małą rzeczkę nazwano Grace Coolidge.

Po godzinnej podróży wkraczam w bardzo ciekawy i piękny rejon górski. Nazywają go „Needles Highway“ — iglista droga — gdyż wysokie skały kończą się ostremi cyplami. Wśród gęstego lasu — takie ostre, szpiczaste kończyny, przedstawiają się bardzo malowniczo, szczególnie gdy zachodzące słońce złoci ich szaro-czerwone szczyty. Kosztowało to grube pieniądze, by wśród tych skał, zbudować serpentynową drogę, ale zato można sobie oczy na te piękności wypatrzeć. Rozkoszowałem się tym cudnym widokiem i co chwila wyciągałem aparaty fotograficzne robiąc liczne zdjęcia, bo wolę to na obrazku pokazać, aniżeli opisać.

Gdym sobie „używał“, przypadkowo zerknąłem na moje gumy. Jedna biedaczka śmiertelnie gwoździem przekłuta, powolnie konała... ostatni oddech ze siebie wypuszczając... Trzeba było odłożyć „Graflex“, a zakasać rękawy i zmienić koło. W każdym razie, nie mogłem chyba znaleźć piękniejszego miejsca i wspanialszego widoku nad ten, który miałem w tej chwili. To już druga „pana“ w przeciągu trzech dni i to na nowiutkich oponach. Mam nadzieję, że się to więcej nie powtórzy!

Droga wiedzie przy cudnem jeziorku, w górach uroczo położonem — „Sylvian Lake“. Tuż nad brzegiem zbudowano hotel, aby turystów zwabić i dolary z kieszeni ciągnać. Chcę koniecznie dojechać do miasteczka Lead, kilkadziesiąt mil odległego. Ma się już dobrze ku wieczorowi. Mapa wskazuje kilka mniejszych wiosek, mijam jedną po drugiej, a tu ani restauracji, ani sklepu ani zajazdu. Nareszcie, dobrze wygłodzony, zabieram się do mych „żelaznych porcyj“, aby zaspokoić głód i znów ruszyć w drogę.

Do Lead, „mile high“ czyli milę ponad poziom morza, dojeżdżam późno wieczorem, przez ogromny parów, który w okolicach górskich nazywa się „gulch“ — golc. Miasto liczy jakie sześć tysięcy mieszkańców. Domy porozrzucane po obu stronach doliny, a właściwie parowu, przypominają typowe miasto „majnerskie“ — kopalniane. W tej niewielkiej mieścinie znajduje się największa kopalnia złota w Stanach Zjednoczonych — Homestake Mine.

Zanim obszerniej napiszę o tej słynnej kopalni, chciałbym tu coś oryginalnego o złocie powiedzieć.

Wolno było Tołstojowi, wolno było temu „cyganowi“ Makuszyńskiemu, co to słońcu najpiękniejsze promyki kradnie i do smętnych dusz ludzkich pełnemi garściami rzuca, pisać o stworzeniu Ewy, czemużby i mnie coś podobnego się nie udało?! „Risum teneatis amici“ — nie śmiejcie się, bo zaczynam oryginalną opowieść.

Otóż Bóg przed wielu wiekami, nie mając kłopotu, — nic nie kupił, jak owa przysłowiona baba, — ale zabrał się do pracy i... tworzył świat!... Słońce, księżyc i gwiazdy poszły dość gładko... zresztą są tak daleko, że nie możemy Go za nie krytykować, bo ich bliżej nie znamy.

Najwięcej fatygi zadał sobie z stworzeniem ziemi. Z piasku usypał Afrykę, wsadził do niej małpy i murzynów, no, ale to jeszcze nic takiego nie było. Azję zrobił wiele większą. Napakował tam gór, pustyń, rzek. Zaludnił to plennymi Chińczykami i skośnookimi ludźmi rasy żółtej, ale to jeszcze niekoniecznie był Jego „chef d'oevre“.

Zabrał się zkolei do Europy, niby od tamtych o wiele mniejszej, lecz staranniej wykończonej. Tu zato ludzie jakoś nie dopisali. Ciasno im było! Jeden drugiemu w granicę wciąż właził. Tłuką się i biją o każdy skrawek ziemi, o każdy „korytarz“ gotowiby życie oddać...

Więc też Pan Bóg mając z nimi to przykre doświadczenie, zabrał się tym razem do stworzenia prawdziwego „majstersztyku“, by wielbił Stwórcę swego i Pana. Aby z ludźmi mieć spokój, oddzielił ich olbrzymiem morzem od reszty świata i tu dopiero wziął się do roboty. Mając dużo doświadczenia z tamtymi, stworzył wszechmocną ręką istne arcydzieło — Amerykę Północną. Z resztek co mu pozostały, niby z gór, lasów, stepów, ulepił jeszcze — Amerykę Południową...

Nawet samemu Panu Bogu się ta robota podobała; poprostu, „udało Mu się“. Z upodobaniem i wielkiem ukontentowaniem patrzał na olbrzymie równiny, kwitnące łąki, potężne pasma skalistych gór, odwiecznemi śniegami pobielonych... Niektóre z nich pokrył cudną zielenią olbrzymich lasów. W lasach zaś pasły się stada bawołów, niedźwiedzi, saren, łosi i wszelkiego gatunku zwierzyny. W rzekach i jeziorach pluskały się wspaniałe łososie, pstrągi i ryby o jakich nawet św. Piotrowi się nie śniło.

Gdy przyszło do stworzenia ludzi, poczynił Bóg także pewne udoskonalenia. Tych afrykanów za bardzo wypalił i zupełnie zczernieli. Białych, to niby twierdzą „że są stworzeniami na obraz i podobieństwo Boże“, za prędko z pieca wyciągnął i nie są dosyć wypaleni, dlatego przeważnie postrzeleni i bzikowaci. Zato gdy lepił Indjan, to już tego troskliwie dopilnował, aby ich dobrze, ale nie za bardzo wypalić, więc nadał im tę cerę ciemnoczerwoną. Byli to bardzo uczciwi ludzie, dopóki ich biali nie zdeprawowali i nie wyniszczyli.

Gdy już to wszystko wykończył, ogromnie był ze siebie zadowolony. Z uśmiechem na wszystko spoglądał i z lubością gładził długą, siwą brodę... Cóżby tu jeszcze zrobić, myślał, aby ten cudny i żyzny szmat ziemi upiększyć?!...

Długo myślał i patrzał na góry... na lasy... na rzeki... i srebrzyste strumyki górskie... Nareszcie sięgnął ręką do najpiękniejszej gwiazdy na firmamencie, i wziął z niej garść złota i zaczął je drobnemi płatkami i bryłkami rzucać do górskich strumyków i leśnych ruczajów... Do tych spienionych modrych, niebieskich rzeczek chciał jeszcze dodać blasku — złota.

Ładne to było...

Uczciwi, czerwonoskórzy Indjanie wielbili Stwórcę, polowali tylko tyle, ile im było do życia potrzebne. Wszędzie pasły się stada zwierzyny, w rzekach ryb nie ubywało. Pragnienie gasili w złotonośnych strumykach Kalifornji i Dakoty. Nie szukali i nie zbierali złota ani też nie przelewali za nie krwi ludzkiej...

Gdy tak Pan Bóg hojną ręką złoto rozsiewał, nagle zobaczył ludzi białych, bo przecież jest wszystko widzący. Przepłynęli oni morze, przekroczyli góry i stepy... Zamiast podziwiać twory Jego wszechmocnej ręki, oczy swe jak Kainy spuścili w ziemię i, niby psy gończe, węszyli, ale nie za cudami przyrody, nie patrzyli na piękno zachodzącego słońca... Szukali blasku żółtego metalu!

Widział ich Bóg gdy w ciężkich butach, z worem na plecach, z kilofem i łopatą przez ramię przewieszoną, z karabinem i młotem w ręku, pełzali po wszystkich strumieniach — za złotem!

Gdy je znaleźli, przetapiali na pieniądze, a za nie pili, hulali, mordowali, kradli. Przed żadną nie wstrzymali się zbrodnią!

Patrząc na ich niecne postępki, rozgniewał się dobry Bóg!! Resztę złota, co miał w hojnej dłoni, ze złością zmiął, tak, że

się rozpłynęło. Rzucił je do najtwardszych gór i skał, w czeluściach i wnętrzu ziemi zagrzebał!!... Pragniecie złota, a nie mnie!! Dobrze! Ale będziecie go szukać daleko i głęboko! Z wielkim mozołem i kosztem, w znoju wydobywać je będziecie!!

Złoto zbladło... stopniało... z kamieniem i bryłą skalną się złączyło, aby się ukryć w ciemnych czeluściach kotlin górskich..!

Ale ludzie, których bogiem jest złoto, nie dali za wygraną. Tem pilniej i uporczywiej szukali za każdą czarną żyłką, za każdym połyskującym kamieniem... Zapuścili jadowite szpony do wnętrza ziemi! Twarde skały dziurawili stalowemi świdrami. Wdzierali się w ich serce głębokiemi szybami. Rwali opokę dynamitem i wydobywali z głębin ziemi — złoto...

Właściwie nie czyste złoto, ale skałę czarną, twardą, w której się złoto kryje. Zbudowali olbrzymie młyny, gdzie w wielkich cylindrach tłuką tę grudę na miałki piasek, potem w olbrzymich bębnach napełnionych stalowemi walcami jeszcze więcej to miażdżą, wodą płóczą, przez miedziane płyty specjalnie amalganem pociągnięte spuszczają. Wkońcu to złotodajne „błoto" zlewają do olbrzymich kadzi i tam zapomocą trucizny, cyanku, resztki drogocennego metalu wyciągają. Ludzie nie szczędzą kosztów, pracy, krwi i życia, by posiąść tego — złotego cielca...

Rano rozejrzałem się po tem miasteczku rozrzuconem wśród złotodajnych gór. Nie można tu pominąć faktu, że Lead nie słyszało o depresji, panującej w całym świecie. Kopalnia idzie całą parą dniem i nocą, bez przestanku. Górnicy pracują na trzy szychty, po ośm godzin każda. Przeszło dwa tysiące ludzi ma zatrudnienie i z tych ponad siedmset pracuje pod ziemią. Trzy szyby są od dwunastu set do czterech tysięcy stóp głębokie. Największy wynosi do góry siedm ton rudy naraz. Ogromne windy operują zapomocą motorów elektrycznych.

Skorzystałem z okazji zwiedzenia kopalni. Gdym w młodych latach „inspektował" browarnie, to nam zawsze dawano kilka kufli piwa. Myślałem, że może teraz jaką złotą dwudziestkę dadzą do garści — „na pamiątkę?" Dlatego z ochotą zapłaciłem pół dolara za bilet wstępu do kopalni.

Młoda i bardzo szczerbata panienka oprowadzała turystów. Pokazuje olbrzymi wyręb w górze, bogaty w złoty kruszec. Następnie zwiedzamy szyby i windy elektryczne. Wszystko bardzo gładziutko pracuje. Grube liny stalowe szybko, a cichuteńko

owijają się na dużych bębnach, pędzonych motorami elektrycznemi. Sala maszyn czyściuteńka jak szkło. Olbrzymie zegary wskazują maszyniście, na którym poziomie znajdują się kubły z rudą; najniższy tunel jest jakie cztery tysiące stóp pod ziemią.

Aby sobie wyrobić pojęcie o ogromie tej kopalni, podaję nieco szczegółów. Kopalnia posiada własną kuźnię, w której na automatycznych maszynach rozgrzewają, ostrzą i temperują długie, stalowe świdry. Zużywają na nie dwieście pięćdziesiąt ton stali rocznie. W ciągłem użyciu jest 490 świdrów, działających zapomocą ściśnionego powietrza.

Przeszło półtora miljona funtów dynamitu zużywają tu rocznie; codzienne zapotrzebowanie materjałów wybuchowych kosztuje około 500 000 $. Poza kuźnią znajduje się pierwszorzędna lejarnia, a w niej wszelkie maszyny do obróbki żelaza. Wszystko z dziedziny maszyn, rur, walców i t. d., potrzebnych w kopalni jest produkowane na miejscu.

Po odwiedzeniu szybu i kuźni, zaprowadzono nas do olbrzymiej szopy, kilku piętrami spuszczającej się na dół. Ten budynek nazywają „stamp mill“, rodzaj walcowni. Rudę wydobytą z kopalni, miażdżą zapomocą tłoków i cylindrów na proch i mieszają z wodą. Tych tłoków jest przeszło pięćset. Ruda tak starta spływa wraz z wodą na niższe piętro po miedzianych płytach, pokrytych amalganem, który ma tę własność, że złoto do siebie przyciąga. Zdaje się, że każdy z nas ma bardzo dużą dozę tego amalganu, tylko nam nikt złota przez kieszeń nie przesypuje.

Następnie ową błotnistą strugę rozdzielają, piasek z domieszką złota idzie znów do okrągłych bębnów, napełnionych stalowemi prętami od cala do trzech cali grubości i kilkanaście stóp długich. Te walce pozostałe grudki jeszcze więcej mielą, a potem znów to spływa po miedzianych płytach. Co zostało po drugiem odseparowaniu, idzie z powrotem do stalowych beczek, napełnionych okrągłemi kamieniami, sprowadzanemi aż z Francji. Te już do reszty wszystko miażdżą i na drobny proszek mielą. Ta miałka, brudna z wodą mieszana ciecz spływa do ogromnych kadzi napełnionych cyankiem. Ten dopiero ostatki drogocennego metalu z błota wyciąga. Nic też dziwnego, że złoto, jak owa trucizna, niejednego człowieka zatruje i zniszczy!

Ciekawe było zbieranie tego złotego plonu. Możeście widzieli obrazki krupierów w Monte Carlo, lub w innem miejscu

gry hazardowej, zgarniających złoto i banknoty. Tu się to dzieje w cośkolwiek inny sposób.

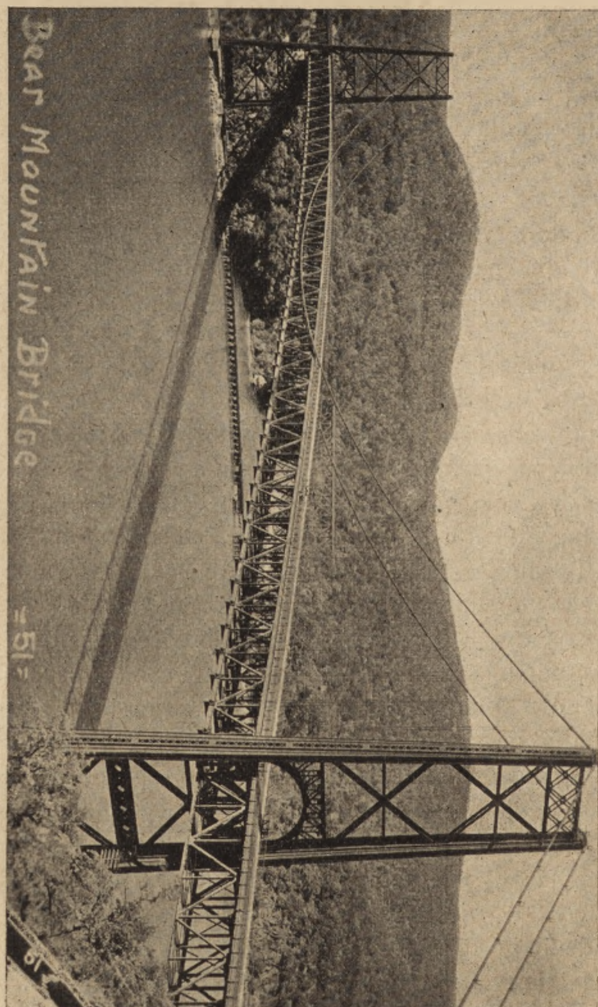
Na takim ośm lub dziewięć stóp szerokim, spadzistym stole, pokrytym miedzianemi płytami, po których przez pewien czas płynął strumień wody ze złotodajnym piaskiem zmieszanej, tworzy się niby czarny osad. Na tę pochyłą platformę wchodzi zwykły robotnik w gumowych butach i najzwyklejszą miotłą, wyobraźcie sobie, jeszcze raz powtarzam — prosty robociarz, w starych gumowych butach z najzwyklejszą miotłą — zmiata do kubłów złoto, podobne do miękkiego, świeżo spiłowanego ołowiu. Czyni to z tą samą obojętnością, z jakąby ktoś inny ścierał chodnik przed domem ze zwykłego błota. Składa to do kubłów i odnosi do pieców, gdzie złoto przetapiają na cegły, z których każda przedstawia wartość dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Nie gniewałbym się wcale, gdyby kto za mną taką złotą cegłą rzucił... Jeszcze jeden smutny fakt muszę nadmienić. Sześćdziesiąt procent akcyj tej kopalni należy do Hearsta, wydawcy kilkunastu dzienników, Polsce i Polakom bardzo nieprzychylnych. Oczywiście p. Hearst już teraz nie potrzebuje ani gazet, ani kopalni, ani złota... Od jakiegoś roku służy na pokarm robactwu! Tu mi jeszcze jedna nasuwa się myśl. Złoto, a nawet największa kopalnia złota nikogo od śmierci nie wybawi, a po śmierci — ostatni nędzarz i największy bogacz równo — „pachną". Roczna produkcja złota tej kopalni wynosi od sześciu do siedmiu miljonów dolarów. Dziwna rzecz — zawsze ma stały rynek zbytu, nigdy nie było „nadprodukcji".

Po zwiedzeniu kopalni wstępuję do sąsiedniego miasteczka Deadwood, zaledwo trzy mile od Lead odległego. Tu także są pokłady złota, chociaż od dłuższego czasu kopalnie zamknięto. Widać, że nawet i złoto się czasami nie opłaca.

Przed laty pięćdziesięciu było tu istne piekiełko. Pełno się tu gnieździło górników, prospektorów, szulerów, złodziei, bandytów i wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa. Życie ludzkie nie było warte funta kłaków. W salunach (naszych karczmach) bez strzelaniny się nie obyło. Kto prędzej sięgnął po rewolwer i tak od biodra dobrze strzelał, był panem. Tu się ludzie nie bawili w sekundantów, lekarzy, ambulanse, jak to czynią po dziś dzień przy pojedynkach w Europie. Tam przyjedzie

„towarzystwo“ pięknie ubrane na oznaczone miejsce, dają im do ręki dwa stare, zardzewiałe pistolety, solą nabite, z którychby nawet stodoły, na dziesięć kroków, nie trafił. Każą im stanąć na kilkadziesiąt kroków od siebie i... kichnąć, (obojętnie



Bear Mountain Bridge

z którego końca). Następuje pojednanie, śniadanie, a przytem uczciwa biba.

Na naszych „westach“ w takie ceregele się nie bawiono. Gdy jeden do drugiego miał ansę, gdziekolwiek go spotkał

walił z rewolweru, aż się kurzyło. Bez różańców i książek do nabożeństwa chodzili wszyscy, ale bez rewolweru nikt nie ukazywał się na ulicy, tem bardziej nie chodził do salunu. Po takim pojedynku zawsze kogoś wlekli — nie do szpitala, bo tego tam nie znano, — ale do stolarza, aby wziął miarę na trumnę i... „wio" na cmentarz!

Takie cmentarze znajdziecie w każdem zachodniem mieście, szczególnie, gdzie były kopalnie. Nazywali to „boot cemetery" — cmentarz butów — gdyż ci, co tam spoczywają, zwykle w butach i w pełnym rynsztunku jechali na tamten świat. Gdy te dwunożne bestje „co to niby na obraz i podobieństwo Boskie są stworzone" za bardzo się rozbrykały, tworzyły się t. zw. „vigilantes", komitety uczciwych obywateli i każdego bandytę, rewolwerowicza, koniokrada karano sądem doraźnym i wieszano na „suchej" gałęzi. Jednak co do jakości także nie robiono wielkich ceregeli. Gdy tak kilkunastu powieszono, reszta szukała zmiany klimatu i pejzażu. Bandytów i zawadjaków wieszano — na grobie stawiano deskę z nazwiskiem „nieboszczyka", z krótką notatką — „powieszony" — i datą egzekucji.

W Deadwood jest taki cmentarz i nazywa się „Mt. Moriah Cemetery". Zdaje się, że to nawet jakieś nazwisko z Pisma św. wzięte. W każdym razie, z ciekawości pakuje się pod dosyć stromą górę na kiepsko utrzymany cmentarz.

W Rzymie pokażą ci katakumby, w Medjolanie za dwie liry chciał mi jakiś jegomość pokazać zwłoki św. Karola Boromeusza, alem się na taką eksploatację świętego i to biskupa w dodatku, oburzył i nie poszedłem.

Tu zaś, jako wielką atrakcję, za darmo, możesz iść oglądać groby rewolwerowiczów i bandytów. Chciałem koniecznie odszukać grób słynnej baby, znanej na całym zachodzie jako „Calamity Jane". Znała wszystkie karczmy, znali ją karczmarze. Widocznie w prohibicję nie wierzyła. Były to czasy, kiedy w niejednem miasteczku daleko łatwiej było dostać kieliszek wódki, aniżeli szklankę wody. Zdaje się, że i o szóstem przykazaniu Boskiem także miała bardzo wykoszlawione pojęcie. Strzelała zato dobrze... i do zwierząt i... do ludzi. Dużo jej tam przypisano grzechów, ma się rozumieć, po jej śmierci, bo za życia się jej bano, jak ognia — zresztą jak wszystkich kobiet. Miała jednak złote

serce. Gdy przyszła czarna ospa i ludzie padali jak muchy, ona się chorymi zajmowała.

Nie mogłem znaleźć jej grobu. To już wina miasta, aby takiej „świętości“ dobrze nie naznaczyć i zmuszać człowieka do łażenia w takiej gorączce od jednego bandyty do drugiego — zupełnie napróżno.

Wild Bill Hickock, jeden z najszybszych ludzi do strzału, był w 32 pojedynkach i dopiero go ktoś z tyłu „spucował“, pochowany jest na tym cmentarzu. Nawet go z czerwonego piaskowca wyrzeźbiono, tylko kiepski pomnik, widocznie przez turystów jest porządnie obtłuczony, bo to także swego rodzaju „relikwja“.

Tu również pochowano protestanckiego ministra „Preacher Smith“. Tego przed sześćdziesięciu laty zamordowali Indjanie, w pobliżu miasta Deadwood. Także wystawiono mu pomnik z czerwonego piaskowca; kiepska robota i też mocno uszkodzony. Miał biedaczysko pecha. Biedny protestancki „pryczer“ męczennik, — leży razem z bandytami!...

Opuszczam cmentarz i zwykłe, spokojne miasteczko. Ruszam w dalszą drogę w kierunku północno-zachodnim, ku Spearfish. Zatrzymuję się na przekąskę w bardzo miłym parku miejskim, urządzonym z wszelkiemi wygodami dla turystów. Przy tej sposobności zwiedzam wzorowo prowadzoną wylęgarnię ryb, przeważnie pstrągów. Gdyby tak pozwolili zapuścić wędki, za kilka minut miałby człowiek tyle, ileby tylko mógł unieść; ale takiego pstrąga zaniosą gdzieś w karkołomne góry, wsadzą do rozszalałego strumyka, a ty bracie idź go szukaj!

Już niedaleko granica. Opuszczam gorącą Dakotę, a wjeżdżam do Wyoming'u.

---

Rozdział XIII.

## WYOMING.

O ile wiadomo, pierwszym białym człowiekiem, który zwiedził terytorjum, objęte stanem Wyoming, był traper francuski, Sieur de la Verendrye. Przybył tu ze synami, polując na bobry, w r. 1743. O żadnych innych białych eksploatorach nie mamy dokładnych wiadomości. Dopiero w roku 1804—1806 prezydent Jefferson wysłał w te strony ekspedycję pod wodzą kapitanów Lewis'a i Clarke'a, dla zbadania terenów położonych nad rzeką Missouri, aż do oceanu Spokojnego. Jeden z żołnierzy tej ekspedycji, o której później cośkolwiek więcej napiszę, nazywał się John Colter. Widać, że był to typ bardzo ciekawy i awanturniczy. Wracając od oceanu Spokojnego, poprosił dowódców, aby go ze służby zwolnili, gdyż chciał w tych stronach polować na drogie futra bobrów.

Ciekawe miał przygody. Dostał się w ręce okrutnych Blackfoot „Czarnostopych" — Indjan. Jego towarzysza zamordowali, a z nim chcieli sobie trochę poigrać. Rozebrali go do naga i zaproponowali wyścigi za cenę śmierci lub życia. Darł jak zając przez pole, a kolczaste kaktusy raniły mu stopy i ciało. Indjanie nie spodziewali się, że takiego mają przed sobą biegacza i niedziw — biedakowi rozchodziło się o życie. Wszystkich wyprzedził, a najbliższego Indjanina zamordował, poczem przepłynął rzekę i ukrył się w lesie. Za kilka dni nagi jak turecki święty, dostał się do osady białych. On jest pierwszym, który zwiedził okolicę objętą przez nasz największy Park Narodowy, Yellowstone. Gdy ludziom zaczął opowiadać o cudach natury, jakie tam na własne oczy oglądał, nie chcieli mu wierzyć i nazwali go skończonym łgarzem i kłamcą. Być może — trochę przesadzał.

Nazwa stanu w indjańskiem narzeczu oznacza wielką równinę. Jest to jeden z naszych większych stanów, gdyż obejmuje blisko dziewięćdziesiąt ośm tysięcy mil kwadratowych. Zato, co do ludności, siedzi na szarym końcu, bo według ostatniego spisu ma zaledwie dwieście dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców, w co wierzę, gdyż w tym ogromnym stanie rzadko widywałem osady ludzkie. Napotykałem małe miasteczka co kilkaset mil. Na miasta ponad pięć tysięcy mieszkańców nie natrafiłem w całej dwudniowej podróży.

Gdy przekroczyłem granicę, zauważyłem, że teren początkowo był ten sam, co w Dakocie. Wzdłuż drogi piękne wzgórza, pokryte zielonym lasem, przeważnie szpilkowym, chociaż niekiedy trafiają się małe dęby i inne drzewa liściaste. Powoli to niknie, zaledwo tu i ówdzie widzisz kilka drzewek w parowach i przy rzeczkach. Kraj przeistacza się w mocno falistą pustynię, porosłą siwo-zieloną bylicą „sage brush".

Na horyzoncie ukazuje się wśród dosyć obszernej doliny wysoka góra, podobna do jakiejś olbrzymiej brodawki; nie wiedzieć, z jakiego powodu tu wyskoczyła na kilka tysięcy stóp wysokości. Pierwsi podróżnicy nazwali ją „Djablą Wieżą". Widać, że djabeł miał wśród nich wielkie wzięcie, a może dlatego, że dotąd, zaledwo trzech ludzi wydostało się na jej równy jak stół wierzchołek. Jeden z tych to fachowiec, mający ogromną siłę w palcach, mógł się utrzymać na najmniejszym gzymsie. Takich nazywają u nas human fly „ludzka mucha". Drugim był podobno majster od rzucania powrozem, zwanym „lasso" i tak zapomocą tego powroza wdrapał się na wierzchołek. Trzeci — to już nie wiem, jak tam wlazł i poco. Boki tej okrągłej góry, z równo uciętym wierzchołkiem są bardzo strome i deszczami głęboko wyżłobione.

Jadę dosyć krętą, żwirem i szutrem sypaną drogą. Okolica lekko górzysta, porosła pustynnym krzewem. Zrzadka spotyka się bardzo biedne zabudowania pastuchów. Z powodu panujących posuch i z braku wody, ziemia, z natury bardzo urodzajna, przedstawia ogromną pustynię a właściwie bezludny step. Jednakowoż, zdala od drogi, w dolinach rzeczek, są olbrzymie stada bydła. Hodują rasę bardzo wytrzymałą na głód, zimno i wszelkie niewygody, zwaną — Herefords. Stada, jakie na drodze spotykam, wyglądają daleko lepiej od tych wychuchanych, wypieszczonych i na

specjałach wychowanych krów na gospodarstwach mlecznych w Minnesocie i Wisconsinie. Tam zastrzykują bydłu tuberculinę, a te dzikusy, co stodoły ani obory nie widziały, o tem nawet nie wiedzą. Tamtym rasowym trzeba co chwilę weterynarza, a gdy ma cielę przyjść na świat, z taką rasową krową trzeba jechać do szpitala. Jedyną opieką, jaką stepowy bydlak dostaje,



Djabla Wieża.

jest stempel rozpalonem żelazem na udo, by na całe życie pamiętał, kto jest jego panem. Jegomościów, co bydło lub konie kradli, zwanych „rustlers", zwykle wieszano na gałęzi, a nie — to kulą w łeb. Dlatego też taki znaczony wół łazi po stepie i nikt go nie zaczepi ani nie ukradnie. O innych grzechach i przestępstwach jeszcze zapomną, ale kradzieży bydła nie przebaczą.

Nad wieczorem dotarłem do typowo stepowego miasteczka. Parę sklepów, kilkanaście domów, restauracja. Dawniej było

jeszcze kilka „salunów“ czyli karczem, teraz ani tego niema. Więc też nowoczesny cowboy to bardzo spokojny, powiedziałbym nawet, wstydliwy chłopak. Gdyby do niego zagadała „panienka“ z Warszawy, albo co gorsza, mrugnęła, toby się biedaczysko ze wstydu spalił albo rozpłakał... Bardzo sympatyczni ci nasi amerykańscy cowboy'e (wymawia się kał-bo-je).

Od jedenastej zrobiłem ponad dwieście mil i zakwaterowałem się w małej wiosce Claremont. Rychło rano ruszam w dalszą podróż do Buffalo, położonego u stóp łańcucha gór Big Horn Mountains, które trzeba będzie przekroczyć.

Droga, którą teraz jadę na zachód, nazywa się „Custer Highway“. Stopniowe parcie białych na zachód napotykało w tych okolicach na zacięty opór ze strony Indjan. Zupełnie słusznie obstawali przy swojem. Te ziemie były ich własnością od wieków. Lasem pokryte góry dostarczały zwierzyny, a ryb górskie potoki i jeziora. Dlatego początki każdej osady i każdego stanu były pisane krwią ludzką. Ziemie objęte przez Dakoty, Wyoming i część Montany należały do plemienia Sioux, jednego z najliczniejszych na zachodzie. Jest tu przysłowie angielskie „The best Indian is a dead Indian“, — nieżywy Indjanin jest najlepszym Indjaninem“. Na ich „uspokojenie“, wysyłano ekspedycje karne, które z opornymi Indjanami „robiły porządek“ w ten sposób, że nieraz całe osady do nogi wycięto. Tu jednak się nie udało. Generał Custer, weteran wojny domowej, przeliczył się z siłami. Zbytnio lekceważył sprytnego i dzielnego antagonistę, jakim był wódz Indjan „Sitting Bull“ — Siedzący Byk. W południowej części Montany, w okolicy zwanej Little Big Horn stoczono bitwę między oddziałem wojska, a Indjanami z plemiona Sioux. Dnia 28-go czerwca, 1876 roku cała ekspedycja, licząca 260-ciu ludzi, została kompletnie zniesiona i w pień wycięta.

Chcę tu nadmienić, że czytałem o bardzo „dzikich“ plemionach Indjan, które miały swe obozy nad Sanem, w dawnej Galicji. Jeden ze szczepów miał za wodza „Czerwonego Byka“, ale to nie był żaden krewny „Siedzącego Byka“, który białym najeźdźcom dał porządne lanie. „Czerwony Byk“, niby ten galicyjski, a to tylko mimochodem wspominam, o tyle się wsławił, że do jego szczepu należał bardzo rozbrykany „Indjanin“ późniejszy zakopiański „gazda“. Mam tu na myśli nie

kogo innego, jak naszego kochanego, a powszechnie znanego pisarza, Kornela Makuszyńskiego. Jemu to wspomnienie o „Siedzącym Byku“ poświęcam i mocno żałuję, że nie miał dotąd sposobności zbratać się i zapoznać z prawdziwymi Indjanami. Ubraliby go w orle pióra i daliby mu może lepsze imię nad „Bobra Czujnego“.

Z dosyć skromnej kwatery, ruszam rychłym rankiem w dalszą podróż... Napotykam stada dzikich kur stepowych; trzeba było zwolnić, aby mogły spokojnie przejść przez drogę. Nieco dalej, przy małej rzeczce pastuchy smarują łby baranom, aby wyniszczyć bardzo dokuczliwe pasożyty, zwane „ticks“, które owcom wdzierają się pod skórę i powodują wrzody. Po godzinnej jeździe docieram do pierwszego większego miasteczka Buffalo.

Zjadam sute śniadanie, zaopatruję się w gazolinę i olej, gdyż przede mną sterczy olbrzymi pas górski, szczyty tu i ówdzie posypane śniegiem i spowite chmurami. Trzeba będzie to jakoś przekroczyć. Jest to mój pierwszy kontakt z górami. Mam trochę tremy, a jak studenci mówili — „fefrów“. Splunąwszy do garści, ująłem kierownicę, niby sochę, do ręki i zwróciłem samochód na długą, w górę serpentynami pnącą się drogę.

Zapewniono, ze droga jest bardzo dobra, trochę kręta... trochę stroma... trochę nierówna... ale pozatem w porządku. Było tej górskiej drogi, miejscami bardzo uroczej i pięknej, z najrozmaitszemi parowami, przepaściami, gęstemi lasami, esami i floresami, jakie sześćdziesiąt mil. Samochód zaopatrzony obficie w gazolinę i oliwę stale posuwał się naprzód. Gdy jednak wyszedł na wysokość jakich pięciu tysięcy stóp, zaczął tracić siłę i przypominał człowieka, któremu tchu zabrakło. Powinienem był zmienić kombinację cmoczka i dać mu więcej gazoliny, ale się jakoś wygramoliłem na szczyt przełęczy górskiej, zwanej „Muddy Pass“. Samochód jednak tak się „spocił“ tą uciążliwą drogą, że wypił pół kubła wody przy stacji gazolinowej.

Po krótkim wypoczynku, zacząłem się znów spuszczać na zachodnią stronę gór. Trzeba było uważać, gdyż jedno złe poruszenie kierownicą mogło całą wyprawę zakończyć katastrofą. W takich przejściach, gdzie z jednej strony masz ogromną ścianę góry, a z drugiej o parę stóp przepaść, najlepiej tylko patrzeć przed siebie, pilnować drogi, czytać tablice ostrzegawcze, które

jedno i to samo powiadają; „sharb curve, keep to the right, drive carefully", czyli — ostry skręt, trzymaj się prawej strony, jedź ostrożnie... Tego ostatniego już nie potrzebowali pisać! Każdy, dbający o swoją skórę, przez góry jedzie ostrożnie, tylko może nie zawsze po swej stronie drogi, szczególnie gdy mu wypadnie jechać nad przepaścią.

Dotarłem szczęśliwie ponad linję drzew. Naokoło sterczą potężne zimne, śniegiem posypane, gołe i strome granitowe szczyty „Wielko-Rogich Gór". Znów powoli, stopniowo, spuszczam się w ogromne doliny, pokryte zielonemi lasami. Wszystko lasy szpilkowe, drzewa średniego wzrostu, może przeciętnie od dwunastu do dwudziestu cali średnicy, a jakie sześćdziesiąt do osmdzięsiąt stóp wysokości. Proste, jak świece, tylko wierzchołki są otoczone niezbyt wielką koroną gałęzi. Nazywają to „Lodge pole pine". Takie drzewo nadaje się na słupy telegraficzne i na budowę „log houses" czyli domów stawianych z kłód okrągłych. Wszystkie niemal domy pionierów w ten sposób były budowane. Zimą ciepłe, latem chłodne, trwają setkę lat, jeżeli są na węgłach dobrze zacinane i wiązane.

Napotykam niekiedy małe stacje z gazoliną i potrzebami dla turysty. Domki z okrągłych kłód zbudowane wprost się proszą, abyś tu został kilka dni w tej odwiecznej zieleni i wypoczął w ciszy leśnej. Cóż za urocze letnisko! Ogromne lasy, rybne górskie potoki, jak kryształ czyste jeziorka — jednem słowem „natura" w swej uroczej szacie zieleni i... śniegu!

Mijam wszystko, bo mnie ciągnie, niby potężny magnes, najsłynniejszy, najstarszy i największy park narodowy — Yellowstone. Spuszczam się w dużą, ale w swych barwach czerwono-żółtych bardzo piękną, bazaltem wyłożoną kotlinę. Roztacza się przede mną ogromna przestrzeń złotawo-zielonych stepów. Gorączka zaczyna strasznie dokuczać. Pospieszam tembardziej, że znów mam przed sobą szeroką, a miejscami nawet, dosyć równą i prostą drogę. Pasmo gór Big Horn powoli stapia się z horyzontem. Po czterogodzinnej podróży przekroczyłem pierwszy pas górski i dotarłem szczęśliwie do miasteczka Worland. Zatrzymałem się tu na obiad i krótki wypoczynek.

— Ile mil do Yellowstone? — pytam zarządcy stacji gazolinowej.

— Sto pięćdziesiąt.

Zaopatrzyłem się w potrzebne paliwo, które tu coraz droższe, może dlatego, że w tej części Wyoming'u znajdują się bogate pokłady ropy. Przejeżdżam obok olbrzymich rafineryj, mimo to drą skórę z turysty. Wiedzą, że bez gazoliny nie ujedziesz ani kroku.

Za miasteczkiem napotykam liczne osady farmerskie, stada bydła, stogi siana, a nawet zboża. To wzystko dziwne robi wrażenie, gdy się pamięta o tem, że to okolica pustynna. Przy drodze i na polach widać rowy napełnione wodą. Cały teren w tak pięknym znajduje się rozkwicie dzięki sztucznej irrygacji, którą w zachodnich stanach stosuje się na bardzo szeroką skalę.

W Grey Bull widać studnie ropy, olbrzymie zbiorniki i pierwszorzędną rafinerję. Wyoming obok hodowli bydła i owiec, należy do wielkich producentów nafty. Duże pokłady znajdują się w okolicy miasteczka Casper. Prócz tego są tu kopalnie rozmaitych minerałów.

Miasteczko Cody jest pięćdziesiąt mil na wschód od wjazdu do Yellowstone. Zatrzymałem się chwilkę, aby zobaczyć małe muzeum pamiątek po słynnym skaucie, znanym na całym świecie jako „Buffalo Bill". Jego właściwe nazwisko było William Cody. Już jako chłopak służył wojskom za przewodnika czyli „skauta". Walczył często z Indjanami i niejednego czerwonoskórego wojownika wysłał na tamten świat. Zamordować Indjanina nie uważano wtenczas za przestępstwo.

Przez pewien czas był „listonoszem" na t. zw. „Pony Express". Trzeba pamiętać, że łączność z osadnikami w Kalifornji, którzy tam licznie napływali po roku 1849, gdy otkryto złoto, utrzymywano albo zapomocą okrętów, wzdłuż brzegów południowej Ameryki i przylądka Terra del Fuego, albo też szybką konną pocztą. Od San Francisco, do St. Louis rozstawiono te forpoczty. Co dwadzieścia mil budowano stajnie dla szybkich koni pocztowych z gotowymi jeźdźcami.

Sztafeta pocztowa czyli listonosz miał przez siodło przerzucone dwie torby skórzane z listami i pakunkami, karabin przez plecy, lub parę rewolwerów. Z takim bagażem pędził, co koń wyskoczy. Gdy słyszano tętent kopyt końskich, siodłano świeżego rumaka, w mig przerzucono torby z listami i nowy jeździec pędził dalej!... Jeżeli w oznaczonym czasie nie nadjechał, wysyłano ludzi na zwiady. Zwykle znajdowano go przy drodze ze strzałą w piersi, a listy porozrzucane i torby zniszczone. Niejeden

tak życie postradał. „Buffalo Bill“ był kilkakrotnie zaatakowany, tylko dzięki świetnemu strzelaniu i rączym koniom, zawsze cało z takiej opresji wychodził.




Typ powieściowy „Calamity Jane“.

Ażeby oszczędzić na wadze, listy i gazety drukowano na cieniutkiej bibule, a płacono za przesyłkę dwadzieścia pięć centów od uncji. W dziesięciu dniach, pędząc dniem i nocą, bez przestanku, dochodziła poczta z San Francisco do St. Louis, nad rzeką Mississippi. Stamtąd wysyłano ją pociągiem dalej na wschód.

W muzeum oglądam rozmaite ciekawe pamiątki po tym słynnym pionierze i skaucie. Jego bogate siodła, ślicznie rzeźbione, w złoto oprawne i sztucznie cyzelowane karabiny, skórzane kurtki, bogato paciorkami przez Indjan naszywane, fotografje, trofea, listy. Wiele ciekawych okazów jest porozkładanych w szklanych szafach. Wszystko przypomina jeszcze nie tak dawne czasy pionierów. W późniejszych latach, William Cody, alias Buffalo Bill, objeżdżał Amerykę i Eeuropę z własnym cyrkiem, w którym biali i Indjanie popisywali się sztuką jazdy konnej, strzelaniem z łuku i karabinów.

Buffalo Bill, z małą siwą bródką, na siwym koniu, ubrany w skórzaną jupę, bogato paciorkami wyszytą, w szerokim kapeluszu cowbojowskim, wyjeżdżał na boisko z karabinem. Na kilka kroków przed nim jechał chłopak i z dużego kosza rzucał w powietrze szklane kulki rozmiaru kuli bilardowej, a ten, z konia, jedną za drugą celnemi strzałami w powietrzu rozbijał.

Podziwiali wszyscy jego mistrzowstwo w strzelaniu. Nikomu jednak nie przyszło na myśl zbadać jego karabin „Winchester“. Przekonaliby się, że miał dużą lufę, i zamiast jednej kuli, naboje były naładowane śrótem. Sztuka wcale nie była tak trudna, jak się to widzom zdawało. Piszę o tem dlatego, że jakie dwadzieścia pięć lat temu, na własne oczy to widziałem. Niektórzy z mych przyjaciół w Polsce także się nim zachwycali.

Cody, liczy dwa tysiące pięćset mieszkańców. Zbudowane jest na płaskowzgórzu, pięć tysięcy stóp ponad poziomem morza. Tworzy poniekąd centrum bogatych obszarów sztucznie nawodnionych. W okolicy pasie się trzydzieści tysięcy sztuk bydła i sto dwadzieścia pięć tysięcy owiec. Przy torach kolejowych niezmordowanie pracuje rafinerja nafty. Cała okolica przy miasteczku zawiera bogate pokłady ropy. U wylotu głównej ulicy, w pobliżu muzeum stoi, bogaty pomnik tego pioniera, bohatera niezliczonych powieści o „dzikim zachodzie“. Przedstawiony jest na gwałtownie rzucającym się koniu, jako typowy — cowboy.

Teraz wjeżdżam w rejon przepięknych cudów natury!

Drogę z Cody do Yellowstone parku, zaledwo pięćdziesiąt mil długą, słusznie reklamują jako „najbardziej malownicze pięćdziesiąt mil na kulu ziemskiej“.

Tuż za miasteczkiem, nieprzyjemna woń siarki draźni nozdrza! Zbliżam się do źródeł siarczanych i rzeczki ochrzconej przez

osadników jako „Stink River“ — śmierdząca rzeka. Za miasteczkiem, z pewną obawą, patrzę na piętrzącą się ścianę Gór Skalistych. W tej skalnej, ogromem imponującej twierdzy, widać wąską szczerbę — to Shoshone Canyon. Dołem płynie rzeka o indjańskiej nazwie. Co tylko skończono w skale wykutą wąską drogę, miejscami prowadzą ją tunelami, wzdłuż rwiącej wody. Ogromne ściany granitu wznoszą się niemal pionowo na tysiąc i więcej stóp w górę. Ciemne strefy, na jakie czterdzieści pięć stopni pochyłości stwierdzają, że to kiedyś nadzwyczajna siła, skurczając skorupę ziemską, w górę wyrzuciła masy odwiecznej skały bazaltu, granitu, wapienia. W tej górskiej cieśninie, przez którą rzeka z trudnością drogę sobie żłobi, rząd zbudował tamę — Shoshone Dam.

Chociaż z zasady nie lubię podawać dokładnych cyfr, gdyż to nie bardzo turystę i czytelnika interesuje, lecz mając dane statystyczne pod ręką, podzielę się niemi. Tama z betonu i stali zbudowana, między dwiema skalnemi ścianami, jest 328 stóp wysoka. U spodu jest 108 stóp szeroka, a u samego wierzchu ma zaledwo dziesięć stóp. Jezioro, utworzone przez tamę, jest dziesięć mil długie, a przy tamie 233 stóp głębokie. Budowa trwała pięć lat, a koszta wynosiły miljon trzysta pięćdziesiąt cztery tysiące. Tama służy do wytwarzania siły elektrycznej i do irygacji obszaru, obejmującego trzysta tysięcy akrów. Wartość zboża, siana i innych produktów, dzięki irygacji i tamie, w pięciu latach wynosiła przeszło ośmnaście miljonów.

Co chwila napotyka się tu ciekawe formacje skał, obeliski, kominy, niemal całe „miasta, lub ich ruiny skalne“. Wjeżdżam do ogromnej rezerwy leśnej, Shoshone National Forest, wzdłuż rzeki Shoshone się ciągnącej. Zatrzymałem się na noc w prymitywnych kabinach, w głębokim lesie, gdzie wygórowanemi cenami skórę z turysty zdzierają. Jestem zaledwie cztery mile od jednej z głównych bram do parku Yellowstone.

Zanim jednakowoż przekroczę piękną, poniekąd symboliczną bramę i zapłacę trzy dolary wstępu, wypada chociaż w krótkości opisać nasze „parki Narodowe“, jak one powstały, na czem polegają, do jakich celów służą i w jaki sposób są przez rząd federalny utrzymywane.

---

Rozdział XIV.

## PARKI NARODOWE.

„National Park" — Park Narodowy, różni się zasadniczo od zwykłych, starannie utrzymanych, fontannami i statuami zdobnych parków miejskich. Parki narodowe stanowią częstokroć ogromne połacie ziemi, przez kongres Stanów Zjednoczonych oddane do „użytku i przyjemności ludzi". Tylko tereny o nadzwyczajnej naturalnej piękności, posiadające jakieś niezwykłe fenomena natury, mogą być objęte klasyfikacją — parków narodowych. Są to więc obszary upiększone przez naturę, a nie przez ludzi.

Obecnie mamy dwadzieścia trzy parki narodowe, rozrzucone po całym kraju, a nawet dwa z nich t. j. Hawaii Park i Mount Mc Kinley National Park są poza obrębem Stanów Zjednoczonych.

Park Hawajski obejmuje czynny wulkan Kilauea, na wyspach Hawajskich, a góra Mc Kinley, siedemnaście tysięcy stóp wysoka, odwiecznemi lodami pokryta, jest w Alasce. W ostatnich latach, uchwałą kongresu, bagniste tereny południowej Florydy, obfitujące w tropikalną roślinność, ptactwo i zwierzynę, zaliczono do parków narodowych, pod nazwą „Everglades National Park". Każdy z parków ma jakąś, sobie właściwą zaletę. Jeden wspaniałe góry i przecudne jeziora, inny największe w świecie gejzery, źródła wyrzucające gorącą wodę w górę na setki stóp; ten znów park cudnemi wodospadami i uroczemi dolinami wabi oko turysty, gdzieindziej w zapadłym kraterze wulkanu, spotykasz czarującej barwy jezioro. Tak od jednego do drugiego jedziesz i podziwiasz wszędzie nadzwyczajne dzieła wszechmocnej ręki Stwórcy. Zarząd nad temi terenami, obejmującemi dwanaście tysięcy mil kwadratowych, podlega ministerstwu spraw wewnętrznych, „National Park Service" i ma kwaterę w Waszyngtonie.

Prócz parków mamy jeszcze „lasy państwowe“ — National Forests — i pomniki narodowe“ — National Monuments.

Lasy państwowe obejmują w poszczególnych stanach olbrzymie tereny leśne, należące do rządu. Państwo prowadzi tu własną gospodarkę leśną. Pozwala przedsiębiorcom, za odpowiednią opłatę, trzebić lasy, z tem jednak zastrzeżeniem, aby młode drzewka ochraniano i broniono przed pożarem, gdyż mają służyć następnym pokoleniom. W lasach państowych można paść bydło, zakładać osady, polować.

„National Monuments“ czyli pomniki narodowe są to właściwie przedhistoryczne lub historyczne budynki, wyjątkowe twory natury lub zabytki historyczno-naukowe. Mogą to być pieczary, góry, źródła, pola bitew, historyczne budynki, drzewa i t. d. Ochrona tych pamiątek spoczywa w ręku prezydenta. Tereny na parki narodowe przeznacza kongres.

W parkach narodowych każdy szczegół zostaje pod ścisłą kontrolą i opieką rządu. Niedźwiedziowi w Yellowstone, jest daleko lepiej, aniżeli Indjanowi, do którego te obszary kiedyś należały. We wszystkich parkach narodowych zwierzęta i ptactwo mają absolutną opiekę. Nie wolno na nie polować, odstrzał jest tylko stosowany do szkodników i niebezpiecznych okazów. Ciężko tu wytrzymać dwunożnemu „dzikusowi“, który nie może bezkarnie zastrzelić obłaskawionego bażanta czy sarny, jelenia czy niedźwiedzia. Wie on, że za takie przestępstwo czeka go surowa kara więzienna. Nie wolno tu ci drzewa ściąć, chyba że suche, nie wolno niszczyć lub niczego znaczyć. Wszystko ma być tak, jak było od wieków.

W dogodnych miejscach rząd zbudował lub udzielił koncesji na budowę hoteli, domów, sklepów, restauracyj i składów, dla wygody turystów. Możesz z sobą przywieźć namiot i tu „kempować“ — obozować — jak ci się długo podoba. Masz składy z artykułami spożywczemi, masz domki z oświetleniem i wodą, gdzie mieszkasz jak u Pana Boga za piecem. Jeżeli kieszeń pozwoli, używasz wywczasów w wykwintnych, wygodnych hotelach oryginalnie zbudowanych z ogromnych drzew lub nieheblowanych desek. Obsługą hotelową są przeważnie studenci w czasie wakacyjnym. Do stołu podają kelnerzy lub kelnerki w skandynawskich albo japońskich kostjumach. Możesz z apetytem zjadać

najwykwintniejsze smakołyki, patrząc na odwieczne lodowce lub tryskające gejzery.

Do najpiękniejszych widoków, niedostępnych samochodem, zbudowano ścieżki, mostki i schody, któremi ciekawsi mogą się łatwo dostać i te cuda natury zbliska studjować i do woli podziwiać. Drogi są pierwszorzędne, asfaltowe, szerokie, równe, a na skrętach zabezpieczone murem lub grubą poręczą.

Przy wodospadach, lub przed ciekawszemi panoramami, zbudowano obszerne zajazdy dla samochodów i przystanki, gdzie zostawiasz auto i zbliska lub ze specjalnie ku temu zbudowanej „platformy" oglądasz ten lub ów cud natury. We wielu miejscach omurowano źródła z wodą do picia, jak również sanitarnie urządzono ustępy dla turystów. Każdy szczegół jest bardzo czysto i wzorowo utrzymany. Nie wolno tu poprostu chodzić „z wiechciem za chałupę". Przepisy i przez rząd wydane podręczniki, zwracają turyście szczególniejszą uwagę na ten punkt.

We wszystkich parkach masz do dyspozycji wykwalifikowanych prelegentów i przewodników, którzy wieczorami, przy ogniu obozowym, ze smolnych szczap rozpalonym, urządzają odczyty z wyświetlanemi przeźroczami, śpiewami, w których wszyscy biorą udział. Jednego wieczoru opisują życie dzikich zwierząt i ptaków z tego parku, na drugi wieczór będzie ciekawa, ilustrowana prelekcja z geologji, w jaki sposób góry i dziwne formacje powstały; to znów wykładają ci historję parku i podają życiorysy ludzi, którzy je odkryli lub oddali do użytku publiczności. Jeżeli chcesz, możesz rankiem lub po południu w oznaczonej godzinie, towarzyszyć naturoznawczej wycieczce. Fachowiec wskaże ci rozmaite gatunki kwiatów, ptaków, krzewów, zwierząt i drzew rosnących w danym parku.

Co tu za cudne nieraz napotykasz okazy flory, tuż przy zaspie śnieżnej kwitnące. Jeżeli posiadasz aparat fotograficzny, każdy park narodowy jest rajem dla fotografa. Dla twej wygody masz kompletnie zaopatrzone składy z przyborami fotograficznemi, tu ci twoje zdjęcia wywołają i w dwudziestu czterech godzinach zrobią tyle odbitek, ile sobie życzysz; możesz nawet wydzierżawić aparat, jeżeliś swego nie zabrał. Mógłbyś w takim parku siedzieć całemi tygodniami, robić wycieczki pieszo lub konno do rozmaitych zakątków i dużo ciekawych szczegółów zaobserwować. Tam, gdzie są rzeki i jeziora, rząd zapuścił kilka

gatunków ryb, przeważnie pstrągów. Wolno ci schwycić tylko pięć ryb dziennie. Co tu za rybołóstwo! — Istny raj dla rybaków...

Jak już zaznaczyłem, zwierzęta i ptactwo, we wszystkich parkach narodowych są pod opieką rządu. Nie wolno ci na nie polować. Nie usłyszysz strzału. Jeżeli zaś trzeba uprzątnąć złośliwego niedźwiedzia, lub innego drapieżnego szkodnika, czynią to żołnierze lub urzędnicy parkowi i to zwykle tak, aby ani ludzie, ani zwierzęta o tem nie wiedziały. Nie wolno użyć ani mięsa, ani futra z takiego zwierzęcia. Wszystko musi być spalone i zakopane. Dlatego też nasze parki obfitują w zwierzynę. Niedźwiedzie, jak psy, łażą od chaty do chaty, od kubła do kubła, szukając żeru: W dalszych zakątkach napotkasz stada saren, jeleni, łosi i bawołów — bizonów. Dzikich kaczek, gołębi, łabędzi, pelikanów znajdziesz stada całe.

Wkrótce się przekonasz, że takie zwierzę, na które wielcy panowie i arystokraci polują, jest daleko uczciwsze, porządniejsze, delikatniejsze w obejściu, zgodniejsze w pożyciu domowem od dwunożnego barbarzyńcy. Wyobrażam sobie, europejskich dżentelmanów z dużemi brzuchami, bigosem wypchanemi, z butelką wódki w kieszeni, z fajką lub cygarem w zębach, siedzących na wygodnych stołkach, w futro odzianych i... czekających z dubeltówką, aż im pod nos napędzą jakiegoś biedaka, któremu życie także miłe. Ten egzekutor wali go „w komorę". To się nazywa „sport". Niech djabli wezmą takie polowanie i takich sportowców... To już wolę zwykłego kłusownika. Ale znów się zagalopowałem...

Chociaż podczas tury zwiedzę kilka z najpiękniejszych parków, jednakowoż nie od rzeczy będzie, jeżeli je tu przynajmniej wymienię i w paru słowach opiszę najważniejsze atrakcje. O ile wiem, żaden naród nie posiada takich cudów natury, jakie posiada Ameryka.

Yellowstone, najstarszy z naszych parków, słynie na cały świat z licznych gejzerów, wodospadów i przecudnej kotliny czyli „kanjonu" rzeki Yellowstone. Glacier Park, to dziedzina lodowców, potężnych gór i wspaniałych jezior. Mount Ranier, zwany po indjańsku Takoma, obejmuje wygasły wulkan pokryty wiecznemi śniegami, rzekami lodu, przytem uwieńczony jest kwiatami. Crater Lake — to nasze „Morskie Oko", ale co za „oko"!? Wobec niego bledną najpiękniejsze ametysty i szmaragdy. To

wulkan zalany przecudnem jeziorem, sześć mil średnicy, a dwa tysiące stóp głębokości.

Jeżeli już gdzie ma być koniec świata, to chyba nie na „dolinie Jozafata" ale w Yosemite, może najbardziej uroczej dolinie na kuli ziemskiej. Wchodzisz do niej bramą utworzoną z olbrzymich skał, trzy tysiące stóp wysokich. Widzisz tu wodospady na tysiące stóp wysokie, odwieczne sosny, przecudne lasy... Sequoia National Park zawiera największe i najstarsze drzewa na świecie. Niektóre były olbrzymami, gdy Chrystus nad jeziorem Genezaret naukę swą głosił. Mamy park tylko dla jednego drzewa — General Grant, ale co to za drzewo? Ponad trzydzieści stóp średnicy i przeszło czterdzieści wieków dźwiga na swych barkach ta najstarsza, żyjąca istota na kuli ziemskiej.

W Colorado zaprasza cię Rocky Mountain National Park; obejmuje przecudne panoramy górskie. Mesa Verde pociąga domami, zbudowanemi w niedostępnych skałach przez ludzi, o których życiu i kulturze wszelkie ślady zaginęły.

Mount Mc Kinley, w Alasce jest naszą najwyższą górą, na której stokach pasą się ogromne stada łosi i saren czy kóz, zwanych „caribou". W Hawaii posiadamy wulkany ziejące lawą z kraterami, wobec których, stary, zdziadziały i przez turystów opluty Wezuwjusz jest — zabawką.

Grand Canion w Aryzonie, znany całemu światu, tworzą olbrzymie wyrwy, wyżłobione przez rzekę Colorado. Wrażenia i kolorów, jakie się widzi patrząc na ten imponujący „bas relief", nikt jeszcze nie potrafił ani opisać, ani odmalować. To jeden z wielkich cudów świata.

Widziałem Arcadia National Park, w Maine, nad oceanem Atlantyckim, lecz nic tam nadzwyczajnego nie zauważyłem, prócz skalnych brzegów oceanu. Lassen Volcanic Park obejmuje jedyny dziś czynny wulkan w Stanach Zjednoczonych. Kilka lat temu cośkolwiek pracował, ale z powodu panującej depresji „zastrajkował" i tylko „trochę dymi".

Hot Springs National Park zawiera 46 gorących źródeł, posiadających lecznicze własności. Tam brak tylko pilznera, a mielibyśmy „Karolowe Vary".

Zion National Park, w stanie Utah, przedstawia cudnej formacji wyrwy skalne, dziwnego koloru. Bryces Canion przypomina kolosalny amfiteatr, zapełniony dziwnie rzeźbionemi wie-

żami, ołtarzami, figurami; wszystko wyżłobiła woda. Carlsbad Caverns są to olbrzymie pieczary, jeszcze niecałkowicie zbadane. Zawierają cudne stalagmity i stalaktyty, nadto dziwne wapienne formacje. Potrzeba było miljonów lat na ich utworzenie. Grand Teton — to pasmo gór na południe od Yellowstone, nad cudnem jeziorem położone; dzikim majestatem imponujące robi wrażenie.

Wind Cave National Park jest w Południowej Dakocie, w Czarnych Górach. Platt National Park w Oklahoma i Sullys National Park w Północnej Dakocie, zaliczamy do mniejszych atrakcyj. Ostatnio uznał kongres na park nowoczesny Everglades Park we Florydzie. Tam mamy znów bogate okazy tropikalnej roślinności, ptactwa i zwierząt.

Z tego można wnioskować, jak wielkie bogactwo narodowi zostawiła natura. Nie posiadamy wielu historycznych zabytków, gdyż jestećmy krajem stosunkowo młodym. Nie możemy się chełpić średniowiecznemi miastami otoczonemi murem, nadreńskiemi zamkami, stolicami rycerzy-bandytów. Mamy zato coraz liczniejsze pielgrzymki, nie tylko naszych obywateli-turystów, ale ludzi z poza oceanu, którzy zwiedzają i zachwycają się, całkiem słusznie, naszemi narodowemi parkami. Według statystyki rządowej w r. 1916 zaledwo 356.097 osób zwiedziło nasze parki narodowe. W roku 1930, liczba ich wzrosła do 2,774.561, a oprócz tego 472.196 osób zwiedziło nasze „pomniki“ narodowe.

Do zwiedzania parków przyczyniła się wielce propaganda rządowa. Łatwy dostęp, zapomocą dogodnych dróg samochodowych i wszelkie nowoczesne urządzenia dla turystów zrobiły swoje. Dla nauczycielstwa i młodzieży, a szczególnie dzieci szkolnych, zwiedzenie chociażby tylko jednego z większych parków ma bardzo doniosłe znaczenie. Małe wstępne opłaty, od dolara do trzech, finansowa pomoc z kasy państwowej utrzymują i upiększają te parki.

---

Rozdział XV.

## YELLOWSTONE PARK.

Najstarszym i największym parkiem narodowym, oddanym „for the benefit and enjoyment of the people" jest Yellowstone.

W marcu, 1872 roku, kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczył północno-zachodni kąt stanu Wyoming na park narodowy. Ten skrawek ziemi początkowo był sześćdziesiąt dwie mile długi, a pięćdziesiąt cztery szeroki. W roku 1929 obszar znacznie powiększono. Teraz obejmuje 3,426 mil kwadratowych.

Jest to wulkaniczna wyżyna, od siedmiu do ośmiu tysięcy stóp ponad poziom morza. Otoczona ze wszech stron górami, których szczyty wznoszą się jeszcze od dwu do czterech tysięcy stóp ponad jej poziom.

Cała okolica jest tworem wulkanicznym. Gorące źródła, w górę tryskające gejzery, bulgocące wulkaniki, błotne i siarczane wodotryski świadczą, że działanie wulkaniczne jeszcze nie ustało. Czynnych wulkanów w tej okolicy już niema, ale napewno były; lawą i popiołem pokryły szeroko i głęboko całą okolicę, tworząc tufy wulkaniczne.

W pewnych zakątkach parku odkryto około dwanaście stretorów popiołem wulkanicznym zasypanych i zupełnie skamieniałych. Uczeni twierdzą, że po tych strasznych perjodycznych wybuchach następował zawsze długi okres wypoczynku. Wtenczas wulkaniczne popioły pokrywały się lasami i to zupełnie innemi gatunkami drzew, aniżeli te, co tam rosną obecnie. Potem znów następowały wybuchy lawy i popiołu, grubą warstwą przykrywając rosnące lasy. Takich warstw odkryto kilkanaście. Ile ten proces obejmuje tysiący czy miljonów lat, nikt napewno powiedzieć nie może.

Ze wszystkich parków Yellowstone jest najciekawszy. Zdawałoby się, że ten Wszechmocny Alchemik, co tylko opuścił swą pracownię, chwilowo odwołany, na jakąś inną odległą gwiazdę.

Tu widzisz ogromny zbiornik wody — Yellowstone Lake, otoczony górami, pokrywający obszarem sto ośmnaście mil kwadratowych. Zasilają go liczne źródła, strumyki górskie, topniejące śniegi i lody. W tem jeziorze ma swój początek jeden z wielkich dopływów rzeki Missouri, noszący miano jeziora i parku — rzeka Yellowstone.



**W Yellowstonie Parku na tych kłodach wieczorem siedzą turyści podczas odczytów.**

Już od samego źródła jest to dosyć duża i wartka rzeka, jakie sześćdziesiąt stóp szeroka, a dziesięć lub dwanaście stóp głęboka. Całe jezioro i rzeka roją się od ryb, przeważnie pstrągów, Salmo shasta (Rainbow trout), Salmo levisi (Cutthroat trout — czerwone podgardle i skrzele), Salmo levenensis (Loch Leven Trout — zdaje się ze Szkocji), Salmo fario (pstrąg europejski). Tuż przy ujściu jest most, z którego można oglądać żarłoczne i wybredne pstrągi, a na moście całe rzędy zagorzałych rybaków z wędkami. Chociaż w tej dzielnicy zatrzymałem się

kilka dni dla wypoczynku, nie zarzuciłem wędki, gdyż inni chętnie mi ryb dostarczyli.

Jadąc okrężną drogą „Circle Route“ w formie ogromnej ósemki, sto ośmdziesiąt mil długiej, napotykasz przeróżne, wprost cudowne zjawiska. Wzdłuż rzeki Yellowstone, na łąkach widzisz najrozmaitsze dzikie zwierzęta, a na brzegach rzeki — stada pelikanów, dzikich kaczek, mew, łabędzi i innego wodnego ptactwa; jest tu ponad 200 gatunków fauny ptasiej. Jadąc podziwiasz ptactwo wodne, pływające po rzece, tam znów bawi oko zieleń łąki, na której pasą się sarny. Naraz siarczany swąd zaczyna ci w nosie wiercić. Patrzysz, a tu na małym pagórku, pokrytym jakoby wapnem pobielonemi drzewkami, unosi się para, niby z wrzącego kotła. Zatrzymujesz samochód i idziesz oglądać te dziwy.

Jesteś w rejonie gotujących się błot. Jedne warzą się i bulgocą gwałtownie, niby na szybkim ogniu zastawione garnki inne zaś bardzo powoli, zaledwo raz kiedyś siarczanym gazem zakipią. Opodal znów zaciekawia syczący gazem i bulgocący błotem wulkanik. Szarpie się, syczy, harczy, warczy, niby pies, na uwięzi, który chciałby cię pokąsać, tylko nie ma dosyć siły, aby pęta zerwać i błotem, jak war gorącem, cię oblać. Kilkanaście kroków dalej natrafisz na błotnisty i mocno syczący „kacerek“. Myślisz, że onby cię żywcem ugotował. Tymczasem to tylko błoto ciepłe — ale syk i bulgot powodują gazy, które się wydobywają z tej, siarką cuchnącej czeluści. Na innem miejscu zobaczysz t. zw. „paint pots“. Są to ciepłe błota rozmaitych kolorów. Może Stwórca w tem miejscu przygotowuje farby, któremi tak cudownie pomalował skały, ostre szczyty, piaski i popioły wulkaniczne niezrównanego na całym świecie — kanjonu rzeki Yellowstone.

Trudno ci się oderwać od tych błot i siarczanych źródeł, z których każde na inny model zbudowane: syczy, huczy, bulgoce bez przestanku, niby jakaś kotłownia olbrzymia, cudowna, mistyczna, w której nigdy ogni nie gaszą...

Wsiadam do samochodu i jadę trzynaście mil dalej do „wyższego“ wodospadu rzeki Yellowstone.

Stwórca hojną ręką swe piękności tu rozrzucił, gdyż dał aż kilka wspaniałych wodospadów. „Wyższy“ umieszczony wśród odwiecznej zieleni szpilkowych lasów, jest 109 stóp wysoki.

Zbudowano tu schody i przystanki, oraz zabezpieczono wszystko barjerami, abyś przypadkiem nie wpadł do wody. Cudny to widok — patrzeć na rwącą rzekę, gdy po kamieniach skacze, szumi, pieni się i rzuca z hukiem w przepaść, wznosi się nad wodospadem śnieżna biel, w której załamują się wszyskie kolory tęczy. Patrzysz i wsłuchujesz się w ten rytmiczny, potężny, a jednak dziwnie przyjemny huk spadającej wody...

Każdy turysta wyjmuje aparat fotograficzny i „strzela“ we wszystkie boki i strony, chcąc ze sobą zabrać ten widok wspaniały. Można pięknym mostem Chittenden Bridge, rzuconym symetrycznym łukiem przez rzekę, przejść na tamtą stronę i z innego kąta podziwiać szumiący wodospad. Tuż obok jest hotel i rozmaite zabudowania, służące dla wygody oraz przyjemności turysty. Niejeden tu rozbija swoje namioty i koczuje tygodniami całemi, wypoczywając po uciążliwej pracy w jakiemś odległem mieście.

Ale tu nie koniec tych cudów natury! Ruszam znów w dalszą drogę wzdłuż rzeki. Nie jadę jednak daleko. Tablica oznajmia, że tu jest „niższy“ czyli „lower falls“. Jest on niższy w stosunku do tamtego, ale w rzeczywistości jest niemal trzy razy tak wysoki, gdyż spad wody wynosi 308 stóp. Tu dopiero oczy wybałuszysz i wpatrujesz się w ten cudny, ogromną wstęgą w przepaść rzucający się, strumień wody.

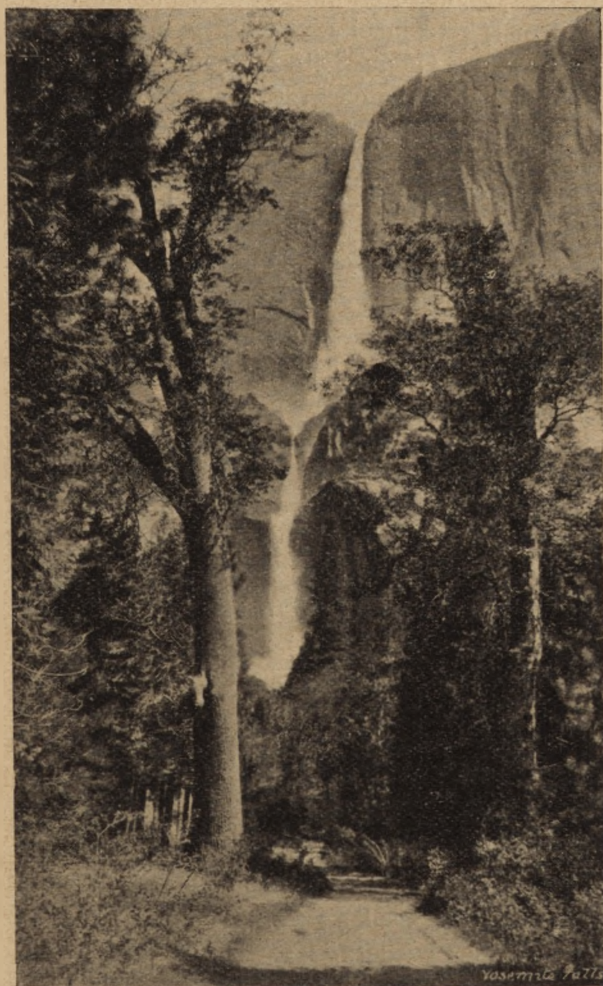
Nigdzie chyba na kuli ziemskiej niemasz wodospadu umieszczonego w tak uroczem położeniu, w jakiem jest „Lower Falls.

Od tego wodospadu dopiero rozpoczyna się „kanjon“, tak malowniczy, o jakim ludzie, co tu nie byli i tego na własne oczy nie widzieli, nie mają pojęcia. To przechodzi wszelki opis. Najsłynniejsi malarze przychodzą, miesiącami całemi siedzą i malują, a właściwie w słaby ludzki sposób naśladują to, co natura i Stwórca tak pięknie ubarwił i przystroił.

Rzeka w tem miejscu wyrwała duży parów, przeszło tysiąc stóp głąboki, a u szczytu pół mili szeroki. Ten głęboki wąwóz ciągnie się jakie dwadzieścia mil, ale tylko pierwsze trzy mile posiadają te wspaniałe barwy i kolory. Uczeni twierdzą, że przed wiekami, wzdłuż tego kanjonu, były gorące, mineralne źródła. Gazy i para z tych źródeł przeciskając się z głębi, rozłożyła

wulkaniczny „rhyolit“ i lawę, nadając jej te wprost bajeczne kolory. Widzisz tu wszystkie barwy tęczy.

Wśród tych wulkanicznych, na kamień stwardłych popio-




Yosemete.

łów, wystają cyple lawy i skały, tworząc baszty i wieże. To wszystko gra harmonijną, czarującą, delikatną, miękką, a serce ujmującą grą kolorów... Widzisz cyple ciemno-ametystowe, ciemno-czerwone, pomarańczowe, stopniowo wpadające w lekko-

żółte. Od najczerwieńszych barw następuje tonacja do najdelikatniejszych lekkich, różowych kolorów. Trzebaby tu Żeromskiego, aby to opisał, a Matejki, Wyczółkowskiego, Stanisławskiego aby te przecudne barwy oddali na płótnie.

Widziałem rok temu olbrzymi obraz tej kotliny, specjalnie dla rządu malowany. Gdym patrzał na to arcydzieło wybitnego artysty w jednym z gmachów rządowych w Waszyngtonie, nie chciałem wierzyć, żeby coś podobnego było na świecie. Ale gdym to wszystko na własne oczy widział, przyszedłem do przekonania, że artysta zaledwo w małej części oddał to bogactwo tonów, od ciemno-niebieskich do jasnych, od czerwonych do blado-różowych, od czarnych i ciemno-ametystowych do białych, od pomarańczowo-czerwonych do jakichś cytrynowo-żółtych. Tony ciemno-różowe i blado-żółte przeważają. Takiego bogactwa kolorów nigdziem nie widział. To tęcza rozsypana po piaskach, skałach, złomach i wulkanicznych popiołach.

Jak to wszystko powstało?!

Przed kilku laty przybył tu z poręki rządu polskiego prof. Władysław Szafer. Po powrocie do Polski napisał bardzo ciekawą i bogato ilustrowaną książkę p. t. „Yellowstone — kraj gorących źródeł i niedźwiedzi". Polecam tę książeczkę tym, którzy chcą się bliżej zapoznać z naszym najsłynniejszym i najstarszym parkiem narodowym.

Otóż o powstaniu tego uroczego i nad wyraz malowniczego kanjonu p. Szafer tak pisze:

„Czynnikiem, który z krajobrazu wytworzonego w trzeciorzędzie głównie siłami wulkanicznemi wyrzeźbił wspaniałe, różnorodne, nieraz wprost nieprawdopodobne i groteskowe formy dzisiejszej powierzchni Yellowstone, była woda. Ona to działając przez wiele tysięcy lat bez przerwy lub z stosunkowo nieznaczną tylko przerwą w czasie nasilenia epoki lodowej, zniszczyła erozją stożki wulkaniczne, wdzierając się zaś wgłąb podnoszącej się płyty wyżynnej, wydrążyła jeden z najwspanialszych kanjonów świata. Napotykając w swej pracy na skały różnej odporności, niszczyła słabe, a wydobywała na powierzchnię silne i na działanie wody odporne. Tam, gdzie jej czynności przeciwstawiały się warstwy szczególnie odporne, zeskakiwała z nich wodospadami i atakowała je od dołu erozją wsteczną. Gdzie leżały czapy ochronne lawy lub inne skały-pancerze, na wyżynie, tam

kołując i kręcąc się jak wąż szukała w ciele skalnem punktów słabszych i wdzierając się w nie, rozbijała płytę na kawałki. Tylko na linji działu wodnego, gdzie woda płynąca siły nie miała, nie znać skutków jej działania.

„Wiernymi sprzymierzeńcami wody-rzeźbiarki w jej pracy modelowania krajobrazu Yellowstone były: ciepło słońca, wnikające w ciało skał co dnia, a uciekające z niego przez promieniowanie co nocy, wiatr, wiejący gorącym oddechem od strony sąsiednich pustyń i stepów lub niosący igiełki lodu, była wreszcie szata roślinna, która, choć zmieniała się tu kilkakrotnie, w zależności od klimatu, to pomijając obszary leżące w dyluwjum pod lodem, nigdy przecie od trzeciorzędu nie opuszczała zajętego raz przez siebie terenu. Harmonijnemu współdziałaniu w jednem, przeciwdziałaniu w drugiem miejscu, lub pracy jednego tylko z tych czynników na własną rękę zawdzięcza teren Yellowstone bogactwo swoich form morfologicznych, któremi oczarowuje dzisiaj podróżnika“.

W rozpaczy chwyciłem jeden i drugi aparat fotograficzny i walę z nich w prawo i w lewo, w górę i wdół, niby karabinami maszynowemi. Niestety, najlepsza klisza i aparat ani tysięcznej części tego uroku nie oddadzą! Chciałbym to wszystko „wziąć“, sfotografować i czytelnikom, w kolorach podać, mówiąc: — Patrzcie! co tu za cuda, co tu za piękności posiał Bóg swą szczodrą ręką w tych dzikich lasach, górach i jarach. Gdyby to św. Paweł widział, byłoby mu łatwiej niebo opisać! Powiedziałby krótko i węzłowato: — „Niebo, na które patrzałem, podobne było do Grand Kanjonu rzeki Yellowstone”, tylko może trochę piękniejsze.

Dla wygody turystów i widzów wszędzie zbudowano schody i platformy, aby można podziwiać te piękności z rozmaitych stron. Idąc nadół, zauważyłem, że na każdym skręcie schodów, a było ich w tem miejscu 493, zbudowano małe platformy, z wygodnemi ławeczkami. Nie wiedziałem dlaczego tyle ławek? Leciałem nadół, obładowany kamerami i wszelkiemi przyborami fotograficznemi, niby żołnierz do ataku w pełnym rynsztunku bojowym. Chciałem jak najprędzej tam się dostać i to wszystko fotografować. Gdym po półgodzinnym zachwycie wracał schodami do góry, przekonałem się, że te twarde drewniane ławki były bardzo potrzebne. Z tego wszystkiego podniecenia i gorączki,

serce zaczęło chlabotać „wie eine alte Wanduhr” — niby stary zegar ścienny, jak mówią Niemcy.

Na ćwierć mili od mego punktu obserwacyjnego, na samym szczycie skały, podobnej do jakiejś zamkowej baszty, zauważyłem ogromne gniazdo orła. Zapomocą lornetki — Zeissa — długo przypatrywałem się szarej orlicy, siedzącej na gnieździe i młodym orlętom. Te z poza grubych gałęzi, tworzących ogrodzenie gniazda, także przypatrywały się temu cudowi natury. Czy można znaleźć na całej kuli ziemskiej piękniejsze położenie na orle gniazdo, niż wulkaniczny szczyt tego bogatego kalejdoskopu barw?! Tej najdelikatniejszej kamei naszych malowniczych kanjonów?!

Już sam „Grand Canyon of the Yellowstone“ jest pierwszorzędnym magnesem, rok rocznie ściągającym do siebie setki tysięcy turystów. Ale są tu jeszcze inne na cały świat słynne atrakcje.

Jadę dalej górzystą i krętą, a nieraz bardzo stromą drogą przez Dunraven Pass, mimo góry Washuburn, ku wodospadowi „Tower Falls“.

W innem miejscu byłby to nawet imponujący wodospad, a to tembardziej, że jar, do którego się stacza, jest pokryty zielonym lasem. Rzeka Yellowstone wyżłobiła w skale bazaltu głębokie łożysko, przypominające budową „palisady“ rzeki Hudson. Ma to swój urok, lecz gdy się patrzało na jeden z cudów natury, wszystko inne blednie i traci na wartości!...

Góra Washburn, według opinji geologów, jest starym, wygasłym wulkanem. Chociaż droga prowadzi na sam szczyt i choć można stąd podziwiać szeroką panoramę jezior, rzek, dolin i gór, nie wjeżdżam, mam bowiem wiele innych ciekawszych szczegółów do zobaczenia.

W tej części parku napotyka się skamieniałe drzewa, w dodatku zupełnie odmienne gatunki od rosnących teraz w tej okolicy. Między innemi były tu drzewa rosnące teraz w wiele cieplejszym klimacie jak sykomory, dęby, sosny, a nawet sequoje, rosnące tylko na zachodnich stokach gór Sierrów w Kalifornji. Tufy wulkaniczne w zupełności pokryły te lasy. Woda z deszczów, śniegów i lodowców, przeciekając przez grube warstwy popiołu, zapełniła pory drzew „siliconem“ i kompletnie zmieniła strukturę drzewa, zachowując im coprawda ten sam

kształt, ale — skamieniałego siliconu. Jak to poprzednio wspomniałem, takich warstw leśnych liczą dwanaście. Łatwo można sobie wyobrazić, ile to setek tysięcy, a może miljonów lat trzeba było, by taką metamorfozę przeprowadzić. Wielce to ciekawa i zajmująca księga, jaką natura wyryła w tych drzewach, skałach, gejzerach i górach, tylko nie każdy potrafi w tej odwiecznej księdze czytać o wszechmocy jej autora — Stwórcy. Strefa skamieniałych lasów jest jakie dwa tysiące stóp gruba.

Pierwsze i nibyto główne, poniekąd symboliczne wejście, gdyż park nie jest ogrodzony, było w Gardener. Zbudowano ogromną kamienną bramę z napisem „Forthe enjoyment and benefit of the People" — Dla przyjemności i użytku ludzi.

Tu jest główna kwatera zarządu parkowego. Masz tu pocztę, szpital, kaplicę protestancką, kościół katolicki, muzea, hotele, studja fotograficzne, restauracje, sklepy korzenne i sklepiki z „pamiątkami" czyli „souvenirs" dla turystów. Ma się rozumieć — wszystko drogie. Tuż obok zbudowano całe miasteczko małych domków czyli kabin, w których turyści swobodnie mieszkają czyli „kępują" gdyż „kemping" jest w Ameryce popularny. Bogatsi mogą mieszkać w wygodnych hotelach, mają w tej dziczy wielkomiejskie wygody i pierwszorzędną kuchnię. Za taką hotelową kwaterę płaci się od dziesięciu do dwudziestu dolarów dziennie. Kabiny turystyczne kosztują trzy dolary dziennie z opałem, sodą i oświetleniem. Ci, co mają własne namioty i wszelki ekwipunek podróżny, opłacają trzy dolary wstępnego, mogą rozpostrzeć swój obóz w miejscach dla turystów wyznaczonych i mieszkać, jak długo im się podoba. Gdy taki fachowiec — turysta, gruntownie „spenetrował" jedną dzielnicę, zwija namioty i bagaże — i jedzie do następnej atrakcji parkowej i przy gejzerze lub rybnej rzece prowadzi dalej koczownicze życie.

Ciekawe się tu napotyka okazy turystów. Jeden przyjechał starym, rozchlabotanym Fordem. Drugi tuż obok wyciąga najnowszego systemu namioty i przybory turystyczne z bogatego Cadillaca lub Grahama — to mój transport. Inny znów do samochodu ma przyczepiony dwukołowy wózek zw. „trailerem", na którym wiezie namioty i bagaże. Wielu „fachowych" turystów ma solidnie zbudowane domy na kołach. W takim nowoczesnym „wozie Drzymały" są nieraz cztery składane łóżka, kuchnia, piec,

lodownia, światło elektryczne, spiżarki — jednem słowem — wszystko, czego potrzeba. Taki „outfit” kosztuje około tysiąca dolarów, ale dla takiego, co lubi podróżować i jak my tu mówimy „kępować” czyli obozować wzdłuż drogi, jest to rzecz bardzo dogodna i ewentualnie — tania. Tak mają wszystko misternie urządzone, że w przeciągu pół godziny można to minjaturowe mieszkanie złożyć, pospinać i płótnem nakryć i w dalszą drogę ruszyć. Taki „dom“ turysty mieści się na zwykłym dwukołowym wózku, przyczepionym z tyłu do samochodu.

Dawniej było tylko jedno „wejście“ do parku, z północnej strony dlatego, że w pobliżu szła kolej i był łatwy dojazd. Przez wiele lat nie wpuszczano tu samochodów. Teraz najciekawsze zjawiska natury są połączone asfaltowemi drogami. Samochodów wszędzie pełno i z czterech stron prowadzą doskonałe drogi i bramy wjazdowe. Rząd ułatwia ludziom dostęp, do każdego parku narodowego. W dogodnych miejscach są garaże, w których można samochód naprawić, nasmarować lub też zaopatrzyć w niezbędną, a tu bardzo drogą gazolinę.

Przy głównem i najstarszem wejściu na uwagę turysty zasługują olbrzymie tarasy utworzone przez źródła gorącej wody, zawierające wielki procent wapna — carbonate of lime. Przeróżne kolory tych tarasów spowodowały małe żyjątka — wodorosty — glony. Rozwijają się one w gorącej wodzie, sięgającej 180 stopni Fahrenheita. Na pierwszy rzut oka piętrzące się nasypy przypominają fabrykę chemiczną, w której odpadki wapienne wyrzucano przez długi czas na olbrzymią kupę, a deszcze i śniegi w dziwne, a malownicze formy to przekształciły.

Jadąc okrężną drogą na południe ku basenom gejzerów, mimo pięknych gór, napotykasz t. zw. „obsidian cliff“. Jest to rodzaj szklanej góry, utworzonej przez gorącą lawę wulkanu. Indjanie tu się zaopatrywali w materjał na strzały. Wgłąb parku jednak nie zapuszczali się, gdyż „tam kusiło“. Bali się strasznie tych „duchów“, co wyrzucały w górę gorące strumienie wody. Może niejeden Indjanin sobie pomyślał, że tu było główne wejście do piekła, gdy zobaczył źródła gorącej wody i pary, cuchnące w dodatku siarką.

Od Mamoth Springs do Norris Junction jest przeszło dwadzieścia mil. Wszędzie pełno ciekawych szczegółów: źródeł, skał, gór, ale trudno to wszystko zwiedzić i opisać. Na grun-

towne zwiedzenie parku trzebaby poświęcić cały sezon, t. j. od 15-go czerwca do 15-go września, gdyż potem nastaje zima. Więc tylko ważniejsze okazy opisuję. Dziwne wrażenie robi na widzu teren gejzerów zwany — Norris Basin. Widzisz ogromne pole, jakby szarym popiołem czy wapnem pokryte, zdala opasane lasem drzew martwych popielatego koloru. Widocznie zatrute siarczanemi wyziewami.

Na tej płaszczyźnie szaropopielatego koloru wznoszą się liczne, większe i mniejsze, kłęby pary. Przypomina ci się jakiś obraz Dürera, ilustrujący Dantejskie piekło. Powierzchnia jest mocno gorąca i cienka, dlatego też do większych i ciekawszych źródeł — termów — porobiono chodniki z poręczami, oraz ostrzeżenia, aby turyści z drogi nie schodzili. Materjał, którym ten dziwny teren jest pokryty, nazywa się „siliceus sinter lub geyserite". Niektóre gejzery i źródła są pokryte różnokolorowym pokładem glonów.

Trudnoby było opisać te wszystkie gejzery i termy czyli wrzące źródła, a jest ich tu ilość wielka, może ze czterdzieści lub pięćdziesiąt. Każdy inny. Jeden tryska stale, inny co parę minut wyrzuca szeroki snop wody, ten znów spokojnie sobie bulgoce, ów tylko warczy i syczy strumieniem pary — nie stać go na wodę. Tam zaś widzisz napozór spokojny, ciemno-zielony kociołek, z którego się trochę pary unosi, niby z jakiegoś ogromnego wazonu. Niektóre z tych gejzerów zmieniają kształt a nawet miejsce. Przez pewien czas bucha z jednej paszczy, za rok wybije sobie otwór w innem miejscu i tam znów warczy i syczy.

Większe i piękniejsze mają nazwy jak „Constant Geyser, Whirling Geyser, Valentine Geyser, Black Growler i t. d." Jeden z nich nazywa się „Congress Pool" — staw kongresowy. Widocznie ma on coś wspólnego z naszym Kongresem. Teraz to sobie zwykłe, przepięknej ciemno-zielonej barwy źródło, napozór bardzo spokojne. Czasem się mocno gotuje i bulgoce. Innym razem przeistacza się w gorący strumień w górę tryskającej pary, potem znów zachlapie się błotem i gotuje niby kasza gęsta a brudna. Zupełnie słusznie nazwano go Kongresem; mażnaby je również dobrze nazwać — polskim sejmem...

Po zwiedzeniu tego ciekawego basenu — prawdziwego przedpiekła, jadę wzdłuż bardzo malowniczej rzeczki, zwanej „Firehole River" — rzeka ognistych dziur — dlatego, że w tej oko-

licy są gorące źródła, jako dopływy rzeki. Przejeżdżam mimo National Park Mountain. U stoku tej góry odkrywcy i pionierzy wysłani do zbadania okolicy, przy ogniach obozowych, powzięli ten wspaniały i szlachetny plan, aby tę przedziwną okolicę od-



Gejzer „Ul“ — Yellowstone.

dać po wieczne czasy całemu narodowi do użytku i przyjemności. Projektodawcą tej, w skutki bogatej myśli, był naturalista Korneljusz Hedges.

Jeden z uczonych, towarzyszący ekspedycji, zaginął. W dodatku — będąc krótkowidzem, zgubił okulary, a juczny muł

także gdzieś przepadł. Został sam jeden w dzikim, odwiecznym lesie... Towarzysze szukali go przez dwa tygodnie; ale napróżno. Uważali go już za zaginionego. Ow zaś nieborak najadł się dosyć strachu i biedy. A że nie miał ognia, więc dokuczało mu zimno i głód. Miał przy sobie lornetkę i to dopomogło mu do uratowania życia. Wyjął soczewkę, a skoncentrowawszy promienie słońca, rozpalił ogień. Znalazł w lesie roślinę z grubym korzeniem podobnym do kartofla; piekł to i tem się przez cały miesiąc odżywiał. Raz, pisze w swych pamiętnikach, znalazł małego ptaszka ze złamanem skrzydłem, zjadł go z wielkim apetytem. Po miesiącu znaleziono go na pół nieżywego; wkrótce jednak wrócił do sił.

Wzdłuż pięknej kotliny Firchole River docieram do drugiego, basenu gejzerów — Upper Geyser Basin. Największą atrakcję stanowi tu na cały świat znany „Old Faithful" — Stary Wierny.



Gejzer „Old Faithful — Yellewstone.

Może nie od rzeczy będzie, jeżeli w krótkości opiszę działalność gejzerów i na czem ona polega. Studenci używając szklanych rurek do doświadczeń chemicznych, wiedzą dobrze, że jeżeli się rurkę napełni do połowy płynem i umieści nad płomieniem, płyn zacznie się u spodu ogrzewać, tworzyć parę i nagle powoduje gwałtowny wybuch. To samo czyni gejzer. W ziemi gejzerowskiego basenu uformowały się głębokie otwory i zbiorniki wody. Ciepło wewnątrz skorupy ziemskiej ogrzewa wodę, zamienia w parę i ta wraz z wodą nieraz z ogromną siłą tryska w górę na przeszło dwieście stóp wysokości.

Taki wytrysk może trwać kilka sekund, minut a nawet godzin, zależnie od wewnętrznej formacji i pojemności gejzeru. Gwałtownie wyrzucona woda wraca podziemnemi tunelami do tego

naturalnego kotła, powtórnie się ogrzewa, zamienia w parę i wybucha. Jeżeli wody jest mało, mamy zwykłą syczącą parówkę.

Nie wszystkie gejzery zawsze i regularnie funkcjonują. Jedne są stale czynne, a inne tylko raz kiedyś — gdy im się zechce. Gejzer „Imperial“ wybuchał z ogromną siłą w roku 1928. W przeciągu czterech do pięciu godzin wyrzucał na wysokość 125 stóp od 500 do dwóch miljonów galonów wody, co wystarczyłoby na całodzienne zapotrzebowanie miasta liczącego 25,000 mieszkańców.

Ten proceder powtarzał się co dwanaście lub piętnaście godzin. Teraz jucha zastrajkował i cicho siedzi; widać, że się zapisał do P. P. Esów. Nie wiem. Z pośród wielu czynnych i bezczynnych gejzerów jeden zawsze wzbudza podziw turysty, a nazywa się Morning Glory. Na wierzchu jest to okrągły zbiornik gorącej, ciemno-zielonej wody; ma około dziesięć stóp średnicy. Krater źródła podobny jest do ciemno-niebieskiego kielicha. Jest zupełnie spokojny, a ciepła woda, małym strumykiem spływa do rzeki.

Otwory czyli kratery gejzerów, dzięki silnej zawartości wapna, innych minerałów i alg, przybierają nieraz bardzo ciekawe kształty stożków. Jeden podobny do baszty, inny do ula, a inny znów do groty. Każdy ma swój dziwny kształt i charakterystykę. Możnaby tu kilka dni spędzić zwiedzając liczne baseny gejzerowe.

Popatrzmy na jeden. Nie jest coprawda największy ani nie posiada nedzwyczaj pięknego stożka, ale ma zato tę przecudną właściwość, że funkcjonuje niemal z precyzją zegarka, dlatego otrzymał nazwę — Old Faithful. Co 65 minut, z małą różnicą, po kilku mniejszych wytryskach, wyrzuca ogromną kolumnę wody i pary na 150 stóp w górę. Okres wybuchu trwa jakie pięć minut, potem znów całą godzinę kipi i bulgoce, aby z szumem i hukiem tryskać warem. Na kilkaset stóp od tego najsłynniejszego gejzera na kuli ziemskiej zbudowano wspaniały hotel. Goście w wygodnych krzesłach i kolebaczach patrzeć mogą na to ciekawe zjawisko natury. W nocy rzucają nań światło elektrycze, co mu dodaje jeszcze większego uroku. Kilka razy mi swe stuczki pokazywał. Zamiast go podziwiać, pracowałem przy aparatach fotograficznych, aby cośkolwiek z tego pięknego cudu natury zachować. Z żalem żegnałem „Old Faithful“. Może wieki całe tak fukcjonuje i nadal działać będzie, a może się tam coś wewnątrz przewrócić, jakiś głaz oderwać lub podziemny strumień zmienić koryto

jego czynność wstrzyma. Nikt tego przewidzieć nie może. Przez wszystkie lata, od kiedy go odkryto, nikogo nie zawiódł, zawsze o swym czasie, już zgóry na tablicy wyznaczonym, wytryska. A może to trenowany gejzer, bo inne tryskają kiedy im się podoba. Pewna dama, gdym jej o tym gejzerze opowiadał, bardzo się zachwycała i mówi: „Jobym też chciała takom sikowkę widzieć". A jakże!

Opuszczam ciekawą okolicę gejzerów i przez głęboki las jadę w kierunku południowym. Przekraczam grzbiet Gór Skalistych. Z jednej strony zlew wód płynie na wschód, do zatoki Meksykańskiej i oceanu Atlantyckiego, z drugiej na zachód — do oceanu Spokojnego. Zdaleka widać jezioro Shoshone. Przez szkła obserwuję olbrzymie, granitowe, śniegiem i lodem pokryte szczyty Tetonów, niemal czternaście tysięcy stóp wysokie. Dojeżdżam do bramy południowej czyli wjazdu do parku od strony Tetonów, stanowiących osobny park narodowy z powodu wprost imponującego majestatu i uroku. Docieram do brzegów jeziora Yellowstone. Tu także jest rejon gejzerów, ale po tamtych kolosach — małe, gorące kociołki już nas nie interesują; zato piękne są „błotniaki" — małe różnobarwne wulkaniki błotne. Piękną drogą, wzdłuż brzegów malowniczego jeziora, wracam do swej kwatery nad rzeką Yellowstone. Na moście, jak zawsze, pełno rybaków.

Ciekawe typy! Jedni, to zagorzali rybacy i sportowcy. Taki przyjeżdża z całym kompletem rybackim. Zaledwo z samochodu wylazł, leci na złamanie karku do rzeki. Ze swej „bibljoteki haczykowej" z głębokiem zastanowieniem i rozmysłem wybiera odpowiedni haczyk. Ogląda go starannie, próbuje ostrza, dotyka piórek, muska delikatnie i znów wkłada do odpowiedniego przedziału. Otwiera inną stronnicę tej rybackiej książki i znów z wielką koncentracją ogląda cały rząd muszek i wabików, aż znajdzie ten, który w jego mniemaniu, przypadnie do gustu yellowstońskim pstrągom.

Jest ich tu moc ogromna. Gdy staniesz na moście i popatrzysz do czystej jak kryształ wody, pełno ich widzisz, jak sobie swobodnie pływają lub nieruchomo czekają, aż im się muszka nawinie. Wówczas z błyskawiczną szybkością rzuca się na nią. To nie durne, ale bardzo uczone i mądre ryby. Takiemu trzeba jakiś specjalny marcepanik wymyślić i delikatnie zarzucić, aby się raczył na nim „powiesić". Czasem to może niejeden z rozpa-

czy lub kłopotów domowych popełni samobójstwo i zawiśnie na haczyku jakiejś szpotawej turystki, która myśli, że „match brown“ to nie szkocka muszka, tylko nowy kolor sukni.

Porządny rybak-sportowiec, co tu przyjeżdża nie poto, aby na gejzery, wodospady i kanjony patrzeć, ale aby pstrągi łowić, zupełnie inaczej się do takiej przyjemnej pracy zabiera... Najprzód włazi po uszy do wody i tam dopiero z wielką wprawą rzuca lekko muszkę na bystry prąd wody. To co innego — mówi uczciwy pstrąg — i habas go za łeb! Patrzałem na taką sportową grę pstrąga i rybaka. Ten, niby pstrąg, rzuca się w powietrze, to znów zanurza się z piorunującą szybkością wgłąb rzeki, rwie w prawo, to lewo, tamten zaś stale, powoli, z równem napięciem bambusowej tyczki przyciąga do siebie wierzgającą ofiarę. Delikatnie go ręką wyciąga z wody, haczyk ostrożnie z pyska wyjmuje, by go zbyt nie zranić, a dawszy mu nauczkę, z powrotem lekko wpuszcza do rzeki. Tamten merdnąwszy ogonem na pożegnanie, wyrywa na głębszą wodę, aby po niezbyt przyjemnej eskapadzie, przypominającej wizytę u dentysty, wypocząć i ranę w pysku wygoić.

Inny zaś, taki sobie zwykły cham rybacki, ciągnie pstrąga wgórę, niby skazańca na szubienicę, i wali nim o podłogę mostu! Porządny pstrąg napewno uważa to sobie za straszną obrazę i despekt, jeżeli mu przyjdzie wjechać do gorącej patelni na wędce takiego zwykłego parwenjusza-turysty. Chociaż mam pierwszorzędny aparat rybacki, jednak nie poszedłem na te obfite łowy, gdyż inni chętnie się dzielili zdobyczą. Według przepisu, wolno każdemu turyście chwycić tylko pięć pstrągów dziennie, a tego mnoży się miljony i rząd wciąż jeszcze do rzek i jezior, ze swych wylęgarni wpuszcza ogromną masę ryb szlachetnych, przeważnie pstrągów.

Opis parku z pominięciem niektórych gatunków dzikich zwierząt, nie byłby kompletny. Od pięćdziesięciu lat fauna jest tu zabezpieczona przed atakiem najdzikszego ze zwierząt — człowieka. Nie wiem dlaczego filozofowie nazwali człowieka — „animal rationale“, co w dowolnem tłumaczeniu ma znaczyć — rozumne bydlę! Biskup Spaulding, autor kilku bardzo pięknych książek — teraz amerykańscy biskupi więcej książek nie pisują — określił człowieka, jako zwierzę z natury „leniwe“. Ta definicja już jest więcej do sensu. Ja zaś określiłbym człowieka, jako

„animal-destructor", co na polskie znaczyłoby — „zwierz-niszczyciel". Nie potrzeba nawet zbyt głębokich argumentów na udowodnienie tego określenia. Przecież daleko łatwiej jest udowodnić, że człowiek jest zwierzęciem „niszczycielem" niż, że jest „rozumnem" bydlęciem! Wystarczy popatrzeć na nasze lasy wycięte, wyniszczone, zmasakrowane i spalone. „Homo destructor" to zrobił!... Na stepach pasły się miljony bizonów, dosłownie mówię miljony, od brzegów wielkich jezior, przez stepy aż do oceanu Spokojnego. Przyszedł ten okrutny biped, zwany człowiekiem, i niemal doszczętnie wszystko wybił i bezpotrzebnie wymordował!...

Gdy budowano pierwsze koleje przez stepy, nieraz taki podróżnik, z okna wagonu, bezkarnie, strzelał bawoły. Nic mu z tego nie przyszło, najmniejszej korzyści nie miał! Sportem tego nazwaćby nie można! Z tą samą łatwością mógł zastrzelić krowę na polu, lub konia na podwórzu. Tak kompletnie wybito bawoły (buffalo) w Stanach Zjednoczonych, że nie została ani jedna sztuka do rozpłodu. Rząd sprowadził kilkanaście sztuk z Kanady i dopiero w parku Yellowstone rozmnożono je do tego stopnia, że teraz mamy ponad tysiąc sztuk. Kilkanaście na okaz trzymają w ogrodzeniu przy Mamoth Hot Springs, reszta się pasie w odległej dolinie Lamar. Zimą rząd dostarcza paszy bawołom, jeleniom i innym stałym dzikim mieszkańcom parku.

Prócz bawołów, napotyka się czasami kozy górskie i łosie. Na wysokich szczytach górskich można niekiedy zobaczyć stada koziorożców (ovis canadensis) „mountain sheep". Te wiedzą, że z ludzi niema pociechy, więc się też zdala od nich trzymają. W jednym zakątku mamy jeszcze duże stada jeleni, zwanych wapiti (cervus canadensis) Okrutne dwunogi o mało do cna nie wymordowali tych pięknych zwierząt. A wiecie dlaczego? Ot jedynie dla tego, że Towarzystwo Jeleni „Elks", jako ozdobę do szpilek i łańcuszków od zegarków używa zębów jelenich. Dla kobiecej ozdoby, a pod tym względem rodzaj żeński jest jeszcze okrutniejszy od samczego, wybito wszelką zwierzynę, której dobry Stwórca dał piękne i ciepłe futro. Poszły bobry, a było ich tu wszędzie pełno. W parku zaledwo tu i ówdzie zobaczysz je w jakimś dalekim stawie przy pracy. Przy drogach napotkasz sarny, które dla dużych uszu nazwano „mule der" — mułowate sarny. Tu niekiedy natrafisz stado płochych i szybkonogich antylop.

Główną atrakcją parku, z dzikiej zwierzyny, są niedźwiedzie. Bardzo je kocham. Uważam, że to są stworzenia daleko porządniejsze od ludzi. Szopenhauer, był człowiekiem bardzo mądrym i wybrednym w swych gustach. Więcej kochał psa niż człowieka. Zupełnie słusznie! Dobry pies i rasowy koń mają stokroć więcej



Shoshone Kanyon, od Cody do Yellowstone.

cnót i zalet w ogonie, niż ich pan i właściciel w swej skarłowaciałej duszy! Ale ja znów wybrednym nie jestem. Nie sięgam zaraz do najszlachetniejszych zwierząt. Kontentuję się mniejszemi i napozór dzikszemi. Więc też przyznam się, że lubię dzikie zwierzęta i nigdy na nie polować nie będę, chyba tylko aparatem fotogra-

ficznym. Uważam to za daleko większy, lepszy i przyjemniejszy sport, aniżeli mordowanie bezbronnych zwierząt.

Jak to już poprzednio zaznaczyłem — lubię niedźwiedzie. One się też na mnie poznały i duszą całą pokochały... Odwiedzały mnie często... Ja zaś, znając staropolską gościnność, zawsze je grzecznie przyjmowałem... Nie „chlebem i solą", bo to im tak bardzo znów do gustu i smaku nie przypadało. Zato ciastko,



Jeden z luźnych niedźwiedzi przy komorze z odpadkami w Yellowstonie Parku.

pączek cukrem posypany, kawał kości, na której było jeszcze dużo mięsa, przyjmowały z wdzięcznością. A jako człowiek znający się na grzeczności, jeszcze ten smaczny kąsek niedźwiedziowi potrzymałem, aby mógł go sobie dobrze ogryźć. Niedźwiedź ma łapy, ale to przecież nie tak łatwo mu było przytrzymywać.

Zawsze wygodniej, gdy mu turysta te kąski podaje. Miś siedząc, niby pies, ogryza z apetytem.

Podczas obiadu lub kolacji, a nieraz już na śniadanie, taki niedźwiedź złoży ci wizytę. Wewali potężny łeb przez otwarte okno i po niedźwiedziemu powie: — „Smacznego!“ Brunatnych i czarnych niedźwiedzi jest pełno. To są właściwie blondyni i bruneci tej samej rodziny (ursus americanus). Wciąż się kręci po parku. Łazi od jednej beczki do drugiej, szukając odpadków i smacznych kąsków. To, co mu nie smakuje, wyrzuci na ziemię, a resztę zjada.

Tym, co obozują w namiotach, sprawiają niekiedy dużo kłopotu. Jeżeli poczuje u nich smaczny kąsek, wlezie do namiotu, a jeżeli tam szynkę lub słoninkę dostanie do pyska, to już się z tem pożegnaj! Wieje ze zdobyczą do lasu, aż się za nim kurzy. Były wypadki, że niedźwiedź czując jakąć szperkę w samochodzie, rozbił samochód. Jeden z turystów zawinął szynkę do koca. Podczas jego nieobecności, przyszedł niedźwiedź, zapewne tak po sąsiedzku — go odwiedzić. Zabrał koc wraz z szynką! Pod tym względem niedźwiedzie mają niemal ludzką naturę!...

Miałem także bardzo ciekawą przygodę z niedźwiedziem.

Wyjechałem na cały dzień, aby oglądać gejzery. Wypożyczyłem kłódkę i zamknąłem moje walizy, bagaże i kabinę na klucz. Wróciwszy wieczorem, zauważyłem, że drzwi były deskami zabite, a wszystkie walizki porozrzucane i jedna porządnie przez kły niedźwiedzie — zmaltretowana. Dowiedziałem się od służby, że jeden z zaprzyjaźnionych ze mną niedźwiedzi złożył mi wizytę „przez zamknięte drzwi“. Tęskno mu było, więc wyrwał panel w obramowaniu drzwi i wszedł, jak po starej znajomości. Ponieważ mnie nie zastał, więc też „czuł się w domu“. Wywęszył w mej starej walizie podróżne prowjanty, rozdarł jeden koniec, ale nie chcąc mi nabrudzić, postanowił się z nią „wynieść“ do lasu, gdzieby mu w jego czynnościach nie przeszkadzano. Na jego nieszczęście, spostrzegł go stróż, gdy dziurą we drzwiach, z waliską w pysku, wyłaził z mej kwatery. Zwalił niedźwiedzia kijem i walizę mu odebrał. Zamiast śniadania, dostał biedaczysko — lanie. Kupiłbym mu największy befsztyk, gdybym go tak zdybał i odfotografował. Taki obrazek „en nature“ byłby dla mnie drogocenną pamiętką.

Ciekawe koleje przeszła w swem życiu ta walizka. Była na wojnie, zajechała do Polski. Gwoli niej zatrzymałem pociąg pospieszny w Krakowie, skląłem cały zarząd i wszystkich kolejarzy, bo chcieli wyjechać ze mną do Warszawy — bez walizki. Miałem w niej najcenniejszą ówczas rzecz: dwa kawałki amerykańskiego mydła. „Traeger" o mało nie dostał udaru serca, gdym mu za szybkie przyniesienie walizki dał dwadzieścia koron. Ot ta nieodstępna walizka była i jest moją śpiżarnią, choć mocno przez niedźwiedzia poturbowana.

Po kilkudniowym wypoczynku i zwiedzeniu przynajmniej najważniejszych atrakcyj parku, pakuję toboły wraz z nieszczęsną walizą i ruszam w dalszą drogę. Wjechałem do parku przez bramę wschodnią od strony miasteczka Cody, wzdłuż rzeki Shoshone, przez śnieżny Sylvian Pass, a wyjeżdżam stroną północną wzdłuż rzeki Yellowstone. Następnym objektem, do którego spieszę, jest Glacier Park — „park lodowców". Leży w północno-zachodniej części Montany, tuż nad granicą kanadyjską. Odległość według mapy wynosi ponad czterysta mil. Trzeba przejechać całą Montanę od południa ku północy, przytem jeszcze się posunąć kilkadziesiąt mil w kierunku zachodnim. Drogi dobre, więc też zaopatrzywszy się w gazolinę i olej, śmiało ruszam naprzód.

---

Rozdział XVI.

## MONTANA.

Łacinnicy domyślą się, że „montana“ ma coś z górami do czynienia. W rzeczywistości niemal cały stan, a szczególnie część zachodnia jest niemi pokryta. Tędy od północy ku południowi ciągnie się ogromny łańcuch gór Skalistych. Zlew wód płynie tu w trzech odmiennych kierunkach: rzeką Columbia do oceanu Spokojnego, rzeką Colorado do zatoki Kalifornijskiej w Meksyku, a trzeci tworzy ogromną rzekę — Missouri, i przez Mississippi, wpada do zatoki Meksykańskiej. Jest jedno miejsce w tym stanie, gdzie dwie krople wody padające o cal jedna od drugiej, popłyną w zupełnie przeciwnym kierunku; jedna do oceanu Atlantyckiego, a druga ewentualnie wpadnie do oceanu Spokojnego. W jednodniowej podróży można dotrzeć do źródeł wyżej wspomnianych rzek, mających źródła w Montanie, a ujścia w trzech odmiennych kierunkach, o tysiące mil od siebie oddalonych.

Podróż po Montanie, to już nie przelewki. Jedziesz cały dzień w jednym kierunku, a jeszcześ od granicy daleko. To nasz z rzędu trzeci największy Stan. Obejmuje sto czterdzieści siedm tysięcy mil kwadratowych. Gdyby można wszystkie góry zrównać i że tak powiem, „rozprasować“, to byłby jeszcze raz tak duży. Niemal tak duży jak Polska. Stolicą jest miasto Helena. W tych okolicach w roku 1864-tym odkryto złoto i srebro. Na pieczęci stanu jest wyryte hasło w języku hiszpańskim „Oro y Plata“ — złoto i srebro. Główném atoli źródłem przemysłu i dochodu jest miedź. Najbogatsze pokłady miedzi znajdują się w Butte. Wyraz „butte“ oznacza wzgórze. Możnaby dużo ciekawych przygód i awantur napisać o pierwszych początkach tego bogatego dystryktu miedzi i złota. Po tych pierwszych kopalniach złota pozostały tylko ruiny — „phantom cities“ — i stare, zielskiem

zarośnięte cmentarze, gdzie nieraz rzędami stały tabliczki z napisami nazwisk i daty nieboszczyków, z dużo znaczącym dopiskiem „powieszony“. Największem konsorcjum górniczem jest Anaconda Copper Co. posiadająca może najbogatsze kopalnie miedzi na kuli ziemskiej.

Ludności tu mało, zaledwie pół miljona mieszkańców. Jeden drugiemu wciąż na nagniotki nie następuje. Kopalnie miedzi, złota i srebra, huty do przetapiania tych metali, lasy, przemysł drzewny, rolnictwo, hodowla bydła i koni stanowią tu najważniejsze gałęzie przemysłu i handlu.

Krajobraz tu urozmaicony i nadzwyczaj malowniczy. Często napotykasz ogromne, lasem pokryte góry i lądolodami żłobione doliny zwane „kanjonami“. W zachodniej części masz gołe, śniegiem i lodowcami pobielone, ogromem imponujące cielska gór Skalistych. We wschodniej i środkowej części wjeżdżasz w obszerne stepy i na pół pustynne wzgórza, nadające się do uprawy pszenicy i do hodowli bydła i koni. Oj gdyby się tak kawalerja polska dobrała do tych koników montańskich, zwanych „mustangs“! Lekkie, zwinne, silne, a wytrzymałe na trudy i biedę. W dzikich stepach zahartowały się na wszelkie niewygody.

Opuszczając Yellowstone Park, w małem miasteczku Gardener, tuż na granicy Montany, kieruję się wzdłuż wartkiej rzeki Yellowstone, do bardzo ruchliwego miasta Livingston, pięćdziesiąt mil na północ od parku. Po niespełna dwugodzinnej drodze przez zalesione wzgórza rezerwy Absaroka Forest, dojeżdżam szczęśliwie do pierwszego większego miasteczka, jakie w dwutygodniowej turze spotkałem.

Zaopatrzywszy się w olej i paliwo, ruszam dalej, aby czemprędzej dostać się do — Glacier Parku. Jadę szeroką równiną ku Sulphur Springs. Po drodze napotykam zabudowanie farmerskie. Można się domyśleć po oborach i szopach, że głównem przedsiębiorstwem jest tu hodowla bydła na mięso i koni. W tej napozór pustynnej okolicy bydło, a szczególnie konie, wyglądają dobrze, są silne, zdrowe i tłuste.

Sulphur Springs wywodzi nazwę od źródeł siarczanych. Dotychczas są zaniedbane i należycie nie wykorzystane dla celów leczniczych. Zatrzymuję się tu na noc w dosyć starodawnym, lecz czystym hoteliku. Z tej małej ludzkiej oazy roztacza się piękny widok na te bezbrzeżne, ogromne, napół pustynne stepy...

Kilkanaście mil za Sulphur Springs wjeżdżam znów w gęsty, odwieczny, ciemny las państwowy — Jefferson Forest. W dodatku mam jeszcze z dosyć wysokiemi i stromemi górami przeprawę. Droga przytem wąska, kręta i bezludna. W ogromnych obszarach leśnych rzadko napotykasz wioskę lub domek leśnika. Dobre trzy godziny przedzierałem się przez te naturalne piękności. Kręta droga wiedzie wzdłuż niewielkich rzeczek, które pędzą naprzemian w kierunku południowym albo północnym, zależy z której strony góry je natrafisz. W paru małych wioskach zauważyłem małe kopalnie węgla. W prostopadłych ścianach gór porobione tunele świadczą, że poszukiwano w tem miejscu za złotem i miedzią, ale widać napróżno. Takich zarzuconych tuneli i kopalń możnaby znaleźć setki.

Wydostałem się nareszcie z tego leśnego rezerwatu na ogromne wyżyny t. zw. „plateau" — płaskowzgórze, około cztery lub pięć tysięcy stóp ponad poziom morza. Jadę obok ogromnych pól złotej pszenicy. Z tego, com dotychczas widział, można wnioskować, że żniwa w Ameryce ciągną się od czerwca aż do końca sierpnia, a nawet września. Im dalej na północ i zachód, tem późniejsze żniwa. Na początku lipca żniwowano w Minnesocie, tu z końcem lipca dopiero rozpoczęto pracę na polach. W Utach jeszcze później. Niejeden gospodarz zamiast wyjeżdżać na pole ze żniwiarką, jechał z pługiem zaorywać gradem zniszczone zasiewy. Burza gradowa miejscami wszystko tak do szczętu stłukła i zniszczyła, że z kłosów nic nie pozostało. Rolnicy w tych okolicach mają asekurację przeciwko gradobiciom, co ich ratuje od kompletnej ruiny. Tam, gdzie grad plonów nie zniszczył, zbiory zapowiadały się doskonale.

Na dwadzieścia pięć mil przed miastem Great Falls wjeżdżam na twardą, smołą polaną i dobrze wyrównaną drogę. Jadę z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, aby samochód mógł się po tych górach i skrętach trochę rozruszać. Miasto Great Falls liczy jakie dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Rzeka Missouri w tem miejscu tworzy ogromny wodospad, od którego miasto wywodzi swą nazwę — Great Falls — wielki wodospad.

Niemało narobił on kłopotu i ambarasu pierwszej ekspedycji białych, pod wodzą kapitanów Lewisa i Clarka. Trzeba było wszystko na plecach przenosić, chociaż zimno i bieda ze wszech stron dokuczała. W dodatku nie wiedzieli, w którą stronę

iść, dokąd szła rzeka Missouri, a dokąd jej dopływy. O ile sobie przypominam ostateczną decyzję w tej sprawie wydała Indjanka Sacejawea. Później coś więcej o tej ciekawej kobiecie napiszę.

Siła wodna wykorzystana przez elektrownię przyczyniła się do rozwoju tego bardzo schludnego i postępowego miasteczka. Szerokie, równiutkie, w kwadraty wymierzone ulice, murowane sklepy i schludne domy, przy chodnikach młode drzewka, dodają temu stosunkowo młodemu miastu uroku i świeżości. Daleko na okolicę, niby olbrzymia lampa morska, sterczy komin rafinerji Anaconda Smelter Co. Z powodu depresji wszystko chwilowo zamknięte. W Great Falls są także remizy i warsztaty kolei Great Northern i Chicago Milwaukee i St. Paul.

Po zaopatrzeniu się w prowjanty podróżne i gazolinę — to czyniłem w każdem większem mieście, gdyż nie wiedziałem, co dalej będzie — ruszam dalej. Słońce porządnie dopieka, ale dobra, szeroka i równa droga daje możność pośpiechu. Kilkanaście mil za miastem, na horyzoncie, ukazują się góry Skaliste. Już na taką wielką odległość imponujące robią wrażenie.

Jadę wśród zielonych pól i łąk. Tu na dużą skalę zaprowadzono irygację, sprowadzając wodę z rzeki San River. Olbrzymie pustynie, których jest pełno we wszystkich górzystych i zachodnich stanach — są to ziemie nadzwyczaj urodzajne. Potrzeba im tylko wody, aby na nich rosły najpiękniejsze zboża, siano i wszelkiego gatunku owoce. Skrawek pustyni, sztucznie nawodniony, zmienia się pod wpływem wody i słońca w piękną oazę, zdobną w schludne domy farmerskie, prosperujące wioski i bujne łany. Od Chouteau do Dupuyer — to ostatnie miasteczko z małą zmianą mogłoby uchodzić za polskie — rozpostarły się ogromne stepy, rodzaj „dzikich pól“, na których pasą się stada bydła. Takie gospodarstwa nazywają się „ranches“ i obejmują dziesiątki tysięcy akrów. Nieraz jedno pole ma kilka tysięcy akrów.

Koło Yellowstone Parku powstało pełno „Dude Ranches“. Są to właściwie wygodne gospody w lasach, przy rzekach lub jeziorach zbudowane, w których mieszczuchy zażywają wywczasów, urządzają konne wycieczki pod kierownictwem wyćwiczonych „cowboyów“. Smietanka, a szczególnie „złota młodzież“ bawi się tu w życie stepowe, udając — cowboyów.

Rozdział XVI.

## GLACIER PARK.

Chcąc dokładnie podać charakterystykę — „parku lodowców“, trzebaby się gruntownie zaznajomić z geologją. Mnie do głowy pakowali teologję, więc też na tym punkcie niewiele mogę dać objaśnień.

Geologowie twierdzą, że tu kiedyś były równiny, a właściwie morze z pokładami mułu, wapna i zainkrustowanemi w niem tworami morskiemi. Tak było ośmdziesiąt lub sto miljonów lat temu. Zresztą kalkulacja czasu jest „ad libitum“. Można z tą samą dokładnością powiedzieć — dwieście miljonów lat temu. Kalendarza gregorjańskiego ani szwajcarskich zegarków nie znano. Dla nieznanych powodów ziemia doznała wtenczas jakichś ogromnych „skurczów“. Może się biedaczka czegoś niedobrego najadła albo napiła... Wszystko wewnętrz zaczęło się jej kurczyć i wywracać. Na powierzchnię odwiecznego morza występowały mułem pokryte pagórki. Z dalszem ciśnieniem i kurczeniem skorupy ziemskiej, grube warstwy dna morskiego zaczęły się łamać i, że tak powiem, wślizgiwać jedna na drugą, niby kry lodu na rzece podczas wiosennej odwilży. Dlatego góry w Glacier Parku są niemal prostopadłe od strony wschodniej, a więcej pochyłe od zachodniej.

Niedosyć miała ziemia kłopotu z wewnętrznemi kurczami i dolegliwościami, które jej wszystko „do góry nogami” powywracały, ale spadły na nią jeszcze inne kataklizmy i nieszczęścia. Geologowie, wyobrażam sobie takiego geologa niby lekarza, delikatnie opukującego i obwąchującego Matkę Ziemię, powiadają, że nastały tu okresy zimne. Śniegi głębokie i kolosalnej grubości lądolody pokryły te potrzaskane i na kilka olbrzymich zwałów spiętrzone góry. Widocznie na te wewnętrzne bóle, go-

rączki i skurczenia zastosowano „zimne okłady“. Ile tego było?! Nie wiem. Geologowie twierdzą, że te zimne „kompresy“ kilkakrotnie zmieniano i znów przykładano. Cały proceder trwał „chwilę czasu“ — kilka, kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt miljonów lat. Między jednym a drugim „okładem“ następowały — odwilże, a nawet „gorączka“ wracała, gdyż rosły tu drzewa ze strefy gorącej. W tych okresach żyły także przedpotopowe potwory jak ichthyosaury, pleosaury i o strasznych nazwach i formach zwierzęta, o jakich, pijak w najwyższem stadjum delirium tremens, nie ma nawet najmniejszego pojęcia. Tylko w wielkich muzeach można zobaczyć i podziwiać ich szkielety. Zdaje się, że teraz biedaczka ziemia, stopniowo „przychodzi do siebie“.

Ogromne, na milę grubości, odwieczne lądolody już prawie stopniały. Pozostały jednak ślady. Wśród szczytów górskich mamy tu jeszcze jakie sześćdziesiąt mniejszych i większych lodowców i płaty odwiecznych śniegów. Ale to resztki. Po długich okresach lodowców pozostały wspaniałe jeziora górskie, kanjony i rzeki. W jednem z jezior, w tym parku, przez całe lato, niby łabędzie, pływają kry lodu. Zimą wszystko się znów śniegiem i lodem pokrywa. Topniejące śniegi i lodowce tworzą powoli wiele przecudnych rzek i strumyków górskich.

Grube warstwy wapna i skały „X“ miljonów lat temu stanowiły dno morskie; teraz tworzą wysokie szczyty górskie.

A jak to wszystko misternie rzeźbione!...

Ludzie chcąc wyrzeźbić granit lub marmur, zadają sobie wiele trudu. Przygotowują rusztowanie, dobierają dłóta, młoty i młotki, szukają rzeźbiarzy, maszyn, wind, pieniędzy...

Stwórca zaś, zamiast ostrej i twardej stali, zamiast młotka i automatycznego świdra, wziął do ręki najdelikatniejszy, a w swych symetrycznych figurach cudny, lekki, biały płatek śniegu... Tym śniegiem — niby białym lekkim puchem, pokrył kolosalne złomy skał. Przetapiał go w strumyki i zmywał niemi zabrudzone. Następnie oziębiał tryskające potoki, tworzył z nich grube pokrycia lodu do rozbijania i szlifowania granitów. Niby jakąś ogromną łopatą i kilofem, temi lodowcami rzeźbił ściany gór, tworzył doliny, wymierzał przecudne jeziora... Na brzegi znów zsypywał ziemię czarną, urodzajną, a na niej sadził zielone niebotyczne lasy...

Nie spieszył się w swej pracy!... Nie czekał na świst maszyny, oznajmiającej godzinę wypoczynku lub porę obiadową. On jest wieczny! Więc też dał sobie czas. Dużo czasu... Jeszcze swego dzieła nie skończył...

Małe, dwunożne robaczki, ludźmi zwane, przychodzą, patrzą, krytykują, wyzywają, ubliżają, zaprzeczają! Ale, On, nie zważając na ich krytyki, dowolnie, stale, bez przerwy i wypoczynku tworzy, zmienia i przeistacza!...

Może kiedyś te dwunożne robaczki zmiecie z kuli ziemskiej, jeżeli Mu będą zbyt ubliżać i przeszkadzać!... Tak uczynił z przedpotopowemi mamutami, ichthyosaurami i innemi gadami kolosalnych rozmiarów i potwornych kształtów. Były... i już ich niema!! Był czas kiedy nas tu nie było! Może nadejść okres, gdy znów, niby komary zimą, znikniemy z kuli ziemskiej!... Bóg zaś, Sam niezmienny, będzie nadal tworzył, zmieniał ziemię i wszystkie inne ciała niebieskie według Swego planu. Każdy lekki płatek śniegu zmienia i przeistacza kulę ziemską! Jeżeli, czytelniku, nie uczyłeś się katechizmu, — idź w góry!... Tam dużemi literami możesz czytać pierwszą stronicę — o Bogu i stworzeniu świata!...

W stosunkowo krótkim czasie zrobiłem sto pięćdziesiąt mil drogi i staję u celu podróży. Glacier Park, kształtem przypomina mały, nieregularny plaster miodu, szerszy u góry, a nieco węższy u dołu. Od północy graniczy z Kanadą. Zapewno niejedna butelka wódki „zieloną granicą“ wędruje z Kanady do pragnieniem trapionej Ameryki.

Park obejmuje 1,534 mile kwadratowe, zawiera przeszło sześćdziesiąt lodowców, 250 jezior i dziewiętnaście uroczych dolin, siedm ze wschodniej, a dwanaście po zachodniej stronie gór. Przeciętny turysta zwiedza zaledwo małą i powiedziałbym tylko wewnętrzną część parku. Chcąc go gruntownie poznać i wszystko jak należy „spenetrować“, trzebaby poświęcić dużo czasu, pieniędzy i trudu.

Rząd robi wszelkie ułatwienia turystom. Wszędzie przeprowadzono ścieżki i drogi dla konnych ekspedycyj. W górach, zdala od dróg, zbudowano szałasy, w których turyści mogą przez noc, a nawet na czas dłuższy kwaterować i stamtąd robić wycieczki. Liczba takich turystów jest zawsze ściśle kontrolowana. Niejeden odważniejszy puszcza się samopas. Gdy w oznaczonym czasie nie wraca, urządzają poszukiwania za „zginioną owcą“. Gdy go

znajdą, panuje wielka radość w obozie. Nikt może się tak nie cieszy jak ten, co zginął i wrócił, gdy go nad przepaścią znaleźli, z duszy wystraszonego.

Nigdy nie miałem ambicji włazić na „łyse góry", więc też niema obawy, abym zaginął. Jeśli czego nie mogłem dojrzeć gołem okiem, a przecież kolosalna góra to znów nie mikrob, nawet ślepy ją zobaczy, używałem do lepszego zbadania mego wojennego Zeisa. Czego zaś nie mogłem oglądać nawet zapomocą lornetki, zostawiłem innym do inspekcji.

Cały niemal park jest opasany doskonałą drogą, powiedziałbym bulwarem. Do piękniejszych dolin, jezior i gór prowadzą dogodne drogi samochodowe, połączone z okrężną linją komunikacyjną. Więc swobodnie jedziesz i patrzysz!... Jeżeli ci się to lub owo jeziorko albo góra podoba, zjeżdżasz z głównej drogi i jadąc kilka lub kilkanaście mil, stajesz w pięknej kwaterze hotelowej lub małych domkach zwanych „chalets", nad brzegiem jeziora lub u stóp niebotycznej skały.

Gdyby tak czasu i pieniędzy starczyło, warto zaglądnąć do każdej uroczej doliny i wysokiej góry. Rybak może tu łowić pstrągi w rwących strumykach górskich i głębokich jeziorach lodowcami wyżłobionych. Wolno mu chwycić pięć na dobę. Wszelka zwierzyna jest otoczona opieką rządu. Polować nikomu nie wolno. Na szczytach górskich przez szkła można czasem obserwować stada dzikich kóz. Jelenie, sarny i łosie spotyka się dosyć często.

Przejeżdżam mimo uroczej doliny rzeki Cut Bank. Parę mil dalej na północ wabi mnie wąskie, głębokie i na kilka mil długie jezioro St. Mary's Lake, połączone rzeką z drugiem jeziorem.

Jadąc jeszcze dalej na północ, zbliżam się do Lake Sherburn i wzdłuż brzegu zapuszczam się wgłąb gór do — Many Glacier Hotel.

Miało się już ku wieczorowi, gdym dojechał do tej zaczarowanej doliny. U stóp wspaniałych gór, śniegiem i lodowcami pokrytych, znajduje się małe jeziorko Swift Current, a przy niem olbrzymi hotel, z bierwion i nieheblowanych desek zbudowany. Momentalnie znalazłeś się w wymarzonej krainie — nowej Szwajcarji. Z werandy hotelu patrzysz na refleksy gór w niebieskiej tafli jeziorka. Kolebiąc się na wygodnym „rocking cierze", (kolebaczu), obserwujesz załamujące się promienie zacho-

dzącego słońca w tych niemal prostopadłych szczytach odwiecznych granitów. Dostałem dosyć niewygodną, ale zato słono opłaconą kwaterę w jednym z domków, powabnie zwanych „chalets".

Obiad podany w hotelu przez kelnerki po szwedzku ubrane, wygłodzonemu turyście znakomicie smakował, ale też „słono" płaciłem. Zato natura dla tak dostojnego gościa urządziła miłą i bezpłatną niespodziankę.

Cóż może być wspanialszego nad burzę w górach?!... Ot nie zwykłą burzę, ale taką z błyskawicą, piorunami i ulewą! Słońce już się skryło hen za górami. Ciemne chmury opasały granitowe szczyty i skryły je przed okiem turysty. Gwałtowny wiatr, zwiastun ulewy, przyniósł ze sobą głęboki pomruk grzmotów. Od czasu do czasu błyskawice chwilowo oświetlały szare, ponure, ale groźne szczyty skał! W tym momencie góry robiły wrażenie tajemniczej, niezmierzonej potęgi, przeciwstawiającej się innej sile, która je chce złamać, zniszczyć i w gruzy obrócić. Te zaś, dumnie wzniósłszy czoło, zbrojną ku niebu podnoszą rękę i zdają się mówić: — „Miljony takich burz przetrzymałyśmy! Ciebie się nie boimy! Szybko miniesz, a my pozostaniemy, — twarde, niewzruszone, odwieczne!

A jednak, każda burza pozostawia po sobie ślady. Tu złamane drzewo, tam podmyta skała z hukiem zawaliła się w przepaść, ówdzie rwące potoki, coraz głębiej żłobią odwieczne mury.

Rychło rano wschodzące słońce znów złotym promieniem oblewa surowe, niedostępne szczyty. Czem prędzej zrywam się z łóżka, aby zrobić kilka zdjęć i przynajmniej obrazkiem się z czytelnikiem podzielić.

W nad wyraz uroczem miejscu, przy małem jeziorku, kolej Great Northern zbudowała hotel zwany: Many Glacier Hotel. Filary hotelu stanowią olbrzymie sosny — ściany, drzwi robione z prostych desek. Zato krzesła, dywany, oświetlenie elektryczne dają jakąś dziwną kombinację nowoczesnego komfortu z prymitywnem, leśnem otoczeniem...

Na szerokiej werandzie, tuż przy jeziorze, możesz z wygodnego kolebacza podziwiać ogromne, granitowe góry, lodowcami zdobne. Dla wygody turysty przygotowano rodzaj kompasu wskazującego wszystkie pobliskie szczyty i ich nazwy.

Wygodną motorówką przewożą gości na drugą stronę jeziora, a stamtąd po krótkiej przechadzce, docieramy do jeziora Lake Josephine. Tu czeka na nas drugi wygodny transportowiec. Płyniemy wśród wspaniałych gór — ku lodowcom... Z ogromnej wysokości spływają do jeziora białe jak srebro, górskie strumyki, powstałe z topniejących śniegów i lądolodów. Parę lat temu pożary częściowo zniszczyły lasy w tych przepięknych dolinach. Pozostały opalone pnie i uschłe, odarte z kory drzewa. Zato rozpanoszyły się tu bujne, fioletowego koloru zielska, zwane „fire weed“, gdyż zawsze rosną w okolicach pożarem dotkniętych. Po zwiedzeniu okolicy, wracam do hotelu.

Przy słupkach za hotelem stoi rząd osiodłanych koni. Niektóre obładowane pakami, gotowe do wycieczki w góry. Turyści ubrani w ciężkie jupy, kobiety w szerokich hajdawerach i butach, wsiadają na konie. Przewodnicy w śpiczastych kapeluszach o dużych rondach, z czerwonemi chustkami na szyi, „a la cowboy“, za chwilę zabiorą tę czeredę na kilkudniową wycieczkę w góry. Tam zbliska zapoznają sie z lodowcami, drzewami, przepaściami i niewygodami. Kto ma czas, a lubi przytem górską faunę, florę, a przedewszystkiem — geologję, powinien wyprawić się na taką wycieczkę, pod kierownictwem fachowców. Dla mnie wystarczy, jeżeli to sobie zdaleka, z wygodnego krzesła, przez szkła oglądnę — bez trudu, mozołu i zbytniego kosztu.

Napotkałem w hotelu jegomościa, który wykwintnym, cowboyowskim strojem zwraca na siebie uwagę. Na głowie ogromny kapelusz, ma na sobie kurtkę skórzaną, grubo paciorkami w piękne kwieciste wzory wyszywaną, chustkę czerwoną na szyi, buty z cholewami. Po krótkiej pogadance dowiaduję się, że to przewodnik a równocześnie myśliwy rządowy. Tylko zamiast strzelby czy karabinu używa powroza. Chwyta zapomocą sznura żywe pumy, lamparty i inne drapieżne zwierzęta. Pokazywał mi ręce i palce pokaleczone i pazurami dzikich zwierząt podrapane.

Spędziwszy kilka błogich chwil w tym zaczarowanym zakątku, ruszam okrężną drogą na zachodnią stronę parku. Wszędzie przy drodze pełno przecudnych kwiatków. Zdawałoby się, że ludzie je tu posiali, a tymczasem wszystko dziko rośnie. A jakie to piękne, ile tu gatunków, kolorów a nawet zapachu. Od stacji Glacier Park do Belton, jeszcze doniedawna

transportowano samochody koleją. Teraz przez ten górzysty przesmyk zbudowano drogę tuż obok torów kolei Great Northern.

Ciekawą mi o tym przesmyku opowiadano historję. Magnat kolejowy, Jim Hill, chciał swą linję przerzucić przez Góry Skaliste i połączyć równiny Minnesoty i Dakoty z Oceanem Spokojnym. Wysłał inżynierów, aby szukali za niskim przesmykiem w górach, dogodnym do przeprowadzenia torów kolejowych. Dłuższe poszukiwania były daremne. Wszędzie drogę zagradzały ogromne góry, a doliny, na które natrafiono, były niedpowiednie. Chodziły jednak pogłoski, że Indjanie znali dogodne przejście, ale nie chcieli go wskazać. Jeden z inżynierów, nazwiskiem Stevens, zaprzyjaźnił się ze starym Indjaninem z plemienia Black Feet. Upoił go wódką i ten dopiero z wielką obawą wskazał mu dolinę, zwaną teraz Maras Pass.

Według tradycji Indjan, wiele lat temu, wojownicy jego plemienia, przeszli tym wąwozem i napadli na sąsiadów z plemienia Flatheads — „płaskie głowy". W zwycięskiej bitwie zabrali do niewoli, niby to w jasyr, kilkanaście kobiet przeciwników. Wracając przez góry, chcieli się trochę z niemi „zabawić". Indjanki jednak wolały śmierć, niż hańbę! Rzuciwszy klątwę na wrogów, skoczyły w przepaść. Od tego czasu żaden Indjanin z plemienia Black Feet tam nie szedł ani nawet o tem miejscu nikomu nie wspominał...

Stevens, idąc za wskazówkami pijanego Indjanina, odkrył przejście, najniższe ze wszystkich. Zaskoczyła go jednak straszna śnieżyca. Całą noc brnął w śniegu, aby nie zmarznąć. Kolej Great Northern wystawiła mu za to pomnik przy stacji kolejowej Summit.

Droga samochodowa nie była jeszcze zupełnie wykończona i jest ona przytem kręta, a we wielu miejscach spadzista i nierówna. Trzeba było uważać, gdyż jedno fałszywe posunięcie mogło spowodować nieszczęście. Jechałem mile całe nad ogromnemi przepaściami. Powoli pchałem się ku zachodowi, wzdłuż głębokiego jaru czyli kanjonu rzeki Flathead. Po przeciwnym brzegu rzeki, pnie się w górę serpentyną kolej Great Northern. Gdzie niegdzie ponad torami zbudowano ogromne szopy, by zabezpieczyć tory przed spadającemi skałami, a zimą — przed zaspami śnieżnemi. Komunikacja kolejowa w porze zimowej napotyka tu na ogromne trudności. Nieraz śnieżyce i lawiny zasy-

pują pociągi tak głęboko, że całemi tygodniami nie można ich z tych zasp śniegowych wydostać. Używają do tego rotacyjnych pługów, przyczepionych do dwóch lub trzech zapasowych lokomotyw. Jest to właściwie olbrzymia, parą pędzona turbina, która niby wielki świder wierci tunel w zaspach śniegowych.

Mocno znużony zatrzymałem się na noc na drugim końcu parku, w miasteczku Belton. Po całonocnym wypoczynku w przydrożnej kwaterze, wjeżdżam znów do parku, ale od strony zachodniej. Główną atrakcją dla turysty jest jezioro McDonald, jakie pół mili szerokie i kilkanaście mil długie, okolone ze wszech stron górami. Jeszcze doniedawna było otoczone lasem. Niestety, pożary zwykle przez nieostrożność ludzką spowodowane, zniszczyły ogromną połać wspaniałych lasów. Rząd w tych sprawach poniekąd ponosi winę. Przy drodze leżą nieraz ogromne zwały drzewa, gałęzi i wszelkiego śmiecia. Najprzód jest to bardzo rozrzutna gospodarka leśna, a powtóre kupy suchego drzewa i gałęzi, gęsto wśród lasu rozrzucone, łatwo powodują pożary i nieobliczalne wprost szkody. W dalszym ciągu tej podróży poświęcę więcej czasu sprawie naszych lasów i gospodarce rządowej.

Doskonałą drogą, wzdłuż jeziora, wdzieram się równocześnie wgłąb i w górę olbrzymiego parku, do przesmyku — Logan Pass. Z początku pochyłość jest nieznaczna, poczem stale się zwiększa i przez kilka mil świdruje się coraz wyżej serpentynami i dosyć ostremi skrętami. Jadę t. zw. Logan Pass na sam szczyt gór Skalistych. Linja działu wodnego, znajduje się tu na wysokości blisko dziesięciu tysięcy stóp. Tu już śniegu poddostatkiem. Małe potoki sączą się ze zasp śniegowych — jedne na wschód do Atlantyku, a drugie na zachód — do oceanu Spokojnego. W parku jest góra, z której zlew wód płynie w trzech kierunkach: na wschód, zachód i północ.

Za rok lub dwa będzie można wspaniałą drogą przejechać przez sam grzbiet i najpiękniejszą część parku. Droga od strony wschodniej jeszcze nieskończona, ale intensywnie nad jej wykończeniem pracują. Często rozlega się huk dynamitu, którym rozsadzano skały. Bardzo ciekawe wrażenie robiło echo tych eksplozyj, przez czas dłuższy odbijając się o granitowe ściany górskie. Jeszczem raz z tego najwyższego szczytu okiem rzucił na te urocze, lasami porosłe doliny i śniegiem pokryte góry.

Ten park z 60 lodowcami, 250 jeziorami, 20 dolinami, śmiało może iść w zawody z najpiękniejszym zakątkiem Szwajcarji. Wracając, zatrzymałem się chwilkę nad jeziorem McDonald, na przekąskę.

Pożegnałem wreszcie imponujący park lodowców.

Inicjatywę do jego utworzenia, jak się później dowiedziałem, dał t. zw. „timber cruiser", rodzaj leśniczego, który ocenia, a właściwie oblicza ilość drzewa w lasach. Nazywał się W. J. Hiligass. Taksując lasy, należące do kolei Great Northern, wciąż nagabywał swego „bosa" James J. Hilla, aby z tej ogromnej połaci stworzył park narodowy. Zachwycał się wspaniałemi jeziorami, lodowcami i górami. Hill miał mu powiedzieć, że jeżeli to nie będzie kosztowało więcej niż pięćdziesiąt miljonów dolarów, to założy park. Kolej dała inicjatywę, mając oczywiście transport turystów na oku. Z czasem rząd federalny park przejął i teraz wszystko przeszło na własność rządu. Z powodu tego parku, Hill, magnat kolei Great Northern, rzucił słynne hasło — „See America First" — Wprzód zobacz Amerykę.

Żwirem posypana droga, wzdłuż rzeki Flathead, wiedzie turystę do miasteczka Kalispell. Schludne i czyste miasteczko. Szeroka ulica i kilka większych składów zdają się zapraszać podróżnika do siebie. Już od dłuższego czasu nic nie widzę tylko góry, lasy, śniegi i kręte, a nieraz bardzo strome drogi. Kieruję się ku południowi, wzdłuż ogromnego jeziora Flathead. Okolica piękna, jeszcze nie straciła pół-dzikiego uroku. Po wschodniej stronie jeziora piętrzą się góry Skaliste, a właściwie jedno z mniejszych pasm — Mission Range. Po stronie zachodniej drogi dojrzewają łany pszenicy, rosną małe sady i ciemne lasy. Jadę przez państwową rezerwację leśną „Blackfeet National Forest". Tu i ówdzie nad brzegiem jeziora pracują tartaki, a przy nich ciągną się ogromne składy drzewa.

Nie zatrzymuję się ani chwilki, tylko walę dalej. Droga szeroka, prosta i równa, chociaż szuter kurzy jak nieszczęście. Czasem napotykam stada bydła i koni. Widać, że klimat i pasza im tu służy, gdyż wyglądają wyśmienicie. W paru godzinach zrobiłem tą malowniczą doliną dziewięćdziesiąt mil w kierunku południowym. W małej wiosce Ravalli, (zapewnie Włosi tu się zagospodarowali) zwracam się ostrym kątem w kierunku północno-zachodnim. W tych stanach drogi idą nie tak, jakby so-

bie tego życzyli turyści czy inżynierzy drogowi, ale jak się ułożyły pasma gór i dolin.

Wjeżdżam więc w nową dolinę górską, utworzoną przez łańcuch „Cabinet Range". Droga prowadzi wzdłuż rzeki Clarks Fork, tak nazwanej na cześć jednego z przywódców ekspedycji rządowej, która w tych stronach przedzierała się ku oceanowi Spokojnemu, w roku 1804—06. Przy zachodzącem słońcu niewielka dolina, szeroka rzeka, a małe i biedne domki osadników tworzą malowniczy obraz. Mapa nie pokazuje żadnych większych osad. Niekiedy napotykam stacje kolejowe i parę nędznych chałup. Więc pospieszam, o ile kręta, a miejscami kiepska droga pozwala.

Po całodziennej podróży, zrobiłem 269 mil, zakwaterowałem się w małej wiosce Thompsom Falls. Jutro niedziela, więc się tu na cały dzień zatrzymałem. Po całotygodniowej podróży będę tu „dzień święty święcił" chociaż do najbliższego katolickiego kościoła jest sześćdziesiąt mil przez góry, zatem łącząc „przyjemne z pożytecznem" wyciągam Underwod Portable i zamiast śpiewać przy organach, zagram na klawjaturze maszynki do pisania, aby się podzielić z czytelnikiem tem, co w podróży dotychczas widziałem. Jak zawsze, bagaż pisarski pozostaje daleko w tyle za naszą samochodową awangardą, gdyż piszę o Chicago, a jestem na krańcu Montany.

Thompson Falls to ciche, górskie miasteczko, a właściwie wioska. Jedna ulica, mały hotelik, restauracja, kilka sklepów, szkoła, kilkadziesiąt domów i nic więcej. W dolinach osadnicy trudnią się hodowlą bydła, tu i ówdzie jakiś prospektor łazi i szuka za złotem lub innym drogocennym metalem. Konsorcja leśne wycinają bory i rzną deski. Mały wodospad na rzece Clarks Fork zaopatruje w prąd elektryczny okoliczne wioski i miasteczka.

Po całodziennym wypoczynku w poniedziałek ruszam w dalszą drogę. Mając chwilę wolnego czasu, zawsze dokładnie studjuję mapy poszczególnych stanów, odległość miast i co jest najważniejsze dla turysty — drogi. Ruszam dalej w kierunku północno-zachodnim, wzdłuż tej samej rzeki Clarks Fork. Kilkanaście mil mamy szeroką nową drogę. Potem jadę starą, krętą, leśną drogą do miasteczka Clarks Fork. Stamtąd znów nowy, szeroki „gościniec". Po kilkugodzinnej podróży z Thompson

Falls, przekroczyłem granicę zachodnią Montany we wiosce Cabinet i wjeżdżam do północnej części stanu Idaho, który tu wąskim klinem wciska się między Montanę i Waszyngton i graniczy z Kanadą.

---

Rozdział XVII.

## IDAHO.

Kilkakrotnie już wspominałem o ekspedycji wywiadowczej pod wodzą dwu oficerów, nazwiskiem Merriwether Lewis i Willian Clark. Z polecenia prezydenta Jeffersona mieli zbadać ogromny teren na zachód od rzeki Mississippi, zakupiony od Napoleona, a wtenczas nikomu nieznany. Oczywiście — ograniczę się tylko do krótkiej historji kraju i do wzmianki o tej ciekawej wyprawie.

Stany Zjednoczone powstały po Rewolucji 1776 do 1782 roku, za czasów Waszyngtona. Trzynaście kolonij objętych walką o niepodległość tworzyły stany Nowej Anglji, Nowy York, Pensylwanja, i stany nad brzegiem Atlantyku położone do południowej Caroliny. Reszta kraju była wtenczas „terra ignota" — ziemia nieznana. Dopiero po rewolucji zaczęli koloniści posuwać się coraz dalej na zachód, ku rzece Ohio, a potem Mississippi.

Floryda była posiadłością hiszpańską. Louisiana i okolice nad zatoką Meksykańską, wzdłuż rzeki Mississippi, należały do Francji. Texas i stany południowo-zachodnie, jak New Mexico, Arizona, California były częścią Meksyku.

Florydę wyłudziliśmy od Hiszpanów za pięć miljonów, Louisianę z całą doliną rzeki Mississippi kupiliśmy od Francuzów za dwanaście miljonów, stany południowo-zachodnie, jako łup wojenny, zabraliśmy Meksykanom.

Prezydent Jefferson, za którego rządów przeprowadzono tę ogromnie dla nas korzystną transakcję z Francją, chciał się dowiedzieć, co to za kraj leży na zachód od rzeki Mississippi i wzdłuż rzeki Missouri i czy z tego będzie jaki pożytek dla narodu. Wyznaczył dwu kapitanów, przydał im trzydziestu doborowych żołnierzy, zaopatrzył w łodzie i wszelkie przybory potrzebne do takiej długiej i niebezpiecznej wyprawy. Ekspedycja ru-

szyła z miasta St. Louis w maju 1804 roku. Płynęli trzema dużemi łodziami w górę rzeki Missouri. Na jesień dotarli do Mandan, osady Indjan z plemienia Sioux'ów. Tu zatrzymali się przez zimę, w odpowiednio zbudowanych szałasach i domkach. Na wiosnę, czyniąc przygotowania do dalszej podróży, szukali przewodników wśród Indjan, którzy znali te okolice i mogli im towarzyszyć. Nikogo jednak nie znaleźli, prócz młodej Indjanki nazwiskiem Sacajawea. Pochodziła z plemienia Flatheads, zamieszkującego w zachodniej Montanie i Idaho. Jako młoda dziewczynka, dostała się do niewoli i z wyprawą wojenną Sioux'ów przybyła przez góry skaliste w dakockie stepy. Wyszła zamąż za francuskiego trapera. Ona właśnie z małem niemowlęciem, modą Indjańską zawieszonem przez plecy, zaofiarowała się przeprowadzić ekspedycję przez góry Skaliste w okolice rodzinne. Z jakąś nadzwyczajną zdolnością, wprost intuicją, prowadziła tę wyprawę przez dzikie lasy, pustynie, rzeki, góry — do Idaho, oddając jej często ogromne usługi. Wśród plemienia Flatheads, gdy tam po kilku miesiącach szczęśliwie dotarli, rozpoznała jeszcze krewnych i braci, którzy się ogromnie ucieszyli z jej powrotu.

Wyprawa trwała dwa lata. Teraz możnaby tę samą drogę odbyć samochodem w dwóch tygodniach. Przewodnicy wyprawy w pertraktacjach z Indjanami okazali dużo taktu i sprytu. Wodzowi szczepu, zawsze oddawali specjalne honory i wręczyli tani, ale zato duży medal na szerokiej barwnej wstążce, jako dowód przyjaźni od samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Innym wybitnym członkom dawali mniejsze medale, czasem paciorki, chustki czerwone i tanie świecidełka. To ich jak najlepiej do białych usposabiało. W ten sposób zaopatrywali się w niektóre artykuły żywności, przeważnie suszone jagody, korzenie, któremi się karmili Indjanie, wędzone ryby, mięso, psy i konie. Szczególnie psy stanowiły często „piece de resistance" naszych bohaterów i jak twierdzą w swych pamiętnikach, tak się do psiego mięsa przyzwyczaili, że im smakowało daleko lepiej od dzikiej zwierzyny. Indjanie śmiali się z białych, że psy jedli, ale na bezrybiu i rak ryba. Co było robić na pustyni, gdy głód dokuczał?! Dobrze było, jeżeli dało się utargować kilka tłustych psów, bo z chudego nie było zbyt wielkiej pociechy, ani „bankietu".

W swych pamiętnikach jeden z przewodników opisuje, że nieraz cała ekspedycja tak była głodem wycieńczona, że ledwo

się na nogach trzymali. Gdy zaś udało im się coś upolować, przebierali miarę w jedzeniu i ...chorowali. Na szczęście, mieli duży zapas gorzkiej soli, więc następowało po bankiecie ogólne... czyszczenie. Indjanie, do których dotarli w Idaho, gdzie teraz jedziemy, tak byli z nędzy wycieńczeni, że niemal z głodu umierali. Podczas polowania żołnierze zastrzelili kilka saren, a zgłodniali Indjanie rzucili się na nie, jak wilki. Wnętrzności połykali z taką łapczywością, z jaką Włoch zajada makaron. To się zowie „flaki po indjańsku" — bez czyszczenia i gotowania — tak „en nature".

W głębokich lasach ekspedycja miała zwierzyny poddostatkiem. Na stepach pasły się ogromne stada bawołów, dostarczające im mięsa i skóry na ubrania i obuwie. Zato nieraz mieli ciężką rozprawę z dużemi niedźwiedziami, zwanemi „grizzly" — ursus terribilis. Takiemu niedźwiedziowi wpakowali kilka kul pod żebra, a ten szedł na nich z pyskiem. W takiej opresji to i sam Zagłoba gramoliłby się z nimi na drzewo, jak małpa. Okropnie im też dokuczały jadowite komary, muchy i inne owady, przed któremi nie było ratunku. Na pustyniach podczas dnia panowały straszne upały, a w nocy dolegało zimno. W Idaho było im najgorzej. Mieli jednak tę pociechę, że przeszli najwyższe góry i powoli staczali się ku brzegom oceanu Spokojnego. Dotarłszy do rzeki Snake, zbudowali z kory brzozowej kilka łódek i temi płynęli do rzeki Columbia, a nią do oceanu.

Przy ujściu rzeki, gdzie teraz jest miasto Astoria, zatrzymali się przez zimę w nadziei, że tam przypłynie jaki okręt i będą mogli odnowić zapasy żywności, koralików, medali i wszystkiego, na czem im zbywało. Niestety, żaden okręt się nie pokazał, chociaż kredytu i pieniędzy na kupno towarów mieli poddostatkiem. Więc też na wiosnę wraz z Sacajaweą ruszyli w powrotną drogę. Nie mogąc wszystkiego ze sobą zabrać, porobili w lasach skrytki t. zw. „cache" i to im dużo pomogło do odbycia powrotnej drogi w o wiele krótszym czasie.

W tej dwuletniej wyprawie, mimo ogromnych trudów i niewygód, zaledwo jeden z żołnierzy umarł w drodze i to jeszcze na samym początku, gdy płynęli wgórę rzeki Missouri. W Portland Oregon, w parku miejskim zbudowano piękny pomnik bohaterom tej wyprawy. Także w Bismark, North Dakota, jest pomnik bronzowy ku czci dzielnej Indjanki, która nadzwyczajną orjentacją wielce się przyczyniła do pomyślnego przeprowadzenia ekspedycji.

Stan Idaho wywodzı nazwę od Indjan plemienia Shoshone. W ich narzeczu — i-dah-ho — oznacza — „błyszczące góry“. Zapewne mieli na myśli śniegami pokryte pasmo gór Skalistych, które kilku łańcuchami w różnych kierunkach stan ten przecina. Według ostatniego spisu ludność wynosi 445,000 mieszkańców. Co do obszaru, Idaho jest na dwunastem miejscu, ma bowiem 83,888 mil kwadratowych. W roku 1810 nad rzeką Snake zbudowano małą placówkę, głównie dla wymiany futer, a w roku 1834 powstał Fort Hall, gdzie się kilka linij i dróg pionierskich łączyło. Piękne doliny nadają się do uprawy rolnej.

Specjalnością tego stanu są duże kartofle, bardzo smaczne, jeżeli pieczone, bo gotowane nie smakują wcale. Podobno wulkaniczny popiół daje im ten wielki kształt i odmienny smak. Prócz produktów rolnych, hodowli owoców i warzyw, Idaho posiada ogromne lasy i kopalnie złota, srebra, ołowiu i miedzi, a może wielu innych minerałów. W każdym razie, gór, dolin, pustyń i lasów im nie braknie.

Z Clarks Fork szeroka nowa droga prowadzi wzdłuż bardzo pięknego jeziora, które Francuzi dla kształtu, przypominającego kolczyk, nazwali Pend d'Oreille. Poprostu z obrazka zdjęty tutejszy krajobraz. Na horyzoncie piętrzą się potężne góry, a w malowniczej dolinie wije się rzeka wśród żyznych łąk, na których pasą się liczne trzody bydła, świadcząc o dobrobycie tutejszych osadników. Miasteczko Sand Point, nad brzegiem tego jeziora położone, wabi do siebie. Turyści w okolicach tak ponętnych i uroczych mogą mile spędzić całe wakacje. Rybaka ciągną wspaniałe, a rybne jeziora, ambitniejsi mają sposobność wskrabywać się na wysokie góry, inni czas spędzą w dziewiczych lasach. Mimoto nie zatrzymuję się, ale zasięgnąwszy informacji co do dróg, opuszczam miasteczko, jadąc długim drewnianym mostem, chlebocącym się na wszystkie strony. Właściwie przekraczam odnogę jeziora o pięknej nazwie Pend d'Oreille i jadę w kierunku południowym, ku miasteczku Coeur D'Aleine.

Francuzi to dziwny naród! Na całym kontynencie amerykańskim zostawili swe piętno, tak, jak Francja rozpostarła swój wpływ i kulturę na całym świecie. Wszędzie napotykamy francuskie nazwy. Tu jest Pend d'Oreille, Couer d'Aleine, w Wisconsin mieliśmy Fond du Lac, Prerie du Chien, w Dakocie Laque qui Parle, w Wyoming Rivier du Pudre i tak wciąż przekraczamy

ścieżki tych wytrwałych, niezmordowanych „coureurs des bois", których kolebkę był Quebec w Kanadzie, a prastarą ojczyzną — Francja.

Okolica piękna. Naprzemian napotykam sady owocowe, to znów pola pszenicy, gotowej do sieczenia. Wzgórza pokryte zielonym lasem. Za parę godzin, dotarłszy do Coeur d'Aleine, zwracam się na zachód i szeroką z betonu robioną drogą, pośpieszam ku Spokane, Washington. Cóż to za przyjemność, po kilku tygodniach jazdy krętemi i stromemi, a pełnemi kurzu drogami wjechać na drogę równą, twardą i bez kurzu. Parę mil za Coeur d'Aleine opuszczam Idaho, a wkraczam do stanu Washington, na samym północno-zachodnim końcu kraju położonego.

---

Rozdział XVIII.

## WASHINGTON.

O ile wiadomo, pierwszymi białymi ludźmi, którzy w te strony zawitali, byli marynarze. Hiszpan Juan Perez 1774, a więc dwa lata przed rewolucją, pierwszy oglądał śniegiem pokryte szczyty gór Olimpu. Drugi Hiszpan, rok później, odkrył rzekę Columbia, ale z powodu szybkiego prądu wkrótce zawrócił na morze. Kapitan Gray w r. 1792 popłynął nią w głęb kraju i nazwał ją Columbia. Od strony lądu, pierwszymi odkrywcami byli członkowie ekspedycji Lewisa i Clarka, o których wspomniałem w poprzednim rozdziale. Z Idaho, rzeką Snake, dopłynęli do ogromnej rzeki Columbia i po nadzwyczajnych trudach i niebezpieczeństwach dotarli do oceanu Spokojnego d. 7-go listopada 1805 roku. Widok oceanu i ostateczny triumf był dla całej wyprawy wielką satysfakcją.

Kapitan Lewis w pamiętnikach opisuje przerażenie tutejszych Indjan, którzy po raz pierwszy widzieli ludzi białych. Gdy w dodatku usłyszeli huk strzału i zauważyli dwa ptaki, jakby piorunem rażone, spadające na ziemię, upadli na kolana, z rezygnacją pochyliwszy głowy, wyczekiwali śmierci. Po chwili, gdy im się nic złego nie stało, a tem bardziej gdy zauważyli Indjankę wśród białych, nabrali do nich zaufania i spokojnie zapalili fajki pokoju i przyjaźni. Indjanie z tutejszych okolic zajmowali się przeważnie rybołóstwem. Rzeka Columbia była wprost zawalona rybami, szczególnie łososiami, które w wiosennej porze z oceanu ogromną ławą napływały. Indjanie suszyli ryby na słońcu, potem wędzili, kamieniami tłukli na miazgę i kładli do trzcinowych koszyków, poprzednio skórą ryb wyłożonych. Wędzone ryby przechowywały się czas długi. Mieszkania Indjan były niechlujne w najwyższym stopniu, pełne dymu, a co białym najwięcej dokuczało — to

pchły. Wielu Indjan, według opisu przewódców, cierpiało na choroby oczne, zapewne od dymu.

Kilka mil na zachód od uroczego miasteczka Coeur d'Aleine przekroczyłem granicę Stanu Waszyngton. Nazwę otrzymał po pierwszym prezydencie i „ojcu kraju" Jerzym Waszyngtonie. Stan leży w północno-zachodnim kącie kraju, nad oceanem Spokojnym i graniczy bezpośrednio z Kanadą. Obejmuje przeszło dziewięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych. Ludności posiada ponad półtora miljona, co na stan zachodni jest dosyć dużo, chociaż miejsca jeszcze mają nadto.

Celem podróży jest miasto Spokane. Po obu stronach drogi widać małe skrawki ziemi, starannie uprawione. Wszędzie małe, jednopiętrowe, z drzewa przeważnie budowane domki mieszkalne, zwane „bungalows". Przy każdym widać kwiaty, ogrody warzywne, szpalery malin i pełno drzew owocowych. Klimat w tej uroczej dolinie nadaje się do hodowli jarzyn i owoców. Widać wszędzie dostatek, dobrobyt i spokojne życie na roli, chociaż w pobliżu wielkiego miasta. Ludzie tu są wprost idealnie sytuowani. Samochodem, za parę godzin, może obozować w dzikich kniejach górskich lub też popasać nad cudnemi, a rybnemi jeziorami. Jeżeli go zaś wabią dzikie stepy i pustynie, to na zachód od miasta może bardzo prędko zadowolić swe pragnienia i ambicje.

Spokane jest jeszcze młode, a jednak piękne, schludne i ambitne. Wobec innych osad — to zaledwo młodzik, może jakie sześćdziesiąt lat wieku, a przecież posiada około stu tysięcy mieszkańców. Potężny wodospad dostarczający siły wodnej miejscowemu przemysłowi, dał początek tej prosperującej metropolji zachodu. Tuż w górach, w obrębie kilkudziesięciu mil, wydobywają ołów, złoto, srebro, miedź, węgiel i wiele innych minerałów. Rolnictwo i ogrody, a przedewszystkiem jabłka, których roczna produkcja w tych stronach przenosi wartość pięćdziesięciu miljonów dolarów, przyczyniają się do szybkiego wzrostu i dobrobytu miasta. Piękne parki miejskie, wspaniałe gmachy i sklepy mnie już nie interesują. Więc też po wypoczynku w wygodnych kabinach, zaopatrzonych w kąpiel, piece do ogrzewania i gotowania, oraz wszelkie wygody dla turysty, ruszam rychłym rankiem w dalszą drogę.

Tuż za miastem, wjeżdżam w olbrzymie, górzyste stepy, zwane tu „prerjami". Z początku napotykam dosyć liczne zagrody

farmerskie i olbrzymie pola pszenicy. Nie przypuszczałem, że stan Waszyngton produkuje pszenicę na tak olbrzymią skalę. Wszędzie widać złote łany. To czas żniw w tych stronach. Zamiast zwykłych żniwiarek po polsku zwanych „bańdrów — wiązarek, na złocących się łanach pracują olbrzymie maszyny zwane „combines". Taka maszyna, nie włączając traktora lub czołga, kosztuje do dwóch tysięcy dolarów. Przeciętna wydajność zboża na akier jest od piętnaście do dwudziestu buszli. Buszel pszenicy ma sześćdziesiąt funtów czyli około dwadzieścia ośm kilo. Dawniej płacono przynajmniej dolara za buszel, teraz, podczas depresji, sprzedawano buszel po jakie trzydzieści pięć centów, a mimoto, tysiące, a może nawet miljony ludzi w Ameryce poprostu głodują. Wśród złotych pól pszenicy trafiają się szmaty pustej, bylicą porosłej ziemi. Potem znów ukazują się olbrzymie pola zboża. Dziwna kombinacja pustyni i pszenicznej ziemi.

Około sto mil na zachód od Spokane, wjeżdżam na bezludne, górzyste stepy, porosłe bylicą — „sage brush". Wśród niewielkich wzgórz, docieram do szerokiej doliny, która w okresie lodowców, tworzyła olbrzymie jezioro i rzekę. W przedhistorycznych czasach był w tem miejscu wodospad, trzy lub cztery razy większy od Niagary. Potężny strumień wody, jakie pół mili szeroki, staczał się przez wieki całe z wysokości przeszło czterystu stóp. Siła wody wyżłobiła głębokie koryto w twardej skale na kilkanaście mil długie. Nic z tego nie pozostało, tylko skały i głębokie wyrwy. Tam gdzie się kiedyś z potężnym hukiem waliła olbrzymia, przez ludzi nie widziana Niagara, pozostało małe jeziorko, stęchłej, zielenią pokrytej wody.

W małym, murowanym kiosku przy „suchym wodospadzie" spożywam przekąskę i zapomocą słabej wyobraźni staram się go sobie przedstawić. Już chciałem powiedzieć, że prohibicja go wysuszyła, ale to zapewne nastało jeszcze za czasów przedpotopowych mamutów, ichthyosaurów i innych pojęcie ludzkie przechodzących potworów.

Przez wzgórza i pustynne przestrzenie pospieszam dalej na zachód ku dolinie rzeki Columbia, zwanej Wenathe — Łenaci — a słynnej na cały świat z cudnych owoców, szczególnie jabłek. Po parugodzinnej podróży przez te pustynne wzgórza, spuszczam się kilku milową serpentyną w tę uroczą dolinę rzeki Columbia. Z bezludnej pustyni, za kwadrans, wjeżdżamy do przecudnego

ogrodu. Co za kontrast! Jak okiem sięgniesz, widzisz po obu stronach rzeki zieleń olbrzymich sadów owocowych. A co tu za owoce rosną na tej wulkanicznej, piaszczystej ziemi! Może nawet Adam w raju takich smacznych owoców, szczególnie jabłek nie kosztował?! Gorąco jak w piecu. Jadę wąską, a z obu stron, wysokiemi górami opasaną doliną. Szeroka asfaltowa droga prowadzi wśród wspaniałej zieleni sadów. Wszędzie tylko drzewa owocowe: brzoskwinie, śliwki, grusze i jabłonie gęsto tykami popodpierane, gdyż poobłamywałyby się gałęzie od obfitego zbioru. Wśród zieleni sadów zauważyć można piękne i z wszelkim komfortem urządzone domy właścicieli.

Przy drzewach porobiono głębokie brózdy, któremi płynie cudotwórcza woda rzeki Colorado. Liście mają jakiś siwawy kolor: to trucizna, którą wszystkie drzewa gęsto skrapiają. Robak raz skosztuje zakazanego owocu i już po nim. Ponieważ są tu rozmaite gatunki muszek i robaków, szkodzących drzewom lub owocom, więc też stosownie do ich smaku dobierają rozmaite trucizny od arszeniku do — nikotyny. Sztuczne nawozy, sztuczna irygacja, walka z owadami, staranna klasyfikacja, inspekcja, opakowanie owocu, zyskały tutejszym ogrodnikom sławę, fortunę i rynki zbytu na całej kuli ziemskiej. Za parę centów, w przydrożnych budkach, dają ci kosze całe najsmaczniejszych śliwek, wiśni, gruszek i jabłek. Co to za delicje takie dojrzałe na drzewie owoce albo tutejsze maliny! Na samą myśl o tych dobrociach, ślinka idzie do ust. Nic dziwnego, że nasz praojciec Adam dał się skusić na „owoc z drzewa zakazanego“, a miały to pono być jabłka?... W samem centrum tej uroczej doliny rozwinęło się bardzo piękne miasteczko Wenatchee, którego jedyną pracą jest pakowanie i wysyłanie owoców z tej uroczej doliny do wszystkich zakątków kuli ziemskiej.

Nieco dalej na południe jest druga taka owocodajna dolina, przy rzece Columbia — Yakima Valley. Droga z tej zaczarowanej krainy, pachnącej dojrzewającemi owocami, pnie się w górę wśród przepysznych lasów! To znów rezerwacja rządowa. Wspaniałe, grube, a jak świece proste sosny strzelają w górę zielonemi konarami i wierzchołkami. Każdy skręt drogi, a jest ich poddostatkiem, odsłania ci coraz to inne doliny, wąwozy leśne, szemrzące strumyki i rwące potoki!... Niekiedy w tej przecudnej zieleni, w cieniu niebotycznych sosen, nad brzegiem kamienistych, a jak

kryształ czyściutkich rzeczek i ruczajów, napotykasz turystów, co tu rozbili obozy. Rząd w dogodnych miejscach oczyścił lasy, postawił małe „lokale“ potrzebne do użytku ludzkiego, zbudował piece polowe i powiedział: „Tu możecie obozować, jak wam się długo podoba“. Na szczytach, rozrzucono hotele i kabiny dla turystów.

Cóż to za wymarzone miejsce na wakacje... Ale nie pora mi tu wypoczywać. Więc też po godzinnej jeździe wydostawszy się na szczyt gór Wenatchee, zjeżdżam w obszerną, ale nie owocami, tylko sianem i pszenicą pokrytą dolinę — do miasteczka Cle Elum — po indjańsku — czysta woda. Zakwaterowałem się tu na noc w bardzo wygodnych, z wszelkim komfortem urządzonych kabinach.

Rano doskonałą, bitą drogą ruszam w dalszą podróż przez malowniczą, leśną okolicę. Jest to ogromny świerkowy, rezerwat leśny rządu federalnego. Waszyngton z powodu olbrzymich szpilkowych lasów, nazywają — „evergreen state“, co w dosłownem tłumaczeniu znaczy „wiecznie zielony stan“. Miejscami pożary zniszczyły bogaty drzewostan, pozostawiając tylko pnie osmalone i powywracane. Przy drodze ciągnie się urocze jezioro Keechelus Lake, którego brzegi są wprost zawalone popalonemi i powywracanemi pniami świerków i cedrów. Przesmykiem górskim, niezbyt stromym — Snooqualmie Pass — drogą o niewielkiej pochyłości, wydostaję się z gór na równiny sięgające aż do Oceanu. Olbrzymie, ogniami osmalone pnie świadczą, że tu do niedawna były potężne lasy. Pozostały tylko pnie i zarośla!... Trudno te kolosalne pnie rugować, przytem ziemia w tej okolicy niebardzo urodzajna. Rodzi lasy potężne, ale zato kartofle i warzywa marne.

Dnia 13-go listopada 1851-go roku, a więc nie tak bardzo dawno, w zatoce, teraz zwanej Elliot Bay, ukazał się mały żaglowiec „Exact“. Zarzucono kotwicę i spuszczono parę łodzi, do których wsiadło dwanaście osób dorosłych i tyleż dzieci.

Przybyli do brzegu, pokrytego odwiecznym lasem. Wyładowali skromne zapasy żywności, narzędzia rolnicze, piły, siekiery i zabrali się czem prędzej do budowy szałasów. Wkrótce okręt odpłynął zostawiając tę małą gromadkę na łasce losu.

Jedna z młodych kobiet usiadła na zwalonej kłodzie drzewa, tuląc dwumiesięczne niemowlę do piersi i gorzko płakała. Gdy

patrzyła na tę dzicz lasu, na te niebotyczne śniegiem pobielane, wygasłe wulkany, stanęły jej przed oczyma zielone, spokojne, żyzne doliny i równiny Illinois'u...

To byli pierwsi osadnicy i założyciele miasta Seattle. Małe, kwilące niemowlę, które zamiast mleka karmiono buljonem, wygotowanym ze ślimaków, jest teraz przeszło ośmdziesięcioletnim starcem. Rolland H. Denny, gdyż o nim tu mowa, jest naocznym świadkiem, który w okresie życia widział dzicz zupełną; a z małej osady, składającej się z dwudziestu czterech osób, powstało miasto, liczące około czterysta tysięcy mieszkańców.

Takie historje dzieją się tylko w Ameryce. Mówią że „Kraków nie odrazu zbudowany", ale Seattle daleko większe, powstało tak sobie w „mgnieniu oka" zaledwo w „trzy kwadranse wieku".

Nazwę otrzymało od wodza Indjan, który pierwszym osadnikom okazał wiele przyjaźni i uratował ich przed napadem innych dzikich plemion.

Rozbudowało sie na niewielkiej cieśninie, oddzielającej jezioro Washington od zatoki morskiej, Puget Sound. Ocean Spokojny wdarł się wgłąb lądu kilku potężnemi, bardzo głębokiemi zatokami. Przejażdżka okrętem wycieczkowym po tych cieśninach, zasianych licznemi wyspami, które są właściwie górami zatopionemi w morzu, należy do najprzyjemniejszych na zachodnim kontynencie. Miasto cieszy się wprost uroczem położeniem.

Wzdłuż Oceanu ciągnie się górzysty półwysep, Olimpic Peninsula, lasem i górami pokryty. Na wysokich szczytach widnieją przez całe lato ogromne płaty śniegu. Od strony wschodniej strzelają w górę wysokie szczyty Kaskad — „Cascade Mountains". Hen ku północy, widać bieluteńki czub wygasłego wulkanu Mt. Baker, czternaście tysięcy stóp ponad poziom morza. Sześćdziesiąt mil na południe wznosi swe ogromne cielsko ku niebu, licznemi lodowcami i śniegiem odwiecznym pokryty, drugi zamarznięty wulkan Mt. Ranier. Geologowie twierdzą, że te wysokie, lodowcami pokryte góry były kiedyś czynnemi i potężnemi wulkanami. Jak dawno temu wygasły?! Nikt powiedzieć nie może. Obecnie mamy tylko jeden czynny wulkan Mt. Lassen w północnej Kalifornji.

Cały pas górski, ciągnący się od północy ku południowi, równolegle do oceanu, nosi piętno wulkaniczne. Żeglarzowi, któryby zabłądził w te okolice, w okresie gdy wulkany były czyn-

ne, zaiste imponujący i groźny przedstawiłby się obraz!... Na kilkadziesiąt mil od brzegu, w pewnych, niezbyt wielkich odstępach, widziałby olbrzymie słupy ognia i dymu. To wulkany Mt. Baker, Mt. Ranier, Mt. Hood, Mt. Montezuma, Mt. Lassen, Mt. Shasta, Mt. St. Helens i kilka innych, niby kolosalne haubice, ziały ku niebu ogniem, wyrzucając z rozpalonych gardzieli olbrzymią masę kamieni i popiołu. Na szerokiej przestrzeni można napotkać skamieniałą lawę, popiół wulkaniczny i całe rzeki olbrzymich, tysiące ton ważących kamieni.

Dla studentów geologji nasze góry, wygasłe wulkany, parowy wodami wyżłobione, przecudnych kolorów skały, te arcydzieła lodowców, wód i wulkanów, tworzą bardzo ciekawą i pouczającą księgę. Niestety — przeciętny turysta nie ma nawet najmniejszego pojęcia, jak to wszystko powstało!... Zauważyłem nieraz, gdy gumę żująca turystka rzutem oka objęła jakiś potężny i wspaniały cud natury, powiedziała „That's great", jako jedyny komentarz. Przytknęła kilka razy malutką kamerę i już była gotowa do dalszej podróży.

Po dwumiesięcznej turze, dotarłszy szczęśliwie do brzegów oceanu Spokojnego, zatrzymałem się na parę dni w Seattle. Trzeba było wypocząć trochę po tej zbyt uciążliwej marszrucie. Chciałem także bliżej poznać miasto, jego przemysł i handel. Najgłówniejszem źródłem dochodów tej nadmorskiej metropolji jest przemysł drzewny i handel z dalekim Wschodem. Do portu zawijają okręty z Japonji, Chin, Australji, Afryki i Ameryki Południowej. To jedna z kilku bram, którą produkta i towary amerykańskie idą na zachód, a wyroby wschodnie przychodzą do Stanów Zjednoczonych.

Nietylko Seattle, ale wszystkie inne tutejsze miasta portowe posiadają liczną reprezentację ras żółtych. Rzuć kamieniem, a zawsze trafisz w Japończyka albo Chińczyka. Niektórzy doszli do takiej wprawy, że mogą Japończyka od Chińczyka odróżnić. Dla mnie wszyscy równo wyglądają. Mają tu swoje kolonje, swe podziemne nory, w których palą opjum i marzą o dalekiej ojczyźnie. Czasem biali tam chodzą, palą opjum i wpadają w jakieś cudne marzenia. Mówił mi były reporter gazet, że znał dokładnie wszystkie tunele i nory ludzkie, głęboko w ziemi ukryte. Ciekawe to rasy: odrębna kultura, filozofja, a nawet kuchnia. Na dalekim zachodzie niebardzo sympatycznie odnoszą się do żółtych współobywateli.

Chińczyk lub Japończyk pracuje tu za psie pieniądze. Żyje oszczędnie, pracowity, przebiegły, przytem pierwszorzędny ogrodnik. Dlatego niemal całe ogrodnictwo jest w ich ręku. A co tu za cudne jarzyny i owoce hodują! Biali nie mogą z niemi konkurować. Chińczyk na jednej grządce wychoduje więcej jarzyn, aniżeli biały sąsiad na całym zagonie. Brak ziemi i przeludnienie w ojczystym kraju nauczyło ich intensywnej kultury i uprawy roli.

W towarzystwie sympatycznego przewodnika, za opłatą trzech dolarów, objeżdżam miasto i podziwiam wspaniałe parki i zabudowania. Przedewszystkiem oko turysty pociągają ku sobie bogate rezydencje tutejszych obywateli. Nie mówię tu o pałacach, ale raczej o mieszkaniach przeciętnych, dostatnich mieszkańców. Przed każdym domem porobiono cudne, a misternie kamieniami ozdobne ogródki. Tu jakaś ścieżka wije się wśród skał, porosłych kwieciem, tam znów miniaturowy strumyczek wzbudza twój podziw. Każdy inny, każdy piękny, każdy na inny model budowany. Widać, że tutejsi obywatele lubują się w takich „kamiennych ogrodach" zwanych „rock gardens".

Każda szkoła miejska ma duże pole do zabawy. Liczne parki zaopatrzone są we wszelkie sportowe urządzenia dla młodzieży. W licznych sztucznych jeziorkach, pod czujnem okiem strażnika, kąpią się tysiące ludzi.

Przy jeziorze Washington, ciągną się już dość liczne i obszerne zabudowania uniwersytetu stanowego, położeniu którego mogłyby pozazdrościć wszechnice na Wschodzie. Każdy stan posiada własny uniwersytet. Pozatem są jeszcze i inne uniwersytety i szkoły pod kierownictwem kościołów i zgromadzeń religijnych.

Parków, jezior, kanałów, wspaniałych mostów, lasów, gór, i śniegiem krytych wulkanów, Seattle może posiada więcej, niż którekolwiek inne miasto w Ameryce. Klimat łagodny, krajobraz przecudny, nic więc dziwnego, że z małej gromady osadników, którzy tu przybyli w roku 1851-ym powstało w tak krótkim czasie jedno z największych miast nad oceanem Spokojnym. Niepotrzeba nawet wspominać, że miasto i port są silnie ufortyfikowane, a na przeciwnym brzegu zatoki w Bremerton, kosztem wielu miljonów rząd zbudował warsztaty i bazę dla okrętów wojennych. Widzicie, ile to strachu mogą nam napędzić takie małe Japończyki, na drugim krańcu oceanu mieszkające?!... Gdybyśmy

tak mieli w sąsiedztwie butnych Niemców i przewrotnych, a zdradliwych bolszewików, tobyśmy mieli takiego „fefra“, że niepotrzebaby nam było żadnych pigułek na rozwolnienie. Sama myśl, że o miedzę są Niemcy lub Bolszewicy, wywołałaby pożądany skutek...

Być w Rzymie i Papieża nie widzieć, to straszne. Być blisko Kanady i tam nie wpaść „na jednego“, to także byłby „casus paskudeus“. Więc też po kilkudniowym wypoczynku, pokrzepiony na siłach, a mocno spragniony na duszy, jadę na północ — do Kanady.

Dzikie zwierzęta, chcąc pragnienie ugasić, szukały nieraz bardzo odległych jezior i źródeł. Cóż znaczy sto mil dla amerykańskiego turysty, któremu ogromne pustynie i bezbrzeżne stepy wysuszyły nie tylko krew w żyłach, ale „szkocką“ w butelkach?! Więc też będąc w bliskiem sąsiedztwie kraju, piwem i wódką płynącego, postanowiłem ugasić pragnienie, wieloletnią prohibicją wzbudzone. Dla Amerykanów znajdują się tam niewyczerpane źródła prawdziwej, uczciwej wódki i siedmioprocentowego piwa. Nic tak nas do siebie nie wabi, nic tak nie przyciąga, żaden cud natury, nawet najwspanialsza góra, okryta białą mantylą śniegu, najmniejszego wrażenia nie robi na turyście, gdy wspomni, że o głupie sto kilkanaście mil od Seattle jest — Kanada... Pewien Kanadyjczyk raz mi ubliżył mówiąc: „Macie w porcie nowo-jorskim statuę wolności, my zaś mamy wolność!“ Miał słuszność. Zapewne — po wyborach na prezydenta, obalimy prohibicję, a wtenczas zrobimy porządek nawet z tą słynną statuą. Zamiast gorejącej pochodni, damy jej do ręki kufel — piwa!

Ruszam więc drogą Nr. 99 w kierunku północnym przez Everett, Bellingham ku Kanadzie. Droga pierwszej klasy, cała z betonu, łączy Kanadę ze Stanami Zjednoczonemi, a ciągnie się od południowej granicy Kalifornji, a właściwie od Meksyku do Vancouver, olbrzymiego portowego miasta w południowo-zachodniej części Kanady. Miasta Everett i Bellingham, położone nad zatoką Puget, stanowią wielkie centra przemysłu drzewnego. Olbrzymie tartaki przerabiają miljony stóp drzewa dziennie na budulec, który okrętami wysyłają do wszystkich zakątków kuli ziemskiej. Doniedawna były tu wspaniałe lasy! Teraz pozostały tylko potężne pniaki i bezużyteczne zarośla. Ludzie niby rak, w postaci przemysłu drzewnego, niszczą i toczą szpilkowe lasy,

pozostawiając po sobie pustki i zgliszcza... Klimat i ziemia nadają się do gospodarstwa leśnego. Niestety — rząd tej sprawy nie dopilnował i ten kolosalny majątek narodu poprostu roztrwonił i zniszczył.

Mijam kilka pięknych rzek, któremi spławiają drzewo do tartaków. Podaję ich nazwy, abyście mogli sobie na nich zęby wyostrzyć: Snolomish, Stelagnamish, Skajit — wszystko indjańskie nazwy. Koło Bellingham, droga nad brzegiem zatoki przypomina urocze zakątki dróg nad morzem Śródziemnem koło Nicei. W porcie olbrzymie składy desek, gotowych do transportu. Gospodarstwa rolne w tej okolicy bardzo małe. Karczowanie gęstych zarośli i rugowanie potężnych pni jest trudne i kosztowne dla biednego pioniera. Zadawalnia się więc małym skrawkiem ziemi, gdzie może uprawiać ogród warzywny i trzymać kilka sztuk bydła i drobiu.

Naprzeciw miasta Bellingham znajduje się cały archipelag małych wysp. Wśród nich wymierzono granicę między Kanadą a Stanami Zjednoczonemi.

W roku 1859-ym obywatel amerykański Cutler, zastrzelił świnię obywatelowi angielskiemu, bo mu robiła szkodę w ogrodzie. O mało że nie przyszło z tego powodu do wojny między Ameryką a Anglją. Nazywają to nawet „pig war" — „świńska wojna". Anglicy twierdzili, że wyspa do nich należała, a Amerykanie znów przeciwnie. Tak jedna, jak i druga strona wysłała na wyspę małą ekspedycję wojskową i urządzono w tej dziczyźnie, na małej wyspie, „ostre pogotowie". Dopiero w r. 1872-im, Kajzer Wilhelm I, jako rozjemca zadecydował, że wyspa należy się Stanom Zjednoczonym. Mały cmentarzyk, na którym pochowano kilku angielskich żołnierzy, należy do Anglji. Garnizonem amerykańskim dowodził kapitan George Pickett, o którym więcej wspomnę w opisie bitwy pod Gettysburgiem.

W tym północno-zachodnim zakątku stanu i kraju, w powiecie Watcom, mamy miniaturową Holandję. Holendrzy się zabłąkali w te dzikie knieje i oddają się hodowli kwiatów, przeważnie tulipanów, hiacyntów i narcyzów. Wysyłają je po kraju całemi wagonami.

Prócz olbrzymich tartaków i składów desek, Bellingham posiada także olbrzymią fabrykę konserw rybich. W sezonie wiosennym i letnim, gdy niezliczona moc łososi pcha się ławą z oce-

anu do okolicznych rzek, łowią je olbrzymiemi sieciami, transportują do fabryki i konserwują ponad pół miljona funtowych puszek dziennie. Cały proceder czyszczenia, krajania, gotowania, pakowania do puszek jest automatyczny.

Ciekawa to ryba ten nasz amerykański łosoś — salmon — a ktorego nasi zowią „salamon".

Lęgną się w słodkiej wodzie. Po pewnym czasie opuszczają rzeki, płyną do morza. Tam przebywają od dwu do sześciu lat. Wtenczas wracają do brzegu, pchają się z jakąś dziwną, nieprzepartą siłą do rzek, że tak powiem w swe rodzinne strony. Jeżeli szczęśliwie uniknęły haczyków i sieci rybackich, samice żłobią w piasku rzecznym rowki, składają do nich ikrę, samce zapładniają mleczem, a potem jedne i drugie — giną. Tak się kończy okres życia ryby, której połów i zbiór przedstawia wielomiljonowy przemysł.

Kilkanaście mil za Bellingham, zbliżam się do granicy kanadyjskiej. Jadę już parę miesięsy, a jeszczem się do żadnej poważnej granicy, ot takiej z komorą celną i urzędnikami, nie dostał. W Europie co chwilę zahaczysz o czyjąś granicę. Jeszcześ pakunków nie pozbierał uczciwie, a znów ci je każą otwierać. Każdy ci do walizy łapy pakuje... Wszystko niby psu z gardła wywłóczy, maca, ogląda i obwąchuje. A co najgorsza, to jeszcze każe cło płacić albo — konfiskuje to, co mu się podoba. Nieraz gdy chłop jadąc z furą siana, niechcąco rozworą zahaczy o granicę, następuje z tego powodu nieporozumienie, naprężenie stosunków dyplomatycznych i rozmaite inne kłopoty, jakich tu nie znamy. Między poszczególnemi stanami czasem zauważysz tablicę z oznajmieniem, że wjeżdżasz do tego lub owego stanu, a na niej przepisy dla samochodów. Urzędy celne mamy tylko między Kanadą, Meksykiem i w portach morskich.

Dojeżdżam więc do komory celnej po stronie amerykańskiej. Żadnych trudności nie robili. Mimochodem pytam się, jak będzie z powrotem i czy tu ściśle rewidują. Chciałem się tak okolicznościowo coś o wodeczności dowiedzieć i czy będzie można jakąś butelczynę przeszwarcować. Popatrzeli na mnie zezem, pomruczeli coś pod nosem i kazali jechać!...

O paręset kroków, tuż na samej granicy, zbudowano bramę, jakie pięćdziesiąt stóp wysoką, a u samego szczytu napis: „Dzieci jednej matki". Do jednej ze ścian przyczepiono małą żelazną

furtkę z tem pobożnem życzeniem — „Aby jej nigdy nie zamknięto“! Bramę na granicy i nad brzegiem morza, a właściwie oceanu, zbudowano jako pamiątkę i symbol stuletniego pokoju między Anglją i Ameryką. Bardzo to piękny sentyment i nic więcej. Toczyliśmy z Anglją walkę o niepodległość. Kilkadziesiąt lat później, w 1812 roku znów poczubiliśmy się z nimi. Potem było kilka swarów i obopólnych wymyślań, nawet jak to poprzednio wspomniałem — „o świnię“, ale do walki orężnej nie przyszło i prawdopodobnie przez dłuższy czas nie przyjdzie.

O jakie pół mili za granicą, wjeżdżam do kanadyjskiej komory celnej. Urzędnik zapytał o numer samochodu, gdzie jadę, jak długo się zatrzymam i czy mam jaką broń przy sobie. Zapewniłem go, że jedyną bronią jaką posiadam, to nóż kieszonkowy. Zatrzymam się parę dni, głównym i jedynym celem podróży jest pierwsza uczciwa karczma, gdzie można ugasić straszne pragnienie. Grzeczny urzędnik objaśnił, że pierwszy rządowy skład piwa i wódek jest o cztery mile od granicy w Cloverdale. Uprzejmego urzędnika pożegnałem szybko, aby czem prędzej te cztery mile przejechać i wzrok nasycić widokiem — „składu win i wódek“.

Całe Stany Zjednoczone przejedziesz wzdłuż i wszerz, a takiego składu i z takim napisem nie znajdziesz (oczywiście za czasów prohibicji). Dlatego chciałem ten doniosły dla każdego Amerykanina wypadek upamiętnić fotografją. Cóż to za dziwne uczucie ogarnia człowieka, na samą myśl, że nie potrzebuje się kryć, ale śmiało wolno mu wejść do lokalu, gdzie stoją i leżą całe rzędy najrozmaitszych butelek wina, wódki, rumu, piwa i czego tylko jego spragniona dusza sobie życzy, a kieszeń na kupno — pozwoli... Patrzysz na etykiety, napisy, ceny, kształty, kolory, niby na jakieś arcydzieła sztuki. Dla Amerykanów to jakaś dawno zaginiona, a drogocenna historja. Kiedyś i u nas było tego poddostatkiem... Z lubością więc oglądam szkockie, angielskie, a nawet amerykańskie wódki. Wolno ci kupić tyle, ile chcesz, chociażby cały skład! Wszystko pod pieczęcią rządową. Wiesz, że nie podrabiane. Wódki fałszowane wysyłają szmuglem do Stanów Zjednoczonych za drogie pieniądze. Nabawiwszy wzrok temi delicjami, potarłem czoło i oczy kilka razy, aby się upewnić czy to nie sen!... Kazałem zawinąć kilka butelansów wódki, a prócz tego tuzin butelek piwa. Tak zaopatrzony, z wielką „kon-

tentnością", śmiało, z czystem sumieniem, bez jakichkolwiek wyrzutów i tremy jadę dalej.

Nie będę opisywał wrażeń, jakich doznaje spragniony Amerykanin po rejdzie na rządowy skład wódek, chociażby nawet w Kanadzie. Wpada po pewnym czasie w taki humor i fantazję, że mu się zdaje, iż cały świat z nim tańczy! Śmieje się, tańczy, śpiewa, gotów się nawet polskim zwyczajem z mężczyznami całować, nareszcie na siłach podupadłszy, legnie spokojnie — w rynsztoku. Tę straszną i wprost gwałtowną reakcję zauważycie na Amerykaninach, gdziekolwiek wejdą w kontakt już nie z „owocem zakazanym" jak Adam, ale z „trunkiem zakazanym przez prohibicję".

Do prohibicji czyli zakazu sprzedaży i wyrobu trunków alkoholicznych najwięcej przyczyniły się „saluny" czyli nasze amerykańskie karczmy. Handel trunkami rozpalającemi prowadził do rozkładu moralnego społeczeństwa. Saluniści, browarnicy i dystylarnie kupowały głosy kieliszkiem wódki i szklanką piwa. Tym sposobem wywierały potężny wpływ na rządy kraju, stanu i każdego miasta, w dodatku ludzi do niemożliwości rozpijali. Posunęliśmy się jednak za daleko przez skasowanie wszelkich alkoholicznych trunków w czasie wojennym. Trzeba będzie zło naprawić i poczynić pewne ulgi i ustępstwa. Dawne „saluny" napewno nie wrócą. Prawdopodobnie rząd ten interes tak ureguluje i pokieruje, że będzie wilk syty i koza cała, czyli, że ci, co chcą się napić, będą mogli to uczynić jawnie, pod kontrolą federalną i stanową. Rząd zaś z podatków na piwo, wino i wódkę będzie miał dochody na pokrycie wydatków i obecnych niedoborów. (To pisałem przed wyborami, które prohobicję zlikwidowały).

Vancouver jest największem miastem portowem Kanady, liczy ponad siedmkroć sto tysięcy mieszkańców. Stąd odchodzą na cały świat okręty naładowane zbożem, drzewem i innemi produktami tego olbrzymiego i bogatego kraju. Na ulicach napotykasz rasy wschodnie Japończyków i Chińczyków. Całe dzielnice są przez nich zamieszkane. Czasem przewinie się turban Hindusa lub jakiegoś innego zamorskiego raroga.

W sobotę, w parku, z wielką powagą i skupieniem, starzy i młodzi Kanadyjczycy grali w „cricketa". Jest to jedna z narodowych rozrywek Anglików. Nic z tego nie rozumiałem. Mówili, że to jest podone do naszego „base ballu". Mojem zdaniem,

„cricket“ tak jest podobny do baseball, jak nasz „near ber“ do prawdziwego piwa.

Przez kilka dni wałęsałem się po mieście, obserwując tutejszy porządek, co do sprzedaży trunków alkoholicznych. Tu i ówdzie były t. zw. „taverns“, lokale w których sprzedawano piwo. Mała szklanka kosztuje dziesięć centów. Więc też trzebaby mieć porządną kieszeń, aby się upić. W obszernej sali pełno stolików, przy których trzeba usiąść i szklankę piwa zamówić. Przy kantorze, a jak tu mówimy „przy barze“ piwa nie sprzedają. Wszyscy zachowywali się spokojnie i wzorowo. Publiczność spędzała czas na miłej pogawędce przy szklance piwa. Wódki ani wina w tych lokalach nie podają. Na to są osobne składy. Tam, po wygórowanych cenach, można kupić jedną czy więcej butelek, zabrać ze sobą do domu. Dlatego nie zauważyłem ani jednego pijanego Kanadyjczyka.

Liczyłem na uczciwy obiad w niedzielę, a przytem na jakąś butelczynę francuskiego wina. Wyobraźcie sobie mój zawód. Gdy przyszła niedziela, wszystko szczelnie zamknięto, tak, żeś ani powąchać nie dostał. Doznawszy zawodu, zaraz w poniedziałek wracam do mej prohibicją dręczonej Ojczyzny. Na wszelki wypadek, zajechałem jeszcze raz do Cloverdale, gdzie poprzednio trafiłem na ten drogocenny skład wódek. Znów zawód, gdyż składy z wódką przepisowo otwierają o dziesiątej, a zamykają o piątej, a w sobotę zaraz po południu. Więc też bez niczego wracam, jako „męczennik“, ale z tą satysfakcją, że inspektor celny nic na mej grzesznej osobie nie znajdzie.

Kanadyjczyk popatrzał, zapytał czy mi piwo i wódka smakowały i jeszcze raz do siebie zapraszał... Nasi zaś inspektorzy tak człowieka spenetrowali, że nawet aniołowie u bram niebieskich grzesznikom takich ambarasów robić nie będą. Wjeżdżasz wreszcie na ganek i oczom nie wierzysz! W podłodze i po bokach pełno lusterek. Urzędnik rzuci okiem na podłogę i widzi wszystko pod samochodem, a nawet pod... suknią. Co za senzacja, gdyby panna lub pani, w krótkich sukienkach, niebacznie stanęła na tej lustrzanej podłodze?! Rozgniewałem się bardzo na taki podły manewr biura celnego. Bo niejeden obywatel napocił się i napracował, aby gdzieś pod samochodem choć jedną małą butelczynę uczepić. A tu inspektor jednym rzutem oka całą mozolną pracę zniweczył, butelkę zabrał i pięć papierków kary kazał zapłacić. Wjechałem

też na niego i mówię: Słuchaj! Gdybym wlókł ze sobą potężną haubicę, aby nią kapitol waszyngtoński w powietrze wywalić możebyś jej nie zauważył?!... Jeżeli spragniony obywatel wiezie „pańtówkę" (pół litra) aby, w razie choroby, od przedwczesnej śmierci się ratować, tobyś mu ją odebrał, jako rzecz wielce dla niego i całego kraju niebezpieczną!! Chciałem mu tam jeszcze coś z Pisma św. przypomnieć, że jeżeli kubek wody podany spragnionemu nie będzie zapomniany, to co dopiero...

Ale ten się za ową kolubrynę pogniewał i już więcej mych argumentów słuchać nie chciał. Byłem hardy, bo wiedziałem, że kontrabandy w samochodzie nie znajdzie. Z gniewem też pozbierałem wszystkie torby, walizy, pakunki, toboły, kamery, a trzeba pamiętać, że tego bagażu pełen samochód, gdyż „omnia mea mecum porto" i wio w dalszą drogę. Nawet mu „goodbye" — po galicyjsku „gudłaj" — nie powiedziałem. Wracam z powrotem przez Bellingham, Everett do Seattle. Po przekąsce ruszam w dalszą podróż na południe przez miasto Tacoma, do gór i jednego z naszych narodowych parków — Mt. Ranier.

---

## Rozdział XIX.

## MT. RANIER.

Nie wiem dokładnie, co za aferę miał prorok Mahomet z górą! Przypominam sobie tylko, że był tam jakiś skandal lub coś podobnego. Czy góra chciała przyjść do niego, czy też on się „poświęcił“ i poszedł do góry, tego napewno nie wiem. W każdym razie, coś tam między nimi zaszło. Ja również miałem podobną przygodę z górą Ranier, noszącą nazwę angielskiego żeglarza i odkrywcy tych okolic.

Otóż od kilku dni, w Seattle, podziwiałem ten wygasły i licznemi lodowcami pokryty wulkan. Widać go jak na dłoni. Odległy stąd przeszło sześćdziesiąt mil w prostej linji, a jakie sto mil drogą. Przy zachodzie słońca, grubym śniegiem i odwiecznemi polami lodowemi pokryty, wierzchołek cudny przedstawia widok. Bielutki czub, strzelający przeszło czternaście tysięcy stóp ponad poziom morza, co chwila zmienia barwę. Z białego przechodzi w blado-różowy, potem ciemno-różowy, z tego wpada w fioletowy i purpurowy, nareszcie w ciemny i ginie w wieczornym mroku. Co wieczór podziwiałem to nader piękne zjawisko. Wprost mnie ta góra ciągnęła i przykuwała do siebie. Jakżeż mogłem się takiej ponętnej, imponującej i jednej z najwyższych gór w Ameryce oprzeć?! Nie było innej rady, jak tylko iść za przykładem Mahometa i wskrabać się na górę. Przyszło to tem łatwiej, że nie trzeba było ani powrozów, ani ciężkich, gwoździmi nabijanych butów, ani przewodników. Od miasta Tacoma prowadzi do szczytu góry, siedmdziesiąt mil odległej, wspaniała, asfaltowa droga. Jedziesz na górę przez miasteczka, wioski, osady, lasy, cudnym bulwarem.

Szybko mijam przydrożne miasteczka i wioski, zapuszczając się w coraz to głębsze i piękniejsze lasy. Łagodny klimat, dobrze



Droga na górę Mt. Ranier.

osuszona gleba, częste deszcze i głębokie śniegi tworzą idealne warunki na rozwój bogatego drzewostanu. Szczególnie pięknej proporcji świerki, zwane „Duglas Fir“ tu się rozpanoszyły. Są to drzewa od dwóch do pięciu i więcej stóp średnicy, a jakie sto pięćdziesiąt i więcej stóp wysokie. Wyniosłe wzgórza chroniły je od gwałtownych wichrów, dlatego są prościutkie jak trzcina. Niektóre stare kolosy dźwigają sześć wieków na wzniosłych konarach i mają od ośmu do dwunastu stóp średnicy.

Wjeżdżam bramą z olbrzymich bierwiom świerkowych artystycznie zbudowaną, na terytorjum parku. Urzędnik zapisuje numery samochodów i nazwiska pasażerów. Do szyby przylepia sześciokątny znaczek, co stanowi bilet wstępu do parku; daje książkę i mapę, a turysta wzamian daje dolara. Ruszam naprzód elegancką, szeroką drogą przez głęboki las, ku szczytom trzeciej z rzędu najwyższej góry w Stanach Zjednoczonych. Najwyższą w posiadłościach Wuja Sama jest góra McKinley w Alasce, dwadzieścia tysięcy trzysta stóp wysokości.

W Stanach Zjednoczonych na pierwszem miejscu jest Mount Whitney w Kalifornji 14,496 stóp, następną jest góra Elbert niedaleko Denver w stanie Colorado, a po niej dopiero Ranier, tylko o parę stóp niższa. Zato wznosi się przeszło jedenaście tysięcy stóp ponad sąsiednie góry, a i z tych niejedne sięgają milę nad poziom morza. To odosobnienie, że tak powiem „splendid isolation“ i olbrzymie lodowce w formie kolosalnego polipa, czy oktopusa, poryły grubemi rzekami pełzających pól lodowych stoki wygasłego wulkanu, wyróżniając go z pośród gór innych.

W okrągłych cyfrach, Ranier jest niemal pięć kilometrów wysokości nad poziom morza. Geologowie, którzy górę ze wszystkich stron skrupulatnie obwąchali i spenetrowali, powiadają, że dawnemi czasy, gdy była czynnym wulkanem, wznosiła się jeszcze o jakie dwa tysiące stóp. Eksplozja czy jakaś inna katastrofa strąciła i po całej okolicy rozsypała wysoki stożek, utworzony z lawy i popiołu. W ostatniem stuleciu, kilka razy dostawała lekkich „wyrzutów“, nie sumienia, ale dymu i popiołu. Legendy miejscowych Indjan, którzy ją uważają za boga, mówią o bardzo gwałtownych wulkanicznych oksplozjach. Prawdopodobnie ten ostatni wybuch ją dobił, popiołem i rozpalonym żużlem gardło zasypał, tak, że teraz biedaczka tylko sapie i syczy. Wśród lodowców, które jej gardło duszą, ukazują się kłęby pary, a u stóp

jest kilka gorących źródeł. Więc też nikt nie wie, jakiego figla ten zamarznięty wulkan może wypłatać. Obszarem pokrywa sto mil, a cały park obejmuje trzysta dwadzieścia mil kwadratowych.

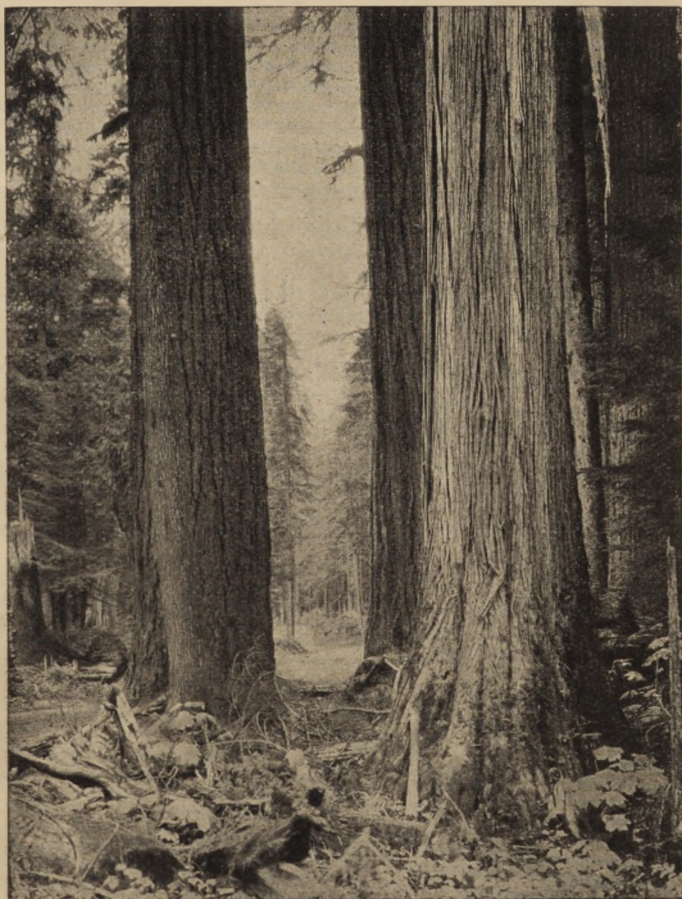
Szeroką drogą, o pochyłości lekkiej, wśród wspaniałych świerkowych lasów, docieram do pierwszego postoju w Longmire. Tu przed pięćdziesięciu laty, przybył pierwszy osadnik i w głębokich lasach założył ognisko domowe. Dla przyjemności turystów, rząd zbudował wygodne hotele, małe domki i biwaki. Przed główną kwaterą, na słupkach, niby lekkie armaty, używane do odpierania ataków napowietrznych, stoją teleskopy. Możesz wygodnie, z kilkumilowej odległości oglądać wspaniałą górę. Dzień był dżdżysty. Od czasu do czasu przepadywał deszczyk, a niebo pokryło się chmurami. Góry, a właściwie jej śnieżnego szczytu, chociaż jestem od niego zaledwo kilkanaście mil oddalony, nie oglądam ani gołem okiem, ani teleskopem, bo wszystko przysłonięte grubą mgłą.

Mimoto nie zniechęcam się, ale tem spieszniej ruszam w dalszą, już bardziej stromą, chociaż jeszcze wygodną i bezpieczną drogę. Jeszcze dwanaście mil dzieli mię od „Rajskiej Doliny“ — Paradise Valley, u podnóża lodowców się ciągnącej. Lasy stopniowo rzednieją i karłowacieją. Od czasu do czasu, pięknemi, kamiennemi mostami przejeżdżam młodziutki, ale wartki potok, wypływający z pobliskich lodowców. Nieraz na skręcie drogi, oczom odsłania się przecudna panorama na doliny, wzgórza, ciemne lasy, rwące potoki i szumiące kaskady wodospadów...

Lodowce wyryły tu małe jeziorka i urocze doliny, pokryte ciemną zielenią, niby jakimś bogatym w kwiaty strojnym kobiercem. Wśród tych bujnych łąk, rozrzucone pojedyńczo i gęstemi kępami, niby świece, stoją zieleniutkie cedry. Myślisz, że zajeżdżasz do willi w północnych Włoszech. Ponad linją lasów, a poniżej lodowców, ciągnie się szeroki, dwu milowy pas kwiatów, który, niby olbrzymim wiankiem, okrąża śnieżny wierzchołek góry. Zdziwisz się, gdy tuż przy śniegu napotykasz bogatą, kwiecistą florę alpejską. Masz wszystkie kolory, gatunki i kształty. Rosną tu „stokrótki, orliki, ostróżki, fiołki, jaskry, mlecze dandelion“. Brniesz w kwiatach po kolana, a nieraz i po pas. Napotykasz olbrzymie pola białych lilij, podobnych do tych, których używamy w czasie wielkanocnym na ołtarze. Stwórca z jakąś

nadzwyczajną szczodrobliwością, wprost cudownym kontrastem połączył mroźne i śnieżne szczyty z najdelikatniejszemi kwiatami.

Lodowce, a jest ich dwadzieścia ośm, wyżłobiły olbrzymie parowy i stopniowo wdół się staczają. Niektóre tworzą rodzaj rzek lodowcowych i posuwają się naprzód jakie dwadzieścia cali na dzień. Lodowce nieraz kilkaset stóp grube, a od czterech do



„Drzewka“ przy drodze na górze Mt. Ranier.

sześciu mil długie, żłobią potężne a głębokie jary. Gładzą i politurują ściany granitu, spychają przed sobą, pod sobą i w sobie olbrzymią ilość kamieni. Powoli spuszczając się w cieplejszą strefę, topnieją

i zamieniają się w szumiące, a od drobnego prochu skalnego, białawe strumyki.

Jesienną porą i zimą, mgły z oceanu Spokojnego oziębiają się na mroźnych szczytach i grubą warstwą śniegu pokrywają całą górę. Z tego tworzą się wielkie zwały lodu, latem zaś topnieją i strumykami wracają do oceanu. W ten sposób Stwórca dał nam pojęcie o sztucznem ogrzewaniu i chłodzeniu.

Docieram do końca malowniczej drogi i celu wycieczki, na górę Ranier. Rząd zbudował, a może komu innemu kazał zbudować, obszerny zajazd, zwany Paradise Inn. Turyści mogą w nim korzystać ze wszystkich wielkomiejskich wygód. Na olbrzymim kominie palą się duże szczapy smolnego drzewa, a goście ciepło poubierani biadają nad niepogodą... Przed hotelem leży olbrzymia zaspa śniegu. Przybyłem tu 8-go sierpnia, a zdaje się, że to marzec.

W pobliżu hotelu zbudowano dla turystów kilkaset domków czyli kabin. Wynająłem obszerną i wygodnie urządzoną kwaterę. Zaintrygowała mnie mocno budowa tych domków. Kozły zrobiono z drzewa trzy cale grubego, a sześć cali szerokiego czyli jak tu mówią — three by six — trzy przez sześć. W dodatku, zamiast gwoździ, używano śrub do przymocowania dachu. Ściany także budowane z materjału daleko grubszego i silniejszego, niż używają przy zwykłej budowie, nie tylko kabin, ale domów. Myślałem, że to próżna rozrzutność i marnowanie wspaniałego drzewa budulcowego. Rano rozwiązała się zagadka.

Rychło wyszedłem z aparatem, gdyż słonko, za którem nigdy tak nie tęskniłem jak teraz, wychyliło na momencik jaśniejącą twarzyczkę. Wśród gór, lasów i kwiecistych, zieleniuteńkich łąk, unosiły się mgły. W rzędach domków turystycznych, tu i ówdzie jeszcze zasypanych śniegiem, zauważyłem kilka z nich zupełnie zmiażdżonych. Przypominały próżne pudełko od zapałek, ręką zgniecione i połamane. Robotnicy zwozili deski, aby szkodę naprawić. Dowiedziałem się, że śniegi pokrywają cały obszar nieraz na czterdzieści stóp głębokości. Z hotelu zimą widać tylko czub dachu ponad warstwą śniegu. Na wiosnę, gdy te kolosalne bryły topnieją i upadają, czasem ciężarem miażdżą owe domki, niby skorupy jaj.

Zimno było dokuczliwe. Zapaliłem w piecu ogień, aby się cośkolwiek rozgrzać. Rząd dostarcza opału, więc też z tej szczodro-



Refleksja w jeziorze góry Ranier.

bliwości chętnie korzystałem. Płaci się za taką kwaterę dwa dolary dziennie. Chciałem tu dłużej zostać i z tą górą jakoś porozmawiać i bliżej się zapoznać. Kwateruję u stóp pól lodowych, wznoszących się jeszcze przeszło cztery tysiące stóp ponad tę uroczą, kwiecistą dolinę. A należy pamiętać, że już tu jesteśmy dziesięć tysięcy stóp ponad poziom morza.

Ale góra to przecież „feminini generis“ — rodzaju żeńskiego — przynajmniej w polskim języku. Więc też ma wszelkie kobiece nawyczki. Zdaleka to cię wabi i kokietuje, a jeżeli się do niej przybliżysz, to za chmury się chowa i każe powiedzieć że „jej niemasz w domu“. Raz tylko przez gęstą mgławicę na mnie zerknęła. Widocznie po to tylko, aby się upewnić, czym się tu wygramolił. Rano siedziała zachmurzona. Zaglądam tu i ówdzie. Włóczę się z aparatem fotograficznym, opasany filtrami niby polownik. Chciałem przecież dać chociaż jeden dobry „strzał“ w te śniegi i lodowce. Nic z tego. Nietylko góra, ale całe niebo się zachmurzyło. Zaczęło siać drobnym, zimnym do szpiku kości przejmującym deszczykiem. Widzę, że z naszej rozmowy nic nie będzie. Więc po namyśle pakuję manatki, jadę z powrotem w doliny i w dalszą drogę.

Opuściwszy park górski, zbaczam z głównego traktu wiodącego do Tacoma i jadę wzdłuż rzeki Cowlitz, wywodzącej nazwę i źródło od jednego z lodowców na górze Ranier. Bocznemi, krętemi, dziurawemi, a teraz zachlapanemi drogami, gdyż deszcz leje jak z cebra, posuwam się żółwim krokiem w kierunku południowo zachodnim do głównej drogi U. S. 99, łączącej, niby wielka taśma, wszystkie większe miasta nad oceanem Spokojnym położone. Przez kilkanaście mil zagłębiłem się w gęste lasy rezerwacji rządowej. To jeszcze dzicz, siekierą drwala nietknięta. Pełno omszałych kolosów. Niektóre dawno burzami zwalone pokryły się mchem i najrozmaitszym gatunkiem paproci. Nie mogłem tych piękności leśnych podziwiać, gdyż trzeba było uważać na samochód, aby się gdzie nie zwalić do rowu lub przepaści.

Po kilku godzinach ciągłych skrętów, zmiany szybkości, wydostaję się na lepsze drogi i już śmiało sunę naprzód. Mijam małe osady i biedne zabudowania kolonistów. Deszcz ustał, podróż wróciła na normalne tory. Szeroką a deszczem czyściuteńko zmytą drogą śmiało pospieszam w kierunku południowym —

do Portland. Zatrzymałem się na noc w kwaterze bardzo wygodnej, położonej w uroczym parku drzew wysokich. Anim nie spojrzaj w stronę góry. Ta zaś myśląc, że jeszcze jako niecierpliwy klient, lub amant czekam u jej stóp, przez parę dni dostojne oblicze w chmurach ukrywała.

Rano po zwykłem śniadaniu i pakowaniu licznych walizek, ruszam w dalszą drogę. Od czasu do czasu kropi deszczyk, więc też się nie spieszę. Tu i ówdzie, przy drodze, napotykam niewielkie miasteczka i osady rolnicze. Lasy dawno wycięto. Po godzinnej wędrówce docieram do rzeki Columbia. Mógłbym tu zboczyć do miasteczka Longview i zwiedzić największy tartak na świecie. Ale tartaki przypominają mi poniekąd rzezalnie. Z tą tylko różnicą, że tam biją zwierzęta i wszystko śmierdzi, jak nieszczęście, tu zaś ćwiartują na kawały piękne drzewa. Żal mi ich, ale trudno, bez desek i drzewa obyć się nie możemy — od kołebki do... trumny.

Jadąc równolegle do rzeki Columbia, która tu płynie w kierunku północnym, dojeżdżam do miasteczka Vancouver, tuż nad rzeką położonego. Jest to najstarsza placówka na północnym zachodzie.

W roku 1825-tym angielska firma trudniąca się przeważnie kupnem futer od Indjan i „traperów“ (t. j. od chwytających dzikie zwierzęta zapomocą łapek) założyła w tem miejscu swój skład i zbudowała fort Vancouver. (W Kanadzie jest olbrzymie miasto portowe o tej samej nazwie — byliśmy tam parę dni temu).

W obrębie tej osady, w roku 1826-tym, posadzono pierwszą jabłoń, która jeszcze „przynosi owoce“. Tu była pierwsza szkoła, pierwsze kazanie i pierwszy ślub. Zapewne przedtem ludzie tu żyli „na knebel“.

Baraki wojskowe zaliczają do najstarszych w kraju. Swego czasu byli tu stacjonowani oficerzy takiego pokroju jak Gen. Ulysses Grant, Phil. Sheridan, O. O. Howard, Nelson A. Miles, i Frederick Funston. Wsławili się w wojnie domowej, w walkach z Indjanami, a ostatnio w wojnie z Hiszpanją na Filipinach.

W parku miejskim jest piękny bronzowy pomnik dedykowany „Matkom Pionierkom“. Podobnych pomników spotkamy więcej na tych traktach, dziś pięknych drogach, któremi szły w wielkim trudzie te — matki pionierki.

Dużym mostem przeprawiam się przez szeroką, spławną rzekę i wśród pięknych pól i ogrodów jadę do pobliskiego miasta Portland, nad rzeką Wilamette, która wpada do rzeki Columbia tuż za miastem Vancouver.




Wzdłuż rzeki Columbia.

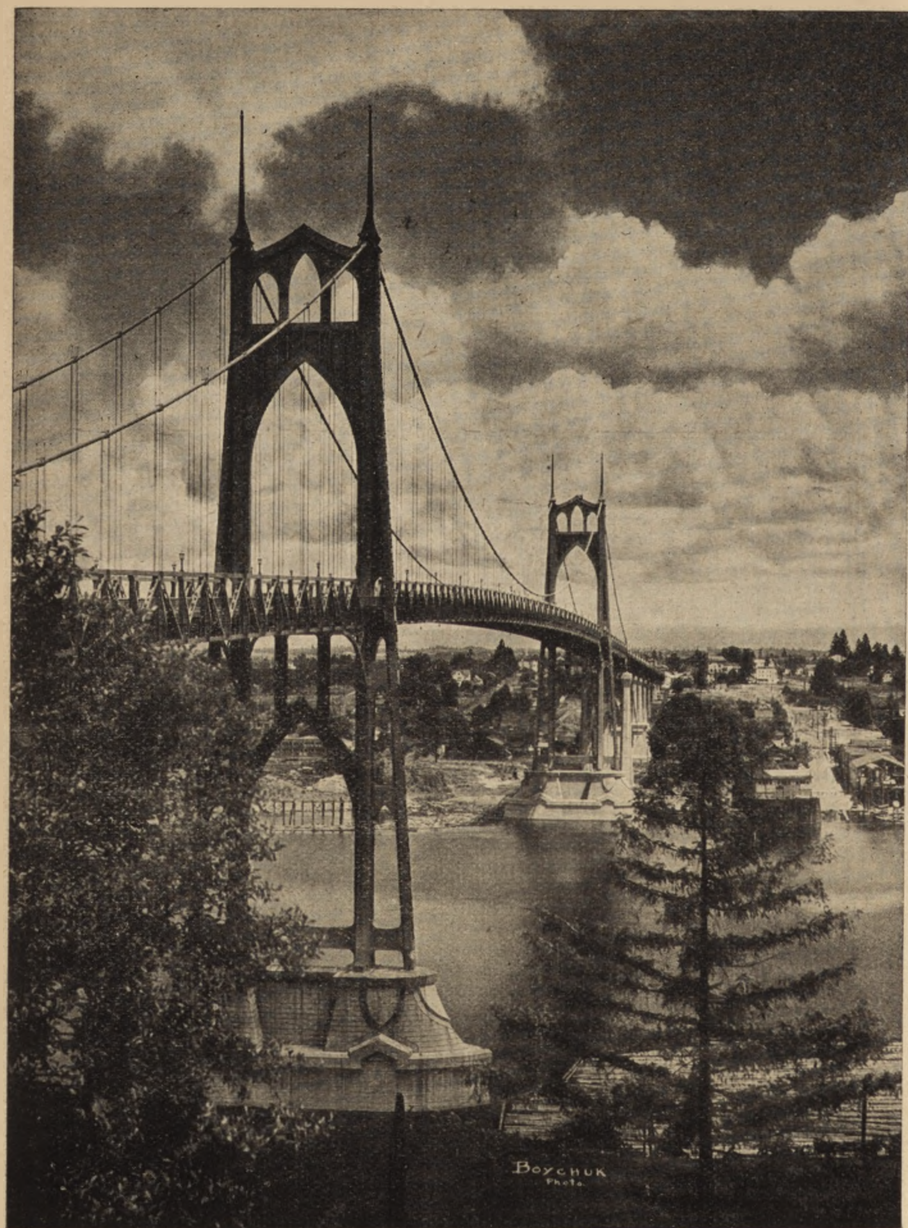
Rzeka Columbia, od miasta Portland, zagina się i płynie kilkanaście mil w kierunku północnym, a od Longview zawraca ku zachodowi i już bardzo szerokiem korytem wpada do oceanu.

Tędy w roku 1805 i 1806-tym, wyprawa rządowa pod wodzą kapitanów Lewis i Clark, dotarła do oceanu Spokojnego. Przy ujściu zbudowali szałasy i zakwaterowali na zimę. Mieli nadzieję, że tam zawita jaki okręt. Nikt się nie pokazał, więc też ze szczupłemi zapasami żywności, medalików, paciorków i innych drobiazgów, potrzebnych do zakupna prowjantów od Indjan, ruszyli w powrotną drogę. Ta pamiętna ekspedycja odkryła i oddała narodowi szmat ziemi, daleko większy aniżeli ówczesne terytorja, podlegające rządom prezydenta Jeffersona. W kilka lat później, słynny handlarz futrami Jakób Astor, założył przy ujściu rzeki placówkę handlową która po nim, nazwę odziedziczyła — Astoria.

W roku 1842-im, dwa żaglowce popłynęły wgórę rzeki Columbia i dotarły do rzeki Willamet (akcent na „a“, bo to nazwa indjańska, a nie francuska). Podobała się im ta cudna dolina i okolica, więc postanowili założyć miasteczko. Ale jakby je nazwać? Jeden z kapitanów pochodził z Bostonu i chciał je nazwać Boston, drugi zaś mieszkał w Portland, Maine i chciał nowe osiedle nazwać — Portland. Rzucili losy i nowe osiedle otrzymało nazwę — Portland. Mamy więc przy obu oceanach równobrzmiące miasta. Z tą jednak różnicą, że Portland, Oregon jest pięć razy większe od wiele starszego Portland, Maine.

Portland korzystnie przy ujściu dwu spławnych rzek położone, a przytem niedaleko oceanu, szybko rosło. Klimat łagodny, przeciętna temperatura latem wynosi 70, a zimą 40 stopni Fahrenheita. Ciepły prąd aż hen z Japonji łagodzi klimat stanów Washington i Oregon. Dolina rzeki Willamette jest nadzwyczaj urodzajna. Do niej właśnie ściągali pierwsi osadnicy z dalekiego wschodu.

Szlak, którym całemi miesiącami wlekli się na zachód, nazywają teraz „Oregon Trail“. Droga prowadziła przez Pensylwanję, Ohio, miasto Columbus, Indianę w okolicy miasta Indianapolis, Illinois, do rzeki Mississippi. Jednym z głównych punktów ekspedycyj na zachód było miasto St. Louis. Drugim, bardziej na północ położone osady, w południowej Nebrasce, wzdłuż rzeki Platt. Grand Island, gdzie mamy polskiego biskupa, było ważną stacją dla emigrantów. Wzdłuż rzeki posuwali się do Wyoming przez Chayenne, Laramie, Fort Bridger, Ogden, Twin Falls i Boise Idaho, ku rzece Columbia i tak po czteromiesięcznej




Most przez rzekę Willamette w Portland.

podróży docierali do oceanu Spokojnego. Później, gdy doskonałemi drogami będziemy spieszyli na wschód, wrócę do tych pionierów, z których wielu jeszcze żyje i pamięta trudy tej długiej, a uciążliwej podróży.

Portland nosi przydomek — miasta róż. Byłem w niem przed laty w czerwcu, gdy róże kwitną... Cóż to za ciekawy widok! Wszędzie, na gankach domów, na słupach telegraficznych i telefonicznych, przy torach kolejowych, widzisz wprost z róż usłane dywany. Co za rozmaitość, od takich maluteńkich do butonierki, do „kapuścianych głów" — tak je nazywają. Jedne rosną na wiotkich, cieniuteńkich gałązkach, a inne to prawdziwe drzewka, tylko zamiast owocu, wydają kwiaty i... kolce. W czerwcu urządzają tu piękny festyn różowy. Chociaż teraz przybyłem już po czasie, jednak wszędzie jeszcze napotykam w parkach i ogrodach kwitnące róże.

Portland jest nie tylko miastem portowem, do którego zawijają okręty ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej, ale przytem jest miastem przemysłowem i handlowem. Prócz tartaków są jeszcze rozmaite fabryki jak mebli, drzwi i sukien. Samych drzwi do mieszkań w przeciągu roku wyrabiają tu za pół miljona dolarów. Ludność sięga ponad 300,000 mieszkańców.

Zwiedziłem jeden z parków miejskich, w nim na pięknem wzgórzu z widokiem na miasto, zbudowano pomnik na cześć odkrywców Lewisa i Clarka, którzy w tej okolicy się zatrzymali w epokowej ekspedycji w roku 1805-tym. W tym samym parku jest bronzowa statua Indjanki Sacejawey, która towarzyszyła wyprawie i częstokroć pośredniczyła w pertraktacjach między białymi a Indjanami.

Nawet jak na amerykańskie miasto, Portland jest młode, ale pełne życia, handlu i rozmachu. Za drugie pół wieku, napewno będzie miało ponad pół miljona mieszkańców. Śródmieście posiada wspaniałe sklepy, banki i instytucje handlowe. Nad rzeką Willamette widać tartaki, składy olbrzymie drzewa na eksport, spichrze zbożowe, cysterny i zbiorniki gazoliny, a w nowocześnie urządzonych dokach pełno okrętów pasażerskich i frachtowych. Na wzgórzach, okalających miasto w pięknych domach zamieszkuje bogatsza klasa obywateli.

---

Rozdział XX.

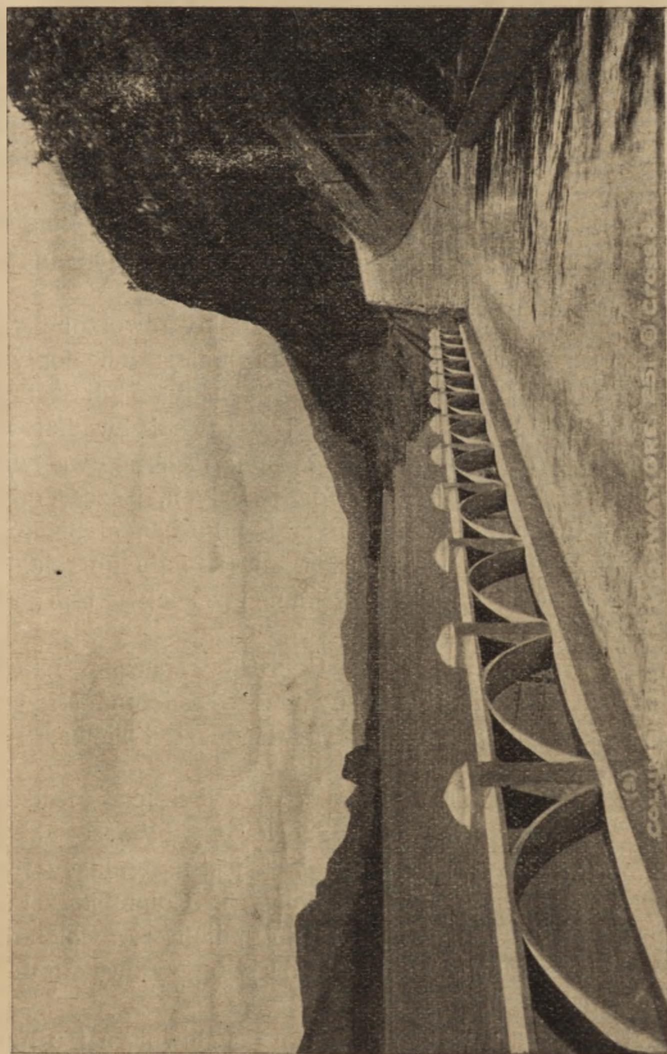
## OREGON.

Rzeka Columbia stanowi granicę między stanami Waszyngtonem i Oregonem. Skąd ten ostatni otrzymał nazwę, trudno powiedzieć. Jedni mówią, że to ma być jakiś hiszpański wyraz, gdyż okręty hiszpańskie w te strony od czasu do czasu przybywały. Inni zaś dopatrują się indjańskiego pochodzenia. W każdym razie jest to jeden z naszych większych Stanów, gdyż obejmuje blisko dziewięćdziesiąt siedm tysięcy mil kwadratowych. Ludność sięga miljona dusz. Dziewięćdziesiąt lat upływa od czasu, gdy pierwsi osadnicy przybyli w te strony krytemi wozami, a które nieraz trzeba było na sznurach spuszczać po stromych ścianach górskich. Jednym ze słynniejszych pionierów był protestancki pryczer, Marcus Whiteman. On prowadził pierwszą kolonję osadników, w parę lat potem został zamordowany przez Indjan.

W tych okolicach częste padają deszcze. Jednej godziny masz pogodę i słońce ci przyświeca, za chwilę nadciągnie chmura, lunie ulewa i znów wraca pogoda. Do Portland nie opłaci się jechać bez parasola. Więc też niedługo się w niem zatrzymuję. W deszczu opuszczam miasto, słynną na cały świat drogą, wiodącą wzdłuż brzegu rzeki Columbia, zwanej „Columbia Highway". Inżynierzy, turyści, miłośnicy przyrody twierdzą, że następne sto mil zaliczyć trzeba do najpiękniejszych i najbardziej uroczych dróg na kuli ziemskiej. Już sama rzeka, szerokiem korytem płynąca, przyciąga nietylko turystę, ale rybaka. Rok rocznie łowią tu miljony łososi.

Jedni łowią ryby siecią, inni zaś używają dużego koła, podobnego cośkolwiek do koła Ferrisa na wystawie chicagoskiej. Jest zaopatrzone w duże sieci w formie skrzyń, które się zanu-

rzają w rzece i napełniają rybami. Z tych skrzyń wysypują je do odpowiednio przyrządzonego koryta, a stamtąd już prostą drogą spadają do fabryki i... blaszanych puszek. Oczywiście sportowcy takich połowów nie urządzają.



Wzdłuż rzeki Columbia.

Jeżeli ktoś chce użyć rybołóstwa i wiedzieć przytem, że ma z porządną rybą do czynienia, niech jedzie do Oregonu, do rzeki

Columbii, na łososie. Gdy chwyci czterdziestofuntowego łososia na haczyk i lekką wędkę, na parę minut zapomni o wszystkich kłopotach. Nieraz całą godzinę będzie się mordował, zanim rybę wyciągnie. Zwykle jedna mu wystarczy, chociaż ich tam jest miljony.

Stany Zjednoczone posiadają cztery wielkie arterje wodne, grupujące się w rzekach: św. Wawrzyńca w północno-wschodniej części kraju, Mississippi w środkowej, Columbia w północno-zachodniej, a Colorado w południowo-zachodniej.

Rzeka św. Wawrzyńca częściowo stanowi granicę między Kanadą a Stanami Zjednoczonemi, względnie Stanem nowojorskim. Jej zlew (water-shed) obejmuje pięć olbrzymich jezior, południowo-wschodnią część Kanady i północno-wschodnią część Stanów Zjednoczonych. Pomijam mniejsze rzeki nad brzegiem oceanu Spokojnego i Atlantyckiego.

Rzeka Mississippi osusza ogromne doliny utworzone wzdłuż rzeki Ohio, Missouri, Mississippi i kilku mniejszych dopływów. Obejmuje środkową część kraju od gór Alleghany do gór Skalistych, około miljon dwieście pięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych.

Columbia, wzdłuż której teraz jadę, osusza dwa wielkie pasma górskie: zachodnie stoki gór Skalistych, jeszcze od nich wyższe Sierry i doliny między górami i nad oceanem Spokojnym położone. Latem spływają topniejące śniegi i lody górskie. Zimą zaś częste deszcze utrzymują rzekę mniej więcej na tym samym poziomie wody.

Czwarta z rzędu jest rzeka Colorado. Znacznie mniejsza, gwałtowniejsza i co do ilości wody bardzo zmienna. Na wiosnę dorównuje Mississippi, a jesienią jest sobie niezbyt wielka, brudna, wartka rzeczka.

Zlew rzeki Columbia obejmuje około dwieście pięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych. Co do ilości wody płynącej w każdej z powyżej wymienionych rzek, stosunek jest następujący: Mississippi ponad 200 miljonów stóp akrowych, Columbia zaraz po niej 200 miljonów, św. Wawrzyńca 185 miljonów, a Colorado 16 miljonów. Ma się rozumieć, o kilka litrów w tę czy ową stronę nam się nie rozchodzi.

Po tej małej dygresji, wracam na malowniczą i z punktu inżynierji, ciekawą drogę wzdłuż rzeki Columbia.

Rząd federalny, stanowy i miasto, wspólnemi siłami drogę zbudowały. Przed jej rozpoczęciem wysłano inżynierów do Europy,

dla tem lepszego zaznajomienia się z ówczesną sztuką budowy dróg. Wymiary przeprowadzono kilkaset stóp ponad poziom rzeki. Strome brzegi są poprzecinane głębokiemi a wąskiemi jarami. Starano się zachować wszystkie kontury skalistych brzegów, a co ciekawsze — drzewem pokryte skały i granitowe cyple. Dlatego też zbudowano niezwykłą ilość pięknych, łukami rzucanych mostów i tuneli. Kształt i balustrady każdego mostu są odmienne, gdyż, jak mówili starzy Rzymianie, „rozmaitość bawi". Na szczególniejszą uwagę zasługują wodospady. Jest ich tu kilkanaście. Najwyższy, Multonomah Falls, 620 stóp wysokości. Niewielka to wprawdzie rzeczka, ale strumień wody spadając z takiej ogromnej wysokości, przybiera kształt delikatnego białego welonu, który lekkiemi zwojami, wśród zieleni drzew, stacza się w przepaść.

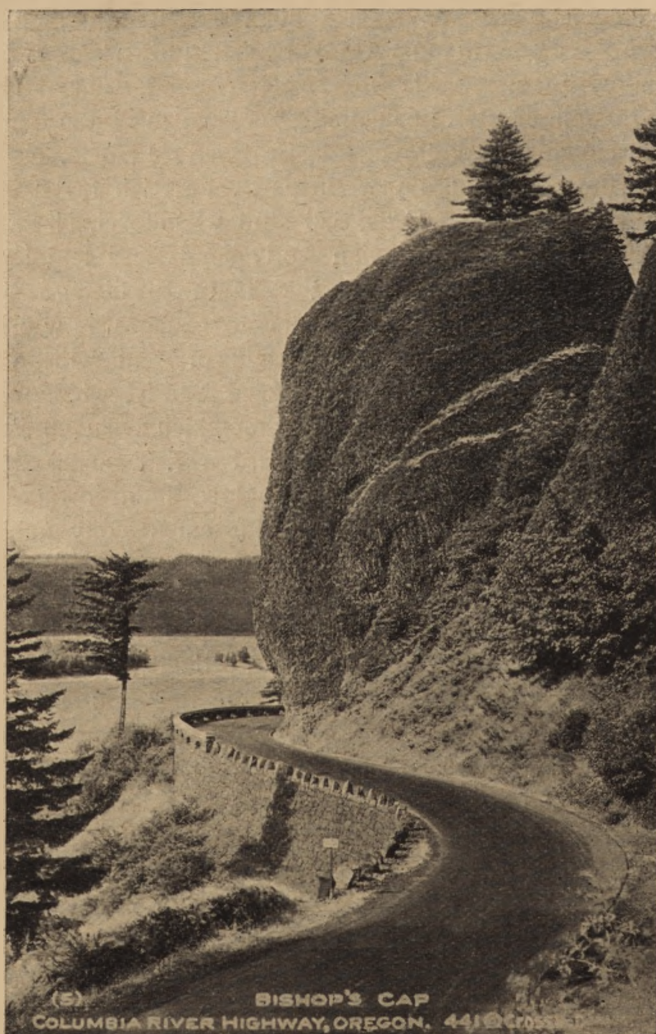
Piętnaście mil za miastem jestem przy moście — Lower Sandy Bridge. W tem miejscu, na rzece Sandy, wiosenną porą zjawiają się miljony srebrzystych rybek morskich zwanych „smelts". Są podobne do dużych norweskich sardynek. Tysiące mieszkańców przyjeżdża wtenczas z miasta na połów. Jedni łowią je siecią, inni przetakiem, a inny poprostu kapeluszem z wody nabiera ich ile mu potrzeba.

Dwadzieścia pięć mil za miastem, przy rzece, jest wzgórze „Crown Point", z którego roztacza się wspaniały widok na rzekę i okolicę. Widać na horyzoncie miasto Portland i dymiące kominy tartaków, w drugą stronę zaś czyli wgórę rzeki, po obu brzegach ciągną się wspaniałe wzgórza i skały porosłe lasem. Tu i ówdzie bielą się domy osadników i niewielkie wioski. Tuż przy rzece, licznemi tunelami prowadzi tor kolejowy.

Po kilkumilowej podróży spuszczam się ku rzece, ciekawie zbudowaną drogą. Aby spad nie był zbyt ostry, pochyłość na całej linji nie przenosi 5 proc., drogę zrobiono w formie dużej ósemki. Jadę mimo „Spadających Wód". Na kilkumilowej przestrzeni napotykam jedenaście mniejszych i większych wodospadów. Dziwnych kształtów skały i wzgórza mają swe nazwy, ale zbytecznie tu wszystkie wymieniać. W Bonneville rząd prowadzi wylęgarnię łososi, które hojną ręką zapuszcza do rzek i jezior w stanie Oregon.

Droga nad rzeką Columbia przypomina cośkolwiek Ren, Alpy, a nawet Włochy. Coprawda, nie mamy tu malowniczych zamków średniowiecznych — rycerzy-rabusiów. Zato można po-

dziwiać przecudne formacje skał, oraz urocze i bardzo wysokie wodospady..




**Droga wzdłuż rzeki Columbia.**

Powiadają, że główny inżynier i budowniczy drogi Samuel C. Lancaster przypatrywał się pewnego razu murarzowi, który z wielką starannością dobierał i dopasowywał kamienie. Zapytał

się — czemu sobie tyle zadawał trudu z tą pracą?! Stary włoski majster dobrą dał mu odpowiedź łamaną angielszczyzną: „Za kilka lat, powiada ów Włoch, mój syn tu przyjedzie i będzie oglądał mą robotę. Chcę, aby była dobra i aby był dumny ze swego Ojca“.

Patrząc na szeroką, spławną, licznemi wyspami usianą rzekę, przedstawiam sobie pierwszych pionierów z wyprawy Lewisa i Clarka. Odziani w skóry zwierząt, w lekkich indjańskich czółnach, robionych z kory brzozowej, płynęli tędy do Oceanu.

Przy wodospadach lub też w jakimś miłym zakątku albo na malowniczem wzgórzu, zbudowano przystanki, restauracje i sklepiki, w których sprzedają pocztówki z widoczkami tej uroczej doliny i rzeki. W wygodnych hotelikach turysta może czas dłuższy spędzić i bliżej zapoznać się z okolicą i wielu ciekawemi zjawiskami natury. Dzień był pochmurny. Zadawalniam się kilku zdjęciami ciekawych objektów. Żałuję, że brak słońca nie uwydatni dostatecznie tej rozkosznej doliny, wspaniałej drogi i jednej z najrybniejszych rzek w Ameryce.

W miasteczku Hood River, opuszczam malownicze brzegi Columbia River i skręcam w kierunku południowym, wzdłuż niewielkiej rzeczki Hood. Za chwilę oczom turysty cudny ukazuje się widok. Wjeżdża bowiem w słynną na cały świat dolinę sadów owocowych. Jak daleko okiem sięgniesz ze wzgórza, po którem się wije droga, widzisz tylko sady, niby jakąś ogromną szachownicę — drzew. Obszerna równina jest pokratowana szerokiemi, a przytem prościutkiemi drogami. Przy nich zaś długiemi rzędami rosną smukłe topole. Tu i ówdzie stoi schludny dom ogrodnika lub też większa, a czyściutko utrzymana wioska. Przy drodze milami rosną jabłonie, potem znów owocem obładowane grusze lub brzoskwinie. Najsłynniejszemi ze wszystkich owoców są czerwoniuteńkie jabłka. Wszystko znajduje się pod bardzo intensywną uprawą. Chociaż przepadują częste deszcze, jednak wszędzie widać rowy wodą napełnione do sztucznego nawadniania tej urodzajnej doliny.

Na horyzoncie piętrzy się ku niebu, odwiecznemi śniegami pokryty, a dawno zgasły wulkan — Mt. Hood. Dużom sobie zadał fatygi, aby choć zdaleka zrobić jakie takie zdjęcie jego śnieżnych, a mgłą spowitych szczytów. On to właśnie zasłał tę dolinę popiołem, na którym teraz tak smaczne owoce hodują.

Po zawodzie, jakiego doznałem, skrabiąc się na mroźny wierzchołek góry Ranier, nie dam się skusić jej sąsiadce Mt. Hood, o tysiąc stóp niższej. Opuszczam więc okolicę sadów owocowych, istny raj, i przez niewielkie pola, oraz przydrożne zabudowania gospodarskie, wjeżdżam w obszerną rezerwację leśną. Oregon posiada jeszcze kolosalne lasy. Kręta ale szeroka droga wije się wśród wiecznej zieleni potężnych świerków, cedrów i sosen. Serpentyną wspinam się na jakieś wzgórza to znów zjeżdżam w leśne doliny. Co chwila roztacza się przed oczyma coraz to inna panorama leśna. Przekraczam liczne strumyki i rwące rzeczki, które źródła mają w białych, śnieżnych szczytach starego wulkanu. W jednem miejscu napotykam wśród olbrzymich drzew, gęste zarośla rododendronów-calamis.

Poprostu objeżdżam dokoła potężną górę. Od strony południowej przekraczam szeroką rzekę — kamieni. Nie jestem wielkim geologiem, ale wyobrażam sobie co to była za kanonada, gdy ów wulkan, niby potężna haubica walił w niebo miljonami do czerwoności rozpalonych kamieni, wobec ktorych największe armatnie pociski to... ziarnka grochu! Ta straszliwa, dobre pół mili szeroka rzeka olbrzymich głazów, niektóre daleko większe od zwykłego domu, przerażające na widzu robią wrażenie. Cóż to za straszna siła, która potrafiła z wnętrza ziemi, kraterem niby lufą tysiące metrów głęboką i kilka mil średnicy — któż go tam zresztą zmierzy — wyrzucać na odległość kilkudziesięciu mil, tak kolosalne pociski?! Wobec tej zimnej, spokojnej potęgi wulkanu, którą się tu ogląda i podziwia, odczuwa każdy miernotę i poprostu znikomość ludzką!...

Brzegiem rzeki Sandy zbliżam się znów do głównej drogi. W gęstym lesie świerkowym, tuż nad szumiącym potokiem, napotykam wspaniałe letniska bogaczy, którzy na łonie natury, wśród ciszy leśnej, przy szumiącym potoku spędzają wakacje. Zazdroszczę im tak uroczego miejsca.

Okrążywszy ten potężny kiedyś wulkan, wyjeżdżam z rejonu leśnego w okolice rolnicze. Przez miasteczka Sandy, Clackamas, Gladstone wydostaję się znów na główny trakt U. S. 99 w Oregon City, miasteczka położonego jakie piętnaście mil na południe od Portland. Nie wracam do metropolji oregońskiej, ale ruszam w kierunku południowym ku Salem, stolicy tej ogromnej, malowniczej połaci kraju. Mknę bardzo bogatą i uroczą doliną

rzeki Willamette. Tak z jednej, jak i z drugiej strony drogi, hen na horyzoncie, ciągną się dwa równoległe łańcuchy górskie. Od wschodu jest wysoki pas Cascade Montains, a od strony oceanu, niższe cośkolwiek wzgórza Costal Range.



Wzdłuż rzeki Columbia.

Urodzajna dolina rzeki jest pokratowana drogami i kolejami. Przy drodze ciągną się ogromne sady wiśni i czereśni. To oj-

czyzna najsmaczniejszych czereśni, może na kuli ziemskiej. Jedne są duże i ciemno-czerwone Bing i Lambert, a drugi gatunek Royal Ann, blado-żółte. W czerwcu, podczas zbioru, w Salem urządzają corocznie wielki festyn wiśniowy. Sadzą tu odmienny gatunek drzew wiśniowych, których gałązki z jednej i drugiej strony są niemal oblepione soczystym, ciemno-czerwonym, powiedziałbym amarantowego koloru owocem. Jeżeli trafi sezon mokry, farmerzy ponoszą kolosalne straty. Owoc wtenczas szybko dojrzewa i pęka z nadmiaru soku.

Prócz sadów wiśniowych, hodują tu dużo chmielu. Może nie tak piękny jak w okolicach Zbąszyna, na granicy niemieckiej, ale zawsze chmiel w Ameryce najlepszy. Hodowla lnu szybko się rozwija i co do gatunku, idzie w zawody z najlepszym lnem irlandzkim i belgijskim. Zapomocą specjalnych maszyn, podczas żniw, len wyrywają z korzeniem. Orzechy, gruszki i wszelkie gatunki jagód i malin, wydają obfite plony. Ziemia tu kosztuje od sto do dwieście dolarów za akr.

Salem jest stolicą stanu Oregon. W początkach historji tego olbrzymiego imperjum zachodu zebrali się tu pionierzy, aby zadecydować, czy ten obszar ma należeć do Kanady, czy też ma się przyłączyć do Stanów Zjednoczonych. Dwoma zaledwo głosami i to w dodatku rodowitych Kanadyjczyków — Francuzów, zadecydowano, aby te jeszcze na pół dzikie terytorja należały do Stanów Zjednoczonych. Miasto założyli koloniści z Nowej Anglji i dlatego dali mu nazwę jednego z najstarszych miast w Massachusetts. Posiada około dwadzieścia pięć tysięcy ludności. Kapitol i gmachy rządowe w klasycznym stylu zbudowane, dają mu pewien ton i powagę. Szerokie ulice, gęsto drzewem i kwiatami przystrojone, uczyniły ze stolicy istny — park miasto. Rolnictwo, hodowla wiśni, chmielu, a także poważny eksport drzewa rzeką Willamette podniosły wielce dobrobyt tutejszych obywaleli.

W Salem zatrzymałem się na noc, aby rano ruszyć w dalszą podróż. Wciąż jadę w kierunku południowym, szeroką urodzajną i malowniczą doliną rzeki Willamette. Mijam mniejsze i większe miasteczka. Wszędzie widać wiśniowe sady, ogrody warzywne i pola pszenicy lub chmielu na wysokich tykach rozpiętego. Siedmdziesiąt mil na południe od stolicy, dojeżdżam do pięknego miasteczka Eugene, którego główną atrakcją jest uniwersytet stanowy. Pozatem nic tu ciekawego nie zatrzymuje turysty.

Poza miastem, piękna dolina nagle się ścieśnia, a nawet spławna rzeka schowała się za górami. Wjeżdżam w rejon górzysty, a pod względem rolnictwa dosyć biedny. Wzgórza obna-




Wzdłuż rzeki Columbia.

żone z drzew, świecą golizną, i zielonemi kępami krzaków. Zrzadka napotykam ogród wiśniowy lub sad grusz. Jedno z miasteczek Yoncalla, swą nazwą zwraca na siebie uwagę, po polsku wyma-

wia się „jąkała". Może Polak tu zabłądził i tak trochę z polskiego tę osadę przechrzcił.

Polaków w Oregon niewielu. Zdaje się, że Niemcy mają tu kilka osad. Polacy zdobyli się zaledwo na jedną niewielką parafję w Portland. Pozatem tu i ówdzie możnaby spotkać jakiegoś osadnika, który się od polskiej gromady oddalił i na dalekim zachodzie zamieszkał. Tacy wkrótce tracą język, religję i poczucie narodowe. Często zamieniają polskie nazwiska na amerykańskie, gdyż nie chcą uchodzić za „forejnerów" czyli obcokrajowców.

W prostej linji od granicy północnej czyli od rzeki Columbia do granicy południowej, a względnie do Kalifornji, odległość wynosi około 275 mil, a od wschodu na zachód 375 mil. Jadę pustkowiem, skaczę z jednej góry na drugą, krętemi a nieraz dosyć stromemi drogami docieram do Grants Pass. Miasteczko prowincjonalne, zresztą bardzo czyściutkie i miłe, otrzymało nazwę od generała Granta. Jako młody oficer, był stacjonowany w tych okolicach. W wojnie domowej stanął na czele wojsk federalnych, a po odniesionem zwycięstwie został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Młode lata spędził nad brzegami oceanu Spokojnego, w górach północnej Kalifornji i oregonu, a pochowany jest w Nowym Jorku, nad rzeką Hudson, tuż przy oceanie Atlantyckim. Zdaje się, że Grant i jego oddziały budowali i wymierzali pierwsze drogi w tych stronach. W tem miasteczku łączą się dwie główne linje komunikacyjne. Jedna prowadzi ku oceanowi Spokojnemu i nad jego brzegiem, przez cudne lasy czerwonych świerków, zwanych „Redwoods" wiedzie do miasta San Francisco. Druga zaś, w przeciwnym kierunku przez Medford, między górami prowadzi doliną Shasta do stołecznego miasta Kalifornji — Sacramento.

Chociaż zadecydowałem jechać do Kalifornji nad brzegiem oceanu przez cudne lasy, jednakowoż wabi mnie słynne na cały świat ze swej piękności i położenia jezioro Crater Lake. Nie mogę się oprzeć pokusie. Ruszam wzdłuż bardzo rybnej rzeki Rouge, ku miasteczku Medford. Tu znów piękniejsze i urodzajniejsze okolice. Rzeka dostarcza wody, a więc zaraz widzi się zielone łąki, ogrody warzywne i sady owocowe, przeważnie grusze. W górach, a nawet w rzeczkach i strumykach górskich wydobywają złoto. Ilość złota jest niewielka i zdaje się ogólnego

braku na rynku światowym nie zaspokoi. Zatrzymałem się na noc na przedmieściu Medford, aby rychłym rankiem skrabać się na góry i obejrzeć wspaniałe jezioro, nasze amerykańskie — „Morskie Oko“.

---

## Rozdział XXI.

# CRATER LAKE.

O ósmej ruszam ku miastu, gdyż tędy prowadzi droga do Crater Lake. Dzień jasny, ciepły, więc jest nadzieja, że zrobię choć kilka zdjęć, aby się przynajmniej obrazkiem z czytelnikiem podzielić. Do jeziora jest ośmdziesiąt mil drogi. Znakomitym asfaltowym traktem ruszam ku górom Cascades. Ten wysoki pas górski, ciągnący się od granicy Kanadyjskiej przez stany Waszyngton, Oregon i część Kalifornji jest formacją wulkaniczną. Góry Mt. Baker, Mt. Adams Mt. Ranier, Mt. Hood, Mt. St. Helens, Mt. Shasta od dziesięciu do przeszło czternastu tysięcy stóp wysokości to — wygasłe wulkany. Z tego licznego zastępu wulkanów, które niby olbrzymia baterja, w regularnych odstępach kilkudziesięciu mil od siebie oddalonych, ziały dymem, popiołem, lawą i kamieniami, teraz został się nam tylko jeden czynny wulkan — Mt. Lassen. Góra, do której jedziemy i w której wierzchołku to cudne jezioro się znajduje, także była wulkanem. Nazwano ją Mt. Mazama. (Mt. jest skróceniem wyrazu mountar góra).

Droga początkowo prowadzi obok zielonych pól lucerny i sadów owocowych. Dzięki sztucznemu nawodnieniu, wydajność ziemi jest znakomita. Ale uprawnej roli jest tu stosunkowo niewiele. Powoli wspinam się ku górze, a właściwie pasmu górskiemu. Wkraczam do rządowej rezerwacji leśnej. Cóż to za cudne, a potężne lasy świerków! Tablice ostrzegawce przez rząd umieszczone, głoszą, że tu ogni wzniecać nie wolno, a nawet turystom zakazują palić i rzucać niedopalone odpadki w lesie lub przy drodze! W czasie posuchy, wykroczenie przeciw przepisom, jest bardzo surowo karane, nie tylko pieniężną grzywną, ale i więzieniem. Zauważyłem gdzieś taki napis: „Jedno drzewo wyda miljon zapałek, a jedna zapałka spali miljon drzew“. Zupełnie słusznie.

Już często jechałem przez wspaniałe i gęste lasy. Nigdzie jednak nie trafiłem na piękniejsze. Przez pewien czas droga pnie się krętemi zwojami, wzdłuż rzeczki, zdaje się Rouge River i jej niewielkich dopływów. Niekiedy napotykam małe wioski, a właściwie letniska. Turyści w płóciennych namiotach lub w wygodnych domach, przy rzeczce zbudowanych, używają takich wywczasów, że możnaby im tej przyjemności pozazdrościć. Nie słyszysz tu lokomotyw ani świstu maszyn, tylko szum potoku i spokojny, a potężny szmer lasu...

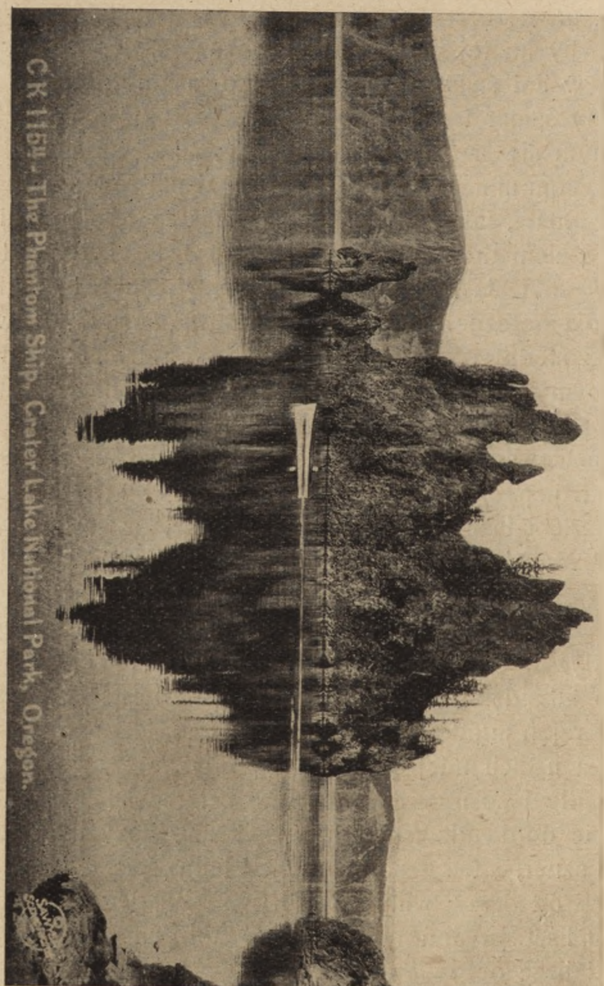
Gdym się wydostał na wyżyny, jakie sześć tysięcy stóp ponad poziom morza, wjeżdżam na olbrzymią równinę leśną. Droga równa i prosta, jak strzała. Zdaje ci się, że to olbrzymi tunel wycięty w zieleni drzew, trzydzieści stóp szeroki, a na sto stóp lub więcej wysoki. Jak okiem sięgniesz, po jednej i drugiej stronie drogi stoją potężne, smukłe, a prościutkie sosny od dwu do sześciu stóp średnicy. Jadę niezbyt szybko, aby oczy napaść tym przecudnym widokiem równiuteńkiego, zielonego, olbrzymiego lasu... Zauważyłem, że ścięte drzewa i stare zwalone kolosy, starannie pousuwano i przynajmniej z brzegu wszystko jest czyściutkie i w najlepszym porządku.

W głębi lasu natrafiam dwie wielkie, okrągłe rury z drzewa zrobione. Mają jakie dziesięć stóp średnicy. Ciągną się gdzieś zdaleka, mile całe i niby potężny wąż pną się wśród wzgórz i dolin. W ten sposób wykorzystują tu siłę wodną do wyrabiania prądu elektrycznego, gdyż w pobliżu zauważyłem urządzenia elektrowni.

Po kilkudziesięciu milach drogi, wśród gęstych lasów, wjeżdżam w rejon młodego zalesia. Widocznie lata temu wycięto stare drzewa, a na ich miejsce wyrasta bujny gęsty, zielony las. Są to młode jodły i sosny, od dwóch do czterech cali średnicy, a jakie ośmnaście do dwudziestu stóp wysokości. Wszystko rośnie równo, jak pod sznur, a tak gęsto, że zając z ledwością by się tu przedarł. Widać wśród drzew walkę o byt. Każde sięga zieloną koroną iglastych liści po słońce. I tak się jedno na drugie wspina ku niebu. Słabsze oczywiście padną w tej nieubłaganej walce i ewentualnie posłużą za pożywienie dla silniejszych pędów. Nie tylko wśród ludzi i narodów, ale nawet wśród roślin i drzew, już nie wspominam o zwierzętach, widać tę straszliwą walkę o byt.

Znów wjeżdżam w gęste lasy. Stroma droga upewnia mnie, że wdrapuję się na sam wierzchołek dawno zgasłego wulkanu,

który gwałtowną pracę zakończył w nader tragiczny sposób. Po przebyciu kilku ostatnich mil zawiłemi i dosyć stromemi skrętami i serpentynami, docieram do bramy wjazdowej. Na maszcie w powietrzu powiewa sztandar gwiaździsty! Świadczy on, że wjeżdżam




Jezioro Crater Lake.

na posiadłość rządową. W pobliżu bramy jest kilka budynków, artystycznie z potężnych okrąglaków zbudowanych. Urzędnik w mundurze ze skautowskim kapeluszem na głowie, wychodzi na powitanie. Zapisuje numer samochodu, za opłatą dolara daje wza-

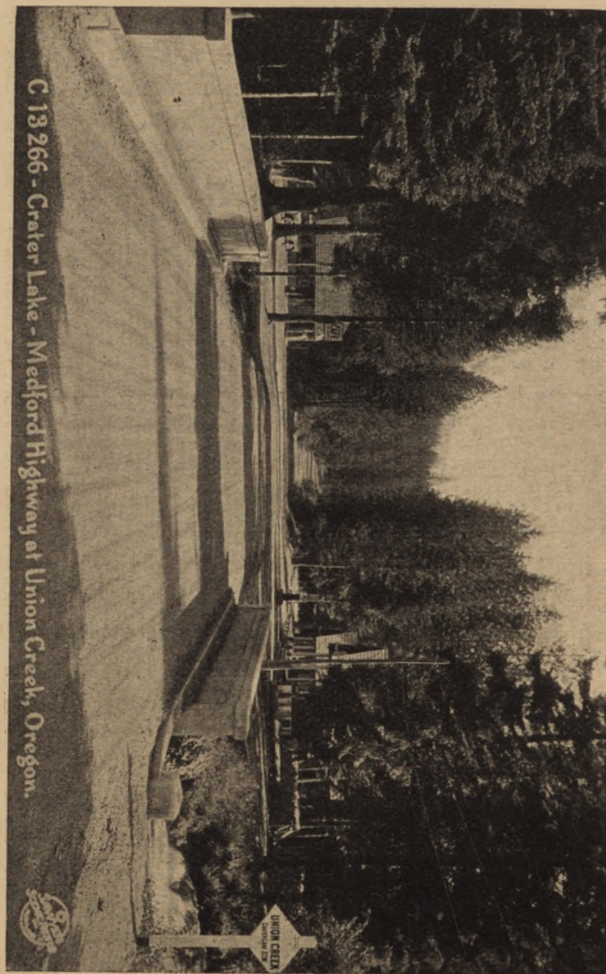
mian mapę i książeczkę opisową i każe jechać. W pobliżu tej kwatery rządowej płynie bardzo silne źródło zimnej jak lód, a czystej jak kryształ wody. Po załatwieniu krótkich formalności, jadę na sam szczyt. Już niedaleko do celu. Mam przed sobą szeroki zajazd, w którym można z łatwością umieścić kilkaset samochodów. Restauracja, murowane piece polowe dla turystów, stoły i ławki wśród drzew rozstawione zapraszają na dłuższy pobyt i wypoczynek. Wysiadam czem prędzej z samochodu i spieszę nad brzeg tego cudnego i jedynego w swym rodzaju jeziora na kuli ziemskiej.

Zgóry zapewniam, że trudno opisać pierwsze wrażenie, jakie się odnosi z tego nadzwyczajnego obrazu. Trzebaby tu Żeromskiego lub którego z wielkich znawców języka polskiego, aby przynajmniej w przybliżeniu opisał i oddał, co się tu ogląda i podziwia... Nawet najlepsza fotografja może tylko oddać kontury i linje jeziora. Z podanych ilustracyj można sobie wytworzyć zaledwo słabe pojęcie o tym cudzie natury. Kolory jeziora i wysokich wulkaniczną lawą zasypanych brzegów, mógłby tylko oddać chyba Męcina Krzesz, Matejko, Siemiradzki, Wyczółkowski lub inny mistrz farb. Najsłynniejsi malarze miesiącami koczowali w niektórych z naszych parków, chcąc chociażby tylko w przybliżeniu, oddać to bogactwo barw, kolorów świateł i cieni, jakie się w nich napotyka.

Dzień był wprost wymarzony... Na wysokości ośmiu tysięcy stóp, było chłodno, chociaż słońce jasno świeciło. Na niebie sunęły, niby stada owiec, lekkie chmurki, czasem wiatrami zbijane w większe zwały. Na jeziorze zaś panowała bezwzględna cisza. Chwilowo zdaje się, że nie patrzysz na taflę wody, ale raczej na jakieś o cudnych barwach szklące lustro.

Nasamprzód uderzają widza bogatą grą kolorów brzegi jeziora. Jest to krater wygasłego wulkanu, który się widocznie zawalił i... zadusił. Kształt przypomina okrągły lej, szerszy u góry, a węższy u spodu. Ściany miejscami niemal prostopadle wznoszą się dwa tysiące stóp ponad taflę wody. Wulkaniczny popiół, lawa i jakieś skamieniałe żużle przybrały najdelikatniejsze barwy od cytrynowo-żółtych, pomarańczowo-różowych do ciemno-fioletowych, niemal zupełnie czarnych. Znalazłbyś tu całą gamę tonów. Miejscami brzegi są o konturach regularnych, przypominających wielki nasyp popiołu. Gdzie indziej skamieniałe i w jedną potę-

żną masę zbite, od gorączki sczerwieniałe strumienie lawy potworzyły fantastyczne grupy i wieżyce. Jednym rzutem oka obejmujesz cały, o bajecznych kolorach brzeg jeziora. Tu i ówdzie wyrosły smukłe, zielone świerki.



Droga z Medford do Crater Lake.

Niemałe to jezioro. Sześć mil długie i tyleż mil szerokie. Brzeg zaś jest mniejwięcej dwadzieścia cztery mile długi. Tuż przy samych brzegach widać jeszcze niewielkie burty śniegu, które, niby sznur pereł, otaczają cudną i nie do opisania toń wody. Delikatne barwy wysokich brzegów odbijają się w tafli jeziora.

Nadają wodzie niezwykły kolor fioletowy i ametystowy. Ku środkowi zaś zmienia się w barwę blado-zieloną, przypominającą barwy morza Śródziemnego w okolicach Sycylji, lub farbę — (pruską) prussian blue. Nie wiadomo, czy to wielka toń wody, gdyż miejscami dochodzi do dwóch tysięcy stóp, czy też wysokie położenie i warunki atmosferyczne dają jej te wyjątkowe barwy lazuru, seledynu i szmaragdu?! Chemiczna analiza nic nie wykazała, coby na kolor jej wpłynęło. Rząd zapuścił kilka gatunków ryb, które w kilkunastu latach bardzo się rozmnożyły. Ale któżby w tem uroczem zjawisku łowił ryby?! Dla poety to jest — „morze szafiru i ciszy". To jezioro tajemnic i zagadek. Mimowoli pytam: co się tu stało i jak się to stało?!...

Nic tak może kształtem nie przypomina tego jedynego w świecie jeziora, jak leje i kratery najcięższemi pociskami w ostatniej wojnie porobione i do połowy wodą pozalewane.

Na lewo od naszego punktu obserwacyjnego z toni jeziora wybiła się na powierzchnię wysepka, pokryta lasem. Jest to właściwie czub i krater małego wulkaniku, który powstał w tem miejscu po zawaleniu się tego potężnego kolosa. Sondowanie dna jeziora wykazało, że pod wodą istnieją jeszcze dwa wulkaniczne cyple, całkowicie zalane wodą, więc też na powierzchni niemasz po nich najmniejszego śladu. Wygasły i popiołem zawalony krater na wysepce jest czterysta stóp szeroki, a ośmdziesiąt stóp głęboki. Motorówka płynąca do tego wulkaniku przypomina z tej wysokości i odległości wodnego pająka...

Po prawej stronie, blisko brzegu, sterczy wulkaniczna skała. Nazywają ten skamieniały cypel lawy „phanton ship" — zjawa okrętu. Przy zachodzie słońca zdaje się, że to okręt z rozpiętemi żaglami i wysokiemi masztami płynie po tej niezmąconej toni...

Strome a wysokie brzegi, o niedających się opisać barwach, dziwne nieraz przybierają kształty. Jedno potężne wzgórze nazywają „devils backbone" — grzbietem djabła. (Zawsze tego biedaka mają tu w poszanowaniu i jakąś górę, dolinę lub przepaść jemu oddają).

Na jednem ze wzgórz „stróżem" zwanem, zbudowano wieżę dla t. zw, „forest rangers". Ci urzędnicy spełniają obowiązki leśniczych. Najważniejszem ich zadaniem jest ochrona lasów przed pożarami. Gdy się ukaże dym na horyzoncie, taki „ranger" spieszy na miejsce pożaru. Jeżeli ogień przybrał groźne rozmiary,

telefonicznie alarmuje całą okolicę i za parę godzin setki ludzi, zaopatrzonych we wszelkie przybory do gaszenia ognia stają do walki z niebezpiecznym żywiołem.

Jezioro Crater Lake znane było Indjanom. Otoczyli je głęboką czcią i legendą. W ich mniemaniu, żyły tu, bawiły się, a nawet walczyły ze sobą potężne duchy. Dlatego Indjanie trzymali się zdala od czarodziejskich mocarzy, co tak dziwne i dla nich niepojęte stworzyli dzieła.

Pierwszym białym człowiekiem, który to jezioro zobaczył, był Jan Wesley Hillman. Polował i poszukiwał za złotem w tych stronach w roku 1853-im. Przez pewien czas wieść o nim zaginęła, dopiero w roku 1869 znów przybyła partja pionierów i nazwali to jezioro — Crater Lake czyli — jezioro krateru.

W roku 1872-im przybył do Oregon William Gladsone Steel. Ten jako mały chłopiec, w szkole słyszał o tym cudzie natury, utworzonym przez śniegi i deszcze w kraterze wygasłego wulkanu. Przez kilka lat błąkał się wśród lasów szukając jeziora. Nikt o niem nie wiedział i żaden z osadnikow nie mógł nawet udzielić mu bliższych wskazówek. Tak spędził dziewięć lat, zanim trafił na człowieka, który go tam zaprowadził. Widok, jaki mu przedstawił, przechodził jego pojęcie. Odtąd wszystkie siły i zasoby poświęcił, aby to urocze miejsce przeszło na własność rządu i jako park narodowy oddane było całemu narodowi. Jego siedmnastoletnia praca została uwieńczona pomyślnym rezultatem. W roku 1902 kongres Stanów Zjednoczonych przejął ten szczyt wulkaniczny jako park narodowy. Z Medford zbudowano przez lasy i góry doskonałą drogę i teraz tysiące turystów co roku tu przyjeżdżają, aby nie tylko wzrok, ale dusze nasycić tą wprost nie do opisania tonią wody, kolorem przewyższającą najpiękniejsze szmaragdy i ametysty — niby drogi pierścień osadzony w szczycie wulkanu.

Zrobiłem kilka zjęć w nadziei, że w wolnych chwilach mogę patrzeć na fotografję i w duszy odtwarzać ten malowniczy obraz najcudowniejszego jeziora pod słońcem, umieszczonego w kraterze wulkanu, w niedostępnych, świerkowych lasach. Chciałby tu człowiek jak najdłużej popasać i w pamięć wbić każdy kontur, górę, szczelinę, drzewo i nieopisaną barwę tego cudu natury. Zauważyłem, że turyści w milczeniu na jezioro patrzeli... Wprost byli

tym widokiem oszołomieni. Nikt nie mógł znaleźć w duszy dosyć słów podziwu i uwielbienia!

Możnaby tu z pożytkiem kilka dni spędzić i badać to nadzwyczajne zjawisko. Wszystko dokładnie już badali geologowie. Geolog to istny detektyw. Podpatruje własną Matkę Ziemię, co ona w swej młodości za figle płatała i po nitce dąży do kłębka. Z ich badań dochodzimy do wniosku, że tu rozmaite, ciekawe działy się rzeczy. Pod dwudziesto-stopową warstwą lawy i wulkanicznego popiołu, odkryto granity i lodowcami wypoliturowane kamienie. Prócz tego natrafiono na strefy roślinności wybuchem wulkanu zasypane. Więc też uczeni twierdzą, że w tej okolicy rozpanoszyły się kiedyś lądolody. Może nawet kilkakrotnie się tu pojawiały i dłuższy czas trzymały górę w zimnych uściskach. W pewnych okresach, przy zmianie temperatury, powodowanej przez zmieniony kierunek czy pochyłość ziemi, ustępowały lody, a wracała temperatura ciepła, może nawet gorąca?!.. Stoki góry w takim okresie pokryły się roślinnością. Perjodyczne wybuchy wulkanu zasypywały wszystko popiołem i lawą. Takich zmian od lodowców do zniszczenia roślinności przez wybuch wulkanu było kilka, a może nawet kilkanaście. Jak to długo trwało, ile razy te kataklizmy wracały, nikt odgadnąć nie może...

Co do powstania samego krateru, w większej połowie wypełnionego cudnem jeziorem, także są różne teorje. Jedni twierdzą, że gwałtowny wybuch zerwał cały czub utworzony z popiołu lawy i żużli, rozrzucił daleko i szeroko. Inni zaś udowadniają, że to wulkan ze siebie wyrzucił morze gorącej lawy albo też w jakiś nieznany sposób opadło do wnętrza ziemi. Popiół i zastygła lawa, tworząca wierzchołek i lej wulkanu, pozbawione ognistego fundamentu, zapadły się do wnętrza i zasypały pozostałą stygnącą lawę. Jednakowoż poprzez to pokrycie gazy i lawa utworzyły sobie kilka lei. Najwyższy lej wystaje ponad powierzchnię wody i tworzy wyspę Wizard Island. Dwa mniejsze są całkowicie pokryte taflą jeziora. Śniegi i lody powoli zapełniły tę czeluść wodami o przecudnym niebiesko-zielonkowatym kolorze. Niemasz tu żadnego dopływu ani odpływu, chyba że gdzieś na zboczach sączące źródła utrzymują jezioro mniejwięcej na jednostajnym poziomie. Woda jest słodka, czysta, zimna i dobra do picia.

Cały park obejmuje zaledwo dwieście pięćdziesiąt mil kwadratowych. Ma się rozumieć główną atrakcję stanowi jezioro i jego

spadziste, cudnych kolorów strumienie skamieniałej lawy, popiołów wulkanicznych i ciemno-czerwonych żużli. W pięknem, z kamienia i drzewa zbudowanem muzeum, ku pamięci niezmordowanego szampiona tego jeziora i parku, Mikołaja J. Sinotta, można oglądać mapy, minerały, a zapomocą teleskopów dogodnie badać brzegi i wzgórza jezioro otaczające.

Z trudem i żalem odrywam wzrok od tego fascynującego jeziora. Możnaby za Apostołami powiedzieć „dobrze jest nam tu być". Czas nagli, więc też pakuję aparaty fotograficzne i ruszam w powrotną drogę.

Po dwugodzinnej podróży wracam znów do Medford. Z tego miasteczka wysyłają corocznie trzy tysiące wagonów gruszek. Tu ich ojczyzna. Jadę z powrotem do Grants Pass, głównej kwatery turystów w południowym Oregonie. Zdaje się, że najintratniejszą branżą przemysłu tego uroczo w górach położonego miasteczka są turyści i klimat, który na afiszach i cyrkularzach dosyć głośno wychwalają. Hoteli, domków czyli kabin dla turystów pełno. Niektóre bardzo czyściutkie i z nowoczesnemi urządzeniami, jak kąpiel, światło elektryczne, piece gazowe, kuchnie i t. d. Więc też nie mam najmniejszej trudności w wyborze dogodnej kwatery, a to tem bardziej, że jutro niedziela — 14-go sierpnia 1932.

Kościółek katolicki bardzo skromny. Miejscowy proboszcz wyjechał na wakacje i zastępował go ksiądz ze sąsiedniego miasteczka Medford. Króciutka cicha Msza św. i kazanie angielskie z silnym akcentem irlandzkim skończyło się w trzy kwadranse. We wszystkich niemal kościołach kazania i nauki w niedzielę są bardzo któtkie. Im krótsze tem lepsze. „Gorliwy" amerykański katolik, że tak powiem „wpadnie" do kościoła na pół godzinki. Młodsi zawsze stoją pod chórem, aby czem prędzej, po nakarmieniu duszy mocno skoncentrowanym obrokiem duchownym, spieszyć do innych zajęć i odświętnych rozrywek. Wszystko, jak tu mówią, jest „short and sweet" — któtkie i słodkie. Nie można przecież nowoczesnego „katolika" obciążać długiemi kazaniami i naukami. Ksiądz, co w swej duszpasterskiej gorliwości zbyt długo „gada", odczuje momentalnie swój nietakt na kolekcie niedzielnej. To jest nasz barometer, według którego wszelkie nabożeństwa i nauki są regulowane. Oczywiście, skutki takiej pobieżnej i króciutkiej nauki są dla nas fatalne. Wielu idzie do kościoła tylko z nałogu lub dla formy, bo trzeba. O wierze i za-

sadach Kościoła nie mają najmniejszego pojęcia. Ale o tem potem.

Gdzie mogę, łączę użyteczne z pięknem. Po uciążliwej podróży i przy niedzieli zatrzymuję się w wygodnej kwaterze. Wy-




Crater Lake.

ciągam mój Underwood Portable i jednym palcem stawiam literę za literą z mych wrażeń. Nie ma co gadać — świat idzie naprzód! Dawniej pisali piórem, gęsi ze skrzydła czy też ogona wyrwanem. Później wynaleźli stalowe pióra, „okładki“ które w mych szkol-

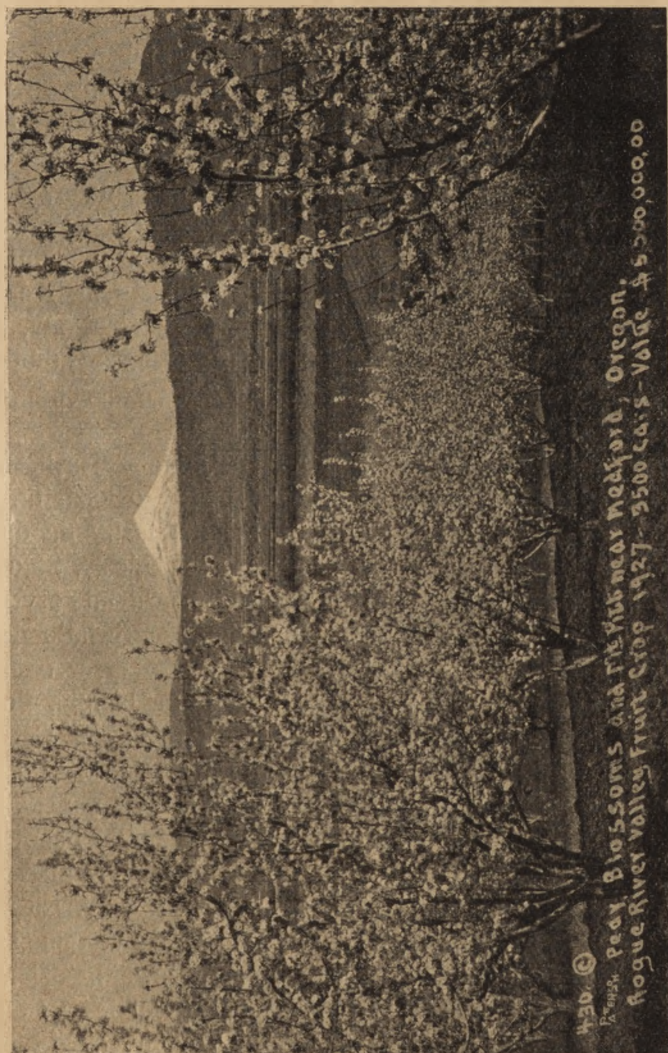
nych czasach nazywali „trzymotko“. Nastały złote pióra natryskowe, kiedyś luksus, a teraz rzecz bardzo powszechna i tania. Piórem piszę bardzo „kaligraficznie“. Z tem tylko kłopot, że później ani ja sam, ani żaden znawca pisma klinowego i hieroglifów nie może wykalkulować mych wykrętasów. Niech więc Bóg da zdrowie tym, co wymyślili lekkie maszynki do pisania „portable“. Dawniej po świecie włóczyłem się z „Coroną“ a teraz z Underwoodem“. Wygodna to rzecz, a przytem można z łatwością przeczytać, co się napisało, chociaż to nieraz nie ma ani rymu, ani składu, ani sensu...

Po całodniowym, fizycznym wypoczynku, a umysłowym wysiłku, w poniedziałek rano ruszam w dalszą drogę do słynnej Kalifornji. Według mapy, którą zawsze z dokładnością jakiegoś sztabskomando, studjuję co wieczór i odbywam nad nią rozmyślania, za kilka godzin powinienem przekroczyć granicę i triumfalnie wjechać do ojczyzny pomarańcz i Hollywoodu. Elegancka droga szeroką doliną prowadzi w kierunku zachodnio-południowym ku oceanowi i Kalifornji, przeszło tysiąc milowym frontem o niego opartej. Od Grants Pass nazywa się ta droga „Redwod Highway“.

Opowiadają mi ciekawe rzeczy o pieczarach oregońskich, położonych w górach, niedaleko granicy kalifornijskiej. Nigdy w takich pieczarach nie byłem, więc też ciekawość wzięła górę. W odległości dwudziestu pięciu mil od Grants Pass, zbaczam ku Oregon Caves. Jadę dwadzieścia mil wbok i znów wspinam się wśród pięknego lasu ku szczytom górskim. Droga nowiutka z asfaltu zrobiona, więc też mimo skrętów i t. zw. „hairpin turns“ gdzie mamy gwałtowne i ostre zwroty i wywijasy, śmiało walę naprzód. Myślałem, że takie pieczary i kolosalne jamy znajdują się gdzieś w dolinie lub głębokim parowie. Ta zaś pieczara, przypadkowo jakie pięćdziesiąt lat temu, przez myśliwych odkryta, znajduje się niemal u szczytu wysokiej góry. Rząd zbudował przy niej wygodną kwaterę dla turystów, gdzie można zamieszkać czas dłuższy i we wszystko co potrzebne się zaopatrzyć.

Każdemu dają odpowiednie hajdawery, aby ubranie w tych jamach się nie zniszczyło. Kobiety, a szczególnie takie sobie obsadne damy, pociesznie w tej garderobie wyglądają. Dziwiło mnie, jak one w tych podziemnych czeluściach się przecisną. Po opłacie pół dolara wstępnego ustawili nas w rząd i zapuszczamy się do granitowych podziemi. Ganki i tunele oświecone lampkami elektrycznemi, więc można było dosyć swobodnie schodami wy-

kutemi w kamieniu, a niekiedy nawet z żelaza wspinać się w górę lub wdół do obszernych sal.




Sad gruszek w Medford.

Jest to stosunkowo młodziutka pieczara. Według obliczeń geologów i grubości stalaktytów i stalagmitów, które się tworzą bardzo powoli, a tu są niezbyt grube i wysokie, trzeba było jakie sto tysięcy lat na ich tworzenie. We Virginji i innych czę-

ściach kraju istnieją pieczary o wiele starsze, niektóre podobno istnieją miljony lat. Czy tak jest w rzeczywistości, napewno powiedzieć nie mogę, gdyż ich historji nie znam a metryki urodzin nie widziałem.

Ponieważ to moje pierwsze przejście takiej pieczary, więc też z zaciekawieniem słucham opowiadań przewodnika o rozmaitych właściwościach takiej podziemnej czeluści. Główną atrakcję, zdaje się niemal każdej pieczary, stanowią stalaktyty i stalagmity. Kształtem przypominają duże sople lodu, które widzimy u spadu dachów zimową porą. Topniejąca woda zamarza i tworzy taki lodowaty cypel. Tu zaś wapno i inne minerały w miniaturowych ilościach tworzą jakby marmurowy, powiedziałbym niemal do onyxu podobny osad. To bardzo powolne ściekanie wody, kropla za kroplą trwa wieki całe. Geologowie twierdzą, że grubość całorocznego osadu nie dochodzi w pewnych wypadkach grubości najdelikatniejszej bibułki.

Krętemi tunelami dochodzimy do obszerniejszej sali. W niej utworzyło się kilkadziesiąt stalagmitów ciekawego kształtu. Przypominają formą olbrzymie gniazda szerszeni, plastry miodu i jakieś misternie żłobione i połyskujące lampy chińskie. Stąd przeprowadzają nas drabinami, schodami i bardzo zawiłemi korytarzami do olbrzymiego lochu. Zupełna panuje ciemność. Światło dzienne nigdy tu nie dochodzi. Gdy tak wytrzeszczamy oczy, w tych egipskich ciemnościach, naraz zapalono elektryczne lampki, poumieszczane w głębi wśród potężnych skał i przepaści. Czerwone światło ukrytemi reflektorami w górę rzucane i małe kłąbki dymu od papierosów czy też sztucznie zapalone, przypominały jakieś wprost dantejskie czeluści piekielne. Nasapaliśmy i napociliśmy się dosyć w tej krętaninie. Nieraz człowiek łbem walnął o wystającą skałę tak, że mu wszystkie gwiazdy zaświeciły. Cieszyłem się, gdyśmy po dwugodzinnej pielgrzymce, w skale wybitym i sztucznie oświetlonym korytarzem, wydostali się na światło dzienne.

Takich i wiele większych pieczar szczególnie w Colorado i we Virginji mamy dużo. Niektóre mają podziemne rzeki i jeziora, a stalagmity i stalaktyty tworzą duże kolumny, wodospady i najrozmaitszych kształtów formacje, kolorem naśladujące najdelikatniejsze marmury kararyjskie i sienejskie. Mamy tu tyle ciekawych przytem wprost cudownych rzeczy na powierzchni ziemi, że mnie jej wnętrze i czeluści nie wabią. Zresztą po śmierci na czas dłuż-

szy się w jej wnętrzu zatrzymam. Chętnie też ściągam kitel i hajdawery i czem prędzej ruszam w powrotną drogę. Wśród ogromnych lasów spuszczam się w dolinę i za godzinę jestem znów na głównym trakcie znanym jako U. S. 99, czyli droga Stanów Zjednoczonych Nr. 99.

Jadąc w kierunku południowo-zachodnim, mijam biedne zagrody „setlerów", małe tartaki, stacje gazolinowe i zajazdy z kabinami dla turystów. Anim się nie spodział, a już wkroczyłem do Kalifornji, drugiego po Texas największego stanu.

---

Rozdział XXII.

## KALIFORNJA.

Zimne, nieurodzajne i skaliste brzegi stanów nad oceanem Atlantyckim położone otrzymały kulturę przeważnie od emigrantów angielskich, a częściowo holenderskich. Floryda i część południowo-zachodnia t. j. Texas, Nowy Meksyk, Aryzona, Kolorado i Kalifornja za swych odkrywców miały Hiszpanów i w znacznej mierze przejęły ich kulturę. Przy ujściu i wzdłuż rzeki Mississippi i Ohio posuwali się Francuzi. Miasta Nowy Orlean i St. Louis były środowiskami życia i kultury francuskiej.

Purytanie szli przebojem, z mieczem w garści. Hiszpanie prócz miecza, który nieraz ciężko zawisł nad karkami tubylców, szli także z krzyżem w ręku. Zaczęli swój postęp wgłąb tego uroczego kawałka ziemi, budową kościołów i szkół zwanych „misjami". Ciekawe byłoby studjum o wpływach, jakie wywarła na poszczególne części Stanów Zjednoczonych kultura anglosaska i protestantyzm, szczególnie w stanach nad oceanem Atlantyckim, a kultura łacińska, względnie francuska, hiszpańska, portugalska i z nią idący — katolicyzm. To jednak wychodzi poza obręb niniejszej tury i tylko mimochodem o tych sprawach wspominam.

Pierwszym odkrywcą Kalifornji był Portugalczyk, w służbie rządu hiszpańskiego, Juan Rodriguez Cabrillo. Z dwoma niewielkiemi i kiepsko wyekwipowanemi okrętami wyruszył z portu Navidad, na zachodnim brzegu Meksyku, w poszukiwaniu za tajemniczą cieśniną „Anian", na oceanie Północnym. Szukał przytem siedmiu bogatych miast „Cibola". Po trzymiesięcznej podróży z załogą zdziesiątkowaną szkorbutem, bez zapasów żywności, dotarł do południowych brzegów Kalifornji i zawinął do pięknego portu, a obecnie miasta San Diego, d. 28-go września

1542 roku. Na brzegu spotkał Indjan, którzy mu opowiadali o białych, prawdopodobnie o krwawej wyprawie Coronady do Kolorado. Ten także szukał siedmiu bogatych i w dostatki, a przedewszystkiem w złoto opływających miast, które, jak się okazało, były tylko mrzonką.

Po kilkudniowym pobycie Cabrillo ruszył w dalszą podróż w kierunku północnym i dotarł do wysp św. Katarzyny, zwanych Catalina Islands. Płynął blisko brzegu i widział góry, doliny, rzeki i liczne „dymy“ czyli obozy Indjan. Był pod wrażeniem, że to kraj piękny i gęsto zaludniony. Cabrillo w przystani św. Michała złamał rękę, co ewentualnie przez zakażenie krwi śmierć spowodowało. Pochowano go na piaszczystym brzegu wyspy. Nawet ślad zaginął o pierwszym białym podróżniku i odkrywcy tej pięknej połaci kraju.

Kilkadziesiąt lat później, w roku 1579 angielski odkrywca, kapitan Drake, nazywany przez Hiszpanów „El Pirata Drake“, przybył w te okolice. Powitanie Indjan, których mowy ani gestów nie rozumiał, przyjął za hołd i poddaństwo. Dlatego cały północno-zachodni brzeg kraju, nad oceanem Spokojnym położony, wziął w posiadanie, jako terytorjum angielskie. Gdy po wojnie z Meksykiem, Stany Zjednoczone przejęły te olbrzymie terytorja, Anglicy rościli sobie pretensje do Kalifornji na podstawie podróży kapitana Drake'a, jako odkrywcy, chociaż przybył on trzydzieści siedm lat później od Cabrilli.

Przez dłuższy czas Hiszpanie nie zwracali najmniejszej uwagi na ten kraj bogaty. Dopiero wieści, że Rosjanie zaczęli łapę wyciągać po ziemię na zachodniej półkuli i już zabrali Alaskę, pobudziły ich do pracy kolonizacyjnej. W roku 1769-tym wysłali ekspedycję składającą się z dwóch małych okrętów, San Carlos i San Antonio, pod wodzą kapitana Gaspara de Portola. Dodali mu do pomocy bardzo gorliwego kapłana i misjonarza ks. Junipera Serra. Czem dla kolonistów angielskich w Nowej Anglji jest Plymouth Rock, w pobliżu Bostonu, i okręt Mayflower, tem dla Kalifornji są okręty San Carlos i San Antonio, pod wodzą odważnego i rozsądnego Hiszpana Portoli. Później, gdy sam dojadę, już nie okrętem, ale autem do południowej części stanu i „misyj“ hiszpańskich, obszerniej opiszę o ich pracy i trudach.

Skąd „wytrząśli“ nazwę Kalifornja, nikt napewno nie wie. Jedni szukają jej w języku łacińskim „calida fornax“ — gorący

piec. Inni zaś ją odkryli w starych hiszpańskich kronikach i ma to oznaczać wyspę pełną drogocennych brylantów i złota. Sir Francis Drake nazwał ją Nowy Albion. Ale to jakoś nie „chyciło“. Zresztą dla żadnego Albionu ani nowego, ani starego nie mamy tu zbyt wielkiego nabożeństwa. Kalifornja nosi przydomek „The Golden State“ — kraj czyli stan złota. Narazie mogę stanowczo stwierdzić, że mimo złotej nazwy, bieda i depresja panuje w Kalifornji tak samo jak w innych częściach kraju.

Kalifornja posiada około pięć miljonów siedemset tysięcy mieszkańców. Co do obszaru jest na drugiem miejscu. Obejmuje 158,297 mil kwadratowych, przewyższa ją tylko Texas, gdyż ma blisko 266,000 mil kwadratowych.

Nazwy miast i rzek, a nawet gór — są hiszpańskie, a co gorsza... katolickie. Ponieważ protestanci uważają się za jakichś półbogów, więc też fakt, że katolicy a nie oni wypisali pierwszą stronicę tego kontynentu, sprawia nam pewną satysfakcję. Pamiętam, gdy lata temu byłem w Kalifornji pokazywano nam ruiny pierwszych kościołów i „misyj”. Udając głupiego — co zresztą bardzo mi łatwo przychodzi, jest niemal u mnie naturalne — zapytałem przewodnika, co za jedni te „misje“ zakładali: metodyści czy baptyści? On powiada, że katolicy. Ja mu zaś gadam: „Myślałem, że to Imka“.

Każde miasto ma świętego lub świętą za patrona. Czy to ich mieszkańcom do życia świątobliwego dopomaga? — Nie wiem — owszem wątpię!... Dziwna rzecz — nietylko katolicy, ale nawet protestanci i masoni tutejsi szczycą się tem, że Hiszpanie swą kulturę tu przynieśli. Jak najskrupulatniej zachowują tradycje, kulturę, nazwy, a nawet architekturę hiszpańską. Ale o tem — potem.

Wracam więc w opowiadaniach do bitego traktu, wiodącego od Grants Pass do Crescent City, w Kalifornji północnej. Wśród lasów, rezerwacji rządowej Siskiu, dostaję gwałtownej tremy! Na drodze stoi policjant i wzniesioną ręką każe stanąć! Jak „stop“ to „stop“! Stanąłem i natychmiast przypomniał mi się ostatni butelans szkockiej wódki, którą na wszelką ewentualność chowałem i strzegłem, niby oka w głowie. Przy drodze wysoki, z okrąglaków budynek, chorągiew i kilku urzędników uważnie przeglądają bagaże turystów. Nie spodziewałem się takiej cenzury. Pytam się, po jakiego kaduka zatrzymują w dzikim

lesie uczciwego, lojalnego turystę?! Gdyby to jeszcze była restauracja, w której gościom dla zachęty podaliby butelkę wina kalifornijskiego, nicbym przeciwko temu nie oponował. Z bojaźnią zapytuję o cel rewizji. Urzędnik, który się mą osobą i autem zajął, powiada, że szukają za „bugsami“ — robakami. Ulżyło mi trochę. Czułem się pod tym względem niewinny. W całej bowiem dotychczasowej podróży ani z wszami ani z pluskwami nie zawarłem bliższej znajomości. Myślę sobie — to dopiero stan, gdzie każdemu za kołnierz i do włosów, niby nieboszczka mama, zaglądają, czy się tam coś nie zagnieździło.

Ale o takie zwykłe i popularne stworzenia inspektorom wcale się nie rozchodzi. Szukali za robactwem, które w innych stanach niszczy drzewa, owoce i kukurydzę. Mamy tego kilkanaście gatunków. I to wszystko przywędrowało do Ameryki okrętami, nieprzymierzając, niby emigranci a w dodatku bardzo niepożądni i szkodliwi. „San José Scale“ dostała się z Japonji. Zniszczyła sady, powodując straty na setki miljonów. „Bool weavel“ wpakował się z Meksyku do bawełny, zniszczył i wciąż niszczy tysiące jej akrów. Hesowie, co walczyli, jako zaciężni żołnierze podczas walki o niepodległość, zostawili po sobie „Hessian Fly“ — heską muchę, która tysiąc razy więcej narobiła szkody, niż wszystkie szwaby razem i jeszcze nas trapi. Teraz nowy przybłęda „corn borer“ zabrał się do naszych pól kukurydzy i straszne sieje spustoszenie. Gdyby nie prohibicja, toby nam kukurydzy zabrakło. Ponieważ wódki nie wyrabiamy, z wyjątkiem jakichś marnych dziesięciu miljonów galonów rocznie, oczywiście jako „lekarstwo“, kukurydzy jeszcze mamy dosyć. Nie tak dawno przylazł tu z Japonji bardzo piękny robak, zwany „Japanese beetle“. Co za piękna, a żarłoczna bestja! Nie przebiera. Co dostanie, czy kwiat, czy roślinę, tak obje, że tylko puste łodygi zostawi. Nienasycona jucha! Rząd nie mógł sobie z nim dać rady. Liście owad zjadał do szczętu, a żadna trucizna go „nie chyciła“. Eksperci pojechali do Japonji, która nam go „przysyła“, aby się z jego curriculum vitae bliżej zapoznać. Tam się dowiedzieli o jakimś motylu czy owadzie, który, jako pasożyt, rozmnaża się we wnętrznościach tego robaka. Teraz importujemy te pasożyty. I tak wciąż toczymy walkę z najrozmaitszemi robakami i szkodnikami zagranicznemi. Czasem i ludzi pod tę rubrykę wciągają...

Niejeden turysta obładowany tobołami, niby muł juczny, wszystko na stół wyłożył: ubrania, pościel, bieliznę — jednem słowem — wszystko trzepali, wytrząsali i skrupulatnie egzaminowali, aby jakiś nieproszony robak nie wśrubował się do kraju palm i pomarańcz. Jednak cała afera przeszła dla mnie szczęśliwie. Kazali jechać w dalszą drogę. Przystanąłem, aby zrobić zdjęcie z tej ciekawej „komory“ nie na towary i trunki, ale na owady.



**Szyby naftowe w Kalifornji.**

Znów przekraczam kilka wzgórz lesistych, nareszcie malowniczą doliną rzeki Smith spuszczam się ku oceanowi. Tu napotykam pierwsze Redwoods, uważane za jedne z najpiękniejszych i najwspanialszych drzew na kuli ziemskiej. Czem prędzej przystaję i na zabój fotografuję te cudne drzewa, od trzech do dwunastu stóp średnicy, a od dwustu do trzystu i więcej stóp wysokości.

Dotarłem szczęśliwie do oceanu Spokojnego, w małem miasteczku Crescent City. Cały brzeg był w mgłę spowity, więc też nie zatrzymuję się, aby go podziwiać, tylko wzdłuż brzegu jadę dalej w kierunku południowym.

Będę się po Kalifornji włóczył kilka tygodni, a możnaby tu z pożytkiem i przyjemnością spędzić kilka miesięcy. Może ze wszystkich stanów posiada najbogatszy i najpiękniejszy krajobraz. Masz przed sobą jedenaścieset mil brzegu morskiego. Tu długim pasmem ciągną się potężne lasy, tam zapraszają cię bogate, piaszczyste plaże kąpielowe, opodal ciekawią turystę groźne wybrzeża skalne, na których jeszcze doniedawna zamieszkiwały liczne stada fok. Bardziej na południe wabią cię urocze zatoki, tropikalne palmy, cudne miasta!...

Środkiem stanu ciągnie się bogata dolina — Shasta Valley, w której obficie rosną podzwrotnikowe owoce, jak figi, daktyle, orzechy, cytryny, pomgranaty, pomarańcze, nie mówiąc już o niezmiernych polach winogron. Ku zachodniej granicy, poniekąd w równoległej linji do oceanu, ciągnie się najwyższy pas górski w Ameryce, piętnaście tysięcy stóp wysokości.

Z Crescent City ruszam w kierunku południowym, szeroką, urodzajną doliną, wzdłuż brzegu morza. Ocean w tym dniu rzeczywiście był „spokojny". Chociaż, gdy się o coś rozsierdzi, a to się nawet oceanom przytrafia, z hukiem wali spiętrzonemi bałwanami o skaliste brzegi lub też w zapalczywości miota na piaski ogromne kłody drzew, roślin, rozbitków — wszystkiem, co mu do łapy wpadnie! Na żyznych pastwiskach, poprzerzynanych rwącemi strumykami lub też spokojnemi lagunami, pasą się ogromne stada bydła. Mijam wioski rybackie. W powietrzu rozchodzi się nieprzyjemna woń ryb, a szczególnie ślimaków. W Requa, tuż nad oceanem jest duża fabryka konserw rybich.

Długim mostem ze stali i cementu przekraczam rybną rzekę Klamath. Liczne hoteliki i kabiny turystyczne świadczą wymownie, że wielbiciele rybołóstwa gromadnie się tu zbierają, aby z wojowniczemi łososiami popróbować szczęścia. Wśród ogromnych lasów, domki z okrąglaków zbudowane, z dymiącemi kominami i wszelkiemi wygodami wprost zapraszają turystę, aby tu czterokołowego rumaka wyprzągł, a przesiadł się do lekkiej łodzi i z wędką wyszedł na połów. Nie dam się jednak pokusie przezwyciężyć, z którą już kilkakrotnie, od Minnesoty, straszne toczę walki wewnętrze. Zresztą cóżby to czytelnikom pomogło, gdybym nawet złowił kilka takich potężnych i wojowniczych łososi? Zjeśćbym ich nie mógł, czytelnik — by mi w tem nie pomógł, przytem z zasady ryb nie lubię, chyba tylko śledzie

i to jeszcze obficie wódką zakrapiane, niby „śledź po polsku“. — Tu jednak tego nie znają. Więc też dla tych ważnych powodów



Droga Redwood Highway. — Zauważyć proporcję dużego auta i drzewa.

nie skusi mnie tutejsze rybołóstwo. Większy dla mnie mają powab, w symetrji wspaniałe świerki, a z powodu czerwonego

zabarwienia, bardzo zbliżonego do mahoniu, nazywają je po angielsku Redwoods — czerwone drzewa. Botaniczna nazwa jest — sequoia sempervivens.

W pobliżu rzeki Klamath, kilkaset stóp od drogi, można podziwiać największego kolosa z drzew tego gatunku. Nawet dali mu nazwę General Custer. Otóż ten olbrzym i król lasu przy ziemi ma przeszło dwadzieścia dwie stopy średnicy. Prościutki i symetryczny, jak najpiękniejsza grecka kolumna. Pierwsze gałęzie, a tych stosunkowo niewiele, rozpoczynają się na wysokości stu trzydziestu stóp. Niektóre z drzew dosięgają do wysokości wprost nie do uwierzenia, bo blisko czterystu stóp. Starsze olbrzymy w tej okolicy dźwigają przeszło trzy tysiące lat, a jeszcze są pełne życia.

Lubię przyrodę, a szczególnie lasy i drzewa!

Droga, którą jadę wzdłuż oceanu, ma numer 101. To jest ostatni wielki trakt prowadzący od północy ku południowi. Numer 1. idzie od Portlad Maine, wzdłuż brzegu atlantyckiego, przez Boston, Nowy York, Filadelfję, Waszyngton, Richmond, aż hen ku Florydzie. Ten zaś ostatni, przez góry i cudne lasy wiedzie nas od mroźnej Kanady do słonecznej Kalifornji, a nawet wprost do gorącego Meksyku. Nazywają tę wspaniałą drogę „Redwood Highway“. Czy jest na świecie druga taka droga, co mogłaby z nią iść w zawody?! Bardzo wątpię. To też co kilka mil, gdy przejeżdżam przez wspaniałe gaje tych kolosów, wychodzę z samochodu, ogladam, podziwiam i fotografuję. Częste mgły i dzień cośkolwiek pochmurny nie dawały mi sposobności oddać tych cudów na kliszy. Gdy na chwilę zabłysło słońce, zdawało mi się, że nie jestem w lesie, ale w jakiejś ogromnej nadludzkiej świątyni, wobec wszechpotężnego majestatu Stwórcy. Promienie słoneczne szeroką smugą przedzierają się przez niebotyczne czuby i ogromne konary tych najszlachetniejszych i najstarszych, żyjących olbrzymów. Zachwycałem się kiedyś wnętrzem medjolańskiej katedry. Toć to cud piękności. Ale wobec tych cieniów i smug światła, rzucanych przez zachodzące słońce, na gruby, a miękki kobierzec paproci, giną najwspanialsze świątynie i katedry.

„The groves were Gods first temples.
Ere man learned to hew the shaft
and lay the architrave,

And spread the roof above them-ere he framed
The lofty vault, to gather and roll back
The sound of anthems; in the darkling wood
Amid the cool silences he knelt down
And offered to the Mightiest solemn thanks
And supplication".

Wcale się nie dziwię naszym prastarym słowianom, że w olbrzymich dębach, modrzewiach i bukach widzieli Boga i tym tworom Jego wszechmocnej ręki cześć boską oddawali. Zupełnie mi się to wydaje naturalnem. Mimowoli czujesz wśród tych najstarszych żyjących tworów jakąś potężną, niezmąconą, niezmienną — wieczność. „To żyjąca wieczność", powiedział Teodor Roosevelt. Ciągnie cię jakaś niepojęta, tajemnicza siła do tych drzew, niby do kolumnami zdobnych ołtarzy! Chciałbyś w cieniu takiego olbrzyma, niby potężnej świecy o zielonym płomieniu, upaść na kolana, głowę pochylić do paprocią porosłych korzeni i z głębi skruszonej i rozmodlonej duszy zawołać: „Wielki, potężny, a dobry jest Bóg!!" Najwspanialsze katedry i świątynie pięknemi kolumnami zdobne, są tylko kiepską, znikomą i kruchą imitacją, tej niepojętej a niemal wiecznej świątyni natury!... Posadzkę tworzy olbrzymy rodząca — Matka Ziemia. Za kolumny służą niebotyczne drzewa. Ściany zbudowały wieczne, prostopadłe gór granity... Gwiaździsty firmament sklepieniem!... W tej świątyni — czujesz, że jesteś robakiem... prochem... nicością!...

Droga którą jadę wśród lasu — to maluteńka, ledwo dostrzegalna tasiemka... Samochody — to robaczki małe, czarne, które wśród niezmąconej ciszy, pomykają się szybko...

Chciałbyś każde drzewo zosobna oglądać, podziwiać i jego symetrycznym kształtem się bawić. Tyle ich tu rzędami stoi, niby jakaś olbrzymia gwardja, koroną gałęzi zielonych, niby potężnem czako ku niebu dumnie się wznosi!... Nie podołałbyś zadaniu! Z żalem, prawie z bólem z każdym się witasz a równocześnie — żegnasz... Tyś znikomy — one wieczne!...

Dojeżdżam do miasta Eureka, przy olbrzymiej lagunie, nad brzegiem oceanu położonego. Zdaleka widać tartaki i składy desek. Rzędy domów, ulice szerokie, czyste i nad wieczorem pełne samochodów.

Nie wiem, kto mu dał tę dziwną nazwę. Jeżeli się nie mylę, to Archimedes łaził po jakiemś portowem mieście i jak wszyscy starzy i nowocześni uczeni, szukał dobrej, a taniej knajpy. Gdy ją znalazł, „eureka" zawołał i żołnierzy, jako dobrych kompanów „na jednego" zaprosił. Nie mogę przecież pojąć i zrozumieć, jak możnaby nad zadaniem arytmetycznem, geometrycznem czy wogóle cośkolwiek z matematyką mającem do czynienia, tak radosny wydać okrzyk! Sam takbym zaryczał, ażby mnie u Hawełki w Krakowie usłyszeli, gdybym tu w tych lasach odkrył jakąś uroczą karczmę, napełnioną omszałemi butelkami miodu. Alem nie krzyknął — eureka! Bo karczmy, nawet takiej prostej, żydowskiej, tu nie znajdziesz.

Więc też spożywszy kolację sunę dalej... ku lasom. Tam na noc się zakwaterowałem. Do snu kołysały mnie czarującą muzyką drzewa, które już za czasów Chrystusa tu stały i prawdopodobnie stać będą, gdy o nas, znikomych robaczkach świętojańskich, pamięć zaginie i ślad po nas nie pozostanie!...

Rychło rano zrywam się z dosyć wygodnej pościeli i biegnę do okna zobaczyć, jaka będzie pogoda. Słońce zza gór już wychylało różową tarczę. Dzień zapowiadał się świetny. Więc też czem prędzej się ubieram. Po śniadaniu, które w Ameryce należałoby nazwać „standard" z bekonu i smażonych jajek i z jednym „sandwichem" — kanapką — na drogę, pakuję czem prędzej do samochodu wszystkie bagaże.

Ruszam naprzód doskonałą drogą, wijącą się wśród majestatycznych lasów. Dosyć duża i kręta rzeka — Eel River — rzeka węgorzy, dodaje tem większego uroku. Napatrzeć, nadziwić się nie mogę tym drzewom i lasom. Wielkie tu już spustoszenie porobiła wandalska ręka ludzi, niby tych, co to w katechiźmie twierdzą, że są kubek w kubek podobni do Boga! Ale jeszcze zostały się znaczne połacie, a to dzięki temu, że w kraju powstał gwałtowny alarm. Ratujcie Redwoods! Ratujcie Sequoje! Potworzyły się konsorcja, które wykupywały całe połacie i to za grube pieniądze, aby ratować — te cuda natury przed zachłanną siekierą drwala. Uratowano! Rząd na te olbrzymy leśne położył swą łapę. Chociażby tylko tknąć takie drzewo, uważanoby teraz za świętokradztwo. Nie wolno ci go ruszyć. Streng verboten! Dobrze, że się tak stało! Ludziom, którzy jeszcze mieli cośkolwiek poczucia piękna w swych sercach, niech Bóg

te wysiłki wynagrodzi zdrowiem i życiem tak długiem, jak to, które posiadają owe odwieczne, wichrem i ogniem niezłamane drzewa!...

Pokolenia całe przychodzić i podziwiać będą te wspaniałe gaje i majestatyczne drzewa. Na całej kuli ziemskiej nie rosną równe im! Nigdzie takich nie sięgają rozmiarów! Wulkaniczna ziemia je karmi. Pragnienie gaszą mgły oceanu Spokojnego!...

Droga stopniowo oddala się od brzegu oceanu i w kierunku południowo-wschodnim prowadzi turystę wśród tych gajów do miasta San Francisco. Mijam Humboldt State Park, Hickory Grove State Park i kilka pomniejszych rezerwacyj leśnych. Nareszcie skończył się ten zaczarowany pas ziemi, rodzący niebotyczne olbrzymy. Wjeżdżam w rejon górzysty, który trzeba przekroczyć licznemi serpentynami. Rozpoczyna się pustynia, tu i ówdzie małemi kępami leśnemi pokryta. Ale to już nie Redwoods, to tylko leśna tandeta. Teraz toby mi nawet odwieczne dęby i słowiańskie modrzewie nie imponowały. Wobec tych kolosów tamte, można powiedzieć, są tylko — „drzewka".

Namachałem się tu doskonale. Droga kręta, że nawet europejski dyplomata, włączając Lloyd Georga, tyle skrętów i wykrętów nie posiada. Nigdym się tyle kierownicą nie nakręcił, co w tej drodze. Z góry na dół i znów z dołu do góry, potem w prawo, to w lewo. Już mi się od tego „kręcenia" we łbie kręcić zaczynało. No, ale „taki los wypadł nam"...

Nic tu przez pewien czas ciekawego nie widzę, o czem wartoby wspomnieć. Wśród lasu lub nad brzegiem parowu niekiedy widać stację gazolinową. Zrzadka spotykam obskurne i biedne wioski. Kraj górzysty, z lasów ogołocony i pokryty pustynnym krzewem. Trzeba wiedzieć, że olbrzymie połacie Kalifornji, tysiące mil kwadratowych obejmujące, to jedna, wielka pustynia. Nawet części oddane uprawie rolnej smutny teraz przedstawiają obraz. Pola wszędzie suszą wypalone. Tylko tam, gdzie zastosowano sztuczne nawodnienie, napotykam bujną roślinność. W niektórych częściach, szczególnie na południe od San Francisco, przez całe lato niema deszczu. Sezon deszczowy rozpoczyna się w połowie października i trwa do wiosny.

Zbliżam się do bardzo ruchliwego miasta Santa Rosa i napotykam pierwsze winnice. Nie hodują tu winogron na dużych, pnących latoroślach, jak to powszechnie czynią w innych oko-

licach, tylko na niskich krzakach. Zdaleka winnica kalifornijska podobna jest do ogrodu niskopnących krzewów. Zato każdy krzak na kilka stóp wysoki, wydaje po kilkanaście potężnych gron. Niektóre suszone na słońcu, idą na rynek światowy, jako — rodzynki. Winogrona kalifornijskie są twardsze od innych gatunków i moją grubszą, żółto-zielonkowatą skórkę. Ma się rozumieć, jest ich tu kilkanaście gatunków, różnych co do kształtu, koloru i smaku.

Przed prohibicją były ogromne przedsiębiorstwa, trudniące się wyrobem pierwszorzędnych win stołowych, często uchodzących za wina francuskie. Widziałem jeszcze, jako młody student, gdy w wielkim składzie win, na butelki kalifornijskiego wina nakładano francuskie etykiety. Gdym się owego francuskiego „experta“ zapytał, dlaczego to robi, powiedział mi: „Les cochons americains ne savent rien“ — amerykańskie świnie i tak nic nie wiedzą. Kiepską miał opinję o naszym smaku. Wystarczyło nadać importowaną etykietę, a przeciętny Amerykanin był święcie przekonany, że spija francuskie Bordeaux, a to tymczasem było nasze amerykańskie wino, oczywiście po cenie importowanych.

Od czasu prohibicji zamknięto winiarnie, ale zato ogromnie powiększono produkcję winogron. Włosi, a także inni sprowadzają winogrona wagonami i w domu wyrabiają niezgorsze wina. Tu się mówi, że można przyprowadzić konia do wody, ale nie można go zmusić do picia. Czyli innemi słowy — prohibicja, a wyrabianie trunków to inna inszość. Nie chcę się na ten bolesny temat wiele rozwodzić, gdyż może ktoś z czytelników posądzi mnie o „nieumiarkowanie nie tylko w jedzeniu, ale w piciu“, do czego się jednak nie przyznaję, chociaż pewien filozof twierdził, że każdy powinien się przynajmniej raz w roku, mniejsza o czas — upić. Dostaje wtenczas lepszego rozumu i weselszego poglądu na codzienną szarugę życia. Ale za jego radą nie pójdę!

Nie zatrzymuję się w Santa Rosa, słynnem „mieście róż“. Tu mieszkał i miał swój ogród doświadczalny Luter Burbank. Był to wielki botanik i niemal możnaby powiedzieć — cudotwórca w dziedzinie kwiatów, owoców i wszelkich roślin. Jemu zawdzięczamy najrozmaitsze gatunki owoców, jarzyn, pszenicy, kwiatów, drzew, które łączył, uszlachetniał i zmieniał dowolnie.

Olbrzymie swą pracą oddał ludzkości usługi. Pochowany w swym ogrodzie, w cieniu cedru z Libanu, który własnoręcznie posadził. Około sto tysięcy ludzi co roku odwiedza jego pracownię i grób.

Szeroką, betonowaną drogą przejeżdżam liczne wioski i miasteczka o hiszpańskich nazwach, jak Melitta, Cotata, Petaluma, Novato, Ignacio, San Rafael i docieram do Sausalito. Myślałbyś, że podróżujesz po Hiszpanji, a nie w Stanach Zjednoczonych. Zdala widzisz gołe, bylicą i dzikiem zaroślem pokryte góry. Przy drodze zaś, w bujnej zieleni, toną sady owocowe i starannie uprawiane przez Chińczyków zagony warzywne. W sklepach i przy drogach stoją stragany z jagodami, owocami, już nawet nie wspominam pomarańcz, bo tych jest więcej, niż pluskiew w żydowskim hotelu.

A wszystko bajecznie tanie. Za dziesięć centów dadzą ci ogromną torbę winogron albo półtora tuzina pomarańcz lub kilka dużych melonów czyli arbuzów. Truskawki, maliny i wszelkiego gatunku jagody sprzedają po pięć centów za koszyk. W nowej Anglji, t. j. na wschód od Nowego Jorku, płacisz za te same owoce, tylko już nie tak smaczne, z powodu długiego transportu, cztery, a nawet pięć razy tyle, co w Kalifornji. Ktoś mi mówił, że Kalifornja — to najtańsze miejsce na świecie, w którem można z głodu umrzeć. Tu jest istny raj dla amatorów jarzyn i owoców. A jakie to wszystko smaczne, poprostu w ustach się rozpływa, a czytelnikom zapewne, na samą myśl ślinka płynie...

Po całodziennej podróży, najprzód przez najpiękniejsze drzewostany — Redwoods — przez rząd troskliwą otoczone opieką, następnie przez okolice odludne i pustynne, zapewne dla braku wody, wjechałem teraz w rejon winogron i owoców.

Zacząwszy od Healdburg, Santa Rosa, Cotati, Petalunia, Novato, San Anselmo, aż do Sausalito, tuż nad zatoką Św. Franciszka, jadę wśród pól jarzynnych i wszelkiego gatunku owoców, przedewszystkiem winogron. W tej okolicy, szczególnie blisko miasta Napa, hodują najlepsze gatunki winogron.

Kilkanaście mil jadę wzdłuż ogromnej zatoki morskiej — San Francisco Bay. Licznemi odnogami ciągnie się na północ, wschód i południe. Cóż to za olbrzymi port! Z łatwością możnaby w nim pomieścić nie tylko wszystkie floty wojenne całego

świata, włączając w to „potężną“ flotę polską, ale także wszystkie inne okręty na oceanach kursujące. Obecnie nadbrzeżne miasta są z sobą połączone komunikacją wodną. Jednakowoż za lat kilkanaście przez te szerokie zatoki przerzucą mosty.

---

Rozdział XXIII.

## SAN FRANCISCO.

Z pokładu okrętu, przy zachodzącem słońcu, San Francisco bardzo pięknie się przedstawia. Miasto leży na niezbyt szerokim, ale kilkanaście mil długim, górzystym cyplu — półwyspie. Mówią, że jest zbudowane na siedmiu wzgórzach. Czy ich tam jest siedm czy siedmnaście, tego nie powiem. Zdala widać w górę wspinające się sklepy i grupami porozrzucane kilkudziesięciopiętrowe drapacze chmur. Po lewej stronie, na parę mil od brzegu, a kilkaset stóp ponad poziom morza, wznosi się skalista wyspa, San Marino. Potężne mury i wysokie baszty zdawałyby się wskazywać na jakąś średniowieczną twierdzę. Tymczasem powiedziano mi, że to więzienie wojskowe. Ponure i groźne robi wrażenie. Tam pewno nikt nie śpiewa: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani". Za dobre pół godziny przepłynęliśmy odnogę zatoki i wraz z innymi walę pod górę, do środka miasta, szukając za dogodną kwaterą. Zrobiłem w tym dniu 270 mil, więc też zasługuję na jakieś uczciwe legowisko.

Jechać samochodem głównemi ulicami przez nieznane miasto, między czwartą, a szóstą godziną po południu, nie należy w Ameryce do przyjemności. Nie możesz tu się gapić na sklepy, budynki, napisy, a nawet na ludzi, już nie mówiąc o jakimś flircie z nadobnemi panienkami. Co chwila zatrzymują cię automatyczne semafory, a niech cię Bóg broni, jeżeli niebaczny przejedziesz krzyżówkę, gdy nastawione jest czerwone światełko. Zaraz policjant gwiżdże, jak wściekły, a jeszcze wściekłej biednego szofera zwymyśla. Nieraz zazdroszczę takiemu policjantowi bogactwa wyzwisk. Przypuszczałbyś, że ta jucha była sierżantem w wojsku rosyjskiem lub niemieckiem, gdyż tylko ci mogą biednemu „rekrutowi" tyle wymyślać. To piszę o innych turystach, a nie

o sobie. Nie zdarzyło mi się, abym z policją miał jakie zatargi lub nieprzyjemności. Owszem, chętnie jako obcemu, udzielali wszelkich informacyj i wskazówek.

Market St. jest główną arterją, prowadzącą od portu, wgłąb miasta; z nią idzie równolegle Mission St., a we wśródmieściu, gdzie budują kilka wspaniałych gmachów, dochodzi Van Ness. Śmiało walę wśród ogromnego ruchu, przez sam środek miasta, gdyż to godzina, o której tysiące ludzi, niby zboże z rozprutych



**Muzeum w San Francisco.**

worków, wysypuje się z olbrzymich gmachów i sklepów, spiesząc w rozmaite strony — do domu.

Ponieważ tu ma sięgać hiszpańska kultura, chciałem się bliżej z jedną gałęzią tejże zapoznać. Zoczyłem dom w hiszpańskim stylu zbudowany, w którym mieści się hiszpańska restauracja, z hiszpańskim jadłospisem i z hiszpańskiemi potrawami. Tylko, niestety — bez hiszpańskich win! Nie mogę mówić, żem się temi specjałami zbytnio rozkoszował. Nazwy potraw już nie pamiętam, gdyż zamówiłem hiszpański obiad ze wszystkiemi potrawkami, dodatkami i przysmakami. Ogólne wrażenie było, że Hiszpanie są to ludzie bardzo „pieprzni“, gdyż do wszystkiego

pakują ogromną ilość czerwonego pieprzu. Teraz rozumiem, dlaczego czarnookie Hiszpańskie Carmeny mają tyle ognistego temperamentu! Może i ja nabrałbym więcej „pepu", gdybym się żywił peperonami i „chili con carne" zamiast kluskami i kapustą.

Wylądowałem na jakiemś hiszpańsko-włoskiem przedmieściu. Kwatera niebardzo mi do gustu przypadła, więc też pierwsze wrażenie, wraz z gorącemi peperonami nie bardzo było dodatnie. Zresztą — cóż San Francisco zawiniło, że turysta wpakował się w rejon cudzoziemców, a z powodu późnej godziny i znużenia nie mógł się stamtąd wydostać?!

Ciekawą opowiadają historję o nazwie miasta, którą tu powtarzam. Otóż wizytator zakonu Franciszkanów a właściwie Reformatów wręczył ks. Junipero Serra, którego uważają za patrona całego stanu, listę nazwisk świętych pańskich, jakiemi miał obdarzyć nowoutworzone placówki i osady czyli „misje". W tym spisie nie zauważył ów gorliwy „padre" nazwiska fundatora i założyciela zakonu.

— Jakto, powiada ks. Serra, to nasz Ojciec Franciszek nie będzie miał tu misji?

A wizytator mu odpowiada:

— Jeżeli św. Franciszek chce misję, to niech nam wskaże dobry port, a damy mu misję.

W roku 1769 wysłano ekspedycję z San Diego w celu założenia nowej osady w Monterey. Ekspedycja nie trafiła na ową, zresztą bardzo piękną zatokę, tylko poszła dalej na północ i odkryła ogromną zatokę i założyła nową osadę.

Poszczęściło się św. Franciszkowi. Został bowiem patronem jednego z największych i pod wielu względami najciekawszych miast, nie tylko w Kalifornji, ale nad całym oceanem Spokojnym. Dowódca ekspedycji wraz z księżmi, którzy mu towarzyszyli, byli święcie przekonani, że to było dzieło św. Franciszka. Czem prędzej zbudowali krzyż, poświęcili i zatknęli w ziemię, oddając miejsce pod troskliwą opiekę założyciela ich zakonu. Coś w tem być musi, bo i po dziś dzień św. Franciszek starannie wyszukuje swym synom jak najlepsze i najintratniejsze parafje polskie w Ameryce.

San Francisco jest to ciekawe i oryginalne miasto. Wesołe, a zarazem poważne, nowoczesne i pod każdym względem „up to date", a jednak stare, jak daleki Wschód i kultura chińska.

Znajdziesz tu wspaniałe bulwary, a o parę ulic — ciemne, kręte zaułki i zakamarki skośnookich Chińczyków. W jednej dzielnicy oko turysty nęcą najpiękniejsze ubiory i arcydzieła sztuki krawieckiej Paryża, co tylko ostatnim expresem sprowadzone. Opodal wabią cię znów bogato zdobne stroje i towary Dalekiego Wschodu.

Nawet ulice, poniekąd przerzucają cię z jednego krańca świata na drugi. Na Market i Van Ness jesteś w Ameryce. Za kilka lub kilkanaście bloków wpadłeś do południowych Włoch. Tam napotykasz typy kalabryjskie o śniadych twarzach — słyszysz włoski język. W sąsiedztwie natrafiasz na kolonję meksykańską. Zahaczasz o „Caballero“ w dużym, czarnym kapeluszu, o szerokim rondzie, z czerwoną chustką na szyi, z ciasno opiętemi, czarnemi, o szerokich lampasach, spodniami. Tylko że zamiast konno, jedzie rozchlebotanym do niemożliwości fordem i wiezie kilku małych, umorusanych, czarnowłosych, a przyszłych bohaterów kina — Ramonów Navarrów. W sklepach specjały i marcepany włoskie. W oknach widzisz zwoje makaronu, kiełbasy meksykańskiej, djabelnie pieprznej, że gdy zjesz kawałek tego ścierwa, myślisz, żeś połknął rozżarzony węgiel. W innej dzielnicy jarzyny, wędliny i przysmaki Dalekiego Wschodu. Wszystko jest owiane wonią czosnku, cebuli i nieokreślonych smrodów, które przypominają zaułki Paryża, Szanghaju lub jakiejś obskurnej włoskiej mieściny.

W olbrzymiem mieście portowem, gdzie schodzą się wszystkie linje i towary świata, znajdziesz w miniaturze, nie tylko towary i nieznane produkta rolne, ale także ludzi, którzy to sprowadzają i tem handlują: Chińczyków, Japończyków, Hindusów. Jest im coprawda trudniej dostać się do Ameryki, niż przysłowiowemu wielbłądowi przedzierzgnąć się przez uszko igły, lub bogaczowi dostać się do nieba.

Na sklepach pełno napisów chińskich, a zapewne i japońskich, gdyż z temi hieroglifami nie posiadam najmniejszej znajomości. Wyobraźcie sobie, że dziewczęta, chińskie oczywiście, w centrali telefonicznej robią połączenia nie według numerów, tylko według nazwisk, a jest tego ponad kilka tysięcy. Restauracje chińskie z wielkim przepychem urządzone i bardzo czysto utrzymywane podają smaczne „chop suey, chow meiny i fo yongi“. Z czego to jest robione i jak przygotowane, nie wiem.

W każdym razie szczurów do przyprawy nie używają, ale najrozmaitszych chińskich jarzyn, selerów i kiełkującego jęczmienia. Jak mówię, jest to bardzo smaczne, ale wolałbym zjeść porządną porcję polskiego bigosu w Europejskim lub Bristolu w Warszawie.

Od śródmieścia aż do brzegu morskiego, ciągnie się Golden Gate Park — „park złotej bramy“. Generał Fremont, jeden z pionierów, nazwał cieśninę łączącą ocean z zatoką — Golden Gate — złota brama — w przeciwieństwie do — Złotego Rogu w Konstantynopolu.

Pytam się policjanta:

— Co to za budynek w rokokowo-hiszpańskim stylu budowany?

— To muzeum, odpowiada.

— Co tam można zobaczyć?

Na to pytanie dał mi charakterystyczną odpowiedź:

— Czegoż tam nie znajdziesz?! Tam jest wszystko!

Poszedłem...

W obszernych salach znajdziesz wszystko, czego tylko twa dusza zapragnie. Od pięknych, olejnych obrazów, najdelikatniejszych koronek belgijskich, francuskich, hiszpańskich jedwabnych, ręcznie malowanych mantylli, do ciężkiej artylerji francuskiej, włoskiej, niemieckiej i angielskiej, z całemi artyleryjskiemi trenami używanemi w ostatniej wojnie światowej.

Pod jednym dachem znajdziesz muzeum, archiwum zabytków historycznych i przedhistorycznych, wyrobów indjańskich, chińskich, japońskich, indyjskich. Oglądasz stroje damskie z wszystkich okresów, wspaniałe chińskie, japońskie, indyjskie bronzy, rzeźby, jedwabie, emalje, wazony, instrumenty muzyczne, drogocenne skrzypce Stradivariusa, marmury śnieżnej białości, kiepskie olejne portrety pierwszych poszukiwaczy złota z roku 1849-go, stare książki, manuskrypty, nowe artystyczne druki i oprawy, staloryty, miedzioryty, starożytną broń i zbroje średniowieczne. Jednem słowem — jest wszystko. Chcąc to gruntownie zbadać i poznać, trzebaby nie kilka godzin, ale kilka dni tu spędzić.

W pięknym parku pełno nieznanych drzew, z różnych zakątków świata sprowadzonych. Kilkanaście gatunków palm daje egzotyczny, tropikalny ton całemu malowniczemu terenowi. Jedne niskie, krępe, szerokie, a inne niby olbrzymie tyki bambusowe z szerokim parasolem liści u wierzchu. Kanałów i tryskających

fontann nie brakuje. Przy ścieżkach pełno bronzowych posągów i pomników, krzewami i najrozmaitszemi kwiatami okolonych.

Jeden szczególnie wielkim rozmiarem i artystycznem wykonaniem zwrócił mą uwagę. To biust słynnego na cały świat kompozytora włoskiego — Giuseppe Verdi. Nie będę go opisywał, ale w każdym razie, ciekaw byłem, kto też go do miastu ofiarował?! Nietrudno było się dowiedzieć. Na odwrotnej stronie pomnika poinformowano ciekawych, że go za inicjatywą miejscowej włoskiej gazety, ofiarowali Włosi. W Kalifornji jest bardzo silna placówka włoska. Niemal całkowicie opanowali uprawę i handel owocami. Tutejsze banki włoskie zaliczają do najsilniejszych w kraju.

Przy oglądaniu pomnika nieśmiertelnego twórcy „Celeste Aida" nasunęła mi się ciekawa myśl. Zastanowiło mnie postępowanie Włochów. Po całej Ameryce, od Bostonu do Kalifornji, w ich każdem większem środowisku, znajdziesz pomnik z marmuru lub bronzu dla „Christofero Colombo". Za odkrywcą Ameryki na pedestały wgramolił się czasem Dante, z laurowemi liśćmi na głowie. Widać, że biedaczysko nie mógł sobie kapelusza z drogiego „borsaglino" zafundować, więc w gołej głowie po upale się włóczył. W niektórych miastach napotykasz pomnik Garibaldiego. Ten nawet przez pewien czas w Ameryce pracował. Zapewne, jak wielu Włochów, na „trece" — kolei, wywijał „włoskim krzyżem" (tak tu nazywają kilof). Gołębie i wszelkie ptactwo niebieskie nie znające historji odrodzonych Włoch „pluje" mu na głowę, zaś rasowe pudelki wielkomiejskie załatwiają pod nim ranną toaletę, o której ze wstydu nawet wspominać nie będę. Z natury bowiem jestem bardzo skromny. Tu zaś do gustu przypadł im Verdi, niby Włochom, a nie psom.

Otóż co do Kolumba, to przecież wiadomo, że w Genui biedował i nie miał sobie za co kupić sałaty, czosnku, oliwy i makaronu. Na ekspedycję do Ameryki Włosi nie dali mu ani centa. Podchlebił się hiszpańskiej królowej i wyżebrał od niej pieniądze na okręty i tę nieśmiertelną wyprawę, która ewentualnie tragicznie się dla niego skończyła. Wpakowali go do więzienia, po „naszemu" mówi się: „do dziejlu".

Włosi, co nic mu nie dali, w niczem nie pomogli, teraz, gdy nawet nie wiemy napewno „gdzie go pochowano", stawiają

mu pomniki. Gdyby Kolumb mógł z któregokolwiek z licznych pomników przemówić, to napewno za generałem francuskim Cambronem powtórzyłby to bardzo dosadne słowo, co okrężnie i dowolnie tłumacząc, znaczyłoby — „gwiżdżę“ na was i na wasze pomniki. O tych drugich bohaterach nawet nie będę wspominał. Dosyć z nimi miano kłopotu.

Zresztą — i w Polsce nie lepiej. Za życia wielkich ludzi postponują i wyśmiewają, zato po śmierci pomniki im stawiają. Gdyby Mickiewicz miał za życia pieniądze, które chociażby na jeden jego pomnik wydano, nie potrzebowałby aż w głupiej Turcji na cholerę umierać; lub w Paryżu zegarka zastawić, aby żonie lekarstwo kupić!

Z trudnością we włoskich osadach znalazłbyś kościół, szkołę, klasztor lub inne zabudowanie parafjalne. Wystarczy im, że papież, kardynałowie i niezliczone grono prałatów i księży w Rzymie się za nich modli. Dlatego chyba parafje są im tu zbyteczne. Zresztą w parafjach irlandzkich mają dla nich w suterenach obskurne kaplice, gdzie irlandzki wikary, łamaną włoszczyzną głosi im kazania. Gdy jednak przypadają włoskie święta kościelne, swój ferwor objawiają procesją po ulicach miasta, a kończą fajerwerkami i sztucznemi ogniami. Możnaby przy tej okazji dużo pisać — tylko przezorność nakazuje, aby tego drażliwego tematu zbytnio nie poruszać.

Mojem zdaniem, Włosi, jeżeli już tak są w wierze oziębli, że kościołów i szkół katolickich nie potrzebują, powinni przynajmniej stawiać pomniki nie odkrywcom, rewolucjonistom, poetom i artystom, ale — papieżom! Zaraz powiem dlaczego. Wiadomo, że gdyby Rzym nie został „Stolicą Piotrową“, na jego ulicach wkrótce rosłoby zielsko, jak to było za czasów „niewoli“ papieży w Awinionie. Papież i Kościół więcej bezpośrednio czynią dla Włochów, aniżeli wszyscy poeci i artyści razem wzięci.

Ciekaw jestem, czemu tej myśli ktoś Włochom nie podsunie? Mielibyśmy przynajmniej wspaniałe z bronzu i marmuru pomniki Papieży. Przyzna każdy, że niejeden sobie zasłużył. A mnie możeby dostały się fiolety?! Paradniebym w nich wyglądał?... „Stop!“ Bo zjeżdżam z drogi!

Nie będę więc opisywał pomników różnych pisarzy, poetów, odkrywców, prezydentów, generałów, włączając Pershinga, dawnego komendanta portu. Rzeczy ciekawych, jak muzeów, biblio-

tek, parków, olbrzymich lasów, szkół, uniwersytetów i przepysznych rezydencyj, przeważnie w stylu neo-hiszpańskim budowanych, jest w Kalifornji moc ogromna.

Po gruntownej inspekcji i wysmarowaniu samochodu, objeżdżam miasto. Piękny jest widok oceanu z wysokich wzgórz, okalających miasto. Wdarł się tu do wnętrza kraju wąską, a silnie ufortyfikowaną cieśniną, zwaną „Golden Gate“ — Złota Brama. Zupełnie trafna nazwa. Przy zachodzącem słońcu — wody, skały, wyspy i brzegi przybierają dziwny, żółto-złoty kolor. Myślałbyś, że ktoś nadzwyczaj szczodrą ręką pozłocił całą okolicę. To słońce, żegnając Amerykę, rzuca jej na dobranoc garść złotych promieni!...

Co chwila ukazują się na horyzoncie parowce, zdążające do portu lub też ginące w oddali na nieznaną wędrówkę... Gdzie to płynie... Kto płynie... Co za bogactwa i towary wywożą i przywożą z dalekich krajów i kontynentów?!... Nikt chyba dokładnie powiedzieć nie może.

Pisarze, poeci i literaci więcej zużyli atramentu pisząc o San Francisco i jego „Złotej Bramie“, aniżeli o którymkolwiek innym porcie na świecie. Fantazji mogli tu śmiało popuścić wodze. Na ten temat powstała bogata i fantastyczna literatura, w której bohaterami są kapitanowie okrętów, kupcy, marynarze, żołnierze, bandyci i opium palący Chińczycy. Materjału, intryg, a nawet faktów mają poddostatkiem, aby z nich prząść najciekawsze opowieści.

Każdemu przeciętnemu turyście, (już nie mówię o człowieku z wojskową karjerą jak moja, boć przecieć w oblężonym Lwowie kilkakrotnie do Ukraińców z karabinu maszynowego wygarnąłem, a ci zapewne nic o tem nie wiedzieli) rzucają się w oczy ogromne fortyfikacje miasta. Zaraz sobie taki stały kandydat do orderu „Virtuti Militari“ jak ja, pomyśli, oho, tu się na kogoś bat kręci. Bo jeżeli człowiek chce psa uderzyć, to kij znajdzie. Cały brzeg od oceanu, wzdłuż cieśniny i portu, tworzący ogromne półkole jest otoczony fortami i zabudowaniami wojskowemi.

Juan Bautista de Anza, w roku 1776 czyli w czasie naszej walki o niepodległość, o której wtenczas prawdopodobnie tu nawet nie wiedziano, przyprowadził swój garnizon z Arizony i tu go rozkwaterował, nazywając tę ogromną parcelę „Praesidio“. Nazwa się dotychczas przechowała. Pierwszy plac, za czasów

hiszpańskich, garnizonowi oddany, wynosił 1.542 akry. Teraz bardzo go rozszerzono.

Jadąc blisko brzegu oceanu, napotykam tablicę i wysokie, druciane płoty z napisem „U. S. Government Reserve, Fort...“ Rezerwa rządu Stanów Zjednoczonych, fort... i napis fortu. Przypuszczam, że gdy to Japończyk przeczyta, powinien zrozumieć, że „wstęp wzbroniony“ do portu i kraju i cichoby siedział tam na drugim końcu globu, gdzie świat deskami zabity. Mnie tam ciekawość nie brała. Wystarczyło, że tu i ówdzie widziałem żołnierza z karabinem na ramieniu. W nadbrzeżnych skałach i stokach gór, w zagłębieniach zmontowano dalekonośne działa.

Forteczne haubice, wypluwszy półtonowy pocisk kilkadziesiąt mil na ocean, który im nic nie winien, zapewne z wielkiego wstydu, że takie głupstwo zrobiły, chowają się pod ziemię, gotowe znów za parę minut wysunąć długie żądła i w kogoś śmiercionośnym pociskiem łupnąć, gdyby się zbliżył nieproszony do słonecznych brzegów Kalifornji.

Jadąc brzegiem tej przepięknej cieśniny, z obu stron wody widzisz ogromny sprzęt wojenny Wuja Sama. Tu w pięknym parku ogromne koszary, opodal szpitale wojskowe, magazyny, a w lochach podziemnych składy amunicji. Tak jedziesz kilka mil rezerwą rządową, urozmaiconą fortami i najnowszego typu armatami, aż dojedziesz do właściwego portu. Uderza cię urządzenie do transportu wojska. Pod jednym dachem znajdują się ogromne magazyny, stacja i tory kolejowe... Kilkanaście pociągów może tu z łatwością wyładować tysiące żołnierzy na godzinę i zapakować ich na transportowce wojskowe. Krany i windy równocześnie załadują armaty, amunicję i wszelkie do ekspedycji wojskowej potrzebne zapasy.

Wszystko jest głęboko obmyślone i powiedziałbym, o ile przeciętny turysta, który nosa w cudze rzeczy zbytnio nie wścibia, może sądzić, znakomicie przygotowane na wszelką ewentualność. Niczego nie brakuje, nawet potężnego i ponurego więzienia. Trochę dalej są warsztaty, doki i wszystko, co może służyć do budowy i remontu okrętów wojennych. Nie potrzeba nawet wspominać, że niemal wszystkie okręty wojenne są obecnie na wodach oceanu Spokojnego. Z tego wnioskuję, że z Polską wojny prowadzić nie będziemy, a nawet polskiej floty wojennej zbytnio się nie obawiamy!...

Mówiąc o flocie polskiej przypomina mi się kartka z własnego dosyć przygodami urozmaiconego życia. Było to w roku 1921, gdy po raz drugi pojechałem do Polski... Wylądowałem w Gdańsku i przypadkowo spotkałem tam majora Haraszyna, komendanta O. K. T. W. czy jakiegoś innego alfabetu transportowego. Miałem coprawda do niego bilecik polecający z poselstwa w Waszyngtonie, a spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo w hotelu. Szczegółów wymieniać nie będę. Dosyć na tem, że zanim poranne zorze zabłysły, poznałem całą armję i flotę polską w Gdańsku wówczas zakwaterowaną.

Co to za złote chłopy... Szturmem wykradli mi serce. W każdej knajpie, a ile tego było, nie mam najmniejszego pojęcia, musiały szwaby grać polskie piosenki. A jak grały... Z wielkiej radości, że mamy polską flotę, fundowałem na zabój. Skończyło się tem, że z ówczesnym komendantem, którego momentalnie awansowałem przy wszystkich szwabach na admirała, zawarliśmy zaczepno-odporne przymierze między flotą amerykańską i polską. Były to czasy, gdy Lloyd George Polsce dokuczał. „Trzeba go było powiesić za..." Znówem się tu na piosenkę wojskową pośliznął i mało nie napisał tego, co każdy rekrut wtenczas głośno śpiewał. ...Z takim sojuszem na Anglję obopólnie zatwierdzonym, a że to sprawa morska była, więc przez wszystkich obecnych oficerów floty i armji oblanym, poszliśmy spać o jakiej piątej rano... Przecież to była rzecz wielkiej wagi.

Historja może nawet nic nie wspomni o tym pierwszym sojuszu wojennym między zaprzyjaźnionemi z sobą narodami. Dosyć, że o dziewiątej rano się obudziłem, nie dlatego, że mnie głowa bardzo bolała i czułem, że mi tam coś strasznie szumi, ale że nadeszły radiogramy, iż obie floty t. j. polska i amerykańska dostały od Anglików straszne „lanie". Toć umarłyby na taką wieść się przeraził! Wieczorem zakomunikowałem to admirałowi okrętu bojowego, na ówczas najpotężniejszego kolosa morskiego „Józef Piłsudski". Wiadomość o obopólnej klęsce nie przeraziła go i tego wieczora poszliśmy całą gromadą... na flaki!... Co to za złote chłopy te nasze polskie wojaki. Niech im Bóg da zdrowie!...

Widzicie, znów się z czemś wyklapnąłem, co powinienem był jako wojenny traktat i przyrzeczenie trzymać w ścisłej tajemnicy. Więc też zamykam gębę na kłódkę i jedziemy dalej. Popatrzałem na miasto z góry i z dołu, zaglądnąłem do sklepów

takich i owakich, podziwiałem potężny ruch i życie tej zachodniej metropolji, która, przed dwudziestu kilku laty, w jednym momencie, dzięki trzęsieniu ziemi, a przez nie, spowodowanym pożarom, runęła w gruzy i popioły. Niby ów przysłowiowy i mitologiczny Fenix, San Francisco powstało szybko z popiołów. Niedawno urządziło wystawę światową i śmiało kroczy naprzód w szeregu najpostępowszych, a równocześnie najciekawszych miast Stanów Zjednoczonych.

W roku 1916-tym spotkałem tu dosyć liczną gromadę Polaków, zamieszkujących w San Francisco. Rozrzuceni są nie tylko po mieście, ale także w Oakland Berkley i innych przedmieściach. Mają swoje towarzystwa i utrzymują pewną styczność z wychodźtwem zapomocą organizacyj narodowych, jak Związek, Zjednoczenie, Sokoli i inne pomniejsze zrzeszenia. Nie słyszałem o tem, aby tu była polska parafja.

Jednakowoż należy wspomnieć, że wśród pionierów, tych słynnych „Forty Niners" czyli, weteranów roku „czterdziestego dziewiątego" byli także Polacy. Jeden z nich zajął w historji Kalifornji poczesne miejsce, a był nim weteran powstania Listopadowego, Dr. Felix Paweł Wierzbicki. Umarł w 1860-ym roku i pochowany jest w śródmieściu, na starym cmentarzu Laurel Hill.

Garść niżej podanych wiadomości czerpię z pracy współredaktora Dziennika Zjednoczenia p. Mieczysława Haimana, który na tem polu sprawie polskiej cenne oddał usługi.

Otóż Dr. Wierzbicki przybył tu jeszcze przed odkryciem złota i brał czynny udział w sprawach politycznych, będąc w bliskich stosunkach z ludźmi tego pokroju jak gubernator meksykański, Guadalupe Vallejo, generał Fremont i gen. Kearney, komandor Stockton i wielu innymi wpływowymi ludzmi. Nasz rodak mówił i pisał po angielsku bardzo dobrze.

Jego książka p. t. „California as it is, and as it may be, or a Guide to the Gold Region", przysporzyła mu sławy, a nawet dobrą pieniężną rekompensatę. W każdym razie jest to pierwsza angielska książka o Kalifornji, egzemplarze sprzedają w antykwarniach na wagę złota, bo za autentyczne okazy płacono po sześćset dolarów.

Chociaż był świadkiem napływu ludzi do nowego Eldorada, a nawet sam po złotodajnych rzekach i strumykach się włóczył, twierdził w swej książce, że przyszłość Kalifornji i jej dobrobyt

polegać będzie na rozwoju rolnictwa, w czem się zupełnie nie mylił. Kalifornja dotychczas wyprodukowała złota za jeden miljard ośmset miljonów, a jej produkta rolne, owoce, olej i przemysł wielekrotnie tę sumę przewyższają.

Pisząc o napływie imigrantów, robi ciekawe komentarze o ówczesnych stosunkach. „Największą niewygodą, na jaką narażony jest kawaler w tym kraju — pisze Dr. Wierzbicki — jest to, że nie może mieć czystej bielizny w razie potrzeby, gdyż z powodu braku kobiet jest bardzo trudno o służbę domową. Aby nakłonić którą z tych kilku kobiet, jakie tu są, do wyprania bielizny, trzeba umizgać się do nich, a prócz tego zapłacić sześć dolarów za tuzin sztuk".

Dr. Wierzbickiego zaliczają do pierwszych lekarzy, a zarazem założyciela tutejszego stowarzyszenia lekarskiego. W swej książce ukazywał ogromną nienawiść do Kościoła katolickiego i Jezuitów. Tyle o jednym z pierwszych polskich pionierów. Tu podróżował i stąd pisał Henryk Sienkiewicz. Pani H. Modrzejewska i p. Paderewski, mieli w słonecznej Kalifornji piękne wille i obszerne posiadłości zwane „ranches".

Minąwszy forty, magazyny, szpitale, baraki, dźwignie, warsztaty, wjeżdżam na dok, aby okrętem się przeprawić na drugą stronę zatoki do Berkley, miasta liczącego ponad ośmdziesiąt tysięcy mieszkańców. Na uroczem wzgórzu, z przecudnym widokiem na zatokę i miasto San Francisco, zbudowano tu uniwersytet stanowy, do którego uczęszcza dziesięć tysięcy studentów. Wysoka wenecka kampanilla i poszczególne gmachy w stylu klasycznym i renesansowym zbudowane, otoczone palmami — zdają się być jakiemś wymarzonem zjawiskiem. Jakie tu dogodne warunki i cudne otoczenie posiada nasza dorastająca, uniwersytecka młodzież, będąca pod kierownictwem tysiąca pięciuset profesorów?! Ale same gmachy, chociażby najwspanialsze, jeszcze nie świadczą ani o poziomie nauk, ani o charakterze i duchu, w jakim się te przyszłe pokolenia kształcą i przygotowują do pracy życiowej.

Zimową porą nie tylko ludzie, ale nawet dzikie kaczki i gęsi ogromnemi stadami zlatują do sąsiedniego dużego miasta Oakland. Jezioro Meritt w samem centrum miasta, jest ich główną kwaterą. Zarząd miasta je karmi i otacza troskliwą opieką, a samochody przy jeziorze jadą powoli i ostrożnie, aby małych gości nie przestraszyć lub co gorsze nie skaleczyć.

Nie zatrzymuję się dłużej. Żegnam więc z sobą sąsiadujące miasta, uniwersytet i olbrzymią zatokę. Zdawałoby się, że i słońce na pożegnanie, te wszystkie gmachy, wieże, palmy i wody obejmuje w promienne uściski i otacza cudnej piękności blaskiem... Każdy fotograf wie dobrze, że najpiękniejsze światłocienie napotyka albo o rannych brzaskach albo wieczorem, przy złocistych pożegnaniach słońca z ziemią...

Na noc zatrzymałem się kilkanaście mil za miastem w krainie najrozmaitszych, a bardzo smacznych owoców. Cóż mi z tego, kiedy człowiek z powodu cukrzycy, do wszelkich słodyczy, tak ludzkich jak i owocowych, musi wciąż okazywać wielką wstrzemięźliwość. Szkoda, bobym tu tylko żył owocami i jagodami.

Z wygodnej kwatery ruszam rano w dalszą podróż do stołecznego miasta Sacramento, o sto mil oddalonego od San Francisco. Długim mostem, za opłatą dziewięćdziesięciu centów, przeprawiłem się na drugi brzeg rzeki Sacramento i szeroką doliną jadę do stolicy — miasta San Sacramento (przydomek „San" z hiszpańskiego „swięty" opuścili jako zbyteczny), w kierunku północno-wschodnim wśród ogrodów, sadów i szerokich pól, które z powodu letniej posuchy są docna spalone. Dziwię się, jak tu bydło może w tym czasie dostać choćby szczyptę spalonej trawy. Ta część Kalifornji najlepiej się prezentuje zimą, w sezonie deszczowym. Wtenczas wypalone pola znów się pokrywają zielenią, a łagodny klimat czyni z tego uroczego kraju istny raj.

Przy spławnej rzece Sacramento napotykam ogromną rafinerję nafty, co tu jest dosyć pospolite. Kalifornja jest jednym z najstarszych, a zarazem największych producentów ropy. Na rzece wciąż pracują duże parowe kopaczki, umieszczone na płaskich, a szerokich czółnach. Nazywają je „gold dredges" — dlatego, że z dna rzeki wydobywają złotodajny piasek i zapomocą parowych sit i przetaków oddzielają złoto, a piasek z powrotem wrzucają do rzeki.

Jadę teraz drogą U. S. 40. Ciągnie się od oceanu do oceanu i nosi nazwę Lincoln Highway. To jest pierwsza ważna linja komunikacyjna od Nowego Yorku aż do San Francisco. Często nią pojedziemy, szczególnie od Denver na wschód. Mijam niewielkie miasteczka, jak Fairfield, Dixon, Davies i inne. Nic tu jednak szczególniejszego nie zauważyłem.

Sacramento gnieździ się w olbrzymiej dolinie, utworzonej przez dwa równoległe łańcuchy górskie i jest, nie tylko stolicą stanu, ale także ważnym węzłem komunikacji kolejowej i drogowej. Ta zaś nabiera coraz większego znaczenia i w transporcie wypiera koleje. Tu się krzyżują drogi ze wschodu, zachodu, północy i południa.

Rolnictwo i ogrodnictwo tworzą bardzo poważną gałąź przemysłu i handlu stolicy, spławną rzeką połączonej z oceanem. U przystani okrętowej, przy „K" ulicy, jest tablica z napisem że „stąd za przeszło pięćset miljonów dolarów złotego piasku (złota) przewieziono w tem miejscu, a pięćdziesiąt tysięcy górników tu wylądowało, aby go szukać. W tem miejscu w roku 1863-im rozpoczęto budowę pierwszej transkontynentalnej kolei.

Kapitol i budynki rządowe, izbę posłów i bibljotekę zbudowano w śródmieściu i otoczono pięknym parkiem. Znajduje się w nim ponad tysiąc rozmaitych gatunków drzew, krzewów i kwiatów. Każde drzewo i krzew jest zaopatrzony w tabliczkę z jego nazwą angielską i botaniczną, a czasem notatką o kraju, z którego je sprowadzono. Znajduje się tu kilka pięknych okazów włoskiej sosny, rząd olbrzymich drzew „deadars" — z Indyj, których gałęzie pokrywają obszar niemal sto stóp średnicy. Ciekawy jest także zbiór drzew z pól bitew w wojnie domowej. W cieniu olbrzymich palm, wśród klombów egzotycznych roślin, przy szumie tryskających fontann, na kamiennych ławeczkach wygrzewają się gromady bezrobotnych.

Na przeciwnej stronie ulicy podobne do siebie, jednak oddzielone pięknym trawnikiem, klombami kwiatów i tryskającemi fontannami, są dwa wspaniałe gmachy. Biuro i bibljoteka stanowa. Nawet Grecy zachwycaliby się ich linjami klasycznemi. Zaciekawił mnie napis nad wejściem do gmachu stanowego: „Give me men like my mountains" — Dajcie mi mężów, jak me góry". Ile się w tem zawiera myśli, jeżeli zważymy, że Kalifornja posiada najwyższe pasmo gór w Ameryce — Sierry.

W śródmieściu, jako cenną relikwję, starannie przechowują mały, otynkowany domek, otoczony murem obronnym i zabezpieczony dwiema wieżyczkami zbudowanemi na przeciwnych rogach czworoboku. Jest to historyczny „Sutter Fort". Naokoło tej pierwszej osady niby, koło osi, kręcą się te ciekawe wypadki i czasy z ery odkrycia złota w roku 49-tym. Obywatele tutejsi

odnoszą się do nich, powiedziałbym poniekąd z miłem wspomnieniem — „The Days of Old, the Days of Gold“ — Stare dni, złote dni! Ileż to ciekawych książek pisano o tych już „dawnych“ dziejach?!... Tu się wałęsał Mark Twain, o tych pionierach pisał Bret Harte, Joaquin Miller, Dana i wielu innych. To niewyczerpany temat romansu, awantury, zbrodni, bogactwa, nędzy, jednem słowem — wszystkiego.

Nie można tego pominąć milczeniem, co głośnem echem rozeszło się po kuli ziemskiej, a co tu ściągnęło ludzi ze wszystkich zakątków Europy, Afryki i Azji.

W roku 1839-tym przybył w te dzikie i nieznane okoilce Szwajcar, kapitan Jan A. Sutter. Od ówczesnego gubernatora meksykańskiego Alvarady otrzymał koncesję — „kawałek ziemi“ — obejmujący dziewięćdziesiąt dziewięć mil kwadratowych, „w okolicy przez nikogo poprzednio nie zajętej“.

Z San Francisco wybrał się w te dzikie i nieznane knieje w towarzystwie sześciu białych i ośmiu Indjan. Puścili się wgórę rzeki Sacramento i założyli kwaterę jakie dziewięćdziesiąt mil od miasteczka San Francisco, przy ujściu rzeki American. Stanęli na miejscu 12-go sierpnia 1839-go roku.

Był to widać człowiek zapobiegliwy, pracowity i taktowny. W niespełna dziesięciu latach dorobił się, jak na owe czasy, poważnego majątku. Pracowało u niego kilkaset ludzi, a z inwentarza w okrągłych cyfrach posiadał dwanaście tysięcy sztuk bydła, dwa tysiące koni i mułów, od dziesięciu do piętnastu tysięcy owiec i ponad tysiąc świń. Takiego dorobku nie wykaże żaden „wójt“ w Polsce. Dziewicza ziemia wydała plony wprost nie do uwierzenia: 114 buszli pszenicy z akra.

Wobec takiego rozwoju, trzeba było pomyśleć o rozbudowie osady. Dtatego wysłał jednego ze swych współpracowników, nazwiskiem James Marshall, kilkadziesiąt mil wgórę rzeki American, aby tam wyszukał odpowiednie miejsce na budowę tartaku. Znalazł dogodne położenie, gdzie rzeka mogła dostarczyć potrzebnej siły wodnej, prócz tego gęsty las pokrywał okoliczne wzgórza, zwierzyny i ptactwa także poddostatkiem. Zabrano się żwawo do pracy. Zbudowali szałasy dla robotników, rozpoczęto budowę tartaku i zrobiono potrzebne stawidła i spusty.

Dnia 24-go stycznia 1849-go roku Marshall znalazł paręset kroków od młyna kilka bryłek szczerego złota! To pierwszy

zwiastun wprost nieobliczalnego majątku, jaki leżał pod nogami, na ich własnym gruncie! Chcieli to utrzymać w sekrecie, ale się nie udało. Zresztą jak można?...

Gdy z szybkością stepowego ognia rozeszła się wiadomość, że w Kalifornji odkryto złoto, nastąpiła niemal panika. Ludzie rzucali wszystko — domy, rodziny, posady; spieniężali posiadłości, aby tylko dostać się do Kalifornji i... złota.

Bogatszy „prospektor" prowadził jednego lub dwa muły juczne, na których składał prowjanty, miski, kilofy, łopaty, a sam w ciężkich butach, grubej kraciastej, wełnianej kuszuli, z karabinem lub rewolwerem u pasa szedł w góry, nad rzeczki i w dziewicze lasy szukać fortuny. Wszędzie się roiło od takich gorników-prospektorów. Jeszcze ich teraz tu znajdziesz.

Dla Suttera odkrycie złota na jego gruncie okazało się nieszczęściem. Ludzie, mogąc zarobić od czterdziestu do dwu tysięcy dolarów dziennie, wymywając złoto z piasku rzecznego, rzucili pracę. Zostawili zboże na polach. Bydło bez wody i paszy pozdychało, zabudowania opustoszały, zapasy rozkradli, tartak pół wykończony zostawili i każdy, kto tylko mógł, walił do rzeczek, strumyków, gór i lasów — za złotem. Do tego stopnia opanowała ich gorączka, że złoto, co mieli pod nogami, po które trzeba się było schylić, zostawiali, a szli dalej szukać całych — „złotych gór".

Czemu też to ktoś nie napisze jakich uczciwych rozmyślań na temat złota?!... Ile przynosi szczęścia, a ile nieszczęścia?!... Zwaliły się do Kalifornji elementy najgorsze. Rozpusta, pijaństwo, morderstwo były na porządku dziennym. Karczmy i sale do tańca, domy rozpusty powstały niby grzyby po deszczu. Wszystko dzień i noc było otwarte, a szulernie robiły świetny interes. Hojną ręką rzucano złoto. Przynosili je z pobliskich rzeczek w workach, pończochach, plecakach, w czem kto mógł.

Co za wspaniały „dobrobyt" ogarnął tę prymitywną placówkę! Sutter zbankrutował, wrócił na wschód i tam w biedzie umarł, ale jego składy i zabudowania były przepełnione ludźmi. U góry kwatera, gdzie każdy leżał pokotem na podłodze, na dole karczma. Zatrudniano karczmarzy z dużemi rękoma i długiemi palcami. Kieliszek wódki płacono „szczyptą złota". Za wikt płacono dwieście dolarów na miesiąc. Podkowy i podkucie konia lub muła kosztowało sześćdziesiąt dolarów. Za transport prowjan-

tów do kopalń pięćdziesiąt mil odległych, płacono dwa tysiące dolarów od tony. Wynagrodzenie subjekta w sklepach było pięćset dolarów na miesiąc. Wagi, któremi odważano złoto, nie były akuratne, zawsze oszukiwano górnika, ale na takie drobnostki nie zważano.

Chociaż złoto samo w sobie nie przedstawia takiej wartości, jak żelazo, miedź lub inne zwykłe metale, jest poniekąd siłą rozpędową — motorem.

Tu było złoto za miljony i setki miljonów dolarów i jeszcze je wydobywają... Na gwałt trzeba było pomyśleć o lepszej linji komunikacyjnej. Listy wysyłane okrętami przez cieśninę panamską były w drodze co najmniej od 22 do 25 dni, zależało od okrętów. Powzięto myśl założenia sztafety konnej — „Pony Express". Co dwadzieścia pięć mil zbudowano stajnie i kwatery dla jeźdźców i koni. Każdy kurjer miał zrobić co najmniej siedmdziesiąt pięć mil. Zatrudniano około 80 jeźdźców i od 400 do 500 koni.

Pierwsza sztafeta opuściła Sacramento 3-go kwietnia dążąc do St. Joe, Missouri nad rzeką Mississippi, w tym samym czasie z St. Joe wyruszył jeździec w stronę Sacramento. Trzynastego kwietnia stanął u celu — czyli, że w dziesięciu dniach zrobiono 1966 mil. Najszybszy rekord osiągnięto z mową inauguracyjną prezydenta Lincolna w r. 1861-ym. Podróż z tą ważną depeszą dla Ameryki zrobiono w rekordowym czasie, bo w siedmiu dniach i siedemnastu godzinach — czyli z przeciętną szybkością dziesięciu i pół mil na godzinę.

Opłata listu wynosiła pięć dolarów za pół uncji, teraz płaci się pięć centów za pocztę aeroplanową, która tę samą drogę odbędzie w przeciągu jednej nocy. „Pony Express" zwinięto z przeprowadzeniem pierwszej linji telegraficznej w roku 1861-ym.

Nie kontentowano się ani sztafetą konną, ani telegrafem, trzeba było pomyśleć o linji kolejowej. Przecież było złoto, powinna więc być linja kolejowa. W roku 1854-tym zorganizowano towarzystwo kolejowe i rozpoczęto budowę pierwszej transkontynentalnej kolei. Budowano ją równocześnie z obu końców. Obie części połączono w Utah, 10-go maja, 1869-go roku. Budowa traskontynentalnych dróg żelaznych stanowi już nie powiem epokę, ale istny romans w rozwoju Stanów Zjednoczonych. Ile ciekawych artykułów możnaby na ten temat napisać!?... W tych czasach, przy słabem urządzeniu technicznem, położono stal przez Sierry,

wśród śniegów, skał, przepaści i najrozmaitszych trudności, na wysokości siedmiu tysięcy stóp ponad poziom morza. Celu dopięto!...

Ruszam na północ, do małej wioski Rio Linda, aby odwiedzić dawnych znajomych z Minnesoty, rodzinę Wodnych, którzy się trudnią hodowlą kur. Kalifornja między innemi gałęziami przemysłu rozwinęła także szeroko hodowlę drobiu i jest jednym z największych producentów kur i jaj, które całemi wagonami wysyła na wschód. Łagodny klimat, dużo słońca — wielce się przyczyniły do rozwoju tej branży gospodarstwa.

Rodzina Wodnych, prócz drobiu, ma także bardzo piękne ogrody worzywne i owocowe. Tu po raz pierwszy skosztowałem nowego owocu. Nazywa się „nectarines". Jest to połączenie śliwki z brzoskwinią. Zewnętrzny wygląd podobny do śliwek, pestka zaś do pestki brzoskwini, a smak zupełnie odrębny, trochę kwaskowaty. Zdziwiłem się, gdy mi powiedziano, że za akier ziemi płacą tu od dwustu do trzystu dolarów i to bez zabudowań. Wszędzie zastosowano sztuczne nawadnianie. Każdy hodowca drobiu bije głębokie studnie, dostarczające wody nie tylko dla drobiu, ale także dla sadów i ogrodów warzywnych. Bez wody wszystkoby poschło. Czasami gdy w sezonie deszczowym są posuchy, to latem schną na polach nawet duże drzewa, gdyż korzenie nie mogą już sięgnąć i dostarczyć drzewu życiodajnej wody. Wtenczas ziemia staje się twarda, jak opoka, i sucha, jak pustynny piasek, na dziesięć i więcej stóp głębokości.

Rząd amerykański, jak również każdy stan prowadzi olbrzymie stacje doświadczalne w hodowli drobiu. Zdaje się, że pod tym względem bardzo postąpiliśmy naprzód. „Mąka", którą karmią kurczęta i kury, zawiera najrozmaitsze składniki, jak mięso, rycynus, jodynę, tran rybi, sól, drożdże, mleko, oczywiście mielone zboże, więc kukurydzę, owies i pszenicę. Wyczerpujące doświadczenia w laboratorjach rządowych wykalkulowały, że kura ma w tej karmie wszystkie składniki potrzebne do rozrostu i produkcji jaj.

Najnowsze kurzelnie są tak urządzone, że każda kura ma własną drucianą klatkę jak kanarek, małe pudełko z żywnością i kubek z wodą. Podłoga w tej klatce jest z drutu, aby sobie przypadkiem kura nóg nie pobrudziła. Jajko zniesione natychmiast spada do małego koszyczka, przyczepionego do klatki. Ho-

dowca ma ścisłą kontrolę nad każdą kurą i wie dokładnie, ile jaj zniosła na tydzień lub miesiąc. Młode kurczaki na mięso hodują także w drucianych klatkach, do których z jednej strony przyczepiono korytko z wodą, a do drugiej koszyk z mąką. Jest to nasz najnowszy system do produkcji jaj i mięsa.

Dobrzeby było, gdyby tu przyjechało z Polski kilku młodych ludzi w celu przestudjowania naszego systemu i zastosowania jego lepszych stron do hodowli drobiu w kraju. Klatki dla niosących się kur wynalazł hodowca z New Jersey. Profesorzy rolnictwa mówili mi, że to jest najlepszy system hodowli drobiu. Ma się rozumieć — można takie klatki nabyć w rozmaitych rozmiarach, rozpocząwszy od tuzina kur do stu kilkudziesięciu, a sekcyj można nastawiać, ile się komu podoba, lub ile w kurniku starczy miejsca.

Spędziłem u starych znajomych kilka godzin na miłej pogawędce o dawnych czasach, gdym w Cloquet w opróżnionym składzie siana Mszę św. odprawiał i polską parafję organizował. Pożar w październiku 1918 roku zniszczył miasteczko Cloquet, została tylko kupa gruzów.

Zawróciłem do Sacramento, a stamtąd przez Elk Grove, Galt, do Stockton, miasta liczącego jakie siedmdziesiąt tysięcy mieszkańców. Cała okolica jest pokryta sadami owocowemi, przeważnie brzoskwiniami, które po polsku nazywają się „pyczesy", a po angielsku — peaches. Amerykanie twierdzą, że „tutejszy" polski język jest bardzo zbliżony do angielskiego i to tak mocno zbliżony, że nawet starokrajski profesor nie mówiący po angielsku, amerykańskich Polaków nie zrozumie. Prócz brzoskwiń, śliwek, winogron, gruszek, hodują dużo i to rozmaitych gatunków arbuzów — melonów.

W miastach widać duże magazyny do przechowywania, pakowania i wysyłki owoców. Wszyskie owoce są sortowane co do gatunku, koloru i wielkości. Jabłka myją, sortują, nieraz zawijają w bibułkę, i w wielkich ilościach eksportują do Europy. To samo da się powiedzieć o cytrynach, pomarańczach i bardzo popularnym owocu, wyprodukowanym przez połączenie cytryny z pomarańczą, o żółtej skórce, a smaku kwaskowatym. Nazywa się „grapefruit" cykada, jest to dzieło Burbanka. Amerykanie na apetyt zamiast śledzi z wódką — jedzą „grapefruity".

Powstały tu także olbrzymie kooperatywy, zajmujące się produkcją i wysyłką owoców. Celem rozpowszechnienia poszczególnych gatunków — wydają setki tysięcy dolarów na ogłoszenia i propagandę prasową. Mówią, że jedynie dlatego jemy jaja kurze, chociaż daleko mniejsze, zamiast gęsich, gdyż kura zniósłszy jajko, zaraz to gdakaniem ogłasza i swój towar zachwala. Reklama popłaca!

Ze Stockton do Modesto, o jakie 30 mil na południe, wszędzie widać sady brzoskwiń, winogron, gruszek i fig. Dojrzałe figi są koloru ciemno-niebieskiego i nieco podobne do śliwek węgierek, mają dziwny, czasami trochę gorzkawy smak. Ponieważ są miękkie i trudno je dłuższy czas w świeżym stanie utrzymać, dlatego je suszą i w ten sposób idą na rynek.

Na drogach często mijam ogromne transporty skrzyń używanych do pakowania owoców. Każdy niemal owoc ma osobny rozmiar pudła, a w dodatku jest oblepiony etykietami podającymi gatunek, wielkość, smak i pochodzenie w niej zawartego owocu. W okolicznych miastach małe tartaki przygotowują cieniutkie deseczki na skrzynie i pudełka owocowe. Produkcja i eksport owocu jest najważniejszą gałęzią przemysłu i handlu tej okolicy. Każdy owoc ma specjalny sezon, więc też na wiosnę wagonami odsyłają truskawki, maliny i wszelkiego gatunku jagody. Potem następują wiśnie i czereśnie, za niemi idą rychłe brzoskwinie, jabłka, — i tak przez cały sezon można się tu delektować świeżym i smacznym owocem.

Modesto, jak Stockton jest dużą centralą owoców i jarzyn. Między zbiorem jednego owocu, a następnego panuje okres wypoczynku. Depresja dała się porządnie wszystkim we znaki. Dużo owocu wprost gnije na drzewach i polach, bo nie opłaci się go zbierać. Tylko najlepsze gatunki zbierają, reszta się niszczy. Głupiośmy na tych wszystkich ekonomjach wyszli. Wszystkiego mamy wbród, a miljony bezrobotnych poprostu głodują.

Modesto było trochę z drogi, ale wpadłem odnowić stare znajomości. Więc też niedługo popasam. Zaczynam trochę kluczyć i bocznemi, ale dobremi drogami zawracam w kierunku północno-wschodnim, do największego jeziora w Kalifornji, Lake Tahoe, a co jeszcze ważniejsze to Reno. Jadę przez Lockford, Ion, Plymouth do Placerville, tam znów wjeżdżam na jeden z głównych traktów U. S. 50. Po drodze prócz sadów owoco-

wych napotykam sady włoskich orzechów. Stanąłem przy jednym, który nawodniano. Woda się lała rowami i cały sad niedawno poradlony, przedstawia chwilowo wielkie błoto. Pod drzewami poustawiane były piecyki, w których w razie przymrozków palą, aby owoc ratować przed mrozem, który tu często kolosalne powoduje straty.

Mówiono mi, że wodę sprowadzają z gór i przetrzymują w odpowiednich rezerwoarach. Każdy ogrodnik czy rolnik może zakontraktować tyle wody, ile sobie życzy lub uważa, że może zużyć. Za wodę się płaci od akra i stosownie do głębokości nawodnienia. Więc jeden zakontraktuje mówmy sześć cali wody na akier, drugi dwanaście lub więcej. Koszta tego sztucznego deszczu wynoszą od dwudziestu do dwustu dolarów od akra.

Każdy powiat ma własne kooperatywy, które dostarczają rolnikom i ogrodnikom odpowiedniej ilości wody. W niektórych miejscach zauważyłem duże rowy, niby kanały, któremi płynie woda. Gdy ktoś chce deszczu, nie potrzebuje spoglądać na niebo — wystarczy iść do głównego kanału, otworzyć śluzę i za kilka godzin sprawa załatwiona. Dlatego też pola nawodniane tak się wyróżniają od tych, co miesiące całe kropli wody nie dostaną. Tam, gdzie trudno przeprowadzić rowy i kanały, założono grube rury wodne i temi dostarczają wody ile potrzeba.

Widziałem czasem, gdy woda lała się z rury tęgim strumieniem. Niektórzy pozakładali przez całe pola małe, żelazne, jak sita podziurawione rurki, z których woda kropi, niby deszczyk. Tego systemu używają w wielu miejscach przy hodowli selerów, cebuli i innych jarzyn. Inni zaś kładą rurki do ziemi, a woda z nich sączy się powoli, ale stale i utrzymuje odpowiednią wilgoć. Jak to naprawdę ładnie urządzone. Pan Bóg nie potrzebuje się o to kłopotać, czy dziś zesłać deszcz lub pogodę. Zresztą musi to Mu sprawiać dużo ambarasu, gdyż jeden chce deszczu, a jego sąsiad modli się o pogodę. Tu zaś, to jest tak: masz pieniądze, możesz mieć deszcz, kiedy ci się podoba, a bez pieniędzy będziesz miał pogodę i słońce.

Wiecie, kto powinien zamieszkać w tych stronach na stałe? „Gazda“ Makuszyński. On bardzo słońce kocha i podzielam jego gust. Tu zawsze, a przynajmniej całe lato słońce świeci. Czasem niebo lekko się zachmurzy, gdy mu się coś nie podoba. Zresztą i ludzie się nieraz chmurzą i dąsają, a nie mają o co.

Dni są zawsze jasne, słoneczne, ciepłe, ale nie bardzo gorące, a noce chłodne. Nic dziwnego, że w Kalifornji do ceny gruntu lub budynków zawsze dodają stu procentową zwyżkę — za klimat.

Tyle razy skrabałem się na góry i zjeżdżałem z gór na złamanie karku, że to na mnie nie robi najmniejszego wrażenia. Jednak znów się gramolę coraz to większemi pagórkami, dolinami, parowami i górami do jeziora Tahoe, położonego na granicy między Kalifornją a Newadą. Jadąc mimo górskiego strumyka, przy El Dorado zauważyłem mężczyznę poszukującego za złotem. To już jeden z niewielu. W pobliżu miejscowości Coloma, w 1849 roku, Marshall odkrył złoto.

Wiele wody upłynęło w rzekach Kalifornji od czasu, gdy w roku 1849-tym Sam Brannam biegł przez ulice miasteczka San Francisco i wymachując butelką napełnioną złotym piaskiem, wołał: złoto!! złoto!! Dotychczas wydobyto złota za jakie dwa miljardy dolarów, zapewne jeszcze bogate żyły czekają odkrywców.

Prawdziwą i niewyczerpaną kopalnią dla stanu jest ziemia urodzajna, klimat łagodny i dogodne warunki do ekonomicznego rozwoju. Przecież to ani sto lat nie upłynęło od tych malowniczych i awanturniczych „złotych dni“ z 49-go roku. Co za kolosalna nastąpiła metamorfosa! Myślałbyś, że to wszystko dokonały wieki, a to ani dziesiątek lat nie potrzebowało. Miasta, koleje, drogi, szkoły, akademje, uniwersytety wyrastały, jak grzyby po deszczu.

Placerville z początku nosiło nazwę „hangtown“ — hang znaczy wisieć — town, miasteczko. W okresie „złotej ery“ wieszano tu awanturników parami. Turystom pokazują drzewo, na ktorem wieszano skazańców. Na takie „uroczystości„ — „szeryf“ (zarząd policji) zawsze wysyłał formalne zaproszenia. „Że o tej godzinie powieszą p. N. N. na którą to egzekucję jak najserdeczniej zapraszam“. Studebaker miał tu kuźnię, później założył fabrykę wozów, następnie samochodów w South Bend, Indiana.

Poza tem nic tu ciekawego. Jadę dalej wśród głębokich lasów do jeziora Tahoe. Zauważyłem przy drodze pomnik z bronzową tablicą. A ponieważ takie pamiątki zawsze mię interesują, więc też się zatrzymuję i czytam, co tu się stało. Otóż w tem miejscu, przed siedmdziesięciu laty, bandyci napadli transport złota wieziony dorożką z Newady. Zastrzelili kilku ze straży i złoto zabrali. Gdyby teraz tak chcieli budować pomniki na

miejscach, gdzie bandyci kogoś obrabowali, byłoby ich tyle, iż myślałbyś, że Ameryka to jeden wielki cmentarz, coś w rodzaju Medjolańskiego Cimitiero di Monumenti.

Po kilkugodzinnej podróży staję u brzegów jeziora Tahoe. Ładne, nikt nie zaprzeczy. Co do jezior — jestem teraz podobny do zakochanego, któremu poza kochanką żadna inna kobieta nie imponuje. Zbyt świeży jest w mej pamięci Crater Lake, abym się jakiemkolwiek innem jeziorem zachwycał. Lodowce wyżłobiły jezioro, a lasy zielone zabrały je w swój uścisk. Ma ono paręset mil kwadratowych obszaru, głębokie, rybne i dla zwykłego śmiertelnika piękne. Mickiewicz o gorszych jeziorach cudne pisał wiersze.

Przy „zielonej“ zatoce zatrzymałem się na noc. Wszędzie domy z okrąglaków, zajazdy, hoteliki i nowoczesne urządzenia dla turystów. Kalifornijczyk ma jedną wygodę, której każdy mu może pozazdrościć. Gdy w domu za gorąco, wsiada do samochodu i za parę godzin jest w górach od ośmiu do dziesięciu tysięcy stóp ponad poziom morza. Tam już mu chłodno. A jeżeli jest bardzo gorącej krwi, to się wdrapuje na szczyty Sierrów i dowolnie się studzi wśród odwiecznych śniegów i lodowców.

O rannej porze, wzdłuż brzegów malowniczego jeziora, ruszam w dalszą drogę. Niektórzy uczeni twierdzą, że to jest właściwie krater olbrzymiego wulkanu, zalany wodą. Najgłębsze miejsca dochodzą do tysiąca ośmiuset ośmnaście stóp głębokości, woda zimna jak lód, a czysta jak kryształ. Dlatego topielcy w tem jeziorze nigdy nie wypływają na powierzchnię. Tam są zakonserwowani na wieki. Obszar jeziora wynosi cośkolwiek ponad dwieście mil kwadratowych. Wierzchołki otaczających je gór sięgają od dwu do pięciu tysięcy stóp ponad poziom jeziora.

Po kilkunastomilowej podróży wzdłuż jego malowniczych brzegów, upstrzonych letniskami, dojeżdżam z powrotem do drogi Nr. 40, którą niedawno jechałem z San Francisco do Sacramento. To jest główny trakt ze wschodu na zachód. Na kilka mil od miasteczka Trukee widać małe jezioro Donner Lake.

W roku 1846-tym wzdłuż jeziora, ciągnęła ekspedycja imigrantów z Illinois, pod dyrekcją Jerzego Donner'a. Ogromne śniegi, które tego roku spadły o miesiąc wcześniej, niż zwykle, zasypały ich tutaj. Zawierucha w przeciągu jednej nocy zawiała

wozy tak głęboko, że ich nie można było ruszyć. Czem prędzej zebrano bydło, które znaleziono w pobliżu pod śniegiem, zabito na żywność, a ze skór robiono pokrycie na szałasy. Wysłano kilku ludzi po ratunek. Większość zginęła w drodze. Z całej ekspedycji składającej się z siedmdziesięciu sześciu osób, połowa wymarła z głodu, chorób i wycieńczenia. Resztę zdołano uratować. Były nawet wypadki kanibalizmu, gdzie żywi zmarłych zjadali. Na pamiątkę tragedji zbudowano w tem miejscu pomnik, a jezioro otrzymało nazwę przewódcy tej nieszczęśliwej ekspedycji. Z Truckee, (nazwa jakiegoś sympatycznego Indjanina, który tą okolicą przeprowadzał pierwszych imigrantów) mknę na wschód przez Verdi do Reno, słynnego miasta rozwodów.

---

Rozdział XXIV.

## NEWADA.

Wjeżdżam do Newady, o której można powiedzieć, że to jedna olbrzymia pustynia. Pan Bóg zapewne po to ją stworzył, aby ludzie mieli gdzie z pragnienia i wycieńczenia umierać. Obejmuje przeszło sto dziesięć tysięcy mil kwadratowych, w okrągłych cyfrach jest czterysta dwadzieścia mil długa, a trzysta sześćdziesiąt szeroka. Ludności według ostatniego spisu nie posiada nawet sto tysięcy, bo tylko 91,058.

Twierdzą, że pierwszym białym odkrywcą, który w te odludne pustynie się zabłąkał, był ksiądz hiszpański, Francisco Garces. Miał podobno pracować wśród Indjan około roku 1775-go. Nic pewnego o jego pracy historja nie podaje. Po odkryciu złota w Kalifornji, liczne karawany pionierów i awanturników ciągnęły przez te bezbrzeżne pustynie, pozbawione wody, do złotodajnej krainy. Mormoni z sąsiedniej Uty, zakładali małe siedziby wzdłuż szlaku, którym wlekli się pionierzy. Ci wycieńczeni do niemożliwości znajdywali w nich przytułek dla siebie i dla bydła pociągowego. Pierwsze osady powstały wzdłuż rzeki Carson, a jedna z nich stała się ewentualnie stolicą tego piasczystego, z drzew i roślinności ogołoconego stanu.

Nieraz przychodziło do krwawych starć między bandami koczujących Indjan a białymi „setlerami". W roku 1849-tym gromada myśliwych napotkała osiedla Indjan nad rzeką Humboldt. Bez najmniejszej prowokacji, gdyż biedni Indjanie z ciekawością się tym białym ludziom przypatrywali, dali do nich ognia, kładąc dwudziestu pięciu trupem. Powstał wielki płacz i lament wśród pokrzywdzonych, wprost bezbronnych tubylców.

Nie brakło także bohaterów i ludzi roztropnych. W roku 1863-im Indjanie zamordowali zarządcę małej stacji, gdzie się

zwykle zatrzymywały wozy pasażerskie zwane „stage coaches“. Ukryci czekali na drugi transport, a gdy się zbliżył dali doń ognia z zasadzki i śmiertelnie ranili woźnicę. Ten widząc grożące niebezpieczeństwo, czem prędzej zwrócił konie i gnał z powrotem co siły. Gdy mu oczy bielmem śmierci zachodziły, poprosił jednego z pasażerów, aby wsiadł na kozła i odwiózł resztę t. j. starca i dwóch młodych chłopczyków w bezpieczne miejsce, sam zaś zwalił się martwy. Gdy dostali się do osady białych jeden z koni, ranny w nagłym ataku Indjan, padł nieżywy — to także bohater.

Pamiętną swego czasu wygłosił mowę wódz plemienia Pah Utes, od którego Utah wywodzi swą nazwę. Otóż przemawiając do towarzyszy broni, którzy chcieli uderzyć na białych, w te mniejwięcej odezwał się słowa: „Proszę, wstrzymajcie się i zastanówcie nad tem, co zamierzacie uczynić! Biali są liczni jak gwiazdy na niebie. Doznaliście krzywd i to wielkich, które się wznoszą, jak te góry przed wami. Ale czy możecie z wierzchołków gór sięgnąć i zagasić gwiazdy?!.., Wrogowie wasi są, jak piasek w rzekach. Gdy ich usuniecie, więcej przyjdzie na ich miejsce. Choćbyście mogli ich zwyciężyć w Newadzie, z Kalifornji nadciągnęłaby ich armja, pokryłaby wasz kraj, niby olbrzymim kocem. Jaką mogą mieć nadzieję Pah Utes?!... Skąd weźmiecie strzelby, prochu, kul, mięsa, żywności i paszy dla koni?!... Wasi wrogowie mają wszystkiego pod dostatkiem i więcej niż im potrzeba. Przyjdą jak piasek pustynny nieprzyjaciele i wypędzą was z siedzib waszych! Wepchną was w puste skały północy, gdzie wy i wasze koniki pomrzecie. Tam starcy i niewiasty z głodu zginą! Słuchać będziecie rozdzierającego płaczu waszych dziatek o trochę żywności!! Kocham mój lud! Niech żyją, a gdy ich duchy będą powołane do wielkich koczowisk, niech ich kości tam spoczną, gdzie spoczywają kości ich ojców!!“ — Czy Demostenes mógł się zdobyć na lepszą, wznioślejszą i rozumniejszą mowę od tej, co płynęła z krzywdą zakrwawionego serca „dzikiego“ Indjanina!?...

Żeby dać pojęcie o ogromnym obszarze stanów zachodnich, nadmienię, że jedna Newada mogłaby z łatwością pokryć wszystkie stany Nowej Anglji t. j. Maine, New Hampshire, Vermont, Massachussets, Connecticut, Rhode Island, a prócz tego jeszcze New Jerrsey, Maryland, Delaware i West Virginia. Zostałby nadto

szmat ziemi, z którego możnaby wykroić dodatkowe dwa stany jak Rhode Island. Nawiasem mówiąc pokryłaby dwie trzecie Polski. A przecież Newada jest dopiero szóstym z rzędu stanem co do wielkości. Gdyby ją zaludniono tak gęsto, jak n. p Belgję, mieszkałoby na tym obszarze przeszło pięćdziesiąt miljonów ludzi.

Rolnictwo rozwinęło się tylko w tych okolicach, gdzie można zastosować sztuczne nowodnienie. W dolinach rzek zajmują się hodowlą bydła, a pozatem najważniejszą gałęzią przemysłu jest wydobywanie szlachetnych metali jak złota, srebra i miedzi.

Reno — wymawia się Ryno — do którego się zbliżam, a ciągnie mnie doń babska ciekawość, jest największem miastem w stanie. Liczy około dwadzieścia sześć tysiący mieszkańców. Warsztaty kolejowe i kilka małych fabryczek zatrudniają tutejszych obywateli. Prócz tego eksport bydła i owiec przynosi pewne dochody okolicznym cowboyom. Najintratniejszem jednak źródłem dolarów, które hotelom, sklepom i adwokatom daje obfite, wprost luksusowe utrzymanie, są — rozwody.

Doszliśmy w Ameryce już do takiego wysokiego stopnia kultury i perfekcji, że wszędzie, z pewnemi zastrzeżeniami, w sądach rozkuwają kajdany małżeńskie, ale to przeważnie ludziom biednym. Ci na kosztowne rozwody nie mają czasu i pieniędzy. Bogaci i sławni, chcąc za jednym kosztem zdobyć renomę i uwolnić się od niewygodnych więzów małżeńskich jadą do Reno, czasem nawet do Paryża. Zwykle Reno wystarczy. Nie przyjechałem tu po to, aby się z takiego kłopotu wybawić, bo nigdy się w tę zupę nie wpakowałem. Wystarczy mi kapłaństwo, byle w niem do śmierci szczęśliwie wytrwać, a potem już nie będzie troski.

W Ameryce życie postępuje naprzód bardzo szybko. Każdy się gdzieś spieszy. Nawet nieboszczyka wiozą na cmentarz samochodem, aż się za nim kurzy. Więc też i w miłości jesteśmy bardzo gwałtowni i pospieszni. Katechizmu się dzieciak nie nauczy, ale o całowaniu, miłostkach i bandytach wie doskonale, bo regularnie co tydzień chodzi na przedstawienia kinematograficzne. Tam mu wszystko pokażą „o czem wiedzieć nie powinien". Samochody także odgrywają ważną rolę w naszem życiu erotycznem. Kawaler z samochodem wyjeżdża na drogi, niby myśliwy na dzikie kaczki i zawsze kilka głupich dziewcząt złowi, które

się chętnie wgramolą do samochodu i wio!... Czem się to kończy, łatwo się domyśleć. Więc też ludzie do małżeństwa garną się niby komary do światła. Mówią po angielsku, „marry in a hurry and repent at leasure" — ożeń się prędko, a żałuj powoli. Dawniej małżeństwo — „to wielka rzecz" teraz, to przelotna awantura. Nie robi różnicy, czy to aktor, czy bankier, czy zwykły wyrobnik. Dziś się żeni, za rok, a nieraz i prędzej się rozwodzi.

Reno jest właśnie stolicą rozwodów. Miasto ładne, czyściutkie, z nadmiarem luksusowych hoteli. To kwatera rozwódek. Wszystkie „zranione serca" i zawiedzione miłości w tej pustyni doznają ulgi, swobody i pociechy. Trzeba dla formalności zadeklarować chęć stałego pobytu. Po upływie sześciu tygodni sprawę rozwodu w sądzie rozpatrują i dają „swobodu" każdemu, co się o nią zgłosi i ma odpowiednią forsę, aby tu sześć tygodni wysiedzieć i słone honorarja adwokatom zapłacić!

Na głównej ulicy stoi piękny gmach sądowy zwany „court house". To nie kuźnia Grottgera, w której przekuwają na sztorc kosy, ale rozkuwają kajdany małżeńskie. Co za wygodna rzecz!...

Oczyma duszy widziałem zapłakanego i umorusanego kupidynka. Siedział biedaczysko na stopniach sądu i zbierał połamane i pogięte strzały miłosne, które pięknie ubrane kobiety z serc wyrywały i rzucały pod jego stopy. Miał pełen sajdak takich strzał i grotów miłosnych. Czekał na nowe niebaczne ofiary, którymby mógł je posłać. Trudno mu to nie przychodzi. Ofiary nieszczęśliwej miłości zrywają „okrutne" okowy poto tylko, aby inne kajdanki na ręce nałożyć i nowego spróbować szczęścia. Miłość nietylko, że jest ślepa, ale przytem bezdennie głupia!

Idąc ulicą, człowiek odnosi dziwne wrażenie. Zdaje mu się, że każda przystojna, młoda kobieta to kandydatka albo nowoupieczona rozwódka, ze świadectwem odzyskanej wolności w ręku, przygotowująca się do odjazdu i nowego zamążpójścia. Tuż za gmachem sądowym płynie rzeczka Truckee, do której młode rozwódki niekiedy rzucają ślubne pierścienie. Chłopacy czem prędzej wydobywają je z płytkiej rzeczki i sprzedają w składach jubilerskich za tanie pieniądze. Poza rozwodami nic tu sensacyjnego ani ciekawego niema. Dlatego tylko przelotnie się zatrzymuję i ruszam czem prędzej w dalszą drogę.

Kilka mil za miastem duża tablica oznajmia, że droga na lewo prowadzi do Virginia City. Tam w przeciągu kilkudziesięciu

lat wydobyto za siedmset miljonów dolarów złota i srebra. Jak było można takie miejsce pominąć? A może mi przypadkowo wsuną do samochodu bryłę złota?! Skręcam więc na lewo i wio pod górę.

Dzień upalny, droga kiepska, przytem bardzo stroma. Samochód strasznie się zmachał, zaczął się męczyć i pocić. W połowie szalenie stromej i pustej góry zatrzymałem się na wypoczynek. Do parą ziejącej paszczy chłodnika wsunąłem dwu kwartową butelkę zimnej wody. To mu znacznie ulżyło. Po chwilowym wypoczynku ruszyłem w drogę a po półgodzinnej krętaninie i sapaniu wjechałem na szczyt góry, około ośmiu tysięcy stóp wysokiej. Popatrzałem w dolinę z której się tu wydostałem.

Pięćdziesiąt i więcej lat wstecz, ciągnęły się tędy ogromne transporty wszelkiego gatunku przyborów i zapasów tych bogatych, nowo otwartych kopalń złota. Wszędzie, jak okiem sięgniesz, nic — tylko góry i pustynie.

Zajeżdżam ku dolinie.

Już zdaleka widać wysypiska gruzów, kamieni i stare opuszczone szyby. Na zboczu góry ciągnie się opuszczona mieścina składająca się ze stu zapadłych, drewnianych ruder. Opodal stoi mały kościółek katolicki i niewielka szkółka. Na przeciwnem zaś małem wzgórzu widać zielskiem zarośnięty cmentarz a na nim, ku upadkowi chylące się nagrobki aż nadto wymownie świadczą, że o zmarłych dawno już zapomniano. Wszystko jedna wielka pustka i ruina... Zatrzymajmy samochód i przyjrzyjmy się temu pustkowiu a ciekawą i romantyczną opowiem wam historję o dużem, gwarnem, żywem i bogatem niegdyś miasteczku, z którego pozostały tylko cienie i wspomnienia — phantom city...

Mormoni szli tędy do Kalifornji około roku 1850-go. Ponieważ śniegi w górach jeszcze nie stopniały, a trudno było przez nie przebrnąć, więc zatrzymali się w okolicy. Zaczęli w parowach czyli kanjonach szukać za złotem. W piasku rzecznym znaleźli dosyć liczne ziarnka czystego kruszcu.

Piasek złotodajny nabierano do naczyń, spłukiwano wodą. Na spodzie miski zostały małe ziarna czystego złota. Tym sposobem wydobywali je w niewielkich ilościach, może od pięciu do dziesięciu dolarów wartości dziennie. Wcale nie zły zarobek. Gdy jednak śniegi stopniały, odeszli do Kalifornji. Za nimi prze-

chodzili inni nad rzeczką i z jej stromych, żwirowych brzegów wydobywali od pół do jednej uncji złota dziennie.

Dowiedzieli się o tem górnicy z Placerville w Kalifornji, przez które to miasteczko przejeżdżaliśmy dwa dni temu. Ci przyszli i zaczęli węszyć i szukać za złotem z większą ochotą. Natrafiali coraz to bogatsze żyłki i gniazda złota, ukrytego w kruchej skale i krzemieniu. To były właściwie malutkie odnogi ogromnej żyły złota i srebra, która się ciągnęła kilkumilowym pasem przez t. zw. „górę złota“. Z parowu posuwali się coraz wyżej ku szczytom.



Obóz Indjan Lake Millae.

Dwaj Irlandczycy a jak my tu mówimy „Ajrysze“ widząc, że niższe tereny były już zajęte, poszli w górę kanjonu. Przy małym strumyku zaczęli poszukiwać za drogocennym metalem. Aby sobie zapewnić odpowiedni zapas wody, wykopali małą studnię. Po pewnym czasie chcieli już opuścić to miejsce, gdyż w piasku mało znaleźli pożądanego kruszcu. Z ciekawości zaczęli płukać materjał znajdujący się w studui. Jakie było ich zdziwienie, gdy w korycie po odlaniu wody ujrzeli pełno błyszczącego złota. Prócz tego, był tam jeszcze jakiś inny minerał, którego nigdy

przedtem nie widzieli. Wyrzucali ten ciężki, czarny, a im nieznany kruszec na stronę. Po pewnym czasie posłano worek tego metalu do analizy. Chemicy nie chcieli wierzyć analizie i własnym oczom. Okazało się, że to było niemal czyste srebro. Ci dwaj Ajrysze, Piotr O'Riley i Patryk Mcclaughlin przypadkowo odkryli najbogatszą żyłę złota i srebra w Ameryce.

W przeciągu kilkudziesięciu lat wydobyto z tej jednej żyły zwanej Comstock Load, za trzysta miljonów złota i za czterysta miljonów dolarów srebra. Ponieważ w tych czasach nie znano nowoczesnych sposobów oddzielania szlachetnych metali i dużo wraz z wodą popłynęło do rzeki, kto wie, czy w tej bezludnej pustyni, w jednej nieznacznej górze zwanej „Górą Złota", nie wydobyto za miljard dolarów drogocennych kruszców, gdyż z początku nie było ścisłej kontroli.

Gdy ci dwaj Ajrysze spoglądali zdumieni na błyszczący skarb w swem korytku, nadszedł ich znajomy. Ten momentalnie zorjentował się w sytuacji, zaczął rościć sobie pretensje do tego kawałka ziemi. Nazywał się Henry Comstock. Przyjęli go do spółki a chociaż tej bogatej żyły nie odkrył, dziwnym zbiegiem okoliczności odziedziczyła jego nazwę. Gdy się wieść rozeszła o tem fenomenalnem odkryciu, które w terminologji górniczej nazywają tu „strajkiem", górnicy z Kalifornji i z innych części Ameryki, z Meksyku, Anglji, a nawet Niemiec zaczęli gromadnie ściągać w tę bezludną i bezleśną pustynię.

Historja kopalń złota i srebra to jedna ogromna, wielce ciekawa, a bardzo romantyczna księga ludzkich wysiłków o jego posiadanie. Zresztą możnaby powiedzieć, że niemal wszelka praca, wysiłki i walki ludzkie mają za podkład — złoto. W tej pustyni nic nie było prócz tych drogocennych kruszców. Ze skruszałej skały wyłamywano wprost bryły czystego złota i srebra ważące nieraz po kilkadziesiąt funtów.

Górnicy i poszukiwacze, zwani tu „prospektorami" spali na gołej ziemi, gdyż nie było mieszkań ani nawet drzewa na zbudowanie chociażby najprymitywniejszej chaty. Niektórzy budowali szałasy z pustynnej krzewiny, inni mieszkali w norach, niby borsuki. Z olbrzymim nakładem trudu i pieniędzy zaczęli wołami ściągać z dalekich lasów budulec, żywność, odzież. Jednem słowem każdy drobiazg sprowadzono z odległych miast, jak Sacra-

mento i San Francisco, przez góry Sierras. Ale mając złoto, można wszystko dostać nawet na bezludnej pustyni.

Na mułach i wołami ściągano maszyny, żywność, żelaziwo, budulec. Zabrano się energicznie do budowy domów, sklepów, szpitali, szkół, kościołów, a najwięcej stawiano karczem czyli „salunów". Ludzie najrozmaitszych ras, wyznań, przekonań i charakterów tłumnie tu spieszyli. Jedni poto, aby wydobywać ukryte skarby, inni, aby im ten majątek per fas et nefas odebrać.

Karczmy, szulernie, domy rozpusty były przepełnione awanturnikami. Nie było prawie dnia, żeby kogoś w pijackiej awanturze nie zamordowano. Jak tu mówiono „co rano był ktoś na śniadanie". Dopiero lepiej myślący obywatele utworzyli komitet zwany „601". Ten się energicznie zabrał do robienia porządku. Kilku awanturników publicznie powieszono, innym powiedziano, że jeżeli im życie miłe, niech się w tej chwili wyniosą. Wkrótce wszystko weszło na normalne tory i praca postępowała naprzód. Dzień i noc stawiano domy, zapuszczano szyby, budowano maszynerję do wydobywania drogocennych metali ze skały.

To była także pierwsza kopalnia srebra w Stanach Zjednoczonych. Nikt nie wiedział, jak je oddzielać od innych chemicznych składników. Sprowadzono górników z Meksyku, tam były oddawna ogromne kopalnie srebra. Okazało się, że metody meksykańskie były przestarzałe i zapowolne. Każdy na swój sposób wydobytą rudę piekł, smażył, gotował; niektórzy nawet dodawali jako przyprawę liście z bylicy. Przez to bardzo dużo drogocennego metalu, może za miljony dolarów poszło na marne i popłynęło rzeką Carson do morza. Przyszli Niemcy, cośkolwiek więcej obeznani z produkcją srebra, gdyż w Niemczech były kopalnie tego metalu. Poczynili znaczne ulepszenia nietylko w przeróbce kruszcu, ale także w sposobie cembrowania żył i ekonomicznego wydobywania rudy.

Wszędzie napotykano trudności w eksploatowaniu tych bajecznych żył złota i srebra. Miejscami złotodajne pokłady dochodziły od trzystu do tysiąca i dwunastu set stóp szerokości, wydając od stu do siedmiuset dolarów na tonę rudy. Im głębiej się zapuszczano szybami, tem większe napotykano trudności z wodą.

Sprowadzono najnowszego systemu pompy, nietylko z Ameryki, ale nawet z Anglji. Miejscami trafiano na źródła wrzącej

wody. Jeżeli robotnik wpadł do niej, żywcem się ugotował. Ciągła walka z wodą pociągała kosztowne opóźnienia i olbrzymie wydatki.

Jeden z inżynierów, Adolf Sutro, postanowił przebić u stóp góry głęboki, na cztery mile długi tunel. Przeciął żyłę na głębokości szesnastu set stóp; tunel był szesnaście stóp szeroki, dwanaście wysoki i cztery mile długi. Przez pewien czas osuszał wyższe piętra. Gdy się jednak spuszczono poniżej tunelu, niewiele im pomagał w tych nadzwyczajnych trudnościach. Widać, że i Matce Ziemi o złoto chodzi, jeżeli je twardą skałą, strumieniami zimnej, a nawet wrzącej wody obwarowała.

Z powodu nadzwyczajnej gorączki, trzeba było zastosować sztuczną wentylację i budować nieznane tu jeszcze wentylatory. I tak lata całe szła ta niezmordowana walka o złoto i srebro we wnętrzu ziemi na tysiące stóp ukryte. Nieraz natrafiano na tak zwane „bonanzy“, gdzie analiza wykazywała niemal czysty metal złota i srebra bez jakichkolwiek domieszek.

Jakby za dotknięciem magicznej, złotej różdżki, na bezludnej pustyni szybko wzrastało ludne miasto. Ulice wysypywano szutrem z kopalń, zbudowano drogi, następnie kolej, którą dowożono wszystko prócz złota.

Z dalekich stron sprowadzano wodę do picia, a ta, co zalewała kopalnie była niezdatna do użytku i trzeba ją było znów wielkim kosztem pompować do rzeki.

Im głębiej się zapuszczano do wnętrza, tem większe piętrzyły się trudności. Kilka kopalń się połączyło i wybito nowy szyb o czterech podziałach. Na owe czasy, był to drugi najgłębszy szyb na świecie, trzy tysiące dwieście pięśdziesiąt stóp głęboki. W Czechach, w jednej z kopalń, był szyb o trzydzieści stóp głębszy.

Poniżej tunelu Sutra, znów napotkali na trudności z wodą. Założono dwie pompy „Cornish“, z Anglji sprowadzone, z których każda wyrzucała kolumnę wody na piętnaście cali średnicy (pół metra). Gdy doszli z szybem do trzech tysięcy stóp, zbudowano stację pomp, ośmdziesiąt pięć stóp długą, dwadzieścia ośm stóp szeroką i dwanaście stóp wysoką. Zapomocą tych, na owe czasy największych pomp na świecie, a było to około pięćdziesiąt lat wstecz, pompowano na dobę pięć miljonów dwieście tysięcy galonów wody.

Mały kamyk rzucony do szybu spadał z szybkością kuli karabinowej. Gdy ktoś patrzał przez jeden z jego czterech przedziałów, pięć przez sześć stóp szeroki, u góry widział małe okienko światła, które zdawało się zaledwie cztery cale kwadratowe. To może była największa ofensywa, jaką ludzie w dotychczasowej historji górnictwa zapoczęli celem zdobycia ukrytego skarbu. Mimo tych kolosalnych zarządzeń technicznych, nie mogli sobie z wodą dać rady.

Jeszcze inne spadły na nich nieszczęścia. Do dwudziestego szóstego października 1875-go roku, u stóp góry, niestrudzoną pracą ludzi, powstało ludne miasteczko, liczące jakie dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Tego dnia, o rannej godzinie wybuchł pożar w jednym z domów mieszkalnych. Za kilka kwadransów, całe miasto stanęło w płomieniach. Na pustyni buchało ku niebu olbrzymie morze pożaru kłębami dymu i ognia. Jak słoma paliły się z drzewa budowane domy, sklepy, kościoły, stacja kolejowa, ogromne składy drzewa, desek i belek używanych do cembrowania i stemplowania kopalń. Zapaliły się hale maszyn, z hukiem jeden za drugim zawaliły się szyby. Za kilka godzin została tylko olbrzymia kupa gruzów i dymiących żagwi.

Twardzi byli ludzie! Zahartowani w walce z żywiołem! Jeszcze się tliły zgliszcza, a już zwożono budulec, cegłę, wapno, żelazo do odbudowania miasta. Za parę lat, niby Fenix z popiołu, powstało nowsze, wspanialsze, piękniejsze — Virginia City.

Ciekawa jest historja jego nazwy.

W samych początkach przybył tu awanturniczy obywatel z Virginji nazwiskiem James Fenimore. Wówczas rozmaite nadawano nazwy tej osadzie górniczej, jak „Ophir", „Plesant Hill", „Mt. Plesant Point". Otóż ów ruchliwy i zdaje się dosyć popularny obywatel, po licznych libacjach wracał z gromadą towarzyszów do domu. Przypadkowo upadając, co się każdemu pijakowi zdarzyć może, rozbił butelkę wódki, którą miał w kieszeni. Jeszcze tam trochę tego drogocennego „likworu" pozostało na dnie butelki. Przy świadkach wylał to na ziemię i „ochrzcił" tę niezwykłą miejscowość „Virginia City". Nazwa się po dziś dzień zachowała. Zdaje się, że nawet na tem tle jeden z powieściopisarzy napisał ciekawą książkę p. t. „The Virginian", w której ów Fenimore jest głownym bohaterem.

A teraz opowiem wam, co się stało z odkrywcami tej swego czasu najbogatszej żyły złota i srebra na świecie.

Henryk Tomasz Comstock, którego nazwisko odziedziczył cały obszar, sprzedał swój udział za dziesięć tysięcy dolarów i założył sklep z towarami dla górników. Ponieważ nie umiał prowadzić interesów, nie potrafił utrzymywać książek rachunkowych, wkrótce wszystko stracił. Tułał się po Idaho i w górach szukał szczęścia. Żył w nędzy, nareszcie w Montanie odebrał sobie życie.

Patrick McLaughlin sprzedał swą cząstkę za trzy tysiące pięćset dolarów, pieniądze przepił jak na dobrego Ajrysza przystoi. Wszystko stracił i włóczył się po Kalifornji jako zwykły robotnik i kucharz. Umarł w nędzy.

Trzeci wspólnik Piotr O'Riley, sprzedał swą część za pięćdziesiąt tysięcy. Postawił za te pieniądze hotel. Ponieważ się na tem nie znał, wszystko w interesie i spekulacji stracił. Za namową „duchów" poszedł w góry Sierras i tam w granitowej skale zaczął bić tunel. „Duchy" — bo wielu jeszcze dziś wierzy w duchy i seanse — tyle mu nagadały, że nareszcie od tego zwarjował i zmarł w domu dla obłąkanych.

Sutter, na którego posiadłości odkryto złoto w Kalifornji, także zeszedł z tego świata w ostatniej nędzy. Wprost tragiczna jakaś Nemezis prześladuje wszystkich poszukiwaczy złota.

Virginia City i otaczające ją kopalnie — to jedna wielka awantura. To potężna i pierwsza szkoła górnictwa w Ameryce, gdzie coraz to inne napotykano problemy i trudności. To walka niezmordowana człowieka spragnionego blasku i dźwięku żółtego metalu z odwieczną skałą. To pole bitwy, na którem przeszło pięćdziesiąt lat górnik z wściekłą zajadłością darł twarde, odwieczne granity, aby z ich wnętrza wydobywać złoty kruszec.

Żywioł zwyciężył!...

Mając bogatą wyobraźnię, możnaby stworzyć legjon złych, a potężnych duchów, które z jakąś nadludzką zaciekłością i wytrwałością nie dającą się zwyciężyć żadnym ludzkim zabiegom i sposobom, broniły powierzonych sobie żył złota i srebra. Natrafiono na tak potężne strumienie wody, że nawet największe pompy, pracując bez przestanku dniem i nocą nie mogły dać rady. Wody stale przybywało. Zalewała stopniowo wszystkie ganki... sale... korytarze i szyby!... W wilgotne objęcie wzięła Mat-

ka Ziemia z powrotem swe może jeszcze nieprzeliczone skarby, wobec których państwowe rezerwy złota są drobnostką. Zwyciężyła natura!... Z pola bitwy ustąpili ludzie...

Po tej długoletniej walce, pozostały nasypy gruzu, zarosłe tunele, niby dzikich a nieznanych smoków jaskinie. Sterczą jeszcze spróchniałe wieże zapadłych szybów, zardzewiałe liny, kotły, i drogocenny kiedyś sprzęt górniczy.

Miasto opustoszało i poprostu zniknęło. Została zaledwo jedna dziurawa, pełna wyboi ulica z rzędem walących się starych sklepów, mieszkań, hoteli i karczem. Wszystko jest tylko jedną zapadłą ruderą — „phantom city" — „Miasto zjawa".

Na wzgórzu, ogrodzony rozwalającemi się sztachetami, zielskiem porosły cmentarz świadczy, że tu przed laty żyły, walczyły, pracowały tysiące ludzi. Teraz zapewne, zapomocą wyobraźni możnaby odtworzyć ich duchy, krążące opustoszałemi ulicami i zalanemi szybami.

Kopalnie już lata temu zamknięto. Jeszcze tu i ówdzie niestrudzony prospektor z nadzieją w sercu wdziera się, niby robak, w siwe zbocza góry. Za każdem uderzeniem kilofa, za każdym wybuchem dynamitu, wytęża wzrok czy się nie pokaże nowa, dotąd nieznana i nieodkryta bonanza. To są ludzie, którzy na tem wielkiem pobojowisku szukają drogocennych skarbów, przez walczących zapomnianych i zarzuconych.

We wiosce po ulicach wałęsają się ludzie, niby cienie, a beztroskie dzieci bawią się na pognitych i podziurawionych chodnikach. Dzień jasny, pogodny, a gorący, jakiemś mglistem światłem otoczył te pustynne góry i do ich stoków tulącą się, zapadłą i zapomnianą wioskę, która kiedyś była miastem. Zapytuję tubylców, którzy nędzny żywot prowadzą i ze skromnych danin turystów żyją, gdzieby tu można zasięgnąć bliższych informacyj o historji i tem malowniczem, a zarazem awanturniczem życiu górników? Wskazano mi narożny „salon", w którym przed laty zbierała się śmietanka miasta.

Wszedłem do dawnego „Kryształowego Pałacu". Tak się bowiem karczma nazywała. Wszystko zachowano tak, jak in illo tempore bywało. Za mahoniową ladą, a jak tu się mówi „barą", stał szynkarz w białym fartuchu. Cała ściana wyłożona była bogatemi lustrami, w których się niegdyś odbijały kształty najrozmaitszych butelek, zawierających najwyborniejsze likiery i wódki

europejskie. Lał się tu musujący szampan, a na kantorze słychać było kiedyś dźwięk — złota... Wszystko w tej karczmie, ostatniej z wielu, zachowano tak jak było za dawnych czasów.

U sufitu wiszą lampy naftowe o pięknych szklanych kloszach. Na ścianach w bogate ramy oprawione podobizny kiedyś słynnych pięściarzy. Za szkłem kilka biletów na popisy znanych pyskotłuków po cenie od dziesięć do pięćdziesiąt dolarów jeden. Przy ścianach ustawiono rząd maszyn do gry w pieniądze — „slot machines". Wkładałeś pięć, dziesięć lub dwadzieścia pięć centów do maszyny, nacisnąłeś rączkę i czekasz aż ci się wysypie garść pieniędzy. Zwykle pieniądze zamiast graczowi, który je tam pakował, wsypywały się do kieszeni właściciela. W dużej szafie, za szkłem, oglądam bogaty zbiór szczerego złota, srebra i rudy bogatej w te minerały. Prócz tego są tu stare łopaty, kilofy i inne przybory górnicze, także obrazki dawnego w złoto obfitującego miasta. Teraz zostały tylko pustki i wspomnienia... Zaledwo zdaleka wędrujący turysta tu zboczy, aby to z ciekawością oglądać. Mając trochę wyobraźni, można sobie wszytko w pamięci odtworzyć. Zresztą, już dawno nie byłem w „salunie". Stanąłem więc przy kantorze, oparłem nogę o bronzową rurę — brass rail — bo to jest według starego regulaminu, i zażądałem już nie szampana, ani dobrej wódki, ale uczciwą butelczynę zimnego piwa z kilku procentami alkoholu.

— Czy macie dobre piwo? — pytam.

— Mamy — odpowiada nasz zaspany „bartender" — karczmarz.

— Proszę o butelkę.

Podał mi biedaczysko butelkę domorodnego — „homebrew". Skosztowałem i myślę sobie, to psa warte. Nasi patrjoci polscy w Norwich lepsze robią. Była to jakaś ciemna, szumiąca gorycz. Skosztowałem i zostawiłem...

Dobrzy, na łonie Bachusa spoczywający browarnicy, na taki napitek obróciliby się w grobie ze wstydu. Gdym w tej czarze goryczy, widocznie z żółci wyciśniętej, usta umoczył, byłem pewien, że Virginia City tak nisko upadła, że tylko w powieściach żyć będzie... Wszystkie pijackie twarze pijackich duchów, które tu przy szklanicy piwa i dobrym kieliszku wódki, o bonanzach i brzydkich rzeczach rozmawiały, jako że jedno z drugiem idzie w parze, widząc mój zawód, smutnie cieniami

głów potakiwały. Zdawało się, że mówią: — „Któżby się z nas tego był spodziewał?... Dobrze, żeśmy tu jeszcze czasów pomyślnych pomarli i tego spustoszenia i prohibicji nie oglądali. Żal nam ciebie, biedny turysto“!

Zapłaciłem rachunek — trzydzieści pięć centów za butelkę — kupiłem parę widoczków i ze spuszczoną głową, przygnębiony odszedłem... niby od grobu niedawno żyjącej osoby, gdy na jej mogiłę z łoskotem rzucają łopatami twarde grudy ziemi...

Wsiadam do samochodu i wio w dalszą drogę. Zjeżdżam krętą, kiepską drogą przez dawne Silver City — miasto srebra, wzdłuż rzeczki Carson, kiedyś złotem płynącej, do małego miasteczka, o tej samej nazwie i stolicy stanu. Tu kiedyś przetapiano złoto i srebro, a w mennicy rządowej bito złote i srebrne monety. Nic z tego nie pozostało. Ludzie z wnętrza ziemi wyrwali przemocą siedmset miljonów dolarów. Odeszli, zginęli... Po nich została znów bezludna, głucha i smętna pustynia...

Jezioro Tahoe leży na granicy między Kalifornją a Newadą. Dalsza droga wypada w kierunku południowo-wschodnim przez Minden, Gardenville do jeziora Mono Lake.

Kilka mil za Carson City, stolicą stanu, liczącem 1.500 dusz schodzą się dwie drogi, jedna na prawo, a druga, trochę węższa, prowadzi do Gardenville. Jadąc szybko nie zdążyłem przeczytać wskazówek. Z natury rzeczy jestem „prawicowcem“ a to tem bardziej, że na sądzie ostatecznym nie chciałbym się znaleźć po lewicy. Tak samo nie chciałbym się zaliczać do lewicy w Sejmie Polskim. Patrzałem na te stronnictwa o pierwszej w nocy z balkonu izby sejmowej podczas debat nad Konstytucją. Jestem więc uprzedzony do lewicy, dlatego walę na prawo.

Jednakowoż zdawało mi się, że coś „nie rychtyk“. Zainterpelowałem przydrożnego farmera czy to droga do Mono Lake? Zapewnił mnie, że tak. Tymczasem po godzinnej jeździe, gdym się wygramolił na wysokie szczyty Sierrów, zdziwiłem się mocno, gdy wśród zieleni lasów ujrzałem znów kryształową taflę jeziora Tahoe. Wyciągnąłem mapę i dowiaduję się, że jestem na złej drodze mimo zapewnień tego bęcwała i mimo mej skłonności do „prawicy“. Mapa pokazuje polną drogę, którą mogę przez lasy dostać się z powrotem do Gardenville.

Jadę więc przez las i strasznie przepaścistą, krętą dróżką spuszczam się na złamanie karku w dolinę. Ładny z góry roz-

ciągał się widok. Mnie atoli przez następną godziną więcej zajmowały przepaści, nad których krawędzią żółwim krokiem posuwałem się ku dolinie. Z tych wyżyn małe wioski wyglądały jak zaczarowane ogródki.

Spotkałem tu „sąsiada“ ze stanu nowojorskiego, który chciał sobie „skrócić“ drogę do jeziora Tahoe i jechać pod stromą górę. Zatrzymałem go i zawróciłem. Spełniłem przez to dobry uczynek, zaoszczędzając jemu i samochodowi karkołomnej jazdy.

Dalsza droga była już bez jakichkolwiek wypadków. Po lewej stronie ciągną się pustynne wzgórza a po prawej sterczą ku niebu potężne, śniegiem pokryte zębate Sierry. Nazwę Sierra Nevada otrzymały od swych odkrywców — Hiszpanów, których uderzyły swym ogromem zębate wierzchołki, bielą śnieżną przysłonięte.

Przy małem alkalicznem jeziorku zaopatrzyłem się w gazolinę. W tych pustynnych obszarach trzeba się zawsze kierować przezornością i wciąż mieć dobry zapas paliwa. Ciemny brunet, który mnie obsłużył, wyglądał na Francuza. Okozało się, że to Ormianin. Zdziwiło mnie mocno, skąd się tu wziął w tej bezludnej pustyni. Twierdził, że Ormian znajdziesz wszędzie.

„U nas — powiada — jest taka natura, że lubimy się włóczyć po świecie“. Pewien Ormianin chciał iść tam, gdzie nie spotka swych rodaków. Udał się więc do Chin. Tam na drodze spotkał ślepego dziada. Pyta się, coś ty za jeden. „Ormianin, odpowiada ślepy“.

Znów przekraczam kalifornijską granicę i sunę naprzód przez uroczą pustynię. W pobliżu wioski Coleville, jadę obok siarczanych źródeł — Fales Hot Springs. Dosyć mi ciepło bez gorących siarczanych kąpieli, więc też pospieszam, aby dotrzeć do jakiejś uczciwej kwatery. Na pustyni o wygodny lokal jest trudno. W małem miasteczku Bridgeport, nazwą przypominającem duże miasto fabryczne w Connecticut, zauważyłem luźne stada bydła. Dziwna rzecz, że bydło żyjące na pustyni jest tłuste i zdrowe, ludzie tak samo.

Zaczynam się znów stale zboczem gór posuwać ku wierzchołkom. Trochę tego za dużo w jednym dniu. Rano od jeziora Tahoe do Reno przejechałem Sierry. Po południu przez zabłąkanie znów się tam niepotrzebnie wdrapałem i z wielkiem niebezpieczeństwem zjechałem w dolinę. Teraz — by się dostać

wgłąb stanu, trzeba się będzie prześlizgnać gdzieś wśród tych odstraszających szczytów.

Późno wieczorem docieram do wygodnej kwatery w Mono Lake. Geologowie, którzy wszystkie sprawki Matki Ziemi odgadują, twierdzą, że wulkany i lodowce miały z tem jeziorem coś do czynienia. Z jednej strony szczyty górskie utworzone zostały przez lawę wulkaniczną, a z przeciwnej strony sterczą lodowcami wypoliturowane odwieczne granity.

Jezioro posiada blisko sto mil kwadratowych obszaru. Nie ma żadnego odpływu, a zasilają je liczne potoki górskie, płynące z lodowców i odwiecznych śniegów. Dlatego woda w jeziorze jest alkaliczna. Prócz drobnych organizmów — nie znajdziesz w niem ryb lub jakiejkolwiek wodnej rośliny. Mark Twain, przez pewien czas tu przebywał i wyraził się o niem, że to jest: „Solemn, silent, sailless sea“ — uroczyste, milczące i bez żagli morze. Tutejsi osadnicy twierdzą, że jezioro Mono zdobyło sławę Mark Twainowi, jednemu z naszych wielkich humorystów amerykańskich, rodem z Hartford, Conn.

Nic mnie tu nie wabi i do siebie nie przykuwa. Możnaby powiedzieć, że to jest nasze amerykańskie — „martwe oko“. Chociaż to jest niedziela (od kościoła jestem co najmniej sto mil, w Reno) i dzień wypoczynku, mimo wygodnej kwatery, nie zatrzymuję się, a to tem bardziej, że czeka mnie bardzo uciążliwa, całodzienna droga przez Sierry.

Rano, zaopatrzywszy się w gazolinę, olej i wodę, wypróbowałem starannie motor przed puszczeniem się w dalszą podróż. Już coś wiedziałem, że tu będzie ciężka przeprawa. O trzy mile za jeziorem, zaczynam wspinać się dwudziestomilowym przesmykiem — Mono Pass. Niedawno tę drogę otworzono, więc też jest pełna kamieni, wybojów, ostrych skrętów a nad przepaściami jeszcze nie zbudowano żadnych zabezpieczeń i podmurowań. Napisy „go slow, keep to the right“ — jedź powoli, trzymaj się prawej, są mi zbyt dobrze znane. Niema obawy o szybką jazdę, przynajmniej pod taką stromą górę. Co do „prawej“ także ją ściśle obserwowałem, szczególnie jeżeli to była prostopadła ściana granitu. Gdy jednak wypadło jechać od strony przepaści, to przyznam się szczerze, że się zbytnio przepaścistej krawędzi nie trzymałem.

„Potrzebnyś tu“ — myślę sobie... Trzymam się jednak kierownicy niby tonący brzytwy. Niechby się coś stało z motorem albo z oponą, toby dopiero był kłopot. Ale co zrobisz? Zawrócić nie możesz, a innej drogi nie znajdziesz, chyba sto mil stąd. „Durch diese enge Gasse must er kommen“. Tą wąską i stromą drogą musisz przechodzić. Więc też przekładam motor na najniższą szybkość i pcham się żółwim krokiem na górę...

Od czasu do czasu mijam kogoś, co zjeżdża wdół. W paru samochodach przy kierownicy siedziały kobiety. Jeżeli one potrafją, to i ja swego dopnę i wio dalej.

Blisko najwyższego punktu przesmyku zatrzymuję się, aby popatrzeć na drogę i okolicę. Skrabałem się niby koza górska wzdłuż granitowej a prostopadłej ściany. Zdaleka droga podobna była do wąskiej, krętej, a wciąż w górę wspinającej się rysy w skale wydartej ostrem żelazem. Zrobiłem parę zdjęć, aby tego miejsca nie zapomnieć. Zresztą i bez obrazków będę je aż nadto pamiętał.

O kilkadziesiąt kroków od miejsca postoju, nad wąską przepaścią budowano most. Trzeba się było ostrym skrętem przeprawiać przez tymczasowy mostek z desek zrobiony. Zaledwo można się było długim samochodem wsunąć na to belkowanie chlebocące i wierzgające na wszystkie strony. To już chyba na miłosierdziu Boskiem wszystko wisiało. Ale i tę próbę szczęśliwie, chociaż z pewną tremą, przebyłem i za chwilę docieram do szczytu Mono Pass.

Na najwyższym punkcie drogi jestem dziesięć tysięcy stóp ponad poziom morza. Oczywiście jest to niewielkie płaskowzgórze, ze wszech stron otoczone jeszcze wyższemi szczytami górskiemi, wznoszącemi się blisko pięć tysięcy stóp ponad cudną dolinę, pokrytą ciemno-zielonym kobiercem trawy.

Naraz przed oczyma turysty ukazuje się nader miła sielanka górska. Ciągnie się tu zielona dolina, na której pasło się tysiące owiec. Słychać przy drodze delikatny głos dzwonka, przywiązanego u szyi owcy. Pastuch siedzący na kamieniu z nieodstępnym towarzyszem — psem, dopełnia miłego pejzażu, jaki tworzy urocza dolinka wśród zębatych, ogromnych a niedostępnych, śnieżnych wierzchołków. Jestem na linji drzew. Poza zielonem, żyznem pastwiskiem wznoszą się kolosalne szczyty po-

zbawione wszelkiej roślinności, w ogromnych czeluściach zawalone śniegiem.

Jeszcze większego uroku dodaje małe górskie jeziorko, otoczone ze wszech stron wysokiemi skałami lub kępami świerków. W lasku, w jego sąsiedztwie zbudowano kilka domków dla turystów. Przy brzegu, na spokojnej tafli jeziora, kilka białych łódek tworzy miły kontrast, dopełniając tego malowniczego pejzażu.

Za kwadrans dojeżdżam do bramy i stacji rządowej. Tu się rozpoczyna szeroka dolina górska, zarzucona olbrzymiemi wzgórzami i porośnięta karłowatą sosną, wichrami i lodem w dziwne kształty powykręcaną. Zapłaciłem dolara „wstępnego" i ruszam dalej tą dziką a jednak uroczą i majestatyczną doliną. Aż dotąd sięga park Yosemete. Dogoniła mnie gromada chłopaków na motocyklach. Głowy skórzanemi czapkami nakryte, na twarzach okulary od kurzu, w czarnych skórzanych kurtkach, z hałasem mijają samochód, a podskakując po kamienistej drodze, wyglądali w tumanie kurzu niby gromada djabłów. Wkrótce zginęli wśród lasu.

Nie tak dawno temu przeprowadzono tę drogę. Upłynie jeszcze parę lat i weźmie dużo pieniędzy, zanim będzie można wygodnie jechać przez tę cudowną okolicę, bogatą w dzikie, wprost imponujące i niebywałe krajobrazy górskie. Cały płaskowzgórz jest przynajmniej sto mil szeroki. Gęsto poprzecinany strumykami, jeziorami, lasami, uroczemi łąkami a na horyzoncie ku niebu sterczą ogromne, śnieżne czuby Sierrów. W dogodnych i uroczych miejscach, przy szumiących potokach i cudnych jeziorkach rząd zbudował kabiny, piece polowe a nawet ustępy, aby ludzie w tej niezmąconej ciszy i dziczy mogli wygodnie wypoczywać a rybnych strumyków nie zanieczyszczać — ludziom i pstrągom.

---

Rozdział XXV.

## PARK YOSEMETE.

Yosemete w narzeciu tutejszych Indjan oznacza niedźwiedzia, zwanego „grizzly“ — ursus terribilis. Jest to najdzikszy i największy obywatel z rodziny niedźwiedziej. Zanim przybyli ludzie biali, uzbrojeni w karabiny, był on absolutnym panem lasów. Teraz jest bardzo trudno go spotkać, gdyż „terribillissimus homo“, sto razy gorszy od niedźwiedzi, prawie że go zupełnie wytępił. W parkach narodowych nie spotyka się go, gdyż jest niebezpieczny, więc nawet za „wstępem“ nie wpuszczą go do nich.

Park jest położony po zachodniej stronie i stokach łańcucha górskiego Sierra. Obejmuje 1,139 mil kwadratowych, a zawiera bardzo dużo ciekawych i nadzwyczaj pięknych cudów natury. Należałoby tu rozróżnić dwa szczegóły: pierwszy — to sam park, obejmujący potężne szczyty górskie Sierrów, śniegiem i lodami pokryte, cudne jeziora, otoczone bujną zielenią drzew, wspaniałe lasy, urocze doliny, kanjony i wodospady. Drugi stanowi mała, ale urocza, przepiękna i na cały świat znana dolina — Yosemete Valley. Zawiera zaledwo 8 mil kwadratowych.

W roku 1851 były w Kalifornji jak wszędzie, małe „nieporozumienia“ z Indjanami. W pogoni za zbuntowanymi tubylcami zapędzono się w te lasy i góry. Tym sposobem żołnierze weszli do tego najbardziej uroczego skrawka ziemi na świecie. Doktór L. H. Bunnel, który tej wyprawie towarzyszył, nadał mu indjańską nazwę na pamiątkę czerwonoskórych mieszkańców.

Turysta znajdzie w parku ogromną rozmaitość krajobrazu. Jeżeli go ciągną niebotyczne wierzchołki, śniegi i lodowce, ma bogaty wybór. Przez całe życie ich nie zbada. Jeżeli zaś

lubi rybołóstwo, a szczególnie połów pstrągów, znajdzie tu kilkanaście gatunków. Rzeki i jeziora są przez rząd stale zarybiane i połów nie przedstawia zbyt wielkich trudności. Jeżeli zachwyca się lasem i lesistemi dolinami, także mu na nich zbywać nie będzie. Kanjon i rzeka Toulumne ze swemi kaskadami, podobnemi do kół wodnych, należą do najpiękniejszych w kraju.

Student geologji znajdzie podatny teren do badań nad działalnością wulkanów, lodowców i rzek potężnych. Pragniesz wygód i chcesz się rozkoszować cudnym, górskim klimatem, masz do dyspozycji obszerne hotele zbudowane w uroczych miejscach z wszelkiemi wygodami. Jeżeli wolisz dziką naturę, rząd wyznaczył ciw lasach nad rzekami i jeziorami miejsca, gdzie możesz rozbić namiot, łowić ryby i używać wywczasów, których potentaci europejscy mogą ci pozazdrościć. Miejsca jest dosyć. Wszędzie budują drogi dla samochodów i wygodne ścieżki do jazdy konnej. Bardzo się strudzisz w niektórych odcinkach parku, idąc per pedes Apostolorum czyli na piechotę.

Jeden z naszych najsłynniejszych naturalistów, John Muir, w ten sposób opisuje piękności natury w parku: „Yosemete w swych granicach zawiera źródła dwu najpiękniejszych rzek na świecie: Toulumne i Merced. Są do twej dyspozycji niezliczone jeziora, wodospady i aksamitne łąki, jak również najszlachetniejsze lasy, najwznioślejsze granitowe kopuły, najgłębsze, lodem żłobione kanjony, najjaśniejsze, kryształowe ścieżki, najczystszemi śniegami kryte góry, wznoszące się od dwunastu do trzynastu tysięcy stóp ponad poziom morza, wielkiemi rzędami zębatych szczytów ustawione lub też częściowo rozdzielone olbrzymiemi kanjonami i amfiteatrami przez naturą zbudowanemi. Po ich bokach południowych, słońcem ogrzewanych, masz ogrody. Zaś od północy, z hukiem walą się w przepaść lawiny śniegu. Wodne katarakty huczą w krętych, skalistych wąwozach. Lodowce w cienistem zaciszu stale pracują i kończą swą rzeźbę gór. Niebiesko-zielone jeziora ścielą się u ich stóp, niekiedy zawalone pływającą krą lodu, niby łabędzie, na lazurowej tafli błyszczą i świecą, niby spokojne gwiazdy".

Cały dzień jadę wśród tych nie dających się opisać cudów natury. Nietylko że nowa droga, pełna skrętów, wyboi i kamieni, opóźnia turystę, ale co chwila zatrzymują go niebotyczne góry, pola olbrzymich kamieni przez wulkany wyrzucone, a lodowcami

oszlifowane i na doliny zepchnięte: lasy urocze, pola bujnej, zieleni, wśród których wiją się rybne, srebrzyste strumyki. Miłe jeziorka, niby oczka błyszczące, zdają się zapraszać podróżnika aby nad ich brzegami wypoczął i zapomniał o trosce i świecie...

Od czasu do czasu zapuszczam się w lasy; wśród nich tu i ówdzie ponad zieleń drzew, wychylają potężne kopuły skały ogromnej wielkości, niemal do białości wypoliturowane przez dawno panujące lądolody.

Czasem przez drogę przeleci płochy zając. Na skalnym szczycie zdaleka widzę czujnego wilka. Wskrabuje się na gołe, zaokrąglone góry i co chwila ogląda się na mnie w obawie, czy mu nie grozi śmiercionośna kula. Niekiedy na białym, gołym, skalnym wierzchołku rośnie wysoka tuja, cedr lub inne iglaste drzewko. Skąd się tam znalazło? Kto je posadził? Jak mogło zapuścić korzenie i skąd czerpie soki życiowe?... Nie wiadomo.

Dolina, którą przecina droga pełna wyboi, jest rajem dla turystów. Wszędzie napotykasz ich obozy i koczowiska. Jedni przy samochodach rozbili namioty, inni zamieszkują w malowniczych i wygodnych kabinach. Na kamiennych piecykach płonie wesoły ogień i rozchodzi się miła woń smażonej słoninki i ryby. Dzieci pluskają, niby białe rybki w szumiących, a czystych, jak łza ruczajach...

Lasy tutejsze możnaby przyrównać do jakiejś dziwnej, zaklętej, czarodziejskiej muzyki, wydobywającej się z przeróżnych instrumentów koncertowej orkiestry. Rozpoczynają melodję zaledwie uchem pochwyconem pianissimo, przechodzą stopniowo całą gamę tonów i kończą ją najpotężniejszem fortissimo trąb i bębnów.

U szczytu Mono Pass jesteś otoczony śnieżnemi granitami, wznoszącemi się tysiące stóp ponad linję lasów i życia roślinnego. Tam zauważysz małe jałowce, cebry i tuje, niby ludzi wskrabujących się na owe śnieżne, zimne, a groźne skały... ku słońcu! Toczą na tej wysokiej linji bojowej zaciętą walkę o byt. Ich krępe, nieraz z liści ogołocone i z kory obdarte pnie świadczą, że wichry, śniegi i lody bronią im dostępu i wstrzymują rozwój. Trzymają je na wyraźnie oznaczonej linji. Wieki całe trwa ta nieustanna walka. Przed tobą rośnie napozór małe drzewko. Sądzisz, że to młodzik zuchwały się tu wspina, a tymczasem to starzec — karzeł, setki lat dźwigający na kosmatych

gałęziach, walczy o każdą grudkę słońcem, wiatrami i lodem zmielonej skały.

Wciąż wjeżdżam i wyjeżdżam z lasów!

Im więcej się spuszczasz w dół z tych wysokich płaskowzgórz, tem większe napotykasz drzewa! Witają cię potężnemi konarami wspaniałe świerki — Duglas Fir, i odwieczne, a prościutkie cedry i sosny. Przy końcu całodziennej podróży momentalnie, jak wryty, stajesz przed królewskim majestatem sekwoi — „sequoia gigantea“.

Inne lasy — to zaledwo świta tych mocarzy królestwa roślinnego. Wśród sekwoi, drzewo 500 lat stare, to dopiero młodzik, smarkacz w rodzinie. Tusiącletni olbrzym, strzelający dwieście i więcej stóp ku niebu, to młodzieniec. Opodal rosną drzewa poważne, wzrostem, średnicą przechodzące pojęcie ludzkie. Gdy Faraonowie Egiptem rządzili, Marek Antoniusz z Kleopatrą na Nilu romansował, a Pan Jezus nad jeziorem Genezaret z Apostołami ryby łowił, one tu stały i już wtenczas wzrostem przewyższały najpotężniejsze dęby i sosny!...

Po całodziennej podróży zrobiłem zaledwo ośmdziesiąt i kilka mil. Wśród olbrzymiego lasu cedrów, świerków i sekwoi dojeżdżam do stacji rządowej, zbudowanej tuż nad wysokim brzegiem uroczej doliny Yosemete Valley. Urzędnik zatrzymuje jeden samochód za drugim i każe czekać. Tablica przy drodze umieszczona oznajmia, że tu jest „one way traffic“, w jedną stronę droga. To się zmienia co godzinę. Czekamy tu na samochody, które z wielkim trudem, powoli, ostrożnie, wdrapują się na górę. Gdy ostatni minie granicę, telefon oznajmia urzędnikowi ile samochodów jest w tej karawanie. Każdy jest dla pewności przeliczony i numer skontrolowany. Na końcu jedzie samochód z kranem i linami, aby jakiegoś staruszka lub niedorajdę do góry zaciągnąć.

Mając chwilę czasu, wziąłem lornetkę Zeissa, mój zabytek wojenny od Niemców w Poznaniu kupiony, i oglądam z tego punktu okoliczne góry i doliny. O kilkanaście mil widać — tragedję. Lasy się palą! Niebieski dym wznosi się smugami wśród wspaniałych drzew i osiada na horyzoncie gęstą chmurą. Mówi mi zarządca, że przeszło dwieście ludzi w głębokim lesie walczy dzień i noc z demonem ognia.

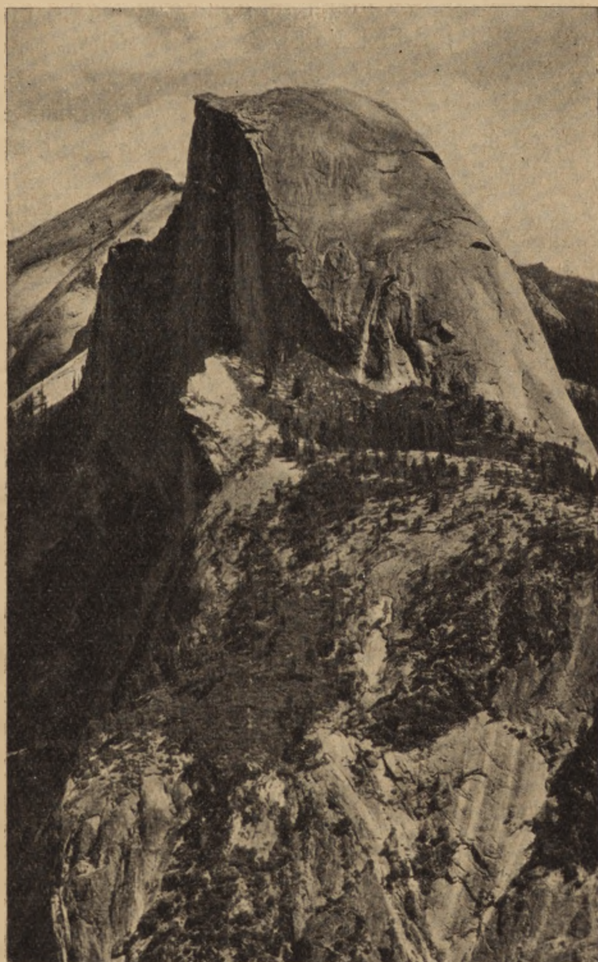
Gdy już ostatni samochód sapiąc i sycząc wygramolił się na górę, urzędnik dał znak do odjazdu. Tablica ostrzega turystę, że ma jechać powoli i na najniższej szybkości. Przede mną jadą dwie stare panny, zapewne przepracowane „school teacherki" — nauczycielki. Od stacji do głównej kwatery w dolinie — zjeżdżam ciągłym i bardzo stromym zygzakiem. Było nas jakie dwadzieścia samochodów. Droga wąska, na jeden samochód, zaledwo tu i ówdzie możnaby zboczyć i zaczekać. Ponieważ trzeba było bardzo uważać i żółwim krokiem spuszczać się w dół, niby krótkiemi zawiłemi schodami, nie miałem sposobności oglądania cudnej doliny. Zresztą nie chciałem, aby mi się w głowie zakręciło w tej przepaści. Ten stosunkowo niedługi kawałek drogi, trzy czy cztery mile, ale stromy, zabrał dobre pół godziny. Spuściliśmy się w tej krótkiej odległości cztery tysiące stóp.

Każdy głębiej odetchnął, gdy przed sobą ujrzał dolinę i srebrzystą rzeczkę Merced. Znów powołuje się na naszych przyjaciół geologów, szukających wciąż rozwiązania zagadki powstania i historji ziemi. Posądzają tę niewinną i niezbyt wielką rzeczkę o to wspaniałe i w swym rodzaju niezrównane orcydzieło natury i zachwycającego uroku. Warto było się trudzić, aby się dostać do tego cudnego miejsca.

Jeżeli ma się kiedyś odbyć Sąd Ostateczny, nic przeciwko temu nie mam. Chciałbym jednakowoż w tej ważnej sprawie zrobić małą suggestję. Zamiast pędzić z zapomnianego grobu aż hen na pustą i nudną dolinę Jozafata, bo tam podobno ma być „koniec świata", lepiej niech się to wszystko skończy i odbędzie w Kalifornji, w daleko piękniejszej dolinie Yosemete. Zgóry jestem przekonany, że duszom i nieboszczykom byłoby wygodniej i każdemuby się tu spodobało.

Na samym wstępie do tego zaczarowanego kącika, po obu stronach rzeki Merced, wznosi się ogromna, prostopadła ściana granitu, zwana tu „El Portal". Sięga ponad trzy tysiące stóp w górę od poziomu rzeki. Po lewej stronie jest wszystkim z obrazków znany „kapitan" — El Capitan. Naprzeciwko, może nie całe pół mili od siebie, sterczą Cathedral Rocks i Cathedral Spires, mniej więcej tej samej wysokości, co El Capitan. Za niemi rzędem, jedna przy drugiej, tworząc olbrzymi mur, sterczą wysokie, wodą i lodowcami politurowane ściany górskie. Z lewej strony za El Capitan jest Eagle Peak, Royal Arches, Kolumna Waszyng-

tona, North' Dome, Basket Dome, Mount Watkins, a hen — ku końcowi doliny częstokroć chmurami pokryty szczyt Clouds Rest. Gdy wjeżdżasz do Yosemete ciągnie cię ku sobie po prawej stronie wysoki wodospad: Bridal Veil Falls, a za nim Cathedral Rocks



Yosemete park. — Skała Half Dome.

i Cathedral Spires, Sentinel Rock, Glacier Point, Sentinel Dome, Liberty Cap, Mount Broderrick. Nad tem wszystkiem w głębi doliny wznosi się potężna kopuła w formie półkuli — zwana Half Dome.

Jest to właściwie olbrzymi cul de sac, którego strzegą dwa niezmierne monolity granitowe: El Capitan i Cathedral Rocks. Przypuszczam, że w takiej cieśninie, z małem wejściem i wyjściem, urządzili Kartagińczycy pod wodzą Hannibala zasadzkę na Rzymian w bitwie pod Kannami.

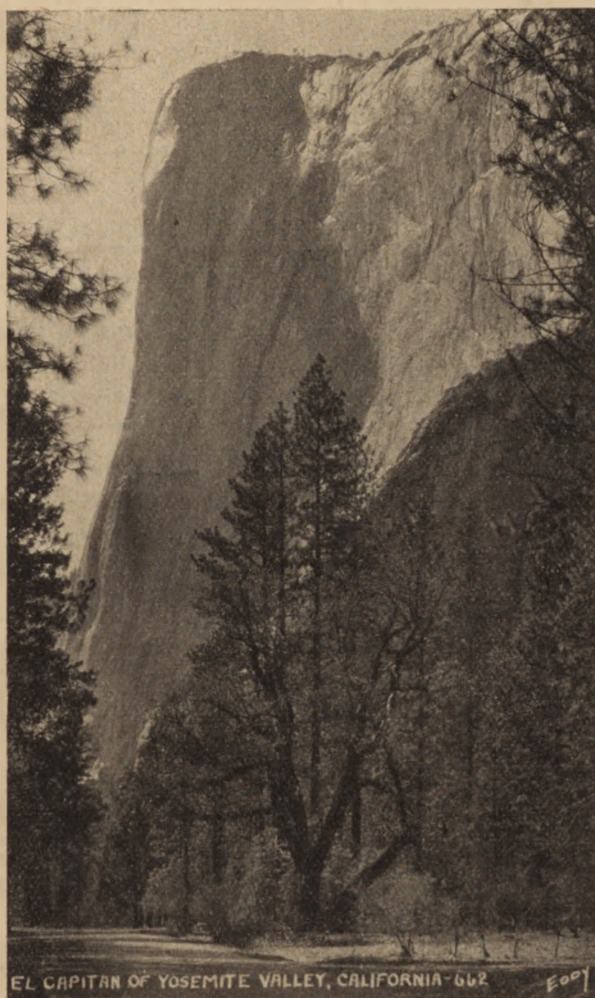
Do nadzwyczajnego uroku tej doliny wielce się przyczyniają wysokie wodospady: Bridal Veil i Yosemete Falls. Podczas mego pobytu zmalały, gdyż letnią porą rzeki się zmniejszają. Zato na wiosnę, gdy śniegi i lody topnieją, potężny strumień wody, spadający w przepaść 1,430 stóp wysoką, imponujące robi wrażenie na turystach. Tu się znajdują najwyższe wodospady na świecie.

Cały park obfituje w wysokie i malownicze wodospady. Co tylko wspomniany wodospad Yosemete dorównuje dziewięciu Niagarom co do wysokości. Niższy Yosemete, 320 stóp wysoki, utworzyłby jeszcze dwie Niagary. Vernal Falls jest tej samej wysokości, a Illilouette jest 50 stóp wyższy. Nevada Falls spada 594 stopy, Bridal Veil 620, a malutki Ribbon Falls wali w przepaść 1,612 stóp głęboką. Nigdzie na świecie nie znajdziesz tyle i takich wodospadów, jak w Yosemete. Najlepszy sezon do oglądania tych czarujących strumieni wody, rzucających się białą pianą w przepaść kanjonów, jest na wiosnę. Latem — gdy rzeki wysychają, niewielka ilość wody zaledwo sączy się tam, gdzie wiosną — pełnem korytem pędzi potężna rzeka.

Posuwam się wgłąb doliny wzdłuż rzeczki Merced. Na łąkach pasą się stada saren. Widząc turystów, czem prędzej zbliżają się do drogi i tak rozpoczyna się zobopólna znajomość. Turyści wyciągają z kiesieni cukierki, rodzynki i inne przysmaczki, u sarny wszystko z apetytem zjadają i kieszenie obwąchują, czy tam jeszcze się dla nich coś smacznego nie znajdzie. Pomyśleć tylko, że takie miłe, trwożliwe, a piękne zwierzęta z zaciekłością mordują ludzie i nazywają to „sportem“!...

W głębi doliny jest główna kwatera dla turystów — Camp Curry. Masz tu do wyboru wygodny hotel, małe domki zwane cabins, wygodnie urządzone, z czystą pościelą i miękkiemi materacami, ogrzewaniem, wodą — jednem słowem — masz wszystko, co potrzeba. W osobnych budynkach są ustępy i kąpiele, bardzo czyściutko utrzymane. Restauracje i kafeterje podają doskonale sporządzone potrawy. W magazynach możesz się zaopatrzyć w przybory fotograficzne, pocztówki, obrazy i pamiątki.

„souvenirs. Zresztą to samo da się powiedzieć o wszystkich parkach rządowych. Yosemete tworzy wyjątkowo rodzaj letniska dla takich miast, jak San Francisco, Los Angeles, Fresno i innych, dlatego tak bogato wyposażony w restauracje i kwatery.




El Capitan w Yosemete.

Wieczorem urządzają dla turystów mały program rozmaitości, w odpowiednio ku temu przygotowanem miejscu, pod gołem nie-

bem. Co za uroczy wieczór! Ciepło, spokojnie, niebo zasiane gwiazdami... Nigdzie chyba tak gwiazdy pięknie nie błyszczą, jak w tym parku. Na scenę wychodzi artysta w kostjumie Meksykańczyka i śpiewa przy akompanjamencie gitary. Nagrodziliśmy go burzą oklasków. Następnie w barwnych strojach występuje muzykalna rodzina z repertuarem hiszpańskich melodyj i tańców. Nie spodziewałem się, że tu wśród niebotycznych skał i szumu potężnych świerków, tak klasyczne występy usłyszę. Potem nastąpił odczyt wygłoszony przez jednego z autorów i zarządcy parku o drzewach — Sequoia.

Z przyjemnością słuchałem tego odczytu. Zresztą z zainteresowaniem słuchało go całe liczne zgromadzenie. Opowiadał ciekawe rzeczy. Chciałbym tu cały odczyt powtórzyć, ale ograniczę się tylko do najważniejszych szczegółów.

Tutejszy klimat i ziemia wyjątkowo nadają się na hodowlę tych kolosów. Wiadomo, że sequoie są najpotężniejszemi drzewami na kuli ziemskiej. Jeden taki kolos dostarczyłby desek na pudło, do którego możnaby włożyć największy okręt pasażerski na świecie. Do sto pięćdziesiątego roku życia sequoia jest jeszcze niepłodnem niemowlęciem. Dopiero po tym czasie, potężne szyszki wydają nasienie, które szerokim kręgiem rozsypuje się po lesie.

Kora drzew jest bardzo odporna na ogień i zwykłe pożary lasów nie zniszczą tych drzew. Nieraz przez burze i śniegi nagromadzone gałęzie i liście tworzą przy tych olbrzymach całe stosy paliwa. Poprostu płoną na stosie, niby męczennicy. Musi to już być duży ogień, aby takiego kolosa zniszczył. Niektóre mają całe wnętrze wypalone i podobne są do olbrzymiego komina, a jednak żyją i rosną. Jedno z nich nazywają „kleszczką“, dlatego, że cały środek jest wypalony na jakie 50 stóp wysokości, a drzewo mimo to rośnie. Kora na tych drzewach jest może od półtora do dwóch metrów gruba. Konary dochodzą do ośmnastu stóp średnicy.

Przybyła lata temu ekspedycja z Anglji badać te olbrzymy leśne. Koniecznie chcieli takie drzewo ze sobą zabrać do Anglji. Nie było żadnego sposobu nato, aby je ściąć, a tem bardziej przewieźć. Więc też żywcem korę z niego zdarli, niby bolszewicy z konia, („Koń na wzgórzu“) zabrali ze sobą do Anglji i tam w jednym z parków całe drzewo znów zrekonstruowali, aby ludzie mieli pojęcie o tutejszych olbrzymach.

„Dobrzy ludzie“ niby'ci, co to są „zbudowani“ na „obraz i podobieństwo Boskie“ widząc takie olbrzymie drzewa, zaraz zabrali się do ich trzebienia i niszczenia! Rosły tu spokojne cztery tysiące lat, aż się do nich dostała ta dwunożna gnida, zwana — człowiekiem. Nie mogli sobie z tymi kolosami dać rady. Jakby tu ściąć drzewo, co ma od dwadzieścia do trzydzieści stóp średnicy, a od trzydziestu do sześćdziesiąt i więcej stóp obwodu?! Przecież jeden kloc starczyłby za podłogę do tańca dla kilkudziesięciu par. Nie mogąc go ściąć, zakładali dynamit i poprostu wysadzili w powietrze. Po zwaleniu takiego olbrzyma wiercili dziury i dynamitem szarpali go na strzępy. Zniszczyli piękne drzewo, a pożytku nie było żadnego.

Rząd jednak położył ochronną rękę na te drzewa i teraz nie wolno ci go uszkodzić! Sequoie, jako budulec, nie przedstawiają zbyt wielkiej wartości. Nasamprzód są za duże, aby to transportować, a powtóre zdaje się, że są dosyć kruche. Przedmioty z nich wyrabiane i toczone nabierają ciemnego koloru, przypominając cośkolwiek czerkieski orzech, dawniej z Rosji sprowadzany.

Po skończonym odczycie odbył się taki spektakl, że drugiego chyba nie znajdziecie na kuli ziemskiej. Już wieczorem widzieliśmy na skalnym szczycie płonące ognisko. Myślałeś, że to może Indjanie tam założyli obozy i nas obserwują. Duże to musiało być ognisko, chociaż z doliny zdawało się, że to niewielki płomień.

Po skończonym programie, chwilowo zapomnieliśmy o tej ognistej ceremonji. Proszą więc, abyśmy się odwrócili i patrzeli na szczyt góry. Pogaszono wszystkie światła. Zapanowała ciemność i tylko gwiazdy na firmamencie błyszczały jasno. Na dany znak, zaczęto z góry zwalać potężne głownie ognia. Musiały to być całe kłody płonące, a z niemi sypały się miljony żarzących węgli, rozsypując się pękami iskier, niby deszcz spadających meteorów. Był to ogniospad walący się wzdłuż prostopadłej ściany granitu w przepaść tysiąc pięćset stóp głęboką. Czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Poprostu patrzysz w nocnej ciszy na wodospad ognia, a właściwie na piękny, imponujący, a nigdy nie zapomniany — ogniospad. Może z piętnaście minut trwało to czarujące nad wyraz widowisko. Znów zapalono światła, odśpiewano hymn narodowy i zapowiedziano, że — następnym numerem na programie jest — karmienie niedźwiedzi.

Ruszyliśmy więc całą kawalkadą samochodów do „sali bankietowej“, w której karmią niedźwiedzie. W Yellowstone, a przynajmniej tam, gdzie kwaterowałem, nie robiono sobie wielkich ceregieli z niedźwiedziami. Wlazł taki jegomość do konwy z odpadkami, wyjadł co mu smakowało, resztę na cztery wiatry rozrzucił. Czasem turysta, taki uczciwy jak nieprzymierzając autor, przyniósł mu porcyjkę mięsa, aby swą niedźwiedzią duszę mógł oklinić, by zbytnio nie chlebotała. Tu zaś mają dla nich specjalne miejsce na wieczorne uczty.

Dla mnie, com to niemal wspólnie z niedźwiedziami jadał przy jednym stole, a w każdym razie z tej samej walizy, karmienie tych czworonożnych dżentelmanów nie było nowością. Ale pojechałem za innymi. Gdy się turyści wielką gromadą zebrali na oznaczone miejsce, zarządca zapalił światło przy „stole bankietowym“, znajdującym się na przeciwnym brzegu rzeczki. Była to mała polana leśna. Niedźwiedzia „sosajda“ już była przy robocie. Każdy zmiatał najlepsze przysmaki, a gdy inny także chciał tego skosztować, jedzący oznajmiał groźnym rykiem, że to może się źle skończyć dla natręta. Czasem, ale rzadko, niedźwiedzie upadają do niskiego poziomu ludzi i kłócą się przy stole! Wyzwisk, jakiemi jeden niedźwiedź drugiego obsypuje, nie będę powtarzał, gdyż się nie nadają do druku; moskiewski sierżant za carskich czasów gorszemi nie wymyślał rekrutów!...

Z dzieciakami także był kłopot. Nieraz takie strudzone matczysko przywiedzie ze sobą dwóch urwipołciów, coby to chciały powyjadać starym niedźwiedziom wszystkie najsmaczniejsze kąski. Ale w ich rodzinach panuje wzorowy porządek i surowa dyscyplina! Takiego troskliwa i siebie szanująca niedźwiedzica wnet nauczy moresu. Przecież nie życzy sobie, aby o niej sąsiadki miały w lesie opowiadać, że dzieci nie wychowuje w karności! To przecież trapiłoby każdą dobrą matkę, nawet — wśród ludzi. Cóż dopiero niedźwiedzice!? Więc też taki niegrzeczny, a bardzo niecierpliwy niedźwiadek dostaje surową reprymendę i karę. Matka takiego nieposłusznego smarkacza delikatną łapą surowo karze w tem miejscu, w które się bije wszystkie młode, dorastające pokolenia. Z tą tylko różnicą, że nie potrzebuje pieluchy ściągać, sukienki podginać. Z tem mają lepszą wygodę, niż miały nasze matki. Otrzymawszy dobrą naukę, tam gdzie się siedzi, popłakując, musi się taki czworonożny smarkacz wgramolić na drzewo

i czekać, aż się starsi najedzą! Wtenczas dopiero wolno mu zleźć z drzewa i resztkami się pożywić. A robi to taki, co jeszcze nic nie zarobił, jednego robaka nie wynajdzie, a myśli, że mu się już wszystko należy. Widać, że w świecie zwierzęcym młodsze pokolenie się psuje i demoralizuje. Mam nadzieję, że stare niedźwiedzice nie pójdą za duchem czasu i nie pozwolą młodzieży zbytnio się zdeprawować! Już i tak z tem bieda, że ludzie im jedzenia dostarczają. Takiemu leniwcowi nie będzie się chciało zbierać mrówek, robaków i jagód.

Po skończonej fieście sosajda niedźwiedzia rozeszła się po lesie... Troskliwe matki zabrały malców ze sobą i tak jedno za drugiem zniknęło z oświetlonej areny.

Podczas niedźwiedziego bankietu, urzędnik opowiadał gapiącym się turystom o życiu tych zwierząt. Nawiasem mówiąc, niedźwiedzie w parkach narodowych mają świetne życie. Nie odczuwają depresji, nie troszczą się o jutro. Ich najgorszym wrogiem jest jeż. — Mądry niedźwiedź takiemu przeciwnikowi da spokój. Ale młody, głupi i niedoświadczony czasami rzuci się na jeża. Ten mu napakuje cały pysk ostrych igieł. A ponieważ u niedźwiedzi dentystów i chirurgów nie znają, więc też z bólu i głodu biedaczysko umiera.

Po bankiecie i prelekcji na temat niedźwiedzi, zagaszono światła i znów cała kawalkada rozjeżdża się do swych kwater. Można powiedzieć, że to był „the end of a perfect day" — zakończenie cudnego dnia. Otoczeni granitowym murem, wśród gęstego lasu, w czyściuteńkich kabinach zasypiają turyści snem błogim.

Rano słońce budzi, zresztą nic to nowego, gdyż w Kalifornji całe lato jest pogoda i słońce przygrzewa. Ruszam z wygodnej kwatery, aby sobie te wszystkie piękności szczegółowo obejrzeć i niemi się nacieszyć.

Pamiętam mój pierwszy pobyt w Zakopanem, kto wie czy to także nie będzie ostatni?! Dostałem się tam z mym „szefem sztabu" doktorem Józefem Wawro, w celach agitacyjnych za pierwszą pożyczką polską. Było to w połowie lutego 1919 — roku. Miłe stamtąd wyniosłem wspomnienia. Spotkałem się z naszym wielkim pisarzem Żeromskim. Dał mi własnoręcznie dedykowane „Popioły", a ja wzamian ofiarowałem wraz z moją wizytówką,

kawałek ołówka, którym zapisałem podczas mej tury agitacyjnej setki miljonów marek na pierwszą pożyczkę polską.

W niedzielę wieczorem czekaliśmy na pociąg, aby wrócić do Krakowa. Jeden z mej świty, redaktor Wieńca i Pszczółki, a późniejszy poseł na Sejm, stał na peronie i zachwycał się górami. Co chwila pojękiwał, niby kobieta w rodzącej boleści: „Co za wspaniałe góry!... Co za prześliczny zachód słońca"!... Straszniem go w tym cielęcym zachwycie zdetonował. Doraźnie mu powiedziałem, że mi nie imponują góry ani chmury. Wiem tylko, że w całem Zakopanem nie było wtenczas jednego uczciwego hotelu, a nawet — ustępu. A u Amerykanina to jest, jak mówią Moskale „principialna rzecz".

Co za okrzyki zachwytu wydawałby ten albo zresztą każdy inny jegomość na widok tych cudów natury, jakie w tak ogromnej rozmaitości i liczbie znajdują się w Yosemete?! Ale nie będę się tu więcej rozpisywał. Kilka załączonych obrazków daje przynajmniej pojęcie o tym zaczarowanym, z bajki wyjętym zakątku.

Z żalem opuszczam Yosemete. Przylgnąłem doń myślą i sercem i często w bezsennych nocach błąkać się tu będę! Krętą, ale szeroką i nie tak stromą drogą wjeżdżam na przeciwny brzeg tej doliny. Zatrzymuję się na krańcu olbrzymiej skały, aby jeszcze raz z tej wysokości objąć wzrokiem głękoką, zaczarowaną dolinę i z niej w górę strzelające, gładko lodowcami wyszlifowane granity. Jak okiem sięgniesz, widzisz doliny i ciemne lasy. W jednym unoszą się ku górze kłęby dymu. Widać, że nie ugaszono pożaru już od kilku dni siejącego zniszczenie.

Ruszam naprzód w kierunku południowym drogą Wawona przez miasteczko tejże nazwy do lasu olbrzymich sequoi, zwanego Mariposa Grove. Lasek znajduje się na samym krańcu rezerwy parkowej, o jakie trzydzieści mil od doliny Yosemete. (Wymawia się Josemity).

Nic ciekawego nie podpada uwadze. Droga wiedzie przez okolicę leśną i górzystą. Zrzadka napotykam na stacje gazoliny, mały sklepik lub też hotele i kwatery dla turystów. Dojeżdżam wreszcie do głównego wejścia. Urzędnik skontrolował samochód, dał wskazówki, którą drogą jechać i co należałoby zobaczyć.

Rząd znacznym kosztem zbudował okrężną drogę wśród tego lasu sequoi. Wygodną, szeroką drogą jedziesz od jednego do drugiego kolosa, a czasem stoi ich razem kilkanaście. Przy

drodze leży olbrzym, którego wichry zwaliły. Niewielkie to drzewo, ale ma jakie ośmnaście stóp średnicy, a ze sto sześćdziesiąt stóp długie, złamane na kilka potężnych kawałów. Rozrzucone po tym lasku, obejmującym kilka mil kwadratowych, stoją gromadkami te największe, a zarazem najstarsze żyjące istoty na kuli ziemskiej. Każde większe drzewo ma swą nazwę.

W gaju Mariposa znajduje się około sześćset takich olbrzymów. Tu jest trzecie z rzędu największe drzewo na świecie — The Grizzly Giant. Największe, którego jednak nie widziałem, jest w innym lasku, a właściwie parku — Seqouia National Forest. Tamto drzewo nazywa się General Sherman, jest 273 stopy wysokie, ma 37 stóp średnicy. Następnie co do wielkości i dla tego jednego drzewa utworzono mały park, nazywa się General Grant, jest tylko 266 stóp wysokie, ale zato czterdzieści stóp średnicy.

Droga prowadzi mimo tego, burzami i piorunami porysowanego, olbrzyma — Grizzly Giant. Trudno sobie wyobrazić wiek takiego drzewa. Zdaleka go oglądam i podziwiam. Zrobiłem kilka zdjęć, ale trudno go uchwycić zwykłą soczewką, gdyż za wysoki i za gruby, więc trzeba się oddalić na znaczny dystans, aby całego wcisnąć w ramki niewielkiej kamery.

Gdyby się dało porozmawiać z takiem drzewem, może już starcem, a może jeszcze w sile wieku, ilu to ciekawych historyj możnaby się od niego dowiedzieć?!... Ile wieków spoczywa na jego barkach — nikt dokładnie powiedzieć nie może. Do tego trzebaby przeliczyć jego pierścienie. Przypuszczają, że tutejszy okaz dochodzi do czterech tysięcy lat. Niektóre z drzew ściętych albo przez wichry złamanych, miały ponad trzy tysiące lat, a były daleko mniejsze od niego.

Przez środek sekwoi „grizzly giant“ możnaby wyżłobić tunel, którym z łatwością obok siebie jechałyby niby ogromnym tunelem, dwa tramwaje i wóz. Jeździec na koniu łatwoby jego środkiem przegalopował. Bramę Florjańską zakryłby kompletnie jednym tylko krążkiem, aleby się w ulicy nie zmieścił. Drzewo zwane Columbia jest niemal trzysta stóp wysokie, brakuje mu tylko sześciu stóp do okrągłej liczby.

Inne drzewo Wawona jest znane z obrazków na całym świecie. Jekie pięćdziesiąt lat temu budowano tędy drogę i przeprowadzono ją przez sam środek drzewa, niby przez olbrzymi tunel. Największe samochody i autobusy tą dziwną bramą, w drze-

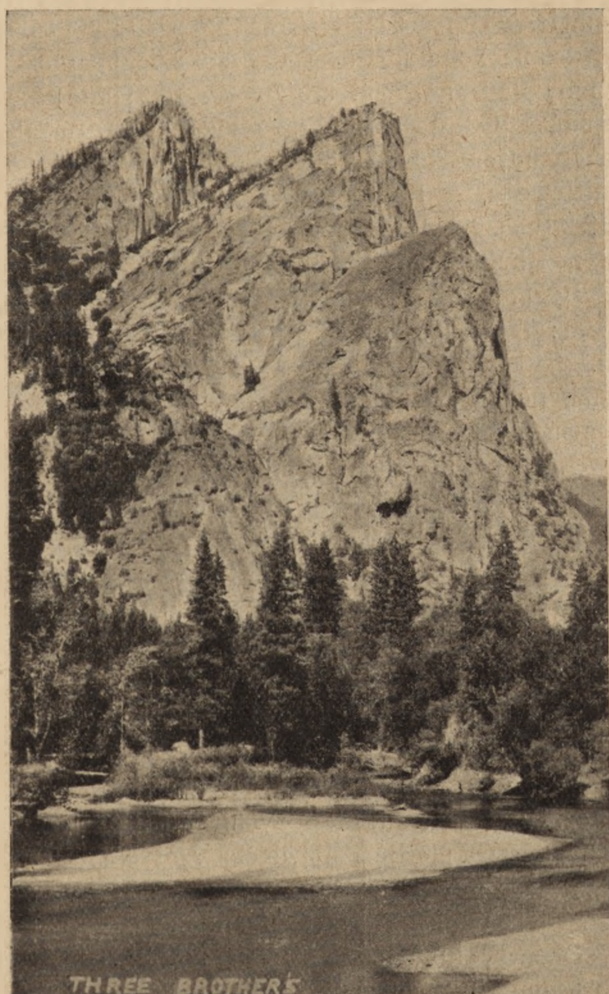
wie wyciętą, z łatwością przejeżdżają. Drzewo jest pełne życia i wznosi się paręset stóp ponad poziom drogi. Jechałem przez ten otwór i zrobiłem zdjęcie samochodu. Tuż obok, otworzył



Yosemete.

kram fotografista, który turystom na poczekaniu robił fotografje przy tem niezwykłem drzewie. Nie skorzystałem z jego usług, mając własne aparaty do takich ciekawych zdjęć. Tylko, że nie można było dużo czasu tracić, gdyż inni turyści chcieli upamiętnić swe facjaty przy tem drzewie.

Wśród tych olbrzymów rząd zbudował ładny pawilon, w którym można zakupić pamiątki z drzewa sekwoi toczone. Tylko z tem był kłopot, że wszystko bardzo drogie. Broszurki rządowe




Park Yosemete. — „Trzej Bracia".

podają opis drzew. Jeden duży kloc w małem muzeum, miał oznaczone pierścienie. Do każdej setki i tysiąca był przyczepiony jakiś ważny fakt historyczny. Cofając się od pierwszego ze-

wnętrznego pierścienia do środka, dojechałbyś do czasów, gdy Faraonowie rządzili Egiptem na tysiąc pięćset lat przed Chrystusem.

Wszędzie gęstym szeregiem stoją te przecudne majestatyczne, odwieczne drzewa. Zadzierasz głowę i spoglądasz na ich wyniosłe, dumne konary. Stanąwszy przy takim olbrzymie, wyglądasz niby ludzki karzełek. Tracisz nietylko proporcję, ale pewność siebie. Cóż to za idealne miejsce na rozmyślanie o nicości i znikomości człowieka!...

Nic dziwnego, że Kalifornja, posiadając największe drzewa na kuli ziemskiej, wydała także poetę, który wierszem krótkim, ale pięknym i pełnym myśli, opisał drzewa. Nazywał się Joyce Kilmer, a zginął podczas wojny we Francji. Podaję tu jego wiersz pod tytułem: Trees — Drzewa. Udatnie to przetłumaczył ks. B. Stawiński.

I think thai I shall never see
A poem lovely as a tree.
A tree whose hungry mouth is pressed
Against the earth's sweet flaming breast.
A tree that looks at God all day
And lifts its leafy arms to pray;
A tree that may in summer wear
A nest of robins in her hair;
Upon whose bosom snow has lain;
Who intimately lives with the rain.
Poems are made by fools like me,
But only God cam make a tree.

Napróżno bym się łudził w życiu swem zobaczyć
Tak rozkoszną poezję i nią ducha raczyć,
Jaką jest drzewo wzniosłe, co z swej matki ziemi
Pije z piersi słodycze usty spragnionemi.
Drzewo, które na Boga patrzy przez dzień cały:
Podnosząc swe ramiona do modłów i chwały,
A w liściastych gałązkach, w swych włosach zielonych,
Mieści, przez lato, gniazda ptasząt niezliczonych.
Na łonie tego drzewa śniegi spoczywały,
Deszcze z niem poufale często przestawały.
Wiersze człek, nawet głupi, jak ja, stworzyć może,
Ale drzewa, nikt inny, — jak tylko Ty, Boże!

Ostatnią zwrotkę bardzo często cytują, a ten niedługi wierszyk uchodzi za perełkę literatury angielskiej.

Nie dziw, że spędziłem kilka godzin, co chwila przystając, aby oglądać drzewa o dziwnych nieraz kształtach i pozach. Tu ognie wypaliły środek tak, że niby teleskopem możesz patrzeć na gwiazdy. Opodal te same niszczące pożary wyżłobiły potężną kleszczkę, niby dwoma nogami tkwiącą w ziemi! Pomimo tak fatalnego pożaru drzewo rośnie. Często napotykam głębokie blizny spowodowane pożarem, który tu siał zniszczenie, zanim jeszcze Kolumb odpłynął na nieznane morza.

Zatrzymuję się chwil kilka wśród tych olbrzymów leśnych. Może nie zawadzi, jeżeli kilka słów poświęcę rządowej gospodarce leśnej. Trzeba wiedzieć, że drzewo odgrywa nader ważną rolę w życiu każdego człowieka. Pierwsze dziecinne lata spędziliśmy w drewnianej kolebce, tam nas tuliła i pieściła matka!... Do snu wiecznego w drewnianej trumnie, niby w wygodnej kolebce utuli nas matka... Ziemia! Bez drzewa nie moglibyśmy się obyć. Lasy zachowują wilgoć, kontrolują topniejące śniegi na wiosnę, otaczają cienistą opieką źródła rzek i jezior, dostarczając nam przez to niezbędnej wody. Lasy zachowują żyzność ziemi, broniąc ją korzeniami przed wiosenną powodzią.

Czterysta lat wstecz, niemal cały kraj był pokryty gęstym lasem. Zostały się tylko strzępy i już stosunkowo niewielkie połacie tego olbrzymiego w najrozmaitsze gatunki bogatego drzewostanu. Trzebiono zawzięcie i rozrzutnie! Jako mały dzieciak pamiętam, gdy rodzice końmi zwalali na kupy olbrzymie kłody sosny i to palili, aby na „klarunku“ zasiać pszenicę. Naród już trochę lepiej tę kolosalną stratę odczuwa. Opinja jest do żywego tą niszczycielską gospodarką poruszona. Ogromne połacie lasów objął rząd w swą kontrolę i tam pod ścisłym nadzorem wycinają starsze drzewa, a zostawiają młodsze drzewostany.

Najgorszym wrogiem lasów są pożary. Rząd i prywatni właściciele utrzymują regularną straż pożarną. Urzędnicy badają wilgoć i w czasach wielkiej posuchy ze zdwojoną czujnością bronią je przed wybuchem pożarów. Nie pozwalają w takiej porze zakładać obozowisk lub zapalać ognisk. Na przestępców nakładają surowe kary. W razie pożaru, każdy jest zobowiązany spieszyć na ratunek. Dzieckiem będąc, widziałem taki pożar lasu. Jest to imponujący widok, ale zarazem straszna katastrofa. Znam

kilka wypadków, gdzie w pożarach lasów miasteczka całe spłonęły, a setki ludzi straciło dobytek i życie.

Racjonalna gospodarka leśna w Ameryce nie przewiduje sadzenia lasów, jak to zauważyłem w Polsce i innych krajach europejskich. Eksperci są tego zdania, że wyręby w bardzo krótkim czasie same się zasieją i wyrosną, jeżeli tylko te obszary obronimy przed ogniem. Jadąc do Crater Lake zauważyłem bardzo gęste zalesienia, których napewno ręka ludzka nie sadziła. W stanach wschodnich, gdzie mamy dużo gruntów pagórkowatych, kamienistych i niezdatnych do uprawy roli, kilkakrotnie poruszano projekt sztucznego zalesienia. Z nastaniem nowej administracji zorganizowano z bezrobotnych całe brygady do tej pracy. Zalesiamy teraz ogromne połacie kraju, które dotąd leżały bez użytku.

Po kilku godzinach spędzonych bardzo mile wśród tych odwiecznych mieszkańców parku, ruszam w dalszą drogę. Jadę znów przez dłuższy czas stokami gór Sierra. Okolica przeważnie pokryta niezbyt wielkiemi lasami. „Widać, że lepsze drzewa dawno wycięto, a resztę zostawiono na pastwę losu. Tu i ówdzie napotykam małe wioski, jak Nipinnawasee, Wassamma i Grubgulch. Zdaje się, że w tych okolicach prospektorzy poszukują za złotem, gdyż w jednym ze sklepów widziałem całą szafę zapełnioną złotodajną skałą. W tych okolicach napotykają małe żyłki i „gniazda" drogocennego kruszcu, tylko nie natrafiono dotychczas na wielkie i bogate żyły. Niejeden prospektor miesiącami całemi krąży po górach, szukając ukrytych skarbów.

Natrafiam na duże koryto, zrobione z desek. Milami całemi się ciągnie do miasteczka Madera. Takie koryta nazywają się tu „flume" i używają ich do spuszczania desek z tartaków, w górach operujących. Jeżeli są dogodne warunki, to takiemi korytami, zbudowanemi z grubych i silnych desek, napełnionych wodą, spuszczają do rzek kłody całe, a stamtąd wielkiemi tratwami już dalej płyną do tartaków. Na oceanie można czasem napotkać taką tratwę, podobną do ogromnej submaryny. Olbrzymie kłody drzew są powiązane łańcuchami i holownikami transportowane przez ocean do Chin i Japonji.

Po parugodzinnej krętaninie wśród lasów, wzgórz, pustyń wydostaję się nareszcie w „cywilizowane" okolice, gdyż od paru dni włóczyłem się po pustyniach, górach i kanjonach. Ostatnie

dziesięć mil do Madery mam elegancką drogę. Tu już wjeżdżam na rządowy trakt U. S. 99, na którym kilkakrotnie już jechałem od Vancouver do Kalifornji. Zboczyłem z niego jadąc mimo oceanu, a potem tę ważną arterję przekroczyłem w Sacramento, jadąc do jeziora Tahoe i do Reno w Newadzie.

Gdyby ktoś usiadł wedle drogi i patrzał na samochody mimo pędzące, dowiedziałby się, czem dany stan lub okolica się trudni. Cała dolina od Sacramento przez Stockton, Modesto, Maderę, Fresno aż niemal do Bakersfield jest oddana uprawie jarzyn, jagód, orzechów i wszelkiego gatunku owoców. W jednej części przeważają n. p. winogrona, w drugiej brzoskwinie, trzecia ma sady gruszek lub orzechów.

Po kilkudniowej krętaninie wśród olbrzymich gór, skał, przepaści, jest to prawdziwą rozkoszą dla turysty znów dostać się na szerokie, z betonu zbudowane, prościutkie drogi, z których słynie Kalifornja. Wszędzie panuje wielki ruch. W jedną i drugą stronę spieszą potężne samochody ciężarowe napełnione skrzyniami owoców lub drzewem do robienia pudeł owocowych.

W miasteczkach rzędy palm dają całej okolicy tropikalny wygląd. Przypuszczam, że w sezonie deszczowym, gdy się łąki i wzgórza pokryją zielenią, a na wiosnę kwieciem, staje się istnym rajem. Nic też dziwnego, Kalifornijczyk nigdzie nie jest zadowolony i wciąż wzdycha do swej ciepłej, słonecznej, pomarańczami i owocami słynnej ojczyzny. Wcale mu się nie dziwię. Niejeden przyjechał na wizytę i tak mu się tutejsze okolice spodobały, że się osiedlił.

Największem miastem w tej owocodajnej dolinie jest Fresno. Nic jednak nadzwyczajnego na uwagę turysty nie zasługuje. To jest stolica produkcji owoców. Stąd idą na cały świat transporty winogron, rodzynków i innych delicyj, od których na samą myśl, ślinka idzie do ust. Mając takie smaczne jarzyny i owoce, a przytem bajecznie tanie, łatwo można się wyrzec mięsa. Kilkanaście mil na południe od Fresno, zatrzymuję się, aby cośkolwiek po uciążliwej podróży wypocząć i notatki porobić, a nawet napisać kilkanaście stron tej nieszczęśliwej książki.

Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię i... coś się stało. Nie miałem dosyć kłopotu z podróżą, trzeba było jeszcze sobie wziąć na kark taką pracę, jakiej nigdy przedtem nie miałem — napisać książkę o podróży samochodem przez Stany Zjednoczone.

Trudno — zacząłem trzeba będzie kończyć. Wiem dobrze, że gdy się skończy pisanie, dopiero zacznie się kłopot z drukowaniem, krytyką i sprzedażą. Innym to idzie łatwo, mnie zaś jak z kamienia.

Pisarza można porównać z rzeźbiarzem. Czasem — za jednem uderzeniem młota odwali duży kawał marmuru, zależy od tego co rzeźbi. Innym razem najdelikatniejszemi dłótami będzie dłubał i „dziubał", a po całodziennej, mozolnej pracy, napozór niczego nie dokonał. W tem mozolnem zadaniu, zachęca mnie ta myśl, że o ile mi wiadomo w polskim jezyku nie mamy podobnej książki turystycznej o Stanach Zjednoczonych. Chcę przynajmniej tę małą cegiełkę dorzucić do szybko rosnących zbiorów księgarskich odrodzonej Polski.

Po jednodniowym wypoczynku fizycznym, a wysiłku umysłowym, biorę do ręki czterokołowego cugowca i szybko pcham się w kierunku południowym do Los Angeles. Marszruta wykazuje, że mam zaledwo niecałe dwieście mil drogi do największego miasta w Kalifornji, słynnego na cały świat ze swych aktorów, ruchomych obrazków i Hollywoodu.

Do samego Bakersfield, położonego ośmdziesiąt mil na południe od ostatniego postoju, nic nie zasługuje na szczególniejszą uwagę turysty. Uderza nawet pewna monotonność wiosek, ogrodów, sadów, winnic, a nawet rzędy pięknych palm tracą swój urok.

Nie będę nawet wspominał domów w stylu neo-hiszpańskim budowanych. Jest to przeważnie tandeta, tynkiem i wypalaną dachówką pokryta. Nadaje się to w Kalifornji, gdzie niema śniegów i silnych mrozów. W północnych stanach, ludzieby w takich domach pomarzli. Jeżeli czasem napotykasz dom w odmiennym, charakterycznym stylu, odrazu to przechodnia interesuje, a całej ulicy dodaje pewnej dystynkcji i tonu. Gdy wciąż napotykam biały tynk, czerwoną dachowkę i niby to hiszpańskie wykrętasy, zaczynam się nudzić, a nawet wzbudza to we mnie wstręt i obrzydzenie do bardzo zresztą pięknej architektury hiszpańskiej.

W Bakersfield następuje zmiana pejsażu. Kończą się bujne sady i zielone ogrody, a ze swą całą nagością wychodzi górzysta pustynia. Tu się kończy owa urocza dolina, którą można jechać setki mil, hen aż od Sacramento. Trzeba teraz przejechać długie pasmo, powiedziałbym, wysokich, gołych, nieurodzajnych wzgórz.

Nie można jednak powiedzieć, że to kraj biedny. Owszem — na tej pustyni znajduje się wielkie bogactwo. Zamiast drzew owocowych, gęstym lasem wyrosły — szyby naftowe. To jest zdaje się najstarsze pole nafty w Kalifornji. Bakersfield otoczone ogromnemi zbiornikami ropy i rafinerjami nafty. Nazywają tu ropę — płynnem złotem — liquid gold.

Do niedawna Kalifornję zaliczano do największych producentów ropy w Stanach Zjednoczonych. Zdaje się, że Oklahoma i Texas wyprzedziły ją pod tym względem. Jednak to jest pewne, że ropy nam nie zabraknie za setki lat. Wciąż nowe odkrywają tereny. Można powiedzieć, że od Pensylwanji aż do Kalifornji niemal każdy stan posiada źródła nafty. Dużo także sprowadzamy jej z Meksyku, ażeby swoje zapasy na czas dłuższy zachować.

Wzdłuż drogi od Bakersfield do Los Angeles napotykam niekiedy szyby naftowe, chociaż nie tak liczne, jak przy Bakersfield. Gdzie niegdzie dymi rafinerja nafty lub też wloką się potężne rury, któremi sprowadzają ropę do rafineryj. Takiemi rurami sprowadzają ropę setki mil, oczywiście o wiele taniej od transportu koleją w cysternach, przeważnie używanych do przewożenia gazoliny i rozmaitych fabrykatów rafineryj.

Od Bakersfield aż do Los Angeles jest jakie sto mil drogi. W tych piaszczystych, kamieniami posypanych i sage brushen pokrytych górach, nikt nie mieszka. Zniknęły sady, drzewa i ogrody warzywne. Chociaż jadę ważną linją komunikacyjną, jestem na bezludziu. Fort Tejon, zapewne kiedyś był placówką, broniącą górskiego przesmyka przeciwko Indjanom, teraz zaledwo jest to mała osada, a przy niej rafinerja nafty. Rząd ustanowił w tej okolicy rezerwację leśną, tylko niestety żadnych lasów nie napotykam. Około godziny czwartej po południu wjeżdżam do miasta — Aniołów.

---

Rozdział XXVI.

## LOS ANGELES.

Obywatele największej metropolji nad oceanem Spokojnym wymawiają nazwę miasta z hiszpańska — Los Angeles. Nieokrzesani zaś Amerykanie i zwykli śmiertelnicy po amerykańsku mówią — Los Ejndzels. Po wymowie tutejszych miejscowości można poznać, czy dany osobnik jest rodowitym Kalifornijczykiem, czy też przybyszem z innej części kraju. Miejscowi wymawiają nazwy osad po hiszpańsku, co im nieraz trudno przychodzi. Jednakowoż zachowują skrupulatnie stare tradycje hiszpańskie.

W roku 1602-gim słynny żeglarz hiszpański Cabrillo, uważany za odkrywcę Kalifornji, dotarł do zatoki Monterey i tam wraz z Sebastjanem Vizcaino postawił krzyż i objął ziemię na własność króla hiszpańskiego. W lipcu roku 1769-go wyruszyła ekspedycja z San Diego wzdłuż brzegu oceanu i szła tędy, szukając przejścia do zatoki Monterey, aby tam założyć „misję".

Zatrzymano się w uroczej dolinie Marji Panny, bo w ich mniemaniu był to rzeczywiście kraj mlekiem i miodem płynący. Jedną tylko posiadał ujemną stronę: bardzo dzikich Indjan. Zdobyli się jednak na odwagę i w imieniu Króla Hiszpanji i zapomocą Boską i Najśw. Marji Panny zajęli dolinę i całą noc w miejscu obozowali. Pokrzepieni na duchu i na ciele d. 1-go sierpnia 1769 roku, w święto Natki Boskiej Anielskiej, bez jakiegokolwiek protestu ze strony Indjan, którzy zresztą nic o tem nie wiedzieli, objęli całą okolicę w posiadanie.

Jeden z przywódców jeszcze swych towarzyszy więcej upewnił i na duchu pokrzepił, gdy im powiedział swój dziwny sen.

„Przynoszę wam nowinę", mówił ów towarzysz „o wielkiej radości, jaka spłynie na wszystkich ludzi. Słyszałem tajemnicze

słowa, których jednak wyjawić nie mogę. Zapewniono mnie o rzeczach, których oko ludzkie nie widziało ani ucho nie słyszało. Cudowny znak zobaczyłem we śnie. Widziałem niewiastę okrytą słońcem, a u stóp swych miała księżyc, a dwanaście gwiazd błyszczało nad jej głową. Tysiące aniołów jej usługiwało a setki tysięcy stało przed nią. Gdyby nie wiara ucząca, że Niewiasta ta jest tylko stworzeniem, upadłbym przed nią i wielbiłbym ją, jako bóstwo. Ona mi powiedziała, że to wzgórze ma się nazywać „Wzgórzem Porcjunkuli". Tę samą nazwę ma otrzymać rzeka i miasto, które zbudujecie, również macie postawić kościół, jako symbol miłości, którą was otaczam. Dlatego nazwa miasta będzie — „Pueblo de Nuestra Senora de Los Angeles de Porciuncula".

Oczywiście zbyt długą nazwę dali Hiszpanie. Ich następcy, a szczególnie nie tak pobożni i gorliwi Amerykanie zostawili tylko aniołów, resztę usunęli i tak zostało — Los Angeles.

Wysłano czem prędzej list do króla Karola Trzeciego, aby dał pozwolenie na założenie miasta ku czci Królowej Anielskiej. Za cztery lata nadszedł list i patent. Natychmiast sprowadzono kilkanaście hiszpańskich rodzin z Meksyku. Mała garstka osadników, pod wodzą porucznika Don Jose Zuniga, przybyła do misji Św. Gabrjela Archanioła, zbudowanej na obecnem przedmieściu Passadena.

Stąd d. 4-go września r. 1781 wyruszono na nową placówkę — aniołów w ludzkiem ciele. Od tej daty rozpoczyna się historja miasta Los Angeles. Emigranci wraz ze strażą wojskową, niosącą sztandar Kastylji, z krzyżem, godłem zbawienia, z gromadą Indjan i paru misjonarzami z zakonu Św. Franciszka, przybyli na miejsce wyznaczone, poświęcili ziemię, postawili krzyż i rozpoczęli pracę nad budową osady...

W dwa lata po jej założeniu i „misji", przybył gwardjan zakonu Franciszkanów, gorliwy ks. Junipero Serra, gościnnie przez osadników podejmowany. Zanim zbudowano kościół, osadnicy w niedzielę i święta jeździli lub szli na piechotę do San Gabriel. Architektem pierwszego kościoła w Los Angeles był Jose Antonio Ramirez, a pobierał zapłaty jednego „Real" dziennie czyli około dwunastu centów.

Byłem w tem mieście szesnaście lat temu, podczas wojny. Co za ogromne nastąpiły zmiany! Wtenczas liczono jakie siedm-

set tysięcy mieszkańców, teraz test ich tu półtora miljona. Miasto się rozrosło i spotężniało. Przybyło dużo drapaczy chmur, bulwarów, parków, dzielnic i bogatych rezydencyj. Nie można powiedzieć, że to jest miasto przemysłowe. Fabryki opon, rafinerje nafty, stalownie i ciężki przemysł znajdują się poza miastem, na przedmieściach. Jedyny szczegół, który na turyście dziwne robi wrażenie, to studnie nafty, w jednej dzielnicy miasta gęsto rozrzucone. Po ulicach w tej dzielnicy przeważnie przez Włochów i Meksykańczyków zamieszkałej, rozchodzi się nieprzyjemna woń ropy i... czosnku.

Nie można jednak milczeniem pominąć najznakomitszego przemysłu, który rozniósł sławę Los Angeles po wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, a tym są wytwórnie ruchomych obrazków. Tysiące ludzi znajduje w tym dziwnym przemyśle grubo dolarami smarowany kawałek chleba. Tu i w okolicy zamieszkują, pracują i bogacą się najsłynniejsi aktorzy i aktorki na kuli ziemskiej. Ileż to dziewcząt tęskni przez całe życie za Hollywoodem?!...

Jadę znów autobusem oglądać tę piękną dzielnicę miasta, zamieszkałą przez słynnych aktorów i aktorki. Niektóre, prócz nieśmiertelnej sławy na ekranie, zdobyły sobie także renomę w ilości pokątnych miłostek, trójkątów i rozwodów. Od czasu do czasu, niby oliwa, wypłynie na wierzch jakiś brudny skandalik, którym się żywo interesuje świat cały. Przychodzę po wieloletnich obserwacjach do przekonania, że mało rozumu, a szczególnie brak zasad moralnych z dużym zarobkiem nie przyczynia się do uczciwego, rozsądnego i szczęśliwego życia. W tych przepięknych pałacach rozsianych u stoku wzgórz Beverly nie wiele naliczyłbyś rodzin prawdziwie szczęśliwych i sobie wiernych.

Nasz cicerone co chwila wskazuje pałace słynnych artystów, artystek, dyrektorów, przedsiębiorców teatralnych, pisarzy, literatów, bankierów i kapitalistów, którzy w tej uroczej okolicy palm i róż w luksusowem otoczeniu bez troski żywot wiodą. Takim to będzie żal umierać.

Po dłuższej krętaninie autobus wjeżdża do przedmieścia Beverly Hills, gdzie zamieszkuje elita ekranowa. Wszędzie wspaniałe pałace i wille artystów, otoczone murem lub żywopłotem. Każdy aktor ma jakieś bziki, gusta i guściki, uwydatnione w architekturze swej willi, w ogrodzie lub przyjemnem zajęciu.

Jeden lubi konie, drugi psy, trzeci kwiaty, czwarty uprawia sport, inny — flirt. Czasem to i takich spotkasz, co lubią dzieci, ale tych nie wielu, bo to jest luksus, na jaki nowoczesny aktor sobie pozwolić nie może. Znane tu jest przysłowie: Bogaci mają pieniądze, a biedni — dzieci...

Na wzgórzu zbudowano obszerny amfiteatr pod gołem niebem, w którym letnią porą urządzają koncerty, przyjęcia, obchody i tego rodzaju publiczne manifestacje. Do tego wykorzystano stok góry i urządzono olbrzymie półkole, mogące łatwo pomieścić jakie trzydzieści pięć tysięcy ludzi. Poniżej we formie konchy, zbudowano scenę do występów teatralnych, obchodów i koncertów. W chwili zwiedzania audytorjum, odbywała się właśnie próba orkiestry symfonicznej.

Na Wielkanoc urządzają tu rezurekcję, na którą o wschodzie słońca przybywa dziesięć tysięcy ludzi. U wejścia do tego amfiteatru umieszczono olbrzymi miedziany kocioł na ofiary. Mówią, że na wielkie uroczystości ludzie zapełniają go pieniędzmi. Chciałbym choć jedną taką kolektę w mem życiu zebrać!

Za opłatą dwudziestu pięciu centów oprowadzono nas po przecudnych japońskich ogrodach, własności Bernheimera, zdaje się handlarza win. Widzisz w miniaturze zaczarowany kącik Japonji. Oprowadzają turystów małemi ścieżkami, wzdłuż kanalików, zdobionych łukowatemi mostkami. W małych stawkach pluskają przepięknej formy rybki, aż z Japonji sprowadzone. Na sztucznych wysepkach podziwiasz artystycznej roboty bronzy kapłanów, zwierząt, ptaków, a wszystko jest tak delikatnie rzeźbione, że w tej cudnej grupie widzisz nie tylko rysy człowieka ale oddane są nawet pewne uczucia spokoju, bólu, radości. Oryginalne w stylu japońskim pagody, lampy, wieże, świątynie, dzwony, w zachwyt wprawiają turystów. Jesteśmy chwilowo w nieznanym, zaczarowanym, egzotycznym zakątku, niby olbrzymy wśród małoludów. Pełno kwiatów, roślin, drzewek sprowadzanych z krajów wschodnich, szczególnie z Japonji, Chin i Indyj. Ogrodnicy otaczają każdą roślinkę i kwiatek troskliwą opieką. Cały ogród na stoku góry zbudowany, obejmuje zaledwo kilkaset stóp, a jednak urządzenie tej zabawki kosztowało setki tysięcy dolarów.

Bulwarem z obu stron wysadzonym kilku rzędami wysokich palm, opuszczamy Beverly Hills. Przewodnik wskazuje turystom bogate, przeważnie w stylu hiszpańskim zbudowane

rezydencje tutejszych znakomitości filmowych. Między innemi wyszczególnił nam przestronny dom naszej Poli Negri. Tak w sztuce, jak i w liczbie rozwodów i awantur, polska aktorka wcale nie ustępuje tutejszym gwiazdom. Jak się teraz po mężu nazywa i czy wogóle posiada taki luksus lub sprzęt małżeński, powiedzieć nie mogę. W świecie aktorek nie posiadam bliższych znajomości.

Z jedną tylko wybitną, powiedziałbym nieśmiertelną gwiazdą, miałem bliższą styczność. Byłem wtenczas bardzo młodym



Amfiteatr pod gołem niebem w Hollywood — 30.000 siedzeń.

księdzem, a ona — zachodzącem słońcem sceny dramatycznej, nasza nieśmiertelna artystka i patrjotka — Helena Modrzejewska. Wobec niej reszta — to bardzo drobna moneta. Jeszcze ją widzę gdy odgrywała swą nieśmiertelną rolę — Marji Stuart.

Okolice North Hollywood, Culver City, Universal City, Studio City stanowią centrum produkcji filmów. Dawniej można było przypatrywać się tej ciekawej sztuce. Od czasu, gdy przy obrazkach oddają równocześnie głos czyli jak tu mówią „talkies“, publiczności do tych ogromnych ateliers nie wpuszczają.

Takie przedsiębiorstwo filmowe obejmuje kilka bloków. Dla niektórych scen trzeba budować wioski, bramy, forty i inne

potrzebne tereny. W dużych salach podzielonych na małe pokoiki masz najrozmaitsze scenerje. Tu masz miljonera, zaraz obok skromna chata górnika, dalej starodawny „salon" czyli karczmę z cowboyami, strzelaniem i zabójstwem. Przy zdejmowaniu jednego filmu pracuje dużo ludzi. Prócz aktorów są potrzebni dyrektorzy, operatorzy aparatów fotograficznych, rekordów głosowych, oświetlenia. Za tymi zaś stoi falanga sił pomocniczych stolarzy, elektrotechników, szoferów, malarzy, szatnych, fryzjerów i t. d. Dlatego też wyświetlenie obrazu pochłania olbrzymie sumy.

We wielu wypadkach trzeba z licznym taborem wyruszyć na pustynię, do Nowego Yorku, Chicago, na ocean, wgłąb lasów... Tam zaś też wszystkiego za parę minut nie skończą. Taki transport pracuje całemi tygodniami nad małym kawałkiem filmu. Zdarzały się wypadki, że coś nie dobrze wypadło i trzeba było znów odbyć długą podróż na to samo miejsce i jeszcze raz robić zdjęcia. Jeżeli publiczność film przyjęła, to się wkrótce koszta wróciły i jeszcze jakiś miljon lub dwa zrobiono na czysto. Ale jeżeli z tego była klapa, wtenczas przedsiębiorstwo może łatwo zbankrutować.

Nie potrzeba nawet wspominać, że w całym interesie kinematograficznym siedzą Żydzi. Bez nich ani rusz. Chcesz się wyśrubować na gwiazdę filmową, to tylko pod protekcją żydowską. Tak zawsze było i zapewne będzie. Jak się to robi, jakie nieraz trzeba ponosić ofiary, łatwo się domyśleć!...

Ludzie z całego świata, a szczególnie dziewczęta, jak ćma do ognia, pchają się do Hollywood. Każda urodna panienka albo która sądzi że jest urodna, mocno wierzy, że czeka ją sława, karjera i majątek w Hollywood. Nigdzie się tak może nie sprawdzają słowa Pisma św.: „Wielu wezwanych, a mało wybranych", jak w Hollywood. Tysiące niedoszłych gwiazd i gwiazdeczek, straciwszy ostatni cent, ląduje na bruku. Łatwo stają się ofiarą losu i pastwą nieuczciwych i niemoralnych ludzi.

Miasto, niby olbrzymi „klaks" lub plama rozprysło się po całej dolinie, od gór Gabrjela, aż do oceanu. Poza centrum, miasto ciągnie się przedmieściami a właściwie dużemi miastami dwadzieścia mil do morza. Pasadena, słynne miasto miljonerów, leży na południu i wschodzie. Santa Monica, San Pedro, Long Beach, Fullerton, Annaheim nad oceanem położone, połączone

licznemi bulwarami i niemal zlane w jedno potężne ognisko, pulsujące życiem, przemysłem i handlem.

Po skończonej turze objazdowej, wyruszyłem do Santa Monica, plaży morskiej jakie dwadzieścia mil oddalonej od centrum miasta. Szerokim, palmami gęsto wysadzanym bulwarem, po niecałogodzinnej jeździe, dostaję się na miejsce. Wzgórzem ciągnie się wspaniały bulwar, z rzędami szerokich palm. Tu i ówdzie ławeczki, stoliki, klomby kwiatów, z rządem pięknych rezydencyj, robią wrażenie dostatku i spokoju. Zbudowano nad wodą duże kasyno i wygodne ubikacje dla kąpiących się. Skorzystałem więc z okazji i przynajmniej mogę teraz powiedzieć, że kąpałem się w obu oceanach.

W Los Angeles zamieszkuje niewielka kolonja polska. Mieli przed laty własny kościół, a proboszczem był wówczas ks. Organiściak. Dla jakichś nieznanych mi powodów parafja zbankrutowała i drewniany kościółek wzięli Ajrysze. Teraz podobno założono powtórnie polską parafję. Zazwyczaj tam, gdzie niema kościoła, duch polski szybko ginie, a młode pokolenie w krótkim czasie się amerykanizuje.

W sąsiedztwie ekskluzywnego Hollywood, na szerokiej przestrzeni, rozbudowywuje się uniwersytet Kalifornji. Stan posiada dwa uniwersytety: jeden w Oakland, naprzeciw miasta Sant Francisco, a drugi w Los Angeles. Wszystkie budynki umieszczone na pięknem wzgórzu budują z ciemno-czerwonej cegły i białego ciosu, w stylu północno-włoskiego renesansu. Roboty idą całą siłą pary. Stawiają kilka nowych gmachów, wymierzają drogi, robią klomby na kwiaty, sadzą drzewa, powiększają pola atletyczne.

Zawadziłem o uniwersytet jedynie dlatego, że mój kolega szkolny i najdroższy z przyjaciół, rodowity Francuz jest tu profesorem. Człowiek ogromnych zdolności, szlachetnego charakteru i bohater Wojny Światowej. W sierpniu 1914-go roku był na wykładach języka angielskiego i ekonomji społecznej w Harvard, w Bostonie. Po wybuchu wojny pierwszym okrętem wrócił do Francji, wstąpił do wojska jako prosty żołnierz. Na polu bitwy za bohaterstwo został awansowany na stopień porucznika. Trzy lata był na froncie. Dziewiętnaście dni bez przerwy był w najcięższych walkach pod Verdunem. Jego pułk 14-ty piechoty, bronił ostatnich fortów pod Souville i Tavanne.

„Gdyby Niemcy“, opowiadał mi po wojnie, „zdobyli te dwa przez nas bronione wzgórza, zajęliby Verdun. Tak już byli blisko celu, że nam zostało zaledwie 600 ludzi w rezerwie. Żołnierz, który ładował mój karabin maszynowy, zginął od naszej kuli armatniej. Zdawało się bowiem, że Niemcy już zajęli nasze stanowiska. Odparliśmy 13-go lipca, 1916 roku trzy potężne ataki nieprzyjacielskie. Na stokach wzgórz, po odparciu szturmu, legło przeszło dwadzieścia tysięcy zabitych i rannych“.

„Ils ne passeront pas“ — przeszło do historji!...

Pamiętam, gdy wróciłem z Polski, spotkaliśmy się na wiecu i bankiecie w hotelu La Salle w Chicago. Miał wtenczas jako kapitan dekorację Croix de Guerre, z pięciu cytatami, Legion d'Honneur, a w dodatku zauważyłem „furażerkę“ plecioną w dwu kolorach zielonym i złotym. Było to odznaczenie całego pułku krzyżem Croix de Guerre i Medaille Militaire, dwie najwyższe dekoracje wojskowe Francji. Pytam się więc:

Est-ce que ce sont le deux?!

Qui le deux!

Trzy lata walczył na froncie. Na skutek kolizji z ciężkim granatem austrjackim, przez parę tygodni o bożym świecie nie wiedział.

Po przyłączeniu się Stanów Zjednoczonych do wojny, co ewentualnie zadecydowało o zwycięstwie Aljantów, przysłano go do Ameryki, aby uczył naszych rekrutów, jak mają operować karabinem maszynowym.

Gdy się o jego powrocie dowiedzieli jego przyjaciele z uniwersytetu Harvard, zaprosili go z mową do Bostonu. Taki zdobył sukces, że go wyciągnięto z obozu i po całej Ameryce przemawiał do miljonów ludzi. Uczyłem go po angielsku, on wzamian uczył mię po francusku.

Z doświadczenia życiowego powiedziałbym, że poza chrześcijańskiem i wzorowem ogniskiem domowem, dwie są najcenniejsze rzeczy w życiu ludzkiem — zdrowie i szczery, a wierny przyjaciel. Takim idealnym szlachetnym a szczerym przyjacielem był dla mnie Paweł Perigord. Byliśmy studentami z jednej klasy, kolegami, księżmi, a nawet obaj nosiliśmy mundur: on francuski, a ja — polski.

Z frontu pisywał i zapewniał mnie, że po wojnie, będzie Polska. Nie tylko to, ale że Polska będzie potężnym krajem i pier-

wszorzędnem mocarstwem w Europie. Jego przepowiednie się spełniają.

Pamiętam ze studenckich czasów, jakeśmy to czytywali pisma ks. De Lamennais. Jeden z najpiękniejszych ustępów tego szczerego przyjaciela Polski był — HYMNE A LA POLOGNE. Zaczynał się temi proroczemi słowy:

„Dors o ma Pologne, dors en paix, dans ce qu'ils appellent ta tombe: moi, je sais que c'est ton berceau".

Zaledwo ćwierć wieku minęło od tych błogich dni, gdyśmy te prorocze wiersze czytali nad brzegami rzeki Mississippi. Nie tylko, że byliśmy świadkami Jej zmartwychwstania, ale chociaż w małym zakresie pracy społecznej i wojskowej przyczyniliśmy się do zerwania kajdan niewoli. Niech mi tu wolno będzie przytoczyć ten ostatni proroczy ustęp tego szczerego przyjaciela Polski, ks. Lamennais:

„...Quand l'heure conmue de lui aura sonné, elle se redressera terrible comme la vengeance supreme et, reveillees au bruit de ses fers qui se brisent, les nations emues s'ecrieront: Beni, beni soit a jamais le peuple qui ayant souffert avec constance pour tous les peuples, a été jugé digne de vaincre pour eux!..."

„Niech będzie błogosławiony, niech będzie błogosławiony na wieki naród, który cierpiąc wytrwale za wszystkie narody, jest uznany godnym za nie zwyciężyć!!"

Niestety — kolegi nie zastałem w domu. Wyjechał na wakacje do Francji, w której obronie tak dzielnie walczył i krew przelewał. Błąkałem się po salach i krużgankach, jak zgubiony. Tu on żyje... tu pracuje i kształci następne pokolenie Amerykanów!... Nie dziwię się temu, że najwięksi pisarze i poeci starożytni swe najwspanialsze wiersze i utwory poświęcali szczerej, wiernej, bezinteresownej przyjaźni i miłości przyjaciół! Cóż może być droższego?!...

Jednym z licznych bulwarów, ciągnących się w różnych kierunkach, jeszcze raz puściłem się ku oceanowi do San Pedro. Nad brzegiem kilkadziesiąt mil ciągną się wspaniałe plaże kąpielowe, gdzie ludność tutejsza może swobodnie zażywać słońca i oddychać powietrzem morskiem. W Polsce — morze to luksus — bo ma go tak mało, dla nas to przyjemność pospolita, bo mamy trzy tysiące mil brzegu nad dwoma oceanami.

Od św. Moniki przez Wenecję ciągną się piaszczyste wybrzeża aż do Laguana i starej „misji“ San Juan Capistrano. Szesnaście lat temu byłem w tej amerykańskiej „Wenecji“ ze wspaniale urządzonemi kanałami, lagunami i mostami. Z tego została mi w pamięci olbrzymia karczma. Było to w niedzielę. W mieście wszystko pozamykane, więc też tysiące wyjechały do Wenecji gasić pragnienie. Wprost nie można się było przecisnąć „do bary“. Ale te wspomnienia należą już do zabytków starożytnych.

Miłośnicy kąpieli morskich i sportów wodnych mają w tych okolicach wielki wybór. Za Wenecją jest El Segundo, Manhattan, Hermosa, Rodondo, San Pedro, a największy z nich jest Long Beach. Stąd urządzają wycieczki na wyspy św. Katarzyny, zwane Santa Catalina, to „santa“ już wyrzucili, a zostało się tylko — Katalina. Na południe od niej jest wyspa św. Klemensa, a na północ mała wysepka św. Barbary. Na wyspie św. Katarzyny, Hearst, ten sam, co posiada kopalnię złota w South Dakocie i kilkadziesiąt czasopism, pozakładał prawdziwe cuda. Olbrzymi park dla ptactwa, istny raj dla ornitologów, okręty ze szklanemi podłogami obwożą turystów i pokazują cudną roślinność i ryby na dnie morskiem, wspaniałe tropikalne rośliny czynią z tej wyspy czarodziejski raj.

Nie tyle mnie interesowały plaże i wyspy, co port, jaki tu zbudowano kosztem przeszło pięćdziesięciu miljomów. Jest to oczywiście port wojenny. Celem tego portu ma być obrona nie tylko biednego Los Angeles, ale całej południowej Kalifornji przed napadem ze strony Meksyku, a właściwie przed atakiem Japończyków, którzyby mogli nas zaatakować od tej strony z któregokolwiek portu meksykańskiego.

Jeżeli się popatrzy na stany nad oceanem Spokojnym położone, można zauważyć, że mamy do obrony bardzo długi, a ważny brzeg morski. Centrum linji obronnej tworzy San Francisco, skrzydłem prawem, a względnie północnem jest Seattle, z dogodnym portem i warsztatami w Bremerton. Los Angeles, a względnie San Pedro jest lewem skrzydłem albo linją południową. Nie jestem wielkim strategikiem, ale jeszcze większe bęcwały ode mnie do takich znajomości sobie prawo rościły. Więc niech mi tu będzie wolno coś na ten temat napisać.

Z tego com widział, jadąc od oceanu do oceanu, w oczy rzuca się ogromne przygotowanie do wojny. Powstały nowe obozy,

młodzież się tam co lato przygotowuje do ćwiczeń wojskowych. Wszystkie departamenty wojskowe są zmotoryzowane. We wszystkich punktach strategicznych napotykasz koszary i zapasy wojenne, które można z łatwością kolejami i drogami przerzucać na wschód lub zachód. W Newadzie, za Reno, znajdują się na pustyni ogromne zapasy amunicji dla floty. Nad oceanem od Seattle, aż do San Pedro silne linje fortyfikacyjne.

Kręci się bat na kogoś? W kim się dopatrujemy naszego wroga, łatwo się domyśleć. Żaden z krajów Ameryki Północnej ani Południowej nam nie zagraza. Anglja ma dosyć swoich kłopotów. Z Francją nie mamy i nie mieliśmy żadnych nieporozumień. Niemcy rozbite, z bolszewikami nie mamy o co walczyć. Jeden tylko stoi wróg na drodze naszej narodowej ekspansji na wschód. Jeden tylko kraj może nam rzucić hasło: Ameryka dla Amerykanów, a Azja dla Azjatów!! Tem mocarstwem jest postępowa, agresywna i znakomicie uzbrojona Japonja.

Jeżeli ktoś te rzeczy bada, zauważy, jak stale, od lat, niby dwie potężne chmury brzemienne w burze i pioruny, zbliżają się ku sobie te dwie potęgi. Rozchodzi się o kontrolę nad oceanem Spokojnym, o eksploatację Chin i Dalekiego Wschodu. Zabranie Mandżurji przez Japończyków i niby to ich walka z „bandytami" nikomu w Ameryce oczu nie zamydliła. Stany Zjednoczone tego im nie przebaczą i nie podarują. Rząd to rozumie dobrze, że Japończycy w Mandżurji mają surowiec potrzebny do ekspansji ekonomicznej i militarnej. Im dłużej im się pozwoli tam gospodarować, tem trudniej będzie ich stamtąd wyprzeć. Japonja przypomina mi lwa, który chwycił jakieś bezbronne zwierzę, zagryzł i zajada najlepsze kąski, groźnie warcząc i pomrukując na tych, którzyby mu chcieli tę zdobycz odebrać.

Kiedym już na ten temat w mej podróży wjechał, chcę tu coś więcej o Ameryce napisać. Żyję, jak to gdzie indziej wspomniałem w „trójkącie" coprawda nie małżeńskim, ale co gorsza — narodowym. Kocham Amerykę, ale także kocham Polskę. Otóż ta nasza kochana Ameryka, którą zawsze uważaliśmy jako naród prawy, uczciwy, niewinny, nie agresywny, ma pod tym względem dosyć zaszarganą i wprost paskudną przeszłość. Jesteśmy w tej samej klasie co Anglja, Francja, Rosja i Niemcy. Dla Europejczyków postawiliśmy, jako mur obronny „Doktrynę Prezydenta Monroego". Nie wolno żadnemu mocarstwu naruszyć ca-

łości i niepodległości któregokolwiek państwa amerykańskiego, nie wyłączając najmniejszych republik bandyckich Ameryki Południowej. To jednak nie przeszkadza Stanom Zjednoczonym w zabieraniu wszystkiego, co im pod rękę wpadnie.

Nie będę powtarzał historji Stanów Zjednoczonych. Pierwszy dorobek skradliśmy Indjanom. Rewolucją przejęliśmy wszystko od Anglji i to jeszcze w porządku. W 1848 roku zbiliśmy na kwaśne jabłko Bogu ducha winnych Meksykańczyków i za karę zabraliśmy im całą południowo-zachodnią połać kraju, z której możnaby wykroić niemal całą Europę, prócz Rosji, i jeszczeby tam coś się zostało. W roku 1898 przez naszą nieostrożność wyleciał w powietrze amerykański okręt wojenny „Maine“ w porcie hawańskim na Kubie. Był to pretekst do wojny z Hiszpanją. Nic nam nie byli winni Hiszpanie. Proporcja sił zbrojnych ta sama, jak n. p. Polski z Litwą.

Nie chcę tu przedłużać tej śmiesznej wojny. Wystarczy nadmienić, że w bitwie pod Santiago, okręty amerykańskie tak kiepsko strzelały, że zaledwo na sto kul trzy trafiały w okręty daleko słabszej floty hiszpańskiej. Tamci jeszcze gorzej strzelali i dlatego zabraliśmy im Kubę, Portorico, Haiti, Filipiny — jednem słowem — wszystko, co się dało. Sumienie nas trochę ruszyło, więc daliśmy biednym Hiszpanom dwadzieścia miljonów dolarów, ażeby sobie kupili kilkanaście tysięcy byków i urządzili przedstawienie, śpiewając „El Torreador“, czy co to tam jest o takim sporcie w operze napisane.

Koniec końcem, zabieraliśmy co się dało. Tylko na ostaniej wojnie wyszliśmy, jak Zabłocki na mydle. Dostaliśmy jako „pamiątkę“ kilka transportów starych niemieckich armat, któremi dosłownie zapaskudzono wszystkie parki amerykańskie. Teraz czas na nową wyprawę. Tylko tym razem to nie będą Hiszpanie.

Opowiadają ciekawą historję z wojny hiszpańskiej. Do jednej z wysp filipińskich zawinął okręt wojenny i ma się rozumieć „wygarnął“ do miasta, ale pewno nikogo nie trafił. Burmistrz usłyszawszy strzały, wsiada do łodzi, jedzie do pancernika i dziękuje za salwę, prosząc jednocześnie o proch, bo go nie mają, dlatego nie może im na „wiwat“ wypalić. Zdziwił się biedaczysko, gdy mu powiedziano, że to nie „wiwat“, tylko — wojna.

Dosyć na tem, że teraz jesteśmy w kłopocie. Kradliśmy, co się dało, i co było wygodnie pod ręką, i to co nam zupełnie

niepotrzebne, owszem bardzo kosztowne i niebezpieczne. Stolica Filipin, Manila, jest 7.300 mil od San Francisco czyli przeszło dwa razy tak daleko, jak z Gdyni do Nowego Jorku, zato tylko 700 mil od Japonji. Mamy tam tylko jedną silną twierdzę, wyspę Corregidor, a reszta stoi bezbronna i łatwo może wpaść w ręce Japończyków. Między nami mówiąc, Filipiny tak są Ameryce potrzebne jak psu piąta noga. Cóż zrobić? Nie można tego z honorem rzucić, sprzedać lub podarować. Trzeba może będzie dostać w skórę, a potem traktatem pokojowym Japończykom oddać.

Wszyscy, nawet wojskowi przyznają, że wojna z Japonją będzie bardzo kosztowna i kto wie, jak się skończy. Trudno będzie się do ich skóry dobrać. Pamiętamy, co dostał Rozdżestwieński pod Czuszimą od floty japońskiej. Napewno oni tu nie przyjadą, tylko my ich będziemy szukali po oceanie Spokojnym. Możemy ich spotkać tam, gdzie się ich najmniej spodziewamy. Zbyt często słyszy się zdanie, że wojna jest nieunikniona. A co najważniejsza, że tak Amerykanie, jak i Japończycy szukają do niej okazji. Skóra ich świerzbi, a nas tak samo.

Zajeżdżam więc do San Pedro, obronnego portu wojennego Uncle Sama. Na plaży mały pawilonik, w którym wycieczkowcy zjadają przekąski, a małe dzieci kąpią się lub budują domki z piasku na plaży. Opodal na choryzoncie, niby potężne krokodyle, siwo pomalowane, leżą okręty wojenne. Śmiercionośne paszcze armat zwrócone na ocean. Poza okrętami bojowemi jest pełno szybkich krążowników i torpedowców. Niemal cała Amerykańska flota wojenna znajduje się na wodach oceanu Spokojnego, zacząwszy od Panamskiego Kanału, aż hen do Seattle w każdym porcie znajdziesz nasze siły bojowe.

Mógłbym tu wpaść w cielęcy zachwyt nad naszą potęgą, ale mnie to już dawno ominęło. Zapomocą lornetki obejrzałem te najnowsze kolosy i „krzewicieli kultury amerykańskiej“. Przedstawia to setki miljonów dolarów, na które ludzie biedni płacą podatki, ażeby innych podobnych nam ludzi, i ich wieloletni dobytek niszczyć i w gruzy obalać. Ggybym był naddyktatorem, kazałbym wszystkich dyplomatów na suchej gałęzi powiesić. To są tylko złodzieje i bandyci we frakach, którzy kradną, rozbijają i niszczą przy stole dyplomatycznym. Ale może zbyt radykalnie się tu wypowiadam, więc — Stop!

San Pedro jest sztucznym portem, zbudowanym kosztem przeszło pięćdziesięciu miljonów dolarów. Daleko w ocean ciągną się potężne mola, doki, składy, krany, jednem słowem wszystko, czego potrzeba do remontu i zaopatrzenia floty jest pod ręką. Wątpię, czy Gdynia ma coś lepszego. Ma się rozumieć, że okoliczne wzgórza są silnie ufortyfikowane.

Wracając przez miasteczko San Pedro, przejeżdżam mimo koszar i fortyfikacyj. Zainteresowały mię dwa potężne, szesnastocalowe działa, zmontowane na specjalnie skonstruowanych wagonach kolejowych. Działa można było z łatwością podnosić w górę i spuszczać na dół. Jedna z armat leżała poziomo na swej lawecie, druga zaś niby śmiercionośny wąż okularnik, wzniosła swą paszczę wysoko ku niebu. Jeden z obsługi działa zapytał się dowódcy, czy chce, aby tak została na niedzielę?

„Możesz ją spuścić", odpowiada oficer.

Żołnierz wskazuje na platformę, odrzuca hamulec i ręczną korbą, bez widocznego wysiłku spuszcza olbrzymie działo, ważące sześćdziesiąt ton, do pozycji horyzontalnej. Nabój t. j. kula z prochem waży około dwóch tysięcy funtów czyli tysiąc kilo. Obie armaty stały na torach kolejowych i mogły w tem kole się obracać we wszystkie strony. W razie potrzeby, możnaby je łatwo przetransportować na inny punkt obronny.

Chciałem zrobić zdjęcie, ale żołnierze powiedzieli, że trzebaby było iść do głównej kwatery po pozwolenie. Wiem, że armata jest rzeczą bardzo pospolitą w Europie, a tem samem i w Polsce, więc też się po to pozwolenie nie fatygowałem, zresztą można takie obrazki z łatwością otrzymać bez trudu. Przy pięknie urządzonych kwaterach oficerskich, są klomby z kwiatami i o szerokich liściach palmy, a opodal stoją na torach dalekonośne szesnastocalowe, sześćdziesięciostopowe kolubryny — co za kontrast!

Wracam bulwarem Pacific, który prowadzi wprost do Passadeny, z pominięciem Los Angeles. W połowie drogi natrafiam na bogate pole nafty. Szyby i wysokie rusztowania pomp były tak gęsto obok siebie poustawiane, że wyglądały niby jeden olbrzymi las studzien. Wszystko w ruchu, czuć swąd oliwy. Tuż obok zbudowano olbrzymie rafinerje, zbiorniki dla nafty i gazoliny. Odkryto pola nafty nad brzegiem oceanu w pobliżu Wenecji,

niby tutejszej, a nie włoskiej, i niektóre szyby nawet bito w oceanie, byle tylko dostać drogocenną ropę.

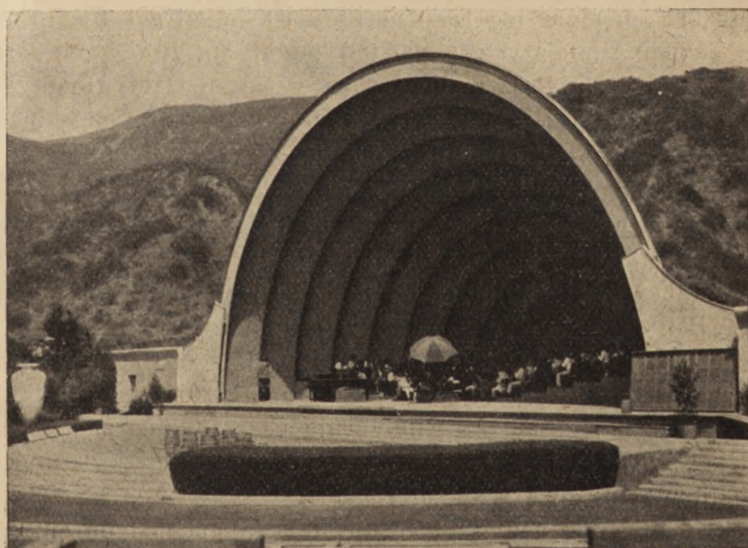
Na przedmieściu Los Angeles, blisko jednego z parków, przejeżdżam mimo ciekawego kościoła. „Proboszczem“ tego religijnego przedsiębiorstwa, głoszącego „kwadratową“ ewangelję — fiurquare gospel — jest kobieta, Aimee Semple McPherson. Mieszka we wspaniałym pałacu, któregoby mógł jej pozazdrościć którykolwiek z biskupów polskich, a nawet sam Prymas w lepszym nie mieszka. Kościół obok jest bardzo przestronny.

Ludzie w sąsiedztwie powiadają, że gdy Aimee odprawia nabożeństwa, to kościół jest po brzegi zapełniony „wiernymi“, szczególnie mężczyznami. Nieraz to się wszyscy nawet do wnętrza świątyni dostać nie mogą. Gdy zaś przyjdzie do kolekty, co w naszych stosunkach religijnych jest czynnikiem bardzo ważnym, powiedziałbym barometrem, wówczas nasza sympatyczna pryczerka nie dostaje „Indjanów“ — centów ani „niklów“, jak my biedacy, ale pobożni i gorliwi mężczyźni sypią dolarami i to w dodatku piątkami i dziesiątkami. Jej mąż pomaga w tych ceremonjach. Na wstępie zaznacza, jak będzie ubrana, uczesana i co im powie. Wszystko oczywiście licznie zgromadzonych „samców“ ludzkich ogromnie podnieca i zaciekawia, bo Aimee jak tu mówią ma „it“ — wpływ na mężczyzn — wprost ich elektryzuje. Raz zwrócił mąż jej „wiernym“ uwagę, aby na ofiarę nie rzucali brzęczącej monety, gdyż to nowoczesną „ewangelistkę“ denerwuje i przeszkadza jej w modlitwie. Usłuchali — zamiast „ćwierciaków i półdolarówek“, jak płatki śniegu lub liście jesienną porą, do koszyków, cichutko, bez szelestu, sypały się — banknoty. Gdyby ktoś księdzu rzucił dziesiątkę, tenby napewno zemdlał ze wzruszenia.

Aimee miała już kilka skandalików na tle erotycznem, kilka razy ze swą mamusią, także pryczerką, się poważniła. Pokątne, a sensacyjne miłostki, rozwody i tym podobne małe nic nieznaczące drobnostki życiowe, w prasie obficie rozgłaszane, zastępują cnoty i życie bogobojne innych ludzi, zresztą nie mają nic do czynienia ze „zbawieniem“ dusz przez naszą „gorliwą“ pryczerkę. Widać, że posiada niezwykłą siłę magnetyczną, która ciekawych bęcwałów do jej świątyni przyciąga i dolary z ich kieszeni do jej koszyczków tysiącami wygarnia. Czego to kobiety w Ameryce nie próbują. Aimee niekiedy w swej „gorliwości“,

urządza „misje“ w wielkich miastach. Gawiedź ciekawa wypełnia wówczas hale po brzegi. Takie rzeczy jej się grubo opłacają. Oceniają wartość jej „świątyni“, mieszkań i posiadłości na miljon dolarów: Jak na kobietę — to wcale nie zły „bizness“.

Passadena jest stolicą amerykańskich miljonerów. Według urzędowej listy, zamieszkuje ich tu więcej, aniżeli w któremkolwiek innem mieście amerykańskiem. Uroczy klimat, dogodne warunki, bliskość morza, rozmaitość scenerji przyciągają ich tutaj. Szerokie ulice wysadzane szpalerami palm i pięknemi, o drobnych listkach, drzewami pieprzowemi, aż nadto wymownie świadczą, że nie biedacy, tylko miljonerzy i ludzie zamożni tu się



Scena vis à vis Amfiteatru w Hollywood.

gnieżdżą. Pałace i rezydencje w stylu hiszpańskim, otoczone palmami i egzotycznemi kwiatami wzbudzają podziw turystów. Passadena Ave i Orange Grove Ave, są słynne na całą Amerykę.

Szesnaście lat wstecz, gdy się włóczyłem po tych kątach, największą atrakcją miasta były przepiękne ogrody Krezusa piwnego ze St. Louis Adolfa Bush. W przestronnej dolinie, kosztem miljonów dolarów zbudowano liczne altany, ścieżki, posągi, ruczaje, wodospady, ogrody róż i tropikalnych kwiatów. Czegoś

tylko zapragnął, cokolwiek za pieniądz można było kupić, znajdowało się w tej uroczej dolinie. Cała mitologja niemiecka w bronzach, bożkach i kraśnoludkach była bogato reprezentowana. Chciałem to jeszcze raz zobaczyć i podziwiać. Niestety — spotkał mnie przykry zawód. Wszystko opróżnione, a na bramie wjazdowej umieszczono wielką tablicę z napisem „For Ssle“ — na sprzedaż. Zetknąłem się twarzą w twarz ze skutkami prohibicji.

Jest tu jeszcze kilka ciekawych miejsc do zwiedzenia, więc też nie będę się zbytnio trapił nad ciężkim losem niemieckiego barona piwnego.

Nie można pominąć kilku ciekawych „farm“ czyli gospodarstw, jakich może nie znajdziecie w jakiemkolwiek innem mieście. Jeden z tutejszych obywateli hoduje rasowe konie arabskie, ale to i w Polsce u magnatów by się znalazło. Drugi prowadzi hodowlę strusi. W czasach, gdy kobiety, niewolnice mody, nosiły ne głowie to, co strusie mają na ogonie, czy pod ogonem, hodowla tych ptaków ogromne przynosiła zyski. Jest również ciekawe gospodarstwo czyli farma, na której hodują krokodyle, zwane „aligatorami“. Ze skóry krokodyli tutejszych wyrabiają kosztowne walizki, portmonetki, torebki i inne tego rodzaju artykuły. Bardzo to pięknie wygląda i słono za to trzeba płacić. Krokodyl z jedną sprawą nie ma kłopotu: nigdy nie potrzebuje chodzić do dentysty, gdyż nie ma zębów. Przynajmniej tutejszy gatunek ich nie posiada. — Innym do paszczy nie zaglądałem, i zdaje się, że to jest trochę niebezpieczna rzecz krokodylowi do ogromnej paszczęki zaglądać.

Sądziłby niejeden, że takie stworzonko na małych łapkach, z dużą paszczą, a jeszcze większym ogonem, nie potrafi się szybko posuwać. Tymczasem są to bardzo ruchliwe zwierzęta. Kilku ze starszych obywateli karcerka, w którym żyją, było doskonale poharatanych. Temu brakowało nogi, tamten stracił połowę ogona. Są to skutki bratobójczej walki. Szczęki krokodyla funkcjonują, jak potężne nożyce. Gdy temi szczękami kłapnie, to tak, jakbyś siekierą uciął! W walce między sobą każdy uważa, by go antagonista nie chwycił za nogę lub ogon. To widać są ich słabe strony.

Dozorca wyrzucił młodym krokodylom kawał mięsa, może jakie dwadzieścia funtów. Wszystko się do tego żeru zleciało.

Każdy chwycił do paszczy, ile tylko mógł, i trzymając silnie kawał mięsa, szybko się przewracał, niby mały wałek, tak długo, aż ten kąsek oderwał. Zajmujące to było patrzeć, jak małe




Właściciel farmy lwów — Passadena.

i duże krokodyle się przewracały, a każdy trzymał w paszczy kęs mięsa.

Najciekawszą i najoryginalniejszą, może jedyną na świecie, jest Gays Lion Farm — farma lwów, założona przez p. Gay.

Ciekawe w swym gatunku przedsiębiorstwo znajduje się na przedmieściu Passadeny, El Monte. Zajeżdżam przed piękny budynek, z frontu otoczony palmami, a naokoło murem, z poza którego widać wysokie, afrykańskie trzciny i słychać groźny ryk królów zwierząt. Taki ryk, wyobrażam sobie, słyszano w Coliseum, gdy lwom na pożarcie rzucano Chrześcijan.

Zapłaciłem pół dolara wstępu. Wchodzę do obszernej sali, wygodnie urządzonej. Na ścianach wiszą obrazy lwów, w jednym z pokoi wspaniały okaz — króla zwierząt — wypchanego w majestatycznej pozie. Wychodzę do ogrodu, obejmującego parę akrów ziemi. Wzdłuż wysokich ścian mieści się kilkanaście obszernych zabudowań. W środku niewielkie ogrody, wysokiemi, żelaznemi sztachetami ogrodzone, w których spokojnie spacerują, śpią lub na kłodach drzew się wygrzewają — lwy.

Jest ich przeszło dwieście, starych, młodych i niemowląt. Bardzo mnie to interesowało, więc też się im pilnie przyglądałem. Lwy tak samo nie spuszczały mnie z dużych, kosych ócz, a niejeden się nawet obliznął i widząc nowoczesnego „krześcijona", bo jeszcze do tego cechu należę, gotów byłby mnie „skosztować". Widząc potężne, żelazne sztachety, czułem się dosyć bezpiecznie i śmiało nie jednemu, ale całej zgrai spojrzałem w ślepie. Może i Prorok Daniel się do podobnej jaskini dostał i wielkiego gwałtu z tego powodu w Piśmie św. narobił. Któż go tam wie?

Patrząc w ich duże, siwe, a napozór niewinne i ciekawe ślepie, odnosi się wrażenie, że ma się przed sobą dużego kota. Podobno to jacyś dalecy krewni. Wielce szanuję i podziwiam lwy, nienawidzę i bez pardonu strzelam koty. To jedyne teraz polowanie, które z przyjemnością uprawiam. Nasycony lew jest zupełnie spokojnem zwierzęciem. Zresztą ludzie także są spokojniejsi, gdy sobie brzuch czemś smacznem wypchają.

Zarządca nie był uzbrojony. Dobry bat mu wystarczył, nawet i tym żadnego zwierzęcia nie karcił. Jednakowoż był zawsze ostrożny i nie pozwalał na to, ażeby lew zachodził go z tyłu. Taki manewr mógłby się okazać niebezpieczny, wprost fatalny, dlatego miał je wciąż na oku, a one również pilnie go obserwowały.

Lwy podzielono tu nu kilka grup, stosownie do wieku i płci. Stare lwy rozlokowywano zawsze po jednym w klatkach żelaznych.

Gdy się zbliżała pora obiadowa, napędzano każdego lwa do osobnej klatki i pod zamknięciem go karmiono. Gdyby im rzucono kilka kawałów mięsa, powiadał zarządca, to ten któryby swoją porcję najprzód pożarł, rzuciłby się na tego, który jeszcze miał coś do jedzenia. Nastąpiłaby wtenczas ogólna walka, w której najsłabszy, a może i kilka, przepłaciłoby życiem. Gdy już każdy jest w swej klatce zagrodzony i zamknięty, przywożą taczką świeżego końskiego ścierwa razem z wnętrznościami. Widać, że lwy także lubią „flaczki", tylko na surowo i nie czyszczone, ale tak jak je z konia wydobyto, niby „en nature".

Przypatrywałem się ich uczcie. Dostają żreć tylko raz na dzień. Menu lwa jest bardzo prosta: kawał świeżego ścierwa i woda — nic więcej. Raz na tydzień zachowują post ścisły. W poniedziałek cały dzień nic prócz wody nie dostają, aby dać żołądkowi wypoczynek. Ludziom równieżby to nie zaszkodziło.

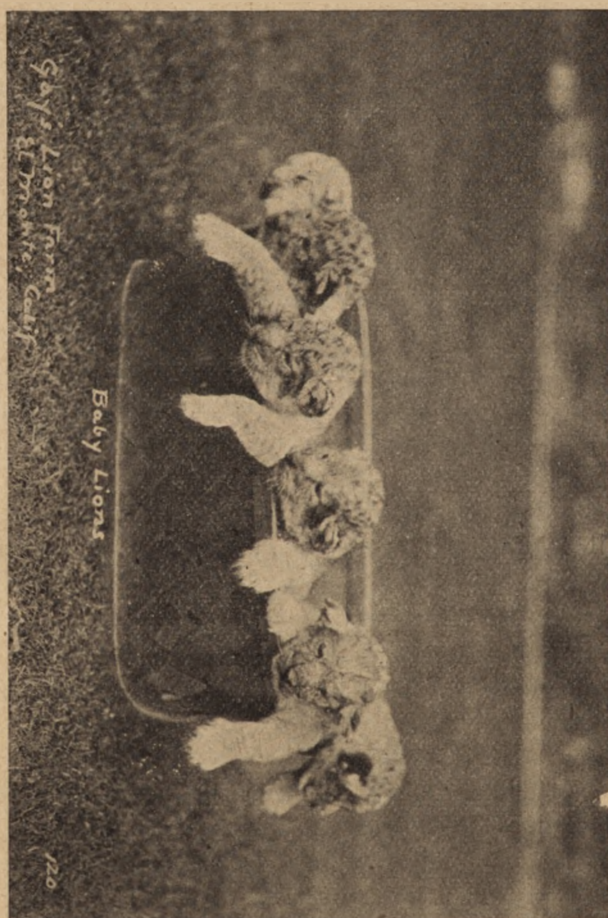
Gdy już lwy poczują żer, rzucają się na schab koniny i warczą groźnie. Jeden był bardzo ciekawy. Zanim mu dano żreć, kazali mu wywrócić kilka koziołków. Lew natychmiast się przewrócił. Zato dostał lepszą porcję. Gdy wrzucili do klatki kilkunastofuntową porcję mięsa i jelit, lew się na to rzucił, potężnemi łapami przytrzymał i na wszystkich groźnie warczał. Rozszarpałby człowieka lub kogokolwiek, gdyby im żer chciał odebrać.

Ciekawe zrobiłem tu spostrzeżenie co do usposobienia poszczególnych lwów. Nie tylko wśród ludzi, ale także wśród zwierząt, ptactwa, a nawet owadów są olbrzymie różnice, może przez zwykłego człowieka nie zawsze dostrzegalne. Zarządca wszedł do klatki, gdzie było kilkanaście sztuk młodych lwów. Jednego z nich mógł głaskać, klepać, za ogon ciągnąć na wszystkie strony, niby dużego kociaka, a lew najmniejszej na to nie zwracał uwagi. Myślałbyś, że to jakie swojskie, domowe zwierzę. Z innemi na takie żarty sobie nie pozwalał.

Jeszcze więcej dało się to zauważyć wśród małych, może sześciomiesięcznych lwiątek. Były to sobie takie małe pędraki, do małych pękatych piesków podobne. Niektóre przyszły i bawiły się z zarządcą, łapkami drapiąc cholewy jego butów. Jeden z nich wprost nie posiadał się ze złości. Ostre ząbki wyszczerzał, warczał i strasznie się rozgniewał na swego chlebodawcę. Niczem

nie dał się udobruchać. Jeżeli taki szczęśliwie wyrośnie, napewno wykieruje się na bandytę wśród lwiej rodziny.

Lwice zwykle troskliwie wychowują i karmią swe młode. Nie wolno jednak ludziom takiego małego lwiątka w czasie jej




Kosz lwiątek w Passadena.

nieobecności dotykać. Gdyby matka wróciła i zauważyła, że od lwiątka zalatuje woń ludzka, napewno je zabije. Tak przynajmniej twierdzi przewodnik.

Zdarzają się wypadki, gdzie lwice dla niezrozumiałych powodów nie troszczą się o swoje pokolenie. Takie „sieroty“ zabiera pod swą opiekę pani Gay i własnoręcznie je karmi z butelki, niby

małe kociaki. Dwie takie sierotki miała pod swą opieką. Codziennie dostają parę kwart mleka. Na butelkę nakładają smoczek i lwiątko wyssie mleko tak samo, jak dziecko. Prócz tego, parę razy dziennie dostają porcję surowego mięsa. Noworodki są przez pewien czas karmione tylko mlekiem, później dostają trochę krwi, a dopiero po dłuższym czasie wolno im posmakować kawałek surowego mięsa.

Dobry, wyrosły lew wart jest od sześciu do dwunastuset dolarów. Sprzedają je do cyrków i ogrodów zoologicznych. Niektóre z lwów robią karjerę i występują na ekranie. Jeden z wielkich lwów, „Gilmore“ swym rykiem oznajmia wyświetlenie wiadomości z tygodnia przez jedno wielkie towarzystwo filmowe. Lwy występujące w ruchomych obrazkach są przeważnie wybierane z tej farmy. Właściciel czasem używa przejażdżki na lwie, zwanym Pluto.

Pytałem się zarządcy, jakim chorobom podlega jego „chudoba“. Otóż padają ofiarą tych samych chorób, co ludzie. Jedne dostają zapalenia płuc, inne umierają na suchoty, inne znów na raka kończą lwi żywot lub na zapalenie ślepej kiszki. Czasem się zdarzy wypadek, gdzie jeden drugiego zażre, ot — jak i u ludzi.

Ta nowoczesna „lwiarnia“ pożera dziennie trzy konie. Mają tu rzeźnię koni i stare wycofane, kulawe konie biją na miejscu i karmią tę dziką trzodę. Dlatego też jeden lew cierpiący na niestrawność, zwierzył mi się ukradkiem, że jedzenie u nich jest do niczego, dają taką podłą koninę, że nawet człowiekby jej nie ugryzł. Bardzo z nim współczułem, niby Z. Nowakowski z Krakowskim ludem. Zarządca uważa na wygląd i sierść lwa. Jeżeli spada na wadze, dostaje większą porcję mięsa, jeżeli zbytnio go przybywa, zastosowują djetę. Każdy lew wie, kiedy nadchodzi jego pora obiadowa. Chociaż słyszy ryk innych lwów, czekających na żer, leży sobie spokojnie, bo wie, że to nie jego kolejka. Gdy atoli nadejdzie jego godzina obiadowa, tak samo się niecierpliwi i porykuje, aż mu dadzą jego porcję. Zresztą u ludzi to samo można zauważyć, jeżeli obiad późno podają.

Powiedzieli mi tutejsi obywatele, że koniecznie powinienem zwiedzić słynną galerję obrazów i bibljotekę, założoną przez multimiljonera Henryka E. Huntington'a.

Rodzina Huntingtonów zalicza się do najstarszych pionierów i patrycjuszów amerykańskich. Wdowa z dziećmi przybyła do

Ameryki w roku 1632-gim, ojciec Szymon Huntington umarł na okręcie. Przez dłuższy czas Huntingtonowie mieszkali w Norwich, Conn., a więc i moje upośledzone Norwich z czegoś słynie, bo ich potomkowie jeszcze tu mieszkają. Jeden z Huntingtonów podpisał słynny dokument amerykański: — Deklarację Niepodległości.

Wuj założyciela tego wspaniałego muzeum był jednym z głównych budowniczych kolei Southern Pacific. Sprowadził do Kalifornji bratanka Henryka, który przez pewien czas u niego w biurach pracował. Widząc olbrzymią przyszłość stanu, zabrał się do tworzenia spółek tramwajowych, wykupywał realności, parcelował i zakładał miasteczka, które się znakomicie rozwijają i prosperują. Na tych transakcjach realnościowych zrobił kolosalną fortunę.

W Passadena zbudował bogaty pałac, któregoby mu mogli pozazdrościć europejscy książęta. Otoczył wzgórze cudnym parkiem, obejmującym przeszło dwieście akrów. Z jednej strony pałacu prowadzi wspaniała szeroka aleja tui, przypominająca Schönbrunn we Wiedniu. Wśród tego muru wysokich drzew poumieszczano statuy greckich bogów. Na końcu bije cudna fontanna. Z przeciwnej strony piękne tarasy wiodą do ślicznego japońskiego ogrodu, tylko daleko większego od tego, który widziałem w Hollywood. Botanik znalazłby tu rzadkie okazy drzew i roślin sprowadzonych ze wszystkich zakątków świata. Każdy krzew, kwiat i drzewo ma tabliczkę z botaniczną nazwą kraju, z którego pochodzi.

Osobno możesz się rozkoszować w dużej alei róż i w „Tea Garden“ urządzonym po japońsku. Opodal znajdziesz sad pomarańcz i innych smacznych owoców. Szeroka żwirem wysypana droga; prowadzi do małego wzgórza wśród sadu pomarańcz. Tam w pięknem marmurowem mauzoleum, otoczonem wygodnemi, marmurowemi ławkami, spoczywają zwłoki fundatorów Henryka i Arabelli Huntingtonów. Oboje zmarli kilka lat temu.

Przepiękny pałac, ogromny, cudownie urządzony park i obszerna bibljoteka, wraz ze wszystkiemi arcydziełami, oddane zostały przez fundatora miastu Passadena. W testamencie wyasygnował znaczne fundusze na utrzymanie tych bogatych miljonowych zbiorów.

Zajeżdżamy przed bramę. Urzędnik zadaje kilka pytań i wypisuje bilet wstępu. Wchodzę do bogatego pałacu w stylu rene-

sansowym. Wszędzie umundurowani urzędnicy dają pilne baczenie na gości, aby ktoś przypadkowo czegoś nie wsunął do kieszeni lub też nie uszkodził.

Na bogatą galerję obrazów składają się przeważnie portrety angielskich piękności z ośmnastego wieku, stworzonych przez najwybitniejszych malarzy angielskich, jak Sir Henry Raeburn, Sir Joshua Reynolds, Sir Thomas Lawrence, J. M. Turner, a najwięcej obrazów w tej kolekcji jest pędzla Tomasza Gainsborough. Tu znajduje się także jego „Blue Boy", szacowany na blisko miljon dolarów i uważany za jedno z największych arcydzieł pędzla angielskich artystów. Powiadają, że był to synek kowala, którego artysta malował w tych kolorach, dlatego że twierdzono, iż to było zbyt trudne tło do wiernego oddania na płótnie.

Obraz Turnera „The Marriage of the Adriatic" także jest szeroko znany i zaliczany do najlepszych z tej bogatej kolekcji arcydzieł.

Poza obrazami, jest także bogaty zbiór gobelinów francukich, z okresu Ludwika XV jak Franciszka Boucher i innych znanych artystów tego okresu. W parlorze rozstawiono dziesięć krzeseł w stylu i z okresu Ludwika XVI. Drzewo ręcznie rzeźbione, a obicie jest według desenia Franciszka Boucher. Obrazuje ono bajki La Fontainea.

Bogate dywany na podłogach pochodzą od czasów Ludwika XVI, specjalnie robione dla królewskiego pałacu w Louvre. Stoły i stoliki w bogatych pokojach rozstawione, jak rownież wazony, zegary i bronzy, reprezentują najlepsze okresy sztuki francuskiej.

W jednej z sal znajduje się kilka wspaniałych okazów angielskich mebli w stylu „Chippendale", a także bogata kolekcja porcelany angielskiej i tabakierek francuskich z szesnastego, siedemnastego i ośmnastego stulecia. Bogato pozłacane i z cudną emalją i malaturą tabakierki, pudełeczka do czekoladek i przysmaków były w modzie na dworach królow francuskich. Znajdziecie również wspaniałe okazy sztuki słynnego Jeanna Petitot i Ludwika Van Blarenberghe.

Zaciekawia znawców bardzo bogata kolekcja minjatur angielskich, wykonanych przez słynnych artystów z ośmnastego wieku, jak Cosway Ryszard, Engelheart Jerzy, Grimaldi Wilhelm, Humphrey Ozias, Paillou Piotr i wielu innych.

Bardzo dużo ludzi zwiedza tę bogatą galerję i muzeum przedmiotów artystycznych i drogocennych. Ile to wszystko przedstawia miljonów wartości, trudno powiedzieć. Nikt z urzędników nie potrafi mi podać ceny nawet w przybliżeniu. Wiadomo tylko, że to kosztowało grube miljony dolarów.

Olbrzymi pałac na pierwszem piętrze, a także na drugiem (w Ameryce parter nazywają pierwszem piętrem) jest poprostu zawalony obrazami, meblami, bronzami, gobelinami i artystyczną ceramiką. W bibljotece za szkłem całe rzędy drogo oprawnych tomów dodają zabytkom pewnego poważnego tonu. Widać, że fundator nie tylko potrafił „robić“ pieniądze, ale znał się także na sztuce i był zapewne zagorzałym kolektorem arcydzieł sztuki i na te artystyczne luksusy trwonił pieniądze, co w zupełności pochwalam. Lepiej je wydać na dzieła sztuki, niż na karty lub co gorszego.

Nie wszystkie zabytki znajdują się w pałacu. Trzeba było zbudować jeszcze drugi obszerny, w stylu klasycznym gmach, zwany bibljoteką. Prócz kilkunastu olejnych obrazów, a między niemi znajdują się portrety fundatorów, jest także w bibljotece bogata kolekcja bronzów i rzeźb z marmuru przez słynnych artystów. Zauważyłem arcydzieła francuskich rzeźbiarzy, jak Jean Antoine Houdon, Jean Baptiste Pigalle, Jean Jaques Caffieri, Maurice Etienne Falconet i wielu innych.

Poza arcydziełami dłóta i pędzla, bibljoteka zawiera masę drogocennych wydań książek, starych unikatów, manuskryptów i innych dokumentów, przeważnie dotyczących historji Stanów Zjednoczonych. Wielu z uczonych przychodzi je badać i studjować.

Wspaniały to pałac, otoczony cudnemi ogrodami i napełniony arcydziełami sztuki. Królowie i możnowładcy nie mogą się czemś lepszem poszczycić. Jedno pasmo życia, trzy ćwierci wieku, od 1850 do 1927-go wystarczyły, aby zebrać ogromną fortunę, zbudować bogaty pałac, otoczyć go ogrodami i zapełnić to wszystko artystycznemi statuami, bronzami, obrazami i innemi arcydziełami sztuki. Instytucja jest przez fundatora bogato wyposażona. W testamencie jest przewidziany komitet, który to ma pod swą kontrolą i czuwa nad tem, aby wyjątkowa kolekcja służyła do użytku ludzkiego.

Między wielu zabytkami miasta jest jeszcze jeden zakład, który należy odwiedzić. W porównaniu do pałacu Huntingtona, jest to

lichota, a jednak pod wielu względami daleko drogocenniejsza. Mam na myśli kościół, a właściwie jak tu mówią „misję“ św. Gabrjela.

Zajeżdżam więc przed bramę misji św. Gabrjela Archanioła, czwartej z rzędu najstarszej osady zakonnej w Kalifornji. Stare, grube mury pokryte są tynkiem, na którym rozścieliły się róże i winogrona. Niektóre krzewy róż i winogron mają ponad sto lat i pamiętają początki tych ciekawych a pożytecznych zakładów.

Stary furtjan otwiera bramę, wprowadza mnie do poczekalni, w której znajdują się stare zabytki, książki, dewocjonalja, obrazki i inne nowe i stare przedmioty. Odrazu daje się odczuć, że tu półtora wieku patrzy na ciebie, a ty zaś na to, co ludzie dawno budowali w bardzo trudnych warunkach, przy chętnej, lecz nieudolnej pracy tubylców. Wszystko proste, grube, twarde i na ząb czasu odporne.

Przewodnik oprowadza nas po starym kościele i pokazuje zabytki. Z ciężkich, prostych szuflad wydobywa ornaty i kapy, ręcznie robione przez nabożne seniority hiszpańskie. W „muzeum“ leżą grube, stare drzwi cedrowe, które otwierano tylko na wielkie uroczystości. W tych podwójnych drzwiach była atoli mała furta, którą można było otworzyć i wejść bez fatygi otwierania ciężkich podwoi. Z zainteresowaniem oglądam sprzęty, miski miedziane i przybory żelazne, sprowadzone z Meksyku, a nawet niektóre wprost z Hiszpanji. Transport towarów był wówczas bardzo powolny. Zanim list doszedł do Hiszpanji i stamtąd wróciła odpowiedź, zajęło to sporo czasu, zwykle dwa lub trzy lata. Ludzie się wtenczas nie spieszyli. Ale ich praca i budowle przetrwały wieki całe.

Kościół jest 104 stopy długi, 27 szeroki i 30 wysoki. Powała była kiedyś w formie łuku, spoczywającego na potężnych skarpach, które nazewnątrz umocniono zapomocą silnych omurowań, zwanych „butresses“ czyli machons.

Styl trudnoby określić. Jest to poniekąd kombinacja kilku odrębnych stylów. Widać tu cośkolwiek wpływów hiszpańskich, renesansu, trochę dołączono linji arabskich, a wszystko jest nakrapiane surową prostotą franciszkańską. Były to bowiem czasy, gdy zakonnicy owiani duchem apostolskim pisali złotą kartę swych dziejów.

Pierwszy sufit kościoła był w formie łuku, budowany z kamienia i cegły. Dlatego mury i pilastry zbudowano tak silnie, aby ciężar sufitu utrzymać, trzęsienie ziemi jednak go zawaliło i teraz zeszpecono wewnetrzną harmonję świątyni, zastępując potężne luki powałą, zrobioną z deszczułek, ciemnym pokostem pokrytych.

Ołtarz nie przedstawia żadnej artystycznej wartości. Pochodzi z ośmnastego wieku, gdy klasyczne linje zastępowano „churriguieresco". Pełno niszy, gzymsów, i dekoracyj, które nie robią bardzo miłego wrażenia. Na piedestałach i w niszach ołtarza umieszczono statuy św. Joachima, Franciszka z Asyżu, św. Dominika, św. Antoniego z Padwy, Gabrjela Archanioła i Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej, do której tutejsi zakonnicy mieli szczególniejsze nabożeńswto. Statuy również nie przedstawiają większej wartości artystycznej, chyba tylko jako antyki.

Przy wejściu głównem i nieco z boku zbudowano małą kapliczkę, a właściwie „baptisterium". Sufit półokrągły przypomina połówkę pomarańczy „madia naranja". W środku umieszczono chrzcielnicę z pokrywą misternie kutą z miedzi. Koncha do chrztu św. używana, w kształcie muszli, jest ze srebra i prawdopodobnie sprowadzona z Hiszpanji. Puszki do Olejów św., kadzielnica, kropielnica także są ze srebra i przechowały się tu niemal od założenia misji. Jeżeli sobie dobrze przypominam, to według zapisów parafjalnych, przeszło pięć tysięcy dzieci i starszych otrzymało tutaj sakrament Chrztu św. Pokazywano mi także stare metryki chrztów, ślubów i pogrzebów.

Dziewięciu księży spoczywa pod posadzką głównego ołtarza lub też w innych częściach kościoła. Pierwszym był Ks. Miguel Sanchez, umarł w lipcu 1803 roku. Ks. Bernardo Sanchez umarł w styczniu 1833-go roku, z żalu nad konfiskatą misyj przez rząd meksykański. Pochowano go u stóp ołtarza.

W kościele i muzeum kościelnem znajduje się kilka olejnych obrazów, pędzla artystów hiszpańskich, przeważnie ze szkoły Sevilskiej, założonej przez Murilla. Niektóre z obrazów posiadają jego podpis, a napewno są malowane przez jego uczniów. Tematy, jak zwykle w owych czasach bywało, czerpano z pisma św. Więc mamy obraz św. Pawła, ukąszonego przez żmiję na wyspie Malcie, Sen św. Józefa, św. Piotra, kilka obrazów Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej, pędzla nieśmiertelnego Murilla.

Obrazy malowane są na grubem płótnie bo liczono na eksport i tanią cenę.

Znajduje się tu także kilka arcydzieł artystów włoskich. Pięknego obrazu Marji Magdaleny twórcą ma być Correggio. Prócz tego są także stare kopje obrazów Rafaela del' Sarta i innych. Pozatem o mniejszej artystycznej wartości są obrazy pochodzenia meksykańskiego, przedstawiające objawienie Matki Boskiej z Guadalupe, a nawet sztychy przez Indjan malowane i rzeźbione. Nie przedstawiają jednak żadnej większej wartości artystycznej, chociaż przyznać trzeba, że kierowała nimi głęboka wiara i miłość dla Kościoła Chrystusowego.

Ciekawe było życie w tych misjach franciszkańskich. Dzień rozpoczynano modlitwą. Rano dzwoniono na Anioł pański, odprawiała się codziennie Msza św., następnie każdy z księży i ludzi świeckich, nadto każdy przy misjach zamieszkujący Indjanin szedł do swego zajęcia. Był odpowiedni czas na zabawy i na wypoczynek.

W niedziele i święta zawsze odbywały się solenne nabożeństwa z kazaniami, a często z procesją, w której chętnie brali udział neofici Indjanie. Wieczorem zawsze były nieszpory. Księża nie tylko zajmowali się pracą kościelną, nauką i katechizacją dzikich, ale również pracowali z nimi w polu i uczyli tubylców uprawy roli, hodowli bydła, drobiu i owoców. Wielu z Indjan otrzymało fachowe wykształcenie na murarzy, stolarzy, kowali, cieśli i t. p. Kobiety uczyły się szycia, haftowania, przędzenia wełny i na krosnach wyrabiały płótno na koce i niezbędne ubrania.

Panował w takiej misji ład i porządek. Do obrony placówek rząd przydawał zawsze straż wojskową czyli „escolta“. Nieraz żołnierze tworzący ową „eskortę“ zbytnio sobie pozwalali. Z tego powodu biedni Franciszkanie mieli dużo kłopotu. Nie tylko że często zaglądali do kieliszka, i uprawiali gry ale gorsza — zadawali się w poufałe i wprost niemoralne stosunki z Idjankami, to zaś prowadziło do rozruchów i krwawych napadów.

Przy kościele i mieszkaniu księży stawiano rzędy lepianek na biało wapnem pomalowanych. W tych kwaterowali żołnierze, rzemieślnicy, a Indjanie zakładali przy nich swe obozy. Zawsze im było lepiej przyjąć cywilizację i zwyczaje chrześcijańskie, niż tułać się po lasach, szukając niepewnej strawy. Tu mieli byt

zabezpieczony. Otrzymywali ubranie, żywność i pomieszkanie. Pracowali zato w polu przy uprawie roli, jarzyn, owoców.

Dla dziewcząt były osobne mieszkania zwane „monjerjo“, rodzaj klasztoru. Zarządca co wieczór kontrolował liczbę dziewcząt, o pewnej godzinie zamykał drzwi na kłódkę i oddawał klucz gwardjanowi. Na rano zaś otwierał i wszystko z modlitwą rozpoczynało codzienne zajęcia.

Nie było tu wtenczas zakonnic, aby się zajęły wychowaniem dzieci osadników i młodych Indjanek. Tę pracę oddawano kobietom bogobojnym i świątobliwym, zwanym „beatae“. Niektóre z tych duchownych przewodniczek i dyrektorek oddawały się całem serem chlubnemu zawodowi, ponieważ doznały zawodów w życiu lub miłości.

Znany był romans młodej, bardzo pięknej czarnookiej córki miejscowego gubernatora, Seniority Maria Conception Arguello, z młodym rosyjskim oficerem M. de Resnoff. Rosjanie byli władcami Alaski i zapuszczali się na wody południowe za połowem ryb i drogocennych futer. W Kalifornji nawet, na północ od San Francisco, mieli swą placówkę, którą od nich wykupił Sutter. Młody Rosjanin, jako członek cesarskiej rodziny, wyjechał do Moskwy prosić o pozwolenie cara na ślub z nadobną Hiszpanką. Zginął na bezludnych stepach Syberji. Gdy się o jego tragicznej śmierci dowiedziała narzeczona, nieutulona w rozpaczy postanowiła oddać się pracy wychowawczej i misyjnej. Została „beatą“ i dyrektorką misji Dolores. Po kilkunastu latach wstąpiła do klasztoru Dominikanek i tam żywot zakończyła w roku 1857, jako siostra Marja Dominika.

Przed przyjściem OO. Franciszkanów i przed ufundowaniem misyj, tutejsi Indjanie żyli w bardzo nędznym stanie tak pod względem fizycznym jak i moralnym. Z natury leniwi do pracy, a pochopni do gry i szulerstwa, oddawali się wszelkim występkom i żyli w najwyższym stopniu niemoralności.

Mężczyźni i niewiasty palili tytoń. To samo zresztą można powiedzieć o naszem „cywilizowanem“ społeczeństwie. Chętnie tańczyli, tylko były to daleko odmienne tańce od naszych nowoczesnych podrygów. Mężczyźni przeważnie tańczyli w stroju adamowym. Taniec u wszystkich szczepów indjańskich polegał na pewnych rytmicznych podrygach, podskakiwaniu, zwykle przy rozpalonem ognisku. Przy tym ceremonjale wykrzykiwano i wy-

wijano „tamahawkiem" czyli kamiennym toporkiem lub nożem. Kobiety zaś przy ponurym głosie bębnów podrygiwały coś w rodzaju nowoczesnego „shimmy". Walców, kadrylów, foxtrotów, rumbów, polonezów Indjanie nie znali. Na tańce i na wyprawy wojenne Indjanie malowali twarze czerwoną glinką, niby nasze nowoczesne panienki. Nie wiem tylko, kto więcej kładł na siebie farby: czy Indjanie czy nasze paniusie. Zdaje się, że Indjanie pod tym względem byli oględniejsi od naszych malowanych laleczek.

Wkrótce po przybyciu OO. Franciszkanów i założeniu misyj można było zauważyć zmianę w życiu Indjan. Zaciekawiły ich i przyciągnęły do siebie ceremonje i wspaniałe nabożeństwa, oraz szaty liturgiczne misjonarzy. Najprzód zdaleka i z obawą przyglądali się procesjom, nabożeństwom, śpiewom i Mszy św. Swą łagodnością, dobrocią i małemi podarunkami, szczególnie przy pomocy paciorków, płótna, przysmaków zjednywali ich misjonarze. Powoli zaczęli brać udział w śpiewach i procesjach kościelnych, następnie zaczęli się uczyć rzemiosł, jak murarstwa, stolarstwa, szewctwa, hodowli drobiu, trzody, uprawy roli, owoców, jednem słowem następowała metamorfoza. Z dzikiego Indjanina wyrabiał się cywilizowany, czerwonoskóry rzemieślnik, gospodarz i chrześcijanin.

Przypuszczam, że tych samych sposobów używali Cystersi, Benedyktyni i inni zakonnicy, gdy budowali klasztory w lasach wśród dzikich plemion, zalewających Europę po wielkiej wędrówce ludów. Z tych barbarzyńców przez wytrwałą, a mozolną pracę zakonów powstały obecne potężne i niby to kulturalne narody europejskie. W Kalifornji tę samą pożyteczną pracę prowadzili zakonnicy hiszpańscy sto lat temu.

Jeżeli młody Indjanin miał zamiar się żenić, odnosił się z tą sprawą do jednego z ojców misjonarzy. Ten porozumiewał się z młodą panną. Jeżeli się na propozycje kawalera zgodziła, było weselisko, a jeżeli nie, dziewczyna była zupełnie wolna i mogła sobie wybrać tego, który jej do serca przypadł. Młode małżeństwo otrzymywało mały domek i tam już według metody ludzi cywilizowanych zakładało własne ognisko domowe. Wszystkie dzieci i starsi uczęszczali obowiązkowo na nauki, nabożeństwa i brali udział w śpiewach liturgicznych i procesjach, co też chętnie czynili.

Franciszkanie dobrze znali się na psychologji tubylców. Od czasu do czasu urządzali zabawy, w których Indjanie popisywali się strzelaniem, jazdą, tańcami i wszelkiemi rozrywkami. Było to jednak pod ścisłą kontrolą ich brunatnych duchownych przewódców.

Dzieci i młodzież doznawała szczególniejszej opieki i nadzoru. Prócz pacierza, uczono także czytania, pisania, rachunków — jednem słowem — wprowadzano kulturę do narodu, który nigdy o tych rzeczach poprzedno nie słyszał. Misjonarze wpajali zasady wiary zapomocą przykładów, obrazów, powiastek czyli stosowali tę samę metodę nauczania, którą kilkadziesiąt lat później wśród narodów europejskich wprowadziła szkoła Montessori.

Pod rozsądną dyrekcją gorliwego i świątobliwego gwardjana Ks. Junipero Serry i przy pełnej poświęcenia pracy jego braci zakonnej, misje w Kalifornji znakomicie się rozwijały i prosperowały. Spis dobytku misji San Gabrjel z roku 1773-go wykazuje następującą statystykę: 80 chrztów, jeden ślub, trzy pogrzeby, 38 sztuk bydła, 11 koni, 17 mułów, 20 wieprzy, 30 owiec i 12 kóz. Wcale niezły dobytek na tak krótki czas trwania instytucji. W roku 1817 czyli w nie całe czterdzieści lat istnienia, dobrobyt i postęp pod każdym względem był świetny. Spis wykazuje, że w obrębie misji zamieszkiwało 1700 osób, 25000 sztuk bydła, 2400 koni, 205 mułów, 300 sztuk nierogacizny, 15000 owiec i 1380 kóz. Był to majątek imponujący na owe czasy. Hodowla drobiu także przedstawiała poważny dorobek.

Poza hodowlą bydła i drobiu, również inne gałęzie przemysłu prosperowały. Jeszcze dziś pozostały ruiny olbrzymich pieców, w których wypiekano chleb dla tej gromady ludzi, gotowano mydło, szyto obuwie. Czynną była duża stolarnia, garbarnia, prochownia, cegielnia i wiele innych pomniejszych gałęzi. Kobiety i dziewczęta przędły wełnę i tkały płótno. Prócz szkół dla dzieci i młodzieży, był także mały szpital, w którym pielęgnowano chorych. Jedni byli zatrudnieni w warsztatach, inni pracowali w polu przy uprawie roli lub hodowli bydła.

Nic dziwnego, że coraz to większe gromady Indjan spieszyły do misji po opiekę, naukę i kawałek chleba. Nie tylko w San Gabriel, ale w dwudziestu innych misjach ten sam tryb życia zaprowadzono z bardzo błogiemi skutkami. Misje w okresie największego rozkwitu obejmowały tysiące mil pastwiska i olbrzy-

mie pola ziemi uprawnej. Powstały szkoły dla białej ludności, zwanej „razon“.

Niestety — w roku 1832 rząd meksykański, który objął panowanie nad południową Kalifornją i całą południową częścią obecnych stanów New Mexico, Colorado, Arizona, Nevada, Texas., skonfiskował własność misyj. Urzędnicy meksykańscy grabili i kradli co się dało. W kilku latach zniszczyli to, co tamci przez dziesiątki lat mozolnej i zbożnej pracy zbudowali. Urzędnicy meksykańscy „comisionados“ rozproszyli Indjan, skonfiskowawszy poprzednio ich ziemie. Tamci znów błąkali się po lasach i wrócili do dawnego dzikiego stanu.

Z tych przeszło dwudziestu misyj, rozrzuconych po Kalifornji południowej, od San Diego do San Francisco, zaledwie tutejsza misja przetrwała burzę. Przez cały czas odprawiały się w niej nabożeństwa, a chociaż rząd skonfiskował i rozgrabił dobytek i majątek zakonny, Franciszkanie stanowiska nie opuścili. Z innych misyj atoli pozostały tylko ruiny i wspomnienia.

Pisałem o działalności zakonników katolickich cośkolwiek obszerniej, aby podkreślić dodatnią pracę Kościoła wśród dzikich plemion i pionierów. Jadąc wzdłuż rzeki św. Wawrzyńca do Quebec i Montrealu, po obu brzegach napotkasz liczne osady kolonistów francuskich, t. zw. kanadyjczyków. W każdej wiosce wznosi się piękny kościół, nieraz szkoła, a nawet klasztor. Jeszcze wioski nie widzisz, a już na horyzoncie błyszczy krzyż na wieży katolickiego kościoła. To może najbardziej katolicki zakątek na kuli ziemskiej.

Jadąc przez obszerne stepy i pustynie stanów Dakoty, Wyomingu, Montany i Waszyngtonu, pierwszą oznaką miasteczka jest duża wieża, na której umieszczono rezerwuar do wody. W Kalifornji zato napotykasz wśród historycznych zabytków tej uroczej okolicy kościoły, klasztory i misje zakonne.

Purytanie i protestantyzm amerykański wdzierał się wgląb dzikiego kraju fortami, garnizonami wojska i siły, która mordowała i wywłaszczała czerwonoskórych tubylców. Kościół zaś szedł naprzód z krzyżem i Ewangelją. Głosił naukę Chrystusa, nie wydziedziczał Indjan, ale ich do siebie przygarniał, chrzcił, uczył rzemiosła i gospodarstwa na roli.

Niejeden może widzi dużo braków czyto w administracji, czy też w poszczególnych przywódcach Kościoła katolickiego.

Jednakowoż zaprzeczyć nie można, że Kościół na pierwszej stronie historji Zachodniej Półkuli zapisał się złotemi literami pracy, postępu i bezwzględnego poświęcenia. Jeszcze i dziś „żniwo jest wielkie", ale brakuje nam tych gorliwych i pełnych poświęcenia Apostołów ze zgromadzenia św. Franciszka i św. Ignacego Lojoli.

Obejrzałem stare zabytki, ruiny pieców i kotłów, niestety usunięto stary cmentarz. W muzeum pełno ciekawych zabytków po pierwszych pionierach. Naczynia, wazony, kotwice okrętowe, dzwony, które tysiące zwoływały na nabożeństwa i procesje, jeszcze dziś ich codziennie wołają do modlitwy — na Anioł Pański.

W starym ogrodzie znajduje się niewielka statua fundatora i gwardjana wielu z tutejszych misyj, Ks. Junipero Serra. Spotkamy go jeszcze raz w towarzystwie drugiego słynnego misjonarza Jezuity, Ks. Marqette, wśród zastępu najwybitniejszych obywateli kraju, w rotundzie Kapitolu w Waszyngtonie.

Chodząc wśród starych murów, ruin, zabytków i pamiątek, czujesz, że jesteś w obliczu mozolnej, pełnej poświęcenia, ale zarazem obfitującej w owoce pracy ludzi ideowych, owianych duchem Chrystusowym. Obyśmy więcej takich mieli.

---

Rozdział XXVII.

## O TURYSTYCE.

Może nie od rzeczy będzie jeżeli przy końcu pierwszego tomu napiszę cośkolwiek o udogodnieniach dla turystów w Stanach Zjednoczonych. Mam tu przedewszystkiem na myśli turystykę samochodową i uważam ją za najciekawszą, a nawet za najprzyjemniejszą. Mając samochód, jesteś panem sutuacji. Podoba ci się poszczególne miasto, jezioro, góra — możesz się zatrzymać czas dłuższy. Chcesz się gdzieś indziej puścić na zwiady, samochód cię tam szybko i tanio zawiezie. Więc też tylko samochodową turę polecam. Ma się rozumieć, są także duże turystyczne autobusy, koleje również urządzają wycieczki połączone z turami autobusowemi po parkach narodowych, ale są to stosunkowo rzeczy daleko kosztcwniejsze, a nadto ograniczające co do czasu i miejsca.

Pierwszym rekwizytem dla turysty są oczywiście drogi. Tu z całą pewnością mogę stwierdzić, że drogi główne po całym kraju sa pierwszorzędne — najlepsze na świecie. Na wschodzie przeważnie z cementu. W stanach zachodnich przez te nasze ogromne prerje i pustynie wiodą drogi żwirowe, szerokie i starannie utrzymywane, ale na nich jest dużo kurzu. Ale i temu stopniowo zaradzają, gdyż zlewają je olejem. Mamy wiele dróg „asfaltowych". Jest to mieszanina smoły z szutrem. Gdy taką drogę usypią i uwałują, jedziesz po niej jak po desce. W Kalifornji przez pustynie takiemi drogami jechałem. Jedyny kłopot, że trzeba je często naprawiać, a to jest dosyć kosztowne.

Wszystkie drogi federalne czyli rządowe, stanowe, a często nawet powiatowe są numerowane. Drogi rządowe mają odpowiednie szyldy z napisem stanu, przez który prowadzi i litery „U. S." z dodatkiem numeru. A więc: Pensylwanja U. S. 30 — (U. S

— skrócenie — Stany Zjednoczone czyli United States) oznacza rządową drogę Nr. 30, w granicach stanu Pensylvania. Gdy przekroczymy granicę stanową szyld i numer ten sam — tylko będzie n. p. stan Ohio, Indjana, i t. d. Zależy przez ktory stan droga prowadzi.

Gdy się kilka dróg łączy i „schodzi“ na jednym słupie umieszczają kilka szyldów z numerami. Pod niemi zwykle litery „R“ — na prawą — „L“ na lewą, gdy droga się skręca w tę lub ową stronę. Drogi stanowe mają odrębne szyldy, nieraz kształtem podobne do danego stanu.

Prócz tego napotyka się napisy miast i odległość. W Pensylwanji ponadto przed każdem miastem i miasteczkiem umieszczano żelazną tablicę z napisem danej miejscowości, datą założenia, pochodzenie nazwy i t. d.

Mapy gratisowo dostarczane turystom zawierają wszystkie drogi poszczególnego stanu, nadto mapę Stanów Zjednoczonych, z głównemi linjami komunikacyjnemi z ich numerami.

Numery dróg są umieszczone przy wszystkich krzyżówkach i skrętach nie tylko poza miastem, ale i w mieście. Trzeba tylko uważać na numery, a przez najludniejsze miasto przejedziesz bez kłopotu. Skręty w prawo lub w lewo są oznaczone na osobnych tablicach, również ostrzeżenia przy stromych górach.

Wszystkie niemal stacje gazolinowe, a tych nigdzie nie brakuje, nawet na odludnych pustkowiach, dostarczą turyście wszelkich informacyj co do dróg, hoteli, kabin, jednem słowem służą zawsze najnowszemi i najpewniejszemi wiadomościami. Tu również bezpłatnie otrzymasz dokładne mapy wykazujące wszystkie drogi w danym stanie, odległość miast, zabytki historyczne, wysokość ponad poziom morza. Co roku towarzystwa gazolinowe, jak Standard Oil, Shell, Texaco i inne wydają nowe mapy z najnowszemi ulepszeniami dróg, a nieraz przy stacjach gazolinowych umieszczają biuletyny informujące turystę o stanie dróg, deturach i robocie, jaką w danem miejscu wykonują.

Ma się rozumieć w stacji gazolinowej naleją ci gazoliny, skontrolują olej, wodę w chłodniku i baterji, napompują powietrza do opon, wytrą szkło, abyś dobrze drogę widział. To jest usługa gratisowa. Dawanie napiwków nie jest w modzie. Zajeżdżasz, jeden nalewa gazolinę, drugi kontroluje powietrze,

trzeci ociera z kurzu i t. d. Nie tracisz czasu i się z nim nie targujesz. Ceny gazoliny są wypisane przy pompie, więc nie masz tego europejskiego „kwiękania".

Niemal każda stacja gazolinowa jest zaopatrzona w nasze nieodzowne „water klozety". To już jest niezbędny rekwizyt dla amerykańskiego turysty. Wszystko jest bardzo czysto utrzymywane, a w niektórych lokalach są nawet pocztówki dla wygody turysty, aby w razie jakiegoś nieporządku wypełnił kartę i odesłał do biura głównego, a oni sami „zrobią porządek" z zarządcą.

Kąpiel i „water clozet" — ustęp — w życiu amerykańskiem odgrywa bardzo ważną rolę i jeżeli do Polski chcecie zwabić amerykańskiego turystę, to postarajcie się, aby była dla niego niezbędna i czysta wygoda.

Restauracyj, złych i dobrych mamy poddostakiem. Ulubioną potrawą Amerykanina na śniadanie jest kasza ze śmietaną, przeważnie owsiana, sucharki, chleb przypiekany na ogniu — toast — i owoce i to zawsze przed śniadaniem. Następnie szynka lub boczek z jajkami, nasz nieodzowny — „ham lub bacon and eggs". Z mięs najpopularniejszy jest befsztyk lub pieczeń. Kiełbasy nie są tu bardzo poszukiwane, może dlatego, że są dosyć kiepskie. Przy śniadaniu lub obiedzie Amerykanin lubi szklankę zimnej wody z lodem. Nawet latem herbatę i kawę podczas upałów pije z lodem. Gdy była, to i wódkę lodem chłodził. Przy jedzeniu czasu wiele nie traci; im prędzej, tem lepiej, aby tylko dalej jechać.

Tym, którzy chcą pieniędzy zaoszczędzić, przytem żołądka nie popsuć, radziłbym, aby ze sobą zabrali przybory kuchenne i małe składane piece gazolinowe t. zw. „camp cook". Prowjantów, jak mięsa świeżego, można dostać w każdem miasteczku, również świeżych jarzyn i owoców. Kociołki, miski i kubki tak są teraz znakomicie urządzone i spakowane, że nie zajmują wiele miejsca, są lekkie i wygodne. Na przystanku za kilkanaście minut już się piecze, gotuje i smaży. Woń smażonego „baconu" jeszcze bardziej podniecа apetyt już i tak zgłodniałego turysty. Można więc w podróży wygodnie samemu przysposobić śniadanie i przekąskę, ugotować kawy czy herbaty, nalać do „thermos" butelek, w których na dwadzieścia cztery godziny trzyma się gorącą lub zimną kawę, herbatę i wodę.

W miasteczkach dużo rodzin przyjmuje na nocleg turystów za dolara od osoby. Masz czyste łóżko, wygodną stancję i kąpiel.

Ponadto można zamówić śniadanie lub kolację, a jeżeli ktoś chce, może i czas dłuższy u takiej rodziny na stancji się zatrzymać. We wielu miejscach, przy drogach, stacjach gazolinowych, zbudowano małe, ale nieraz bardzo wygodne domki dla turystów. Szczególnie na dalekim zachodzie takich domkow przydrożnych jest pełno. Masz kabinę o jednej, dwóch lub więcej stancjach. Niektóre są zaopatrzone w piece kuchenne, opalane drzewem, gazem lub elektrycznością. Masz mała kuchenkę, lodownię, w niektórych nawet radjo. W osobnym domku, a nieraz w kabinie masz jeszcze kąpiel, no i oczywiście niezbędny — water clozet. Więc też wygody dla turystów są wszędzie. Jeżeli się zatrzymasz na czas dłuższy, możesz znaleźć pralnię z zimną i gorącą wodą, żelazka do prasowania, linki do zawieszania bielizny, ławeczki w cieniu drzew, gdzie wieczorem z innymi turystami wymieniasz wrażenia i otrzymujesz lub udzielasz informacyj o drogach, kwaterach lub innych ciekawych szczegółach, jakieś w podróży spotkał.

Turyści — to jedna wielka rodzina. Zawsze są grzeczni. Rzadko kiedy napotkasz gbura. Chętnie ci służą wszelkiemi informacjami i wskazówkami. Szczególnie kobiety, gdy się zejdą, a zaczną gadać o swych kłopotach, dzieciach, chorobach, to się im trudno rozłączyć. W całej podróży pod tym względem nie miałem najmniejszej nieprzyjemności ani przykrego wypadku. Każdy był uprzejmy i grzeczny, nawet niedźwiedzie okazywały wiele przyjaźni i przywiązania. Pewno tęsknią za mną i za memi przysmaczkami, jakiemi je obdzielałem.

Ma się rozumieć — we wszystkich miastach i miasteczkach masz wygodne, a nawet co do ceny stosunkowo niedrogie hotele z wszelkiemi nowoczesnemi urządzeniami, od paru do kilkunastu dolarów na dobę. Gdzie mogłem, zatrzymywałem się w kabinach, gdyż uważałem je za wygodniejsze, swobodniejsze i daleko tańsze.

Na dłuższą turę samochodową przeciętnemu turyście polecam samochody tańsze i lżejsze, poniżej tysiąca dolarów, a więc Fordy, małe Chryslery, Chewroletki i tym podobne. Może nie są tak wygodne, jak pulmanowskie Cadillaki, Packardy lub mój ośmiocylindrowy Graham, ale zato oszczędzasz dużo na gazolinie, co przy ciągłej podróży pochłania znaczne sumy. We wszystkich niemal miasteczkach masz agencje samochodowe, które samochód naprawią i co trzeba zremontują. Kluby automobilowe

dostarczają spisu garaży, hoteli, dróg, jednem słowem, wszystkiego, co jest turyście potrzebne.

„Pańskie oko konia tuczy“. W tym wypadku „pańskie oko“ powinno zawsze dać pilne baczenie na samochód, ażeby wszystko było w porządku, a szczególnie dobra oliwa, woda w baterjach i chłodniku, następnie gazolina. Warto tych drobiazgów samemu codzień przed wyjazdem dopatrzeć i wszystko jak należy skontrolować. Nieraz jesteś dziesiątki mil od stacji gazolinowej. Niektórzy wiozą ze sobą zapasowe puszki z gazoliną i olejem. Jeżeli tego dopatrzysz, jak należy, uważam branie gazoliny za zbyteczne.

Jestem amatorem fotografistą i wiele zdjęć w tekście zamieszczonych — to moja praca. Bardzo polecam wszystkim turystom, wybierającym się w podróż po Ameryce, aby zabrali ze sobą aparat fotograficzny. Należałoby się przedtem doskonale z nim zapoznać i wiedzieć, czy wszystko jest w porządku, czy jest odpowiedni zapas klisz lub filmów. To z czasem doda podróży tem większej wagi i milszych wspomnień. Moje aparaty fotograficzne przedstawiały wartość kilkuset dolarów.

Zalecałbym także robić notatki po drodze co do ilości mil, gazoliny, kosztów podróży, ciekawszych wypadków i zdarzeń. Po powrocie zawsze to odświeża pamięć i przypomina szczegóły, które można łatwo zapomnieć. Wieczorem zwykle robiłem notatki, pisałem pierwszą część książki, studjowałem mapy i okolicę, którą miałem następnego dnia podróżować. Przed wyjazdem na dłuższą turę, szczególnie tutejszym turystom, polecam bardzo bliższe zaznajomienie się z literaturą o danym stanie, parku lub okolicy. Wtenczas dopiero można podróż jak się należy wykorzystać. Jednakowoż napotyka się wielu takich, którzy nic o tem nie wiedzą, a więc tylko pobieżnie traktują dane zjawisko natury lub miejsce historyczne.

Transportowanie ze sobą lekkiej armatki polowej, karabinu maszynowego, winchersterki a nawet zwykłej „spluwy“ i to nawet najmniejszego kalibru uważam za zbyteczne i niepotrzebne. W parkach narodowych polować nie wolno, można z tego powodu mieć nieprzyjemność i ambaras. Zato tym, którzy lubią rybołóstwo, radziłbym zabrać ze sobą nieco przyborów rybackich. We Wisconsinie, Minnesocie, w parkach narodowych ten sport można uprawiać dowoli. W poszczególnych stanach trzeba się

postarać o pzwolenie rządowe, w parkach narodowych jest ono niepotrzebne. Wszędzie jest ograniczenie co do ilości wagi ryb szlachetnych jak pstrągów, okoni i tym podobnych. Szczupaki do tej klasy nie należą.

Co do garderoby, radziłbym garnitury szare, khaki, spodnie i koszule w tych kolorach są najodpowiedniejsze. Bierz trzewiki wygodne, a ci co lubią się włóczyć po górach i lasach, powinni mieć obuwie sznurowone po kolana, z grubemi podeszwami. W parkach narodowych można zażywać wycieczek konnych, więc amatorzy konnej jazdy wiedzą, co jest potrzebne. W górach warto mieć jakiś kubrak ciepły, a nawet jeden lub dwa dobre koce, prześcieradła, poduszki, jednem słowem — bieliznę na łóżko. We wielu miejscach za to się płaci specjalną taksę od 50 centów i więcej od osoby. Mając własną, dużo się zaoszczędza i wiesz, że masz wszystko swoje, wygodne i czyste. Chociaż z bardzo rzadkiemi wyjątkami — stancje i kwatery zawsze były czyściuteńkie. Tak popularnych w Europie pluskiew ani razu nie spotkałem podczas tury.

Co do szybkości jazdy — zalecam łacińskie przysłowie — festina lente — spiesz się powoli. To oczywiście zależy od czasu i przestrzeni, jaką chce się turą pokryć. Lepiej mniejszy obszar zakreślić, a zbytnio się nie spieszyć. Uważam, że 250 mil dziennie wystarczy na przeciętnego turystę. Przez stepy można zrobić daleko więcej. Szybkość 35 do 40 mil na godzinę jest w sam raz; nie niszczy się samochodu i gum, zawsze jest się bezpiecznym, mając auto w kontroli. Zaledwie kilka razy podczas całej tury zrobiłem ponad trzysta mil na dzień, ale uważałem to za zbyt męczące i czyniłem to zwykle na pustyniach, gdzie nie było ruchu i panowała wielka monotonja krajobrazu. W górach, kanjonach i miejscach uroczych jechałem powoli, często się zatrzymywałem, aby robić zdjęcia i podziwiać cuda natury. Byłem tem wszystkiem oczarowany i wciąż do tego tęsknię i o tem marzę.

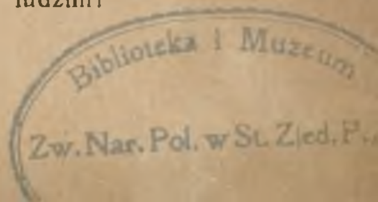
Teraz należy wspomnieć o najważniejszej części podróży samochodowej — o kosztach. Jadąc niezbyt ciężkim samochodem, robiącym od 16 do 20 mil dziennie, na galon gazoliny (galon — trzy i pół litry) koszta są nieco mniejsze. Jeżeli jedzie więcej osób, mówmy cztery, to także zniża cenę na osobę, gdyż gazolina, olej i utrzymanie auta są mniej więcej te same na jednego,

dwóch lub czterech pasażerów. Włóczyłem się samochodem dosyć często po takich turach. Z doświadczenia wiem, że przy jeździe oględnej i oszczędnej koszta wynoszą od sześciu do siedmiu dolarów na osobę czyli od dwunastu do czternastu na dzień, wliczając w to nocleg, żywność, gazolinę i pomniejsze a nieprzewidziane wydatki. Należy wziąć w rachubę okolicę, w której się podróżuje. Gazolina n. p. w pewnych stanach jest 15 centów za galon, a w innych, a szczególnie w parkach i pustyniach od 25 do 35 centów. Na kilkaset mil robi to różnicę paru dolarów. To samo z żywnością i noclegiem. Najlepiej pieniądze zabierać w czekach — Amerikan Express. — Wszędzie je przyjmą i zmienią bez ambarasu.

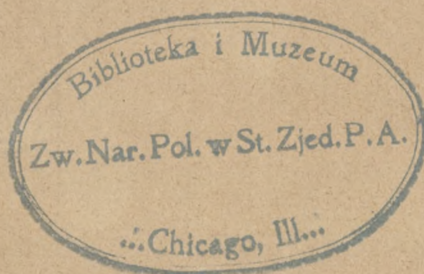
Zauważyłem, że nieraz, gdy w samochodzie zasiadło kilka osób, całe auto było poprostu obładowane walizkami, pakami, torbami, a nawet na wierzchu wlekli składane łóżko. Auto wyglądało, jak koń juczny. Cygani pozazdrościliby im takiego ekwipunku. Inni zaś urządzili się daleko lepiej. Do samochodu przyczepiali dwukołówkę — „trailor". Tam składali namioty, bagaże, ubranie i wszystko, co im do podróży było potrzebne lub też nieraz — zbyteczne. Wtenczas mieli wygodę w samochodzie, a gdy przyjechali na miejsce postoju, z tej turlejki uczepionej z tyłu samochodu, wybierali, co im było potrzeba. To już fachowcy!...

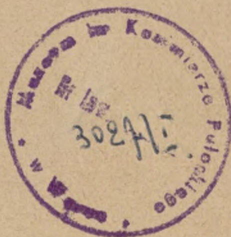
Byli i tacy, co sobie zbudowali lub też kupili specjalny wagon „turystyczny". Podziwiałem takie ekwipaże w parkach, a czasem na postojach. Za samochodem przyczepiona buda, niemal mały europejski wagon. W tem mają misternie urządzone składane łóżka, lodownie, spiżarkę, kufry, radjo, stołki, jednem słowem — wszystko. O takim turyście, niby o starym filozofie, co nic nie miał, można powiedzieć — omnia mea mecum porto — wszystko wlokę za sobą. Czy on stanął przy drodze, czy w deszczu, czy w parku, miał wszystko pod ręką. Światło elektryczne, radjo, piec gazolinowy, lód, żywność. Taki to już zawodowy cygan włóczy się, niby ćma. Wszędzie był, wszystko widział i wie że żyje. Gdy się jeszcze raz narodzę z ojca miljonera, to tylko takie życie koczownicze będę prowadził. Niemasz to jak być na poufałej stopie z naturą, a jak najdalej od mrowisk dwunożnych okrutnych zwierzątek zwanych — ludźmi!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



## SPIS ROZDZIAŁÓW:

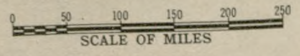


# MAPA SAMOCHODOWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Moja tura w niniejszej książce opisana jest na mapie zakreślona grubszą linią.




## Mapa Dróg Samochodowych STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OBJAŚNIENIE MAPY

- Międzystanowe drogi rządowe.
- Drogi stanowe.
- Znaki i numery dróg rządowych.
- N. P. Oznacza Parki Narodowe.
- N. M. Pomniki Narodowe.



Printed in U.S.A.

9673-10-N.Y.



